

THRILLER PSYCHOLOGICZNY

Jean
Hanff Korelitz
NIE CHCIAŁAŚ
WIEDZIEĆ

Jean
Hanff Korelitz
NIE CHCIAŁAŚ
WIEDZIEĆ

przełożył Piotr Kaliński

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2015

Asherowi

CZĘŚĆ I

PRZED

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Po prostu wiesz

Przychodząc tu po raz pierwszy, ludzie zazwyczaj płakali, i ta dziewczyna nie wyglądała, jakby miała być wyjątkiem. Weszła, trzymając aktówkę i pion, i uściśniła Grace dłoń, jak przystało na opanowaną profesjonalistkę, którą najwyraźniej była albo chciała być. W końcu usiadła na kanapie i założyła jedną otuloną diagonalą długą nogę na drugą. Nagle zorientowała się, gdzie jest, i klasnęła w dłoń.

– O kurczę – powiedziała. Nazywała się (Grace upewniła się kilka minut wcześniej) Rebecca Wynne. – Od studiów nie siedziałam w gabinecie terapeuty.

Grace usiadła na krześle, skrzyżowała swoje znacznie krótsze nogi i pochyliła się. Zrobiła to mimowolnie.

– Jakie to dziwne! Jak tylko człowiek tu wchodzi, od razu ma ochotę płakać.

– Chusteczek nie brakuje. – Grace się uśmiechnęła.

Ileż razy siedziała tam z tak skrzyżowanymi nogami i słuchała, jak pokój wypełnia się szlochem. Ludzie szlochali tak często, że niekiedy wyobrażała sobie swój gabinet pod wodą, jak w magicznej opowieści Betty MacDonald, którą uwielbiała jako dziecko i której

główna bohaterka dosłownie nie mogła przestać płakać, dopóki woda nie dosięgła jej podbródka. Kiedy była świadkiem skrajnej złości, sączącej swoją truciznę z krzykiem albo w milczeniu, prawie widziała, jak ściany (w rzeczywistości pomalowane na nieszkodliwą złamaną biel) ciemnieją z wściekłości.

– To tylko pokój – powiedziała pogodnym tonem. – Z nudnymi meblami.

– No tak.

Rebecca rozejrzała się, jakby to wymagało potwierdzenia. Gabinet Grace został urządony bardzo starannie, żeby pełnił kilka funkcji naraz. Miał być wygodny, ale nie przesadnie gościnny. Ciepły, ale kojąco bezosobowy. Udekorowany przedmiotami tak pospolitymi, że u każdego budziły znane skojarzenia. Zdjęcie brzoź Eliota Portera wiszące przy drzwiach (czy nie każdy na tym czy innym etapie życia mieszkał z tą fotografią w tle? W akademiku albo w domku letniskowym?), czerwony dywan, sofa w kolorze owsianki i jej obrotowe krzesło ze skóry. I jeszcze niski stolik ze szklanym blatem, a na nim pudełko chusteczek w skórzanym pokrowcu i, w rogu, zabytkowe sosnowe biurko z szufladami z żółtymi notesami A4 i wydrukowanymi listami psychofarmakologów, psychologów dziecięcych, hipnoterapeutów dla palaczy, agentów nieruchomości, biur podróży, mediatorów, zarządzających majątkiem, adwokatów od rozwodów. Na blacie długopisy. Wystawały z nieładnego

porcelanowego kubka, który jej syn Henry zrobił w pierwszej klasie (w ciągu wielu lat stał się obiektem niezliczonych komentarzy, wywoływał istne lawiny wspomnień). Biała ceramiczna lampa z płóciennym kloszem rzucała dyskretne światło na proces terapeutyczny. Jedyne okno wychodziło na tylną uliczkę i nigdy nic nie było przez nie widać, pomimo podjętej lata wcześniej próby zainstalowania na dole donic z niewyszukaną jasną roślinnością – geranium i bluszczem. Dozorca wyraził zgodę, choć jego entuzjazm nie wystarczył nawet do tego, żeby zechciał pomóc zdjąć drewniane donice z ciężarówki i zanieść je na miejsce. Ale roślinom brakowało światła i ogródek wkrótce zniknął, zostawiając na ziemi trwałą ciemny ślad. Grace nie była florystką.

Ale dzisiaj kupiła kwiaty, ciemnoróżowe róże. Na polecenie Sarabeth, która w miarę jak nadchodził Wielki Dzień, coraz mocniej skłaniała się ku ingerowaniu w najdrobniejsze sprawy. Z tej okazji Grace powinna kupić nie po prostu kwiaty: musiały to być róże. Ciemnoróżowe róże.

Ciemnoróżowe róże. Zastanawiała się dlaczego. Czyby Sarabeth spodziewała się kolorowej fotografii? Czy nie dostatecznie niewiarygodne było samo to, że „Vogue” gotów był poświęcić jej uwagę w czerni i bieli? Ale wykonała polecenie. Wstawiła kwiaty do jedyne go wazonu, jaki był na wyposażeniu niewielkiej kuchni. Został po jakiejś zapomnianej dostawie (kwiaty na

koniec terapii? kwiaty w podzięcie za skłonienie do rozvodu? kwiaty od Jonathana?). Rozłożyła je niezgrabnie, niezbyt ładnie. Stały na jednej z małych komód przy kanapie, gdzie groziło im, że Rebecca strąci je ciężkim wełnianym płaszczem.

– Ale powiem pani – odezwała się Grace – że ma pani rację co do płaczu. Zazwyczaj samo przyjście tutaj mocno ludzi wyczerpuje. A w przypadku mojej praktyki: samo przyprowadzenie do mnie partnera. Bardzo często zdarza się, że wszystkie blokady puszczają pacjentom natychmiast po tym, jak po raz pierwszy przekroczą próg. Nic w tym dziwnego.

– Może innym razem – odparła dziewczyna.

Na oko ma trzydzieści lat, pomyślała Grace. Była ładna, choć odrobinę surowa. Ubranie, które na sobie miała, zostało tak sprytnie zaprojektowane, żeby ukryć jej kształty, mocno zaokrąglone i dorodne. Zamiast nich prezentowała chłopięco szczupłą sylwetkę. Biała bawełniana koszula wyglądała, jakby ją uszyto specjalnie w tym właśnie celu, natomiast brązowe wełniane spodnie kończyły się dokładnie tam, gdzie musiały się kończyć, żeby wywołać wrażenie, że ma talię, której tak naprawdę prawie nie miała. Obydwie części garderoby były tryumfem iluzji i ewidentnie wyszły z rąk kogoś, kto doskonale znał się na swoim fachu. No, ale jak się pracuje dla „Vogue’a”, pomyślała Grace, to ma się dostęp do takich ludzi.

Rebecca grzebała chwilę w aktówce leżącej u jej

obutych stóp. Wyciągnęła z niej przedpotopowy dyktafon i położyła na szklanym blacie.

– Nie ma pani nic przeciwko? – zapytała. – Wiem, że to prawie antyk, ale wolę się zabezpieczyć. Spędziłam kiedyś kilka godzin z pewną gwiazdą pop, która nie jest znana z umiejętności mówienia pełnymi zdaniami. Miałam wtedy taki kosmiczny gadżet wielkości pudełka od zapalek. Kiedy chciałam odsłuchać wywiad, okazało się, że absolutnie nic się nie nagrało. To była najbardziej przerażająca chwila w mojej karierze.

– Domyślam się – powiedziała Grace. – Najwyraźniej jednak poradziła sobie pani z tamtą porażką.

Rebecca wzruszyła ramionami. Bujne blond włosy miała ułożone w pozornie chaotyczną, a tak naprawdę wymyślną fryzurę. Na szyi nosiła srebrny naszyjnik. Zwisiał wzdłuż obojczyków.

– W mojej autorskiej wersji mówiła tak inteligentnie, że musieliby zwariować, żeby przy autoryzacji wszystkiego nie sprawdzić. Nie twierdzę, że się nie bałam. Ale jej menedżer od PR-u powiedział mojemu redaktorowi, że to był najlepszy wywiad, jakiego w życiu udzieliła, więc się opłaciło. – Zrobiła pauzę i spojrzała wprost na Grace. – Kurczę – powiedziała z półuśmiechem. – Teraz myślę, że nie powinnam była tego mówić. Kolejny efekt tego, że jestem w gabinecie terapeuty. Siadasz na kanapie i wszystko wyśpiewujesz.

Grace odpowiedziała uśmiechem.

Rebecca z donośnym kliknięciem wcisnęła właściwe

guziki. Sięgnęła do teczki i wyjęła z niej staromodny notes i lśniący egzemplarz redaktorski.

– Ma ją pani! – powiedziała Grace.

Sprawa była taka świeża, że wciąż ją zadziwiało, że ktoś trzyma w rękach jej książkę. Jakby chodziło głównie o połechtanie jej próżności.

– Ma się rozumieć – odparła spokojnie Rebecca. Najwyraźniej w tej samej chwili, kiedy Grace pokazała, jaka z niej nowicjuszka, odzyskała kontrolę nad sytuacją.

Ale Grace nie mogła się powstrzymać. Nadal bardzo ją dziwił widok wydrukowanej książki. Jej własnej książki, jeszcze nie ogólnodostępnej, ale już prawie – miała się ukazać z nowym rokiem, gdyż według jej agentki, Sarabeth, redaktorki Maud i rzeczniczki od wizerunku J. Colton był to najlepszy okres na wydanie takiej pozycji. Wciąż nie mogła w to uwierzyć, mimo długich miesięcy nanoszenia poprawek, mimo że wydrukowano egzemplarz redaktorski (tak namacalny i dodający otuchy), podpisano umowę, wystawiono czek na zaliczkę (natychmiast złożony w banku, jakby mógł wyparować), a tytuł pojawił się w katalogu. A przecież wszystko to było takie realne, takie o-Boże-to-się-dzieje-naprawdę. Minionej wiosny wystąpiła na konferencji zorganizowanej przez jej wydawnictwo i przemawiała do sporej grupy skrupulatnie notujących, zmęczonych podróżą przedstawicieli handlowych, szeroko się do niej uśmiechających (kilku podeszło do

niej po prezentacji, żeby zasięgnąć rady co do własnych małżeństw – cóż, wiedziała, że będzie się musiała do tego przyzwyczaić). Nie mogła uwierzyć mimo tego szalonego dnia rok temu, gdy Sarabeth dzwoniła co godzinę z kolejnymi wspaniałymi wieściami. Ktoś był nią zainteresowany. Ktoś inny był nią zainteresowany. Ktoś... Nie, dwie inne osoby, nie, trzy... Po czym następował monolog w dialekcie, którego nie rozumiała: oferta otwierająca, zamykająca, audio i cyfra, umilacze za trafienie na listę (czym jest lista, dowiedziała się, dopiero kiedy podpisywała umowę). Nic z tego nie mogła zrozumieć. Od lat czytała o rzekomym końcu czytelnictwa, a tymczasem patrzyła na tętniący życiem, niezłomny, szalony rynek, zajmujący miejsce, w którym spodziewała się zobaczyć wystygłe zwłoki, kolejny przykład zapomnianej gałęzi amerykańskiego przemysłu, gnijącego gdzieś nieopodal hut i kopalń złota. Wspomniała o tym raz, kiedy rozmawiała z Sarabeth, akurat gdy trzeciego dnia aukcji pojawił się nowy gracz i znów wywindował wysokość ofert. Czy rynek wydawniczy nie był już aby martwy? W końcu tak pisali w czasopiśmie. Sarabeth tylko się zaśmiała. Zapewniła ją z radością, że czytelnictwo faktycznie umarło, chyba że komuś udaje się złapać ducha czasu. A jej książce, *Nie chciałaś wiedzieć*, duch czasu ponoć dyndał przed samym nosem.

Napisanie jej zajęło jej dwa długie lata. Siedziała tutaj, przy biurku w rogu, przed otwartym laptopem,

między sesjami, albo przy stole w sypialni w domu nad jeziorem, przy stole z ciężkiego dębu, z plamami po wodzie i widokiem na dok, albo przy kuchennym blacie w mieszkaniu przy Osiemdziesiątej Pierwszej, w nocy, kiedy Jonathan jeszcze był w szpitalu albo już spał, a Henry zasypiał przy włączonym świetle, z otwartą książką na piersi. Pisała ją z kubkiem herbaty imbirowej stojącym niebezpiecznie blisko klawiatury i z notatkami w postaci oklejonych żółtymi karteczkami opisów dawnych terapii, rozłożonymi na całym blacie, aż do zlewu na drugim krańcu. Pisała, a jej wieloletnie teorie stawały się ciałem, potem trochę bardziej dopracowanym ciałem, a wreszcie ciałem o zapędach autorytarnych, mądrością ludową, o którą się nie podejrzewała, dopóki nie zobaczyła jej na papierze, zestawem wniosków, do których – jak się okazało – doszła, zanim piętnaście lat wcześniej otworzyła praktykę. (Bo niczego się przez te lata nie nauczyła? Bo od samego początku miała rację?) Nawet nie pamiętała, kiedy i jak zdobyła wiedzę niezbędną do wykonywania zawodu terapeutki, nie licząc oczywiście obowiązkowych kursów i praktyk, czytania książek i pisania prac i koniecznego dyplomu. Od zawsze wiedziała, jak to się robi. Nie pamiętała, żeby kiedyś nie było to dla niej jasne. Spokojnie mogła wyjść z liceum, trafić prosto do tego ciasnego, uporządkowanego gabinetu i być równie skuteczna jak teraz, pomagać tak samo wielu parom i zapobiegać zawarciu tyłu

nieudanych małżeństw. Wiedziała, że nie czyni jej to wyjątkową ani nie świadczy o jej inteligencji. Nie uważała swojego talentu za dar od Boga (Bóg był w jej życiu wyłącznie obiektem historycznego, kulturowego i artystycznego zainteresowania), ale za syntezę genów i wpływu środowiska. Coś jak naturalnie uzdolniona baletnica, której przytrafiły się długie nogi, a do tego rodzice gotowi wozić ją na lekcje tańca. Z jakiegoś powodu – a raczej pewnie bez żadnego powodu – Grace Reinhart Sachs urodziła się ze zdolnością do obserwowania i wglądu, a dorastała wśród idei i rozmów. Nie umiała śpiewać ani tańczyć, ani obracać liczbami. Nie potrafiła grać, jak jej syn, ani uzdrawiać umierających dzieci, jak jej mąż – choć z radością i wdzięcznością przyjąłaby obie te umiejętności – za to umiała usiąść z człowiekiem i dostrzec, zazwyczaj bardzo szybko i niepokojąco wręcz wyraźnie, jakie zastawia na siebie pułapki i jak mu pomóc je obejść. Albo, jeśli już w nie wpadli – a na ogół jeśli już u niej byli, to wpadli – jak im pomóc się uwolnić. To, że spisanie tych oczywistości sprowadziło do jej zwyczajnego małego gabinetu samego „Vogue’a”, fascynowało ją i trochę podniecało, ale było też bardzo dziwne. Z jakiej racji umożliwiają jej dotarcie do mas tylko dlatego, że mówi, że po nocy przychodzi dzień, że gospodarka podlega cyklom, i wygłasza jeszcze inne banały? (Czasami, kiedy myślała o swojej książce i o tym, co wyczytają w niej kobiety, które ją kupią,

niemal się wstydziła, jakby oferowała jakiś magiczny specyfik od dawna dostępny w aptekach). Z drugiej strony, myślała, pewne rzeczy warto powtarzać do znudzenia.

Kilka tygodni wcześniej została zaproszona do prywatnej sali u Craфта na specjalny lunch z wyraźnie cynicznymi (choć zawodowo zaintrygowanymi) dziennikarzami. Wśród delikatnego brzęku sztućców mówiła o swojej książce i odpowiadała na standardowe pytania (jedno zadał wrogo nastawiony mężczyzna w szkarłatnej muszce) o to, czym *Nie chciałaś wiedzieć: dlaczego kobiety nie chcą słuchać, co mówią ich mężczyźni* różni się od wszystkich innych poradników. Ewidentnie spotkali się głównie z powodu potraw przygotowanych przez Toma Colischia. Grace poświęciła zbyt dużo uwagi redaktorce jakiegoś czasopisma, która siedziała obok niej (innymi słowy, musiała wysłuchać historii jej kosztownego rozwodu) i z żalem zauważyła, że kelner zabrał jej talerz, zanim naprawdę się nacieszyła jagnięciną. Uznała, że autorce książki nie przystoi poprosić o zapakowanie reszty na wynos.

Ale po tamtym lunchu rzeczniczka od wizerunku J. Colton zaczęła dzwonić z wiadomościami o kolejnych wywiadach i występach w telewizji. Były rezultatem tamtego posiłku. Kosztownie rozwiedziona redaktorka obiecała tekst w czasopiśmie „More”, a wrogi mężczyzna w muszce zamówił artykuł dla Associated

Press (co nawet według Grace uczyniło to spotkanie wartym zachodu). Artykuł w „Vogue’u” miał się pojawić niedługo potem. Sprawy wyglądały pomyślnie.

Za namową Maud napisała felieton o tym, dlaczego do tak wielu rozwodów dochodzi w styczniu (okołoświąteczny stres, a do tego postanowienia noworoczne). Na prośbę J. Colton zniosła przedziwną sesję z trenerem medialnym. Uczyła się, jak przechylać głowę w stronę gospodarza programu, wkupiać się w łaski telewizyjnej publiczności, wpłatać do rozmowy tytuł swojej książki w nawet najbardziej niestosownych chwilach, nie wychodząc przy tym na narcystycznego robota, i jak tworzyć najbardziej chwytliwe slogany.

– Mój redaktor przysłał mi ją kilka tygodni temu – powiedziała Rebecca, kładąc książkę na stoliku, obok chusteczek. – Jest wspaniała. Właściwie nikt nam nigdy nie mówi takich rzeczy. Nie dawaj ciała na samym początku, to potem nie będziesz musiała walczyć z problemami. Napisana z bolesną szczerością. Typowa książka z tej półki jest trochę bardziej życzliwa, łagodna.

Zdając sobie sprawę, że wywiad właśnie się zaczął, Grace spróbowała pochylić głowę i przypomnieć sobie zapadające w pamięć zdania. Kiedy się odezwała, jej głos nie brzmiał jak ten, który nazwałaby swoim własnym. Był to głos dostosowany do sytuacji. Na swój użytek nazywała go terapeutycznym.

– Rozumiem, co pani ma na myśli. Ale jeśli mam być

szczerza, to owo łagodne podejście nie bardzo nam służy. Sądzę, że kobiety są gotowe usłyszeć to, co im powie moja książka. Nie trzeba się z nami obchodzić delikatnie. Jesteśmy dorosłe i jeżeli coś jest z nami nie tak, powinniśmy umieć przyjąć prawdę i samodzielnie podjąć konieczne decyzje. Swoim pacjentkom zawsze tłumaczę, że jeśli chcą usłyszeć tylko tyle, że wszystko się ułoży albo że nic się nie dzieje bez powodu, czy jaki tam profesjonalny bełkot jest akurat w modzie, to nie muszą przychodzić do mojego gabinetu i płacić za poradę. Ani kupować mojej książki. – Uśmiechnęła się. – Mogą kupić jakąś inną. Dowolną. *Jak uzdrowić małżeństwo miłością. Jak walczyć o związek.*

– Zgoda, ale pani tytuł jest trochę... wyzywający, nieprawdaż? *Nie chciałaś wiedzieć.* Bo to jest coś, co mówimy sobie w duchu, kiedy oglądamy konferencję prasową jakiegoś polityka, który wrzucił na Twittera zdjęcie swojego penisa albo został przyłapany z drugą rodziną i teraz jego żona stoi przy nim jak ogłuszona. Wie pani, wtedy człowiek myśli sobie: naprawdę jesteś zaskoczona?

– Nie wątpię, że żona jest zaskoczona – powiedziała Grace. – Pytanie brzmi: powinna być? Czy mogła tego uniknąć? Nie znaleźć się w tym położeniu?

– Czyli to pani wybrała ten tytuł.

– I tak, i nie – odparła Grace. – To była moja druga propozycja. Najpierw chciałam ją zatytułować *Tym trzeba się wreszcie zająć*, ale nikt nie zrozumiał aluzji.

Powiedzieli, że to zbyt potoczne.

– Naprawdę? Czyli nie wszyscy czytali w liceum Artura Millera? – zapytała figlarnie Rebecca, potwierdzając swoje kwalifikacje.

– Może w twoim liceum – odparła dyplomatycznie Grace.

Ona przeczytała *Śmierć komiwojażera* w gimnazjum Rearden, ambitnej (a w swoim czasie też z lekka socjalizującej) nowojorskiej prywatnej szkole. Jej własny syn chodził tam teraz do siódmej klasy.

– Tak czy siak, poszliśmy na kompromis. Pomyślałam o tym, jak często myślimy: nigdy nic nie wiadomo, kiedy ktoś nas kompletnie swoim zachowaniem zaskakuje. Jesteśmy zszokowani, że okazał się kobieciarzem albo oszustem. Że jest nałogowcem. Patologicznym kłamcą. Albo że jest zwyczajnym egoistą i że to, że jest twoim mężem, a może nawet macie dzieci, najwyraźniej nie przeszkadza mu żyć jak niemający żadnych zobowiązań nastolatek.

– Oj, tak – powiedziała Rebecca.

Grace wydało się to trochę zbyt osobiste. Ale niespecjalnie ją tym zaskoczyła. W sumie o to właśnie chodziło.

– I kiedy to się zdarza, stać nas tylko na gesty rozpacz i jęczenie, że z ludźmi nigdy nic nie wiadomo. Siebie zwalniamy z odpowiedzialności za własny wkład w podtrzymywanie iluzji. Musimy się nauczyć

odpowiedzialności. W przeciwnym razie nie będziemy umiały dbać o swoje dobro i zapobiegać podobnym przypadkom.

– Ojej. – Rebecca podniosła wzrok i obrzuciła ją spojrzeniem pełnym dezaprobaty. – Chyba nie będziemy obwiniać ofiar, co?

– Tutaj nie ma ofiar – powiedziała Grace. – Serio. Zajmuję się terapią od piętnastu lat. Nieustannie słucham, jak kobiety opisują początki znajomości z partnerami i pierwsze wrażenia. I zawsze wtedy myślę: wiedziałas od samego początku. Wie, że jej facet nie przestanie się oglądać za kobietami. Wie, że nie umie oszczędzać. Wie, że nią pogardza już podczas pierwszej rozmowy albo na drugiej randce, albo podczas pierwszego spotkania, na którym go przedstawia znajomym. I jakimś cudem wyrzuca tę wiedzę z głowy. Pozwala, żeby te pierwsze wrażenia, to pierwsze przeczucie zostało stłumione przez inne rzeczy. Wmawia sobie, że to, co intuicyjnie widziała w mężczyźnie, którego ledwo znała, w ogóle nie było prawdziwe, co teraz już wie, bo – cytuję – naprawdę dobrze go poznała. Ten impuls, żeby negocjować własne odczucia, jest nieprawdopodobnie silny. I potrafi całkowicie zniszczyć życie. A my zawsze znajdziemy dla siebie jakieś usprawiedliwienie, patrząc jednocześnie na inne oszukujące się kobiety i myśląc sobie: jak ona mogła nie wiedzieć? Ja uważam, i to stanowczo, że względem siebie powinniśmy stosować tę samą miarę.

Zanim damy się ponieść, nie później.

– Ale wie pani... – Rebecca podniosła wzrok znad notesu, ale jej ołówek nie przestawał pisać. – To nie dotyczy tylko mężczyzn. Kobiety przecież też kłamią.

Zmarszczyła brwi, a na środku jej czoła pojawiło się wyraźne V. Ewidentnie wydawnictwo, dla którego pracowała, nie zmusiło jej do wstrzyknięcia sobie jadu kiełbasianego.

– Oczywiście, ma pani rację. Piszę o tym w tej książce. Ale prawda jest taka, że w dziewięciu przypadkach na dziesięć na mojej kanapie siedzi kobieta, kompletnie zrozpaczona, bo w jej mniemaniu jej partner coś przed nią ukrywał. Więc na samym początku zdecydowałam, że to będzie książka dla kobiet.

– Okej – powiedziała Rebecca i znów spojrzała na notatnik. – Rozumiem.

– Mam zacięcie dydaktyczne – powiedziała Grace z żartobliwym żalem w głosie.

– Ma pani pasję.

No tak, pomyślała Grace. Będę musiała to zapamiętać.

– Tak czy siak – powiedziała z naciskiem – doszłam do takiego etapu, że nie mogłam dłużej znosić widoku tyłu przyzwoitych, dobrych kobiet, cierpiących przez długie miesiące albo lata terapii, wypruwających sobie flaki i wydających fortunę tylko po to, żeby zdać sobie sprawę, że ich partner nie zmienił się nawet na jotę, że pewnie nigdy nawet nie próbował się zmienić ani nie twierdził, że tego pragnie. Te kobiety zataczają krąg

i wracają w to samo miejsce, w którym zaczynały, siedząc tam, gdzie pani teraz siedzi. Zasługują na to, żeby usłyszeć prawdę, a prawda jest taka, że ich sytuacja się nie poprawi. W każdym razie na pewno nie w takim stopniu, jak by chciały. Muszą usłyszeć, że błąd, który popełniły, może być nieodwracalny.

Zatrzymała się, trochę po to, żeby Rebecca mogła zanotować, a trochę po to, żeby dłużej czuć smak efektu, który wywołało ostatnie zdanie, jej bomba atomowa, jak powiedziała Sarabeth podczas ich pierwszego spotkania w zeszłym roku. Nadal zdawało się robić piorunujące wrażenie. Pamiętała nawet tę chwilę, kiedy postanowiła zapisać to, co myślała. Ten banał, który z każdym rokiem jej kariery stawał się coraz bardziej oczywisty, z każdym poradnikiem na temat randek (które nigdy tego nie mówiły) i podręcznikiem na temat małżeństwa (które też ten temat przemilczały), jakie pochłoneła, przygotowując się do napisania książki, i z każdą konferencją dla doradców rodzinnych, na jakiej była (nie wspomniano tam o tym ani słowem). Ta prawda, o której nikt nie chciał mówić, ale którą zapewne wszyscy jej koledzy po fachu znali równie dobrze, jak ona. Powinna napisać o tym w swojej książce i wywołać furję branży? Czy lepiej powielić idiotyczny mit, jakoby każdą relację (cokolwiek to jest) można było uratować (cokolwiek to oznacza)?

– Nie wybieraj niewłaściwej osoby – powiedziała Rebecce, zachęcona obecnością „Vogue’a” w swoim

nijakim gabinecie i towarzystwem tyczkowatej kobiety, sprawnie władającej staroświeckim notesem i dyktafonem. – Jak wybierzesz niewłaściwą, to choćbyś nie wiem jak usilnie próbowała naprawić swoje małżeństwo, nic z tego nie wyjdzie.

Po chwili Rebecca podniosła wzrok i powiedziała:
– Dosadne.

Grace wzruszyła ramionami. Owszem, dosadne, nie zamierzała zaprzeczać. Jeśli kobieta wybiera niewłaściwego faceta, zawsze pozostanie niewłaściwym facetem, koniec, kropka. Najzdolniejszy terapeuta na świecie może w takiej sytuacji najwyżej wynegocjować rozejm. W najlepszym razie, pomyślała Grace, jest to cholernie smutne, ale w najgorszym to kara. Dożywotnia kara, żaden sposób na małżeństwo. W przypadku par bezdzietnych wysiłki powinny zmierzać ku separacji. W przypadku małżeństw z dziećmi celem jest wzajemny szacunek i dzielenie się rodzicielskimi obowiązkami. I separacja.

Nie oznaczało to, że im nie współczuła. Naprawdę rozumiała ich ból, zwłaszcza swoich pacjentek, bo przychodziły do niej po pomoc, kiedy było już za późno, i to, co mogła im dać, było w najlepszym wypadku odpowiednikiem worków na śmieci i płynu do mycia szyb w chwili, kiedy do morza leje się ropa naftowa. Ale najbardziej dręczyło ją w tym wszystkim to, że całej tej rozpaczki można było unikać. Jej pacjentkom nie brakowało inteligencji. Były

wykształcone i spostrzegawcze. Niektóre wręcz wybitnie. Gdzieś na wczesnym etapie swojej życiowej drogi spotykały potencjalnego towarzysza, który oferował im pewny lub przynajmniej prawdopodobny ból i to, że ów pewny lub przynajmniej prawdopodobny ból od niego zgodnie z obietnicą dostawały – to ją wprawiało w zdumienie. Zawsze ją to dziwiło. I złościło. Czasami czuła, że chciałaby nimi z całych sił potrząsnąć. Trudno jej było nad tym zapanować.

– Niech sobie pani wyobrazi – powiedziała – że siedzi pani z kimś przy stole po raz pierwszy. Może na randce. Albo u znajomych. Gdziekolwiek. Poznaje pani mężczyznę, który wydaje się pani atrakcyjny. W tych pierwszych chwilach są rzeczy, które może pani w nim zobaczyć albo wyczuć. Wyraźnie widoczne. Zauważa pani, że jest otwarty na ludzi, zainteresowany tym, co go otacza, inteligentny albo nie, i widzi pani, czy tę inteligencję wykorzystuje. Widzi pani, że jest serdeczny albo lekceważy innych, że się wywyższa albo jest ciekawy i daje dużo od siebie. Widzi pani, jak panią traktuje. Dużo można wyczytać z tego, co mówi o sobie: jaką rolę pełni w jego życiu rodzina i przyjaciele, z jakimi kobietami wiązał się w przeszłości. Widzi pani, czy o siebie dba, jak ważne jest dla niego zdrowie, ogólny dobrostan i komfort finansowy. Wszystkie te informacje są łatwo dostępne i korzystamy z nich, a później...

Czekała chwilę. Rebecca notowała z opuszczoną

głową.

– Później?

– Później opowiada nam swoją historię. Bo na pewno ją ma. Wiele historii. Nie sugeruję wcale, że zmyśla albo zwyczajnie kłamie. Może tak być, ale nawet jeśli tego nie robi, to my go w tym wyręczamy, bo jako istoty ludzkie mamy głęboko zakorzenioną potrzebę opowiadania: ja już jestem heroiną i oto nadchodzi mój bohater. I kiedy przyswajamy fakty i formułujemy wrażenia, kieruje nami namolny impuls, żeby je umieścić w szerszym kontekście. Więc tworzymy opowieść o tym, jak dorastał, jak go traktowały kobiety, jakie miał relacje z przełożonymi. Jego obraz, który tworzymy, staje się częścią tej historii. Jego pragnienia też w nią wpisujemy. Wreszcie to my się w niej pojawiajemy: przede mną nikt go tak naprawdę nie kochał. Żadna z jego poprzednich dziewczyn nie dorównywała mu intelektem. Nie jestem dla niego dostatecznie ładna. Imponuje mu moja niezależność. To wszystko nie są fakty, a tylko kombinacja tego, co nam powiedział, i tego, co sobie wmówiliśmy. Nasz mężczyzna stał się zmyśloną postacią fikcyjnej historii.

– Postacią fikcyjną.

– Tak. A poślubianie fikcyjnego bohatera nie jest dobrym pomysłem.

– Ale mówi pani o tym jak o czymś nieuniknionym.

– Nie. Gdybyśmy temu poświęciły choć ułamek skupienia, jakie poświęcamy na przykład zakupom,

miałybyśmy problemy znacznie rzadziej. Coś jest z nami nie tak. Potrafimy przymierzyć dwadzieścia par butów, zanim zdecydujemy się któreś kupić. Zanim wybierzemy firmę, która położy w naszym domu wykładzinę, czytamy opinie kompletnie nieznanym nam ludzi. Ale wyłączamy wszystkie czujniki i ignorujemy przecucia tylko dlatego, że komuś się podobamy albo ktoś się nami interesuje. Potencjalny partner mógłby mieć tabliczkę z napisem: „Zabiorę ci pieniądze, będę podrywał twoje koleżanki, nieustannie będę cię pozbawiał miłości i wsparcia”, a my i tak znajdziemy sposób, żeby o tym zapomnieć. Żeby przestać wiedzieć.

– Ale... – Rebecca się zawahała. – Przecież każdy ma jakieś wątpliwości. Może po prostu nie bierzemy ich pod uwagę.

Grace przytaknęła. W swojej praktyce często miała do czynienia z wątpliwościami. Bardzo starymi, wysuszonymi wątpliwościami, zachowanymi i zakonserwowanymi, wyrażanymi przez bardzo zranione, głęboko przygnębione kobiety. To temat z nieskończoną liczbą wariacji: Wiedziałam, że za dużo pije. Wiedziałam, że nie umie trzymać języka za zębami. Wiedziałam, że mnie nie kocha, nie tak mocno jak ja jego.

– Wielu ludzi ma wątpliwości – powiedziała. – Problem w tym, że niewielu umie je rozpoznać. Wątpliwości są darem naszego najgłębszego ja, tak to widzę. Jak strach. Zdziwiłaby się pani, jak wielu ludzi się

boi tuż przed jakimś przykrym zdarzeniem. I kiedy to później analizują, zdają sobie sprawę, że przeoczyli okazję, że mogli się nie dać zranić. Wie pani, o czym mówię: Nie przechodź przez tę ulicę. Nie wsiadaj z tym facetem do samochodu. Wydaje się, że mamy dobrze rozwiniętą umiejętność ignorowania tego, co wiemy albo podejrzewamy. To fascynujące choćby z punktu widzenia ewolucji, ale mnie interesują kwestie praktyczne. Sądzę, że wątpliwości bywają wspaniałym darem. Powinnyśmy się nauczyć ich słuchać, zamiast je odpychać, nawet jeśli miałyby to prowadzić do zerwania zaręczyn. Znacznie łatwiej odwołać wesele niż małżeństwo.

– No, nie wiem – odparła Rebecca z sarkazmem. – Bywam na weselach, które odwołać byłoby trudniej, niż odwołać olimpiadę.

Grace nic nie wiedziała o jej niedawno zaślubionych znajomych, ale czuła, że mówi prawdę. Jej własne wesele było kameralne, bo rodzinę z jej strony tworzyli ona i jej ojciec, a bliscy Jonathana się nie zjawili. Ale i ona brała udział w niejednym obłądnym ślubnym przyjęciu.

– W zeszłym miesiącu – ciągnęła Rebecca – moja współlokatorka z uniwerku urządziła gigantyczne przyjęcie weselne. Na pięćset osób, w Puck Building. Gdyby pani zobaczyła same kwiaty... Chryste. Kosztowały co najmniej pięćdziesiąt tysięcy dolarów, serio. Prezenty leżały na długim stole w oddzielnym

pokoju, jak dawniej. Pamięta pani?

Grace pamiętała. Dawny rytuał. Jak wiele innych starych weselnych rytuałów wrócił w całym swoim materialistycznym blasku. Najwyraźniej współczesne wesela nie były dość atrakcyjne i wystawne. Na ślubie jej rodziców, w hotelu St. Regis, była taka właśnie wystawa z prezentów w foyer sali balowej: srebra Audubon, porcelana Haviland i pełen zestaw kryształów od Waterforda – dzisiaj wszystko w szponach Evy, drugiej żony jej ojca.

– Pół Tiffany’ego plus wszystkie gadzety, jakie kiedykolwiek wyprodukowali Williams-Sonoma. Co było niedorzeczne – parsknęła Rebecca. – Bo panna młoda nie umie gotować, a pan młody chyba nigdy nie nabierze tyle ogłady, żeby jeść srebrnymi sztucami.

Grace przytaknęła. Nieraz słyszała takie i mnóstwo innych szczegółów od ludzi siedzących na kanapie w kolorze owsianki. Słuchała opowieści o poszukiwaniu kolorowych cukierków miętowych serwowanych na weselu rodziców panny młodej (podobno dostępnych już tylko w malutkim sklepie przy Rivington), o grawerowanych medalionach dla druhen i o konkretnej marce zabytkowego samochodu, który miał zawieźć młodą parę na wesele do Gansevoort, i o dziesięciu dniach w kurorcie na Szeszelach, gdzie spędzali miesiące poślubne celebryci, w chatce na szczudłach wbitych w jaskrawoniebieską wodę Oceanu Indyjskiego. I gdzie doszło do kłótni, która rzuciła cień

na całą uroczystość i która dziś rezonuje tutaj, przed terapeutką, w pełni świadomą, że ci dwoje uaktywniali w sobie nawzajem najgorsze cechy, że pewnie zawsze to robili i z całą pewnością nigdy nie przestaną.

Czasami marzyła o rozwaleniu tego wszystkiego w drobny mak. Gdyby ograniczyć ślubne szaleństwo do kilku słów wypowiedzianych po cichu w obecności przyjaciół i rodziny, połowa par (ta właściwa połowa) w okamgnieniu by zrezygnowała. Wystarczyłoby przekonać młode pary, żeby wesele odłożyły na dwudziestą piątą rocznicę ślubu, gdy jego włosy wyparują, a jej talia spuchnie od rodzenia dzieci, a cała masa potencjalnych nowożeńców wycofałaby się z przerażeniem. Ale zanim ci ludzie trafiali do jej gabinetu, cysterna mleka dawno była rozlana.

– Wątpliwości mogą być darem. – Rebecca powiedziała to na głos, jakby sprawdzała chwytliwość tego zdania. – Dobrze.

Grace poczuła ciężar jej cynizmu. A po chwili zauważyła swój własny.

– Nie chodzi o to, że nie wierzę, że możliwa jest przemiana – powiedziała tak, żeby nie było słyhać, że się najeżyła. – Ludzie potrafią się zmienić. Wymaga to wielkiej odwagi i ofiarności, ale się zdarza. Tylko że zbyt wiele uwagi poświęcamy tej wątej możliwości odmiany, a pomijamy profilaktykę. To dość poważny błąd, nie uważa pani?

Rebecca przytaknęła niewyraźnie. Była zajęta.

Energicznie notowała lewą ręką. Kostki zbieleły jej z wysiłku, długopis skakał i wirował wzdłuż szeroko zakreślonych linii. Wreszcie zapisywała tę myśl. Podniosła wzrok i powiedziała doskonale wystudiowanym tonem:

– Może to pani rozwinąć?

Grace wzięła głęboki wdech. To jedna z tych ironii, które się wiążą z jej zawodem, wyjaśniła: kiedy się pyta kobietę, czego szuka w partnerze, najczęściej udziela trzeźwej, dojrzałej, mądrej odpowiedzi. Opieki i towarzystwa, mówi. Troski i stymulacji, ciepłej przystani, z której można wypływać na szersze wody. A potem patrzy się na jej partnera. I gdzie się to wszystko podziewa? Te same mądre i elokwentne kobiety toczą samotną walkę i nieustannie czują się lekceważone. Są porzucane, wchodzą w konflikty, rywalizują, muszą pokonywać przeszkody, a wszystko dlatego, że kiedyś powiedziały „tak” niewłaściwemu mężczyźnie.

– Wychodzę za mąż – powiedziała nagle Rebecca. Skończyła notować.

– Gratuluję – odparła Grace. – To wspaniała wiadomość.

Rebecca wybuchnęła śmiechem.

– Czyżby?

– Tak. Mam nadzieję, że będzie pani miała cudowne wesele i, co ważniejsze, że pani małżeństwo będzie wspaniałe.

– Czyli wspaniałe małżeństwa są jednak możliwe? – zapytała z satysfakcją Rebecca.

– Oczywiście. Gdybym w to nie wierzyła, nie byłoby mnie tu.

– I nie miałyby pani męża.

Grace ułożyła usta w wystudiowany uśmiech. Nie było jej łatwo dzielić się ze światem nawet tym minimum informacji o sobie, jak radził wydawca. Terapeuci nie mówią o sobie. Autorzy książek najwyraźniej tak. Obiecała Jonathanowi, że ich życie rodzinne pozostanie sferą prywatną, o ile tylko będzie to możliwe. Ale on wydawał się tym mniej zainteresowany od niej.

– Proszę mi opowiedzieć o mężu – powiedziała Rebecca. Nie zaskoczyła jej.

– Nazywa się Jonathan Sachs. Poznaliśmy się na studiach. To znaczy ja byłam w college’u, a on na akademii medycznej.

– Więc jest lekarzem?

– Jonathan jest pediatrą – powiedziała Grace. Nie chciała zdradzać, w którym szpitalu pracuje. Kiedy o tym mówiła, ludzie natychmiast zmieniali nastawienie. Wszystko to można było znaleźć w internecie. Wystarczyło wpisać w wyszukiwarce jej nazwisko. Przed kilkoma laty został wymieniony w krótkim artykule w dorocznym dodatku „Najlepsi Lekarze” magazynu „New York”. Zdjęcie przedstawiało Jonathana w stroju chirurga, z kręconymi włosami długości

znacznie przekraczającej tę, przy której na ogół należała, żeby je ściął. Na szyi miał wszechobecny stetoskop, a z kieszeni fartucha wystawał mu duży okrągły lizak. Próbował się uśmiechać, chociaż był skrajnie wyczerpany. Na kolanach trzymał łysego chłopca, uśmiechniętego od ucha do ucha.

– Dzieci?

– Jeden syn. Henry.

Rebecca kiwnęła głową, jakby to potwierdzało jej podejrzenia. Na biurku Grace zabrzączał interkom.

– O, super – powiedziała Rebecca. – To pewnie Ron.

Ron, fotograf. Grace wstała, żeby go wypuścić.

Stał w holu, wśród ciężkich metalowych skrzyń. Kiedy otworzyła drzwi, pisał SMS.

– Dzień dobry – powiedziała, głównie po to, żeby zwrócić na nią uwagę.

– Witam – odparł, podnosząc wzrok. – Ron. Mówili pani, że przyjadę?

– Witam – uścisnęła mu dłoń. – Nie ma wizażysty i fryzjera?

Spojrzał na nią ze zdziwieniem. Nie był pewien, czy nie żartowała.

– Żartowałam – powiedziała ze śmiechem, w duchu zawiedziona, że nie będzie makijażystki i fryzjera, bo wyobraziła sobie wcześniej, że jednak zjawi się u niej cała ekipa. – Proszę wejść.

Wszedł ciężkim krokiem, z dwiema skrzyniami, a potem wrócił po pozostałe. Był mniej więcej wzrostu

Jonathana i mógłby być podobnie zbudowany, pomyślała. Gdyby jej mąż nie walczył tak sumiennie z wystającym brzuchem.

– Cześć, Ron – powiedziała Rebecca, podchodząc do drzwi.

Wszyscy troje stali teraz w przedsionku, jeszcze mniejszym niż gabinet. Ron sprawiał wrażenie rozżalonego. Był zawiedziony, kiedy zobaczył dwa ciężkie krzesła, indiański dywan, stare egzemplarze „New Yorkera” i pleciony kosz na podłodze.

– Myślałam o gabinecie – powiedziała Rebecca.

– No to zobaczmy.

Gabinet najwyraźniej bardziej mu się spodobał. Przyniósł lampę, zakrzywiony biały ekran i jedną skrzynię. Zaczął z niej wyjmować aparaty. Grace stała zdenerwowana przy kanapie, obca we własnym gabinecie. Patrzyła, jak wynoszą jej krzesło do przedsionka. Ron odsunął biurko, żeby ustawić światło – gorące rozświetlone pudło na chromowanym statywie. Pod przeciwległą ścianą zamocował ekran.

– Na ogół mam asystenta – powiedział bez dalszych wyjaśnień.

Tanie zlecenie, pomyślała automatycznie Grace. Mało ważny wywiad.

– Ładne kwiaty. Będą dobrze wyglądały na tle ściany. Ustawię je w kadrze.

Grace kiwnęła głową. Ach, ta Sarabeth. Niesamowita.

– Chce pani... – przerwał i spojrzał na Rebeccę. Stała

z rękami skrzyżowanymi na wydatnym biuście.

– Trochę się odświeżyć? – dokończyła za niego.

Przeistoczyła się w fotoedytorkę.

– A, no tak.

Grace zostawiła ich i poszła do łazienki. Łazienka była mała – tak mała, że kiedyś pewna otyła klientka się tam rozpłakała – i niezbyt dobrze oświetlona. Pożałowała tego teraz, bo nawet gdyby wiedziała, jakimi magicznymi zabiegami zmienić swój prawdziwy wizerunek na taki, który w jej własnych oczach czytelniczki „Vogue’a” byłyby godny „Vogue’a”, wątpiła, żeby ta sztuczka mogła się udać w tak ciasnym i ciemnym pomieszczeniu. Z braku lepszego pomysłu umyła twarz mydłem do rąk i wytarła papierowym ręcznikiem. Nie dało to widocznego efektu. Patrzyła na swoją czystą, znajomą twarz z coraz większym przygnębieniem. Wyjęła z torebki korektor i maznęła dwie linie pod oczami, ale to też niewiele dało. Wyglądała jak zmęczona kobieta z korektorem pod oczami. Kim ona jest, żeby traktować „Vogue’a” tak niefrasobliwie?

Czy to na tyle ważne, że powinna się skonsultować z Sarabeth? Ostatnio zdała sobie sprawę, że nie lubi jej przeszkadzać w tym, co uważa za jej prawdziwą pracę –

w pracy z prawdziwymi pisarzami. Innymi słowy uważała, że byłoby nie na miejscu wtrącać się do wymiany zdań o literaturze z laureatem Nagrody Narodowego Stowarzyszenia Krytyków po to, żeby

spytać, czy ona, Grace, powinna wyskoczyć po cichu do drogerii i ubłagać ekspedientkę, żeby jej pomogła się odświeżyć. I co z włosami? Powinna je zostawić, jak są, ciasno, równo upięte, z ciężkimi wsuwkami (zostały zrobione z myślą o staromodnych wałkach i coraz rzadziej można je było dostać)? Czy może rozczesać, co nadałoby jej wygląd niechlujnej dziewczynki?

Fajnie by było, pomyślała z żalem, gdybym mogła wyglądać na dziewczynkę.

Oczywiście nie była dzieckiem, była kobietą w zaawansowanym wieku, samodzielną kobietą, w jakimś stopniu wyrafinowaną, obarczoną niezliczoną liczbą obowiązków i powiązań, kobietą, która już dawno zdecydowała, jak ma wyglądać, i świadomie się tego trzymała, i cieszyła się, że nie musi się wciąż określać na nowo ani wspinać się na kolejne szczeble piękna. Zdawała sobie sprawę, że większość ludzi odbiera ją jako chłodną i małomówną, ale nie przeszkadzało jej to, bo Grace nosząca dzinsy w chatce nad jeziorem i rozpuszczająca po powrocie do domu włosy nie była tą Grace, którą chciałyby pokazywać światu.

Była dostatecznie młoda, dostatecznie atrakcyjna i chyba dostatecznie kompetentna. Nie o to chodziło.

A sława... Już trochę cieplej. Gdyby mogła obsadzić aktorkę (wyższą i ładniejszą!) w roli autorki jej książki, czułaby silną pokusę. Aktorkę z ukrytą w uchu słuchawką, której czytałaby kolejne kwestie (w ogromnej większości przypadków potencjalny

małżonek bardzo szybko powie ci wszystko, co zechcesz wiedzieć...). Matt Lauer albo Ellen DeGeneres kiwaliby ze zrozumieniem głowami. Ale jestem dużą dziewczynką, pomyślała, nieuważnie ścierając wierzchem dłoni kurz z lustra. A potem wróciła do gości.

Rebecca siedziała na jej krześle i gapiła się na wyświetlacz telefonu. Stolik był lekko odsunięty od kanapy. Wazon z różami i książka znalazły się w kadrze, trochę z boku, bliżej aparatu. Nikt nie musiał jej mówić, gdzie ma usiąść.

– Pani mąż jest cudowny – powiedziała Rebecca.

– Owszem – odparła, niezadowolona z tak osobistej wycieczki. – Dziękuję.

– Jak on może to robić? – spytała Rebecca.

Ron patrzył już przez obiektyw aparatu.

– Co robić?

– Leczyć dzieci z nowotworami.

– Jest pediatrą onkologiem – powiedziała Grace wyważonym tonem. – W Memorialu.

W szpitalu Memorial Sloan-Kettering. Naprawdę miała nadzieję, że nie pociągną tego tematu.

– Nie dałabym rady w takiej pracy. Musi być święty.

– Jest dobrym lekarzem – odparła Grace. – To trudna dziedzina.

– Chryste – jęknął Ron. – Ja bym tego nie wytrzymał.

To dobrze, że nikt cię o to nie prosi, pomyślała Grace z irytacją.

– Zastanawiałam się, jak ułożyć włosy – powiedziała w nadziei, że uda jej się zmienić temat. – Co myślicie? – Dotknęła ciasno upiętych kosmyków nad karkiem. – Mogę je rozpuścić. Mam szczotkę.

– Nie, tak jest dobrze. Widać pani twarz. Prawda? – zapytał Ron. Ale nie ją – Rebeccę.

– Spróbujmy – potwierdziła.

– Dobra – rzucił Ron.

Wziął do ręki aparat, spojrzął w obiektyw i powiedział:

– Na razie tylko próbujemy, dobrze? Bez nerwów.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, rozległo się donośne metaliczne kliknięcie.

Grace momentalnie stężała.

– O, nie – zaśmiał się Ron. – Mówiłem, że nie będzie bolało. Jest pani wygodnie?

– Nie bardzo – powiedziała, próbując się uśmiechnąć.

– To mój pierwszy raz. Nigdy mi nie robiono zdjęcia do czasopisma.

Tak oto dopełniłam swojej publicznej infantylizacji, pomyślała, czując, jak uchodzą z niej resztki odwagi.

– No to zaczyna pani od najlepszego na rynku – odparł wesoło Ron. – Będzie pani wyglądała tak oszałamiająco, że będą panią brać za supermodelkę.

Grace roześmiała się nieszczerze i poprawiła na kanapie.

– Świetnie – powiedziała pogodnym tonem Rebecca. – Ale proszę skrzyżować nogi na odwrót, dobrze? Będzie

lepszy ką.

Grace wykonała polecenie.

– No to zaczynamy! – zawołał ochoczo Ron i wystrzelił kilka serii z migawki.

– Tylko zapytam... – powiedział, pochylając się i kucając, żeby uchwycić różne wariacje tego samego ujęcia. – Jaki tytuł ma pani powieść?

– Powieść? Nie, nie. Nie napisałam powieści. Nie umiałabym.

Zdała sobie sprawę, że pewnie nie powinna mówić. Jak będą wyglądały jej usta na zdjęciach?

– Nie wydaje pani książki? – zapytał, nie podnosząc głowy znad aparatu. – Myślałem, że jest pani pisarką.

– Nie. To znaczy tak. Napisałam książkę. Ale nie jestem pisarką. To znaczy... – Grace zmarszczyła brwi. – To książka o małżeństwie. Specjalizuję się w pracy z parami.

– Jest terapeutką – wyjaśniła Rebecca.

Ale czy nie jestem też pisarką? – pomyślała Grace, nagle mocno wzburzona. Czy to, że napisałam książkę, nie czyni ze mnie pisarki? Nagle przyszło jej do głowy coś jeszcze.

– Nie wynajęłam nikogo do napisania mojej książki – zarzekła się, jakby ją o to oskarżył. – Sama ją napisałam.

Ron przestał robić zdjęcia. Patrzył na cyfrowy wyświetlacz.

– Tak naprawdę – odezwał się, nie odrywając wzroku

od monitora – wolałbym panią trochę bardziej na lewo. Przepraszam, moje lewo. I czy mogłaby się pani trochę odchylić? Dobrze – powiedział z namysłem. – Myślę, że jednak się myliliśmy co do włosów.

– Okej – odparła Rebecca.

Grace sprawnym ruchem wyjęła trzy ciężkie wsuwki i uwolniła długi do ramion pukiel mocno odżywionych ciemnokasztanowych włosów. Chciała go rozluźnić, ale Ron ją powstrzymał.

– Nie, nie – powiedział. – Tak jest lepiej. Jak rzeźba. Pani tego nie widzi, ale ciemne włosy ładnie kontrastują z bluzką.

Nie poprawiła go, chociaż to oczywiście nie była bluzka, tylko miękki cienki sweter z kaszmiru, w kolorze pergaminu, jeden z pięciu, jakie miała w szafie. Nie miała jednak ochoty rozmawiać z nim o bluzkach, mimo że pracował dla „Vogue’a”.

Potem przestawili wazon. I jeszcze trochę przesunęli książkę.

– Świetnie – oznajmił Ron. – No to jedziemy.

Znów zaczął pstrykać. Rebecca przyglądała mu się bez słowa. Grace starała się pamiętać o oddychaniu.

Właściwie nigdy nie siadała na tej kanapie i dziwnie się na niej czuła. Zauważyła, że plakat Eliota Portera wisi nierówno, a na włączniku światła przy drzwiach jest brudna plama. Muszę ją zetrzeć, pomyślała. No i może czas już zmienić plakat. Czyż Eliot Porter już się wszystkim nie przejadł?

– Małżeństwo – powiedział nagle. – Temat rzeka. Mogłoby się wydawać, że już wszystko zostało powiedziane.

– Zawsze można powiedzieć coś jeszcze – zauważyła Rebecca. – W tej jednej kwestii lepiej się nie pomylić.

Ron ukląkł na jedno kolano i fotografował pod kątem. Grace nie mogła sobie przypomnieć, czy dzięki temu jej szyja będzie się wydawać krótsza, czy dłuższa.

– Chyba nigdy się nad tym za bardzo nie zastanawiałem. Dla mnie jest tak, że się kogoś poznaje i jeśli to jest właściwa osoba, to człowiek to po prostu wie. Ja ze swoją żoną wiedziałem. Wróciłem do domu i powiedziałem kumpłowi, z którym mieszkałem: poznałem tę jedyną. Miłość od pierwszego wejrzenia.

Grace zamknęła oczy, ale po chwili przypomniała sobie, gdzie jest, i otworzyła. Ron odłożył aparat i wziął do ręki drugi. Zaczął coś przy nim majstrować. Teraz chyba mogła mówić.

– Problemy pojawiają się, kiedy ludzie liczą na to, że będą to po prostu wiedzieć, i odrzucają tych, którzy nie wywołują u nich natychmiastowej reakcji. Ja uważam, że na każdego czeka wielu potencjalnych partnerów i że stykamy się z nimi codziennie, ale jesteśmy tak mocno przywiązani do koncepcji miłości od pierwszego wejrzenia, że nie zauważamy naprawdę wartościowych ludzi, którzy nie rzucają piorunami.

– Może pani spojrzeć w moją stronę? – powiedziała Rebecca.

Innymi słowy, czy może się pani przymknąć, pomyślała Grace. Popatrzyła na nią. Siedziała na jej krześle, przy jej biurku. Żeby ukryć przykre uczucie, uśmiechnęła się szeroko. To było jeszcze mniej przyjemne.

Ale było coś jeszcze. Kiedy tak siedziała, niewygodnie, pochylona i odwrócona, to coś zaczęło się przedzierać przez chwilowe roztargnienie – w końcu fotografowano ją do „Vogue’a” (którego ani jeden czytelnik, była tego pewna, nie pomyli jej z supermodelką) – i przez nienaturalność siedzenia na kanapie zamiast na krześle, żeby w końcu w pełnej krasie stanąć jej przed oczami. Tym czymś był niepodlegający dyskusji fakt, że tak jak Ron, jak tylu jej klientów, jak trudna do zliczenia część przyszłych czytelników jej książki również i ona, gdy pierwszy raz zobaczyła Jonathana Sachsa, absolutnie po prostu wiedziała, że za niego wyjdzie i będzie go do końca życia kochała. Tę prawdę skrzętnie ukryła przed agentką Sarabeth, redaktorką Maud i rzeczniczką J. Colton. Teraz trzymała ją w tajemnicy przed stojącą jedną nogą na ślubnym kobiercu dziennikarką Rebeccą i Ronem, który, podobnie jak ona, po prostu wiedział, że poznał swoją przyszłą żonę. Tamtej wczesnojesiennej nocy przeszła przez rzekę Charles z przyjaciółką Vitą i jej chłopakiem. Szli na imprezę halloweenową do jakiejś okropnej pieczary na Akademii Medycznej. Vita i jej chłopak weszli pierwsi. Ona chciała najpierw skorzystać

z toalety i zgubiła się w piwnicy. Krążyła jak mysz po podziemnych korytarzach, błądziła coraz bardziej, coraz bardziej zirytowana i wystraszona. I nagle, w jednej chwili, nie tylko nie była sama, ale też zdała sobie sprawę, że jest z nią człowiek, którego momentalnie rozpoznała, choć prawie na pewno widziała go pierwszy raz w życiu. Mizerny chłopak z niechlujną fryzurą i kilkudniowym nieeleganckim zarostem. Miał na sobie T-shirt uniwersytetu Johns Hopkins i niósł plastikową miskę z brudnymi ubraniami, na których chwiała się książka o rzece Klondike. Kiedy ją zobaczył, uśmiechnął się, i ten absolutnie porażający uśmiech rozświetlił mroczny korytarz i wbił ją w podłogę, i zmienił jej życie. Zanim wzięła kolejny oddech, ów wciąż nieznanym mężczyzna stał się człowiekiem, któremu ufała, którego ceniła i pożądała najbardziej w życiu. Po prostu wiedziała. Więc go wybrała i teraz, w wyniku tamtej decyzji, żyła tak, jak powinna, u boku właściwego męża, z właściwym dzieckiem, domem i pracą. Dla niej naprawdę tak to się potoczyło. Ale nie mogła tego powiedzieć. Szczególnie teraz.

– A możemy zrobić kilka zbliżeń? Nie ma pani nic przeciwko? – zapytał Ron.

Czy miała coś przeciwko? A czy w ogóle mogła się nie zgodzić?

– Okej – powiedziała Rebecca, potwierdzając, że to nie było pytanie do niej.

Grace się pochyliła. Wydawało jej się, że obiektyw jest teraz tak blisko, ledwie kilka centymetrów od jej twarzy. Zastanawiała się, czy patrząc przez szkło, zobaczy po drugiej stronie oko Rona. Zajrzała w głąb, ale była tam tylko szklista ciemna powierzchnia i głośne kliknięcia: nikogo tam nie znalazła. Potem zaczęła się zastanawiać, czy tak samo czułaby się, gdyby to Jonathan trzymał aparat, ale nie mogła sobie przypomnieć, żeby jej mąż kiedykolwiek robił zdjęcia, klik, a co dopiero zbliżenia jej twarzy. To ona pełniła rolę rodzinnego fotografa, choć bez tych wszystkich gadżetów, które zapełniały teraz jej gabinet, bez umiejętności Rona i zamiłowania do formy. To ona robiła zdjęcia na urodzinach, zdjęcia na obozach, klik, zdjęcie Henry'ego śpiącego w kostiumie Beethovena i, klik, zdjęcie Henry'ego grającego w szachy z dziadkiem, klik, jej ulubione zdjęcie z domku nad jeziorem, przedstawiające Jonathana chwilę po wyścigu motocyklowym z okazji Dnia Pamięci, to, na którym ktoś wylewa mu na głowę kubek wody, a na jego twarzy maluje się niezaprzeczalna duma i ledwo dostrzegalne pożądanie. A może to już później? – pomyślała, klik, zaczęła widzieć na tej fotografii pożądanie, bo wpatrując się kiedyś w kalendarz, zdała sobie sprawę, że Henry został poczęty zaledwie kilka godzin po tym, jak zrobiła to zdjęcie. Kiedy Jonathan coś zjadł i wziął długi gorący prysznic. Zaprowadził ją do jej własnego dziecięcego łóżka i, klik, bujał się nad nią, powtarzając

wciąż jej imię, a ona była taka szczęśliwa, klik, i nawet nie dlatego, że właśnie poczynali dziecko, którego tak pragnęła, ale dlatego, że w tamtej konkretnej chwili nawet sama taka możliwość nie miała dla niej znaczenia, bo liczył się tylko on, klik, i oni, i to, a teraz wspomnienie tamtego dnia dobijało się do jej świadomości. Oko wpatrzone w obiektyw, przez który patrzyło – musiało patrzeć – drugie oko.

– Super – powiedział Ron, opuszczając aparat.

Teraz znów widziała jego oczy: piwne i zupełnie pospolite. Prawie się roześmiała z zażenowania.

– Nie, naprawdę – zapewnił ją. Nie zrozumiał. – Na tym koniec.

ROZDZIAŁ DRUGI

Cóż lepszego od wychowywania dzieci?

Należąca do Sally Morrison-Golden kamienica przy Wschodniej Siedemdziesiątej Czwartej była zaniedbana – i było to zdecydowanie zamierzone. Dało się to zauważyć już z ulicy. Gości witały podokienne donice z nieokreśloną roślinnością, umierającą i martwą zarazem, i przywiązany do żelaznej kraty nad drzwiami zwisający czerwony balon. Dom stał przy zielonej bocznej ulicy, między dwiema eleganckimi kamienicami z piaskowca, pochodzącymi z tej samej epoki (najprawdopodobniej zaprojektowanymi przez tego samego architekta i zbudowanymi przez tego samego budowniczego). Ich dystyngowane i niewątpliwie kosztowne kwietniki i wypolerowane na błysk okna zdawały się znosić obskurną sąsiadkę z pewną dozą zbolalej wyrozumiałości. Tęga niemiecka opiekunka otworzyła Grace drzwi. Kłujący w oczy bałagan zaczął się tuż za drzwiami (nie można ich było całkiem otworzyć, bo stały za nimi pękate torby z zakupami) i ciągnął szlakiem dziecięcych szpargałów, porozrzucanych w holu aż do kuchni, i schodami na piętro (gdzie z pewnością prowadził do zagraconych

miejsc ukrytych dla oka). Wszystko to zostało zaplanowane, pomyślała Grace, kiedy opiekunka (Hilda? Helga?) uchyliła drzwi, żeby ją wpuścić. W mieście bogaczy Sally była prawdopodobnie najzamożniejszą osobą, jaką Grace знаła osobiście. Bez wątplenia zatrudniała cały sztab ludzi. Przynajmniej jedna osoba odpowiadała za utrzymywanie jeśli nie czystości, to choćby porządku, chociaż mieszkało tam czworo dzieci (i dwoje z pierwszego małżeństwa Simona Goldena – te przyjeżdżały w odwiedziny w każdy weekend, uzbrojone we własne przybory szkolne, sprzęt sportowy i elektronikę). Więc to nagromadzenie przedmiotów musiało Sally odpowiadać. Stosy nieużywanych butów, chwiejąca się sterta egzemplarzy „Observera” i „Timesa”, pękate torby z Children’s Place i Sam Flax blokujące wejście na schody. Grace patrzyła na to wszystko, mimowolnie licząc: pięć minut, żeby je zabrać i rozpakować, poskładać na płasko i odłożyć tam, gdzie się trzyma torby, które jeszcze mogą się przydać, dwie minuty, żeby schować paragony do pudełka, w którym są (albo powinny być) przechowywane, zerwać metki z nowych ubrań i zanieść je do prania, kolejne dwie na zanieśenie farb i bloków tam, gdzie dzieci rysują, i ostatnie dwie, żeby pozbierać z podłogi papiery i wynieść je na śmietnik. Nie więcej niż jedenaście minut. Czy to naprawdę takie trudne? Elegancka neoklasycystyczna kamienica wołała o uwolnienie. Ząbkowana sztukateria

i ściany z doskonałego gipsu prawie całkiem zasłaniały dziecięce malowidła i kolaże z makaronu, przyklejone w przypadkowym porządku, jakby korytarz był salą w przedszkolu. Nawet ketuba, pokolorowana i na wskroś hebrajska, jak semicka wersja Księgi z Kells, wisiała w ramce z patyków od lizaków, upstrzonej wystającymi tu i ówdzie kroplami zaschniętego kleju. (To akurat Grace nie zaskoczyło. Sally przeszła na judaizm na prośbę swojego ówczesnego narzeczonego, a po ślubie zdryfowała wraz z mężem w jego obojętność wobec wszystkiego, co żydowskie).

Kierując się odgłosami trwającego już spotkania, poszła na tyły domu. Z kuchni wychodziło się przez przybudówkę do niewielkiego ogrodu. Sally siedziała między nadskakującą jej Amandą Emery a Sylwią Steinmetz, samotną matką genialnej Daisy Steinmetz, adoptowanej z Chin po ukończeniu roku. Daisy przeskoczyła trzecią klasę. Teraz była najmłodszą uczennicą gimnazjum Reardena.

– Dzięki Bogu – zaśmiała się Sally i podniosła wzrok.
– Teraz wreszcie nam się uda do czegoś dojść.

– Aż tak się spóźniłam? – spytała Grace. Wiedziała, że przyszła na czas.

– Nie, nie, ale jakoś nie umiemy się uspokoić. Ale bez ciebie nie możemy się uspokoić.

Posadziła inaczej wierzące się na jej kolanach niemowlę, najmłodszą córkę Djunę, którą (jak ich poinformowała) nazwała na cześć nieżyjącej już

teściowej, Doris.

– Mam zaparzyć jeszcze kawy? – zapytała Hilda albo Helga. Weszła do kuchni za Grace. Stała boso, choć stóp nie miała zbyt czystych. Nos miała przekłuty ciemnym metalowym pierścieniem, który również świadczył o niechlujstwie.

– No... może tak. Wzięłabyś bobo? Szybciej nam pójdzie bez niej – powiedziała Sally, jakby musiała przeproszać.

Opiekunka bez słowa wyciągnęła ręce po wijącą się Djunę. Sally podała jej ją nad stołem. Mała, czując, że schodzi ze sceny, zaszlochała jak diwa.

– Pa, kochanie – powiedziała Sylvia. – Jezu, jaka słodziutka.

– No, mam nadzieję – odparła Sally. – Bo to moje ostatnie.

– Na pewno? – spytała Amanda. – My z Neilem wciąż żałujemy, że nie zostawiliśmy sobie otwartych drzwi.

Grace nie знаła Amandy zbyt dobrze i nie wiedziała, co to miało znaczyć. Wazektomia? Zamrożenie jajeczek? Miała dziesięcioletnie bliźniaczki i mimo niedawnego „odświeżania twarzy” spokojnie wyglądała na czterdzieści pięć lat.

– U nas to już koniec. Powiem wam szczerze, że Djuna była zaskoczeniem, ale stwierdziliśmy, że co tam. W sumie czemu nie?

Zaiste, czemu nie, pomyślała Grace, świadoma, jak pozostałe kobiety, co oznacza posiadanie czwórki

(a właściwie szóstki) dzieci w Nowym Jorku. Dwoje dzieci to tylko reprodukcja, sama w sobie kosztowna. Posłanie trzeciego do prywatnej szkoły, na letnie obozy, lekcje hokeja do Chelsea Piers i konsultacje uniwersyteckie nie obciąża specjalnie domowego budżetu. Ale czworo... Niewiele rodzin z Manhattanu ma czworo dzieci. To się wiąże z koniecznością zatrudnienia jeszcze jednej niani i zamieszkania w domu. W końcu nie można prosić dzieci, żeby dzieliły pokoje. Jak wtedy miałyby wyrażać swoją wyjątkowość?

– Poza tym – ciągnęła – cóż jest lepszego od wychowywania dzieci? Kiedyś robiłam poważną karierę, ale przysięgam, że od kiedy urodziła się Ella, nie tęskniłam za pracą nawet przez sekundę. Na spotkaniu mojego rocznika rok temu wszystkie kobiety, z którymi studiowałam, truły mi, że się poddałam, jakbym miała jakieś gigantyczne zobowiązania wobec Yale, jakby Yale miało mi dyktować, jak mam żyć. Tylko na nie patrzyłam i myślałam o tym, jak bardzo się mylą. Niech nikt ci nie wmówi, że to nie jest najważniejsza rzecz, jaką możesz robić – przekonywała Amandę, jakby o tym właśnie rozmawiały.

– No wiem, wiem – odparła zupełnie nieprzekonana Amanda. – Ale z bliźniaczkami było tyle roboty. Byłby cud, gdyby choć raz chciały robić coś razem. Jak jedna ma ochotę na Broadway dla Dzieci, to druga chce iść na gimnastykę. Celia nie chce nawet jeździć na ten sam obóz co siostra, więc żeby je odwiedzić, muszę wykroić

dwa weekendy.

Hilda albo Helga przyniosła kawę i postawiła ją na długim stole. Grace wyjęła z torby pudełko maślanych herbatników. Poszła po nie do Greenberga. Zostały przyjęte z umiarkowanym entuzjazmem.

– Moje uda cię nienawidzą – powiedziała Sally, biorąc dwa ciastka.

– Twoje uda nie mają prawa nikogo nienawidzić – odparła Amanda. – Widziałam je. Całe Upper East Side ci ich zazdrości.

– No cóż – powiedziała Sally, wyraźnie zadowolona. – W sumie to trenuję. Simon mówi, że jeśli przebiegnę półmaraton, zabierze mnie do Paryża.

– Moja matka kupowała te herbatniki do domu – powiedziała Sylvia, biorąc ciastko do ust. – Znacie te ich bułeczki cynamonowe? Miały taką niemiecką nazwę.

– Schnecken – powiedziała Grace. – Przepyszne.

– Zaczynamy? – zapytała Sally.

Nie dorastała w Nowym Jorku i wyraźnie irytowało ją to, że nie może dzielić wspomnień z koleżankami.

Przyszedł czas na wyjęcie notesów i długopisów. Wszystkie panie spojrzały wyczekująco na Sally: była nie tylko gospodynią, przewodziła również komitetowi.

– Okej. Zostały dwa dni i trochę nam... – Przerwała, wzruszając dziecinnie ramionami. – Chocia... dobra, nie ma się czym przejmować.

– Ja się trochę przejmuję – powiedziała Sylvia.

– Niepotrzebnie. Słuchajcie. – Sally odwróciła swój

notes, pokazując starannie spisana niebieskim tuszem listę. – Mamy gości, którzy chcą wydać pieniądze. To najważniejsze. Cała reszta to szczegóły. Dwieście osób potwierdziło, że przyjdą. Prawie dwieście. To już sukces.

Grace spojrzała na Sylwię. Z trzech kobiet ją znała najlepiej, a w każdym razie najdłużej. Nie były sobie szczególnie bliskie, ale wiedziała, że Sylvia gryzie się w język.

– Byłam wczoraj rano u Spenserów. Asystent Suki oprowadził mnie po domu.

– Suki nie było? – spytała Sylvia.

– Nie, ale omówiłam wszystko z obsługą.

Grace kiwnęła głową. Sama możliwość wejścia do domu Spenserów była nie lada gratką i z pewnością główną motywacją dla dwustu zaproszonych, z których każdy musiał za ten przywilej zapłacić trzysta dolarów. Suki Spenser, trzecia żona Jonasa Marshalla Spensera, matka przedszkolaków z Reardena, mieszkała w najbardziej znanym apartamencie w mieście (tak naprawdę były to trzy mieszkania połączone w jedno, dwupoziomowe, szerokie na całą kamienicę, przy Piątej Alei). Miesiąc wcześniej zadzwoniła ni stąd, ni zowąd – a właściwie zadzwonił jej asystent – żeby powiedzieć, że choć pani Spenser nie będzie mogła uczestniczyć w pracach komitetu, z chęcią weźmie na siebie rolę gospodyni. Obiecała, że obsługa poda dostarczone potrawy i zaserwuje wino. Spenserowie mieli własną

winnicę w Sonomie.

– Znasz ją? – zapytała Grace.

– Właściwie nie. Witałam się z nią na szkolnym korytarzu, to wszystko. I oczywiście napisałam maila z zaproszeniem do komitetu, ale nie spodziewałam się, że odpowie, a już z pewnością nie spodziewałam się tego.

Zgłoszenia musiały przejść zmusną kontrolę. Ale było warto.

– Boże, nie mogę się już doczekać – zaświergotała Amanda. – Widziałaś obrazy Pollocka?

Spenserowie mieli dwa, na ścianie w jadalni. Grace widziała je na zdjęciach w „Przeglądzie Architektonicznym”.

– Tak mi się wydaje – odparła Sally. – Sylvia, twój znajomy jest przygotowany? To wspaniale, że chce nam pomóc.

Sylvia kiwnęła głową. Znała w Sotheby’s kogoś, kto zgodził się poprowadzić aukcję.

– Powiedział, że to z wdzięczności, za to, że mu zaliczyłam trygonometrię w Horace Mann. Chociaż pamiętam, że ledwo ją zdał.

– A sama aukcja? – spytała Grace.

Wyobrażała sobie listę Sally i chciała popchnąć sprawę naprzód.

– No właśnie. Mam poprawioną wersję katalogu. Amanda, co ja z nią zrobiłam?

Amanda wskazała na broszurę z postrzępionymi

krawędziami. Leżała na stole, między innymi papierami.

– Dobra – powiedziała Sally. – To nie jest wersja ostateczna, jutro rano będziemy mogły jeszcze coś dodać, ale druk mam umówiony na popołudnie i... Sylvia?

– Odbieram w sobotę o pierwszej – odparła Sylvia zwięźle.

– Świetnie.

Sally włożyła okulary, otworzyła katalog i zaczęła czytać.

Kwiaty od L'Olivier and Wild Poppy. Pobyt w sześciu domach w Hamptons: jeden na Fire Island (ale w części rodzinnej, zapewniła je Sally), po dwa w Vail i Aspen i jeden w Carmel, w stanie Nowy Jork (o tej ostatniej ofercie powiedziała z mniej wylewną wdzięcznością). Konsultacje z topowym dekoratorem wnętrz (córka w dwunastej klasie), lekcja gotowania dla ośmiu osób w przesadnie popularnej restauracji w Tribeca (syn rzeźnika kucharza w siódmej), spędzenie całego dnia z burmistrzem Nowego Jorku (bliźnięta głównego analityka w kolejce do przedszkola) i coś, co się nazywało „lifting z komórek macierzystych”, wykonywane przez lekarza z Uniwersytetu Nowojorskiego. Brzmiało to tak odrażająco (a zarazem intrygująco dziwnie), że Grace obiecała sobie zapytać Jonathana, cóż to takiego.

– I jeszcze jedno. Chyba wysyłałam wam maila w tej sprawie – powiedziała Sally. – A może nie. W każdym

razie Nathan Friedberg ofiarował nam jedno miejsce na swoim obozie.

– Sally, to wspaniale! – zawołała Amanda.

– Jakim obozie? – spytała Grace.

Amanda spojrzała na nią zdziwiona.

– No wiesz, na jego obozie. Tym, który właśnie otwiera.

– Pisali o tym w „Avenue” – powiedziała Sally. – Już go otwiera?

– Będzie kosztował dwadzieścia pięć tysięcy za całe lato – dodała Sylvia.

– To sporo kursów na nartach wodnych – zauważyła Grace.

– Żadnych nart wodnych, wiązania węzłów ani śpiewów przy ognisku – powiedziała Sylvia, odpowiednio speszona. – Dzieci zwykłych śmiertelników mogą się nawet nie trudzić składaniem aplikacji.

– Ale... Przepraszam, nie rozumiem. Mówimy o obozie letnim? – spytała powoli Grace.

– Moim zdaniem to genialna koncepcja – powiedziała Amanda. – Bo prawda jest taka, że to są dzieciaki, które kiedyś będą rządzić światem. Muszą się nauczyć, jak działa biznes i jak być filantropem. Nathan dzwonił do mnie w tej sprawie. Pytał, czy bliźniaczki będą chciały się zapisać. Powiedziałam, że bardzo bym chciała, ale one by mnie zabiły, gdybym je wyciągnęła z ich obozów w Maine. Mają tam już swoje paczki.

Grace wciąż nie rozumiała.

– Gdzie dokładnie ma być ten obóz? I co się tam będzie działo?

– Wszyscy mieszkają u siebie. Co rano zgarnia ich autobus. Różni wybitni ludzie będą im robić pogadanki – wyjaśniła Sally. – Ludzie biznesu i sztuki. Będą się uczyć o planowaniu biznesu i inwestycjach, jeździć na wycieczki do centrum i za miasto. Wiem, że przynajmniej raz pojedą do Greenwich. A weekendy mają wolne i wtedy mogą robić to, co zwykle. Zapisalam Ellę. Bronwen chce spędzić całe lato na plaży. Ma tam konia. Ale w którymś momencie pomyślałam: a gdyby zaoferowali jedno miejsce? Dar o wartości dwudziestu pięciu tysięcy dolarów! Gdyby się udało zdobyć tyle dla szkoły, byłoby wspaniale.

– Brawo, Sally! – Amanda się uśmiechnęła. – Genialny pomysł.

– Owszem – wykrztusiła Grace, choć nadal była zdziwiona, a teraz nawet oburzona.

Wróciły do omawiania listy. Doradca uniwersytecki. Doradca przedszkolny. Genealozka, która przychodzi do klienta z laptopem i wyręcza go w żmudnym przeszukiwaniu internetu, i tworzy przepiękne drzewo genealogiczne, na końcu je maluje na wzór drzewa życia Shakerów. (Przez chwilę Grace rozważała kupienie jej usług – przecież coś będzie musiała kupić, a czy to by nie był dobry prezent dla Henry’ego? – ale powstrzymała ją myśl o okropnej rodzinie Jonathana.

Świadomość, że wśród przodków jej syna byli tak źli ludzie, złościła ją, po chwili zaczynała się czuć winna, a na końcu Henry'emu współczuć. Został mu tylko jeden dziadek, co samo w sobie było dostatecznie przykre. Ale to, że ci ludzi wciąż żyli, w dodatku kilka godzin drogi od ich domu, jakoś jeszcze pogarszało stan rzeczy, mimo że nie wykazywali najmniejszej chęci odwiedzenia wnuka). I wreszcie lekarze, dermatolodzy, chirurdzy plastyczni. I ktoś, kogo Amanda określiła mianem faceta od paluchów.

– Ma córkę w trzeciej klasie. Druga jest w grupie z Daphne – wyjaśniła Sylvii.

Sylvia zmarszczyła czoło.

– I jest facetem od paluchów?

– Słynie z tego, że potrafi skrócić drugi paluch tak, żeby nie był dłuższy od pierwszego. Więc poczekałam, aż spotkam jego żonę po lekcjach, i zapytałam, czy zaoferuje jeden zabieg.

Tylko jeden? – pomyślała Grace. A co z drugą stopą?

– Każdego mogę poprosić. Czemu nie? Co odpowiedzą poza tak albo nie? A prawie nigdy nie odmawiają. W końcu to szkoła ich dzieci. Powinni się cieszyć, że pomagają. I co to za różnica: lekarz czy hydraulik, prawda?

– No tak, ale... – Grace nie mogła się powstrzymać. – Mówisz o zachciankach. Większość lekarzy nie zajmuje się... – Prawie powiedziała: ludzką próżnością. Ugryzła się w język. – ...sprawami, z którymi ludzie z własnej

woli chcą do nich iść.

Amanda zagłębiła się w fotelu i spojrzała na nią. Nie wyglądała na zdenerwowaną, tylko skonsternowaną.

– Nieprawda – odparła. – Wiadomo, że wszyscy dbają o swoje zdrowie. Nawet jeśli mowa o... nie wiem... lekarzu od brzucha albo kardiologu, to chodzi o twoje własne zdrowie i zawsze starasz się znaleźć najlepszego specjalistę. Czy to lekarza, czy doradcę finansowego. Ile żon kupiłoby swoim mężom konsultację u słynnego kardiologa?

– Mąż Grace jest lekarzem – zauważyła Sylvia.

Powiedziała to rzeczowym tonem i Grace od razu wiedziała, dlaczego to zrobiła. Teraz obydwie zauważyły nieunikniony efekt.

– No tak, zapomniałam – powiedziała Amanda. – Przypomnij mi: czym się zajmuje?

– Jonathan jest onkologiem dziecięcym.

Amanda na chwilę zmarszczyła brwi, a potem westchnęła. Doszła do słusznego wniosku, że nikt nie będzie chciał licytować usług pediatry onkologa, choćby był nie wiadomo jak sławny.

Sally kręciła głową.

– Ciągle o tym zapominam. Kiedy go widzę, zawsze jest taki pogodny. Jak on to robi?

– Co? – spytała Grace.

– Pracuje z tymi dziećmi i ich rodzicami. Nigdy bym tak nie umiała.

– Ja też nie – powiedziała Amanda. – Ledwo daję

radę, jak któreś z moich boli głowa.

– Z własnym dzieckiem jest inaczej – powiedziała Grace.

Dobrze ją rozumiała, bo sama nie radziła sobie z chorobami Henry’ego, choć nie chorował często. Jej syn był bardzo zdrowym dzieckiem.

– Kiedy obcujesz z pacjentem i wnosisz swoją wiedzę, wygląda to zupełnie inaczej. Jesteś po to, żeby pomóc. Próbujesz komuś ulżyć w cierpieniu.

– No tak – zgodziła się Amanda. – Tylko potem ten pacjent umiera.

– Ale próbowałaś pomóc – upierała się Grace. – Lekarze robią, co mogą, a ludzie i tak chorują i umierają, a niektórzy z nich są dziećmi. To się nigdy nie zmienia. Wolałabym mieć dziecko z nowotworem dzisiaj niż dwadzieścia lat temu. I lepiej chorować na raka w Nowym Jorku niż gdziekolwiek indziej.

Amanda, wyraźnie odporna na jej argumenty, tylko pokręciła głową.

– Ja bym sobie z tym nie poradziła. Nienawidzę szpitali. Nienawidzę ich zapachu.

Wzdrygnęła się, jakby właśnie tam, w kosztownym bałaganie domu Sally Morrison-Golden, poczuła smród szpitalnych środków czystości.

– Chciałabym, żebyśmy mieli więcej artystów i pisarzy – powiedziała Sylvia. Jak tylko poruszyła ten delikatny temat, zapragnęła go zmienić. – Lunch ze śpiewaczką operową albo wizyta w pracowni malarza.

Dlaczego nie mamy więcej artystów?

Bo oni nie posyłają swoich dzieci do Reardena, pomyślała Grace z irytacją. W topografii prywatnych nowojorskich szkół Rearden stał na przełęczy między Pasmem Wall Street a Wierchami Prawa Korporacyjnego. Inne szkoły – Fieldston, Dalton i Saint Ann’s – kształciły dzieci twórców, ludzi teatru i pisarzy. Kiedy ona chodziła do Reardena, podział nie był tak wyraźny. Jedna z jej koleżanek była córką poety wykładającego w Columbii. Znała też niemuzykalnego syna dwojga pracowników nowojorskiej filharmonii. Ale rówieśnicy Henry’ego dorastali w domach menedżerów prywatnych majątków i wojowników rynku funduszy hedgingowych. Nie było to szczególnie przyjemne, ale nic nie mogła na to poradzić.

– Dobrze to wygląda – powiedziała Sally. – Czterdzieści pozycji, każdy coś dla siebie znajdzie. Chyba że coś przeoczyłam. Ciągłe mamy czas na nowe zgłoszenia, jeśli ktoś coś ma.

– Ja pomyślałam... – zaczęła Grace, zaniepokojona własną nieśmiałością. – To znaczy... jeśli będziecie chciały. Mam tę swoją książkę. Na razie tylko egzemplarze redaktorskie, ale mogłabym obiecać jedną. Już prawdziwą, z autografem.

Spojrzały na nią wszystkie trzy.

– A, no tak – powiedziała Amanda. – Zapomniałam, że napisałaś książkę. Jaki gatunek? Kryminał? Zawsze szukam dobrych książek na wakacje.

Grace czuła, że marszczy brwi. Prawie parsknęła śmiechem.

– Nie, nie. To nie taki rodzaj literatury. Jestem terapeutką, jak wiesz. Napisałam książkę o małżeństwie. To mój debiut – odparła. Z dezaprobatą zauważyła nutę dumy w swoim głosie. – *Nie chciałaś wiedzieć.*

– Czego nie chciałam wiedzieć?

– Chodzi o to, że zawsze lepiej znamy swoich partnerów na początku znajomości.

Na bardzo długą chwilę zapadła cisza. Grace mogła jeszcze raz ocenić tytuł, główną tezę i właściwie wszystkie poglądy, jakie wygłosiła w książce. Przynajmniej te zawodowe.

– Może wystawiłybyśmy na licytację sesję terapeutyczną? – zaproponowała ochotczo Sally. – No wiecie: autorytet od małżeństwa zaprosi was na jedną sesję terapii par.

Zszokowana Grace ledwie zdołała pokręcić głową.

– To chyba byłoby nie na miejscu.

– Tak, ale ludzie mogliby się zainteresować.

– Przykro mi, nie.

Amanda pozwoliła sobie na ledwo zauważalny grymas dezaprobaty. Po chwili wszystkie cztery usłyszały dzwonek. Zabrział nisko i leniwie. Grace poczuła z ulgą, że z pokoju uchodzi napięcie.

– Hilda? – zawołała Sally. – Otworzysz?

W kuchni dał się słyszeć ruch.

– Ktoś jeszcze miał przyjść? – spytała Amanda.

– Chyba nie – odparła Sally. – Nie sędzę.
– Nie sądzisz? – Sylvia się zaśmiała.
– Ktoś mówił, że może wpadnie, ale nie potwierdził,
więc myślałam...

Usłyszały głosy, stłumione, trudne do rozpoznania.
A potem coś jeszcze: pisk, jak z urządzenia na
sprężynach. Wreszcie zjawiała się Hilda.

– Zostawi wózek w przedpokoju, dobrze? – zapytała
panią domu.

– Aha... – Sally była oszołomiona. – Dobrze. –
Pokręciła głową. – Okej.

Kiedy po chwili podniosła głowę, uśmiechała się
szeroko.

– Witaj! – zawołała, wstając.

Zza pleców Hildy wyjrzała kobieta średniego
wzrostu, z ciemnymi kręconymi włosami do ramion,
o skórze w kolorze karmelu. Miała bardzo ciemne oczy,
a nad nimi gęste brwi. Ich łuki nadawały jej twarzy
uwodzicielski wyraz. Nosiła jasnobrązową spódnicę
i białą koszulę, rozpiętą na tyle, żeby odsłonić dwie
rzeczy: złoty krucyfik i wydatny biust. Wydawała się
trochę wystraszona: dużym, ale zabałaganionym
domem, zdziwionymi kobietami i oznakami, że
spotkanie trwa już jakiś czas, o ile nie dobiega końca. Na
stole leżały kartki z notatkami i wydruki. Ukradkiem
kiwnęła wszystkim głową. Nadal stała onieśmielona
w drzwiach.

– Usiądź, proszę. – Sally wskazała na krzesło obok

Grace. – Przedstawiam wam panią Alves. Mamę Miguela Alvesa z czwartej klasy. Przepraszam, musisz mi pomóc z wymową twojego imienia.

– Malaga – odparła kobieta lekkim, niemal śpiewnym tonem. – Malaga – powtórzyła wolniej, z wyraźnym akcentem na pierwszą sylabę.

– Malaga – powiedziała Grace, wyciągając rękę. – Witaj. Jestem Grace.

Sylvia i Amanda poszły za jej przykładem.

– Cześć, cześć – powiedziała Malaga. – Przepraszam, że spóźniłam. Dziecko miało awantura.

– Nic nie szkodzi – zapewniła ją Sally. – Ale dużo już omówiliśmy. Proszę – powtórzyła. – Usiądź.

Malaga usiadła obok Grace. Odsunęła krzesło od ciężkiego drewnianego stołu i założyła nogę na nogę. Grace mimowolnie zwróciła uwagę na jej nogi: nie były szczupłe, ale miały sporo wdzięku. Malaga pochyliła się lekko, niemal dotknęła stołu. Odsłoniła jeszcze więcej ciała. Było je widać przez jedwab koszuli, ale wciąż wyglądało atrakcyjnie. Wspomniała coś o dziecku, pomyślała Grace. Wygląda jak ktoś, kto mógł niedawno urodzić. Nadal wypukła, nadal urodzajna. Dłonie złożone na blacie. Na czwartym palcu lewej cienka złota obrączka.

– Rozmawialiśmy o tym, co mamy na licytację – powiedziała Sally, według Grace przesadnie cedząc słowa. – O tym, co będzie można kupić na aukcji, żeby dać fundusze na szkołę. Na stypendia – dodała, patrząc

w notatki. – Ogólnie rzecz biorąc, prosimy rodziców, żeby zgłaszali swoje pomysły, jeśli mają do zaoferowania coś związanego z własną pracą. Na przykład artystów albo lekarzy. Jeśli przyjdzie ci coś do głowy, daj znać.

Malaga kiwnęła głową. Była poważna i skupiona, jakby niedawno usłyszała bardzo złą wiadomość.

– No to idźmy dalej – powiedziała Sally.

Nowo przybyła zadziałała jak pistolet startowy. Nagle przyspieszyły. Błyskawicznie omówiły swoje plany na następnych kilka dni, ustaliły, kto będzie pełnił wartę przy stoliku w lobby (niezbyt atrakcyjna rola), kto będzie witał gości w marmurowym foyer na piętrze, i ustaliły, czy Sylvia będzie dysponowała odpowiednim oprogramowaniem, żeby pod koniec wieczoru wszystkich podliczyć. Za kameralną imprezę na otwarcie (drinki z dyrektorem szkoły) nie odpowiadały, ale i tak musiały ją zorganizować. Na koniec miało się odbyć przyjęcie w Boom Boom Room w hotelu Standard. W pewnym sensie organizowała je Amanda – gośćmi byli głównie jej znajomi. Poradziły sobie z tym w okamgnieniu.

Malaga się nie odzywała. Nawet wyraz jej twarzy się nie zmieniał, choć ruszała głową, kiedy patrzyła na pozostałą czwórkę. Ale w pewnej chwili – właśnie poruszyły delikatny temat: jak masowo opuścić bankiet, żeby zdążyć na końcową imprezę i nie dać innym odczuć, że nie zostali zaproszeni (choćż rzeczywiście

nie zostali: ostateczna lista gości została już zgłoszona szefostwu hotelu) – wymianę zdań przerwał ostry płacz dławiącego się dziecka i milcząca Malaga zerwała się na równe nogi. Chwilę później wróciła z maleńkim śniadym niemowlęciem zawiniętym w pasiastą zieloną chustę. Kiwając głową w odpowiedzi na zbiorowy zachwyty, Malaga usiadła, wytrząsnęła rękę z długiego rękawa jedwabnej koszuli i gwałtownym ruchem ściągnęła biały stanik, odsłaniając nagi bok. Zrobiła to tak szybko, że Grace nawet nie zdążyła poczuć zakłopotania. Spojrzała ukradkiem nad stołem i zobaczyła, że Amanda jest wyraźnie zgorszona. Otworzyła szeroko oczy i lekko pokręciła głową. Zrobiła to tak subtelnie, że mogła to dostrzec tylko ona sama i ktoś, kto akurat w tej nanosekundzie postanowiłby na nią spojrzeć.

Nie chodziło, rzecz jasna, o samo karmienie piersią. Grace zakładała, że wszystkie (z wyjątkiem Sylvii) kiedyś to robiły, równie bez troski, kierując się zasadami, dumą, wygodą i dbałością o zdrowie swoich maluchów. Problemem była raczej nonszalancja, z jaką Malaga pokazywała swoje nagie ciało: pierś leżącą na buzi niemowlęcia, dorodny brzuch i górną część ramienia, podtrzymującą główkę dziecka. Nie miała na sobie specjalnego stroju, jak ten, który ona nosiła, z dyskretnym otworem na sutek i pomysłową osłoną chroniącą przed lubieżnym wzrokiem nastolatków nieodróżniających seksu od macierzyństwa. Nakarmiła

córeczkę i spojrzała na nie. Wyraźnie czekała, aż znów zaczną mówić. Wszystkie cztery uznały to za wskazówkę i jak spontanicznie zawiązana trupa teatralna zaczęły udawać, że jej nie widzą. Bobas głośno ssał i cicho postękiwał, jakby był niezadowolony. Po kilku minutach, kiedy Grace poczuła, że nie jest już tak bardzo oburzona, Malaga wyciągnęła niemowlęciu z buzi sutek – opadł mokro na jego policzek – i zamiast go zasłonić, wyjęła drugą pierś i na nowo umościła dziecko na rękach.

Zniecierpliwienie było prawie namacalne. Wygłaszały szybkie, pozbawione ozdobników zdania, z zapalem zmierzały do ostatnich punktów programu. Absolutnie żadna nie patrzyła na Malagę. Z wyjątkiem – Grace to zauważyła – Hildy, która stała w drzwiach i gapiała się na półnagą matkę. Za to Malaga wydawała się niewzruszona. Siedziała z jedwabną koszulą zsuniętą na plecy – wyglądała jak peleryna – i stanikiem wsuniętym pod zwisające swobodnie piersi. Grace zdała sobie sprawę, że gdyby była choć odrobinę złośliwa, można by pomyśleć, że je prowokuje. Ale chyba jednak tak nie było. Nowojorczanka Malaga Alves mogłaby sądzić, że absolutnie nic jej nie łączy z nowojorczką Sally Morrison-Golden, a jednak nie było po niej widać nawet cienia wrogości. Wręcz przeciwnie: jakby w ogóle nie reagowała, jakby się wycofała w jakąś ujemną energię. Zachowywała się jak ktoś, kto nie sądzi, że inni go zauważają, a co dopiero, że mógłby kogoś

sprovokować. Obserwując ją ukradkiem, Grace przypomniała sobie nagle kogoś, kogo widziała w szatni w klubie fitness przy Trzeciej Alei. Przebierała się po aerobiku i nagle zauważyła kobietę stojącą przed lustrem, przy wejściu pod prysznic, całkiem naga, bez ręcznika na biodrach i biuście. Miała na oko trzydzieści, czterdzieści lat, żyła więc w tym nieokreślonym wymiarze, w którym wygląd człowieka zależy dużo bardziej od tego, jak o siebie dba, niż od tego, ile lat ma na karku, i w którym zaciera się granica między byciem krągłą a szczupłą. Pochłonięta rytuałem wyłuskiwania się z przepoconego trykotu, brania prysznic, suszenia włosów i otwierania szafki, widziała, że tamta wciąż stoi w tym samym miejscu i w tej samej pozycji, czesząc się przed lustrem. Jej postawa i zachowanie były czymś więcej niż tylko sumą wszystkich szczegółów. Było to oczywiste również dla pozostałych kilkunastu kobiet, które były wtedy w szatni. Wszystkie wyraźnie ją omijały, obchodziły ją z daleka i odwracały wzrok. Nagość w takim miejscu nie mogła dziwić, czesanie się przed lustrem również. Ale w postawie tamtej kobiety było coś głęboko niestosownego, gdy tak stała niemal nieruchomo, zbyt blisko lustra, i gapiła się przesadnie uważnie na własne ciało, w trochę za dużym rozkroku, z lewą ręką zwieszoną wzdłuż boku. Prawą ostrożnie rytmicznie przeciągała grzebieniem przez mokre kasztanowe włosy. Wyraz twarzy miała dokładnie taki jak Malaga, pomyślała Grace. Co chwilę sprawdzała,

czy naprawdę tak jest. Rzucała na nią okiem, a potem natychmiast spoglądała na Sally, żeby nie było widać, że jest zażenowana. Członkinie komitetu organizacyjnego pędziły po ostatniej prostej, dopinały detale i usuwały wszelkie przeszkody, jakie mogłyby uniemożliwić szybkie zakończenie spotkania. Sally, najwyraźniej przypominając sobie najlepszy okres w swojej poważnej karierze, prowadziła je jak bezlitosny szef, całkiem obojętny na prywatne życie podwładnych. Rozdzieliła zadania. Umówiły się na następne spotkanie w sobotę u Spenserów. (– Malaga, czy tobie to odpowiada? – zapytała. – Tak? Świetnie). Niemowlę bez przerwy ssało. Grace nie mogła się nadziwić, że taka mała istota może być aż tak głodna. W końcu, bez żadnego ostrzeżenia czy komentarza, odwróciło główkę od piersi i rozejrzało się głodnym wzrokiem po pokoju.

– Sądzę – oznajmiła stanowczo Sally – że to już wszystko. Nie mam nic do dodania. Sylvia? Chcesz jeszcze coś powiedzieć?

– Nie – odparła Sylvia, głośno zamykając skórzaną teczkę.

Amanda już wstawała, zbierała leżące przed nią papiery. Nie zamierzała tracić czasu. Malaga trzymała teraz niemowlę mniej lub bardziej pionowo i nadal nic nie wskazywało na to, żeby zamierzała zasłonić nagie ciało.

– Miło było cię poznać. Twój syn chyba chodzi do klasy z moją córką Piper. Uczy ich panna Levin?

Czwarta klasa.

Malaga przytaknęła.

– W tym roku nie miałam jeszcze okazji poznać nowych rodziców – powiedziała Amanda, wciskając papiery do jasnozielonego birkina. – My, mamy dzieci z tej klasy, powinniśmy się spotkać.

– Jak sobie radzi Miguel? – zapytała Sally. – To taki uroczy chłopiec.

Malaga trochę się ożywiła. Poklepała niemowlę po plecach i uśmiechnęła się blado.

– Tak. Uczy dobrze. Nauczycielka mu pomaga.

– Piper mówiła, że bawiła się z nim na dachu – powiedziała Amanda.

Na dach dzieci z podstawówki chodziły na przerwę. Był pokryty bezpieczną gumową wykładziną. Zainstalowano na nim kolorowe sprzęty z placu zabaw, łącznie z siatką mającą chronić dzieci przed odfrunięciem.

– Dobrze – powiedziała Malaga.

Mała głośno beknęła i Grace nagle zapragnęła wyjść.

– Do zobaczenia wszystkim – powiedziała wesoło. – Sally, jeśli przyjdzie ci do głowy coś jeszcze, dzwoń. Ale widzę, że wszystko mamy pod kontrolą. Nie mogę uwierzyć, że udało ci się to wszystko załatwić w tak krótkim czasie.

– Z pomocą Suki Spenser – zaśmiała się Sally. – Nie potrzeba armii asystentów, jeśli ma się pod ręką multimilionerów z salą balową i winnicą.

– Ach, więc to tego mi brakuje – powiedziała Grace z wystudiowaną życzliwością. – Do widzenia, Malaga – dodała. Malaga wreszcie zaczęła chować swoje ciężkie piersi w staniku.

Grace złapała ciężką aktówkę za pasek i przewiesiła przez ramię.

– Wracasz do pracy? – spytała Sylvia.

– Nie. Zabieram Henry’ego na lekcję skrzypiec.

– A, no tak. Ciągłe metodą Suzukiego?

– Niezupełnie. Gdzieś po ósmym, dziewiątym tomie od tego odchodzą.

– I nadal go wozisz na lekcje – powiedziała Sally z lekką dezaprobatą. – Boże, gdybym wszędzie wozila swoje dzieci, na nic nie miałabym czasu. Dwoje chodzi na gimnastykę, do tego fortepian, balet i szermierka. No i mam jeszcze Djunę. Ona chodzi tylko na muzykę dla maluchów, ale wiesz, czwarta runda zajęć – już tego nie wytrzymałam, więc Hilda ją wozi. Wszystkie mamy się podniecały, że ich pociechy zjechały po zjeżdżalni, a ja chciałam im powiedzieć, że tak działa grawitacja. Tyle razy prawie straciłam panowanie nad sobą, że musiałam to zlecić Hildzie. Czułam się, jakbym dziesięć lat wymachiwała marakasem.

– Jestem pewna, że gdybym miała więcej dzieci, też bym już dawno przestała – zapewniła ją Grace. – Z jednym nie jest tak ciężko.

– Myślałam o posłaniu Celi na skrzypce – powiedziała Amanda.

Celia była bliźniaczką Daphne, tęgą dziewczynką, przynajmniej o głowę wyższą od siostry. Miała wadę zgryzu, na którą już teraz zdaniem Grace należało zbierać fundusze.

– Gdzie ma nauczyciela? – spytała Amanda.

Grace chciała odpowiedzieć, że nie ma znaczenia, gdzie mieszka nauczyciel Henry’ego, bo nauczyciel Henry’ego i tak nigdy by nie przyjął jedenastoletniej debutantki, bez względu na to, kim byliby jej rodzice i ile mieliby pieniędzy. Nauczyciel Henry’ego, ponadsiedemdziesięcioletni zgryźliwy Węgier ze skłonnością do depresji, został nauczycielem Henry’ego dopiero po potwornie wyczerpującym przesłuchaniu i dogłębnej analizie stopnia jego umuzykalnienia. I choć dla wszystkich było jasne, że Henry będzie studiował na uniwersytecie, a nie w konserwatorium (co pasowało zarówno Grace i Jonathanowi, jak i jemu), jego talent okazał się wystarczająco duży, żeby zmieścił się w bardzo małym i starannie pielęgnowanym gronie wychowanków starego Węgra. Mogła odpowiedzieć, że Witalij Rosenbaum uczy w Julliard (co jeszcze do niedawna było prawdą) albo w Columbii (co też w pewnym sensie było prawdą, bo kilku jego uczniów, którzy porzucili konserwatorium, uczęszczało tam na studia dyplomowe i podyplomowe, i wszyscy wciąż przychodzili do jego mieszkania przy Morningside Heights po instrukcje), ale wystarczyło powiedzieć trzecią prawdę, żeby cała rozmowa momentalnie poszła

w niepamięć. I właśnie tę trzecią wybrała:

– Przy Zachodniej Sto Czternastej – powiedziała.

– Aha – odparła Amanda. – No trudno.

– Uwielbiam Henry’ego – powiedziała Sally. – Ilekroć go widzę, jest taki uprzejmy. No i, mój Boże, taki ładny. Dałabym się pokroić za jego rzęsy. Widziałas jego rzęsy? – zapytała Sylwię.

– Chyba nie. – Sylvia się uśmiechnęła.

– To takie niesprawiedliwe, że chłopcy mają najpiękniejsze rzęsy. Ja na swoje wydaję fortunę, a Henry Sachs idzie sobie szkolnym korytarzem i jak mrugnie, to niemal czujesz powiew.

– No cóż... – odparła Grace.

Była prawie pewna, że to miał być komplement, że chciała sprawić przyjemność Henry’emu albo jej, ale uwagi o urodzie jej syna wydały jej się niesmaczne.

– Może faktycznie są długie – wycedziła wreszcie. – Dawno o tym nie myślałam. Jak był mały, pamiętam, że to zauważałam.

– Ona też ma długie – powiedziała nagle Malaga Alves.

Wskazała na swoje dziecko. Spało i rzeczywiście miało długie rzęsy.

– Jest piękna – przyznała Grace, wdzięczna, że odwróciła uwagę od jej syna.

Nietrudno było chwalić urodę niemowlęcia.

– Jak ma na imię?

– Ma imię Elena – odparła Malaga. – Imię moja

matka.

– Piękne – powiedziała Grace. – Ojej, muszę już iść. Mój syn o długich rzęsach się denerwuje, kiedy przeze mnie spóźnia się na lekcje. Do zobaczenia wszystkim – rzuciła, odwracając się w stronę drzwi. – Widzimy się w szkole albo w niedzielę. Będzie wspaniale.

Z torbą przerzuconą przez ramię ruszyła do kuchni.

– Poczekaj sekundę, przejdę się z tobą – powiedziała Sylvia.

Grace, mimo że lubiła ją bardziej niż tamte, niechętnie zatrzymała się w holu. Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, stały chwilę na schodach i patrzyły na siebie.

– Jezu – westchnęła Sylvia.

Grace nic nie powiedziała. Dopóki nie wiedziała, dlaczego jej przyjaciółce tak ulżyło, nie zamierzała się odzywać.

– Idziesz do szkoły? – zapytała.

– Tak. Mam kolejne spotkanie z Robertem. Jedno z wielu, bardzo wielu spotkań z Robertem. Aż dziw, że o nas nie plotkują.

Grace się uśmiechnęła. Robert był dyrektorem Reardena. Jego małżeństwo z wieloletnim partnerem, dyrektorem artystycznym ważnej off-broadwayowskiej grupy teatralnej, było jednym z pierwszych gejowskich małżeństw wymienionych w ślubnej kolumnie w „New York Timesie”.

– Spotkanie w sprawie Daisy?

– Tak, zawsze w sprawie Daisy. Ma iść dalej czy powtarzamy rok? Lepiej, żeby uczyła się trygonometrii w dziesiątej klasie czy higieny w piątej? Może pominąć wstęp do biologii i iść od razu na zaawansowaną chemię czy ważniejsze, żeby uczyła się nauk społecznych ze swoimi rówieśnikami z siódmej? To wyczerpujące. Wiem, że nie powinnam narzekać. Rozumiem, powinnam ją wspierać w nauce, ale jednocześnie wolałabym, żeby była siódmoklasistką. Nie chcę, żeby pędziła przez dzieciństwo. Ma tylko jedno, jak my wszyscy – powiedziała Sylvia.

Szły razem na wschód, Lexington Avenue, a potem skręciły w stronę wyższych numerów.

To wyznanie, wygłoszone tak nonszalancko, niespodziewanie Grace ukłuło. Henry, podobnie jak Daisy, był jedynakiem. Ona też często myślała o odległym brzegu jego dzieciństwa. Nadal widziała w nim dzieciaka (dostrzegła w nim nawet malucha), ale wszystko toczyło się zbyt szybko i dobrze to wiedziała. Nie miała więcej dzieci, więc bała się jeszcze bardziej nieuchronnych zmian. Kiedy Henry opuści jej matczyne ramiona, znów będzie naprawdę bezdzietna.

Oczywiście nie planowali, że będą mieć tylko jedno dziecko, i teraz widziała, że kiedy Henry był mały, marnowała cenny czas, zamartwiając się i zastanawiając, kiedy i czy w ogóle urodzi następne (Jonathan, który za dużo się w życiu naoglądał raka, żeby jej pozwolić na długotrwałe leczenie bezpłodności, powiedział dość po

sześciu rundach clomidu, które niewiele dały). Z czasem przyzwyczała się do henrycentrycznego modelu rodziny, ale jak każdy model w Nowym Jorku, również i ten miał minusy. Rodziny z dwojgiem dzieci po prostu zapewniały ciągłość gatunku, te z trojgiem wydawały się już roszczeniowe. Za to arogancja rodziców jedynaków miała swoisty odwrócony charakter. Zdawali się sugerować, że ich pojedyncze, doskonałe dziecko zasługuje na całą ich uwagę, wysiłek i opiekę. Pojedyncze dziecko, samo w sobie niesamowite, oznaczało, że nie trzeba się dalej rozmnażać. Przecież dawało światu więcej niż dowolna liczba mniej wartościowych maluchów. Ci rodzice mieli irytującą manierę mówienia o swoim potomstwie jak o ofierze, jakby wyświadczali ludzkości wielką przysługę. Od dawna była świadoma tego fenomenu. Razem z najbliższą przyjaciółką, przyjaciółką z dzieciństwa, Vitą, napisały kiedyś piosenkę o takich rodzicach, na melodię z musicalu *Bye Bye Birdie*:

*Jeden maluch, wyjątkowy,
Do wiecznej opieki
Jeden, nie dwa, nie trzy...
Jeden maluch, doskonały,
Kochać będzie zawsze
Jeden maluch, tak powinno być...*

Oczywiście sama była jedynaczką. Jej rodzice nie

pomogli jej nabrać poczucia własnej wartości i często czuła się samotna. A raczej – poprawiła się – nie samotna, tylko sama. Sama w domu, sama w letnim domku nad jeziorem. Sama przy mamie. Sama przy tacie. Siła i chaos relacji między rodzeństwem zawsze ją fascynowały. Czasami w mieszkaniu Vity przy Wschodniej Dziewięćdziesiątej Szóstej stawała w korytarzu i pozwalała, żeby przepływały przez nią odgłosy z ulicy i kłótnie (częściej kłótnie) jej trzech braci. To w jej przekonaniu stanowiło esencję rodziny i było całkowitym przeciwieństwem jej własnego domowego życia. Pragnęła tego dla swojego syna i nie była w stanie mu tego dać.

Vita odeszła z jej życia. Oczywiście nie umarła. Ale jej nie było. Trzymała się blisko niej – była jej powierniczką, towarzyszką i współlokatorką w podupadającym (wręcz pochyłym) domu w Central Square, kiedy obie studiowały, Grace na Harvardzie, ona w Tufts, i wreszcie druhną – aż do jej ślubu. Potem zwyczajnie... zniknęła, wyparowała z jej życia, zostawiając ją z niedoskonałymi kopiami przyjaciół. A ich też było niewiele. Po tych wszystkich latach Grace nadal była zbyt obolała, żeby się na nią złościć, i zbyt zła, żeby jej było smutno.

– Wiedziałaś, że przyjdzie? – spytała po chwili Sylvia.

– Kto? Ta kobieta na końcu?

– Tak. Sally ci mówiła?

Grace pokręciła głową.

– Nie znam Sally zbyt dobrze. Tylko ze szkoły.

Właściwie to samo mogłaby powiedzieć o Sylvii, chociaż uczyły się w Rearden w tym samym czasie (Grace dwie klasy niżej). I nawet ją lubiła, teraz tak samo jak wtedy. Z pewnością ją podziwiała. Nie mogło być jej łatwo samotnie wychowywać córkę, pracować na cały etat (była prawniczką, specjalizowała się w prawie pracy), a do tego opiekować się najpierw jednym rodzicem, później drugim. Oboje w ciągu dwóch lat zachorowali i umarli. Chyba najbardziej imponowało jej to, że nie wyszła za mąż za niewłaściwego mężczyznę tylko po to, żeby urodzić wymarzone dziecko. Kiedy tłumaczyła swoim klientkom, że rezygnacja ze ślubu nie musi oznaczać rezygnacji z macierzyństwa, myślała właśnie o Sylvii. O Sylvii i jej genialnej córeczce z Chin.

Kiedyś, kiedy rano odprowadzały dzieci do szkoły, inna matka zaczęła wychwalać oczywistą i zadziwiającą inteligencję Daisy Steinmetz, a Sylvia tylko wzruszyła ramionami. Grace usłyszała, jak odpowiada:

– Wiem. Ale to nie ma nic wspólnego ze mną. To nie moje geny. Przed ukończeniem roku nie słyszała ani słowa po angielsku, ale w dwa miesiące po tym, jak zamieszkała ze mną w Nowym Jorku, trajkotała jak najęta, a czytała już jako trzylatka. Oczywiście bardzo się cieszę, że jest bystra. Ułatwi jej to życie. Jestem dobrą matką, ale za to nie odpowiadam.

Co najmniej dziwne było słyszeć takie słowa przed

marmurowym foyer Reardena.

– Jest dziwna – powiedziała Sylvia.

– Sally?

– Nie. – Sylvia się zaśmiała. – Ta kobieta, Malaga. Przesiaduje na ławce w parku, wiesz? Jak odprowadzi syna do szkoły. Nigdzie się nie rusza.

– Z małą na rękach? – Grace zmarszczyła brwi.

– Teraz z małą. Wcześniej przychodziła w ciąży. Nie czyta nawet książki. Przez cały dzień nie ma nic do roboty?

– Najwyraźniej – powiedziała Grace.

Dla niej, podobnie jak dla Sylvii i pewnie wszystkich znanych im mieszkańców wyspy Manhattan, życie bez załatwiania wiecznie piętujących się spraw było czymś niewyobrażalnym. Dla kobiet takich jak one było to również najgorszą obelgą pod adresem Nowego Jorku.

– Może się martwi o synka. Miguel, tak? – zapytała Grace.

– Miguel.

– Może chce być blisko, na wypadek gdyby jej potrzebował.

– Hm...

Jedną przecnicę przeszły w milczeniu.

– Ale to było przedziwne – odezwała się w końcu Sylvia. – Po prostu tak przy nas siedzieć.

Grace nie odpowiedziała. Nie chodziło o to, że się nie zgadzała: nie chciała, żeby ktokolwiek wiedział, że myśli tak samo.

– Może to jakaś kulturowa specyfika – zasugerowała.
– Proszę cię – odparła kobieta, której chińska córka szykowała się właśnie do bat micwy.

– Kto jest jej mężem? – zapytała Grace.

Zbliżały się do szkoły i zrównywały z innymi matkami i opiekunkami.

– Nigdy go nie widziałam – powiedziała Sylvia. –

Słuchaj, chcę, żebyś wiedziała, że byłam tak samo zszokowana jak ty, kiedy Sally zaproponowała, żeby wystawić na aukcji sesję terapeutyczną.

Grace się zaśmiała.

– Rozumiem. Dzięki.

– Rozumiem, że do wychowania dziecka potrzeba całej wioski, ale dlaczego w naszej jest tylu wioskowych głupków? Nie przesłyszałam się? Naprawdę była mowa o skracaniu palucha?

– Obawiam się, że tak. Ale miałam kiedyś klientkę, już jakiś czas temu, którą mąż rzucił, bo nie podobały mu się jej stopy.

– Boże.

Sylvia się zatrzymała. Jeden krok dalej Grace też stanęła.

– Co za dupek. Był fetyszystą stóp?

Grace wzruszyła ramionami.

– Może. To bez znaczenia. Ważne, że powiedział wyraźnie, co jest dla niego ważne. Zawsze jej mówił, że ma brzydkie stopy. Od samego początku. I kiedy się rozstali, jej stopy były na pierwszy miejscu listy

powodów, żeby z nią dłużej nie żyć. Oczywiście, był dupkiem, ale szczerym. A ona i tak za niego wyszła, choć widać było na kilometr, że co najmniej nią gardzi. Niby co miało się stać? Miał się zmienić?

Sylvia westchnęła i sięgnęła do tylnej kieszeni po wibrujący telefon.

- Podobno ludzie potrafią się zmienić.
- Nie potrafią – odparła Grace.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nie moje miasto

Rearden nie zawsze był wylęgarnią menedżerów funduszy hedgingowych i innych Władców Wszechświata. Szkoła została ufundowana w dziewiętnastym wieku z myślą o kształceniu synów i córek klasy robotniczej. Był czas, kiedy była utożsamiana z żydowskimi intelektualistami i ich komunistycznym potomstwem. Chodziły do niej dzieci dziennikarzy, artystów, aktorów z zakazem pracy i wrażliwych społecznie piosenkarzy folkowych. Pokolenie Grace było wręcz perwersyjnie dumne z tego, że ich szkołę dyskredytowano jako kolebkę bohemy (nawet autorzy *Oficjalnego przewodnika po szkołach dla bogaczy*), ale w ciągu kolejnych dziesięcioleci Rearden, jak niemal wszystkie prywatne placówki na Manhattanie (i kilka brooklyńskich), wyraźnie się przesunął: nie tyle politycznie, ile w stronę ludzi z pieniędzmi. Teraz typowy tatuś z Reardena zarabiał pieniądze na innych pieniądzach – i to wszystko. Do tego był śmiertelnie poważny, rozkojarzony, niemożliwie bogaty i niemal zawsze nieobecny. Typowa mama miała za sobą karierę w kancelarii adwokackiej albo w domu maklerskim,

a teraz zajmowała się nadzorowaniem kilku domów i wychowywaniem kilkorga dzieci. Była bardzo szczupła i bardzo blond, i zazwyczaj pędziła właśnie do klubu fitness, z całym dobytkiem upchniętym w torebce Birkin Barenia (z białymi szwami). Większość uczniów była biała (choć już nie większość pochodzenia żydowskiego), chociaż kształciła się w niej spora grupa młodzieży z Azji i Indii. Wraz z jeszcze mniejszą grupą dzieci czarnych i latynoskich byli mocno reprezentowani w materiałach promocyjnych szkoły, ale tymi naprawdę (choć niejawnie) uprzywilejowanymi byli widoczni na każdym kroku potomkowie absolwentów. Mężczyzn i kobiet, którzy nie zjedli zębów w przemyśle albo na rynkach finansowych, ale cierpliwie kuli swój los w sztuce albo oświacie, albo, jak Grace, w zawodach związanych z leczeniem. Chodzili do Reardena przed napływem wielkich pieniędzy, zanim szkołę tak bardzo pochłonęło dbanie o własną reputację.

Era Grace (lata osiemdziesiąte) była ostatnią epoką niewinności Reardena. Potem wszyscy Władcy Wszechświata przeprowadzili inwazję na niezależne szkoły Nowego Jorku. Wyrzucili starą gwardię przez okna. W tamtym idyllicznym okresie Grace i jej rówieśnicy wiedzieli, że nie są ubodzy, ale też nie uważali się za bogatych. (Nawet wtedy uczyło się w Reardenie kilkoro zamożnych dzieci dowożonych do szkoły długimi samochodami przez mężczyzn w czapkach, odpowiednio z tego powodu

wyśmiewanych). Większość mieszkała w klasycznych sześciopokojowych apartamentach przy Upper East Side albo Upper West Side (wtedy na takie mieszkania stać było większość rodzin, w których na chleb zarabiał jedno z rodziców – lekarz albo księgowa), choć znalazłoby się kilkoro obrazoburców z Village czy SoHo. W weekendy i latem wyjeżdżali do małych i niezbyt dobrze utrzymanych domków do Westchester albo Putnam County, a Grace – do chatki nad jeziorem w północno-zachodnim Connecticut, kupionej w tajemniczych okolicznościach przez jej babkę (i imienniczkę) u szczytu wielkiego kryzysu, za niezrozumiałą kwotę czterech tysięcy dolarów.

Dzisiaj rodzice, których poznawała przed początkiem roku szkolnego, wyraźnie odpływali, kiedy mówiła im, że jest terapeutką, a jej mąż lekarzem. Nie zrozumieliby, jak można żyć w tak ciasnym mieszkaniu jak ich apartament z ledwie trzema sypialniami ani jaki sens ma jeżdżenie aż do Connecticut, jeśli na miejscu nie czeka ogrodzona posesja ze stajnią, kortem tenisowym i domkiem dla gości. Świat, który ci ludzie zamieszkiwali, był światem tytanów i podwładnych zatrudnionych do pomocy. Mieszkali przy Piątej Alei albo przy Park Avenue, w domach powstałych z kilku apartamentów, kupionych, połączonych i rozlewających się na dwa, czasem trzy piętra, dostosowanych do potrzeb (i zależnych od) służby, przystrojonych z myślą o wystawnych przyjęciach. Kiedy te nowe rodziny

z Reardena wyjeżdżały na weekend, to na prywatne wyspy, do górskich posiadłości albo na działki do Hamptons: konie czekały w boksach, jachty na pochylniach.

Grace starała się tym nie przejmować. Mówiła sobie, że to szkolne doświadczenia Henry'ego, nie jej, i że w sumie dlaczego miałyby się martwić różnicą między zamożnymi a obrzydliwie zamożnymi, skoro jej syn jest tak sympatycznym, niedbającym o finansowy prestiż młodym chłopcem? To prawda, że rówieśnicy Henry'ego dorastali w bogatych domach, o które dbały pary zawodowców (on kamerdyner, ona kucharka), pod opieką całych zastępów niań, korepetytorów i osobistych trenerów. To, że iPfony dostawali w przedszkolu, a karty kredytowe w trzeciej klasie, na Henrym nie robiło większego wrażenia. Więc i ona usilnie starała się zachować obojętność.

Ale w pewną sobotę urażono ją tak obcesowo, że poczuła się, jakby dostała drzwiami w twarz, i raz na zawsze porzuciła nadzieję na to, że zdoła zachować optymizm. Podrzuciła Henry'ego na imprezę urodzinową do luksusowego mieszkania przy Park Avenue, w którym ramy okien kadrowały zapierające dech w piersi widoki na wszystkie cztery strony miasta. Z miejsca, w którym stała – na ozdobionej mozaiką podłodze przedpokoju, tuż przy drzwiach prywatnej windy – widziała dzieci za marmurowym sklepieniem przejściem, biegające po ogromnym salonie w pogoni

za magikiem w meloniku. Przekazywała właśnie komuś z pracowników (sekretarce? organizatorce zabaw?) zapakowany w papier zestaw młodego naukowca, kiedy obok przeszła radosna pani domu.

Gospodyni, urodzinowa matka – niewiele o niej wiedziała, poza tym że miała na imię Linsey i pochodziła z Południa. Była smukła, wysoka, podejrzenie kuliste piersi miała nieproporcjonalnie wysoko. Obficie używała wytrycha w postaci słowa „kochana”, kiedy się spotkały rano pod drzwiami trzeciej klasy. (Grace musiała przyznać, że słowo „kochana” bardzo się przydaje, kiedy nie można sobie przypomnieć, jak ktoś ma na imię. Wcale nie była pewna, czy trzy lata po tym, jak ich synowie trafili do tej samej klasy, Linsey pamiętała, jak ma na imię). Oprócz rówieśnika Henry’ego mąż Linsey miał w szkole starsze dzieci, z pierwszego małżeństwa. Pełnił jakąś funkcję w Bear Sterns. Musiała przyznać, że Linsey zawsze była miła, choć pod powierzchnią dobrych manier raczej niewiele się kryło.

Inną ważną rzeczą, jakiej udało jej się o Linsey dowiedzieć, było to, że miała oszałamiającą kolekcję toreb Birkin od Hermèsa, w całej paletce barw, ze strusia i z krokodyla, i kilka skórzanych. Zwracała uwagę na birkinę, bo sama miała jedną, podstawowy brązowy model Togo. Prezent od Jonathana na trzydzieste urodziny. (Pocziwy Jonathan musiał się mocno namęczyć w sklepie Hermèsa przy Madison

Avenue, bo w swojej bezgranicznej naiwności sądził, że może po prostu wejść i kupić torbę. Urocze, naprawdę). Dbała o ten piękny przedmiot z wielkim oddaniem, przechowywała na wyłożonej materiałem półce w szafie, razem z jego starymi ciotkami, dwiema torbami Kelly, które odziedziczyła po matce. Skrycie pragnęła zobaczyć torby Linsey, zwłaszcza w ich naturalnym środowisku, gdziekolwiek mogły być trzymane w tym wielkim apartamencie (pewnie w oddzielnej garderobie albo skarbcu!), i miała nadzieję, że zaprosi ją na obchód.

– Witaj, kochana! – zawołała Linsey, widząc ją i Henry’ego.

Henry nie czekał na zachętę. Popędził do dzieciaków do salonu. Ona stała przed gospodynią i zastanawiała się, czy nawiązą jakiś kontakt. Przez inne sklepienie przejście, za bardzo długą jadalnią, widziała kilka innych matek. Siedziały wokół kuchennej wyspy i piły kawę. Pomyślała, że chętnie by się napiła kawy. W końcu była sobota rano. Umówiła się na popołudniowe spotkanie z przeżywającą kryzys parą, ale do tego czasu nie miała żadnych zobowiązań.

– Tak się cieszę, że przyszliście – powiedziała Linsey z należyтым ciepłem w głosie.

Impreza kończyła się o czwartej. Powiedziała, że odźwierny chętnie wezwie dla niej taksówkę, jeśli będzie potrzebowała.

Odźwierny chętnie zamówi dla niej taksówkę.

Ruszyła drętwo do drzwi i równie drętwo wsiadła do windy, która miała ją zabrać w długą podróż na parter. W domu, w którym dorastała i mieszkała do dziś, szwajcarzy pochodzili głównie z Irlandii, Bułgarii albo Albanii. Byli sympatycznymi facetami, którzy pracowali na ochotnika w lokalnej straży pożarnej i pokazywali zdjęcia swoich dzieci. Oni też potrafili przytrzymać drzwi i pomóc z torbami, chyba że ktoś wolał radzić sobie sam. No i oczywiście umieli wezwać taksówkę. Normalna sprawa. Nie trzeba było jej mówić, że to robią.

Wychodząc tamtego ranka na Park Avenue, miała przyprawiające o mdłości wrażenie, że jest zmiecioną przez tornado dziewczyną z Kansas, która nagle znalazła się w nierealnym świecie Technicoloru. Ta konkretna kamienica, kamienica Linsey, słynęła z tego, że w swoim czasie mieszkało w niej wielu milionerów o wątpliwej reputacji. Wspólnik z kancelarii prawniczej jej ojca mieszkał tam wiele lat. Brała udział w wielu noworocznych przyjęciach w mieszkaniu kilka pięter pod apartamentem Linsey, w sukience wybranej przez matkę, skórzanych butach z Tru-Tred i z malutką torebką do kompletu. Od tamtej pory lobby budynku zostało przerobione, pewnie nie raz, więc trudno jej było przypomnieć sobie bogactwo ery jazzu, z którym kojarzyła jej się ta kamienica. Dziś zostały już tylko granit, marmur i wymyślna technologia, a umundurowani dozorczy i ochroniarze pełnili rolę

czysto reprezentacyjną. Właśnie z owej chłodnej wizji budzącego grozę bogactwa wyszła tamtego dnia na ulicę. Była wiosna i bulwy posadzone gęsto między jezdniami alei zaczynały wyrastać z drogiej ziemi – różowe i żółte, biły się o rzadkie jeszcze promienie słońca. Ile takich bulw w ciągu ilu lat widziała przy Park Avenue? Ile to lat patrzenia na świąteczne choinki, rzeźby Botero i stalową Louise Nevelson przy Dziewięćdziesiątej Drugiej, która miała przedstawiać istotę Manhattanu? Pamiętała nawet świąteczny krzyż ze świateł zostawionych na noc w biurach budynku MetLife, gdy był jeszcze budynkiem PanAmu i gdy widok krzyża oświetlającego Park Avenue nie wywoływał zgryźliwych uwag, a już na pewno świętego oburzenia. Tak daleko sięgały jej wspomnienia z tej okolicy.

Odźwierny chętnie zamówi dla niej taksówkę.

Nie moje miasto, pomyślała wtedy, idąc aleją na północ. Kiedyś tak, teraz już nie. Z wyjątkiem czasów studenckich nigdy nie mieszkała w innym mieście. Nigdy nawet nie rozważała, czy mogłaby mieszkać gdzie indziej. A z drugiej strony Nowy Jork nie pytał nikogo o staż. Był pod tym względem dziwnym miastem. Wsysał człowieka prosto z autobusu albo samolotu (czy czym tam udało mu się do niego dotrzeć). Nie wyznaczał okresu próbnego, podczas którego mógłby uchodzić za cudzoziemca, człowieka z nizin albo jankesa, dopóki jego prawnuki nie doczekałyby się

przywileju bycia nowojorczykami. Tutaj było się u siebie od pierwszego dnia albo jak tylko zaczęło się wyglądać na kogoś, kto musi dokądś dotrzeć i zamierza to zrobić szybko. Nowego Jorku nie obchodził akcent tego kogoś ani to, czy jego przodkowie przybyli z pielgrzymami. Wystarczyło, że postanowił przybyć, mimo że mógł wybrać inny cel (choć doprawdy trudno było zrozumieć, czemu ktokolwiek mógłby się wybrać do innego miasta). Grace, która się urodziła przy Siedemdziesiątej Siódmej i wychowała przy Osiemdziesiątej Pierwszej, która teraz mieszkała w domu swojego dzieciństwa i posyłała syna do swojej dawnej szkoły, która chodziła do tej samej pralni, co kiedyś jej matka, i jadała w tych samych restauracjach, Grace, która kupowała Henry'emu buty w Tru-Tred, dokąd została zaprowadzona, gdy była dziewczynką (i gdzie jej syn mógł siedzieć na tym samym krzeselku, na którym jej kiedyś mierzono stopę tym samym przyrządem do mierzenia stóp, którym dawniej ktoś mierzył stopę jej matki) – ta Grace była nowojorczką. Jonathan wychował się na Long Island, ale on też przepoczwarzył się w nowojorczyka. Zrobił to w chwili, kiedy przekręcił klucz w zamku ich pierwszego, dość obskurnego mieszkania w wieżowcu z białej cegły przy wschodniej Sześćdziesiątej Piątej, niedaleko szpitala Memorial. I Linsey, która przybyła późno, na ramieniu nowego męża, i została wprowadzona od razu do jednego z piękniejszych apartamentów pod jednym

z legendarnych adresów, i która swoje manhattańskie życie dostała w prezencie w niemal turystycznym zestawie (ten sklep, ta szkoła, ta kosmetyczka, ta agencja pomocy domowych), Linsey, której koleżankami były tak samo świeżo przybyłe, świeżo zaręczone i sztucznie ubrane kobiety, patrzące na Nowy Jork nie jak na historię rozpoczętą na długo przed ich przyjazdem i (można było mieć nadzieję) mającą trwać długo po ich odejściu, ale jak na miejsce, w którym akurat przyszło im żyć, choć równie dobrze mogła to być Atlanta, Orange County albo któreś z przyjemniejszych przedmieść Chicago – ta Linsey też była nowojorkczanką. O zgrozo!

Sally oczywiście miała rację. Henry'ego nie trzeba było odprowadzać na lekcje skrzypiec, nie mówiąc już o odbieraniu go, kiedy się kończyły. Nowojorskie dzieciaki na ogół biegały po mieście same, jak tylko ukończyły jakieś dziesięć lat. Wielu dwunastoletnich chłopców nie cieszyłoby się przesadnie na widok matek stojących kwadrans po trzeciej w marmurowym foyer Reardena. Ale Henry nadal szukał jej wzrokiem spod długich rzęs, kiedy schodził po schodach z piętra, na którym mieściły się klasy. Nadal widziała w jego oczach ów krótki błysk ulgi, gdy zauważał, że na niego czeka, że mimo wszystko przyszła go odebrać. To był jej ulubiony punkt dnia.

Teraz też przyszedł, ze skrzypcami w plecaku. Zawsze ją to zadziwiało (taki kosztowny instrument, tak

niedbały sposób transportu i tak dalej). Ofiarował jej króciutki uścisk, oznaczający raczej chodźmy już stąd, niż tak się cieszę, że cię widzę, po czym wyszli na zewnątrz. Tłumiła impuls, żeby jak zwykle kazać mu zapiąć kurtkę.

Kiedy byli przecznicę dalej, wziął ją za rękę. Nie porzucił tego zwyczaju, a ona starała się nie ścisnąć jego dłoni.

– Jak było? – spytała. – Co u Jonaha?

Jonah Hartman kiedyś był najlepszym przyjacielem Henry’ego. Któregoś dnia w minionym roku beznamiętnie oznajmił, że ich wieloletnia znajomość się skończyła, i od tamtej pory ledwo zwracał na niego uwagę. Teraz miał dwóch nowych przyjaciół. Trudno go było bez nich spotkać.

Henry wzruszył ramionami.

– Ty też możesz poszukać nowych przyjaciół – powiedziała.

– Wiem – odparł Henry. – Już to mówiłaś.

Ale on chciał Jonaha. Nic dziwnego. Przyjaźnili się od przedszkola i spotykali się w każdą niedzielę, żeby się bawić. Co roku w sierpniu Jonah przyjeżdżał na kilka tygodni do domku nad jeziorem. Razem spędzali czas na tamtejszym obozie. Ale w zeszłym roku rodzina Jonaha się rozpadła. Jego ojciec wyprowadził się z domu, a matka zabrała dzieci na Zachodni Manhattan. Grace wcale się nie dziwiła, że mały Jonah odreagowuje, kontrolując te nieliczne aspekty swojego

życia, które może kontrolować. Próbowała rozmawiać o tym z jego matką, ale bez powodzenia.

Nauczyciel skrzypiec mieszkał w podupadłej kamienicy przy Morningside Drive, z szerokim, mrocznym holem i sporą populacją podstarzałych imigrantów z Europy i nauczycieli akademickich z uniwersytetu Columbia. Teoretycznie mieli tam szwajcara, ale ilekroć się zjawiali, bez względu na porę dnia, miał akurat przerwę. Grace nacisnęła guzik domofonu za pierwszymi drzwiami i odczekała zwyczajowe dwie minuty, aż pan Rosenbaum przemaszeruje z sali, w której odbywały się lekcje, do kuchni, z której wpuszczał gości. Kiedy jechali trzeszczącą windą, Henry wyjął skrzypce z plecaka i złapał futerał tak jak trzeba, za pasek. Wykorzystywał ostatnie chwile, żeby się przygotować na spotkanie z wymagającym panem Rosenbaumem, który miał w zwyczaju przypominać swoim uczniom, że inni – z założenia bardziej utalentowani – uczniowie zawsze czekają w odwodzie, licząc, że zajmą miejsce kogoś, kto się okaże mniej zdolny, niż początkowo sądzono, lub mniej wytrwały. Henry był świadom, bo Grace mu to uświadamiała, że miejsce wśród wychowanków Witalija Rosenbauma zawdzięczał talentowi i potencjałowi. Paradoksalnie wraz z upływem lat miało to dla niego coraz większe znaczenie. Nie chciał stracić swojego miejsca. Tak to rozumiała Grace. Nie chciał, żeby ktoś podjął decyzję za niego.

– Dzień dobry.

Nauczyciel czekał na nich w otwartych drzwiach. Za jego plecami ciągnął się ciemny przedpokój. Z kuchni dobiegał charakterystyczny zapach kapusty, będącej częścią skromnego kulinarnego repertuaru Malki Rosenbaum, prosto ze sztetlu.

– Dzień dobry – odparła Grace.

– Witam – powiedział Henry.

– Ćwiczył? – spytał go od razu Rosenbaum.

Henry kiwnął głową.

– Tylko wczoraj nie, bo dzisiaj rano miałem klasówkę z matematyki i musiałem się uczyć.

– Życie to nieustanna klasówka – skarcił go Rosenbaum. To było w jego stylu. – Nie można przerywać ćwiczeń przez matematykę. Muzyka jest dobra na matematykę.

Henry znów kiwnął głową. W ciągu kilku ostatnich lat słyszał też, że muzyka jest dobra na historię, literaturę, zdrowie fizyczne, zdrowie psychiczne i, rzecz jasna, matematykę. Ale wiedział, że musi się uczyć.

Grace nie weszła z nimi do sali. Jak zwykle usiadła w przedpokoju, na starym, niskim, zdobionym drewnianym krześle, pochodzącym z poprzedniej epoki, w której nie kładziono nacisku na to, żeby meble były wygodne. Wyjęła z torebki telefon, żeby sprawdzić wiadomości. Miała dwie: jedną od Jonathana – pisał, że przyjął dwoje pacjentów i będzie w domu późno – drugą od pacjentki, która odwoływała wizytę – miały się

spotkać następnego dnia – nie podając powodu ani nie proponując innego terminu. Grace się zasepiła. Zastanawiała się, jak bardzo powinna się przejmować tą kobietą, której mąż podczas poprzedniej sesji postanowił przyznać, że jego, jak to nazwał, eksperymenty z mężczyznami nie zakończyły się wraz ze studiami, lecz trwały do dziś. Do tego wcale – jej zdaniem – nie były eksperymentami. Byli małżeństwem od ośmiu lat i mieli pięcioletnie bliźniaczki. Grace chwilę szukała jej numeru. W końcu go znalazła i nagrała się na jej pocztę. Poprosiła, żeby oddzwoniła.

Z odległego krańca korytarza dobiegła muzyka: Sonata numer 1 g-moll Bacha, *Siciliana*. Słuchała przez chwilę, aż w linię melodyczną graną przez jej syna i w jej własny rozmarzony trans wdarł się głos pana Rosenbauma. Wróciła do kalendarza. Wykreśliła odwołaną sesję. Pracowała z tą parą od ośmiu miesięcy. Jemu od początku nie ufała i szybko się domyśliła, że powinna pójść tropem jego orientacji seksualnej. Postanowiła nie mówić o swoich podejrzeniach. Czekala, aż to wyjdzie samo, i w końcu wyszło. Potem nastąpiły długie tygodnie niekończących się rozmów o jego oddaleniu, braku kontaktu i nieumiejętności okazywania ciepła. Przygnębiona żona usychała na kanapie w kolorze owsianki. I któregoś dnia nagle nawiązała do rozmowy z ich pierwszej czy drugiej randki, kiedy wspomniał o związku, jaki go łączył z kolegą ze stowarzyszenia studentów.

– Ale o co ci chodzi? – powiedział. – Przecież ci o tym mówiłem. Nie wiem, czemu teraz do tego wracasz. Zawsze byłem ciekawy.

Ping. To było tak, jakby w gabinecie zadzwonił dzwoneczek.

– Ale to był tylko ten jeden raz. Jeden poważny raz. Inne...

Ping.

Litości, pomyślała teraz, rysując dookoła przekreślonej wizyty głowonoga. Tutaj i teraz, przy Morningside Heights, na niewygodnym krześle w wypełnionym zapachem kapusty przedpokoju Witalija Rosenbauma, wróciła do niej ta sama bolesna frustracja, której doświadczyła wtedy w swoim gabinecie. Ta tak dobrze jej znana frustracja.

Jemu mogła powiedzieć: Krótka lista tak i nie, kiedy się jest homoseksualnym mężczyzną. Tak: można być homoseksualnym mężczyzną. Nie: nie można kłamać, że się nie jest homoseksualnym mężczyzną. Nie: nie można udawać, że się nie jest homoseksualnym mężczyzną. Nie: nie można się żenić z kobietą i płodzić z nią dzieci, chyba że ona wie i mimo to jest chętna.

A jej: Jeśli mężczyzna mówi ci, że jest homoseksualistą, nie wychodź za niego. A owszem, powiedział ci. Na swój beznadziejny, nieszczerzy i całkowicie nieodpowiedzialny sposób powiedział ci to. Więc nie mów, że nie wiedziałaś. Nie chciałaś wiedzieć!

Zamknęła oczy. Przychodziła do tego mieszkania już

ósmym roku i za każdym razem kiedy skręcała ze Sto Czternastej, myślała o swojej dawnej promotorce ze studiów doktoranckich. Ona też mieszkała przy Morningside Drive, zaledwie dwie przecznice dalej na północ. Doktor Emily Rose – Mama Rose, jak wszyscy na nią mówili i jak sama kazała się nazywać, co Grace nadal zadziwiało – była terapeutką z minionej epoki, z czasów długiego przytulania na powitanie i jeszcze dłuższego, gdy pacjent wychodził, a także trzymania za rękę i całej gamy technik wypracowanych przez szkołę ludzkiego potencjału, w ramach której prowadziła badania nad psychologią transpersonalną. Mama Rose spotykała się ze studentami w tym samym gabinecie, w którym przyjmowała pacjentów – w słonecznym pokoju z widokiem na Morningside Park, pełnym zwisających roślin, nieoprawionych abstrakcyjnych obrazów i ogromnych leżących na podłodze poduch, na których wszyscy siedzieli po turecku. Każda lekcja, konsultacja i sesja terapeutyczna zaczynała się od mrożącego krew w żyłach (przynajmniej dla Grace) przytulania. Jakże inwazyjnego. Długo rozważała, czy nie szukać innej promotorki, ale została przy doktor Rose, choć z najgorszego możliwego powodu. Mama Rose, z tego co dało się ustalić, nigdy nie dała żadnemu studentowi oceny niższej niż pięć.

Słumione kroki w innej części mieszkania. Malka Rosenbaum, rzadko widywana i na ogół bezszelestna, gdy już się pojawiała. Jej mąż przybył do Ameryki jako

pierwszy, tuż po wojnie, a ją na długie lata zatrzymała jakaś zimnowojenna biurokracja. W rezultacie stracili szansę na potomstwo, zgadywała Grace, choć z jakiegoś powodu współczuła im mniej niż wielu swoim walczącym z bezpłodnością pacjentom. Witalij miał talent, grał na skrzypcach z pasją, której brakowało mu w relacjach z uczniami, ale był ponurym człowiekiem, a o Malce trudno było w ogóle pomyśleć, że jest osobnym człowiekiem. Nie była to ich wina. Zostali obrabowani i głęboko zranieni, widzieli w życiu straszne rzeczy. Może niektórzy ludzie potrafiliby po takich doświadczeniach odnaleźć w sobie źródło życia i życzliwość dla świata, ale dla większości to niemożliwe. Dla Rosenbaumów najwyraźniej też. Na myśl o Witaliju i Malce opiekujących się niemowlęciem, bobasem, wreszcie dzieckiem Grace czuła, że byłby w tym jakiś wielki smutek.

Następny uczeń, chudziutka Koreanka w bluzie Barnarda, z długimi włosami związanymi różową frotką, przyszła na kilka minut przed końcem lekcji Henry'ego i przemknęła przed Grace, unikając jej wzroku. Oparła się o ścianę wąskiego przedpokoju i zaczęła bez entuzjazmu przeglądać partytury. Kiedy Henry stanął w drzwiach, wszyscy troje zaczęli tańczyć nieporadny taniec mijaniec. Grace i Henry wyszli na klatkę, żeby już tam założyć kurtki.

– Okej? – spytała.

– Okej.

Na Broadwayu złapali taksówkę. Pojechali na południe i przez park na East Side.

– Słyszałam, że ładnie grałeś – powiedziała Grace, głównie dlatego, że chciała porozmawiać.

Henry wzruszył ramionami. Pod swetrem pokazały się obojczyki.

– Pan Rosenbaum mówił co innego.

– Naprawdę?

Kolejny ruch ramion. Jeden z jej pacjentów powiedział kiedyś, że wzruszenie ramionami jest najczulszym barometrem wieku dojrzewania. Więcej niż jedno na godzinę oznacza początek. Więcej niż dwa to już w pełni rozwinięty przypadek. Gdy następuje wielki powrót słów, o ile w ogóle następuje, oznacza to, że młody człowiek wchodzi w dorosłość.

– Wydaje mi się, że według niego marnuję jego czas. On tylko siedzi z zamkniętymi oczami. Ale nie wiem, czy to dlatego, bo jest niezadowolony.

– Dlatego że – poprawiła go. Nie mogła się powstrzymać.

– Dlatego że. Kiedyś częściej mnie chwalił. Myślisz, że chce, żebym zrezygnował?

Poczuła pulsujący niepokój, jak radioaktywny barwnik wstrzyknięty do żyły, który właśnie wytrysnął z serca. Zaczekała, aż to minie. Witalij Rosenbaum, stary i mocno schorowany, faktycznie mógł chcieć się odciąć od tych uczniów, którzy nie rokowali, że będą występować, choćby na poziomie konserwatorium, ale

jeżeli tak, to nie podzielił się z nią tymi przemyśleniami.

– Oczywiście, że nie – powiedziała tak pogodnie, jak tylko umiała. – Kochanie, nie grasz na skrzypcach dla pana Rosenbauma. Jesteś mu winien szacunek i ciężką pracę, ale twoja relacja z muzyką jest tylko twoja.

Ale kiedy to mówiła, pomyślała o tych wszystkich latach, kiedy grał, o tym, jacy dumni byli z Jonathanem, i owszem – również o pieniądzach. Boże święty, tyle pieniędzy. Henry nie może teraz przestać. Czyż nie kocha muzyki? Nie uwielbia grać na skrzypcach? Zdała sobie sprawę, że nie jest tego pewna i że nie chce wiedzieć.

Henry jej nie zaskoczył, znowu wzruszył ramionami.

– Tata powiedział, że jeśli chcę, to mogę zrezygnować.

Zszokowana wlepiła wzrok w wyciszony monitor, na którym wyświetlano opinie profesjonalistów o restauracjach. L'Horloge, Casa Home, The Grange.

– Tak? – tylko tyle zdołała wykrztusić.

– W zeszłym roku, latem. Byliśmy nad jeziorem i nie wzięłem ze sobą skrzypiec. Pamiętasz?

Pamiętała. Wtedy ją to zdenerwowało. Tamte trzy tygodnie w domku w Connecticut były tygodniami bez ćwiczeń.

– Zapytał, czy nadal lubię grać, i powiedziałem, że nie wiem. On na to, że życie jest zbyt krótkie, żeby poświęcać czas czemuś, co nie daje satysfakcji. I że jestem odpowiedzialny głównie przed samym sobą, i że

większość ludzi nie wie o tym przez całe życie.

Kręciło jej się w głowie. Jestem odpowiedzialny głównie przed samym sobą? Cóż to miało znaczyć? To pewne, że tak nie uważał. Nikt, kto wykonuje jego zawód, nie może tak myśleć. Ofiarowywał pacjentom i ich rodzinom całego siebie. Przez całą dobę odbierał ich telefony, budził się w nocy, żeby pędzić do szpitala, długie godziny spędzał na czuwaniu przy umierających, desperacko szukając nieznanego rozwiązania problemu śmiertelnie chorych dzieci, jak adwokat na dzień przed wykonaniem na kliencie wyroku śmierci. Jonathan był zaprzeczeniem hedonisty. Rezygnował z niemal wszystkich przyjemności i z absolutnie wszystkich luksusów. Jego życie, i jej też, było życiem w służbie potwornie nieszczęśliwym ludziom. Starali się to równoważyć radością z rodzinnego ciepła i umiarkowanym korzystaniem z wygod. Jestem odpowiedzialny głównie przed samym sobą? Henry musiał go źle zrozumieć. Czuła się tak, jakby ją wyrzucono z taksówki, i nie wiedziała, czego najpierw się złapać. Potrzeby natychmiastowego zdementowania tego, co powiedział? Własnego poczucia winy? Swojej nagłej, przemożnej niechęci do Jonathana czy szoku wywołanego tym nieznanym uczuciem?

– A chcesz zrezygnować? – spytała. Zmuszała się do panowania nad emocjami.

Znów wzruszył ramionami, tym razem wolniej, łagodniej, jakby już się tym zmęczył.

– Zróbmy tak – powiedziała, kiedy taksówka skręcała na południe, w Piątą Aleję. – Pogadamy o tym za kilka miesięcy. To ważna decyzja i powinieneś mieć pewność. Może powinniśmy pomyśleć o innych rozwiązaniach, na przykład o nowym nauczycielu. A może wolałbyś inny instrument.

Nie przyszło jej to łatwo. Witalij Rosenbaum, choć zgryźliwy i skłonny do depresji, nie był zwyczajnym nauczycielem. Co roku w sierpniu przesłuchiwał kilkudziesięciu chłopców i kilkadziesiąt dziewcząt z rodzin dostatecznie wyrobionych, żeby wiedzieć o jego istnieniu. A na naukę przyjmował tylko kilkoro. Szczerbatego wówczas Henry’ego przyjął, gdy miał cztery lata, zbyt duże jak na swój wiek dłonie i doskonały słuch, mający nieznaną źródło w genach, bo z pewnością nie odziedziczył go po rodzicach. Jeśli chodzi o inne instrumenty, to Grace w głębi duszy większości z nich nie cierpiała. Owszem, w ich mieszkaniu stało pianino, pozostałość po jej własnych lekcjach, do których ją zmuszano, kiedy była dzieckiem, ale nigdy nie lubiła muzyki fortepianowej i najchętniej pozbyłaby się tego grata, gdyby jej nie zniechęciły dwie nieudane próby podarowania go komuś. (O dziwo, nikt nie chciał rozstrojonego pianina nieznanego producenta, z 1965 roku, a koszt wyrzucenia go na śmietnik był nedorzecznie wysoki). Nie przepadała też za instrumentami dętymi ani za większością innych strunowych. Lubiła skrzypce i skrzypków. Zawsze

wydawali jej się skupieni i spokojni. I bystrzy. W jej klasie w Reardenie była dziewczynka, która przeważnie znikwała tuż po lekcjach. Nie chodziła na zajęcia sportowe, nie należała do żadnego klubu i wydawała się pogodzona z tym, że nie ma szkolnego życia towarzyskiego. Biły od niej równowaga i pewność siebie. Podziwiała ją. Kiedyś, gdy miała dziesięć lat, matka zabrała ją do niewielkiej sali koncertowej przy Carnegie Hall. Wraz z koleżankami ze szkoły i ich matkami przez godzinę słuchały tamtej dziewczynki. Grała nieprawdopodobnie trudne utwory, przy akompaniamencie bardzo dorosłego, bardzo łysego i bardzo grubego pianisty. Większość dzieci mocno się wierciła, ale matki, a jej matka w szczególności, były oczarowane. Po koncercie matka poszła porozmawiać z matką tamtej dziewczynki, szlachetnie wyglądającą kobietą ubraną klasycznie w Chanel, a ona została na swoim miejscu, zbyt zakłopotana, żeby pogratulować koleżance. Tamta odeszła ze szkoły po siódmej klasie, z pewnością miała się uczyć w domu i jeszcze intensywniej zająć edukacją muzyczną, i Grace straciła z nią kontakt. Ale wiedziała, że kiedy przyjdzie czas, jej własne dziecko będzie grało na skrzypcach.

– Dobra, nieważne – powiedział Henry, a przynajmniej tak jej się zdawało.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Zabójczo miękkie serce

Poświęcając się dla sprawy, tego wieczoru, kiedy zbierano pieniądze na szkołę, Grace wylądowała w obszernym foyer domu Spenserów. Rejestrowała gości i rozdawała broszury przy stoliku przed prywatną windą. Było dla niej sporym zaskoczeniem, że tak niewielu rodziców zna z imienia i nazwiska. Niektóre matki widywała, kiedy odbierały dzieci po lekcjach. Przemykając obok niej, mrużyły oczy, jakby same szukały w pamięci jej imienia albo nie były pewne, czy jest jedną z nich, czy może kimś zatrudnionym do pomocy. Tak czy inaczej, witały ją niezobowiązującym dobrym wieczór, miło cię widzieć! Mężczyzn w ogóle nie znała. Jednego czy dwóch kojarzyła z czasów, kiedy sami chodzili do Reardena, choć ich dziecięce twarze skryły się głęboko pod warstwą lat i dobrobytu. Ale większość widziała po raz pierwszy. Nie licząc kilku wywiadówek czy interwencji u dyrektora, nie przekraczali progu szkoły ani razu od pierwszej rozmowy kwalifikacyjnej (na którą, rzecz jasna, zawsze stawiali się punktualnie), i Grace nie miała wątpliwości, że biorą udział w sobotniej imprezie dobroczynnej pod

silnym naciskiem żon.

– To będzie wspaniała aukcja – powiedziała kobiecie o spuchniętych wargach, zastanawiając się, czy łagodnie wyglądający i rozkojarzony mężczyzna u jej boku niedawno uderzył ją w twarz.

– Widok z okien jest niesamowity – zachęciła jedną z mam z klasy Henry’ego, która z trudem skrywała, że chciałaby się jak najszybciej znaleźć na górze. – No i obrazy Pollocka w jadalni. Pamiętaj, żeby je zobaczyć.

Kiedy po wpół do ósmej goście przestali napływać, została sama w marmurowym holu. Zaczęła stukać paznokciem w blat stolika, który dla niej ustawiono, i zastanawiała się, jak długo ma tam stać.

Ten komitet był jej jedynym wolontariatem w szkole syna. Pełniła tę funkcję z przyjemnością, choć nie mogła się oprzeć wrażeniu, że to wszystko zrobiło się absurdalne. Dawniej, niewiele lat temu, takie przedsięwzięcia miały pewien zgaszony wdzięk. Dekoracje były wyraźnie tandetne, a menu trąciło myszką: serowe fondue i kiełbaski wieprzowe w cieście, a do picia mocny, przestarzały alkohol. Były to dość radosne imprezy, niezbyt poważne, a aukcje odbywały się w wesołej atmosferze. Podchmieleni rodzice licytowali sesję z trenerem fitnessu albo trzecioplanową rolę na planie telenoweli. Wszyscy się doskonale bawili, a do kasy trafiało dwadzieścia, trzydzieści tysięcy. Zasilały program stypendialny. Dzięki temu nie wszystkie dzieci pochodziły z uprzywilejowanych

środowisk. Uczniowie tacy jak Miguel Alves sprawiali, że szkoła stawała się bardziej zróżnicowana i ciekawa. To wcale nie było takie złe, pomyślała Grace. Wręcz chwalebne. To nowe wcielenie corocznej imprezy, która ją – jak na snobkę przystało – zniesmaczała, było jedynie większą, lepszą wersją owego chwalebego przedsięwzięcia, przynoszącą większe wpływy (dużo, dużo większe). Powinno ją to cieszyć, ale nie cieszyło.

Nadal tkwiła w holu, przy małym stoliku. Tasowała kilka nieodebranych plakietek z nazwiskami, jak uliczny krupier od trzech kart, albo masowała lewe ucho. Bolało ją trochę bardziej niż prawe. Bo prawe też bolało. Nosila na nich duże klipsy z brylantami po matce (która, jak ona, nie miała przekłutych uszu). Uznała, że doskonale będą pasowały do gigantycznego dwupoziomowego mieszkania z widokiem na Central Park, i do nich dopasowała wieczorową kreację. Założyła jedwabną czarną bluzkę (jej ulubiony kolor, jak tyłu jej sióstr z Manhattanu), buty na najwyższych szpilkach (na których dorównywała wzrostem Jonathanowi) i jaskraworóżowe spodnie z szantungu. Tym, że je kupiła, najbardziej zaskoczyła samą siebie. Zeszłej jesieni zobaczyła je u Bergdorfa. Idealny strój do zachwycania się Pollockiem albo tłumaczenia jakiemuś wyraźnie obojętnemu przemysłowemu potentatowi, że jest terapeutką i prowadzi prywatną praktykę.

Klipsy stanowiły część kolekcji cokolwiek

ostentacyjnej biżuterii. Matka, Marjorie Reinhart, dostawała ją kawałek po kawałku od ojca, Fredericha. Grace nadal trzymała ją w lustrzanej szkatułce matki, w sypialni, która dawniej należała do jej rodziców, a dziś do niej i Jonathana. Wśród wielu pięknych ozdób była broszka z dużym różowym kamieniem przytrzymywanym złotymi wypustkami na nieforemnym złotym tle, gruby nefrytowy naszyjnik, który jej ojciec znalazł Bóg wie gdzie, panterkowa bransoletka z czarnych i żółtych brylantów, naszyjnik z szafirów i jeszcze jeden, z przerośniętych, dziwnie połączonych złotych ogniwi. Wspólną cechą wszystkich tych ozdób była – nie sposób było uniknąć tego określenia – ordynarność. Każdy element wydawał się większy, niż powinien. Duże złote ogniwa, duże klejnoty i wzory, które krzyczały: spójrzcie na mnie. Jak jej ojciec mógł wybierać dla jej eleganckiej matki tak niegustowną biżuterię? Pomyślała, że na swój sposób było to urocze. Staruszek był w tej dziedzinie takim naiwniakiem, że gdy tylko wchodził do jubilera, żeby kupić prezent dla żony, musiał być łatwym łupem dla każdego sprzedawcy hołdującego zasadzie: im większe, tym lepsze. Wyglądało to tak, jakby ktoś starał się jak najdobitniej powiedzieć: kocham cię, a ktoś inny bardzo chciał odpowiedzieć: wiem.

Stuk, stuk, stuk – specjalnie na tę okazję pomalowanym paznokciem. Ściągnęła klipsy i włożyła je do torebki. Nie mogła dłużej wytrzymać. Potarła

z ulgą uszy i rozejrzała się po pustym holu, jakby dzięki temu czas miał mijać szybciej. Od przybycia ostatniego gościa minęło dwadzieścia minut i na stoliku zostało już tylko pięć plakietek: dla Jonathana i dwóch par, których nie znała. Wszyscy pozostali byli na górze, w tym reszta komitetu, dyrektor szkoły i spora grupa ludzi, z którymi przyszedł (z imprezy „drinki z dyrektorem”, organizowanej w tym samym mieszkaniu, w którym Linsey i jej birkinie oznajmiły jej kiedyś, że odźwierny może jej wezwać taksówkę). Widziała nawet Malagę Alves. Przechodziła obok jej stolika, nie zatrzymała się. To się akurat dobrze składało, bo na nią nie czekała plakietka z nazwiskiem. To, że Jonathan nie przyszedł, ani jej nie zaskoczyło, ani nie zmartwiło. Dwa dni wcześniej umarł jego ośmioletni pacjent. Okropne. Wcale nie znosił takich rzeczy łatwiej, chociaż przytrafiały mu się nieustannie. Rodzice dziecka byli ortodoksyjnymi Żydami i pogrzeb odbył się niemal od razu. Jonathan został zaproszony, a teraz pojechał na Brooklyn, na sziwę, do ich domu, do Williamsburga. Zamierzał zostać tak długo, jak wypadało, a potem przyjechać. I tyle.

Grace nie wiedziała, jak chłopiec miał na imię. Nie była nawet pewna, czy to był chłopiec, czy dziewczynka. Kiedy Jonathan jej o tym dziecku opowiadał, pomyślała z uznaniem o barierze, którą oboje budowali albo starali się budować między ich domem a szpitalem. Dzięki niej martwe dziecko było tylko ośmioletnim pacjentem. Już

samo to było dostatecznie przygnębiające. I ile ciężiej by jej było, gdyby wiedziała więcej?

– Bardzo mi przykro – powiedziała, kiedy powiedział o szwie i ostrzegł, że pewnie się spóźni.

A on odpowiedział:

– Mnie też. Nienawidzę raka.

Prawie się uśmiechnęła. Mówił to bardzo często, od dawna, w taki właśnie sposób: rzeczowo, jakby wygłaszał błahe stwierdzenie. Pierwszy raz usłyszała to zdanie wiele lat wcześniej, w jego akademiku w Bostonie, ale wtedy brzmiało jak okrzyk wojenny. Jonathan Sachs, niebawem stażysta, a potem pediatra onkolog specjalizujący się w guzach litych, nienawidzi raka, więc niech rak lepiej uważa! Dni raka są policzone! Rak dostał ostrzeżenie, a zemsta będzie słodka! Dziś z tamtej brawury nic nie zostało. Nadal nienawidził raka, bardziej niż na studiach, bardziej z każdym straconym pacjentem, dzisiaj bardziej niż wczoraj. Ale rak miał to gdzieś.

Nie chciała mu przypominać o Wieczorze dla Reardena i odrywać go od cierpienia dzieci i strachu ich rodziców. Ale nie miała wyboru. Zbiórka pieniędzy. Szkoła. Spenserowie. Trzy mieszkania połączone w jedno. Miejski McPałac – tak to nazwała, kiedy kilka tygodni wcześniej pierwszy raz mu je opisywała. O wszystkim pamiętał, ale tyle mu ostatnio spadło na głowę, że nie do wszystkiego miał łatwy dostęp. Pewne rzeczy trzeba mu było komunikować z wyprzedzeniem,

jak przy zamawianiu książek z biblioteki publicznej. Czasem trochę to trwało.

– Grace – powiedział. – Mam nadzieję, że nie straciłaś na to za dużo energii. Nie mogłabyś zostawić takich spraw kobietom, które nie pracują? Masz na głowie znacznie ważniejsze rzeczy niż zbieranie pieniędzy dla prywatnej szkoły.

– Chodziło o sam udział – odparła krótko.

Przecież wiedział.

Poza tym nie byli dostatecznie zamożni, żeby móc usprawiedliwić swój brak zaangażowania. To też rozumiał.

Wszystko to już oczywiście nieraz omawiali. Jeśli się jest małżeństwem długo, wszystko omawia się wielokrotnie. Okrężne prądy dobrze znanej nudy, ciepłe i zarazem chłodne. To jasne, że nie mogli się we wszystkim zgadzać.

Po prostu zamierzał przyjechać, jak... Jak tylko zdąży. A jeśli ktoś zapyta, czemu go jeszcze nie ma, Grace z chęcią wytłumaczy, bo jej mąż ma na głowie zbyt dużo ważnych spraw, żeby zaspokajać chorą fascynację jego pracą wszystkich, których spotka.

Nikt inny zdawał się nie rozumieć, że trzeba się przewiercić przez jego zwyczajową układność, żeby dotrzeć do człowieka nieustannie i brutalnie kaleczonego ludzkim cierpieniem. Znajomych ośmielała jego rzeczowość, kiedy mówił o takich rzeczach jak rak albo śmierć dzieci, ale kiedy sami zaczynali, mówili

niemal oskarżycielskim tonem: Jak możesz pracować w takim miejscu? Jak możesz patrzeć na cierpiące dzieci? Czy to nie okropne, kiedy pacjent, którym się opiekowałeś, umiera? Dlaczego świadomie wybrałeś właśnie tę specjalizację?

Czasami próbował odpowiadać na takie pytania, ale nic to nie dawało, bo chociaż ludzie w oczywisty sposób zebrali o szczegóły, większość nie potrafiła sobie poradzić z ciężarem, który Jonathan dźwigał przez cały dzień, i prędzej czy później zostawiali go, żeby znaleźć kogoś z bardziej optymistycznym zajęciem. Przez lata Grace była świadkiem najróżniejszych wariacji tego samego scenariusza na proszonych kolacjach, obozach letnich i zbiórkach na rzecz szkoły. Słuchała tych rozmów niezmiennie z ciężkim sercem, bo dzięki nim zdawała sobie sprawę, że ta miła mama kolegi Henry'ego, ta cudowna para, która latem wynajęła domek nad ich jeziorem, i ten prezenter radiowy, który mieszkał dwa piętra nad nimi – że żadne z nich nie będzie się chciało z nimi przyjaźnić. W końcu założyła po prostu, że ich życie towarzyskie będzie się toczyć wśród onkologów, ludzi (i ich partnerów) z tymi samymi co u jej męża ograniczeniami wynikającymi z tego, że przeżywali silne emocje, ale takich znajomości właściwie nigdy nie udawało im się nawiązać. Domyślała się, że to dlatego, że koledzy Jonathana mają jednak skromny plan zostawić raka w szpitalu, gdy wracają do domów, i może wychodziło

im to lepiej niż jej mężowi. Lata temu przyjaźnili się trochę ze Stu Rosenfeldem, onkologiem, który nadal zastępował Jonathana, kiedy wyjeżdżał, i z jego żoną. To było przyjemne. Rosenfeldowie byli zapalonymi miłośnikami teatru. Zawsze wiedzieli z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem, które bilety będą nie do dostania, i zazwyczaj łądownali w pierwszym rzędzie obok Elaine Stritch pierwszego wieczoru po recenzji w „New York Timesie”. Bardziej podziwiała, niż lubiła Tracy Rosenfeld, Amerykankę koreańskiego pochodzenia, prawniczkę i fanatyczną biegaczkę, ale dobrze było czasem się spotkać z inną parą, żeby razem podoceniać zalety życia w mieście. Obie odciągały mężów od zwyczajowych tematów (pracownicy szpitala, rozgrywki między pracownikami szpitala, dzieci z nowotworami) i, ogólnie rzecz biorąc, udawały, że łączy je bliższa więź, niż łączyła naprawdę, kiedy dyskutowały o Sondheimie i Wassersteinie, i o tym, jak krzywdzące bywają recenzje Johna Simona w magazynie „New York”. Była to dosyć niewinna znajomość i mogłaby trwać nadal, ale któregoś dnia pięć lat temu Jonathan przyszedł do domu i oznajmił, że usłyszał od Stu coś kompletnie niedorzecznego, coś o tym, że planowali wspólną kolację (nic specjalnego, niedzielny wieczór w restauracji, którą wszyscy czworo lubili), ale muszą to odwołać. Stu powiedział, że mu przykro, ale od tej pory powinni ograniczyć kontakty do spraw zawodowych. Tracy ma wkrótce zostać partnerem

w kancelarii i...

– I? – zapytała Grace, czując, że twarz robi jej się gorąca. – I co?

– Pokłóciłyście się o coś z Tracy? – spytał Jonathan.

Grace nagle poczuła się winna. Tak się czują ludzie, którzy są pewni, że nie zrobili nic złego, a przynajmniej prawie pewni, bo czy można mieć stuprocentową pewność? Ludzie ukrywają swoje czułe miejsca i czasem trudno zauważyć, że się kogoś dotknęło.

Więc przestali się widywać z Rosenfeldami. Spotykali się tylko przy okazji wydarzeń związanych ze szpitalem, ale to nie zdarzało się często. Czasem przypadkiem wpadali na siebie w teatrze i wtedy zawsze rozmawiali serdecznym tonem. Ustalali, że umówią się w końcu na kolację, ale potem nikt z nich nie zamierzał się tym zająć. Jak tysiące innych par, które mają urwanie głowy w pracy, bez względu na ukryte intencje.

Jonathan potem już nigdy do tego nie wracał. Był, rzecz jasna, przyzwyczajony do poczucia straty, ale nie tylko do śmierci w wyniku okropnej, wyniszczającej, bolesnej i bezlitosnej choroby. Poniósł w życiu również inne straty warte odnotowania. Ci, którzy mieli w tym udział, nadal mogli być wśród żywych, niektórzy nie dalej niż na przykład na Long Island. Grace i jako jego żona, i jako terapeutka uważała, że ma to ścisły związek z rodziną, w której dorastał, z jego rodzicami, którzy zawiedli go na każdy możliwy sposób – nie stosowali tylko przemocy fizycznej – i z bratem, który nie chciał

zrozumieć, że on też na zerwaniu więzów straci. Jonathan nie potrzebował wielu ludzi i nigdy ich wielu wokół siebie nie miał, przynajmniej odkąd go znała. Wystarczyła mu rodzina. Ta, którą stworzył z nią i z Henrym.

A potem, z upływem lat, ona też zaczęła tak czuć i też pozwoliła swoim bliskim się oddalić. Na początku było trudno – najtrudniej na samym początku, kiedy zniknęła Vita – później już mniej, kiedy odchodzili znajomi ze studiów i z akademika (teraz i tak rozsiani po kraju i zjeżdżający się tylko na wesela) i kilkoro innych, których towarzystwo sprawiało jej przyjemność. Ona i Jonathan nie byli oczywiście odludkami. Brali aktywny udział w życiu miasta, każdy ich dzień wypełniali ludzie i ich problemy. I nawet jeśli nie uważała siebie za słodką czy łagodną, to nic w tym złego. Bardzo się troszczyła o swoich pacjentów, myślała dużo o tym, co robią i czego doświadczają po opuszczeniu jej gabinetu. To przecież oczywiste. Ona zresztą też nieraz odbierała telefon w środku nocy i zawsze traktowała takie sprawy bardzo serio. Robiła, co do niej należało. Zdarzało się nawet, że spotykała się ze zrozpaczonymi mężczyznami i kobietami w szpitalnych izbach przyjęć albo konferowała przez telefon z sanitariuszami, szpitalnymi recepcjonistkami i lekarzami z ośrodków odwykowych z całego kraju. Zazwyczaj jednak zachowywała dystans i jeśli nie musiała się martwić niczymi lękami albo depresją, albo tym, czy zgodnie z obietnicą codziennie

chodzą na spotkania swoich grup terapeutycznych, to na ogół się nie martwiła.

Pod tym względem Jonathan zajmował przeciwny biegun. Miał po prostu zabójczo miękkie serce, głęboko ludzką, bezinteresowną osobowość. Umiał odpowiednimi słowami i gestami pocieszyć umierające dziecko i jego bliskich żałoby rodziców, dawać nadzieję i mądrze ją odbierać, kiedy nie było już na nią miejsca. Zdarzało się, że tak bardzo trawił go żal z powodu tego, co zostawił na oddziale albo w kostnicy, że po powrocie do domu nie był w stanie z nimi rozmawiać. Szedł do swojego gabinetu na tyłach, do pokoju, w którym kiedyś mieli nadzieję ulokować drugie dziecko, i usuwał się z rodzinnego życia do czasu, kiedy się uwolnił od tych uczuć.

Kiedyś, jesienią, kiedy się poznali, odwiedziła go w szpitalu, w którym odbywał staż, i widziała, jak w jego ramionach trzęsie się starsza pani. Jej syn, mężczyzna w średnim wieku, z zespołem Downa, umierał nieopodal z powodu wrodzonej wady serca. Jego los był przesądzony od chwili, kiedy się urodził, a mimo to matka wyła z bólu. Ona przyszła kilka minut przed końcem trzydziestosześciogodzinnego dyżuru Jonathana i stała na końcu korytarza. Patrzyła i było jej wstyd, że patrzy, że zatruwa swoją obecnością ten najprawdziwszy moment między dwojgiem ludzi.

Była już wtedy na ostatnim roku studiów, była badaczką ludzkich zachowań, przyszłą adeptką sztuki

leczenia bólu, szczególnie jednej jego kategorii: bólu psychicznego. A mimo to, a mimo to... Niesamowite cierpienie, które widziała na drugim krańcu tamtego długiego korytarza, niemal zważyło ją z nóg. Jego siła. Nikt o tym nie wspominał na seminarium poświęconym Dorze Freuda ani na fascynującym kursie psychologii anomalistycznej. Były koła i tryby, i myszy w labiryntach, teorie i próby z lekami, i najróżniejsze formy terapii: od awersji i regresji po sztukę i muzykę, i nudną, nieskuteczną rozmowę. Ale to... Ledwo to wtedy wytrzymała, choć wcale nie stała blisko.

Prawda była taka, że Jonathan wszędzie widział cierpienie, a raczej to ono umiało go znaleźć, gdziekolwiek się kryło albo czekało uśpione, żeby w odpowiednim momencie przyczepić się do czyjejś duszy. Zbierał przypadkowe smutki obcych ludzi i wyznania pogrążonych w poczuciu winy. Taksówkarze dzielili się z nim żałobą. Nie zdarzało się, żeby przeszedł obok szwajcara i nie wysłuchał przygnębiającej opowieści o sparaliżowanym siostrzeńcu albo rodzicu osuwającym się w demencję. Nie umiał zjeść obiadu w ich ulubionej włoskiej knajpie i nie zapytać właściciela, czy jego chora na mukowiscydozę córka zareagowała na nowy lek (te rozmowy zawsze ich obu przygnębiały). Kiedy byli sami, we troje, Jonathan wydawał się lekki i między innymi z tego powodu odgradzała życie swojej rodziny od świata tak wysokim murem. Ale innym trudno było

nie wykorzystywać jego natury.

Może wszystko sprowadzało się do tego, że mimo iż sam cierpiał, nie bał się bólu tak jak inni. Rzucał się w jego wir, zaciekle bił pięściami, jakby było możliwe, że kiedyś mu się uda zadać choćby najlżejszy cios. Kochała to w nim i podziwiała, ale ją też to wyczerpywało. A czasem martwiło. Nie było innej możliwości: musiał wiedzieć, że rak w końcu go pokona, że walki toczone przez ludzi i bezkresne wariacje ciężącego im smutku nigdy nie stracą na sile. Przez to wszystko stawał się kruchy. Nieraz próbowała mu to powiedzieć. Chciała, żeby zrozumiał, że to, że jest człowiekiem przyzwoitym wśród ludzi bezwzględnych, prędzej czy później może się obrócić przeciwko niemu. Ale najczęściej nie chciał tego zauważać, jakby nie umiał widzieć ludzi w tak złym świetle jak ona.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kurs podróżowania na skróty

Wyszła z windy wprost do zatłoczonego holu Spenserów i natychmiast zauważyła, że nieobecność gospodarzy stała się tematem wieczoru. Szczególnie Sally wciąż nie mogła się otrząsnąć po niespodziewanej wiadomości: Spenserowie nie tylko nie zdołali spotkać się z nimi przed bankietem, ale w ogóle nie zamierzali tego wieczoru zjawić się w domu. Jonas, jak im powiedziano, jest w Chinach (to było w miarę wiarygodne), ale gdzie jest Suki – nikt nie wiedział. Mogła się ukrywać w drugim końcu miasta albo w domu w Hamptons. Z punktu widzenia komitetu mogła się nawet chować w innej części mieszkania, ale to nie miało znaczenia. Nie zjawiła się tam, gdzie wszyscy się jej spodziewali, czyli u siebie, razem z innymi rodzicami ze szkoły. Sally odchodziła od zmysłów. Robiło się to komiczne, kiedy się widziało, ile wysiłku wkłada w to, żeby zachować pozory, żeby na oczach służby wyglądać na bardzo wdzięczną.

Jeszcze na dole, przy stoliku w foyer, tylko jeden gość spytał Grace, czy Spenserowie są na przyjęciu.

– On chyba wyjechał do Azji – powiedziała, nie

wchodząc w szczegóły. Sądziła, że Sally by ją za to pochwaliła.

Ale Sally miała inne plany. Ewidentnie postanowiła, że wszyscy muszą się dowiedzieć. Grace przyglądała się gościom z holu z kieliszkiem szampana w dłoni – przyniosła go jej Sylvia, a ona przyjęła go z wdzięcznością. Patrzyła, jak owładnięta dziennikarskim impulsem Sally skacze od grupy do grupy, zapyłając gości niczym nieszczęśliwy koliber i zostawiając po sobie charakterystyczny odór paniki. Ona i Sylvia sączyły szampana i śledziły postępy jej akcji informacyjnej. Wcześniej próbowały ją uspokoić. Przypominały, że mieszkanie jest wspaniałe, że dzięki olbrzymiej przestrzeni i sztuce godnej MoMA niczego mu nie brakuje i że jeśli goście są zawiedzeni, że właściciela, światowej sławy magnata medialnego, nie ma, to zostaje im jeszcze pławienie się w luksusach, które im zapewnił. Medialni magnaci o międzynarodowej sławie często biorą udział w imprezach ważniejszych od zbiórki pieniędzy na szkołę (choć gdyby się nad tym zastanowić, dałoby się to powiedzieć prawie o wszystkich gościach) i żaden z obecnych mężczyzn z pewnością nie zauważyłby, że nie ma jego żony, a już na pewno by się tym nie przejął. Z kobietami jest inaczej. Po nich można się było spodziewać, że rozgrzebią sprawę ucieczki Spenserów, chociaż dopiero później, po aukcji i zebraniu czeków. Bo czy nie o to właśnie chodzi?

Miejsce gospodarzy zajmował kordon ich podwładnych: zawiadująca wszystkim sekretarka i przynajmniej dziesięciu odpowiadających przed nią umundurowanych ochroniarzy rozstawionych po pokojach i pilnujących drzwi do bardziej prywatnych kwater. (Oprócz nich, rzecz jasna, pokojówki i kelnerzy, i dwie kobiety o karaibskich rysach, co jakiś czas wychodzące z kuchni z tacami i znikające za drzwiami za plecami ochroniarzy). Efekt był nieunikniony: wyglądało to tak, jakby to była impreza zorganizowana w miejscu publicznym, na przykład w posiadłości w Newport albo w Świątyni Dendur, nie w domu rodziców ucznia, otwartym dla pozostałych członków szkolnej społeczności. Grace zdołała zgasić własne rozczarowanie. Dobrze wiedziała, na co Sally miała nadzieję albo czego wprost oczekiwała: zabawnych, osobistych anegdot na temat dzieł sztuki albo okoliczności zakupu właśnie tego adamaszku na zastony w salonie, a może nawet krótkiej prezentacji słynnej garderoby (Suki regularnie trafiała na listę najlepiej ubranych). Wiedziała, że Sally (choć musiała przyznać, że ona też) pragnęła zobaczyć obszerną i szczegółowo opisywaną spiżarnię, którą pochodząca z Hokkaido Suki podobno zaopatrzyła w szeroki asortyment japońskich specjałów – Grace przeczytała w „Vanity Fair”, że dzieci Spenserów są na ścisłej diecie makrobiotycznej – a także ów skrajny przykład nowojorskiej pornografii architektonicznej, wielką pralnię, sfotografowaną

niegdyś dla „Przeglądu Architektonicznego”: trzy praczki w uniformach prasowały niezliczone sztuki drogiej pościeli. Skoro jednak dostęp do mniej reprezentacyjnych pomieszczeń został tak ostentacyjnie odcięty, nie można było się spodziewać równie osobistych przejawów gościnności. Sally trudno było się z tym pogodzić. Całą godzinę przed oficjalnym rozpoczęciem Wieczoru dla Reardena kursowała po udostępnionych pokojach (w towarzystwie dwóch strażników), robiła porządek na aukcyjnym stole i doglądała wraz z Sylvią i Grace tymczasowego baru, wybudowanego w holu, pod ogromnymi schodami. W ten sposób pewnie rekompensowała sobie rozczarowanie – dawała się ponieść fantazji, że to ona jest panią tego miejskiego dworu. Na pewno ubrała się odpowiednio do roli. Miała na sobie obszerną tygrysią sukienkę od Roberta Cavallego, która dość odważnie odsłaniała jej duże (ale przynajmniej naturalne) piersi, a do tego buty na niewiarygodnie wysokich obcasach. Dosłownie opływała w brylanty. Wyglądała jak dorosła wersja małej dziewczynki przystrojonej dla zabawy w plastikowy zestaw: naszyjnik, kolczyki, bransoletkę i pierścionek.

– Spójrz na Malagę – powiedziała nagle Sylvia i Grace podążyła za jej spojrzeniem.

Malaga Alves stała na tle wielkiego okna. W jednej dłoni trzymała kieliszek czerwonego wina, drugą nieporadnie wcisnęła za plecy. Wyglądała, jakby się

czuła niezręcznie i jakby była bardzo samotna, chociaż samotność doskwierała jej tylko przez chwilę. Na oczach Grace i Sylvii rozgrywała się pasjonująca scena. Najpierw jeden wystrojony mężczyzna, a potem drugi – Nathan Friedberg, ten od obozu za dwadzieścia pięć tysięcy – podeszli, żeby jej dotrzymać towarzystwa. Malaga spojrzała na nich i uśmiechnęła się, i w tym momencie Grace zauważyła, jak zachodzi w niej zmiana, a raczej głęboka przemiana. Na początku nie do końca zdawała sobie sprawę z tego, co widzi. Malaga stała między dwoma mężczyznami – jeden był przystojny, drugi nie – i zdawała się otwierać (tak mógłby to nazwać Fitzgerald) jak kwiat. Nagle zaczęła się stawać nieodparcie zmysłowa. Miała na sobie prostą różową sukienkę, opinającą, co prawda niezbyt ciasno, jej naznaczone porodem ciało i kończącą się tuż nad kształtnymi kolanami. Na szyi nosiła złoty krzyżyk. To była jej jedyna biżuteria. Uważnie się uśmiechała do obu, wykręcała piękną szyję to w jedną, to w drugą stronę. Grace po raz pierwszy dostrzegła jej gładką skórę, jej niewątpliwie naturalny dekolt (odpowiednio odsłonięty, żeby ukazać prawdziwe kontury) i trochę tylko bujne ramiona, tak agresywnie niewyrzeźbione, tak... Grace szukała właściwego słowa... kobiece.

Po chwili u jej boku stanął trzeci mężczyzna, tęgi ojciec dziewczynki z klasy Henry'ego. Jakieś stanowisko w Morgan Stanley. Bardzo, bardzo bogaty. Wszyscy trzej rozmawiali z Malagą Alves albo ze sobą

nawzajem nad jej głową, podczas gdy ona patrzyła na nich z dołu. Sama zdawała się nic nie mówić, nie dawała też żadnych znaków, że zgadza się z tym, co mówią oni. Wszyscy trzej nadywali się i trzepotali, wciąż krążąc na wyciągnięcie jej ręki. Po jakimś czasie podszedł czwarty. Udał, że wita się z jednym z tamtych trzech, a potem spojrział na Malagę.

Nawet dla Grace, która nie była nowicjuską w dziedzinie ludzkich interakcji, był to oszałamiający pokaz prawie zwierzęcego przyciągania. Uroda Malagi Alves sama w sobie może nie była wyjątkowa (była przecież pulchna, miała za dużo ciała w policzkach, szyi i ramionach!), ale jako suma wszystkich części stanowiła nie lada zjawisko. Grace patrzyła na tych mężczyzn z lekkim rozbawieniem i obrzydzeniem. Mierzyła ją ich hipokryzja. Z dużym przekonaniem można było założyć, że każdy z nich ma podwładne, które ją przypominają, kobiety o podobnie płaskich rysach i kremowej skórze, pełnych biodrach, piersiach i udach ukrytych pod klasycznie stonowanymi uniformami. Niemal na pewno wiele razy w ciągu dnia, w pracy albo w domu, mieli do czynienia z kobietami wyglądającymi jak Malaga Alves. Kobiety wyglądające jak Malaga Alves mogły w tej właśnie chwili opiekować się ich dziećmi albo prać ich ubrania. Ale czy przy tych znanych sobie kobietach zachowywali się tak jak teraz? Nie, jeśli chcą nadal mieć żony, pomyślała Grace.

Wspaniała sala była pełna starannie

wypielegnowanych kobiet, uznanych (wręcz czczonych) piękności, wyaerobikowanych, wymasowanych, pofarbowanych i ufryzowanych, zmanipedikiurowanych i wydepilowanych metodą brazylijską, ubranych w stroje z rozkładówek, a tymczasem charakterystyczny zapach erotycznego powabu dobiegał z miejsca, gdzie stała Malaga Alves. Był niesamowicie czysty i silny, z pewnością zdolny unieszkodliwić każdego tytana, a mimo to kobiety zdawały się go nie wyczuwać. Ten syreni śpiew, pomyślała Grace, wędrując wzrokiem po zebranych, od połączanych ścian do błyszczących okien, najwyraźniej słyszą tylko osobnicy z chromosomem Y.

Oddała kieliszek kelnerowi i poszła pomóc Sally, która zaganiała tłum z holu w stronę wielkiego salonu, gdzie miała się rozpocząć aukcja. Sylvia znalazła znajomego, niegdyś przeciętnego studenta trygonometrii, a dziś szefa działu amerykańskich mebli w Sotheby's. Był łysy i bardzo szczupły, i z rozmysłem przystrojony w jedwabną zielono-granatową muszkę (oficjalne barwy Reardena). Sylvia zaprowadziła go na stojące w rogu sali podium.

– Witajcie! – pisnęła Sally do mikrofonu. Przez chwilę stuknęła w niego długim paznokciem, aż goście przestali rozmawiać i zasłonili uszy.

– Włączony? – spytała.

Tłum dał jej do zrozumienia, że tak.

– Witajcie! – powiedziała jeszcze raz. – Zanim cokolwiek zrobię, chciałabym poprosić o owacje dla

naszych gospodarzy, Jonasa i Suki Spenserów. Cóż za wspaniały i łaskawy gest z ich strony – oznajmiła nieszczercze. – Jesteśmy niezwykle wdzięczni.

Wszyscy odpowiedzieli owacją. Grace też klaskała.

– Chcę też podziękować naszemu niestrudzonemu komitetowi organizacyjnemu – ciągnęła Sally. – Zaciągnęli was tu siłą i dopilnowali, żebyście mieli co jeść i na co wydać pieniądze. Amanda Emery? Gdzie jesteś, Amando?

– Hej – zaszczebiotała Amanda z końca sali i pomachała błyszczącym mankietem nad jasnoblonde czupryną.

– Sylvia Steinmetz? Grace Sachs?

Grace podniosła rękę. Starła się ukryć zdenerwowanie. Nie była żadną Grace Sachs, nigdy. Nie żeby nie lubiła tego nazwiska i jego towarzyskich konotacji (choć branza, w której działał Jonathan, nie miała nic wspólnego z Warburgami, Loebami i Schiffami, jego przodkowie przybyli przez Boston ze sztetlu ze wschodu Polski), ale nie utożsamiała się z nim. Zawsze była Reinhart. Reinhart w pracy, Reinhart na okładce prawie książki i Reinhart na każdym dokumencie związanym ze szkołą, w tym także w programie aukcji. O dziwo, jedyną osobą, która mówiła o niej Grace Sachs, był jej ojciec.

– Ja nazywam się Sally Morrison-Golden – powiedziała Sally i zrobiła przemyślaną pauzę. – Tak się cieszę, że zebraliśmy się tu wszyscy, żeby uczcić

naszą wspaniałą szkołę i zrobić, co w naszej mocy, żeby nauka była dla naszych dzieci możliwie najlepszym doświadczeniem. Zdaję sobie sprawę – ciągnęła z szerokim uśmiechem – że niektórzy z was myślą sobie: czy nie płacę już wysokiego czesnego?

Przez tłum niespokojną falą przebiegł oczekiwany nerwowy śmiech.

– Tak, to prawda. Ale naszym obowiązkiem jest dopilnować, żeby Rearden przyjmował tych uczniów, których chce przyjąć, i żeby ci uczniowie byli w stanie przychodzić na lekcje bez względu na swoją sytuację finansową.

Tak? – pomyślała Grace. Od kiedy? Zebrani zaklaskali niemrawo.

– No i oczywiście – mówiła dalej Sally – naszym obowiązkiem jest zapewnienie naszym wspaniałym nauczycielom godziwego wynagrodzenia, żeby nas nie zostawili dla innych szkół. Kochamy naszych nauczycieli!

– Tak trzymać! – krzyknął ktoś spod ściany z Pollockami, wywołując salwę śmiechu. Ludzie śmiali się raczej ze staromodnego okrzyku niż z tego, co wyrażał.

Oczywiście, że Rearden docenia swoją kadrę nauczycielską, pomyślała Grace. Ale nie na tyle, żeby ją zaprosić na bankiet. No ale ilu z nich byłoby stać na bilet za trzysta dolarów?

– Więc mam nadzieję, że wszyscy przynieśliście

książeczki czekowe, bo choć jesteśmy tu po to, żeby pić dobre wino, jeść pyszne zakąski i podziwiać widok, to wiemy, po co to całe zamieszanie. – Sally uśmiechała się od ucha do ucha, zadowolona, że mówi z taką swadą. – Przyjmujemy karty Visa, MasterCard, czarne American Express, akcje i obligacje!

– I dzieła sztuki! – dorzuciła Amanda Emery. – I nieruchomości!

Tu i ówdzie zabrzmiał pełen zakłopotania śmiech.

– A teraz – powiedziała Sally – zanim zawiniemy rękawy i zabierzemy się do roboty, nasz własny Mister Chips, Robert Conover, chciałby was wszystkich oficjalnie powitać. Robert?

Dyrektor szkoły pomachał z odległego rogu długiej sali i ruszył w jej stronę.

Grace odplynęła. Robert wygłaszał swoje przewidywalne kwestie, przeciągając podziękowania (znów) i przypominając wszystkim (znów), dlaczego muszą zbierać pieniądze i jak to dobrze, że mają okazję docenić doskonałe wykształcenie, które otrzymują uczniowie Reardena, i ile ich wdzięczność znaczy dla nauczycieli. W końcu również Grace odwróciła wzrok od podium, z którego przemawiał. Na niewielkim stoliku obok niej siedziała Sylvia, z laptopem, gotowa do przyjmowania ofert. Wyraźnie widoczny na ekranie zegar pokazywał ósmą trzydzieści sześć, a to oznaczało, że Jonathan nie był już tylko trochę spóźniony, ale że spóźnił się poważnie. Najpierw spojrzała na ludzi

stojących na krańcach sali, potem zeskanowała tłum od lewej do prawej, od tyłu w stronę podium. Nie było go. Nie stał w drzwiach. Nie przyszedł z grupką, która w tej właśnie chwili wpadła do holu, składającą się z dwóch par, które najwyraźniej przyszły razem po jakiejś prywatnej uroczystości i były zbyt podchmielone, żeby zauważyć na dole wieszak na ubrania. Wtoczyli się ciemną kulą kaszmiru i futra, rozbawieni czymś kompletnie niezwiązanym z Wieczorem dla Reardena, aż jedno z nich zorientowało się, jakie zaliczyli wejście, i uciszyło pozostałych. Jonathan nie uczestniczył w ich hulance. Nie wysiadł za nimi z prywatnej windy, która wyrzuciła ich do mieszkania i zjechała na dół.

No dobrze. Więc sziwa trwa dłużej, niż myślał. Wmuszają w niego jedzenie albo matka nie chciała go wypuścić, czując, że kiedy wyjdzie lekarz jej dziecka, dziecko odejdzie razem z nim. A może zebrał się minjan, żeby zmówić kadisz, i Jonathan musiał zostać, przynajmniej po to, żeby potakiwać w rytm modlitwy, bo Grace wątpiła, żeby znał ją na pamięć, chociaż od tyłu lat chodził na pogrzeby. Zadziwiła ją, że jest w stanie znieść kolejną sziwę, kolejną zdruzgotaną rodzinę, kolejny kadisz. Ciężar, który dźwigał, chore dzieci i ich przerażeni rodzice – ten świat nie przystaje do nieczułości i poczucia uprzywilejowania, które wypełniają ten apartament, pomyślała, przyglądając się lekko zarumienionym twarzom wesoło przytakującym w odpowiedzi na niewątpliwie pocieszenia padające z ust

dyrektora – może mówił coś o tym, że ich zdrowe, dopieszczane dzieci zajęły wysokie miejsce w najnowszym rankingu nowojorskich szkół prywatnych albo że są o krok od osiągnięcia wyższego wskaźnika przyjęć na uczelnie Ivy League niż Trinity albo Riverdale. Uśmiechali się synchronicznie i śmiali, jakby nimi dyrygował ten, kto stał na mównicy. A dlaczego mieliby się nie uśmiechać? W ich świecie, wysoko nad miastem, wszystko było na miejscu. Ci mężczyźni wyczarowujący pieniądze z innych pieniędzy, i kobiety, które mościły nimi swoje gniazdko. I nawet to wspólne przedsięwzięcie: zbiórka na – cóż za zbieg okoliczności! – ich szkołę, ich dzieci. Jak ten świat może w ogóle istnieć na tej samej planecie co świat Jonathana? Wyobraziła go sobie w małym mieszkaniu w Crown Heights, jak stoi ramię w ramię z innymi, z kwadratowym kawałkiem materiału przypiętym do marynarki, trzęsie dłońmi i pochyla głowę w modlitwie, i czuje – wiedziała to na pewno – że całkiem ich wszystkich zawiódł.

Kto wie, kiedy się zjawi. I czy w ogóle przyjdzie. Na króciutką chwilę pozwoliła sobie na odrobinę żalu. Wkrótce zniknął, ustępując nieznośnemu poczuciu winy.

Czasami naprawdę się nienawidziła.

Już w pierwszych zdaniach licytator odszedł od scenariusza:

– Spójrzcie – powiedział.

Trzymał w górze wypełnioną do połowy szklanę

wody, zwykłą szklankę. Grace, sądząc, że wie, do czego to prowadzi, nie ośmieliła się spojrzeć na Sally.

– Mój własny datek na rzecz szkoły Rearden, która nas tu wszystkich dzisiaj przywiodła. Niniejszym wystawiam na sprzedaż szklankę wody z kranu, z kuchennego zlewu. Zwyczajna nowojorska woda z kranu. Każde z was mogło pójść do kuchni i sobie takiej nalać.

Nieprawda, pomyślała Grace.

– Pozwólcie więc, że was o coś zapytam. Jaką wartość ma ta szklanka z wodą? Ile jesteście gotowi za nią dać?

Rozejrzał się po sali. Robił to, albo coś podobnego, już nieraz, to oczywiste, ale nadal się tym napawał. Wyraźnie było to widać.

– Do połowy pełna czy pusta? – zapytał ktoś z tyłu.

Licytator się uśmiechnął.

– Ile usłyszę? – zapytał i podniósł szklankę wyżej.

– Tysiąc! – zawołał ktoś w rogu sali.

Nathan Friedberg.

– Bravo! – ucieszył się licytator. – Więc ta szklanka wody jest warta już tysiąc dolarów. Czy to oznacza, sir, że gotów jest pan wpłacić tysiąc dolarów na rzecz komitetu rodzicielskiego Reardena w zamian za tę oto szklankę wody?

Nathan Friedberg się roześmiał. Grace zauważyła, że jego żona stoi obok niego. Jedną ozdobioną klejnotami dłoń zaciskała na kieliszku z winem, drugą na łokciu męża.

– Nie – odparł z szerokim uśmiechem. – Ale gotów jestem dać dwa tysiące.

Przez nagle poruszony tłum przeszedł szmer wypuszczanego powietrza, jakby z zebranych uszła pokaźna dawka napięcia.

– Teraz ta szklanka wody jest warta dwa tysiące dolarów. – Licytator z aprobatą kiwał głową. – To dobry moment, żebyśmy sobie przypomnieli, w jakim celu tu przyszliśmy. Potrzebujemy darmowych biletów na broadwayowski spektakl? Pewnie nie. Czy jesteśmy w stanie bez większego trudu wynająć mieszkanie w Paryżu? Oczywiście, że tak. Ale nie po to się zebraliśmy. Jesteśmy tu, ponieważ darowanie pieniędzy na rzecz szkoły, w której uczą się nasze dzieci, jest warte zachodu. Choć muszę przyznać – uśmiechnął się szeroko – że widziałem niejedną aukcję, ale wasza robi na mnie wyjątkowe wrażenie.

– Trzy tysiące – powiedział Simon Golden, podnosząc rękę.

– Dziękuję! – odparł licytator, znów pokazując szklankę bezcennej wody. – Mam nadzieję, że już mówiłem, że zamierzam od was wyciągnąć jak najwięcej.

Teraz już wszyscy się śmiali. Kolejny rodzic dorzucił tysiąc, po nim jeszcze jeden. Kwota za każdym razem rosła o tysiąc dolarów. Licytator znów uniósł szklankę. Jej wartość sięgnęła jedenastu tysięcy. Można było odnieść wrażenie, że nawet on uznałby wyższą ofertę za

nieodpowiednią.

– Kto da więcej? Ostrzegam.

Nikt już nie licytował.

– Sprzedane! Szklanka nowojorskiej wody z kranu, aqua Giuliani, dla dżentelmena w niezwykle szykownym granatowym krawacie, za jedenaście tysięcy dolarów. Sir? Pańska woda.

Nathan Friedberg wśród gromkich braw przeszedł przez salę, odebrał szklankę od licytatora i duszkiem wypił wodę.

– Przepyszna – oznajmił. – Warta każdego centa.

Po tym pojedynku na męskość rozpoczęła się właściwa aukcja. Wycieczki i biżuteria, stolik szefa kuchni w restauracji Blue Hill, bilety na rozdanie nagród Tony, weekend na Canyon Ranch. Oferty sypały się obficie i lekko, a każde soczyste uderzenie młotka wywoływało ekstatyczne westchnienie. Sally kipiała radością. Już w połowie aukcji przekroczyli spodziewany utarg.

To był absurd, ale nie rzecz niespotykana. Grace nawet to rozumiała. W Daltonie ktoś wylicytował dla swojego dziecka wizytę w Gabinetcie Owalnym. W Spence School jakiś rodzic kupił miejsce obok Anny Wintour podczas pokazu na tygodniu mody (rozmowa z wyrocznią mody pewnie nie była wliczona w cenę). W Collegiate, jak głosiła plotka, ktoś wygrał osobiste spotkania z dziekanami od przyjęć w Yale i Amherst. Innymi słowy kupowali dostęp nie do czegoś nic

nieznaczącego, jak zaplecze Madison Square Garden, choć i takie rzeczy licytowano na szkolnych aukcjach, tylko do informacji. Kurs podróŜowania na skróty.

Grace wyszła, kiedy licytowano tydzień w Montauk. Poszła do łazienki. Ale łazienka była zajęta.

– Jest inna toaleta? – spytała szeptem strażnika.

Kiwnął głową w stronę drzwi, za którymi godzinę wcześniej zniknęły dwie Karaibki.

– Mogę tam wejść?

Tam, czyli w niezbyt szeroki korytarz wyłożony trzeszczącym sizalem. Co jakieś trzy metry z sufitu zwisały miniaturowe żyrandole. Wszystkie były przyćmione, ale zdobiące ściany rysunki starych mistrzów miały własne oświetlenie w postaci doskonale skalibrowanych lampek. W ich blasku wprost lśniły. Grace nie mogła się powstrzymać: stanęła przy akcie Rembrandta. Dziwiła się, że nie wisi w muzeum, tylko w czyimś domu, w dodatku w odległym korytarzu. Kiedy zamknęła za sobą drzwi, cały apartament i odbywający się w nim bankiet jakby przestały istnieć.

Po jednej stronie korytarza ciągnęły się drzwi do pokojów, jak w akademiku albo w zbudowanym dla służby skrzydle wielkiego domu. Domyślała się zresztą, że taką właśnie funkcję pełnią te pokoje. Pomyślała o Karaibkach w uniformach, które wciąż znikały za tymi samymi drzwiami z talerzami gości, prawdopodobnie zwolnione ze swoich codziennych obowiązków, które pełniły tutaj albo gdzie indziej. Teraz musiały je pełnić

inne nianie, w innych domach Spenserów. Wszystkie drzwi były zamknięte. Grace szła korytarzem, od rysunku do rysunku, jakby przechodziła przez strumyk i mijała kolejne kwiaty lilii. Wreszcie dotarła do toalety na końcu holu. Rozpoznała ją po świetle bijącym przez szpary i widocznym skrawku oślepiająco białych kafelków. Te drzwi też były zamknięte, a w środku buczał wentylator. Z kranu leciała woda. I jeszcze jeden odgłos. Grace zmarszczyła czoło. Odgłos, który jak każda terapeutka знаła aż nadto dobrze: szloch, w dodatku w najczystszej, najbardziej rozpaczliwej odmianie, stłumiony dłońmi usilnie próbującymi zataić rozpacz. Chociaż od wielu lat patrzyła na płaczących ludzi, słuchała płaczących, ten odgłos wciąż robił na niej wielkie wrażenie. Stała kilkadziesiąt centymetrów od drzwi i prawie bała się oddychać, żeby ta kobieta nie cierpiała jeszcze bardziej, żeby się nie dowiedziała, że ktoś ją podsłuchuje.

Nietrudno było sobie wyobrazić, kto tam jest i dlaczego płacze. Grace, jak każda wystarczająco świadoma nowojorska matka, zdawała sobie sprawę, że większość kobiet, które zajmują się w Nowym Jorku dziećmi z uprzywilejowanych rodzin, ma własne dzieci, ale one na ogół są bardzo daleko, na innych wyspach, w innych krajach. Ile żalu i goryczy kryje się na dnie tego społecznej umowy. Tego tematu nigdy nie poruszano na spotkaniach matek ani w holu szkoły. Nigdy nie przekraczał bariery krew–mózg, dzielącej

tutejsze matki i pomagające im opiekunki. Nie była to oczywiście tajemnica, ale czasem odnosiło się wrażenie, że się obcuje z czymś brutalnym i bezdennym, z monstualną ironią losu. Nic dziwnego, że ta kobieta szłocha, pomyślała Grace, patrząc na zatrzaśnięte drzwi i nadal nie mogąc oderwać stóp od sizalowej wykładziny. Może zostawiła swoje dzieci w jakimś brzydkim domu, pod każdym względem oddalonym od tej posiadłości, żeby się opiekować, a czasem kochać dzieci Jonasa i Suki Spenserów, wysoko nad niewyobrażalnie drogim miastem. Może, skoro mieszkanie jest pełne obcych, a właściciele wyjechali, wykorzystwała chwilę samotności, żeby dać upust smutkowi matki pozbawionej kontaktu z dziećmi.

Grace zrobiła krok w tył. W myślach tłumiła szelest wykładziny. Nie zaszeleściła. Zrobiła jeszcze krok, odwróciła się i wróciła tą samą drogą, którą przyszła.

Kiedy wchodziła do holu, poczuła, że jej torebka wibruje. Wyjęła telefon. Wiadomość od Jonathana. Rzeczywiście, nie było go – tyle akurat wiedziała – ale, o dziwo, był u Spenserów i widział przynajmniej część aukcji. „Przyszedłem późno, przez sziwę – napisał. –

Właśnie napisali ze szpitala. Pacjent ma kłopoty. Spróbuję wrócić. PRZEPRASZAM”.

W świecie Jonathana pacjent zawsze miał kłopoty. Małe dziecko, które właśnie usłyszało diagnozę, które właśnie zaskoczyło nagłe pogorszenie albo które znalazło się w stanie krytycznym. Zawsze był telefon od

spanikowanej matki, której bystrego pięcioletniego syna w jednej chwili ścięto z nóg, przekonanej, że nad jej głową wisi koło Ezechiela. Zawsze byli rodzice, rozwścieczeni własną bezsilnością i gotowi wybuchnąć. Przez wszystkie te lata Jonathan był bity, wielokrotnie płakano mu w ramię, wciągano w niekończące się spory. Pełnił też rolę spowiednika: Czy to dlatego, że uprawiałem seks z prostytutką? Czy ten rak to moja wina, bo przez ostatnie cztery lata potajemnie paliłam, nawet w ciąży? Dni Jonathana były jak pas transmisyjny przenoszący wszelkiego rodzaju ludzkie kryzysy, zawsze śmiertelnie groźne, przełomowe, niosące najcięższe konsekwencje. Nawet ona, chociaż tyle razy rozpoczynała zwykłą sesję terapeutyczną, żeby później patrzeć, jak klient wali głową w mur, nie umiała sobie wyobrazić, jak ulotne jest codzienne życie jej męża.

„Nie widziałam cię”, odpisała kciukami. Tę umiejętność doprowadziła do smutnej perfekcji.

„Machałem jak debil”.

Westchnęła. Nie było sensu tego ciągnąć. Przynajmniej udało mu się przyjść.

„Do zobaczenia w domu – napisała. – XX”.

„XX”, odpisał.

Ich zwyczajowe elektroniczne pożegnanie.

Kiedy z łazienki wyszła Jennifer Hartman, Grace kiwnęła głową i weszła. Tam też lśnił żyrandol – ogromnymi szorstkimi kawałkami szkła. Pokrywał cętkami nawoskowane ściany. Nad sedesem wisiał

autoportret Warhola. Doskonały sposób (pomyślała Grace mimo woli) na przerwanie strumienia męskiego moczu. Umyła ręce lawendowym mydłem.

Aukcja miała się ku końcowi. Do wylicytowania został już tylko obóz małego milionera (tak Grace nazwała przedsięwzięcie oświatowe Nathana Friedberga), ale w końcu i on poszedł, po walce stoczonej przez czterech rywali, potem trzech, potem dwóch, za trzydzieści tysięcy. Okazja, oznajmił głośno Friedberg, jeśli się to wykaże w zeznaniu podatkowym jako datek na cel charytatywny. Grace nie znała pary szczupłych Europejczyków, którzy złożyli zwycięską ofertę.

Na tym licytacja się zakończyła, w atmosferze ulgi i samozadowolenia. Grace widziała, że Sally jest w siódmym niebie. Przyjmowała gratulacje od Roberta, dyrektora, i Amandy, która wyrzuciła z siebie raczej mało dostojne „Juhuu!”. Objęła wyższą od niej Sally i zmusiła ją, żeby podskakiwała niezręcznie jak Tipper i Hillary na konwencji Partii Demokratycznej. Mężczyźni energicznie ściskali sobie dłonie. Przez salę płynęła fala gratulacji. Potem zaczął się exodus. Kilka par stało już w drzwiach i próbowało się dyskretnie oddalić. Była tam też Malaga Alves. Trzymała katalog aukcyjny jak wachlarz. Grace pomyślała, że nie licząc krótkiego powitania na dole, przez cały wieczór nie zamieniły ani słowa. Przemknęła obok niej szybkim krokiem, ze spuszczoną głową.

Chwilę później u jej boku zmaterializował się Robert Conover. Położył jej na ramieniu swoją dużą dłoń i pocałował, dotykając policzkiem jej policzka. Jak wspaniale to zorganizowały, powiedział.

– Głównie Sally – odparła Grace. – No i Spenserowie. Im też należą się podziękowania.

– Oczywiście. Zaocznie.

– Nie nam to oceniać – powiedziała, wzruszając ramionami. – Ja w każdym razie nie zamierzam zaglądać w zęby darowanemu widokowi z okien. Poza tym przyznasz chyba, że jest coś ekscytującego w byciu tutaj pod ich nieobecność. Trochę jak w *Krawcu z Gloucester*.

– Raczej coś jak kota nie ma, myszy harcują – odparł Robert. – Założę się, że kilku gości już kombinuje, jak by się dostać do prywatnych pokoi, na piętro.

– A kobiety do garderób – powiedziała Grace.

Robert się zaśmiał.

– Sam chętnie bym do nich zajrzał.

– Julian nie mógł przyjść? – spytała Grace.

Widziała ostatni spektakl jego teatru, mocną i zdecydowaną eksperymentalną interpretację *Procesu* Kafki. Bardzo by chciała o niej porozmawiać.

– Niestety – odparł Robert. – Jakaś konferencja w Los Angeles. A twój gdzie? Widziałem go podczas aukcji.

– Dostał telefon ze szpitala. Musiał wracać.

Widziała, jak twarz Roberta wykrzywia grymas. Często tak było, kiedy mówiąc o mężu, wypowiadała

słowo „szpital”.

– Mój Boże – powiedział Robert jak na zawołanie. – Jak on daje radę?

Grace westchnęła.

– Chodzi tylko o to, co mogą zrobić dla dzieci. O postęp.

– Czyli jest w tym jakiś postęp?

– Oczywiście – odparła Grace. – Nie tak szybki, jak by wszyscy chcieli, ale jest.

– Nie wiem, jak mu się udaje wchodzić tam co rano. Kiedy leżała tam matka Juliana, z rakiem okrężnicy...

– Przykro mi – powiedziała Grace odruchowo.

– Dziękuję. Była tam miesiąc, jakieś cztery lata temu. I potem jeszcze kilka tygodni pod koniec. Jak już wszystko się skończyło i ostatni raz stamtąd wychodziliśmy, pomyślałem sobie: mam nadzieję, że już nigdy, do końca życia, nie będę musiał tu wchodzić. No bo gdziekolwiek człowiek spojrzeł: ból, ból, ból.

Tak, tak, pomyślała, zachowując najbardziej profesjonalny, współczujący wyraz twarzy. Gdyby Jonathan tu był, mówiłby mu teraz, że owszem, jego praca jest wymagająca, tak, duże emocje, ale to przywilej móc zbliżyć się do ludzi w takich trudnych chwilach, kiedy instynkt podpowiada im raczej, żeby wykopali wokół siebie fosę i kazali wszystkim trzymać dystans, bo najgorsza rzecz, jaka się kiedykolwiek zdarzyła i jaką w ogóle mogli sobie wyobrazić, właśnie się przydarzała ich synowi albo córce. Mówiłby, że

nawet jeśli nie jest w stanie wyleczyć dziecka, które jest jego pacjentem, to prawie zawsze potrafi mu trochę ulżyć, na przykład wyeliminować ból. To ma znaczenie dla niego i dla jego rodziny. Setki razy – setki razy tylko w jej obecności – słyszał tę czy inną wersję pytania: jak pan to robi? I zawsze odpowiadał na nie bez cienia irytacji, zawsze z szerokim uśmiechem.

Ale go nie było. A ona nie czuła się upoważniona do wygłaszania jego kwestii.

– To bardzo trudne – powiedziała.

– Mój Boże, ja bym nie potrafił normalnie funkcjonować w takich warunkach.

Odwrócił się, żeby serdecznie, choć bezosobowo pozdrowić mężczyznę, który idąc do windy, położył mu na ramieniu ciężką dłoń. I znów spojrzał na Grace.

– Na nic bym się tam nie przydał. Ciągle tylko bym płakał. Rozklejam się, nawet jak nasi absolwenci dostają odmowy z wybranych uczelni.

– No tak – przyznała sucho Grace. – To tragedia na niewyobrażalną skalę.

– Nie, serio – powiedział.

Najwyraźniej oczekiwał, że zachowa powagę.

– Ma bardzo ciężką pracę, ale może pomagać ludziom, więc warto.

Przytaknął, choć nie wyglądał na przekonanego. Potem Grace zaczęła się zastanawiać, dlaczego takich zachowań nie podciąga się pod gburowatość. Czy faceta opróżniającego szambo wypada zapytać: jak pan może

to robić? Ale Robertowi postanowiła udzielić kredytu zaufania. Lubiła go.

– Mam dobre wieści o twoim małym uczonym. Świetnie mu idzie.

Grace uśmiechnęła się niezręcznie. Oczywiście nie była zaskoczona, że Henry dobrze się uczy. Był bystrym chłopakiem – żadna cnota, raczej wynik przypadkowej mieszanki genów – ale pracował tak ciężko, że trudno było mieć mu za złe, że wygrał swoją inteligencję na loterii. Nie należał do dzieciaków, które marnują albo, co gorsza, sabotują własny potencjał, bo mają o niego do siebie żal albo denerwuje je, że to takie ważne dla wszystkich wokół. A mimo to dziwnie było o tym rozmawiać, jakby się spotkali na uroczystej wywiadówce, na którą rodzice ubierają się w najlepsze kreacje, żeby się dowiedzieć, jak ich dzieci radzą sobie z nauką.

– Uwielbia nowego nauczyciela matematyki – powiedziała Grace. Naprawdę tak było.

W tym momencie zjawiła się Sally Morrison-Golden. Złapała Roberta za ramiona, prawdopodobnie raczej po to, żeby złapać równowagę, niż żeby wyrazić sympatię. Grace zauważyła, że jest trochę więcej niż wstawiona. Chwiała się lekko na wysokich obcasach, a na lewym policzku miała ledwo widoczny półksiężyc różowej szminki. Pewnie przy podliczeniu albo tylko szacowaniu utargu z aukcji poluzowała hamulce. Była wyjątkowo odprężona.

– Cóż za wspaniały wieczór – powiedział Robert.

– A tam. – Machnęła ręką. – Miło ze strony gospodarzy, że się zjawili, co nie?

Ciągle to drażymy? – pomyślała Grace.

– Nie przejmuj się – powiedziała. – Świetnie się bawiliśmy i aukcja się udała. Niesamowite mieszkanie, co, Robert?

– Gdybym tu mieszkał, byłbym teraz u siebie – odparł serdecznym tonem. – I byłbym właścicielem tamtego Francisa Bacona nad kanapą. Fajnie by było.

Pocałował je obie w policzki i poszedł. Grace nie żałowała, że je zostawia.

– Malaga cię znalazła? – spytała Sally. – Jakiś czas temu cię szukała.

– Mnie? – zdziwiła się Grace. – Po co?

– Boże, widziałaś, jak ci wszyscy faceci się przy niej ślinili? Jak psy Pawłowa. Patrzyłyśmy na to z Amandą i strasznie jej zazdrościłyśmy. Jilly Friedberg prawie puściły nerwy. Dosłownie odciągała od niej swojego męża.

Grace trochę żałowała, że ominęła ją ta scena. Uśmiechnęła się niezobowiązująco.

– Wyglądała ładnie, to fakt – powiedziała.

Sally lekko się zachybotła. Ruszała nogami, jakby stała na palcach. Nie było to dalekie od prawdy, jeśli się wzięło pod uwagę wysokość jej obcasów. W końcu i ona poszła do jadalni. Grace już bardzo chciała iść, więc poszła poszukać Sylvii.

– Chodźmy, co? – powiedziała. – Myślisz, że wypada?
– Myślę, że nie tylko wypada. Tak należy – odparła Sylvia. – Widziałas, jak ci ochroniarze nas obserwują? Już nas tu nie chcą.

– No to dobrze – powiedziała Grace, wyraźnie uspokojona.

Wiedziała już, że obsługa nie będzie chciała, żeby przeciągali przyjęcie, ale martwiła się też, że Sally zechce zostać, jak długo się da, a może nawet zebrać pod obrazami Pollocka resztę komitetu organizacyjnego i omówić przebieg imprezy.

– Ja idę. Padam na twarz.

– Gdzie Jonathan? – zapytała Sylvia. – Chyba go widziałam.

– Tak, był – odparła Grace. – Ale zadzwonili ze szpitala, w sprawie jego pacjenta. Musiał wrócić.

– Do Sloan-Ketteringa? – spytała Sylvia, jakby Jonathan kiedykolwiek pracował w innej klinice.

Grace już myślała, że będzie musiała stawić czoła kolejnej odsłonie spektaklu pod tytułem *Jak on może to robić*, ale Sylvia na szczęście się opanowała. Nic nie powiedziała i Grace udało się uciec, nim ktokolwiek zdołał ją zatrzymać. Chciała być w domu przed powrotem Jonathana, czekać na niego, na wypadek gdyby jej potrzebował. Dopiero co wrócił z Brooklynu, z pogrzebu ośmiolatka, a teraz kolejny jego pacjent był w stanie krytycznym. Wiedziała, że bez względu na to, o której zjawi się w domu, będzie się czuł fatalnie. Tak

głęboko przeżywał te sprawy.

CZĘŚĆ II

W TRAKCIE

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jeszcze tylko chwilę

Kiedy jej świat runął, nie nastąpił wybuch ani nie było słycać skomlenia. Rozległo się tylko cichutkie piknięcie koperty na wyświetlaczu komórki. Jakiś czas temu zaprogramowała to tak, żeby ikonka mrugała raz, jeśli przyszła jedna wiadomość, dwa razy, jeśli dwie, i tak dalej. Po przekroczeniu masy krytycznej po prostu pulsowała nieustannie, jak trzepoczące zielone skrzydło. Wspominała potem to mruganie. Było tak zwyczajne, że nie myślała o nim ani podczas pierwszej sesji (z parą toczącą beznadziejną walkę z rozwodem), ani podczas drugiej (wieloletni pacjent na skraju manii), ani nawet podczas przerwy na lunch, którą poświęciła na wstępny wywiad z producentką programu *Today*.

Od aukcji na rzecz szkoły minęły cztery dni.

Występ w *Today* zaplanowano dopiero na Nowy Rok, ale ponieważ zbliżały się święta, producenci starali się działać z wyprzedzeniem.

– Uprzedzili już panią, że wywiad nie pójdzie, jeśli wpadnie nam coś z ostatniej chwili?

Powiedziała, że nie, ale czy to nie było oczywiste?

– No tak. Takie programy często muszą ustępować

wiadomościom.

Wywiad przeprowadzała niejaka Cindy Elder. Grace zapisała jej nazwisko w notesie. Stare przyzwyczajenie, po latach rozmów z potencjalnymi klientami. Wbrew nazwisku jej głos brzmiał młodo ¹, jakby była studentką.

– Co jest według pani najważniejsze? Czego przede wszystkim powinniśmy się dowiedzieć o kimś, kim jesteśmy zainteresowani?

– Powiedziałabym – odparła Grace – że to raczej kwestia słuchania tego, co ten ktoś chce nam powiedzieć, niż pytania o tak zwane ważne rzeczy albo najistotniejsze dla nas sprawy, na których czasem się skupiamy, kiedy kogoś poznajemy, jak pieniądze czy religia. Te rzeczy są oczywiście ważne, ale uważam, że jeszcze ważniejsze jest zwracanie uwagi na to, co mówi o tym kimś jego zachowanie albo ton głosu, gdy mówi o życiu i o ludziach.

Słyszała w słuchawce stukanie w klawiaturę. Co jakiś czas Cindy mruzczała: mhm...

Udzieliła już dostatecznie wielu wywiadów, żeby wiedzieć, w którą stronę będzie zmierzała ta rozmowa. Czy tego chciała, czy nie, wiedziała, że *Nie chciałaś wiedzieć* będzie przedstawiana światu jako poradnik dla chodzących na randki, a w księgarniach wyląduje obok okropnych *Zasad* i *Związków dla naiwnych*. To nieuniknione, myślała, zwłaszcza jeśli książka ma się dobrze sprzedawać.

– Może pani podać kilka przykładów? Co można wychwytać z czyjegoś zachowania albo tonu?

– Można usłyszeć pogardę wobec byłych partnerów albo znajomych z pracy, albo rodziców, albo rodzeństwa. Każdy z nas kogoś nie lubi, ale stała wrogość to już problem. U mężczyzn wrogość wobec kobiet to prawdziwa czerwona flaga.

– Świetnie – odparła Cindy. – Co jeszcze?

– Kiedy ktoś nie interesuje się sprawami innych. Mówi o ludziach tak, jakby istnieli wyłącznie w jego opowieści, nie jako odrębne jednostki. To się może nigdy nie zmienić, ani po ślubie, ani po narodzinach dzieci. Trzeba pamiętać, że rozmawiamy z człowiekiem, który z taką postawą wszedł w dorosłość, i że jest mu z nią na tyle dobrze, że prezentuje ją w obecności kogoś, kogo nie zna za dobrze, a komu stara się zaimponować.

– No tak – przytaknęła Cindy.

– Więc naszym zadaniem, myślę szczególnie o kobietach, jest zachowanie ostrożności. Często patrzymy na świat jednotorowo, zwłaszcza w obecności atrakcyjnego mężczyzny. Jeśli chemia, która nas do siebie przyciąga, przyciąga nas mocno, często wyłączamy inne czujniki.

Cindy przestała stukać w klawiaturę.

– W pani ustach to wszystko brzmi tak klinicznie. Tak ma być?

– Tak i nie – odparła Grace. – Sądzę, że można być romantyczną, nie rezygnując z inteligencji. Nie każde

zauroczenie musi prowadzić do długotrwałego związku. Problem zaczyna się wtedy, kiedy jesteśmy pod tak silnym wrażeniem potencjalnego partnera, że przestajemy słuchać, co do nas mówi.

– Na przykład?

– Na przykład... Tak naprawdę nie interesujesz mnie jako partnerka. Albo: nikt nie interesuje mnie jako partnerka. Albo: w ogóle nie interesują mnie kobiety. To ostatnie zdarza się częściej, niż pani sądzi. Albo: interesujesz mnie jako partnerka, ale tylko na moich zasadach, a te zasady zamienią twoje życie w piekło.

– Świetnie – powiedziała Cindy. – To mi wystarczy.

– Cieszę się – odparła Grace.

Podziękowały sobie nawzajem i się rozłączyły. Grace znów spojrzała na swoją komórkę. Wcześniej, kiedy czekała na połączenie z Cindy Elder, przejrzała listę nadawców i postanowiła nie przejmować się wiadomościami. Pierwszą dostała od M-G, od Sally Morrison-Golden. Lawina pobankietowych wieści toczyła się z prawie taką samą mocą jak przed imprezą. Drugą ze szkoły Henry'ego, ale nie od kogoś konkretnego, kto by napisał, że Henry zachorował albo że musi się skontaktować z nauczycielem. Standardowa wiadomość ze zdaniem „prosimy nie odpowiadać”. Automatyczna skrzynka Reardena rozsyłała takie do rodziców, żeby ich poinformować, że zbliża się Dzień Zwariowanego Kapelusza, że w najbliższy poniedziałek szkolenie dla nauczycieli skończy się wcześniej, albo

potwierdzić, że w przedszkolu są wszy. Czasami budziła się w zimowe poranki, żeby przeczytać, że szkołę zasypał śnieg albo że przesunięto pierwszą lekcję. Tego ranka rzeczywiście spadło trochę śniegu, w tym roku dość wcześnie, ale z pewnością nie było to coś, z czym szkoła musiałaby coś zrobić. Zjeżdżała w dół listy. Sylvia Steinmetz. M-G. M-G. M-G.

Najdroższe, zlitujcie się, pomyślała z irytacją.

Miała to być ostatnia chwila jej życia należąca do kategorii przed.

W końcu postanowiła wszystko przeczytać.

Najpierw od Sally: „Czesc wszystkim. Ciagle slysze od ludzi, ze bylo rewelacyjnie. Nadal przychodzi spoznione datki. Mamy kilka spraw do obgadania, nieduzo. Mysle, ze da sie je omowic w godzinie, gora poltorej. Amanda zaprasza do siebie. Nastepny czwartek o 21 wszystkim pasuje? Park, mieszkanie 10B. Dajcie znac ASAP”.

Potem ze szkoły: „Ze smutkiem zawiadamiamy rodzicow, ze jeden z uczniow czwartej klasy przezyl rodzinna tragedie. Psychologowie beda jutro rozmawiac ze wszystkimi czwartoklasistami. Prosimy wszystkich: pamietajcie, ze sytuacja wymaga od nas wszystkich wzraliwosci. Dziekuje, Robert Conover, dyrektor szkoły”.

Co to właściwie oznacza? – pomyślała Grace. Ogłoszenie – albo e-mail, albo komunikat – było najwyraźniej przerabiane tyle razy, że ostateczna wersja

nie miała sensu. Ktoś umarł, ale nie uczeń czwartej klasy, bo wtedy, pomyślała, nie nazwano by tego rodzinną tragedią. Rodzinne tragedie zdarzały się już w historii Reardena. Tylko w zeszłym roku umarli ojcowie dwojga dzieci z gimnazjum, jeden na raka, drugi zginął w katastrofie prywatnego samolotu w Kolorado. Wtedy nie przyszły takie SMS-y. To musiało być samobójstwo, pomyślała Grace. Samobójstwo rodzica albo śmierć brata, albo siostry któregoś z uczniów. Ale nie brata albo siostry chodzących do Reardena – wtedy też komunikat brzmiałby inaczej. Złościło ją to wszystko. Po co wysłać wiadomość, która tylko wywoła spekulacje i naruszy spokój, o którego poszanowanie właśnie rodziców proszono? Skoro tak naprawdę nie chce się nic zakomunikować, po co wysłać komunikat?

Zdenerwowała się i usunęła SMS.

Od Sylvii: „Tak, czwartek mi odpowiada. Moge sie spoznic kilka minut, musze oddac probke moczu u lekarza Daisy”.

Od Sally: „Re: rodzinna tragedia. Wiecie cos o tym?”.

Już zaczęła, pomyślała Grace i usunęła wiadomość.

Znowu od Sally: „Grace, zadzwon natychmiast”.

Znowu od Sally: „Grace, to Malaga Alves. Slyszalas?”.

Tej nie usunęła. Przeczytała jeszcze raz i jeszcze raz, jakby w ten sposób mogła zmienić treść albo nadać jej sens. To Malaga Alves. To – czyli co?

Kiedy telefon zadzwonił jej w dłoni, aż się wzdrygnęła. Ścisnęła go mocniej i podniosła trzęsącą się rękę. Sylvia. Zawahała się, ale tylko na chwilę.

– Cześć, Sylvia.

– Chryste, słyszałaś o Maladze?

Grace wzięła głęboki wdech. Szczegółowe opisanie, co wie, a czego nie wie, wydało jej się zbyt trudnym zadaniem.

– Co się stało? – zapytała.

– Nie żyje. Nie mogę w to uwierzyć. Jeszcze w sobotę ją widziałyśmy.

Grace kiwnęła głową. Przez ułamek sekundy była świadoma, że chce wygłosić właściwą formułkę i zmienić temat. Naprawdę nie chciała wiedzieć więcej, przejmować się i współczuć małemu chłopcu z czwartej klasy albo niemowlęciu, którym Malaga w sposób tak pamiętny opiekowała się kilka dni wcześniej.

– Co wiadomo?

– Jej syn... Jak on ma na imię?

– Miguel – odparła szybko Grace, zaskakując samą siebie.

– W poniedziałek Miguel wrócił do domu sam, bo matka go nie odebrała. Znalazł ją w domu, z dzieckiem. To takie straszne.

– Zaczekaj... – Grace wciąż próbowała się zorientować w sytuacji, ale nadal nie chciała wiedzieć więcej. – Z małą wszystko w porządku?

Sylvia poważnie się zastanowiła.

– Wiesz co, nie jestem pewna. Chyba tak. W przeciwnym razie coś byśmy słyszały.

Aha, pomyślała Grace. Więc nagle stała się częścią grupy.

– Dostałaś wiadomość ze szkoły? – spytała Sylvia.

– Tak. Nie mogłam tego zrozumieć. Oczywiście domyśliłam się, że stało się coś poważnego.

– No wiem – powiedziała Sylvia z sarkazmem. – Użyli słowa tragedia.

– Tak, ale... Sama nie wiem. Brzmiało to trochę tak, jakby rozpalili ogień, a potem dolali benzyny. Po co to zrobili? Oczywiście, że to straszne, ale dlaczego nie napisali po prostu, że umarł ktoś z rodziców? Tak zrobili w zeszłym roku po śmierci Marka Steina. I nie sądzę, żeby wtedy ściągali psychologów.

– To było co innego – odparła krótko Sylvia.

– Czy to był atak serca? Albo tętniak? Musiało to być coś nagłego. Na bankiecie wyglądała zdrowo.

– Grace... – zaczęła Sylvia.

Zdawała się na coś czekać. Później Grace uznała, że napawała się tym, że może jej przekazać tak dramatyczne wieści.

– Nie rozumiesz. Ona została zamordowana.

– Zamor...

Grace nie była w stanie wymówić tego słowa. Kojarzyło się jej z kryminałami i artykułami w „New York Post”, a tych oczywiście nie miała zwyczaju czytać. Ludzie, których znała, nawet tak słabo jak Malagę Alves,

nie byli mordowani. Dawno temu syn jej gosposi, Jamajki o imieniu Louise, zaczął się zadawać z jakimś gangiem i kogoś zamordował. Został skazany na dożywotnie więzienie, zrujnował i skrócił życie matki.

– To... – Nie była nawet w stanie powiedzieć, jakie to jest. – Chryste, ten biedny chłopiec... On ją znalazł?

– Policja była dzisiaj w szkole, w gabinecie Roberta. To on postanowił wezwać psychologów. Sama nie wiem, myślisz, że słusznie?

– Mam tylko nadzieję, że nie będą opowiadać dzieciom, że matka ich kolegi została zamordowana. – Przez chwilę wyobrażała sobie, że mogłoby tak być. – I że rodzice nie będą tego mówić swoim dzieciom.

– Może nie bezpośrednio – odparła Sylvia. – Ale wiesz, że i tak się dowiedzą.

Za to Grace bardzo nie chciała tego słuchać. Ale nie wiedziała, co zrobić.

– Jak zamierzasz powiedzieć Daisy? – spytała, jakby Sylvia była ekspertem od ludzkich zachowań i jakby to ona dzwoniła po poradę, nie na odwrót.

– To Daisy mi powiedziała – odparła Sylvia. – Usłyszała od Rebeki Weiss. Rebecce powiedziała jej matka, a ona dowiedziała się od naszej znajomej Sally Morrison-Golden.

– Cholera – rzuciła odruchowo Grace.

– Więc można zapomnieć o dyskrecji.

– Wydawałoby się... – zaczęła Grace, ale wiedziała, że nie ma sensu kończyć.

– Nie, nie wydawałoby się. Nie spodziewam się po Sally niczego dobrego. Ale to bez znaczenia. Sally może być emocjonalnie na poziomie gimnazjum i bywa niezłą suką, ale nikogo nie zamordowała. Taka wiadomość jest straszna bez względu na to, od kogo się ją usłyszy. To będzie koszmar dla nas wszystkich. Nie tylko dla dzieciaków. Mam na myśli media. Zaraz rozpętają dramat pod hasłem zamordowana mama z prywatnej szkoły. Mimo że Malaga wcale nie była mamą z prywatnej szkoły, to wiesz, prawda?

Grace zmarszczyła czoło.

– Chodzi ci... O co ci chodzi?

Słyszała, jak Sylvia wzdycha z irytacją.

– No wiesz. Nie była matką płacącą całe czesne. Matką, która łoży na Rearden trzynaście osiem tysięcy dolarów rocznie. Tak, wiem, że to brzmi okrutnie, ale taka jest prawda. Dziennikarze uczepią się szkoły i dopiero w ostatnich akapitach wspomną, że jej dziecko dostawało stypendium dla uczniów z biednych rodzin. Ale Rearden i tak wyjdzie na szkołę, w której morduje się rodziców.

Grace zauważyła, że denerwuje ją egoizm Sylvii, teatralna egzaltacja Roberta i długi język Sally. Do tego stopnia, że zdenerwowanie zagłuszyło początkowy szok. Dzięki temu nabrała dystansu i poczuła ulgę.

– Nie sądzę, żeby tak miało być – powiedziała. – Cokolwiek za tym stało, Rearden nie ma z tym nic wspólnego. Naprawdę. Powinniśmy poczekać na

oficjalny komunikat. Teraz musimy być blisko dzieci, gdyby nas potrzebowały. Nie mówię, że jakoś to odczują, ale czwartoklasiści...

To będzie dla nich trudne przeżycie, pomyślała Grace, dowiedzieć się, że matkę ich kolegi zamordowano, tak nagle i tak brutalnie. Fala z pewnością dosięgnie starszych klas, bo młodsze dzieci pewnie będą (można było mieć nadzieję) chronione. Pomyślała o Henrym, który nigdy czegoś podobnego nie doświadczył (jej matka umarła, zanim się urodził, a rodzice Jonathana, choć całkiem nieobecni, nadal żyli). Jak ma do tego podejść, kiedy wróci do domu dzisiaj, jutro albo w przyszłym tygodniu, i powie: Słyszałaś o tym chłopaku z czwartej klasy, któremu ktoś zamordował matkę?

– Jestem pewna, że rodzice z Daltona już do siebie dzwonią i zapewniają, że u nich nic takiego nie mogłoby się stać.

– Ale przecież u nas też się nie stało – przypomniała jej Grace. – Nie mamy pojęcia, jak wyglądało jej życie. Nie słyszałam ani słowa o jej mężu. Nie było go na bankiecie, prawda?

– Żartujesz? Flirtowała z tymi wszystkimi facetami...

– To oni flirtowali z nią – poprawiła ją Grace.

– Błagam cię.

W głosie Sylvii pobrzmiwała gorycz. Skąd się wzięła? Żaden z tych mężczyzn nie był jej mężem. Ona nawet nie miała męża!

Zamiast podzielić się z nią tą myślą, Grace powiedziała:

– Ale miała męża, prawda?

– Tak. Na liście rodziców jest Guillermo Alves, adres ten sam. Ale nikt go nigdy nie widział.

Ile osób o to zapytała, że teraz z takim przekonaniem mówi: nikt? – pomyślała Grace

– Ty go widziałaś? – zapytała Sylvia.

– Nie. – Grace westchnęła.

– No właśnie. Zawsze była tylko ona. Przyprawiała syna rano, siedziała w parku z małą i przychodziła po południu.

Kiedy Sylvia to powiedziała, cały spokój Grace momentalnie wyparował. Zostawił ją sam na sam z całym tym okropieństwem: zamordowaną matką, osieroconymi dziećmi, ubóstwem (względny, rzecz jasna) i smutkiem. To było naprawdę straszne. Czy Sally i Sylvia zdawały sobie sprawę, jak straszne?

– Muszę kończyć – powiedziała. – Słyszę, że przyszedł pacjent na pierwszą. Dzięki za wiadomość – powiedziała mocno nieszczercze. – Spróbujmy zachować spokój, dopóki policja się nie wypowie.

– Oczywiście – odparła Sylvia, równie, jeśli nie bardziej nieszczercze. A na koniec dodała dla pewności: – Zdzwonimy się jutro.

Grace się rozłączyła i odłożyła telefon. Pacjent umówiony na pierwszą tak naprawdę jeszcze się nie zjawił, ale wkrótce się go spodziewała. O dziwo, nie

miała pojęcia, czym się zająć w międzyczasie. Oczywiście najbardziej pragnęła porozmawiać z Jonathanem, ale prawie nigdy nie dzwoniła do niego w ciągu dnia. Już i tak miał bardzo zajmującą pracę. Nie powinna mu zawracać głowy trywialnymi sprawami, a nie chciała, żeby pomyślał, że stało się coś, co wymaga pilnego omówienia. Ale Jonathan nie był w szpitalu. Pojechał na konferencję onkologiczną do Cleveland i prawdopodobnie miał wyłączony telefon. A to oznaczało, że mogła zadzwonić i nagrać wiadomość. Tylko co mogłaby mu powiedzieć?

Henry przypisał do kontaktów w jej telefonie zdjęcia: dla siebie wybrał skrzypce, dla ojca stetoskop, domowy numer stacjonarny dostał kominek, domek w Connecticut portowy dok. Jej ojcu przypisał fajkę (choć od lat nie palił), Reardena reprezentował szkolny herb. Wszystkie inne kontakty były zwykłymi numerami. Ewidentnie zdjęcia wyznaczały ważne punkty w życiu Henry'ego, może też w jej własnym. Nacisnęła stetoskop i przyłożyła telefon do ucha.

– Tu Jonathan Sachs – powiedział jej mąż. Natychmiast włączyła się poczta głosowa. – Nie mogę teraz odebrać, ale oddzwonię, jak tylko to będzie możliwe. Jeżeli dzwonisz w pilnej sprawie medycznej, proszę o kontakt z doktorem Rosenfeldem, numer dwieście dwanaście dziewięćset trzy osiemnaście siedemdziesiąt sześć. Jeśli trzeba, proszę dzwonić na pogotowie albo jechać na ostry dyżur. Dziękuję.

Grace powiedziała po sygnale:

– Cześć, kochanie. Wszystko w porządku, ale coś się stało w szkole. – Myślała szybko. – Nie z Henrym, z nim wszystko dobrze. Nie martw się. Ale zadzwoń, jak będziesz mógł. Mam nadzieję, że na konferencji też wszystko w porządku. Nie powiedziałaś, o której wracasz, jutro czy w piątek. Daj znać, żebym mogła powiedzieć mamie i tacie, czy będziesz na kolacji. Kocham cię.

Potem czekała chwilę, jakby liczyła na to, że Jonathan jakimś cudem wyskoczy z żelaznego pudełka, do której trafiały te nagrania, żeby czekać, aż ktoś je odsłucha. Drzewa przewracające się w lesie, ale niewydające dźwięku. Wyobraziła go sobie w nijakim, ale wygodnym amfiteatrze w Cleveland, z butelką wody – zapewnioną przez jakąś nadgorliwą firmę farmaceutyczną – otwartą i wetkniętą w otwór na kubek, jak słucha o kiepskich wynikach badań obiecującego kiedyś leku i robi notatki. Czym jest śmierć nieznaney dorosłej kobiety – której ani on, ani jego syn nigdy nawet nie widzieli – dla kogoś, kto na co dzień pociesza dzieci niewiedzące nawet, że umierają, i ich rodziców, którzy zawsze wiedzą? To jak pokazywanie małej plamki brudu komuś, kto zajmuje się usuwaniem odpadów z zapuszczonych domów na skalę przemysłową. Nacisnęła guzik, żeby przerwać połączenie, i odłożyła telefon.

I od razu pożałowała, że nie poszła za dziecięcym

impulsem, żeby zadzwonić i poprosić, by wypowiedział magiczne zaklęcie, po którym problemy znikną. Dźwigał na ramionach dużo większe ciężary i nie powinna go odrywać od jego spraw tylko dlatego, że potrzebowała odrobiny współczucia. Zresztą czemu w ogóle go potrzebowała? Jak wszyscy, a z pewnością jak Sylvia, umiała się odgradzić, umiała pomyśleć: mnie to nie grozi. Kobieta zgwałcona w Central Parku? To oczywiście straszne, ale trzeba spytać, po co szła tam sama o dziesiątej wieczorem. Mały chłopiec, który na skutek odry oślepnie? Przepraszam, jakim trzeba być idiotą, żeby nie zaszczepić dziecka? Turyści wzięci pod lufy i obrabowani na ulicy Cape Town? Ktoś jest zaskoczony? Przecież to Cape Town! Ale po śmierci Malagi Alves akt oskarżenia nie chciał się napisać sam. Nie z własnej winy była ubogą Latynoską. I z pewnością nie zawiniła, zapewniając synowi stypendium w jednej z najlepszych szkół w mieście. Do tego właśnie są stypendia! Gdzie wszystkie te kobiety, w tym ona, miały wznieść mur, który by je oddzielił od tej biednej kobiety?

Fart. Zwykły fart. I pieniądze. W jej przypadku to też było szczęśliwym zrzędzeniem losu.

Mieszkała w apartamencie, w którym dorastała, na który dzisiaj nigdy nie byłoby jej stać, i posłała syna – prawdopodobnie nie bardziej, choć z pewnością nie mniej bystrego od kolegów z klasy – do swojej dawnej szkoły, gdzie przychylnie patrzono na potomstwo

absolwentów. W dodatku jej ojciec często pomagał opłacać chesne, po prostu obłądnie wysokie. Praktykowanie psychoterapii i onkologii nie wystarczało, żeby zdobyć wielkie bogactwo w mieście Wall Street. Czysty fart. Z Sylwią było inaczej. Ona wprawdzie też korzystała z tego, że była absolwentką, ale harowała przy tym jak wół, żeby jej genialna córka mogła się uczyć w Reardenie i żeby utrzymać mieszkanie z jedną sypialnią przy York Avenue. Powinnam jej częściej proponować pomoc, pomyślała, jakby była panią domu. Może tak naprawdę chodziło jej o to, że powinna była pomagać Maladze, choć z drugiej strony niewykluczone, że tak czuła, bo mogła sobie na to pozwolić.

Tym razem naprawdę usłyszała domofon i nacisnęła guzik interkomu. Czekwała na szcęk otwieranych drzwi. Po chwili usłyszała w przedsionku rozmawiających klientów. Siadali na stojących tam krzesłach – delikatny szmer głosów, spokojnych i cichych. To było nietypowe. Pacjenci często przychodzili do niej w bojowych nastrojach. Ci dwoje byli sympatyczni, otwarci na terapię, szczerze się w nią angażowali. Lubiała ich, ale oboje byli tak głęboko poranieni doświadczeniami, że skrycie miała nadzieję, że nie zdecydują się na dzieci. Niektórzy ludzie powinni, ale nie mogą, inni mogą, ale nie powinni – to nie fair. Ta para, znalazłszy siebie nawzajem, i tak złapała Pana Boga za nogi.

Niczego nie osiągała, siedząc przy biurku i gapiąc się w telefon, i próbując zrozumieć, co się stało. Równie dobrze mogła podarować tych kilka dodatkowych minut mężczyźnie i kobiecie czekającym w przedsionku. Byłby to miły gest. Mogłaby wstać, otworzyć drzwi i przywitać się z nimi przed czasem. Mogłaby, pewnie powinna, ale z jakiegoś powodu tego nie robiła, a zegar tykał, jakby nic się nie zmieniło. Siedziała, jakby nic się nie zmieniło, bo tak chciała i mogła. Ale jeszcze tylko chwilę.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Bukiet bezużytecznych faktów

Henry grał pierwsze skrzypce w szkolnej orkiestrze. Obydwoje z Grace utrzymywali to w tajemnicy przed Witalijem Rosenbaumem, który zabraniał swoim uczniom brania lekcji u innych nauczycieli. Próby odbywały się w środy po południu, po lekcjach. Potem Henry szedł sam do domu, sam ze swoją komórką. Oczywiście się martwiła, ale nie strasznie, bo miasto było teraz bezpieczniejsze, a nawet gdyby nie było, to Upper East Side z pewnością było. No i telefon – to dużo zmieniało.

W drodze do domu, po ostatnim pacjencie, zatrzymała się w kilku miejscach. Najpierw w drogerii na rogu Lexington i Siedemdziesiątej Siódmej, żeby kupić ozdobne koperty (wkładała do nich świąteczne napiwki dla szwajcarów i dozorczy), potem w supermarkecie, żeby kupić jagnięcinę i kalafiora, dwie rzeczy, które jej syn zawsze jadł, bez namawiania. Skręcając za róg, w stronę swojej kamienicy przy Wschodniej Osiemdziesiątej Pierwszej, myślała o tym, że zagotuje wody i rozgrzeje piekarnik. Potem pomyślała o nazwisku nowego szwajcara. Właśnie

rozmawiał z dwoma wysokimi mężczyznami, z których jeden palił. A potem o tym, czy świąteczny napiwek dla nowego odźwiernego powinien być taki sam jak dla kogoś, kto pracował już od roku. Czy to by było sprawiedliwe? Wreszcie bezimienny szwajcar podniósł wzrok i ją zauważył. Wskazał ją palcem i dwaj mężczyźni też się odwrócili. Ten, który palił, wyrzucił papierosa (a może to było cygaro? Było ciemne, brązowe, jak cienkie cygaro, które mogłaby palić kobieta, przynajmniej dawniej) i Grace pomyślała: Podnieś to, dupku.

– To ona – powiedział szwajcar.

Grace prawie spojrzała za siebie, żeby sprawdzi, kogo miał na myśli.

– Pani Sachs?

Jeden z nich był zyłasty i łysy, w jednym uchu miał złoty kolczyk. Nosił tanią brązową kurtkę. Drugi, ten, który palił, był wyższy i miał na sobie bardzo elegancki garnitur. Podróża włoskiego, ale z dobrego materiału. Jonathan też ma taki garnitur, pomyślała. Ale jego jest oryginalny.

I wtedy to do niej dotarło.

Coś się stało Henry’emu. Między domem a szkołą. Ile to przecznic? Zresztą to bez znaczenia. Wystarczy chwila. Nieuważny kierowca. Złodziej. Wariat. Większość wariatów zniknęła z ulic, nie ma ich od lat dziewięćdziesiątych, pieprzony Giuliani. Ale wystarczy jeden. Nie była w stanie się odezwać.

– O co chodzi? – Nie chciała wypowiedzieć imienia syna. To już obłąd? – Czy coś się stało?

Oczywiście, że coś się stało. Inaczej by ich tu nie było.

– Chodzi o mojego syna? – zapytała ich. Uważnie słuchała tego, co mówiła.

Nie mogła się rozpoznać w swoim głosie, ale była spokojna.

Spojrzeli po sobie.

– Pani Sachs? Detektyw O'Rourke.

No tak, pomyślała. Co za sztampa.

– Nie chodzi o pani syna – powiedział ten drugi. – Nie chcieliśmy pani przestraszyć. Czasem to robimy mimo woli.

Odwróciła głowę w jego stronę, ale jej spojrzenie zdawało się podążać własnym tempem, zostawiało po drodze stop-klatki, jakby była na kwasie. Tak pomyślała, choć nigdy nie próbowała.

– Joe Mendoza – powiedział ten, który nie przyszedł w sprawie Henry'ego, i wyciągnął rękę. – Przepraszam, detektyw Mendoza. Możemy chwilę porozmawiać?

Nie chodziło o Henry'ego. W takim razie o Jonathana? Katastrofa lotnicza? Ale on nie leciał dzisiaj. Dziś jest na konferencji. Czy w Cleveland popełnia się przestępstwa? No jasne, że tak. Przestępstwa popełnia się wszędzie. Po chwili pomyślała: czyżby chodziło o mojego ojca?

– Powiedźcie już, proszę – odezwała się do nich obu.

Widziała, że nowy szwajcar się na nią gapi. Wariatka z 6B, przyszło jej do głowy. No dobrze, niech będzie. A teraz się wal.

– Pewnie pani słyszała, że zamordowano kobietę, której dziecko chodzi do szkoły z pani synem – powiedział Mendoza. – Szkoła, zdaje się, rozesłała komunikat. Ale nie podali nazwiska tej osoby.

Aha. Poczwała ulgę, jakby ktoś jej rozbił jajko nad głową. Niekończące się jajko wpuszczające słodki spokój w każdą jej żyłę. Mogłaby ich obu przytulić i skarcić: tak mnie przestraszyliście! Nie róbcie tego więcej!

– Tak, oczywiście. Przepraszam. Po prostu... Każdy rodzic by się zmartwił.

Kiwnęli głowami, jeden wyraźnie serdeczniej.

– Rozumiemy. Sam mam dwoje – powiedział ten, który wyglądał na typowego Irlandczyka. Ten z kolczykiem i w taniej kurtce. Może jednak nie taki typowy. – Proszę nie przeproszać. Możemy gdzieś porozmawiać? W bardziej ustronnym miejscu?

Kiwnęła głową. Był jej zbawcą i chciała mu pójść na rękę. Jak mogła mu teraz odmówić? Ale teraz jakiś nowy głos próbował zwrócić na siebie jej uwagę, przebić się przez wartki nurt świeżej ulgi. Mówił do niej: nie wpuszczaj ich do mieszkania. Posłuchała.

– W foyer są fotele – powiedziała.

Jak w niemal każdym holu niemal każdej nowojorskiej kamienicy w jej domu też były fotele

i kanapy. Właściwie nikt na nich nie siadał. Szwajcarzy mieli swoje miejsca do siedzenia. Akwizytorzy czekali w westybulu, aż ktoś ich wpuści na górę. Kurierzy stali i czekali, aż ktoś zjedzie na dół i zapłaci za przesyłkę. Fotele były nie tyle pozostałością po dawnych czasach, ile czymś, co zawsze było nie na miejscu. Dorastała w tym domu, a teraz sama wychowała dziecko, i nie pamiętała ani jednego przypadku, żeby ktoś usiadł na tych fotelach (niedawno obitych na nowo w szpetny hotelowy materiał w roślinne wzory), żeby porozmawiać. Zaprowadziła ich tam, usiadła i położyła obok siebie torebkę i foliową torbę z zakupami.

– Dopiero co się dowiedziałam o pani Alves – powiedziała, jak tylko usadowili się w fotelach. – Czytałam tę wiadomość i nie miałam pojęcia, o co w niej chodzi. Wiadomość ze szkoły – dodała. – Nie miała dla mnie sensu. Potem ktoś do mnie zadzwonił i powiedział, że została zamordowana. To straszne.

– Kto pani o tym powiedział? – zapytał O'Rourke.

Wcześniej wyjął z wewnętrznej kieszeni swojej brzydkiej kurtki mały notes.

– Moja przyjaciółka Sylvia – odparła Grace.

Momentalnie i wbrew logice pożałowała, że z własnej woli podała jej imię. Czy Sylvia mogła wpaść w tarapaty? Czy plotkowanie jest karalne? Wtedy przypomniała sobie, że tak naprawdę nie od Sylvii się dowiedziała.

– Chociaż to inna znajoma wcześniej mi o tym

napisała. Więc jednak nie Sylvia.

– Sylvia jak? – zapytał O'Rourke. – Jak się nazywa?

– Steinmetz – powiedziała Grace. Miała wyrzuty sumienia. – A SMS dostałam od Sally Morrison-Golden. Przewodniczyła szkolnemu komitetowi organizacyjnemu, do którego wszystkie należałyśmy. Pani Alves też.

Chociaż Malaga Alves do niego nie należała, bo niczym się nie zajmowała. Przychodziła tylko na spotkania. Czy w ogóle wymieniono jej nazwisko wśród członków komitetu w katalogu? Nie mogła sobie przypomnieć.

– I o której to było?

– Słucham?

– O której dowiedziała się pani o śmierci pani Alves?

Co za dociekliwość, pomyślała z irytacją. Jeśli zamierzali się skontaktować z każdym rodzicem i każdego zapytać, gdzie się dowiedział, to wyglądało to raczej na badania socjologiczne niż na śledztwo.

– Niech pomyślę – odparła. – Zaraz, zajrzę do telefonu. – Wydobyła go z torebki i przejrzała listę połączeń. Nietrudno było znaleźć to najważniejsze. –

Dwunasta czterdzieści sześć – oznajmiła z wielką ulgą, jakby jej się udało coś w niepodważalny sposób udowodnić. – Rozmawialiśmy osiem minut z hakiem. Ale czemu to takie ważne? Jeśli mogę zapytać.

Ten, który nazywał się Mendoza, westchnął w osobliwie śpiewny sposób.

– Ja już się nie zastanawiam, co jest ważne – powiedział z bladym uśmiechem. – Dawniej pytałem tylko o to, co uważałem za ważne. Dlatego tak długo czekałem na odznakę detektywa. Teraz pytam o wszystko i dopiero później to porządkuję. Jest pani psychiatrą, prawda? Pyta pani tylko o ważne rzeczy?

Spojrzała na niego. Potem na tego drugiego. Już się nie uśmiechali.

– Skąd panowie wiedzą, że jestem psychiatrą? – zapytała. – To znaczy nie jestem. Jestem terapeutką.

– A czy to tajemnica? – spytał. – Przecież wydaje pani książkę.

– Ona nie była moją pacjentką – powiedziała Grace, wyciągając całkiem nielogiczne wnioski. – Pani Alves. Nie leczyłam jej. Byłyśmy razem w szkolnym Komitecie. Chyba nawet nigdy nie rozmawiałyśmy. Tylko jakieś pogaduszki.

– O czym te pogaduszki? – spytał Mendoza.

Grace nagle zdała sobie sprawę, że jej sąsiadka, mieszkająca piętro wyżej, właśnie przemierza hol. Prowadziła na smyczy swoją lhasę apso i niosła torbę z zakupami ze sklepu Whole Foods. Nie mogła uwierzyć, że na fotelach w westybulu siedzą trzy osoby, i, jak się wydaje, naprawdę rozmawiają. Wie, że są z policji? – pomyślała Grace od razu. Mieszkała nad nią blisko dziesięć lat, sama, z psem, a wcześniej z innym psem. Willie albo Josephine – tak się nazywał pies, nie sąsiadka. Ona nazywała się Brown, ale jak miała na

imię? Nie wiedziała. Tak to już bywa w manhattańskich spółdzielniach.

– Nie pamiętam... A! – Nagle sobie przypomniała. – Rozmawialiśmy o jej córeczce, tej malutkiej. Podziwialiśmy jej rzęsy. Pamiętam. Mówiłam, że to nie było nic ważnego.

– Mówiła o rzęsach swojego dziecka? – Mendoza zmarszczył brwi. – Nie wydaje się to pani dziwne?

– Po prostu podziwialiśmy tę małą. No wiecie. – A może nie wiedzieli. Może nigdy nie zachwycali się niemowlęciem, żeby zrobić przyjemność jego rodzicom. – Jaka ślicznotka. Jakie długie rzęsy. Najzwyklejsza rozmowa.

O'Rourke kiwnął głową i zanotował ten niezmiernie ważny fakt.

– I to było podczas spotkania komitetu w zeszły czwartek, piątego grudnia, tak?

Czyżby im powiedziała, że to był piąty grudnia? Wyglądało na to, że już znali wszystkie okoliczności i trzymali teraz przed nią cały bukiet bezużytecznych faktów.

– Pewnie tak. Rozmawialiśmy tylko ten jeden raz.

– Jeśli nie liczyć bankietu, w sobotę – powiedział Mendoza.

I wtedy zrozumiała. Oczywiście, rozmawiali już z Sally. Pewnie nawet sama do nich zadzwoniła, pomyślała z irytacją. Pewnie powiedziała: Znałam ją! Kierowałam komitetem! Grace Sachs to wszystko

potwierdzi! Pieprzona Sally.

– Widziałam ją na przyjęciu w sobotę – poprawiła go Grace. – Ale z nią nie rozmawiałam.

– Dlaczego nie? – spytał Mendoza.

Dlaczego nie? Co za bezsensowne pytanie. Nie ma żadnego dlaczego nie, tak jak nie byłoby żadnego dlaczego tak, gdyby jednak z nią wtedy rozmawiała.

Wzruszyła ramionami.

– Bez powodu. Nie rozmawiałam z większością gości. Znaczoną część bankietu spędziłam na parterze, rozdawałam ulotki i plakietki z nazwiskami. Kiedy weszłam na górę, był już tłum. A po chwili zaczęła się aukcja. Nie rozmawiałam z wieloma osobami.

– A może widziała pani, czy ktoś rozmawiał z panią Alves na przyjęciu? Nawet jeśli pani tego nie robiła. Pamięta ją pani w jakimś towarzystwie?

Aha, pomyślała. Spojrzała na nich, w jednej chwili rozdarta między swoim feministycznym i niefeministycznym ja, nie wspominając o chęci bycia pomocną i o pogardzie dla Sally. Nie była jak Sally – nie pluła jadem tylko dlatego, że w pobliżu pojawiła się dziewczyna ładniejsza od niej albo rozsiewająca więcej feromonów, które odciągają mężczyzn od ich kobiet. Jeśli tacy faceci jak ci z bankietu chcieli się zbierać wokół Malagi Alves, z powodu ponętnej nieznanym zapominać o żonach, nie zamierzała ich oceniać, zwłaszcza że jej mąż nie był jednym z nich. Malagi nie należało winić za jej oczywistą zmysłowość, z którą się

zresztą nie obnosiła (wręcz przeciwnie), pomimo sprzyjających okoliczności. Mężczyźni śliniacy się na jej widok odpowiadali wyłącznie przed własnymi sumieniami i, rzecz jasna, żonami.

Z drugiej strony nie do niej należało wskazywanie winnych.

– Rozumiem, że pytaacie, czy zauważyłam wokół niej tych wszystkich mężczyzn – powiedziała. Połknęła przynętę, ale na swoich zasadach. – Oczywiście, że tak. Trudno było to przeoczyć. Malaga jest... była atrakcyjną kobietą. Ale z tego co widziałam, zachowywała się bardzo przyzwoicie.

Zaczekała, aż Mendoza skończy notować, a w myślach powtarzała sobie: ale nawet gdyby się zachowywała nieprzyzwoicie, mam nadzieję, że nie sugerujecie, że zasłużyła na śmierć. Myślałam, że już z tego wyrośliśmy. Prawie to powiedziała na głos. Udało jej się powstrzymać.

– Twierdzi pani, że w sobotę pani z nią nie rozmawiała – powiedział na koniec Mendoza.

– Tak jest – potwierdziła.

Zdała sobie sprawę, że zaraz przyjdzie Henry. Nie chciała, żeby to zobaczył, tę scenę w holu.

– Ale musiała się pani z nią przywitać, kiedy wchodziła.

Który to powiedział? Spojrzała na obydwu, jakby się spodziewała, że odpowiedź znajdzie w mięśniach ich szyj. Ale jeden, O'Rourke, szyję miał zasłoniętą brodą,

a drugi, Mendoza, tłuszczem. Tłuszcz na szyi zawsze ją trochę odstręczał. Nigdy nie rozważała na poważnie operacji plastycznej, ale gdyby jej żuchwę pokryła warstwa tłuszczu, z pewnością nie byłaby w stanie z tym żyć. Moją osobistą granicą nie do przejścia, pomyślała, jest widoczna linia żuchwy.

– Tak? – Zmarszczyła brwi.

– Mówiła pani, że siedziała na parterze, w holu. W dniu imprezy.

– Bankietu – poprawił go ten drugi, Mendoza, ten bez żuchwy.

– Zgadza się. Musiała pani z nią rozmawiać. Rozdawała pani plakietki z nazwiskami.

– I katalogi – dodał Mendoza. – Zgadza się?

– Ach, no tak. Może. Nie pamiętam. Ludzie przychodzili w dużych grupach.

Była już mocno zirytowana. Jakie to mogło mieć znaczenie, czy dała Maladze Alves tę idiotyczną plakietkę i katalog? Nawet nie było dla niej plakietki. Nie potwierdziła, że przyjdzie!

– Więc chce pani cofnąć wcześniejsze zeznanie? – powiedział dość miłym tonem.

Jedno słowo krążyło jej po głowie od... jak dawna? Nie dłużej niż pięć minut. Ale pięć minut to dużo czasu. Słowo brzmiało: adwokat. A tak naprawdę słów było więcej. Oprócz adwokata słyszała w myślach zdanie: coś tu jest nie tak. A do tego, z jakiegoś niezrozumiałego, nedorzecznego i przy okazji bardzo wkurzającego

powodu: debile.

– Pani Sachs? – powiedział O'Rourke.

– Panowie – powiedziała. – Chcę wam pomóc, to jasne. Ale nie rozumiem, co jeszcze mogę dodać. Nie wiem o tej kobiecie absolutnie nic. Rozmawiałam z nią raz w życiu, o nieważnych rzeczach. Cokolwiek ją spotkało, było okropne. Nawet nie wiem, co się z nią stało! – podniosła głos. – Tak czy inaczej, jestem pewna, że nie miało to nic wspólnego ze szkołą. I wiem, że nie miało nic wspólnego ze mną.

Spojrzeni po sobie z dziwną satysfakcją, jakby się wreszcie doczekali pretensji. Poszła im na rękę i udowodniła, że przeczucia ich nie zawiodły. Od razu pożalowała tego małego wybuchu. Ale naprawdę chciała, żeby już sobie poszli. Teraz, zanim Henry wróci i ich zobaczy. A oni ciągle siedzieli.

– Pani Sachs – odezwał się w końcu O'Rourke. – Przepraszam, że tak panią naszliśmy. Nie będziemy pani dłużej trzymać, ale chcielibyśmy porozmawiać z pani mężem. Jest na górze?

Gapiła się na nich bez słowa. Po raz kolejny, bez ostrzeżenia, jej myśli powędrowały do lat pięćdziesiątych, w których ci dwaj potrzebowaliby samczej zgody jej męża, żeby jej dać spokój. Doprowadzało ją to do szału, ale zdołała wykrztusić tylko:

– A dlaczego?

– Czy to jakiś problem? – powiedział ten drugi.

– Owszem, bo męża nie ma. Jest na konferencji medycznej. Ale nawet gdyby był w domu, nie miałyby zielonego pojęcia, o kogo pytacie. On nie znał tej kobiety.

– Naprawdę? – powiedział ten pierwszy, Irlandczyk. – Nie poznał jej w szkole, jak pani?

– Nie. To ja odprowadzam syna do szkoły i ja go odbieram.

Teraz obaj patrzyli na nią zdziwieni.

Mendoza powiedział:

– Codziennie? Pani mąż nigdy tego nie robi?

Prawie się roześmiała. O dziwo, przyszła jej do głowy para, którą kiedyś leczyła i która prowadziła, w pełnej zgodzie i z sukcesami, interes, który razem założyli. Ale jeśli chodzi o prowadzenie domu i wychowywanie dwojga dzieci, kobieta była kompletnie sama. Dbała o opłacanie na czas chesnego i regularne kupowanie papieru toaletowego. Pilnowała szczepień i płacenia podatków, aktualizowała paszporty, wracała do domu, żeby gotować kolacje, umawiała dzieci na dodatkowe zajęcia i wycierała blaty, a on odpoczywał po ciężkim dniu. Ona cały czas była nieszczęśliwa. Podczas terapii obydwójce krążyli i krążyli wokół tego obłądnego stanu, delikatnie badali jego rodzinne sprawy, które odpowiadały za jego wyobrażenie o udanym małżeństwie, i traumatyczną, wczesną utratę ojca przez nią. Delikatnie proponowali wykresy i listy, które miałyby przywrócić równowagę w kwestii

domowych obowiązków. Były wizualizacje rodzinnego życia, jakiego każde z nich pragnęło dla siebie i dzieci. I w końcu któregoś dnia, kiedy ona mu tłumaczyła, dlaczego nie jest w porządku umawiać się z kumplami na wieczór po pierwszym dniu szkoły, on nagle doznał jednego z tych rzadkich, lecz na ogół bardzo satysfakcjonujących olśnień, w których ludzie słusznie widzą dużą zaletę terapii. Straszliwie oburzony wyprostował się na kanapie, spojrzał na żonę, współniczkę, matkę swoich dzieci, jedyną kobietę, jaką – jak zapewniał – kiedykolwiek kochał, po czym powiedział: Ty będziesz szczęśliwa, dopiero jak ja zacznę robić połowę!

Więc może była hipokrytką. A może tak naprawdę tego właśnie chciała: odprowadzać syna do szkoły, czekać na niego, zabierać go na lekcje skrzypiec i nie dzielić się tym cennym doświadczeniem z Jonathanem, który zresztą nigdy nie prosił, żeby się z nim dzieliła. Tak czy inaczej, co ich to obchodzi? I dlaczego to ważne?

– No cóż – powiedziała z nieśmiałym uśmiechem, który nawet jej wydał się wymuszony. – Może i mamy inne czasy, ale wątpię, żeby w szkołach waszych dzieci było inaczej. Ilu tatusiów zasiada w trójkach klasowych?

Detektywi spojrzeli po sobie i ten z dwojgiem dzieci wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Moja żona się tym zajmuje.

No właśnie, pomyślała Grace.

– Mimo to mogli się poznać, prawda? Pani mąż i ta pani. Malaga Alves?

I wtedy przyszedł Henry. Wszedł zgarbiony do westybulu, ze skrzypcami na plecach. Ciężka skórzana torba na książki przy każdym kroku obijała mu się o biodro. W końcu zauważył obcych i podniósł wzrok. Serce Grace na sekundę przestało bić, choć nie wiedziała czemu.

Henry był pięknym chłopcem, miał zostać pięknym mężczyzną, choć chwilowo początki dojrzewania spowalniały ten proces, obsypując mu górną wargę delikatnym meszkiem. Podobnie jak ojciec miał czarne kręcone włosy. Po niej odziedziczył mocne kości i długą szyję. Podobnie jak oni oboje więcej myślał, niż mówił.

– Mama? – powiedział.

– Cześć, skarbie – odparła automatycznie.

Henry stanął w miejscu. Obracał w ręce klucz, który wyjął z tornistra. Dziecko z kluczem na szyi, pomyślała, choć jej syn wcale nim nie był. Niezupełnie. Prawdopodobnie spodziewał się, że jego matka jest na górze i czeka na niego. A gdyby wszedł do pustego mieszkania, uznałby, że jest w drodze. I rzeczywiście była, zanim ci dwaj denerwujący faceci jej nie zatrzymali. Henry czekał.

– Idź na górę – powiedziała. – Za chwilę przyjdę.

Henry zaczekał jeszcze chwilę, dostatecznie długo, żeby jej dać do zrozumienia, że będzie mu winna

wyjaśnienia, odwrócił się i poszedł. Skrzypce kołysały się lekko na jego plecach. Policjanci nie odezwali się ani słowem, dopóki winda nie zamknęła się za nim.

– Ile ma lat? – zapytał jeden z nich.

– Dwanaście.

– Fajny wiek. Mniej więcej wtedy znikają w swoich pokojach i nie wychodzą przez następnych dziesięć lat.

Ta uwaga posłużyła im za sygnał. Obaj zaśmiali się teatralnie. Jeden, O'Rourke, pokręcił głową i spuścił wzrok, jakby sobie przypominał, jak odrażająco sam się zachowywał, kiedy był dwunastolatkiem. Grace była rozdarta: z jednej strony chciała bronić Henry'ego, który kilka miesięcy wcześniej rzeczywiście zaczął się zamykać w swoim pokoju (na ogół po to, żeby czytać albo grać na skrzypcach), z drugiej odwrócić się na pięcie i sobie pójść. Oczywiście nie zrobiła żadnej z tych rzeczy.

– Czy Henry zna syna pani Alves? – zapytał Mendoza.

Grace spojrzała na niego zdziwiona.

– Jak on ma na imię? – zapytał O'Rourke'a.

– Miguel.

– Miguel – powtórzył, patrząc na Grace, jakby nie siedziała metr dalej.

– Nie, oczywiście, że nie.

– Dlaczego to oczywiste? – zapytał, marszcząc czoło.

– To nieduża szkoła, prawda? Tak przeczytałem na stronie internetowej. Dlatego czesne jest takie wysokie. Tyle uwagi poświęca się każdemu uczniowi. Ile kosztuje

ta szkoła? – zapytał współlnika.

Mogę już iść? – zastanawiała się Grace. Czy można w ogóle wyjść z takiego spotkania? Czy to raczej jak audiencja u króla i zakończyć rozmowę może tylko on?

– Trzydzieści osiem tysięcy, tak powiedział.

Grace pomyślała: tak kto powiedział?

– O kurka! – jęknął Mendoza.

– No co? – odparł O'Rourke. – Widziałeś budynek. Wygląda jak pałac.

Ten budynek, pomyślała Grace ze złością, powstał pod koniec dziewiętnastego wieku z myślą o edukowaniu dzieci robotników i imigrantów. Ten budynek był też pierwszą nowojorską szkołą prywatną, która rekrutowała uczniów spośród czarnych i Latynosów.

– Jak to możliwe, pani zdaniem, że było ją stać na tę szkołę? – zapytał ją, znowu poważny. – Ma pani jakiś pomysł?

– Czy mam... – Grace się zamyśliła. – Chodzi o panią Alves? Jak mówiłam, ledwo się znałyśmy. Z pewnością nie zwierzałyby mi się z problemów finansowych.

– Ale nie była bogata. Jej mąż... czym się zajmuje? – zapytał O'Rourke'a.

– Drukowaniem – powiedział O'Rourke. – Prowadzi dużą drukarnię w centrum. Niedaleko Wall Street.

Grace była zaskoczona, a potem się zawstydzila, że jest zaskoczona. Co sobie wyobrażała? Że mąż Malagi Alves rozdaje pocztówki na Piątej Alei, że ogłasza

wyprzedaż u jakiegoś słynnego projektanta mody? Czy to, że ich syn korzystał ze stypendium, musiało oznaczać, że jego ojciec też jest biedny? Czyżby Alvesowie nie mieli prawa spełniać swojego amerykańskiego marzenia?

– No tak, to możliwe – powiedziała taktownie. – Możliwe, że Miguel miał stypendium. W naszej szkole od wielu lat działa program stypendialny. Chyba się nie pomylę, jeśli powiem, że Rearden ma więcej uczniów mających stypendia niż inne prywatne szkoły na Manhattanie.

Chryste, pomyślała, mam nadzieję, że to prawda. Gdzie o tym przeczytała? Pewnie w „New York Timesie”, ale kiedy? Niewykluczone, że od tamtej pory Dalton albo Trinity ich wyprzedziły.

– Tak czy inaczej, kiedy mówiłam, że mój syn nie mógł znać syna pani Alves, miałam na myśli to, że uczeń siódmej klasy nie ma wiele wspólnego z czwartoklasistą. W żadnej szkole. Mógł mijać tego chłopca w korytarzu, ale raczej nie mógł go znać. Mam pomysł – powiedziała, stając na równe nogi. Miała nadzieję, że nie łamie w ten sposób prawa. – Zapytam go. Jeśli się mylę, zadzwonię do was i powiem, że się znali. Mają panowie wizytówki? – zapytała i wyciągnęła rękę.

O'Rourke tylko patrzył, ale Mendoza wstał i wyjął z kieszeni portfel, a z niego dosyć obskurną wizytówkę. Skreślił coś na niej długopisem.

– Stare dane – powiedział, wręczając jej. – Miasto Nowy Jork odmówiło zamówienia nowych. To moja komórka – dodał, pokazując czubkiem długopisu.

– Dziękuję – odparła odruchowo i równie odruchowo wyciągnęła rękę, żeby się pożegnać.

Cieszyła się, że zostawiają ją w spokoju, ale Mendoza nie puszczał jej ręki.

– Coś pani powiem. Rozumiem, że chce go pani chronić.

Ruszył lekko głową, podbródkiem do góry, jakby mrugał do sufitu. Instynktownie spojrzała w górę i zrozumiała. Mówił o Henrym. Co w tym dziwnego, że chroni swojego syna?

– Wiem, że tego pani chce – ciągnął z dziwnie serdecznym wyrazem twarzy. – Ale ja to pani odradzam. Tylko pogorszy pani sytuację.

Gapiała się na niego. Wciąż trzymał jej dłoń swoją wielką ręką, a bez niej nie mogła odejść. Pomyślała: czy mogę mu ją wyrwać? Co on, kurwa, wygaduje?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ktoś napisał mail do pani męża

Była wściekła. Tak wściekła, że cały sześciopiętrowy kurs windą zajęło jej uspokajanie się na tyle, żeby mogła zrozumieć, że nie przeżywa prawdziwego, fizycznego, totalnego załamania, które wymagałoby prawdziwej pomocy lekarskiej, a tylko jest cholernie, cholernie wściekła. W windzie wisiało lustro. Nie zamierzała w nie patrzeć. Bała się tej rozgniewanej do białości wersji samej siebie, więc skupiła się na źle wykończonym drewnianym suficie. Poruszała przy tym szczęką, jakby mocno przeżuwała coś, co nie chciało się dać rozgryźć.

Mimo to nieznośna myśl kwitła wokół niej, wypełniała każde wolne miejsce. Jak oni śmieli? – mówiła sobie w duchu kilka razy. Ale... Jak śmieli c o, tak naprawdę? Nie oskarżyli jej o nic poważniejszego niż to, że nie jest zbyt przyjaźnie nastawiona (jako rodzic i członkini komitetu) do nowo przybyłej i wyraźnie mniej zamożnej matki, która po jakimś czasie, w wyniku trudnych do przewidzenia wypadków, dała się zamordować. Ale dlaczego padło właśnie na nią? Dlaczego nie dręczą rodziców czwartoklasistów

albo nie zakuli jednej matki w dyby w Central Parku, żeby dać przykład innym? O co im chodzi?

Najgorsze jest to, myślała, wsuwając klucz do zamka, że nie mam jak dać upustu kłębiącej się we mnie furii. Ze wszystkich wkurzających sytuacji życiowych najbardziej lubiła te, w których możliwe reakcje były jasno określone. Na przykład odholowanie samochodu strasznie denerwuje, ale przynajmniej wiadomo, dokąd pójść i na kogo nawrzeszczyć. Wstrętnych rodziców wstrętnych dzieci w szkole Henry'ego można ostentacyjnie ignorować. Nie musiała udawać, że ich lubi, i rozmawiać z nimi podczas szkolnych imprez. Opryskliwych sprzedawców i kiepskie restauracje można omijać szerokim łukiem. W Nowym Jorku nikt nie ma monopolu na nic. To bardzo praktyczne. Każda knajpa, do której rzekomo nie sposób się dostać, po kilku tygodniach ustępuje miejsca innej knajpie, do której nie sposób się dostać. (Jedynym znanym jej wyjątkiem od tej zasady był system przyjęć do prywatnych szkół, ale Henry już od trzeciego roku życia był bezpiecznie przypisany do odpowiedniego rocznika – manhattański odpowiednik bycia ustawionym na resztę życia, przynajmniej jeśli chodzi o wykształcenie). Teraz było inaczej, bo naturalnie pomagała policji, jak każdy praworządny obywatel, zwłaszcza po jedenastym wrześniu, kiedy stróże prawa dla mieszkańców miasta dosłownie poszli w ogień. Dostawała szału.

Zresztą nawet gdyby wiedziała, jak wyrazić żal, na co

właściwie miałyby narzekać? Na to, że odwiedziło ją dwóch detektywów o niezwykle sympatycznym usposobieniu, próbujących zrozumieć potworne, przygnębiające morderstwo, które odebrało dwojgu dzieciom matkę, i chcących wymierzyć sprawiedliwość temu (bo z pewnością zamordował ją mężczyzna), który je popełnił? Na to, że zadali jej kilka pytań? Nie zrobili nic, czego by nie знаła z serialu *Prawo i porządek*. Zupełnie nic.

Położyła torbę na stoliku w przedpokoju i usłyszała, jak zamyka się lodówka (Henry jak zwykle wypijał popołudniowy galon soku pomarańczowego). Zastanawiała się, czy powinna zadzwonić do Jonathana. Wyżalenie się Jonathanowi było bezpieczne, ale może zbyt dużym egoizmem byłoby przerywać mu w tym celu konferencję. A poza tym ile współczucia dla zamordowanej obcej kobiety, nie mówiąc już o niej samej, trochę tylko poruszonej zamordowaniem obcej kobiety, można wykrzesać z kogoś, kto żyje w świecie umierających dzieci? Z pewnością byłby mocno wkurzony, gdyby usłyszał, że dwaj detektywi instruowali ją, żeby nie chronić ich dwunastoletniego syna. Więcej niż wkurzony.

Przed czym miałybyś go nie chronić? – zapytałby. Wyobraziła sobie wykres jego nastroju na monitorze elektrokardiografu, nagle mocno pikujący. Miałyby mu nie mówić o śmierci matki czwartoklasisty, którego nigdy nie widział na oczy, a na pewno nie wiedział, jak

ma na imię? Wiem, że chce go pani chronić. Byłoby to śmiechu warte, gdyby nie to, że ten Irlandczyk – albo tamten drugi – naprawdę to powiedział.

Może powinna zadzwonić do Roberta Conovera i na niego nakrzyczeć, ale nie była pewna, co zrobił poza tym, że rozesłał ten idiotyczny komunikat. To było naprawdę głupie. Ale coś musiał przedsięwziąć, coś powiedzieć. Błędem byłoby nie spróbować wyprzedzić zdarzeń. Większość ludzi nie potrafi pisać, nawet dyrektorzy szkół, i nigdy nie wiadomo, czy autor oficjalnego oświadczenia wyprodukuje to, co zamierzał, czy strzeli sobie w stopę jakimś idiotyzmem. A może powinna nakrzyczeć na Sally, skoro to najwyraźniej ona – jako przewodnicząca komitetu organizacyjnego – podała policji jej nazwisko i skoro, ogólnie rzecz biorąc, była wkurzająca. Może powinna nakrzyczeć na swojego ojca.

Z zasady nigdy nie krzyczała nawet w pobliżu, a co dopiero n a ojca. Dawno temu jasno dał jej do zrozumienia, że zamierza utrzymywać kontakt wyłącznie z jej najspokojniejszym, racjonalnym wcieleniem. Z tym, które wychował i za własne pieniądze wykształcił i którego zgryźliwych i inteligentnych uwag tak bardzo lubił słuchać. Nie była z natury roztrzepana i nie dawała się ponosić emocjom, na szczęście, ale nawet ona musiała przebrnąć przez okres kobiecego dojrzewania, które naturalnie składało się z epizodów hormonalnych ekstrawagancji, scen

w restauracjach, na oczach starych znajomych rodziców. Te incydenty zostawiły – dobrze to wiedziała – w jego psychice niezatarty ślad. Dobrze, że była jedynaczką.

Mimo wszystko niewzruszenie był oddanym ojcem. Nawet po śmierci matki (umarła już po tym, jak Grace wyprowadziła się z domu), nawet po ponownym ślubie ani razu nie pozwolił, żeby osłabł jego autorytet, którego postanowił nie stracić w chwili, kiedy został ojcem, tak jak mężczyźni zostawali ojcami kiedyś: z dala od sali porodowej. Uważała, że są sobie bliscy, jeżeli to oznaczało, że widywali się często, że mówił jej, że dobrze wygląda, że popierał wybór męża i chwalił dziecko, które wspólnie wydali na świat, i może nawet był dumny z jej zawodowych osiągnięć. W dodatku żadne z nich nie było skłonne do wylewnych deklaracji, więc tego też im nie brakowało. Było kilka rytuałów, których oboje wyczekiwali. Cotygodniowe kolacje w mieszkaniu, które dzielił z nową żoną, żoną od ponad osiemnastu lat, którą Grace nadal złośliwie uważała za nową. (Kolacje te początkowo odbywały się w piątki, z uwagi na braną bardzo serio żydowskość Evy, a potem w inne dni, z uwagi na okazywaną przez Grace i Jonathana niezdolność do dostosowania się do zasad owej żydowskości, a także na to, że córka i syn Evy przestali podchodzić do tej niezdolności z choćby odrobiną kurtuazji).

Myśląc teraz o ojcu, nagle poczuła, że musi do niego zadzwonić. Tak czy inaczej, musiała zadzwonić do

niego albo do Ewy, żeby potwierdzić, że będą na jutrzejszej kolacji. Nie zrobiła tego jeszcze, bo wciąż nie wiedziała, czy Jonathan zdąży wrócić na czas z Cleveland.

Przyszedł do niej Henry z batonikiem z muesli w ręce, reklamowanym jako zdrowy, ale napchanym cukrem w takim samym stopniu jak inne słodycze.

– Hej tam – powiedziała.

Henry kiwnął głową. Kiedy rzucił okiem w stronę swojego pokoju, zdała sobie sprawę, że blokuje mu drzwi.

– Droga do domu spoko? – zapytała.

– Co to byli za goście? – powiedział Henry, przechodząc od razu do sedna.

– Policjanci. Nic ważnego.

Stał, trzymając batonik w sztywnej, wyprostowanej ręce, jak orzeł na amerykańskiej pieczęci trzyma gałązkę oliwną i strzały. Spojrzał na nią srogo, spod przydługich włosów.

– Jak to nic ważnego?

– Słyszałeś o chłopcu z twojej szkoły, którego matka umarła?

– Tak – przytaknął. – Ale czemu pytali o to ciebie?

Wzruszyła ramionami. Miała nadzieję, że mówi mu w ten sposób, że się od tego dystansuje. Chciała zakomunikować, że się dystansuje.

– Jego matka była ze mną w Komitecie organizacyjnym, kiedy zbieraliśmy pieniądze. Ale ledwo

ją znałam. Chyba tylko raz rozmawiałyśmy, na jednym ze spotkań. Nie za bardzo im pomogłam.

– Kto to zrobił? – zapytał Henry. Zaskoczył ją.

Wtedy to zrozumiała: pewnie sądzi, że to, co się przytrafiło Maladze Alves, może się przytrafić jego matce. Zawsze był trochę lękliwy. Kiedy jako mały chłopiec oglądał straszne obrazki, nawet w komiksach, miał potem koszmary. Opiekunowie z obozu powiedzieli jej kiedyś, że czekał, aż inni chłopcy będą szli do toalet za domkiem, i dołączał do nich, żeby nie iść do lasu samemu. Nadal chciał wiedzieć, gdzie ona jest. Wiedziała, że z czasem się zmieni, ale na razie wydawał się właśnie tak skonstruowany.

– Skarbie – powiedziała. – Policja wszystko wyjaśni. To okropne, co się stało, ale na pewno znajdą sprawcę. Nie musisz się martwić.

Wiem, że chce go pani chronić, pomyślała.

Oczywiście, że tak. To jej obowiązek. I tego chce. W końcu odepchnęła myśl o tamtych dwóch. O wścibskich, okropnych facetach.

Henry kiwnął głową. Był chudy – jest chudy na twarzy, pomyślała, a może po prostu wyglądał inaczej. Głowa dorastającego dziecka zmienia kształt, żuchwa, kości policzkowe i oczodoły nieustannie zmieniają pozycję. Policzki Henry’ego zdawały się lekko wysuwać do przodu, ledwo dotykały skóry i rzucały cienie po obu stronach. Wiedziała, że będzie przystojny jak jego ojciec, a jednocześnie prawie w ogóle nie będzie go

przypominał. Będzie wyglądał, nagle to zrozumiała, jak jej ojciec.

– Gdzie jest tata? – spytał.

– W Cleveland. Chyba wraca jutro. Nie mówił ci, kiedy będzie w domu?

Nagle zdała sobie sprawę, jak wymowne jest to, że pyta syna, kiedy wróci jej mąż. Ale było już za późno, żeby to cofnąć.

– Nie, nic nie mówił. Nie powiedział nawet, dokąd jedzie.

– Mam nadzieję, że zdąży na kolację u dziadka i Evy.

Henry nie odpowiedział. Lubił Evę. Miała być jedyną babcią w jego życiu – o ile nie nastąpiłaby jakaś niewyobrażalna przemiana w psychice matki jego ojca.

Rodzice Jonathana długie dziesięciolecia trwali w swoich nierozpoznanych uzależnieniach (Naomi była alkoholiczką, tak twierdził Jonathan, a David od lat siedemdziesiątych nie przeżył ani jednego dnia bez valium). Rozpieszczali jego młodszego brata, nieroba, który nie ukończył żadnych studiów, nie pracował i mieszkał u nich w piwnicy. Ściągał na siebie całą ich uwagę i całe pieniądze. Życiowe ambicje Jonathana były dla nich niezrozumiałe, a jego chęć uczestniczenia w życiu innych ludzi, zwłaszcza zmagających się z trudnymi okolicznościami, najzwyczajniej w świecie ich oburzała. Nadal mieszkali w Roslyn, ale równie dobrze mogliby się osiedlić na Księżycu. Henry nie widział ich od niemowlęctwa.

Ona też prawie nie знаła rodziny Jonathana. Zostali sobie oficjalnie przedstawieni, spędzili wtedy krępujący wieczór w chińskiej restauracji, potem poszli na wymuszony spacer wokół Rockefeller Center, żeby obejrzeć choinkę, i cały czas rozmawiali o niczym. Żadne z jego rodziców nie zjawіło się na ślubie. (Przyszedł tylko brat. Stał gdzieś z tyłu, w niewielkiej grupie gości na pochyłym trawniku ich domku w Connecticut, i oddalił się bez pożegnania podczas przyjęcia). Później widziała rodziców Jonathana tylko kilka razy, w tym wtedy, kiedy bardzo zdenerwowani przyszli do szpitala, dzień po narodzinach Henry'ego. Przyszli – nigdy nie zapomniała tego szczegółu – ze starą kołderką, uszytą ręcznie, ale nie w ciągu minionej dekady. Może miała dla nich jakieś znaczenie, ale bezmyślność tego gestu ją oburzyła. Nie, nie zamierzała okrywać swojego ukochanego, wyczekanego niemowlęcia zużyтым, cuchnącym pledem, który pewnie znaleźli na jakiejś charytatywnej wyprzedaży albo w sklepie z używaną odzieżą. Jonathan pozwolił jej wyrzucić kołdrę do kosza w szpitalnej sali.

Żadne z nich – ani matka, ani ojciec, ani brat – nigdy nie okazali najmniejszego zainteresowania nią (co w ostatecznym rozrachunku nie było problemem) ani Henrym, kiedy już podrósł. Dzisiaj rozumiała, dlaczego Jonathan, który zawsze był bystrym i ambitnym dzieckiem, sam sobie wyznaczył życiowe cele i od najmłodszych lat do nich dążył. Uważała to za przejaw

heroizmu. Sama nie musiała się starać aż tak bardzo. Jej rodzice może nie przesadzali z przekazywaniem wiedzy o życiu, ale zawsze czuła się chciana i ważna. Zawsze też wyraźnie dawali jej do zrozumienia, że powinna żyć aktywnie, zdobywać wykształcenie, interesować się ludźmi – i zostawić po sobie ślad. Jonathan musiał dochodzić do takich rzeczy sam. Nie mógł liczyć na to, że rodzice wskażą mu drogę, okażą wsparcie czy poświęcą trochę uwagi. Nie współczuła mu, bo sam się nad sobą nie użalał, ale współczuła Henry’emu. On zasługiwał na przynajmniej jedną prawdziwą babcię.

– Jak praca domowa? – zapytała.

– Nieźle. Część zrobiłem jeszcze w szkole. Ale jutro mam sprawdzian.

– Pomóc ci?

– Może potem. Najpierw się pouczę. Zamówimy coś ze Świńskiego Raju?

Była to ich ulubiona knajpa z jedzeniem na wynos, kiedy spędzali wieczory tylko we dwoje. Jonathan nie był religijny, ale nie przepadał za chińszczyzną. Nie mówili ojcu Grace i Evie o Świńskim Raju.

– Nie. Mam jagnięcinę.

– O, super.

Poszła do kuchni, żeby zrobić kolację. On zamknął się w swoim pokoju, pewnie żeby się uczyć. Dzięki kieliszкови chardonnay z lodówki pozbyła się resztek wrogości wobec dwóch mężczyzn z holu i wyjęła z szafki koszyk do gotowania na parze. Kiedy garnek

z kalafiozem stał już na gazie, kotlety jagnięce były przyprawione, a połówka sałaty bostońskiej ociekała na suszarce, doszła do siebie na tyle, żeby znów spróbować się dodzwonić do Jonathana. Po raz kolejny od razu połączyła się z pocztą głosową. Nagrała krótką wiadomość, poprosiła, żeby oddzwonił, i wybrała numer ojca. Wsłuchiwała się w przeciągły, staroświecki sygnał. Musiał w końcu przejść w sygnał analogowej sekretarki, z charakterystycznym szumiącym komunikatem i długim bipnięciem.

Po chwili odebrała Eva.

– Halo?? – powiedziała.

Grace usłyszała w jej głosie znak zapytania i od razu wiedziała, że jej macocha naprawdę nie ma pojęcia, kto dzwoni. Nie mieli w domowym telefonie identyfikacji numerów, nie mieli cyfrowej nagrywarki do filmów ani komputera. Obydwoje przestali przyswajać nowe technologie na etapie tonowych aparatów telefonicznych i magnetowidów (w zupełności wystarczała im kupiona w latach osiemdziesiątych kolekcja kaset *Arcydzieła teatru*). Za namową Grace i dzieci Evy zgodzili się kupić telefony komórkowe, ale na obydwu aparatach przykleili instrukcję obsługi i listę ważnych numerów. Grace wiedziała, że nie ma co dzwonić na komórkę ojca. Nigdy jej nie używał.

– Cześć, Eva. Tu Grace.

– Och, Grace. – W jej głosie pobrzmiwało nie tyle rozczarowanie, ile potwierdzenie jakiegoś

wcześniejszego zawodu. – Twojego taty nie ma w domu.

– Wszystko w porządku? – zapytała Grace, trzymając się ustalonego scenariusza.

Eva, która wniosła całą formalność przedwojennego życia swoich rodziców w bogatych sferach Wiednia do swojego własnego powojennego życia w bogatych sferach Nowego Jorku, oczekiwała, że rozmowy będą przebiegać w konkretny sposób. Gdyby tylko zapragnęła realizować się zawodowo, byłaby doskonałym sierżantem od musztry.

– Tak, nie narzekamy. Jesteście u nas jutro na kolacji, prawda?

– Tak, nie możemy się doczekać. Tylko nie wiem, czy Jonathan się wyrobi.

Ten jeden drobiazg wystarczył, żeby Eva się zaniepokoiła.

– Jak to nie wiesz?

– Jest na konferencji w Cleveland.

– Tak?

– Nie jestem pewna, o której wraca.

Już samo to byłoby dla Evy nie do przyjęcia. Tego, że Grace nie wie nawet, kiedy Jonathan ma wrócić, w ogóle nie była w stanie pojąć. Po prostu nie rozumiała, że życie żony może się nie kręcić wyłącznie wokół potrzeb męża. To, co dla jej pasierbicy było codziennością – ciężar nieustannego planowania, niezliczone zobowiązania (wiedziała, rzecz jasna, o książce, o promocji i występach w mediach, ale czy cokolwiek

z tego rozumiała?), a także wieczna niepewność żony lekarza, który często musiał zaniedbywać kontakty towarzyskie, kiedy jacyś inni ludzie nagle zaczynali chorować – wszystko to było dla niej tak niesmaczne, że regularnie usuwała to ze świadomości.

– Nie rozumiem – powiedziała. – Nie możesz się dowiedzieć? Nie możesz zadzwonić? To zbyt skomplikowane?

Grace pomyślała, że ma do czynienia z kimś, kto jest całkowitym zaprzeczeniem ideału matki imigrantki. Takiej, do której zawsze można przyprowadzić znajomych, bo nigdy jej nie brakuje makaronu, pieczeni czy gulaszu. Eva prowadziła przepiękny, ale niegościnniej dom. Matka Grace nie była świetną kucharką, ale przynajmniej dawała swoim gościom odczuć, że się cieszy z ich towarzystwa, kiedy zajadali się pyszną zupą jej pochodzącej z Dominikany gosposi. Eva była skrupulatną i wyśmienitą producentką potraw, ale samo dobre jedzenie nie wystarcza, żeby stworzyć ciepłą, domową atmosferę.

– Próbowałam – broniła się słabo Grace. – Umówmy się, że będziemy wszyscy troje, i dam ci znać, gdyby to się miało zmienić. Lepiej mieć za dużo jedzenia niż za mało, prawda?

Równie dobrze mogła zaproponować, żeby jej przechowała worek śmieci w lodówce.

– Straszna rzecz, to, co się stało w szkole Henry’ego – powiedziała nagle Eva, i ten formalny błąd w tej

kwestii tak Grace zaskoczył, że nie pojęła od razu, co jej macocha chce powiedzieć.

– W jego szkole? – zapytała niepewnie.

Obrywała właśnie liście kalafiora. Przerwała, stała z nożem nad deską.

– Zamordowano kogoś z rodziców. Twój ojciec dzwonił dziś rano z biura.

To, że jej ojciec wiedział o śmierci Malagi Alves wcześniej niż ona, samo w sobie było niepokojące. Nie orientował się w nowinkach technologicznych i towarzyskich.

– Tak, wiem. To straszne.

– Znałaś ją?

– Nie. To znaczy tak, ale słabo. Wydawała się sympatyczna.

Wyszło naturalnie. Tak chyba powinno się mówić o zmarłych. Mimo że Malaga wcale nie robiła wrażenia sympatycznej. Ale jakie to miało teraz znaczenie?

Włożyła kalafior do garnka i zajęła się rozpuszczaniem masła na zasmażkę. Przekonała Henry'ego do jedzenia kalafiora, podając go zawsze z sosem serowym, który podpatrzyła kiedyś u przyjaciółki, Vity. Ten sos był niestety jednym z niewielu śladów, jakie Vita zostawiła w jej życiu.

– Czy to był jej mąż? – zapytała Eva, jakby mogła wiedzieć takie rzeczy. – Zazwyczaj mordercą jest mąż.

– Nie mam pojęcia – odparła Grace. – Policja na pewno to bada.

A tak naprawdę, pomyślała ponuro, wiem na pewno, że policja to bada.

– Jakim trzeba być człowiekiem, żeby zabić matkę swojego dziecka? – powiedziała Eva, a ona, trąc cheddar nad deską do krojenia, przewróciła oczami.

Nie wiem, pomyślała. Złym?

– Okropne – powiedziała. – Jak biodro taty? Ciągle mu doskwiera?

Wiedziała, że to dla Evy za dużo – biodra jej osiemdziesięcioletniego męża to temat zbyt osobisty, żeby o tym rozmawiać z jego jedyną córką. To, że prędzej czy później jedno albo oba biodra będzie mu trzeba wymienić, wcale nie sprawiało, że chętniej o tym rozmawiała.

– Nic mu nie jest. Nie narzeka.

Grace wyczuła, że znalazły się w impasie, i się rozłączyła. Obiecała, że potwierdzi, czy Jonathan przyjdzie, jak tylko z nim porozmawia. Potem wrzuciła mięso na grill i zaczęła wsypywać do roztopionego masła mąkę.

Po kolacji, kiedy Henry zamknął się w pokoju, żeby ćwiczyć na skrzypcach, a ona skończyła sprzątać, poszła do swojej sypialni i wyjęła ze skórzanego pokrowca laptopa. Pokój jej i Jonathana był, za ich obopólną zgodą, strefą wolną od elektroniki, z wyjątkiem odtwarzacza Bose po jego stronie łóżka. (Setki płyt trzymał w skórzanych segregatorach na szafce przy łóżku, posegregowane drobiazgowo według gatunków,

a potem alfabetycznie, według nazwisk artystów. W przeciwieństwie do większości ludzi, którzy utrzymywali, że lubią wszystkie rodzaje muzyki, a słuchali wyłącznie rocka albo jazzu, albo bluesa, Jonathan miał tak pojemny gust, że równie często kupował nagrania Aborygenów, jak barokową muzykę kameralną albo najnowsze albumy takich artystów jak Alison Krauss). Ona nie była luddystką. Doskonale sterowała życiem swoim, męża (przynajmniej jego pozazawodową częścią) i syna za pomocą iPhone'a. Książkę napisała na laptopie, ale wołała unikać natłoku informacji, zwłaszcza w domu. Poza domem było to nieuniknione. Gdziekolwiek spojrzała albo nadstawiła uszu, podsuwano jej rzeczy i idee, i nawet jej ukochane publiczne radio dopasowało się do tego trendu i dopuściło nadawanie komunikatów prywatnych sponsorów. Nie musiała dzielić z Jonathanem fascynacji didgeridoo, ale człowiek, który na nim grał, przynajmniej nie próbował jej sprzedać niczego poza swoją muzyką.

A mimo to ich sypialnia, pomalowana na zieleń mchu, przystrojona czerwonymi zasłonami z *toile de jouty* i wyposażona w stare amerykańskie łóżko, na którym spali jej rodzice (nowy materac, rzecz jasna!), była oazą, w której możliwe były inne formy komunikacji. Uwielbiała się tam budzić, zwłaszcza zanim dzień się na dobre zaczął, kiedy było jeszcze ciemno i leżała wtulona w krzywiznę ramion męża. Lubiła budzić się

w nocy, kiedy Jonathan wracał do domu, wypadać ze snu w ciepło jego ciała z tą dziwną, kruchą niepewnością, czy jeszcze śpi, czy już nie. Miłość na granicy jawy, zasilana fazą REM, pożądaniem i dojrzałą intymnością małżeńskiego łóżka. Kiedy Henry był bardzo mały, spał między nimi. Najpierw dlatego, że go bardzo, bardzo ostrożnie układała, z lękliwą troską młodej matki, która chce być pewna, że jej dziecko przeżyje noc, a potem dlatego, że sam chciał z nimi spać. Wkrótce potem Jonathan zaczął nalegać, żeby Henry nocował w swoim pokoju na drugim końcu korytarza. Tym, który Grace kiedyś pomalowała w neutralny płciowo wzór z księżycem i gwiazdami, dziś już wielokrotnie zamalowany. Mniej więcej w tamtym czasie podjęła świadomy wysiłek odnowienia własnego pokoju. Oprócz łóżka, które zawsze kochała, i toaletki, której nie lubiła, ale którą trzymała przez wzgląd na matkę, wszystko, co pochodziło z czasów jej rodziców, zostało odnowione. Od uwolnionego parkietu (na szczęście zachował się w doskonałym stanie, dzięki bezowej wykładzinie, z którą się wychowała) po błyszczącą zielen ścian. Kiedy dekoratorka wyraziła obrzydzenie na widok materiału, który wybrała na zasłony, została natychmiast zwolniona. Zastąpiła ją krawcowa bez własnego gustu. Jonathan pomógł: powiedział, że nie robi mu to różnicy, o ile tylko ona jest zadowolona.

A ona była szczęśliwa. Szczęśliwa tu, w tym pokoju, w tym życiu. Dostatecznie szczęśliwa, żeby uznać, że

może radzić innym, jak osiągnąć szczęście. Nigdy nie była zamożna ani piękna. Nie sprzyjał jej los. Nadal wspominała – rzadko, bo mimo upływu lat te myśli wywoływały ostre ukłucia smutku – wszystkie te dzieci, które zaczynały w niej rosnąć, ale z jakiegoś powodu nigdy nie przyszły na świat. Do dziś zdarzało jej się sięgać po telefon, żeby zadzwonić do Vity, ale zawsze w końcu się powstrzymywała, a potem czuła się bardzo boleśnie odrzucona, bo nigdy nie zrozumiała, dlaczego przestały się przyjaźnić. Nadal tęskniła za matką. Najczęściej jednak nie mogła uwierzyć, że żyje u boku genialnego, pełnego współczucia mężczyzny, na którego wciąż potrafiła patrzeć z myślą: będzie mój, jakby już go nie miała, z pięknym, inteligentnym synem, w tym mieszkaniu, w którym była jednocześnie córką, żoną i matką. Brutalna prawda była taka, że los przychylił jej nieba, podczas gdy Malagę Alves, która znów do niej wróciła – tu, na jej małżeńskim łóżu, w jej małżeńskiej sypialni, z synem bezpiecznie odrabiającym lekcje kilka metrów dalej – spotkało coś tak strasznie innego.

Otworzyła laptopa i zaczęła zbierać to, o czym wszyscy inni zdawali się już wiedzieć. Jak mogła się spodziewać, „New York Times” nawet nie wspominał o zamordowaniu kobiety, której syn chodził do szanowanej prywatnej szkoły na Manhattanie, ale zarówno „News”, jak i „Post” opublikowały krótkie wzmianki, tak podobne, że mogły być dziełem tej samej

osoby. Wersja z „Post” brzmiała tak:

Tony Upper East Side Akademia Rearden

Sic! – pomyślała.

jest w szoku po śmierci mamy czwartoklasisty. Według policyjnych źródeł dziesięcioletni Miguel Alves wrócił do domu, gdzie znalazł Malagę Alves (lat trzydzieści pięć) martwą, w zalanym krwią mieszkaniu.

Zalanym krwią? – pomyślała Grace. Właśnie dlatego czytała tylko „New York Timesa”.

Dziewczynka w wieku niemowlęcym, również przebywająca w tym czasie w mieszkaniu, nie odniosła obrażeń. Policji nie udało się skontaktować z mężem ofiary, Guillermem Alvesem (lat czterdzieści dwa), obywatelem Kolumbii. Alves kieruje drukarnią Amsterdam Printing przy Broadway Avenue 110, jednym z najstarszych i najlepiej prosperujących zakładów drukarskich w Dzielnicy Finansowej. Akademia Rearden jest jedną z najlepszych szkół średnich w mieście, jej absolwenci regularnie zasilają szeregi studentów uczelni należących do Ivy League, Stanford i MIT. Czesne wynosi od trzydziestu do czterdziestu ośmiu tysięcy dolarów rocznie, w zależności od klasy. Wśród obecnych uczniów są dzieci medialnego potentata Jonasa Marshalla Spensera i założyciela funduszu Aegis Nathana Friedberga.

Każdy, kto wie coś o tej albo o innej sprawie, proszony jest o kontakt z numerem jeden, osiemset osiemdziesiąt osiem, sześćset dziewięćdziesiąt dwa, siedemdziesiąt dwa, trzydzieści trzy.

I to by było na tyle, pomyślała Grace. Niezbyt wyczerpujące informacje. Z pewnością za mało, żeby

wywołać skandal. Ale czytała „New York Magazine” wystarczająco długo, żeby mieć pewność, że przynajmniej oni nie zostawią w spokoju morderstwa matki ucznia Reardena, zwłaszcza że w grę wchodziło zalane krwią mieszkanie. Nawet gdyby się miało okazać – a można było z dużym przekonaniem właśnie tak założyć – że urodzony w Kolumbii Guillermo Alves, szczęśliwym trafem przebywający poza zasięgiem organów ścigania, zabił swoją żonę z dowolnego znanego z historii powodu (zazdrość, nałóg, kłopoty finansowe, zdrada), to możliwość opisanie tak soczystej kryminalnej fabuły rozgrywającej się na tle manhattańskich wyższych sfer była zbyt atrakcyjna, żeby się jej oprzeć.

Nie dowiedziała się dużo więcej. Znalazła kilka bezsensownych wpisów na forum Dziecko w Mieście („Słyszał ktoś o zamordowanej matce z Reardena?”), a Google, zapytany o Malagę Alves, wypluł bardzo skromną garść informacji. Trochę ją to uspokoiło. Malaga była osobą – jak by powiedziała jej rzeczniczka J. Colton – o „marnej prezencji online”. (Grace miała ten sam problem, zanim J. Colton wzięła ją w wirtualne obroty. Teraz miała już stronę internetową, konto na Twitterze, profil na Facebooku, a wszystko to prowadziła młoda kobieta z Północnej Karoliny, opłacana przez wydawnictwo). Przeglądając wyniki z Google, patrząc, jak konstrukcja Malaga+Alves szybko rozpada się na części (Malaga Hiszpania, Malaga

Rodrigues, Celeste Alves, Alves Wypożyczalnia / Jose Alves Agencja Cateringowa i tak dalej), z zaskoczeniem stwierdziła, że niespecjalnie się tym wszystkim przejmuje. Nie znała nikogo, kto by się nazywał Malaga Rodrigues albo Celeste Alves. Nigdy nie była w hiszpańskiej Maladze, a gdyby nawet tam pojechała, z pewnością nie korzystałaby z usług agencji cateringowej.

Nie było nic dziwnego w tym, że jej mąż już dawno się zmył. Pewnie wrócił do Kolumbii, zadowolony że zostawił dzieci jak książkę, za którego ewidentnie się uważał. Nawet jeśli go znajdą, nie uda im się go ściągnąć z powrotem, a nawet jeśli się uda, to po wielu latach. Nie można się było spodziewać, że sprawiedliwość zostanie wymierzona, o losie dzieci trudno było nawet myśleć. Dziewczynka mogła jeszcze wyjść na ludzi, gdyby zgodziła się ją adoptować odpowiednia rodzina, ale syna, Miguela... Grace była pewna, że nigdy się nie otrząśnie, po tym co widział i co mu zrobiono. Był najzwyczajniej w świecie bezpowrotnie stracony. Nie trzeba być terapeutą, żeby to wiedzieć. Nie trzeba nawet być matką.

Grace pomyślała o tym i nagle poczuła przyływ sympatii do dwóch detektywów. To musiało być bardzo frustrujące – wiedzieć, że człowiek, który najprawdopodobniej jest mordercą, jest poza ich zasięgiem, najpewniej już na zawsze, i że mogą już tylko krążyć wokół ruin wymazanego życia ofiary i bez sensu

grzebać w sprawach o marginalnym znaczeniu. Tyle wody i ani kropli do picia! Zaczęła się nad tym zastanawiać i pożałowała, że nie wie nic, co mogłoby im pomóc. Ale tak było.

Najbardziej jednak żałowała, że nie ma przy niej Jonathana. Jonathana, który tak dobrze znał się na niuansach śmierci, który by wiedział, co powiedzieć, jak uśmierzyć to irracjonalne poczucie winy, które w sobie nosiła od rozmowy z Sylwią. (Ale dlaczego? Co miała zrobić? Wtrącić się w życie obcej kobiety i powiedzieć: „Czy nie jest pani aby żoną człowieka, który panią zamorduje? A jeśli tak, to czy mogę pani pomóc od niego odejść?”). Chciałaby, żeby już odsłuchał jej wiadomości. Albo po prostu zadzwonił. Albo żeby nie wyłączał telefonu, kiedy wyjeżdżał. Po co istnieje tyle możliwości komunikowania się, jeśli nie da się z nich korzystać?

Najbardziej lubiła telefon. Ale Jonathan poszedł z duchem czasu: najpierw przerzucił się na maile, potem na SMS-y. Może tą drogą uda mi się do niego dotrzeć, pomyślała, włączając pocztę. Pocztą elektroniczną wysyłali sobie głównie mało ważne, praktyczne wiadomości, takie, które nie miały wielkiego wpływu na ich rodzinne życie, ale przydawały się w pewnych sytuacjach, kiedy chcieli sobie o czymś przypomnieć („Postaraj się być przed dziewiętnastą. Wiesz, jak Eva się piekli, kiedy nie siadamy do stołu punktualnie”), ale musieli zmienić plan dnia („Mam pilnego pacjenta.

Możesz zaprowadzić Henry'ego na skrzypce?"). Teraz zdecydowanie też tak było. Wpisała adres Jonathana, a w pole temat wstukała: żona szuka męża. A potem napisała:

Kochanie, zadzwoń do mnie, proszę. Muszę wiedzieć, kiedy wracasz, żeby dać znać Dużej E, czy będziesz jutro na kolacji. Poza tym coś się stało w szkole. Nie chodzi o Henry'ego, ale wyobraź sobie, że policja przyszła do mnie z pytaniami. Dziwne i straszne. A, nie uwierzysz: udzieliłam dzisiaj wywiadu dla *Today!* Kocham cię, G.

A potem kliknęła wyslij.

A potem usłyszała ten dźwięk jak technologiczne przełknięcie. Raz, a po chwili drugi i trzeci. Była to część ścieżki dźwiękowej jej życia, a w każdym razie jej życia małżeńskiego. Jak się jest żoną lekarza, a w każdym razie lekarza, zawsze mającego obok siebie chorych pacjentów i rodziców, którzy powinni zawsze móc zadzwonić, słyszy się go często. Ten dźwięk w swoim czasie przerywał kolacje z Jonathanem, koncerty z Jonathanem, spacerowanie i spanie z Jonathanem, nawet seks: klik/gul, klik/gul, klik/gul, a potem cisza. Zawsze oznaczał jedno: twój mąż dostał od kogoś maila.

Spojrzała tam, skąd dobiegł, i zobaczyła tylko nocną szafkę Jonathana, a na niej ceramiczną białą lampkę, ostatni numer „New Yorkera”, kompakt Bobby'ego Shorta (*At Town Hall*, jego ulubiona płyta) i jedną z wielu par okularów do czytania, które mu regularnie kupowała (tych tanich, z apteki, bo zbyt często je

niszczył albo gubił, żeby mieli wydawać pieniądze na drogą oprawkę). Ale żadna z tych rzeczy nie mogła wydać tego charakterystycznego dźwięku. A ona była pewna, że go słyszała. Nie wiedziała dostatecznie dużo, żeby się przestraszyć. Dlaczego miałyby się bać odgłosu, który dobrze znała, w miejscu, które dobrze znała, nawet jeśli w tej akurat chwili wydawał się bez sensu?

Odstawiła laptopa na bok. Zsunęła się z łóżka i uklękła. Nie przejmowała się tym, że szumi jej w głowie. Ten szum uderzył ją tak nagle i z taką mocą, że gdyby jej mózg zdołał wytworzyć dowolną myśl, i tak by jej przez ścianę hałasu nie usłyszała. Otworzyła drzwi nocnej szafki, ale w środku zobaczyła tylko to, co dobrze znała: trzy pękate skórzane futerały pełne rocka, jazzu i popu z ery Brill Building, kilka kart dań z knajp z dostawą i złożony program ostatniego recitalu uczniów Witalija Rosenbauma. To musiał być duch, mechaniczny duch, odbicie jej tęsknoty za mężem i tego, że – teraz to do niej dotarło – nie miała całkowitej pewności, gdzie jej mąż jest. Ale jeśli rzeczywiście tylko sobie uroiła ten dźwięk, to klikające, chłopczące „twój mąż dostał od kogoś maila”, to dlaczego sięgnęła do szafki i zaczęła z niej wyciągać, jeden po drugim, pokrowce z płytami, żeby za nie zajrzeć i zobaczyć to, na co nie była przygotowana: znajomy kształt telefonu Jonathana, migającą bezgłośnie diodę wskazującą na to, że bateria jest na wyczerpaniu, i zieloną lampkę

wiadomości, dającą jej do zrozumienia – jakby sama tego nie wiedziała – że jej mąż dostał od kogoś maila.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kto by ich słuchał?

Więc oto nadszedł koniec świata, a z nim dudniący bas pospolitego strachu. Zamknęła szafkę z tym zadziwiającym telefonem w środku i przekręciła kluczyk, jakby telefon mógł uciec. A potem całą noc siedziała na łóżku i krążyła myślami dookoła, lecz nie na wskroś bagna, które właśnie się przed nią otwierało. Jego poszczególne części wciąż, dzięki Bogu, były rozdzielone, choć same w sobie wywoływały niepokój. Coś o Jonathanie, coś jeszcze o niemal obcej kobiecie, którą zamordowano, i coś o policji. Henry poszedł spać około dziesiątej, ale wcześniej poprosił, żeby go przytuliła. Zrobiła to z udawaną radością w nadziei, że nie zauważy, że się trzęsie. Kilka godzin później wciąż nie spała.

Miała oczywiście kilka możliwości. Mogła zadzwonić do Robertsona Sharpa III (którego Jonathan od lat nazywał Robertsonem Sharpem Turdem, a czasem tylko Turdem ²), wyjaśnić, że Jonathan – „czasem jest taki roztrzepany” – zostawił w domu komórkę, i zapytać, czy na konferencji jest jeszcze ktoś z ich szpitala, z kim mogłaby porozmawiać. Mogła zadzwonić do

organizatorów konferencji, gdyby tylko udało jej się dowiedzieć, jak dokładnie się nazywała i gdzie się odbywała. Onkologia dziecięca Cleveland – to dość pojemne hasło. Mogła zadzwonić do Stu Rosenfelda, który zastępował Jonathana, ale to byłoby równoznaczne z powiadomieniem całego świata, że żona Jonathana Sachsa nie ma pojęcia, gdzie jest jej mąż, i z tego powodu odchodzi od zmysłów.

Ale ona nie odchodziła. Od. Zmysłów.

A jednak.

Nieustannie przewijała film wstecz, do poniedziałku i do ich zwykłej porannej sztafety: do kawy i śniadania dla Henry'ego (tylko on z całej trójki jadał śniadania) i przydziału obowiązków, który dla niej – ledwo to sobie teraz przypominała – oznaczał wizyty pacjentów do czwartej po południu, lekcję skrzypiec Henry'ego i wizytę Jonathana u dentysty, gdzie miał w końcu dostać stałą koronę na dolny ząb, który rok wcześniej złamał, kiedy się potknął w szpitalu i spadł ze schodów. Czy nie było jeszcze mowy o kolacji? Czy któreś z nich nie miało kupić wszystkiego, co trzeba, w drodze do domu? Pomyślała o tym i zdała sobie sprawę, że o Cleveland nie było mowy. Chyba że zamierzał wyjechać później. Po kolacji z nią i Henrym? Może w ciągu dnia stwierdził, że to kiepski plan, że rzadka okazja zjedzenia kolacji z nią i z Henrym nie jest dostatecznie atrakcyjną alternatywą dla wczesnego lotu na poranną konferencję. Może podjął tę decyzję nagle, sprawdził dostępne loty,

przyjechał szybko do domu po rzeczy. Zamierzał do niej zadzwonić później i poinformować ją o zmianie planów. Zresztą rzeczywiście dzwonił, w poniedziałek po południu. Napisał też SMS, ale odczytała go, dopiero kiedy zajrzała do telefonu. Siedziała wtedy w ciemnym przedpokoju Witalija Rosenbauma i czekała, aż Henry skończy lekcję. I właśnie dlatego kolację jedli we dwoje, w kubańskiej restauracji przy Broadwayu. Wiadomość była zupełnie zwyczajna: „Jadę na lotnisko, na konferencję. Nie pamiętam nazwy hotelu, mam go w torbie. Do zobaczenia za kilka dni. Kocham cię!”. Nawet jej nie zachowała. Po co miałyby to robić? Wyjechał na kilka dni. Często jeździł na konferencje, a te nierzadko odbywały się na Środkowym Zachodzie, tam, gdzie były ważne szpitale, jak Klinika Cleveland (w Ohio) czy Klinika Mayo (to chyba Minnesota?). Zawsze jej się myliły, ale to zrozumiałe. W końcu nowojorczycy nie muszą jeździć do innych stanów w poszukiwaniu najlepszej opieki medycznej. Poza tym zawsze mógł do niej zadzwonić albo ona mogła zadzwonić do niego – czy się jest w Chinach, czy tuż za rogiem, wybiera się ten sam numer i ten sam człowiek, na przykład mąż, odbiera telefon.

Ale teraz Jonathan zapomniał komórki.

Chociaż nie, nie zapomniał. Widziała teraz bezlitośnie wyraźnie, że nie mógł przypadkiem zostawić telefonu tam, gdzie go znalazła – za skórzanymi futerałami w nocnej szafce. Człowiek nie zapomina czegoś tak

ważnego jak komórka w tak trudno dostępnym miejscu.

Cały czas wracała do tego dziwnego faktu.

Ustalanie, co się będzie robić: w porządku.

Zmiana planów: w porządku.

Nieumyślne zostawienie telefonu, kiedy się go w pośpiechu użyło do zakomunikowania, że się zmieniło plany: norma.

Ale schowanie telefonu w głębi nocnej szafki, za skórzanymi futerałami?

To nie miało sensu. Jonathan lubił się meldować. Powiedział jej kiedyś, że jej głos, nawet wersja profesjonalna, gdy odbierała w gabinecie, dawał mu poczucie bezpieczeństwa i uspokajał. Poruszyło ją to. Od zawsze wiedziała, że mniej więcej od ich pierwszego spotkania uważał ją za swoją prawdziwą rodzinę. Wiedziała, że zapewniała mu ciepło i poczucie przynależności, które jest tak ważne dla każdego dziecka, a którego on od swojej rodziny nigdy nie dostał. To, że mimo tak trudnych początków wyrósł na czułego, kochającego i ambitnego człowieka, mówiło jej wszystko, co chciała o nim wiedzieć.

Ale kiedy teraz myślała o tym wszystkim, przypominała sobie coś innego. Albo kogoś innego. Kobieta, która wiele lat temu siedziała na kanapie w jej gabinecie. Na tej samej kanapie, którą miała teraz, ale w innym gabinecie – w jej pierwszym na Manhattanie, przy York Avenue. Była wtedy początkującą terapeutką, świeżo po szkoleniach pod klaustrofobicznymi

skrzydłami mamy Rose. Ta kobieta, ta pacjentka... Nie mogła sobie teraz przypomnieć, jak się nazywała, ale pamiętała jej szyję, żyłastą i długą, godną pozazdroszczenia. Przyszła do niej sama, ale nie po to, żeby mówić o sobie. Chciała rozmawiać tylko o mężu, polskim prawniku, asystencie w kancelarii adwokackiej. Poznała go na siłowni swojej przyjaciółki, a potem spotkała w ulubionej kawiarni. Tam, podczas krótkich zalotów, wyśpiewał jej wszystko o swoim strasznym dzieciństwie. Opowiedział o ubóstwie, deprywacjach i odrzuceniu. Jego historia rozmiękczyłaby najtwardsze serce najbardziej zatwardziałego mizantropa. Przebyć drogę od niepiśmiennej rodziny do studiów na uniwersytecie, potem wyemigrować, w pojedynkę, przyjechać do Ameryki bez grosza przy duszy i z nic w Ameryce nieznaczącym dyplomem prawnika, musieć pracować dla adwokatów młodszych i mniej utalentowanych od siebie, mieszkać w okropnym, dzielnym z innymi mieszkaniu, właściwie w akademiku w Queens, żyć w nieustającym strachu przed deportacją – to była naprawdę wstrząsająca opowieść. A potem, rzecz jasna, ocaliła go: dała mu miłość, wyszła za niego, pomogła zdobyć uprawnienia adwokackie. Kiedy Grace zasugerowała, że może wcale nie zna swojego męża tak dobrze, jak jej się wydaje, wygłosiła pamiętną myśl: „Niech pani zobaczy, skąd przybył i kim się stał – powiedziała, a mięśnie jej pięknej szyi napięły się, zdradzając głęboki żal. – To wszystko, co muszę o nim

wiedzieć”.

Pamiętała, że jej mąż nigdy nie przyszedł na sesję. Jego żona wyjaśniła, że jako Polak po prostu nie wierzy w psychoterapię. Potem i ona przestała przychodzić. Kilka lat później spotkała ją w sklepie spożywczym przy Trzeciej, przy stoisku z serami, i ostrożnie się jej przedstawiła. Nadal mieszkała w tym samym ciasnym mieszkaniu, ale teraz wychowywała samotnie córkę. Polski mąż odszedł niedługo po narodzinach małej, ściągnął do Stanów i poślubił jakąś kobietę, którą znał, zanim wyemigrował, i wynajął prawnika ze swojej kancelarii, żeby go reprezentował podczas rozwodu. I tak, w nagrodę za wieloletnie cierpienia udało mu się wywalczyć podział majątku.

Grace siedziała bez ruchu.

Na Park Avenue zawyła syrena. Okryła ramiona kołdrą. Od dłuższego czasu nie była w stanie otworzyć laptopa. Wyobrażała sobie tylko, że wpisuje w wyszukiwarce słowa: pediatra, Cleveland, onkologia i konferencja, ale z jakiegoś powodu nie potrafiła się zmusić do działania. Poza tym wszystko jakoś musiało się wyjaśnić. Po prostu wpędziła się w wir lęku, nic więcej. W pracy widziała takie przypadki setki razy. Oczywiście zdarzało się, że lęk był uzasadniony. Często był uzasadniony. Ale nie zawsze. Nie zawsze był uzasadniony.

W dodatku, pomyślała z czymś w rodzaju ulgi, coś podobnego już raz mi się przytrafiło, bez poważnych

konsekwencji. Wiele lat temu, kiedy byli małżeństwem od niedawna – zalewały ją wspomnienia, znów wpadała w panikę, co za bezsens! – miał miejsce incydent troszeczkę podobny do tego. Był taki dzień czy dwa, kiedy nie wiedziała do końca, gdzie jest Jonathan. Był wtedy rezydentem, a rezydenci, z tymi swoimi dyżurami po trzydzieści sześć godzin, nierzadko zanurzali się w szpitalu po uszy, a kiedy wracali, byli wycieńczeni, otumanieni i zazwyczaj niechętnie rozmawiali. Były to czasy, kiedy komórki jeszcze nie były powszechne, i kiedy się zniknęło, zniknęło się naprawdę – żadnych kropek na radarze, żadnych okruszków na leśnej ścieżce. To ciekawe, pomyślała, że ta niemożność skontaktowania się była wtedy pewnie dla wszystkich zbawienna. Nigdy by nie chciała, żeby Henry chodził po mieście bez telefonu komórkowego – bez, jeśli miała być szczerą (i jeśli to w ogóle było możliwe), wszczepionego systemu satelitarnego namierzania – ale piętnaście lat temu nie czuła się aż tak źle, kiedy Jonathan zniknął na kilka dni i nie odbierał wiadomości, które mu zostawiała w szpitalu i wysyłała na pager. Byli wtedy małżeństwem od niedawna i obydwójce harowali jak woły, więc dopiero po jakimś czasie zorientowała się, że nie ma pojęcia, gdzie jest jej mąż. Wydawało jej się, że zna jego rozkład jego zajęć i wie, kiedy się zjawi w ich niezbyt ładnym mieszkaniu przy Sześćdziesiątej Piątej, żeby paść w sypialni na łóżko. Nie przychodził, a ona najpierw przez pół dnia snuła domysły, a potem

przez kilka godzin zostawiała mu wiadomości. Czyżby kogoś zastępował? Wziął drugi dyżur z rzędu? A może był zbyt zmęczony, żeby wrócić do domu, więc zasnął w którejś z sal przygotowanych przez szpital po katastrofie z Libbym Zionem, nastolatkiem, o którego śmierć obwiniono – słusznie czy niesłusznie – bardzo niewyspanego rezydenta. Mieli mniej możliwości skontaktowania się i łatwiej jej było wmówić sobie, że wszystko jest w porządku. Tamte lęki były otepiającym, nieustępliwym uczuciem, które ją odciągało od innych myśli, jakiegokolwiek mogły wtedy być. (O czym myślała wtedy, zanim urodziła dziecko? O aktualnościach ze świata? O tym, co ugotować na kolację?) Było to dość nieprzyjemne, ale zupełnie nieporównywalne z tym, co przeżywała teraz. Teraz czuła wzbierającą, niszczycielską falę czegoś, co bała się nazwać. Coś bardzo, bardzo złego.

Ile to trwało wtedy, przed laty? Dzień i noc, potem kolejną dobę i większą część trzeciej, i nagle wrócił, i – o dziwo – sprawiał wrażenie weselszego. Tak się wtedy cieszyła na jego widok. Gdzie byłeś? – pytała. Wziąłeś dodatkowy dyżur?

Tak.

I spał w sali dla rezydentów?

Tak, odpowiedział. Właśnie tam.

I nie dostał wiadomości?

Wiadomości? Nie, nie dostał. Recepcjonistki notorycznie zapominają przekazywać wiadomości. Fakt,

należy to do ich obowiązków, ale w dużym szpitalu onkologicznym zajmuje tak niską pozycję w hierarchii ważności, że pewnej liczby omsknięć należy się spodziewać. Owszem, dostał na pager wiadomość z jej numerem, ale wtedy już wiedział, że będzie w domu za kilka godzin, i nie chciał jej budzić.

Ale dlaczego nie zadzwonił wcześniej? Dlaczego nie dał znać, co się stało? Czyżby nie zdawał sobie sprawy, że będzie się martwiła?

Tylko dlaczego, na litość boską, miałybyś się martwić? – zapytał. To nie on jest chory na raka. Nie on jest hospitalizowanym dzieckiem, któremu pompują w żyły truciznę pod okiem zapłakanych rodziców.

Oczywiście, to było straszne. I oczywiście było jej wstyd, że pozwoliła sobie na tak wielki, nieuzasadniony lęk. Okej, nie dzwonił do niej co minutę, i co z tego? Był zajęty. Opiekował się chorymi dziećmi. W jego życiu było mnóstwo ważnych spraw. Przecież dlatego go wybrała, czyż nie? Poza tym czego się właściwie tak bała? Gdyby się stało coś straszego – na przykład gdyby padł jak długi, zwalony jakimś nagłym atakiem (zawałem! wylewem! guzem mózgu!) – wtedy ktoś ze szpitala, inny lekarz albo nawet jedna z tych beznadziejnych recepcjonistek, z pewnością by się z nią skontaktował. Nie zrobili tego, *ergo* nic się jej mężowi nie stało, *ergo* zachowywała się nieracjonalnie.

Żałowała, że teraz nie może się uciec do tej samej logiki.

Teraz skupiała się na tym, że tamto zniknięcie okazało się błahostką, więc nie dostrzegała wagi tego, że w ogóle zniknął. Gdyby podobną sztuczkę wykonał na jej oczach któryś z pacjentów, z pewnością zwróciłaby mu na to uwagę.

Nigdy nie przeszło jej przez myśl, że Jonathan mógłby ją zostawić. Nigdy. Ani tych kilka lat temu, podczas trzydniowego koszmaru, który sobie sama zapewniła, ani teraz. Nie myślała o tym ani razu od ich pierwszej wspólnej chwili, kiedy to jednocześnie doznała olśnienia i poczuła pożądanie i ulgę w piwnicy w akademiku na Harvardzie. Dawno temu pewna pacjentka, słysząc od niej historię o tym, jak poznała Jonathana, skwitowała ją słowami: „No świetnie, to ja już sobie daruję chodzenie na randki”. I to też była część jej opowieści. *Finis*, pomyślała wtedy, choć tak pragmatycznie nie podchodziła do tego długo: momentalnie przeważyło potężne pragnienie. Całe te spekulacje o tym, którego mężczyznę powinno się kochać i poślubić, któremu dać dziecko i przy którym się zestarzeć – oczywiście sama nie była na to wszystko odporna. Ale w jej przypadku złożyło się tak, że w chwili kiedy go poznała, przestała się zastanawiać nad tym, który mężczyzna. Zastanawiała się już tylko nad tym, czy los pozwoli jej być właśnie z tym jednym do końca życia. Jonathan Gabriel Sachs – lat dwadzieścia cztery, z dołeczkami, muskularny, potargany, genialny, kochający i pełen życia. No i ile musiał przejść!

Tak minęła noc. W fizycznej męce i jeszcze straszniejszych psychicznych torturach, może z kilkoma przerwami na krótki, zupełnie nieregenerujący sen, z których każda kończyła się nagłym skurczem powrotu do rzeczywistości. O siódmej zmusiła się do wstania i przygotowała Henry'ego do szkoły. Zrobiła mu tosty, a sobie kawę, jakby to był najzwyczajniejszy poranek. Dziwnie niecierpliwie czekała, aż zbierze swoje rzeczy. To nie miało sensu, bo przecież już ją skręcało na myśl o tym, że niedługo zniknie jej z oczu na szkolnych schodach i będzie musiała wrócić do swoich nieznośnych przemyśleń.

Zmianę, która zaszła w szkole, wyczuli, jak tylko skręcili z Lexington Avenue. Zobaczyli wóz transmisyjny i kilku stojących obok reporterów. Oczywiście byli też rodzice – dużo rodziców, a konkretnie: dużo matek – bo któż by posłał dziecko do szkoły z nianią w tak doniosły dzień? Matki miały na sobie stroje do jogi albo dresy, trzymały psy na skórzanych smyczach i wszystkie były pochłonięte rozmowami, na chodniku i szkolnym dziedzińcu. Było ich tyle, że Grace na chwilę oderwała się od swojej rozpaczy. Przypomniały jej, co się dzieje w prawdziwym świecie: martwa matka, zranione dzieci, nadmiar wrażeń dla reszty uczniów i całej szkoły. Przez kilka sekund prawie czuła się lepiej. Sprawa z Jonathanem w końcu się wyjaśni, pomyślała, a dla Malagi Alves i jej dzieci nie ma ratunku. Dyskretnie

przycisnęła do siebie Henry'ego i pozwoliła mu odejść, a sobie samej wpaść w sidła grupy tłoczącej się wokół Sally Morrison-Golden.

– Mój Boże – powiedziała Sally, kiedy zobaczyła, że do nich podchodzi. – To takie okropne.

W ręce trzymała duży kubek ze Starbucksa. To kręciła głową, to dmuchała w kawę.

– Czy ktoś znał jej męża? – spytała kobieta, której Grace nie znała.

– Widziałam go raz – powiedziała Linsey, ta od torebek Birkin. Wyglądała teraz młodziej i bardziej świeżo niż w dniu, kiedy wyrzuciła Grace z imprezy urodzinowej syna, informując ją, że szwajcar wezwie dla niej taksówkę. – Na początku nie wiedziałam, że jest rodzicem. Myślałam, że pracuje w szkole. Chyba powiedziałam mu, że w damskiej toalecie skończył się papier.

Choć trudno było w to uwierzyć, opowiedziała tę anegdotę bez cienia zażenowania. Grace na chwilę zapomniała o tym, że pan Alves prawdopodobnie załutkował swoją żonę na śmierć, i poczuła się urażona w jego imieniu.

– Na wywiadówce? – zapytał ktoś.

– Tak. A potem wszedł do klasy i usiadł, a ja pomyślałam: ojej, dziecko dozorca uczy się razem z moim Willim!

Najwyraźniej ta historia nadal ją bawiła, bo przewróciła teatralnie oczami.

– Wiecie, jestem z Południa i tam tak to wygląda.

To, czyli co? – pomyślała Grace. Ale zdecydowała, że nie warto drażnić. Postanowiła zapytać, czy któraś z nich wie coś nowego.

– Gdzie są dzieci? – zapytała, i wszystkie na nią spojrzały.

– Jakie dzieci? – spytała mama gimnazjalisty.

– Dzieci Malagi Alves. Miguel i ta mała.

Patrzyły na nią tępo.

– Nie mam pojęcia – powiedział ktoś.

– Rodzina zastępcza? – zgadywał kto inny.

– Może ich deportują do Meksyku – spekulowała znajoma Sally. Grace jej nie znała.

– Dzisiaj po południu ma przyjść psycholog – powiedziała Amanda. – Do dzieciaków z czwartej klasy. Będzie z nimi rozmawiał o Miguelu. Nie sądzicie, że powinni byli najpierw nas zapytać?

– Pytali – odparła kobieta, której imienia Grace nie znała. – Nie dostałaś maila? Napisali, że gdyby ktoś miał obiekcje, powinien dzwonić do dyrektora.

– Aha. – Amanda wzruszyła ramionami. – Rzadko sprawdzam maile. Używam już tylko Facebooka.

– Sprowadzili psychologów dla wszystkich dzieci? – spytała Linsey. – Redmond chyba nic nie mówił.

Redmond, najstarszy syn Linsey, został naczelnym internetowym prześladowcą siódmoklasistów. Był parszywym młodzieńcem. Nikogo to nie dziwiło.

– Nie – odparła Amanda z namaszczeniem. – Tylko

dla czwartoklasistów. Tylko dla dzieci z klasy Miguela. Jak Daphne – podkreśliła. – Daphne powiedziała, że siedzieli w kółku i rozmawiali o Miguelu, o tym, jak mogą mu okazać serdeczność, kiedy wróci do szkoły.

– Jeśli wróci – wtrąciła niezbyt odkrywczco Sally.

– Boże – westchnęła Linsey. Wyjęła okulary słoneczne z torebki (tego dnia wybrała birkin w kolorze fuksji) i spojrzała w stronę schodów. – Widziałyście tych kolesi?

Grace spojrzała. Jej dwaj znajomi, irlandzko-latynoski duet z holu jej kamienicy, rozmawiali z Helen Kantor, zastępczynią Roberta Conovera. Stali tuż przy głównym wejściu. Żaden nie notował, ale obydwaj energicznie potakiwali.

Mendoza, pomyślała Grace. Mendoza z tłustą szyją.

– Rozmawialiście z nimi? – spytała.

– Wczoraj rano – powiedziała Sally. – Dzwonili, żeby zapytać o bankiet, o nasz komitet i takie tam. Oczywiście sama bym się do nich zgłosiła, ale byli szybsi.

Znajoma, której imienia Grace nie znała, spytała:

– I co im powiedziałaś?

– No, że była na spotkaniu komitetu u mnie w domu. I co się działo na bankiecie w sobotę.

Co się działo? – pomyślała Grace.

– Jak to co się działo? – przyszyła jej z pomocą Amanda.

– A twoim zdaniem to nieistotne, że u Spenserów miała wokół siebie z dziesięciu mężczyzn, którzy

pożerali ją wzrokiem? Moim zdaniem to ważne. Nie twierdzę, że sprowokowała mordercę. Nie oskarżam ofiary – odparła Sally, wyraźnie najeżona. – Ale jeśli może im to pomóc znaleźć sprawcę, to chyba nie jest to błahostka.

– Znaleźć sprawcę? – Linsey była oburzona. – Co ty wygadujesz? Zabił ją mąż! Przecież zapadł się pod ziemię, prawda?

– Ale wiesz – powiedziała kobieta, której imienia Grace nie znała. – To mogło mieć związek z narkotykami. Może jakiś kartel polował na jej męża i szukając go, trafił na nią. Więc on się teraz ukrywa. Pochodzi z Meksyku, a tam jest jedna wielka wojna narkotykowa.

Nie z Meksyku, pomyślała Grace ze smutkiem. Z Kolumbii. Choć jeśli chodzi o kartele narkotykowe, to według nich pewnie na jedno wychodzi.

Zaczynała mieć dosyć. Rozglądała się za drogą ucieczki. Dziedziniec oblegały skupiska matek, niewątpliwie wymieniających się takimi samymi strzępami pseudoinformacji. Wyraźnie brakowało typowej dla tego miejsca wesołości i to jej odpowiadało. Ale jednocześnie wyczuwało się nutę niepokoju. Tragedia została odnotowana, troska o potrzeby własnych dzieci wyrażona i teraz, kiedy pierwsze wrażenia wszyscy mieli już za sobą, Grace wyczuwała w powietrzu woń podniecenia. Wóz transmisyjny stał na jezdni. Musiał zostać poza terenem szkoły, ale one –

matki – stały w środku. Były do tego przyzwyczajone. Przywykły do tego, że ktoś je prowadzi do ich stolików w restauracjach i że ktoś inny odbiera ich telefony. To, że ich dzieci były przyjmowane do najlepszych szkół, i to, że asystenci od zakupów oszczędzali im czekania na listach społecznych, nie było dla nich niczym nadzwyczajnym. Żeby przejechać przez bramę ściśle strzeżonego osiedla, te kobiety musiały tylko przyjaźnie skinąć głową strażnikowi. Ale Grace podejrzewała, że niewiele z nich miało okazję znaleźć się w samym centrum śledztwa. Tymczasem teraz były właśnie w takim centrum – dostatecznie blisko akcji, żeby poczuć ekscytujący dreszcz, ale nie dość blisko, żeby zainteresować policję. Była to dla nich rzadka okazja. Rzadki punkt widzenia. Wykorzystywały więc moment, jak tylko się dało.

Nagle ktoś zawołał ją po imieniu.

Odwróciła głowę i zobaczyła Sylwię. Stała tuż obok niej. Nie zauważyła jej w tłumie.

– Widziałaś Roberta? Chciał z tobą porozmawiać.

– Tak? – zapytała beznamiętnie. – O czym?

Ale zdała sobie sprawę, że wie o czym. To zrozumiałe, że chciał poprosić o pomoc zawodowych psychologów. Żałowała, że nie zrobił tego, zanim wezwał terapeutów z zewnątrz i wzburzył całą społeczność tajemniczym mailem.

– Nie wiem – odparła Sylvia. – Domyślam się, że o tym.

– No tak – przyznała Grace. – Mogę porozmawiać z uczniami, jeśli chce.

– Powiedział, że jutro może otworzyć tylną alejkę.

Alejka biegła między ulicą a placem zabaw na tyłach szkoły. Czasem była wykorzystywana podczas ćwiczeń przeciwpożarowych. Grace nie zdawała sobie sprawy, że można tamtędy wejść do szkoły. Ciężkie czasy, pomyślała.

– Nie sędzę, żeby miało być jeszcze gorzej – pocieszyła Sylwię. – Uspokoi się. W końcu nie chodzi o szkołę.

– Obyś miała rację – powiedziała Sylvia i wzruszyła ramionami.

Grace weszła do budynku, a potem po schodach na piętro. Na ścianach wisały prace uczniów, zdjęcia klasowe i plakaty z musicali i sztuk jeszcze z czasów, kiedy ona chodziła do szkoły. Kiedy mijała jeden z nich, jak zawsze spojrzała na wczesnomłodzieńczą wersję samej siebie. Była w kostiumie. Była w siódmej klasie i wystawiali *Gondolierów* (śpiewała w chórze). Chyba po raz setny zwróciła uwagę na to, jak mocno prosta biała linia jej przedziałka odcina się na tle bardzo ciemnych warkoczy. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio zaplotła włosy w warkocze albo miała przedziałek pośrodku.

Ciężkie dębowe drzwi były otwarte, ale i tak zapukała.

– Robert?

– O! – Niemal wyskoczył zza biurka. – Dobrze. Dobrze, że jesteś. Sylvia cię znalazła?

– Tak, na dole.

– Aha. – Odpowiedziała, ale i tak sprawiał wrażenie zagubionego. – Zamkniesz drzwi?

Zrobiła, o co prosił, i usiadła na krześle naprzeciwko niego. Mimo woli pomyślała, że wygląda to tak, jakby uczeń został wezwany przed oblicze dyrektora. Mimo że nigdy tego nie doświadczyła – ani jako uczennica, ani jako matka. Zawsze była sumienna i prawomyślna, podobnie jak Henry.

Po chwili – Robert, o dziwo, zdawał się nie pamiętać, po co ją wezwał – powiedziała (głównie po to, żeby mu pomóc):

– Co za straszna tragedia.

– Okropność. – Nie wiedzieć czemu unikał jej spojrzenia. – Jak się czujesz?

Nachmurzyła się.

– Dobrze. Ledwo ją znałam. Ale dobrze zrobiłeś, że zareagowałeś od razu.

Nie wspomniała o mailu. Gdyby chciał wiedzieć, czy jej zdaniem powinien był postąpić inaczej, z pewnością by spytał.

Ale nie zrobił tego. W ogóle nie wyglądało na to, żeby zamierzał ją o coś pytać.

W końcu powiedziała:

– Chcesz, żebym porozmawiała z uczniami? Zazwyczaj nie pracuję z dziećmi, ale chętnie pomogę, jeśli potrzebujecie więcej ludzi.

Po raz pierwszy spojrzął jej w oczy.

– Grace – zaczął. – Wiesz, że była tu policja.

Lekko się wyprostowała.

– No, nie dziwię się. Rozumiem, że przyszli poinformować cię, co się stało.

Powiedziała to bardzo ostrożnie, starannie dobierając słowa. Ale on wciąż patrzył na nią tak, jakby próbował znaleźć w tym sens. Czyżby odchodził od zmysłów? Był zupełnie inny niż pogodny, uradowany i podchmielony Robert, z którym w sobotę ucięła sobie pogawędkę. Ile dni minęło od tamtego spotkania? Policzyła. Niewiele. Sprawiał wrażenie, jakby był w szoku. W sumie to zrozumiałe, uprzytomniła sobie.

– Odbyliśmy kilka rozmów.

– Na temat jej syna? – Znów zmarszczyła brwi. – Miguela?

Robert przytaknął. Promień porannego słońca niefortunnie padł na jego włosy. Trochę prześwitywała przez nie czaszka. Biedny Robert, pomyślała mimo woli. Szybko straci resztę. A ma taką ładną twarz.

– Żywo się interesowali, kto płacił chesne Miguela – powiedział. – Jego stypendium.

– To dziwne – odparła. I pomyślała: jak ta rozmowa. – Co ich obchodzi jego stypendium?

Robert zasznurował usta. Patrzył jej w oczy. Naprawdę był zagubiony.

– Grace – wydusił w końcu. – Rozumiesz, mam nadzieję, że muszę współpracować z policją. Mogę nie rozumieć do końca ich metod, ale nie ja za to wszystko

odpowiadam.

– Okej – powiedziała. Nic nie rozumiała. – Nie bardzo rozumiem, co ma z tym wszystkim wspólnego nasz system stypendialny. Ale masz rację, to oni są panami sytuacji.

– Stypendium Miguela nie było standardowe. Zapewniliśmy mu je w nietypowy sposób.

Panno Święta, pomyślała Grace, pośpiesznie szukając wczesnomłodzieńczej wersji samej siebie: a co mnie to obchodzi! Nie znalazła odpowiedzi na to pytanie i uniosła ręce.

Teraz już tylko na nią patrzył. Patrzył i patrzył, jakby i jemu w końcu się wymknęła bardzo krucha logika tej niewymownie dziwnej rozmowy. Jak długo Grace siedziała w jego gabinecie? I wciąż nie miała pojęcia, dlaczego ją wezwał. Z sekundy na sekundę wszystko to robiło się coraz bardziej niejasne. Grace zaczynała żałować, że nie została na dole, wśród rozhisteryzowanych mam.

– To jak? – odezwała się wreszcie. – Mam porozmawiać z uczniami? Przed południem nie mam czasu, ale mogłabym przyjść po południu.

Robert się wyprostował i wykrzywił usta.

– Dziękuję. Miło, że to proponujesz, ale raczej damy sobie radę.

Znów wzruszyła ramionami. Pomyślała: no dobrze, w takim razie...

I po prostu wyszła. Żałowała, że zmarnowała tyle

czasu na tę bezsensowną rozmowę. Przestała ufać Robertowi. Zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście dobrze sobie radzi pod presją. A może chciał, żebym to jemu pomogła? – pomyślała nagle, kiedy mijała zdjęcie gondolierki z warkoczami. Może właśnie to tak trudno było mu powiedzieć: przerasta mnie to, co się dzieje. Możemy porozmawiać? W jednej chwili tak bardzo się tym przejęła i uderzyło ją tak silne poczucie winy, że stanęła w miejscu, z ręką na poręczy. Spojrzała za siebie, tam, skąd przyszła.

Ale nie mogła do niego wrócić. Chciała się stamtąd wreszcie wydostać. I zaczerpnąć powietrza. Potrzebowała powietrza.

Wyszła przez frontową bramę i skręciła na wschód, a potem na południe, w Trzecią. Zakładała, że idzie do gabinetu, na Siedemdziesiątą Szóstą. Ale pierwszych pacjentów miała dopiero za godzinę i kiedy wyobraziła sobie, że siedzi tam sama w ciszy (albo, co gorsza, znów włącza komputer), zrozumiała, że się boi. Komórka, którą sprawdzała co dziesięć minut, wciąż nic jej nie mówiła. W każdym razie nic, co nie doprowadzałoby jej do szału. Wiadomość z CNN o trzęsieniu ziemi w Pakistanie, oferta sklepu, o którym nigdy nie słyszała, dotycząca czegoś, czego nie potrzebowała, komunikat od Reardena: psychologowie będą dostępni w stołówce po trzeciej po południu, dla tych, którzy zechcą „omówić kwestie związane ze stanem emocjonalnym swoich dzieci”. Ależ wszyscy staliśmy się narcystyczni,

pomyślała, zdziwiona i rozwścieczona. Jacy z nas cholernie wrażliwi, cholernie napuszeni ludzie! Kwestie związane ze stanem emocjonalnym dzieci? Kwestia związana ze mną jest taka, że są ludzie, którzy mordują kobiety i zostawiają je w zalanych krwią mieszkaniach, a potem znajdują je tam dzieci. Myślę, że to może być dla dzieci niedobre. Może im przysporzyć problemów. Może być oznaką dysfunkcyjności rodziny i wywołać traumę.

A poza tym nie wiem, gdzie jest mój mąż.

Dotarła do gabinetu jakieś dziesięć minut przed pierwszą wizytą i zrobiła wszystko to, co zwykle: włączyła światła, sprawdziła łazienkę, uzupełniła zapas chusteczek i ostatni raz rzuciła okiem na plan dnia. Poszczególne pozycje zdawał się łączyć jeden wątek. Pomyślała o tym, kiedy przeglądała w komputerze kalendarz sesji. Para, która miała przyjść jako pierwsza, w minionym roku zdecydowała się na separację, po jego romansie, potem podjęła racjonalną, konsekwentną, próbę pogodzenia się, choć Grace wątpiła (a jednocześnie chwaliła ich za wysiłek), żeby on, z zawodu scenograf, mógł zrezygnować z uganiania się za innymi kobietami. Po nich miała przyjść żona człowieka, którego „studenckie eksperymenty” z mężczyznami zatruły obojgu życie i stały się tematem przewodnim ich terapii. Zamierzała przyjść sama i choć Grace zazwyczaj nie zgadzała się na sesje tylko z jednym z partnerów, w tym przypadku była pewna, że

ich wspólna terapia już naprawdę, definitywnie dobiegła końca i że po separacji z mężem pacjentka będzie chciała kontynuować terapię indywidualną. Potem była umówiona z nową pacjentką, kobietą, której narzeczony został aresztowany za działanie na szkodę firmy, w której oboje pracowali. Była w bardzo kiepskiej formie.

Potem miała iść do ojca na kolację.

Nie wiedziała, gdzie jest Jonathan.

Otworzyła pocztę i wpisała jego adres. Irytowało ją, że to robi, że musi go namawiać, żeby się z nią skontaktował. Owszem, bywał roztargniony. Przez wszystkie te lata wiele razy ją zawiódł, kiedy umawiali się w restauracjach, na recitalach skrzypcowych i przy innych błahych okazjach, takich jak Dzień Matki czy walentynki, które i tak były tylko spreparowanymi świętami mającymi na siłę zwiększyć sprzedaż czekoladek i kartek z życzeniami. Ale zawsze miał jakiś powód, i to taki, że się wstydziła, że w ogóle zapytała. Na przykład dziecko umierające na raka.

Jonathan, napisała. Skontaktuj się ze mną NATYCHMIAST. To znaczy JAK TYLKO TO PRZECZYTAJ. Z Henrym wszystko dobrze.

Miała wyrzuty sumienia, bo sama, gdyby dostała taką wiadomość, odeszłaby od zmysłów. Po prostu zadzwoniła w pierwszej wolnej chwili, dodała.

A potem wysłała mail w eter. Stamtąd miał do niego dotrzeć, gdziekolwiek był, w którymkolwiek mieście

Środkowego Zachodu odbywała się ta jego konferencja pediatryczno-onkologiczna. Tylko czy to naprawdę była konferencja pediatryczno-onkologiczna? Może to on ją tak nazwał, bo sam zajmuje się onkologią dziecięcą, a tak naprawdę chodziło po prostu o pediatrię albo po prostu onkologię, albo o coś tylko pokrewnego, coś, co się tylko styka z jednym i drugim. Mogła to być konferencja poświęcona nowym lekom opartym na antycyjalach albo technologiom genetycznym. Może dotyczyła opieki paliatywnej albo alternatywnej. Podobnie jak niemal wszyscy lekarze, z którymi kiedykolwiek pracował, Jonathan stanowczo opowiadał się za medycyną Zachodu. Znała kiedyś tylko jedną jego znajomą interesującą się czymś, co sama wtedy określała mianem paralelnych strategii leczniczych. Ta kobieta opuściła Nowy Jork wiele lat temu, żeby prowadzić praktykę gdzieś – o ile dobrze pamiętała – na Południowym Zachodzie.

Tak czy inaczej, chodziło o to, że cała ta niepewność mogła wynikać z jej roztargnienia, które z kolei wynikało... z wielu rzeczy. Z tego, że pracowała, zajmowała się synem, bankietem, książką. Na litość boską! Nic dziwnego, że złapała kilka niezwiązanych ze sobą wątków – pediatria, onkologia, nazwa mało ważnego stanu – i ulepiła z nich w pełni wiarygodną opowieść o pediatryczno-onkologicznej konferencji w Cleveland. To takie w moim stylu, pomyślała prawie z radością.

Ale to wcale nie było w jej stylu. Ani teraz, ani nigdy.

Przyszła pierwsza para. Kiedy zapytała, jak im minął tydzień, on zaczął wygłaszać wściekłą tyradę o producencie, który w zeszłym roku kupił jego scenariusz, ale teraz nie zamierzał nakręcić na jego podstawie filmu. Ona siedziała w drugim rogu kanapy, spięta, z ponurym wyrazem twarzy. Słuchała, a on niestrudzenie usypywał kopiec kolejnych trudności i żalów. Opowiedział o asystentce producenta, o tym, jaka jest biernie agresywna i tak ewidentnie nie rozumie, że dla własnego dobra powinna być miła dla ludzi dopiero zaczynających wspinaczkę po szczeblach kariery. O swoim agencie, który przez cztery dni nie oddzwaniał, choć drugiego dnia widziano go na lunchu w restauracji Michael's i z całą pewnością nie był obłożnie chory i niezdolny nacisnąć kilku klawiszy w telefonie.

Grace słuchała, choć tak naprawdę nie słuchała. Miała lekkie zawroty głowy i kiwała głową, ilekroć przerywał, ale nie była w stanie się zmusić, żeby mu przerwać. Miała straszne wyrzuty sumienia. Kiedy studiowała, wśród studentów krążył dowcip, który wtedy jej nie śmieszył. Dwaj psychoterapeuci przez całe lata wjeżdżali windą do sąsiadujących ze sobą gabinetów. W górę rano, w dół po południu. Jeden był posępny, przygnębiony, obciążony problemami pacjentów. Drugi zawsze zachowywał pogodę ducha. Pewnego dnia, po latach tego jaskrawego rozdźwięku, posępny odezwał

się do kolegi: „Nie rozumiem. Nasi pacjenci mają tyle problemów. Jak możesz ich całymi dniami słuchać i być szczęśliwy?”. Ten drugi odpowiedział: „A kto by ich słuchał?”.

Ona zawsze słuchała.

Ale dzisiaj, teraz, po prostu nie mogła. Nawet nie słyszała.

Ona się wierciła, wyraźnie coraz bardziej zdenerwowana, z każdym kolejnym werbalnym zamachem przeprowadzonym przez jej męża z drugiego końca sofy. Aktorka, która miała rozważyć, czy wystąpić w filmie, ale ewidentnie była za stara. Młody niby-Tarantino z kursu scenopisarstwa, który on prowadził, podważający na Facebooku jego kwalifikacje, bo żaden z jego scenariuszy nie doczekał się adaptacji. Siostra jego żony, która wymyśliła sobie, że wszyscy wyjadą w tym roku na święta do pieprzonego Wisconsin, co było kretyńskim pomysłem, zwłaszcza że nigdy ich nie lubiła i zawsze parszywie traktowała swoją starszą siostrę, jego żonę, więc jeśli sądziła, że chcieliby wydać fortunę na bilety i wałęsać się po lotniskach w najgorszym dniu w roku, dowodziła tylko, że naprawdę jest mocno stuknięta.

– Tak? – powiedziała Grace.

Ona bardzo ostrożnie odetchnęła.

– A chodzi tylko o matkę Sary – ciągnął on. – Zadzwoń do Sary kilka miesięcy temu i kazała jej ściągnąć Corinne do Madison i tam z nią zamieszkać.

Jakby miała prawo wtrącać się w sprawy mojej rodziny.

– Steven – powiedziała ona ostrzegawczym tonem.

– Ale moja żona uprzejmie odmówiła. Bo jest moją żoną, a Corinne to moja córka. I cokolwiek mamy do załatwienia, załatwiamy. Bez najmniejszej pomocy z jej strony. A teraz mielibyśmy o tym wszystkim zapomnieć i lecieć na to zadupie, żeby pośpiewać kolędy.

Wiedziała, co powinna powiedzieć. Wiedziała, że powinna coś powiedzieć. Ale nie powiedziała nic.

– Po prostu się o mnie martwią – powiedziała ona. –

Tak jak ty byś się martwił o Corinne, gdyby miała problemy. Mażeńskie.

– Przecież się do ciebie wprowadziłem – odparł obrażonym tonem, jakby ten geograficzny fakt przyćmiewał wszystkie inne kwestie.

– Owszem, i one to rozumieją. Wiedzą, że się staramy. Ale chciały, żebyśmy wszyscy czuli, że są z nami w święta.

Grace spojrzała na niego i zauważyła, że to wszyscy zrobiło na nim tak samo słabe wrażenie jak na niej.

Wlepił w nią wzrok i powiedział:

– Sarah, ja jestem Żydem.

– Wszystkie jesteśmy Żydami. Nie o to chodzi.

I wtedy wybuchł. Okazało się, że to kolejny punkt zapalny. Dotychczas podczas terapii na niego nie natrafili, ale był tak podobny do wcześniejszych (kariera, wścibscy rodzice, nagły brak bezgranicznego uwielbienia ze strony wchodzącej w okres dojrzewania

córki), że Grace mogła z łatwością przewidzieć, co się będzie działo przez pozostałych czterdzieści minut. On dalej psioczył, a one wyjątkowo milczały. Grace patrzyła ponad ich głowami na żaluzje zasłaniające okno za ich plecami, na pokrytą nowojorskim kurzem szybę. Czasami płaciła szwajcarowi, Arturowi, za umycie zewnętrznej strony, ale już dawno tego nie zrobiła. Mogłaby się teraz wymknąć i sama je wyczyścić. Żadne z nich by tego nie zauważyło, a przynajmniej coś by osiągnęła i do gabinetu wpadłoby słońce. Jeśli w ogóle świeciło słońce. Nagle zdała sobie sprawę, że nie pamięta, czy świeci.

Kiedy sesja dobiegła końca, zebrała resztki sił, żeby ich nie przeprosić. Odprowadziła ich do drzwi i powiedziała, żeby do następnego spotkania nie omawiali kwestii świątecznego wyjazdu, tylko zastanowili się, czego by chcieli, co to Boże Narodzenie miałoby oznaczać dla nich i dla ich córki. Ostatnie pięć minut przed następnym pacjentem poświęciła na sprawdzenie telefonu i poczty.

Nic. A w każdym razie nic od Jonathana. Niejaka Sue Krause ze stacji NY1 nagrała wiadomość: prosiła o komentarz w sprawie sytuacji w Reardenie i pytała, czy ma jakieś wspomnienia związane z Malagą Alves, którymi chciałaby się podzielić z siedmioma milionami nowojorczyków. Grace pomyślała, że to oczywiście lepiej, że ta nieprzyjemna prośba trafiła na jej służbowy numer, niż gdyby miała ją znaleźć w prywatnej

komórcę, mailu albo, Boże uchwaj, w telefonie domowym, ale i tak mocno ją to wkurzyło. Nie każdy pała wieczną żądzą trafienia przed kamery, żeby dorzucić do prawdziwej tragedii swoje nędzne trzy grosze. Skasowała wiadomość. Kiedy to robiła, zabrzączał telefon. Na czas trwania sesji włączała tryb milczący. Nie rozpoznała nowojorskiego numeru, ale odtworzyła wiadomość, jak tylko została nagrana.

„Dr Reinhart Sachs, tu Roberta Siegel ze *Strony Szóstej*”.

Powiedziane takim tonem, jakby miała wiedzieć, kto mówi. No, ale wiedziała przynajmniej, co to jest *Strona Szósta*. Wszyscy wiedzieli, czym jest *Strona Szósta*. Nawet ci, których, tak jak jej, nie interesowały codzienne doniesienia o celebrytach. To, że *Strona Szósta* wyrażała zainteresowanie tym, co się stało w Reardenie – to był zły znak, bo tam, dokąd zmierzała *Strona Szósta*, tam zmierzały masy. A w każdym razie masy z nadmiarem wolnego czasu.

„Podobno była pani dobrą znajomą Malagi Alves. Zastanawiałam się, czy miałaby pani chwilę, żeby ze mną porozmawiać”.

Grace zamknęła oczy. Nie miała pojęcia, jak ze znajomej z komitetu organizującego szkolny bankiet awansowała na dobrą znajomą, ale stwierdziła, że na rozwiązywanie tej zagadki nie warto tracić czasu. Tę wiadomość również skasowała. Zastanawiała się, czy Sally Morrison-Golden, kolejna dobra znajoma, też

dostała wiadomość od Roberty Siegel. Miała nadzieję, że nie.

Przyszła następna pacjentka i bez wstępów zaczęła płakać. Tydzień wcześniej odwołała sesję. Jej mąż był gdzieś w Chelsea, nie znała jego adresu. Skontaktować się z nim mogła wyłącznie, kiedy był w pracy (mogła tylko zostawić wiadomość i czekać, aż odpowie). Wyznała, wyszłochała, że jej mąż nie jest już zainteresowany terapią i zamierza poczynić kroki prawne. Miała na imię Lisa. Liczyła sobie około trzydziestki, była umięśniona i niska i nazywała samą siebie niezdarą. Grace się z nią zgadzała, bo już nieraz ucierpiał przez nią róg jej niskiego stolika. W tym tygodniu jej mąż zaproponował, żeby zakończyli małżeństwo – zrobił to kulturalnie, opowiedziała o tym trochę najeżona – i zdradził jej nazwisko adwokata, którego wynajął. Dostała też listę nazwisk prawników, których ów adwokat rekomendował dla niej. (Grace nie mogła zdecydować, czy to oznaka absurdałnej wręcz uprzejmości, czy raczej coś podejrzanego).

Pacjentka długo płakała, gniotąc chusteczkę za chusteczką. To zasłaniała twarz rękami, to odsłaniała. Grace nie próbowała jej powstrzymać. Domyślała się, że niełatwo jest znaleźć chwilę, żeby sobie swobodnie poszłochać, kiedy trzeba dzielić czas między pełny etat w jednym z najbardziej obleganych urzędów publicznych a dwie pięcioletnie córeczki, które dopiero co dostały się do przedszkola. Jej mąż już się

wyprowadził i Grace martwiła się, że jej pacjentki wkrótce nie będzie stać na mieszkanie, prywatną szkołę, do której zamierzała wysłać córki za rok, ani na terapię. Choć terapia nie była największym problemem. Grace nieraz była w podobnej sytuacji i zawsze udawało jej się zatrzymać przy sobie pacjentkę przeżywającą finansowy kryzys.

Okazało się, że jej mąż – co za niespodzianka! – ma chłopaka, a chłopak wypasione dwupoziomowe mieszkanie przy obsadzonej drzewami ulicy w Chelsea, do którego to mieszkania – kolejna niespodzianka – mąż się wprowadził. Pacjentka przyznała przez łzy, że wysłodziła tę jego nową kwaterę.

– Musiałam. Nie odbierał telefonu. Zostawiłam mu wiadomość w biurze, ale nie odpowiedział. A Sammy wciąż pytała, dlaczego tatuś nie odprowadza ich do szkoły, i w końcu pomyślałam: okłamuję własne dzieci i nie mam pojęcia dlaczego.

– To musi być bardzo bolesne – powiedziała Grace.

– No bo – odparła pacjentka z goryczą – okej, nie jesteśmy już małżeństwem. Rozumiem to. Jest gejem. Ale nadal mamy dzieci. I co ja mam im powiedzieć? Że poszedł do sklepu po serek wiejski i nie wrócił? A, i jeszcze jedno. Mamusia jest idiotką, bo kiedy ten przystojny pan rzekomo się w niej zakochał, chciał się z nią ożenić i założyć z nią rodzinę, to ona mu uwierzyła.

Grace westchnęła. Nie pierwszy raz słyszała taką

skargę.

– Całe życie byłam praktyczna, myślałam racjonalnie. W końcu nie jestem szczupłą blondynką. Faceci na mnie nie lecą. Nie chodziłam na randki z kapitanem drużyny futbolowej. Wiem o tym! Nie przeszkadzało mi to, bo sportowcy nigdy mnie nie interesowali. Miałam bardzo fajnych chłopaków, takich, którzy doceniali to, że nie zachowuję się tak, jakbym zasługiwała na coś więcej. Mogłam sobie ułożyć życie z jednym z nich, ale nagle pojawił się ten niesamowity przystojniak, a ja pomyślałam: naprawdę mogę go mieć? I, tak po prostu, wszystko przepadło. Pewnie sądził, że będę tak zaślepiona i rozanielona, że nie zauważę, jak bardzo ściemnia, kiedy mi powie, że chce się ze mną ożenić i mieć za mną dzieci.

– Ale... Liso... – zaczęła Grace. – Dużo z tego, co mówił, mogło być prawdą. Naprawdę chciał się ożenić i mieć rodzinę. Może nawet mówił sobie w duchu: pragnę tego tak bardzo, że odetnę tę część siebie, która pragnie innych rzeczy. Tyle tylko że nie potrafił tego zrobić. Większość z nas nie potrafi. Pociąg do tego, czego naprawdę chcemy, jest po prostu zbyt silny.

– Ja się nie poddam każdej zachciance – odparła Lisa z lekkim rozdrażnieniem.

– Nigdy nie próbowałam nie czuć pociągu seksualnego do mężczyzn – powiedziała Grace. – Wiesz, że dawniej mężczyźni zostawali duchownymi, żeby się obronić przed własnym homoseksualizmem? Tak bardzo ich

przerażał. To duża sprawa szukać sposobu na życie bez seksu. Trzeba naprawdę nienawidzić albo bać się swojej seksualności, żeby uznać, że to dobry pomysł. Musisz też pogodzić się z tym, że Daniel cię kochał, nadal kocha. Myślę, że bardzo mocno pragnął być mężem i ojcem. Próbował zrobić coś, co by mu to umożliwiło, i poniósł porażkę. Ale to jego problem, nie twój. Twój problem polega na tym, że na samym początku miałaś okazję to wszystko przewidzieć, ale z niej nie skorzystałaś. W którymś momencie ten punkt widzenia przyniesie ci ulgę, ale jeszcze nie dzisiaj. Dzisiaj jest dzień smutku i absolutnie masz do niego prawo.

– Więc powinnam była wiedzieć, tak? – spytała Lisa wprost.

Tak, pomyślała Grace.

– Nie. Chodzi mi o to, że naprawdę go kochałaś, ufałaś mu i wierzyłaś, że pragniecie tego samego. A w takiej sytuacji trudno o przenikliwość. Jesteś człowiekiem. Popełnianie błędów to nie zbrodnia. Z całą pewnością nic ci teraz nie da wyrzucanie sobie, że wcześniej nie zauważyłaś. W niczym ci to nie pomoże, a zabierze cholernie dużo energii, której potrzebujesz, żeby się zaopiekować sobą i dziewczynkami. Poza tym jestem prawie pewna, że Daniel wyrzuca sobie, że nie umiał być całkiem szczery.

– Och, co za ulga – odparła, sięgając po kolejną chusteczkę.

Dłuższą chwilę siedziały w milczeniu. Grace czuła, że

mimo woli zaczyna odpływać. Bardzo chciała zostać w gabinecie, przy cudzym problemie, mimo że był to bardzo poważny problem. Ale jej własny problem, ten, który prawdopodobnie miał się okazać nie tak znowu poważnym problemem, za bardzo ją bolał, żeby mogła o nim myśleć.

– Wiedziała pani? – spytała pacjentka.

Grace zmarszczyła brwi.

– Wiedziałam o czym?

– O Danielu. Dało się to wyczuć?

– Nie – odparła.

Ale nie była to do końca szczerą odpowiedzią. Podejrzewała od samego początku, a wkrótce potem nabrała pewności. Obserwowała tę pasjonującą wojnę, która w nim trwała: wojnę, w której pragnąca małżeństwa część jego psychiki powoli, nieubłaganie przegrywała z nieporównywalnie większą siłą jego seksualności. W ciągu ośmiu miesięcy ani razu nie widziała, żeby dotknął swojej żony.

– Ma obraz Rothki.

– Daniel? – spytała Grace. Zastanawiała się, czy zaczną rozmawiać o podziale majątku.

– Nie. Barry. Facet z mieszkaniem przy Trzydziestej Drugiej.

Nie mogła się zmusić do powiedzenia: chłopak. Grace wiedziała.

– Czy to dla ciebie ważne?

– Ma. Pieprzonego. Rothkę. Nad kominkiem, w tej

swojej kamienicy z piaskowca. Widziałam go przez okno. Stałam na przepięknej, obsadzonej drzewami ulicy w wymarzonej Chelsea. A ja gnieźdźę się z dwiema dziewczynkami w klitce przy York Avenue. Wyprodukowałam mu dzieci, więc teraz może być ojcem tylko w weekendy. Zawsze tego pragnął. A przez resztę czasu będzie zgłębiał swoje prawdziwe ja.

Prawdziwe ja. To wyrażenie wniósł do ich spotkań Daniel. W głowie Lisy najwyraźniej urosło do rozmiarów Różyczki z *Obywatela Kane'a*.

– Na pewno nie odmówię ci prawa do odczuwania złości.

– Super – odparła gorzko Lisa i dodała: – Chciałaby mi pani powiedzieć coś jeszcze, prawda?

– Co, według ciebie, chciałabym powiedzieć?

Podążyła za jej spojrzeniem ku – chyba jej się nie przywidziało – jej książce. Leżała na rogu biurka. Nie mówiła o niej klientom. Uważała, że to by było niewłaściwe, że to tak, jakby lekarz prowadził aptekę w recepcji swojej przychodni. Ale kilkoro pacjentów przeczytało recenzję w „Kirkus Reviews” albo o niej słyszało, a jedna osoba, pracująca przy programie *Good Morning America*, wiedziała, że wszystkie trzy krajowe stacje chciały z nią przeprowadzić wywiad.

– Że mogłam tego uniknąć. Być bardziej uważna.

– Sądzisz, że tak właśnie myślę?

– Przestań mnie karmić tym freudowskim bełkotem!

Lisa pochyliła się do przodu. Powiedziała to

bojowym tonem. Nagle i bez ostrzeżenia zmieniła się w kogoś przepełnionego głęboko przemyślaną, skoncentrowaną złością. Cel ostrzału, pomyślała Grace, *c'est moi*.

Lisa ciągnęła z wyraźnym sarkazmem:

– Gdybym chciała, żeby ktoś cały czas odbijał piłeczkę, poszłabym na psychoanalizę. Na pewno sądzisz, że powinnam była to przewidzieć, że jestem współwinna. Wiem, że od początku myślałaś: jak mogła nie wiedzieć, że wychodzi za geja? Od miesiący cię obserwuję i tak podejrzewam. No dobra, jest dla mnie jasne, że nie staniesz się nagle ciepłutką, milusińską panią, która będzie mnie pocieszać, ale mogłabyś przynajmniej darować sobie osądzanie.

Oddychaj, pomyślała Grace. I nic nie mów. To jeszcze nie koniec.

– Wcale cię nie chciałam. Wolałam terapeutę, do którego poszliśmy w styczniu. Tego niedaleko Lincoln Center. Był wielki i miał bokobrody. Wyglądał jak niedźwiedź. Poczułam się u niego bezpieczna, miałam wsparcie. Ale Daniel chciał ciebie. Uważał, że jesteś twarda i że potrzebujemy kogoś twardego. Ale tego już od ciebie dostałam sporo, dzięki. Czy ty kiedykolwiek okazujesz uczucia?

Grace zdawała sobie sprawę, że plecy i skrzyżowane nogi ma napięte do granic wytrzymałości. Poczekała chwilę, a potem bardzo delikatnie, uważając na słowa, powiedziała:

– Nie sędzę, żeby moje uczucia ci pomogły. Z terapeutycznego punktu widzenia. Jestem tu po to, żeby się z tobą podzielić swoją wiedzą i, jeśli to konieczne, zdaniem. Mam ci pomóc rozpracować problemy, z którymi się do mnie zwróciłaś. Mogłabym cię pocieszać, ale dużo więcej zyskasz, jeśli nauczysz się szukać pocieszenia w sobie.

– Może – odparła Lisa. – A może jesteś po prostu zimną suką.

Grace nie zareagowała. Milczenie się przeciągało. Wiszący w powietrzu smutek rozdarł klakson. W końcu Lisa się nachyliła i wyciągnęła z pudełka kolejną chusteczkę.

– Przepraszam – powiedziała, patrząc ponad głowę Grace na drzwi. – To było nie na miejscu.

Grace kiwnęła głową.

– Terapia to nie spotkanie towarzyskie. Poradzę sobie. Ale jestem ciekawa, dlaczego chciałaś się dalej ze mną spotykać. Zwłaszcza że to Daniel mnie wybrał, nie ty. Może, chociaż podobno nie okazuję ciepła, uważasz, że jestem w stanie ci pomóc.

Lisa wzruszyła ramionami. Wyglądała na nieszczęśliwą. Znów zaczęła cicho płakać.

– Ja wierzę, że mogę ci pomóc – ciągnęła Grace. – Widzę, jaka jesteś silna. Zawsze to widziałam. Teraz jesteś zła na niego, na siebie i na mnie, ale wiem, że to nic w porównaniu z tym, jak ci smutno z powodu tego, że straciłaś rodzinę, którą sądziłaś, że masz. Prawda jest

taka, że przed tą złością i smutkiem nie ma ucieczki. Musisz je przeżyć, żeby wyjść na drugi brzeg. Bardzo chcę ci w tym pomóc, żebyś znalazła trochę spokoju dla siebie i dziewczynek. I żebyś się pogodziła z Danielem, bo tak czy inaczej pozostanie częścią twojego życia. Może nie mam owłosionej twarzy ani nie jestem specjalnie milusińska, a możesz mi wierzyć, nie jesteś pierwszą pacjentką, która mi to mówi...

Lisa zaśmiała się, trochę zasmarkana.

– Ale gdybym nie uważała, że jestem w stanie ci pomóc, dawno bym ci to powiedziała. Pomogłabym ci też znaleźć bardziej niedźwiedziowatego terapeutę, gdybyś tego potrzebowała.

Lisa położyła głowę na oparciu kanapy i zamknęła oczy.

– Nie – powiedziała. Była wyczerpana. – Wiem, że masz rację. Po prostu czasem na ciebie patrzę i myślę sobie: ona nigdy by się nie dała na to nabrać. Ja jestem w rozsypce, a twoje życie jest takie poukładane. Rozumiem, że nie powinniśmy rozmawiać o tobie, i nawet tego nie chcę, ale czasem, kiedy widzę kogoś poukładanego, to myślę: zimna suka. Nie jestem z tego dumna. No i oczywiście dobrze cię sprawdziłam, zanim zaczęliśmy do ciebie chodzić. Nie bierz tego do siebie. W dzisiejszych czasach sprawdza się hydraulika, a co dopiero kogoś, komu chce się powierzyć wszystkie tajemnice.

– Nie wzięłam tego do siebie – powiedziała Grace.

Nie powinna też być zdziwiona.

– Więc wiem, że od lat masz męża i że wydajesz książkę o tym, jak nie wyjść za psychopatę, czy coś takiego. I oto siedzę przed tobą, twoja wymarzona czytelniczka kretynka.

– O nie – odparła Grace spokojnie. – Moja czytelniczka nie jest kretynką, tylko kimś, kto jeszcze nie skończył się uczyć.

Lisa zgniotła chusteczkę i włożyła ją do torebki. Obie wiedziały, że ich czas się kończy.

– No to chyba powinnam ją przeczytać.

Grace nie zrobiła nic, co by sugerowało, że to dobry pomysł.

– Jeśli sądzisz, że może cię zainteresować, to pewnie.

Podeszła do biurka i zaczęła wypisywać fakturę.

– Pomoże mi następnym razem – powiedziała Lisa.

Grace mimo woli się uśmiechnęła. Mądra dziewczyna, pomyślała. To dobry znak, kiedy ktoś nawet w najgłębszej otchłani nieszczęścia jest w stanie sobie wyobrazić następny raz. Poradzi sobie, pomyślała. Będzie biedniejsza, bardziej obciążona, może będzie się czuła ponizona, będzie miała męża mieszkającego w wypełnionym sztuką mieszkaniu przy (wiedziała to) jednej z najpiękniejszych ulic w mieście, a mimo to wciąż widziała dla siebie jakąś przyszłość.

No ale ona, pomyślała Grace, przynajmniej wie, gdzie jest jej mąż.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ziemie szpitalne

Ostatnia para wyszła. Grace nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Nie mogła dłużej siedzieć w gabinecie, patrzeć na milczący telefon i bać się dzwonka, który nie chciał zadzwonić. Z drugiej strony obawiała się powrotu do szkoły. Szłaby tam, wiedząc równie mało i bojąc się nie mniej niż rano. Nie chciała liczyć wozów transmisyjnych i widzieć rozemocjonowanych rodziców na dziedzińcu, a już szczególnie nie miała ochoty słuchać wynurzeń Sally Morrison-Golden, na żaden temat, zwłaszcza na temat Malagi Alves. Nie miała pojęcia, co się z nią stało, i z każdą chwilą obchodziło ją to mniej. Malaga, ta biedna kobieta, ta martwa kobieta, nie miała z nią nic wspólnego, ale na horyzoncie widać było planetoidę. Z każdą godziną stawała się większa, gęstsza i bardziej przerażająca.

Gdzie się podziewa Jonathan? Dokąd wyjechał i dlaczego nie daje znać, że wszystko w porządku? Jak śmie tak bezmyślnie zniknąć? Niby co ma mówić Henry'emu? Czy w ogóle o tym pomyślał? Co miała powiedzieć swojemu ojcu? I pieprzonej Evie, która musiała wiedzieć, ile talerzy postawić na stole?

Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek była na niego aż tak zła. I żeby tak się bała.

Wyszła z gabinetu o drugiej i zderzyła się ze ścianą parszywej pogody, przed którą nie ostrzegł jej ani „New York Times”, ani wygląd nieba, ani żaden z klientów. Otuliła się płaszczem i zdała sobie sprawę, że wciąż jest jej bardzo zimno. Była mokra. Pochyliła się pod wiatr, poczuła na twarzy dziwnie przyjemny podmuch i krople deszczu. Wszyscy wokół mieli mokre twarze. Moglibyśmy wszyscy płakać, pomyślała i dotknęła policzka dłonią, która nagle stała się lodowata. Nie płakała. Ona tylko... była trochę nieobecna. A to nie przestępstwo i nikogo nie powinno to obchodzić.

Skreśliła na południe, oddalała się od szkoły Henry’ego. Szła Lexington Avenue, mijała sklepy z czasopismami, spożywczeni i rzadkie już dzisiaj lunchowe knajpki, które uwielbiała – obskurne, z krzesłami przy barze, z pysznymi hamburgerami i cukierkami miętowymi w miseczce przy kasie. Wszyscy zdawali się walczyć z wiatrem. Z kawiarni Neil’s wyszły dwie starsze panie. Jęknęły zaskoczone i cofnęły się, żeby pozapinać płaszcze. Grace często chodziła do Neil’s z Jonathanem, kiedy miał dyżur w Memorialu. Było na tyle blisko szpitala, żeby mógł się tam szybko dostać, ale na tyle daleko, żeby nie wpadał na kolegów z pracy. Grace uwielbiała ich rosyjskie hamburgery. Przez te wszystkie lata, kiedy próbowała zająć się ciążą i była idealnie zestrojona ze

swoim ciałem i jego potrzebami, nieraz wręcz biegła do Neil's po hamburgera, jakby zaspokojenie tego nagłego głodu mogło ułatwić zapłodnienie albo przyspieszyć rozwój zygoty. Dobrze wypieczone mięso, dla pewności, ale bez sera, bo z serem nigdy nic nie wiadomo, a nie warto było ryzykować po tylu rozczarowaniach, tylu zaczątkach życia, które z niej wypadły, odpłynęły.

Już dawno o tym nie myślała. Kiedy urodziła Henry'ego, zaczęło jej się to wydawać wulgarne. Potem przekonała samą siebie, że tamte zaczątki, utracone szanse, były zapowiedzią. Czerwonym dywanem rozwijanym przed prawdziwą gwiazdą ekranu. Odkąd pojawił się Henry, istniał tylko Henry. Pragnienie Henry'ego. Czekanie na Henry'ego. Bycie gotową na Henry'ego.

Od lat nie była w Neil's, ani z Jonathanem, ani z nikim innym. Raz zamówiła u nich dostawę, ale choć knajpka znajdowała tylko kilka przecznic od jej gabinetu i choć zadzwoniła na samym początku godzinnej przerwy na lunch, hamburger dotarł z pięćdziesięciminutowym opóźnieniem i był zimny. To ją ostatecznie zniechęciło.

Stała na rogu Sześćdziesiątej Dziewiątej i Lexington i czekała na zielone światło. I nagle poczuła na udzie wibracje. Telefon. Głęboko w kieszeni płaszcz. Sięgnęła po niego, upuściła, złapała jeszcze raz i podniosła do światła.

Numer na wyświetlaczu przeszył ją jak rozpalone

ostrze. Zapragnęła wyrzucić telefon na ulicę, ale nie mogła się do tego zmusić. Nie mogła też nie odebrać, więc wcisnęła guzik wilgotnym palcem.

– Witaj, Maud.

– Grace! – zawołała Maud. – Zaczekaj. J. Colton, jesteś z nami?

– Obecna! – odparła wesoło rzeczniczka od wizerunku. – Co prawda w Los Angeles, ale obecna.

– Chciałyśmy zadzwonić do ciebie razem – powiedziała Maud. – Jesteś w swoim gabinecie?

Grace złapała równowagę. Rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegoś zadaszania. Zauważyła tylko małą markizę przez bankiem Chase. Zrozpaczona, oparła się plecami o okno knajpy.

– Nie, na ulicy – powiedziała.

Mocniej przycisnęła telefon do ucha.

– Jak Kalifornia? – zapytała Maud.

– O Boże. Wspaniała.

– A nasza gwiazda filmowa?

– Żądam wyższej pensji.

Maud zaśmiała się radośnie. W uszach Grace zabrzmiało to bardzo niewłaściwie. Śmiech na Lexington Avenue, w deszczu. Do tego jakiś okropny niepokój nie dawał jej wytchnienia i przerywał każdą myśl.

– Pewna aktorka, której nazwisko na razie pozostanie tajemnicą – powiedziała Maud, wyraźnie do Grace. – Niesłynała, tak to ujmijmy, ze skromności.

– Okej – odparła Grace i zamknęła oczy.

– Ale słuchaj. Dzwonili do mnie w twojej sprawie. Jesteś gotowa?

Grace spojrzała beznamiętnie na chodnik po drugiej stronie ulicy. Jakiś wysoki mężczyzna walczył z parasolem.

– Tak!

Niechący powiedziała to mocno tragicznym tonem, ale one chyba tego nie zauważyły.

– *The View!*

Po tych słowach zapadło coś, co brzmiało jak cisza.

– *The...* co? – spytała Grace.

– *The View*. Pięć kobiet na kanapie? Nie oglądasz tego? Z Whoopi Goldberg.

– A, no tak. Kojarzę. Mam u nich wystąpić?

– Odpukaj w niemalowane drewno – zapiała Maud.

– Świetnie – powiedziała Grace i spuściła wzrok.

Przez obydwaj jej buty przebiegała mokra linia. Do niczego, pomyślała kwaśno. Nie mogła zrozumieć, dlaczego wyszła w takim ubraniu. Co sobie myślała? Od kiedy myślenie przychodzi jej z takim trudem?

– Nie masz pojęcia, jak trudno załatwić występ w *The View* – mówiła J. Colton, a Grace wyobraziła ją sobie przy hotelowym basenie. Ale nie pamiętała, jak J. Colton wygląda. – Oczywiście wysyłamy im wszystko, ale czy oni to czytają? Kto to wie? Ale zadzwoniła do mnie producentka od Barbary Walters i mówi: kobiety muszą przeczytać tę książkę! A ja na to: właśnie!

– Właśnie – potwierdziła Maud. – To wielka rzecz, Grace. Aha, co z Miami?

Jakie znowu Miami? – pomyślała Grace. Ale chyba nie ją pytała.

– Miami jest na tak – powiedziała J. Colton.

– Chcą cię na targach książki w Miami – wyjaśniła radośnie Maud. – Co myślisz o Florydzie?

Grace spochmurniała. Wciąż miała mokrą twarz i było jej bardzo zimno w stopy. W tej rozmowie było zbyt wiele niewiadomych. Zastanawiała się, czy Maud i J. Colton nie przeszły płynnie na obcy dialekt. Floryda nie wywoływała w niej żadnych uczuć. Na pewno nie chciałyby tam mieszkać, choć akurat w tej chwili byłoby tam znacznie przyjemniej. Ze względu na pogodę. Czy one pytają, czy chciałyby się przeprowadzić na Florydę?

– Nie wiem – tylko tyle zdołała wydusić.

– Bo Rada Książki Żydowskiej – powiedziała Maud – dała nam znać, że *Nie chciałaś wiedzieć* będzie ich flagową pozycją tej zimy.

– Wiesz, co to znaczy? – spytała J. Colton.

Grace odparła, że nie wie, co to znaczy.

A oznaczało to jeszcze więcej wyjazdów do wielkich żydowskich ośrodków pełnych czytelniczek, często właśnie na Florydzie.

Zmarszczyła brwi.

– Ale to nie jest żydowska książka.

– Nie. Za to ty jesteś żydowską pisarką.

Niezupełnie. Prawie to powiedziała. W domu jej

rodziców prawie nie obchodzono żydowskich świąt, a już zupełnie nie wyznawano żydowskiej wiary. Jej matka, osoba o poglądach tak antysemitycznych, jak to tylko możliwe w przypadku Żydówki, godziła się czasem ubrać odpowiednio z okazji bar micwy albo wesela dziecka znajomych, ale swoje życie wewnętrzne wolała ozdabiać muzyką klasyczną i innymi pięknymi rzeczami. Jej ojciec, jak na niemieckiego Żyda przystało, raczej gardził sprawami sztetlu, chociaż z nietypową dla siebie otwartością podchodził do żydowskiej ortodoksji swojej drugiej żony. Grace w nic nie wierzyła i jeszcze mniej robiła.

– A oni nigdy nie promują takich książek – powiedziała Maud. – Głównie powieści i wspomnienia. Sporo literatury faktu, ale coś takiego jak *Nie chciałaś...*

Nie chciałaś. Takiego skrótu używała Maud. Tytuł jej książki ewidentnie potrzebował ksywki, ale jakoś nie umiała się przemóc, żeby tak nazywać swoje dzieło.

– Chyba nigdy. J. Colton? Czy kiedykolwiek zajmowali się taką książką?

– Chyba wzięli *Zasady* – odparła J. Colton.

Grace odruchowo przewróciła oczami. Cieszyła się, że jej nie widzą.

– A, promowali też doktor Laureę.

– Chryste – jęknęła Grace. Czowała, jak zwykła awersja przeradza się w przerażenie. – Ona jest straszna.

– Jest straszna i ma tryliard słuchaczek, Grace – odparła Maud ze śmiechem. – Próbuujemy umówić cię

z nią na wywiad.

Grace nie odpowiedziała.

– No i trasa – ciągnęła Maud. – Pracujemy nad początkiem lutego. Chcemy dać ludziom szansę, żeby się dowiedzieli o twojej książce, zanim cię wyślemy w świat. Wiesz, że człowiek musi usłyszeć tytuł trzy razy, żeby kupić książkę?

Nie wiedziała. Nigdy o tym nie myślała.

– Czyli najpierw artykuł w czasopiśmie, potem ważna recenzja. Jak się pokażesz w telewizji, ludzie pomyślą: zaraz, zaraz, słyszałam o tej książce. A jak pójdą do księgarni, zobaczą ją na stole przy wejściu. Taki stół to droga nieruchomości, wiedziałas o tym?

Jeśli założyć, że dobrze rozumie, co w tym wypadku znaczy droga nieruchomości, to nie – tego też nie wiedziała. To wszystko, o czym nie miała pojęcia, zaczynało się przed nią piętrzyć. Krople deszczu odbijały się od chodnika – spadały i podskakiwały. Kawałek dalej przysadzisty jamnik nie chciał iść na spacer. Kulił się i trząsł na swoich króciutkich brązowych nogach, a jego właściciel patrzył na niego złowrogo. Zaczęła się zastanawiać, co musiałaby zrobić, żeby zakończyć tę rozmowę.

– Za to będziemy mieć jeden pełny miesiąc w Barnes and Noble. Tak się cieszę, że to przyspieszyliśmy. A ty, Grace?

Publikację książki pierwotnie zaplanowano na czternastego lutego. Grace uznała, że to trochę cyniczne.

Ale Maud przesunęła datę na początek stycznia, żeby nie konkurować z książką o związkach napisaną przez felietonistkę z siostrzanej firmy. Książki ze stycznia mają nie najlepszą reputację. Tak Maud powiedziała (jakby Grace kiedykolwiek zwracała uwagę na miesiąc wydania), ale w przypadku jej książki miało to przynieść korzyść. Ponieważ w styczniu wydaje się mniej, recenzenci dostają niewiele propozycji, a to oznaczało większe prawdopodobieństwo, że zrecenzują daną książkę. Poza tym bezpośrednio po świętach ludzie są bardziej skłonni do autorefleksji, gotowi na odrobinę trudnej miłości własnej.

Tak mówiła Maud, więc to musiała być prawda.

– Dużo łatwiej dostać się na listę w styczniu niż na przykład jesienią.

– Pamiętasz ten pamiętnik, który wydaliśmy? – zapytała J. Colton znad basenu. – O dziewczynce pogryzionej przez wściekłe psy? Wyszła w styczniu i wystarczyło sprzedać dwadzieścia tysięcy egzemplarzy, żeby trafiła na listę.

Grace mocno się skupiła. Dziewczynka. Pogryziona. Wściekłe psy. Lista. Ale oczywiście okazało się, że J. Colton nie mówiła do niej.

Znów rozmawiały z Maud o książkach. Ci ludzie ciągle rozmawiają o książkach. O tych, które zamierzają przeczytać. O tych, których niestety nie przeczytali. O książkach, które podobno są cudowne. O książkach, które ona, Grace, powinna przeczytać, i o tych, których

nie przeczytała, a one po prostu nie mogły w to uwierzyć. Zawsze lubiła czytać, ale przy nich czuła się jak analfabetka.

Pomyślała: stoję pod zadaszeniem przy Lexington Avenue, w wełnianym płaszczu i mokrych butach, z telefonem w ręce, która jest zimna i się trzęsie. Telefon też się trzęsie. Mam trzydzieści dziewięć lat, od osiemnastu jestem mężatką, mam dwunastoletniego syna. Jestem terapeutką, prowadzę prywatną praktykę. Napisałam książkę. Jestem flagową autorką zimowego sezonu Rady Książki Żydowskiej. Będę musiała pojechać na Florydę. Wszystko to jest prawdą. Wiem to na pewno.

– Grace? – powiedziała Maud. – Jesteś tam jeszcze?

– Przepraszam – odparła. – Wspaniałe wieści.

Musiało to zabrzmieć przekonująco, bo w końcu dały jej spokój.

Spuściła głowę i wyszła spod zadaszenia. Ruszyła aleją na południe, a potem skręciła na wschód, w stronę ulic, które dobrze znała z pierwszych lat spędzonych z Jonathanem. Nie wiedziała, dokąd idzie, dopóki nie minęła podupadłego powojennego budynku przy Pierwszej Alei. Mieszkali tam kiedyś we dwoje, w ponurym mieszkanku na końcu brudnego beżowego korytarza. Wyglądało to tak, jakby czas w ogóle nie tknął tego miejsca. Nawet sztuczna roślina na stoliku w westybulu i imponujący żyrandol wyglądały tak samo. Nie rozpoznała umundurowanego szwajcara, ale i tak

uśmiechnęła się do niego półgębkiem, jakby chciała uczcić lata, które tam spędziła. Z budynku wyszły młodsze wersje jej i jej męża. Zatrzymali się pod markizą. Świeżo upieczeni zawodowcy z aktówkami i matami do jogi. Na plecach mieli worki z bielizną do prania, a w dłoniach przyjazne dla środowiska płócienne torby na zakupy. Nie chciałabym tu teraz mieszkać, pomyślała Grace. Już wtedy nie cierpiała tego miejsca, choć wycisnęła z niego, ile mogła. Pomalowała ściany farbami z palety śródwiecze Marthy Stewart (tylko tyle mogła zrobić dla tych nieodwracalnie ponurych pokoi) i nie chciała zamieniać kilku naprawdę ładnych mebli, które mieli, na łatwo dostępną tanioczę (która pasowała do takich wnętrz). W tamtych czasach nie zwracała większej uwagi na wystrój wnętrz. Żadne z nich się tym nie zajmowało, bo obydwójce byli skupieni na kilku sprawach. Przede wszystkim na pracy i na płodzeniu dziecka. Zatrzymała się w deszczu, znów wyjęła telefon i spojrzała na niego groźnie. W końcu wetknęła go z powrotem do kieszeni i ruszyła dalej.

Kiedy w końcu stało się jasne, dokąd idzie, przyspieszyła. Szła na południe, York Avenue. Wkroczyła na Ziemi Szpitalne. Tak kiedyś nazywał tę okolicę Jonathan, a teraz również ona. Nie była to tylko część miasta, w której stały szpitale – Cornell, Special Surgery, no i oczywiście statek matka, Memorial – ale obszar, który z czasem przeobraził się w otaczający je wielki folwark, dający zakwaterowanie pracownikom,

przewidujący i zaspokajający wszystkie ich potrzeby.

Szpitalne oczywiście w najmniejszym stopniu nie przypominały innych zakładów pracy. Sklepy i restauracje wyludniały się na noc i były zamykane. Biura stopniowo zwalniały tempo i w końcu ostatni pracownik gasił ostatnie światło. Ale szpitale nigdy nie stały puste i nikt ich nie zamykał. Napędzała je sama waga powierzonych im zadań, podsycana niekończącym się stanem krytycznym. Były odrębnymi światami, w których rządziły sztuka, nauka i oczywiście ekonomia choroby. Scenami, na których rozgrywały się niezliczone zapętlone bez końca dramaty (głównie tragedie) z motywami poznania i przełomu, religijnego uniesienia, odkupienia i pojednania, i miazdzącej straty. Na Ziemiach Szpitalnych człowiek żył od incydentu do incydentu. Na Ziemiach Szpitalnych nieustannie analizowano samą esencję ludzkiego doświadczenia. Powietrze przepełniała atmosfera pośpiechu i poczucie wyższego celu.

Jonathan kwitł na Ziemiach Szpitalnych, tak jak kwitł na akademii medycznej, a wcześniej w college'u. Należał do tych, którzy zawsze pamiętają imiona innych ludzi i wiedzą, co się dzieje w życiu każdego, kogo znają. Grace, która nigdy nie miała takich zdolności (i, szczerze mówiąc, nigdy nie chciała jej mieć), widziała go pochłoniętego rozmową chyba ze wszystkimi – od pracowników administracji, lekarzy, pielęgniarek i sanitariuszy aż po faceta, który woził brudną pościel

do ogromnej pralni w piwnicy. Wiedziała też, że czasem blokował kolejkę w stołówce pogawędkami z wydającymi posiłki paniami w siatkach na głowach. Z każdym mieszkańcem Ziem Szpitalnych, od króla po plebejusza, nawiązywał tak samo głęboką więź. Okazywał prawdziwe zainteresowanie i potrzebę bliskości. Gdy stawał obok drugiego człowieka, zachodziła w nim jakaś zmiana. Powoli i nieuchronnie skupiał na nim całą uwagę, a tamten ktoś odpowiadał, podłączając się do tego cudownego źródła energii. Kojarzyło jej się to z tymi filmami puszczanymi w zwolnionym tempie, na których kwiat powolutku odwraca się do słońca i otwiera. Widziała to u Jonathana od niemal dwudziestu lat i wciąż ją to zniewalało.

Jonathan wdychał ludzi. Chciał wiedzieć, kim są, co jest dla nich ważne, wokół jakich ran uformowały się ich charaktery. Niemal każdego potrafił skłonić do wyznań na temat zmarłego ojca albo walczącego z nałogiem syna. Podziwiała go za tę umiejętność, choć często oznaczało to długie czekanie przy krawężniku, aż skończy rozmawiać z taksówkarzem, albo trzymanie jego płaszcza, kiedy zapisywał kelnerowi tytuł książki albo adres hotelu na Lesbos. Ale zawsze taki był, również kiedy byli sami, od tamtej pierwszej nocy w podziemiach. Sądziła, że taki się urodził. Człowiek nie zawsze spodziewa się po lekarzach dobrych rzeczy. Powszechnie myśli się o nich – według Grace to uzasadnione – że są wyrachowani albo napuszeni,

a często wręcz uważają się za bogów. Ale kiedy ktoś ma chore dziecko, to jak dobrze musi się czuć, oddając je pod opiekę człowiekowi, który tak wyraźnie przekracza swoje ja i podchodzi z głębokim szacunkiem nie tylko do dziecka, lecz także do nich. Człowiekowi, który nie tylko robi wszystko, żeby uśmierzyć ból, ale również potrafi zrozumieć, co to znaczy być chorym.

Szła teraz Sześćdziesiątą Dziewiątą i czuła się niewidzialna. Pozwalała się mijać grupkom ludzi o różnych barwach i kształtach. Patrzyła na palaczy (nie poddawali się nawet w deszczu, nawet pod szpitalem onkologicznym) i widziała, że tylko oni nie ruszają się gorączkowo. Miała wrażenie, że wokół niej bije ostre światło, które przyciąga uwagę i czyni ją podejrzaną, jakby robiła coś nieprzyzwoitego. A przecież nigdy nie zachowywała się nieprzyzwoicie ani podejrzenie. Chciała tylko jak najszybciej sobie pójść. Prawie doszła do skrzyżowania i mogła po prostu skręcić w York Avenue, i zostawić za sobą wejście do Memoriala, i nikt by się nie dowiedział, że z tym po południem coś było bardzo, ale to bardzo nie tak, a może z całym życiem. Ale z jakiegoś powodu, którego nie znała, a już na pewno nie zgłębiła, gwałtownie się odwróciła, jakby w tańcu albo w marszu, i ruszyła z powrotem. Nagle zaczęła się zderzać z ludźmi, którzy jeszcze przed chwilą szli za nią, bardzo zaaferowanymi obywatelami Ziemi Szpitalnej. Niektórzy stękali z niezadowoleniem, ktoś nawet zwrócił się do niej po imieniu.

– Grace? – zapytał.

Podniosła wzrok i przez strugi deszczu zobaczyła twarz Stu Rosenfelda.

– Tak myślałem, że to ty – powiedział dość sympatycznym tonem. – Masz inną fryzurę.

Owszem, trochę pofarbowała włosy. W okolicach przedziałka zaczęła zauważać siwe kosmyki. Wstydziła się, że tak bardzo ją to smuci. Jonathan nie zauważył, ale Stu tak. W tych okolicznościach wydało jej się to niewiarygodne, wręcz nierealne.

– Cześć, Stu – odparła. – Piękny dzień.

Zaśmiał się.

– Wiem. Tracy kazała mi wziąć parasol, ale oczywiście zapomniałem.

Tracy, jego żona. Ta, z którą z całą pewnością nigdy się nie pokłóciła.

– Co u Tracy? – spytała Grace, jakby nie stali w ulewie.

– Wspaniale! – Stu uśmiechnął się szeroko. – Drugi trymestr. Będziemy mieli chłopca.

– Och – powiedziała, próbując ukryć zaskoczenie. – To cudownie. Nie miałam pojęcia.

Oczywiście, że nie miała pojęcia. Nigdy nie zapomniała radosnej deklaracji Tracy Rosenfeld, że ona i jej mąż nie zamierzają mieć dzieci. Niektórzy po prostu tego nie potrzebują – powiedziała to tak, jakby wszyscy już dawno uznali to za coś niewłaściwego. A ona właśnie poroniła (trzeci albo czwarty raz)

i prawie się rozpląkała, choć wtedy prawie wszystko doprowadzało ją do łez. Prawdopodobnie zresztą bardziej by się zasmuciła, gdyby nieczuła pani Rosenfeld oznajmiła beztrasko, że jednak tego z mężem pragną.

Stu, człowiek o gołębim sercu, najwyraźniej tego nie pamiętał. Uśmiechał się od ucha do ucha i nie bacząc na deszcz i na to, że to spotkanie jest takie dziwne, zaczął opowiadać, jak zaskakująco dobrze jego żona znosi ciążę. Żadnych nudności! Żadnego zmęczenia! Nadal co rano biega swoje pięć kilometrów, chociaż jej położna jest przerażona i chociaż prowadzi koszmarnie skomplikowaną sprawę. Grace próbowała sobie przypomnieć, ile Tracy ma lat.

– Ile Tracy ma lat? – spytała.

W jej uszach zabrzmiało to niegrzecznie. Wcale nie chciała być nieuprzejma. Może po prostu nie mogła się powstrzymać.

– Czterdzieści jeden – odparł Stu, znów serdecznie.

Czterdzieści jeden. Grace przygotowała się na falę żalu i poczuła ją. Zmienić zdanie w tym wieku, zająć się ciążą i być tak beztraską, wręcz lekkomyślną? Jak śmiała biegać, będąc w ciąży w wieku czterdziestu jeden lat? Grace uznała to za afront. Ale dlaczego? Na litość boską, czemu brała to do siebie?

– Wspaniale – powiedziała. – To naprawdę cudowna wiadomość.

– Słyszałem, że ty też lada chwila rodzisz.

Gapiła się na niego. Była tak zaskoczona, że nie miała bladego pojęcia, jak zareagować, a co dopiero odpowiedzieć.

– Tracy mówiła, że napisałaś książkę. Czytała o tym chyba w „Daily Beast”. Hity nadchodzącej zimy czy coś takiego. Co to za książka? Powieść?

Nie, jestem Trumanem Capote. Napisałam powieść dokumentalną. Prawie to powiedziała. Ale po co wyładowywać złość na nim?

– Zupełnie nie – odparła. – Nic tak skomplikowanego. To książka o tym, co zrozumiałam, pracując jako terapeutka, i co może pomóc ludziom znaleźć partnera.

– Aha. Bardzo mi się podobały *Zasady*. Moja siostra czytała kilka lat temu.

– I pomogła jej? – zapytała.

Zawsze ją to ciekawiło. Wiedziała, że nie powinna pomagać. Ale czy mimo to komukolwiek pomagała?

– Nie, ale nie wzięła jej na serio. Nie dzwonić do faceta po pierwszej randce? Zerwać z nim, jeśli nie kupi prezentu na walentynki? Powiedziałem jej, że większość mężczyzn nie wie, kiedy to jest. Nasi ojcowie nie dawali naszym matkom prezentów na walentynki, a byli razem po trzydzieści lat.

Grace przytaknęła. Stała bez ruchu w deszczu i było jej zimno.

– Ale to wspaniale, że napisałaś książkę. Na pewno kupię, jak tylko trafi do księgarń. To będzie moja pierwsza lektura poza czasopismami medycznymi od...

nie wiem... od studiów?

– O, nie – powiedziała odważnie Grace, choć nie była w stanie źle o nim pomyśleć.

Stu był bystrym, umiejącym współczuć człowiekiem – dokładnie takim lekarzem, jakiego chciałoby się mieć u boku, gdyby się miało chore dziecko. On i Jonathan pracowali razem od co najmniej ośmiu lat i Jonathan nigdy nie powiedział o nim złego słowa. Było to zdumiewające, bo kiedy się leczy tak skomplikowane przypadki, często zawiązują się osobiste relacje między pacjentem a lekarzami i nietrudno o konflikty. O innych kolegach lekarzach Jonathan mówił mniej ciepło. Ross Waycaster, jego bezpośredni przełożony, był emocjonalnie niedostępny, przesadnie ostrożny i pozbawiony kreatywności. Tłumaczenie rodzicom, co się dzieje z ich dziećmi, szło mu tak kiepsko, że Jonathan często spotykał ich na korytarzu, roztrzęsionych i zapłakanych, pogrążonych w zupełnie niepotrzebnej złości. Z kolei rezydentka, która przeprowadziła się do Santa Fe albo Sedony – jak ona miała na imię? Rona? Rena? – ta, która się specjalizowała w paralelnych strategiach leczniczych, była trzpiotką i nigdy nie powinna była zostać lekarzem. Po co iść na akademię medyczną, jeśli się zamierza wymachiwać ziołową różgą i wyśpiewywać zaklęcia? No i pielęgniarki: czasem udawały, że go nie słyszą, kiedy je uprzejmie o coś prosił, tak je pochłaniała wieczna wojna o władzę z lekarzami. I jeszcze

pracownicy biura prasowego, nie wiedzieć czemu protestujący przeciwko opublikowaniu jego profilu w dziale najlepsi lekarze magazynu „New York”, co zdecydowanie przyczyniłoby się do zwiększenia popularności szpitala. A nad nimi wszystkimi panował Robertson Sharp-the-Turd, mściwy, trudny człowiek, krótkowzroczny, obsesyjnie trzymający się regulaminu dyrektor szpitala.

Stu Rosenfeld był inny. Stu miał coraz większą łysinę i szeroki nos, ale za to prawdziwie anielski uśmiech. Grace wyobraziła sobie jego synka, siedzącego na ramionach taty – szczęśliwego i pewnie bardzo bystrego, z krągłymi policzkami po mamie i uśmiechem po ojcu. Cieszyła się jego radością i na krótką chwilę jej też zrobiło się lżej. Przez chwilę nie stała na deszczu, dręczona jakimś niewypowiedzianym zagrożeniem, zataczającym wokół niej krąg (czekającym cierpliwie, trzymającym dystans), i nie próbowała usilnie zagłuszyć złowrogiego szeptu, który od jakiegoś czasu zdawał się jej towarzyszyć. Przez tę krótką chwilę nie było szeptu ani zagrożenia. Nie wisiał jej nad głową szklany klosz. Była kobietą stojącą na ulicy, w deszczu, z najlepszym kolegą męża, rozmawiającą jak gdyby nigdy nic. Gadającą o książkach, o dziecku, które będzie się nazywało Seth Chin-Ho Rosenfeld, i o walentynkach. Jonathan zawsze kupował jej prezent na świętego Walentego. Kwiaty, nie róże. Nigdy nie lubiła róż. Wolała jaskry. Były zarazem gęste i delikatne. Mogła na

nie patrzeć bez końca. Stu Rosenfeld się uśmiechał, bo jego żona była w ciąży i wszystko się układało. A Grace była szczęśliwa, bo prawie mu wierzyła. Bardzo tego pragnęła. Była blisko.

I wtedy Stu Rosenfeld powiedział t o i szklany klosz opadł, zamykając szczelnie zebrane w środku trujące powietrze. Sześć słów. Policzyła je później. Rozkładała je na czynniki pierwsze i składała na nowo. Miała nadzieję, że dzięki temu przestaną oznaczać katastrofę, że nie odmienią jej życia. Że go nie zakończą. Nic to nie dało. Powiedział:

– No, a co tam u Jonathana?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wszystko, co wzbiera, musi wykipieć

Właściwie nie bardzo wiedziała, jak jej się udało stamtąd wydostać, w każdym razie uciekła z przerażającego skrzyżowania Wschodniej Sześćdziesiątej Dziewiątej i York Avenue i długimi, mokrymi, okropnymi ulicami doszła aż do szkoły Henry’ego. Co ją napędzało? Co jej kazało unikać patrzenia na sklepowe wystawy i martwego wzroku stojących na nich kobiet? Jej ociężały umysł to pędził na oślepa, to zastygał. Jedno i drugie było nie do zniesienia. Do tego jeszcze ten wstyd. Nie przywykła do niego. Porzuciła wstyd dawno temu, kiedy olśniła ją myśl, że nie wszyscy muszą ją lubić, że prawdopodobnie nie wszyscy będą ją lubić, czy będzie tego potrzebowała, czy nie. Kiedy zdała sobie z tego sprawę, poczuła się wolna. Od tej pory tylko ona sama i członkowie jej najbliższej rodziny mogli ją oceniać, więc nie miała okazji się wstydzić i naprawdę przestała.

Ale Stu na tym skrzyżowaniu... Boże, jak on się na nią gapił i jak ona – tak jej się wydawało – gapiła się na niego. Obydwoje wbici w ziemię jego prostym, beztroskim pytaniem. Wyraz jej twarzy – w ułamku

sekundy musiał wszystko zrozumieć, a w każdym razie wystarczająco dużo: że mianowicie ona, Grace Reinhart Sachs, przeoczyła coś bardzo ważnego że mianowicie ją, Grace Reinhart Sachs, jakimś cudem ominęło coś bardzo ważnego. I nagle coś, co chwilę wcześniej było problemem – jej niepewność, jej kompletny brak pewności co do tego, gdzie jest Jonathan – nagle zeszło na dalszy plan. Ale ta nowa niepewność była znacznie gorsza.

Zrobiła krok w tył, jakby odrywała rzep od rzepu. Ból i bolesny odgłos. I chodnik jakby nie wiedział, w którą stronę chce być pochylony.

– Grace?

Usłyszała go, ale brzmiało to już tak, jakby mówił w obcym dialekcie, jeszcze rozumiałym, ale już wymagającym skupienia. Ale na skupienie i ucieczkę nie miała sił, a musiała uciec.

– Grace?! – zawołał za nią, kiedy ruszyła.

Minęła go, łamiąc się w pół, jak futbolista szukający miejsca między ciałami obrońców. Nawet na niego nie spojrzała. Nie patrzyła też za siebie.

Róg Sześćdziesiątej Dziewiątej i Pierwszej.

Siedemdziesiąta Druga i Druga.

Siedemdziesiąta Szósta i Trzecia. Udawało jej się pokonywać dystans, chociaż nie robiła tego świadomie. Nie myślała o niczym, niczego nie zauważała. Przypominało to raczej ten stan, gdy człowiek budzi się co chwila w bezsennej, niespokojną noc, zauważa

godzinę na zegarze i znów zapada w urywany sen. Chaos w jej głowie był nie do wytrzymania, ale kiedy próbowała go zagłuszyć, tylko marnowała czas.

I jeszcze dwie przecznice.

A potem wstrząs i nagły ból.

Potem kolejne dwie przecznice.

Czuła się chora. Jak nigdy.

Pragnęła tylko znaleźć Henry'ego, nawet gdyby musiała się w tym celu wdrzeć do szkoły i wołać go w korytarzu, wejść do klasy i wyciągnąć go za te jego ciemne włosy, jak przystało na wariatkę, którą niespodziewanie została. Wyobraziła sobie, że krzyczy: gdzie jest mój syn? Najdziwniejsze, że w tej wizji nic jej nie obchodziło, że inni się na nią gapią. W końcu wyciągnęłaby go na dziedziniec i siłą zaprowadziła do domu.

I co dalej?

Dalej nie było nic. Po prostu nie miała dokąd iść. Trochę jakby po długim biegu dotarła do podnóża góry. I tam się zatrzymała. Dalsza ucieczka niemożliwa, powietrze wyciśnięte z płuc. A przed nią tylko skalna ściana.

Na ulicy przed szkołą było pełno obcych. Przyjechało jeszcze więcej wozów transmisyjnych, z antenami satelitarnymi na dachach. Naliczyła co najmniej trzy nowe. Chodnik wypełniał rosnący tłum nieznanych jej ludzi, padlinożerców wypatrujących resztek Malagi Alves, choć akurat na Malagę Alves chwilowo nie było

miejsca w jej myślach. Więc kiedy jakaś cwana młoda kobieta spróbowała odciągnąć ją na bok ze standardowym: przepraszam, ma pani sekundę? możemy porozmawiać? prawie ją odepchnęła. W innym życiu przejęłaby się śmiercią kobiety, z którą rozmawiała dosłownie raz. Ale teraz tematem dnia była jej własna otchłań. To, co się teraz z nią działo – a nie mogła dłużej zaprzeczać, że coś się działo – dotyczyło wyłącznie jej, Jonathana i ich dziecka.

Nie miała też ochoty rozmawiać z matkami, więc kiedy stała wraz z nimi na dziedzińcu (brama szkoły służyła za aksamitny sznur, za który wstęp mieli tylko wybrańcy), z ulgą stwierdziła, że zapanowała wśród nich atmosfera posępnej solidarności. Inaczej niż rano nie było słycać szumu rozmów. Matki stały markotne, każda sama. W grupie, ale nie razem. Jeśli nie liczyć wymiany najprostszych gestów, nie zachodziły między nimi żadne interakcje. Wygląda to tak, pomyślała, jakby każda z nich, po tym jak stąd poszła kilka godzin temu, przeżyła swój własny głęboki kryzys. A może wreszcie sobie uświadomiły, że zamordowano kobietę, i to zatarło różnice klasowe i ekonomiczne, które pozwalały im trzymać Malagę Alves na dystans. Może zrozumiały, że wbrew ich oczekiwaniom zagadka jej śmierci nie zostanie rozwiązana szybko (bo wszystkie wiedziały teraz tyle samo co rano), że będą musiały z nią żyć jeszcze jakiś czas, więc na miejscu byłaby przynajmniej elementarna przyzwoitość.

Na dziedzińcu, po uprzywilejowanej stronie aksamitnego sznura, Grace nie naliczyła zbyt wielu niań. Zatraskane matki Reardena najwyraźniej wszystkie naraz uznały, że pewne chwile w życiu ich dzieci – pierwsze morderstwo Maksa albo pierwszy medialny cyrk małej Chloe – są zbyt szczególne, żeby je zostawiać opiekunkom. Więc rzuciły wszystko i oto stały tam dla swoich pociech, i czekały, aż dzieci zostaną wypuszczone przez zastęp psychologów ściągnięty przez Roberta Conovera. Były w końcu matkami, za które się z dumą uważały, towarzyszyły swoim dzieciom w ważnym i najprawdopodobniej pamiętnym momencie w ich życiu. Może po latach ich córki i synowie wspomną dzień, kiedy zginęła (nie zginęła – została zamordowana) matka ich kolegi, i jak bardzo były wystraszone tą nagłą konfrontacją z brutalną rzeczywistością, i jak mama odebrała ich ze szkoły, jak ich pocieszała i jak poszli na coś słodkiego, zanim zawiozła ich do domu, na lekcję baletu albo na korepetycje przed maturą. O dziwo prawie nikt nie szukał spojrzenia nikogo innego.

Wreszcie wyszły dzieciaki. Nie wyglądały na wstrząśnięte. Kilkoro sprawiało wrażenie zdziwionych widokiem matek. Henry człapał na końcu. Torbę z książkami przerzucił przez ramię, wciśnięta pod pasek kurtka trochę szorowała o podłogę. Grace zobaczyła go i ucieszyła się tak, że nie kazała mu jej podnieść.

– Cześć – powiedziała.

Spojrzał na nią spod tych swoich niesamowitych rzęs.

– Widziałaś wozy transmisyjne?

– Tak.

Założyła płaszcz.

– Pytali cię o coś?

– Nie. To znaczy próbowali. Szaleństwo.

– Niby co możesz wiedzieć?

Oczywiście nic, pomyślała. Może przypięli jej łatkę kogoś, kto się orientuje w sytuacji.

– Tata wrócił? – zapytał Henry.

Schodzili po schodkach na dziedziniec. Na chodniku stali ludzie z kamerami. Co najmniej dwie osoby mówiły do kamery. Stały na tle szkoły. Grace instynktownie schyliła głowę.

– Co? – powiedziała.

– Tata wrócił?

Pokręciła głową.

– Nie – odparła, i w tej samej chwili coś zrozumiała.

– A mówił ci, że wraca dzisiaj?

Henry się zamyślił. Wyszli przez jedną z żelaznych bram na chodnik i ruszyli na zachód.

– W sumie nie – odparł.

Byli już prawie na rogu.

Grace z trudem łąpała powietrze. Przez chwilę wydawało jej się, że się rozpłacze. Tam, na ulicy.

– Henry – powiedziała. – Możesz mi wytłumaczyć, co to znaczy „w sumie nie”? Nie rozumiem.

– A... – Zawahał się. – No, że nie mówił, kiedy wraca,

tylko że wyjeżdża.

– Wyjeżdża dokąd? – zapytała.

Chodnik znów się zakołysał. Nie mogła ustać prosto.

Henry wzruszył ramionami. Przez jedną okropną chwilę wyglądał jak typowy nastolatek, który rozmawia (albo nie rozmawia) z matką albo ojcem. Ten ruch ramion. To uniwersalne daj-mi-święty-spokój. Zawsze trochę się z tego śmiała, bo jej nigdy się to nie przytrafiało. Modliła się, żeby nie zaczęło akurat dziś.

– Nie pytałem. Po prostu zadzwonił i powiedział, że wyjeżdża.

Wyciągnęła rękę i złapała go za ramię. Nawet jej wydawało się, że zamiast dłoni ma łapę z pazurami.

– Pamiętasz, co powiedział? Co dokładnie powiedział?

Spojrzał jej w oczy i chyba zobaczył w nich coś, co mu się nie spodobało, bo po chwili uciekł wzrokiem.

– Henry, proszę cię.

– No wiem. Próbuję sobie przypomnieć. Powiedział: Muszę wyjechać na kilka dni. Zadzwonił do mnie na komórkę.

– Kiedy?

Gwałtownie odwróciła głowę i złapała torebkę, jakby miało jej to uratować życie.

Znowu to wzruszenie ramionami.

– Powiedział tylko, że wyjeżdża.

– Do Cleveland. Na konferencję.

– Nie powiedział dokąd. Pewnie powinienem był

spytać.

Czyżby to był początek poczucia winy? Czyżby to było miejsce, gdzie miała się otworzyć wieloletnia psychiczna rana? Jedno małe przeczucie, które z czasem rozkwitnie w żal, że nie zrobił nic, żeby ocalić rodziców przed...

Nie. Nie. Zaczynała wariować.

– Henry, nie miałeś takiego obowiązku.

Powiedziała to ostrożnie, zbyt ostrożnie. Tak, jak mówi pijak, kiedy chce kogoś przekonać, że nie jest pijany.

– Żałuję tylko, że nie powiedział ci, jakie dokładnie ma plany.

No, pięknie wyszło, pomyślała. W jej słowach słychać było złość, ale też jakąś nonszalancję. Wiesz, jaki jest twój ojciec.

– Bo mnie mówił o Cleveland, ale zostawił telefon w domu i to wszystko komplikuje. Pewnie się domyślasz, komu się to nie spodoba. Więc pamiętaj: dzisiaj wieczorem musisz być superczarujący.

Henry przytaknął, ale teraz już w ogóle nie był w stanie na nią patrzeć. Stał z kciukami wetkniętymi za szeroki pasek od torby i patrzył w stronę Park Avenue. Przez ułamek sekundy Grace podejrzewała, że może wiedzieć o Jonathanie coś, czego ona nie wie, na przykład gdzie jest i jak długo zamierza tam zostać. Ale ból, który towarzyszył tej myśli, tak ją oszołomił, że nie była w stanie się na niej skupić. W końcu nic nie

powiedziała. Ruszyli na południe. Henry też się nie odzywał.

Bała się wieczoru. Dystans jej ojca bywał błogosławieństwem (teraz miał być), ale wścibskość jego żony potrafiła wszystko zepsuć. W praktyce wyglądało to tak, że kiedy Eva wpadła na trop rozbieżności w zeznaniach albo wywęszyła jakąś nieprzyzwoitość, ojciec czuł się w obowiązku domagać się wyjaśnień. Był jak dentysta szukający ubytków w szkliwie. Czemu, na litość boską, spytała kiedyś Eva, Grace wozi Henry'ego do szkoły do West Village, w dodatku metrem, skoro na rogu Siedemdziesiątej i Park Avenue jest doskonała szkoła, najlepsza w mieście! No cóż, po pierwsze, tłumaczyła Grace, jak prawie każde dziecko, które złożyło papiery do Episcopal, Henry nie został przyjęty. Każdy, a w każdym razie każdy, kto choć trochę się orientuje w absurdalnym świecie nowojorskich szkół, skwitowałby to wzruszeniem ramion, ale nie jej macocha. I, jak się okazało, nie jej ojciec. Ale czemu Henry'ego nie przyjęto? – zapytał. Eva, której dwoje dzieci, wychowanych na operze i dogłębnym zrozumieniu własnej wyższości, przeszło jak burza przez Ramaz i Yale prosto za ziemie obiecane, czyli Jeruzalem i na Wall Street, gapiała się tylko na nią z oburzeniem, jakby pierwszy raz w życiu słyszała coś tak nedorzecznego.

Henry był bardzo przywiązany do Evy i dziadka, choć zdawał sobie sprawę z ich ograniczeń. Kolacje

u Reinhardtów były niewątpliwie przyjemne (dobre jedzenie, wyśmienita czekolada, pochwały i zainteresowanie ludzi, którzy wyraźnie go doceniali), ale były też bardzo oficjalne i musiał zachowywać dobre maniery. Siedzenie przy szerokim mahoniowym stole w jadalni Ewy albo na którejś z jej ekskluzywnych kanap wymagało skupienia i wysiłku nawet od Grace, a co dopiero od jej dwunastoletniego syna. Ale teraz wszystkie te niewygody i wynikające z nich rozkojarzenie mogły się okazać zbawienne.

Na drzewach rosnących wzdłuż Park Avenue wisały świąteczne lampki. Rozświecwały teraz już przejrzysty wieczór żółto-niebieskimi błyskami. Grace i Henry szli zaledwie metr jedno od drugiego, ale nadal nie rozmawiali. Jej coś kilka razy przyszło do głowy, ale jak tylko otwierała usta, zdawała sobie sprawę, że powiedzenie tego, co chciała powiedzieć, nic nie zmieni albo że to nieprawda, i w końcu nic nie mówiła. Nie miałyby teraz wielkiego problemu, gdyby musiała kłamać. Nie brzmiało to dobrze, ale jeśli miało jej pomóc podtrzymać fikcję, którą zdążyła dla niego stworzyć, to była gotowa z tym żyć. Niestety nie pamiętała dobrze, na czym ta fikcja polega i gdzie się rozjeżdża z rzeczywistością. A do tego nie bardzo wiedziała, jak wygląda rzeczywistość. W ogóle nic nie wiedziała i to mroczne rozszczepienie, nieustannie zmieniające kształt i rozmiary, było jak nieznośne wycie tuż przy uchu.

Otuliła się szczelniej płaszczem. Wełniany kołnierz drapał ją w kark.

Henry szedł z opuszczonymi ramionami, jakby nie był jeszcze gotowy, żeby być człowiekiem wysokim. Odrywał wzrok od chodnika tylko wtedy, kiedy musiał minąć mężczyznę albo kobietę z psem. Marzył o psie i od lat bezskutecznie prosił rodziców o szczeniaka. Grace nie lubiła psów. Nigdy nie miała żadnego domowego zwierzęcia. Jonathan dorastał z czarnym labradorem o imieniu Kruk (tak naprawdę należał do jego rozpieszczanego młodszego brata) i nie miał najmniejszej ochoty powtarzać tego we własnym domu. Wiele lat temu opowiedział jej, że kiedy chodził do gimnazjum, Kruk przepadł. Tego dnia nikogo nie było w domu i tajemnica jego zniknięcia (otwarta furтка? złodziej?) dla wszystkich była źródłem niesłabnącego żalu. Padły nawet oskarżenia i Jonathan twierdził, że to jego obwiniano. Mieli do niego pretensje o to, że zniknął albo został ukradziony pies, który nawet do niego nie należał. Typowe dla jego dysfunkcyjnej rodziny, myślała Grace. Ale jakże okrutne.

Poza tym Jonathan był uczulony na psi łupież.

Eva miała psa, kiedy ojciec Grace zaczął się z nią spotykać. Właściwie dwa psy, trochę przekarmione jamniki, braci Sachera i Sigiego. Interesowały się głównie sobą nawzajem i trzeba było ich podpuszczać, żeby chociaż zauważyły, że Henry istnieje. Obydwa dawno zdechły. Najpierw zastąpił je szpic miniaturowy

(niezbyt rozgarnięty i z chowu tak wsobnego, że sierść wypadła mu garściami). Padł na jakieś schorzenie typowe dla swojej rasy. A niedawno Karl, kolejny jamnik o tylko trochę mniej parszywym usposobieniu. Odpowiedzialność za wyprowadzanie Karla zdawała się spoczywać na ojcu. Ten widok nigdy nie przestał jej dziwić: jej ojciec z psem na smyczy. Musiał porzucić odwieczny zwyczaj grania co dwa tygodnie w tenisa, kiedy zaczął się pogarszać stan jego kolan i bioder i potrzebował odrobiny wysiłku.

Zauważyła ich obu, mężczyznę i jamnika, kiedy przechodziła na drugą stronę Park Avenue, na wysokości Siedemdziesiątej Trzeciej. Henry pobiegł przywitać się z dziadkiem. Był przy nim – zauważyła to z pewnym niedowierzaniem – tak wysoki, że przez chwilę zastanawiała się, czy jej ojciec się nie skurczył. Kiedy się przytulali, prawie nie musiał się pochyłać. Wyobraziła sobie, jak obaj rosą dalej, każdy w przeciwną stronę, i w końcu jeden znika pod ziemią, a drugi szybuje w chmury. Aż się wzdrygnęła.

– Cześć, Karl – powiedział Henry, kiedy się z nimi zrównała.

Zajął się psem i tak go rozochocił, że jamnik zamachał lekko ogonem. Henry pochwalił go za to trochę zbyt wylewnie. Frederich Reinhardt oddał chłopcu smycz i Henry zaczął prowadzić swojego ulubieńca bardzo sumiennie od drzewa do drzewa.

– Grace – powiedział jej ojciec i na chwilę ją

przytulił. – Mój Boże, jak on urósł.

– Wiem. Czasem kiedy go rano budzę, nie mieści się w łóżku. Jakby go dopadł Prokrust.

– Miejmy nadzieję, że to nie to – odparł jej ojciec. – Jonathan wraca ze szpitala?

Zapomniała zadzwonić do Ewy i powiedzieć, że go nie będzie. Nagle znów poczuła się chora.

– Nie wiem. Możliwe.

Wmówiła sobie, że obydwaj te stwierdzenia mogą być prawdziwe. Jonathan mógł się jeszcze zjawić. Jakimś cudem.

– No dobrze – powiedział. – Zimno dziś, co?

Naprawdę? Ona była rozpalona. Kark swędział ją od wełnianego kołnierza. Widziała idealną linię szarobiałych włosów ojca, dokładnie centymetr nad kołnierzem jego ciężkiego płaszcza. Eva sama go ostrzygła, długimi, ostrymi nożyczkami. Była to jedna z umiejętności, które wyniosła z poprzedniego małżeństwa. Jej świętej pamięci mąż (łączyła ich finansowa wstrzeźliwość – dość dziwna, jeśli wziąć pod uwagę ich wspólną fortunę) opracował strategię niewydawania pieniędzy. Grace niejednokrotnie pozwalała Evie strzyc Henry'ego. Jej macocha jako pierwsza zauważała – i mówiła o tym – że ich długość przekroczyła granice przyzwoitości, i czerpała wielką satysfakcję z tego, że może ostrzyc jedyne wnuka swego męża. Zresztą świetnie sobie radziła z nożyczkami. Chodząc wokół pięknej głowy

Henry'ego, wydawała odgłosy świadczące o ogromnym skupieniu. Jego (również piękne) włosy opadały na kafelkową podłogę łazienki. Jeszcze większą radość sprawiało jej zauważanie wszelkiego bałaganu i sprzątanie.

Dobrze się opiekuje ojcem, pomyślała teraz Grace, patrząc na tę prostą linię włosów. Oboje wchodzili do westybulu. Ta myśl nachodziła ją oczywiście nie pierwszy raz. Gdyby tylko to wystarczyło, żeby pokochała macochę. O tym też myślała nieraz.

– Carlos – powiedział jej ojciec do mężczyzny obsługującego windę i zamknął kratę. – Pamiętasz moją córkę i wnuka?

– Dzień dobry – rzuciła Grace, ułamek sekundy po Henrym.

– Dzień dobry – odparł Carlos, wpatrzony w przyciski.

Była to stara winda. Trzeba było mieć niemałe umiejętności, żeby ją zatrzymać na właściwym piętrze. Wszyscy czworo jechali w milczeniu. Na czwartym piętrze windziarz rozsunął kratę i życzył im miłego wieczoru. Henry odpiął smycz od obroży Karla i psiak popędził w stronę drzwi. Kiedy ojciec Grace je otworzył, momentalnie poczuli zapach gotowanej marchewki.

– Cześć, babciu – powiedział Henry i wszedł za Karlem do kuchni.

Jej ojciec zdjął płaszcz, wziął płaszcz od niej

i powiesił je na haczyku.

– Napijesz się czegoś? – zapytał.

– Nie, dziękuję. Ale ty się nie krępuj.

Jakby potrzebował jej pozwolenia.

Mieszkanie nie zmieniło się ani odrobinę, odkąd była w nim pierwszy raz, rok po ślubie. Zostali wtedy zaproszeni na dosyć straszną kolację, na której miała poznać dzieci Evy i ich partnerów. Rebecca, tylko kilka lat starsza od niej, chwilę wcześniej urodziła drugiego syna (zostawiła go pod opieką niani w jednej z sypialń). Przyjechała na tę okazję z Greenwich. Reuven, już wtedy rozważający emigrację do Izraela, przyjechał z Sześćdziesiątej Siódmej ze swoją irytującą żoną Felice. Tego wieczoru cała trójka „dzieci” miała usłyszeć, że ich rodzice postanowili się pobrać. Data została ustalona – za dwa miesiące. Ojciec Grace zadziwił wszystkich, decydując się na dwumiesięczny urlop, żeby mogli pojechać w podróż poślubną do Włoch, Francji i Niemiec.

Trudno było powiedzieć, które z trojga „dzieci” ta wiadomość ucieszyła najmniej. Grace cieszyła się szczęściem ojca. Wreszcie znalazł sobie towarzyszkę. Widziała, że Evie od początku chodziło głównie o to, żeby zaopiekować się Frederichem Reinhartem i zorganizować mu życie. Od śmierci jej matki sam nie dawał sobie z tym rady i ewidentnie potrzebował pomocy. Ale nie umiała pokochać Evy i bała się, że nigdy jej nie pokocha. Wiedziała też od początku, że nie

polubi jej dzieci.

Była to, rzecz jasna, kolacja szabasowa. Syn i córka Evy z trudem ukrywali, że nie są zadowoleni, że Grace i Jonathan okazują obojętność dla żydowskich obrządków. Chodziło nie tyle o wiarę (czy ona albo Jonathan wierzyli, czy dzieci Evy wierzyły – to było bez znaczenia), ile o to, że nie dość wyraźnie wyrażali swoją żydowskość, dla wszystkich najzupełniej oczywistą. Siadając tamtego wieczoru do stołu, Grace i Jonathan starali się zachowywać dobre maniery. Zamierzali przestrzegać zasad, a w chwilach niepewności naśladować pozostałych biesiadników, ale tamci dwoje natychmiast ich przejrżeli.

– Nie znasz kiduszu? – zapytał Reuven Jonathana z tak jaskrawą pogardą, że atmosfera, już i tak ciężka, zrobiła się beznadziejna.

– Niestety – odparł lekko Jonathan. – Co gorsza, kiedy dorastałem, w naszym domu stała choinka.

– W Boże Narodzenie? – zapytała Rebecca.

Jej mąż, również spec od bankowości inwestycyjnej, wykrzywił z pogardą usta. Grace wszystko to widziała, ale ze strachu postanowiła siedzieć cicho. Ani ona, ani tym bardziej jej ojciec nie zdradzili, że oni też przez całe dzieciństwo świętowali Boże Narodzenie, zajadali się marcepanem i słuchali Haendla. I że to uwielbiali.

– Grace! – zawołała Eva. Właśnie wyszła do przedpokoju. Henry i Karl szli tuż za nią. Ucałowała ją serdecznie w oba policzki. – Henry powiedział, że

Jonathan do nas nie dołączy.

Grace spojrzała na syna. Stał pochylony i głąaskał jamnika, który kompletnie go ignorował. Eva przybrała jeden z mniej surowych wyrazów twarzy. Miała na sobie kaszmirowy bliźniak, również jeden z wielu. Miała ich całą kolekcję, we wszystkich odcieniach beżu – na jasnym krańcu prawie wchodziły w biel, na ciemnym były prawie brązowe. Ale większość była w kolorze abaki. Na taki zdecydowała się tego dnia i był to dobry wybór. Po pierwsze sweter uwydatniał jej imponujące obojczyki, a po drugie bardzo korzystnie pokazywał dekolt: wydawał się nienaturalnie młody, nawet zmysłowy.

– Co takiego? – zapytał jej ojciec.

Właśnie wrócił z salonu ze szklanką whisky.

– Jonathan nie przyjdzie na kolację – odparła rzeczowo jego żona. – Sądziłam, że zadzwonisz, gdyby tak się miało skończyć.

To prawda, pomyślała Grace. Faktycznie tak mówiła. Rzeczywiście to nietakt, że nie zadzwoniła. Ale czy zasłużyła na aż taką reprimendę?

– Wybacz – powiedziała, zdając się na łaskę sądu. – Tak mi przykro. Kompletnie wyleciało mi to z głowy. Poza tym miałam nadzieję, że jeszcze...

– Zadzwoni? – Można by pomyśleć, że jej ojciec jest osobiście dotknięty. – Nie rozumiem. Dlaczego masz nadzieję, że twój mąż się do ciebie odezwie?

Rzuciła obojgu ostrzegawcze spojrzenie, w którym

była ledwie odrobina dezaprobaty. A potem zapytała Henry'ego, czy ma coś zadane.

– Z fizyki – powiedział. Siedział na podłodze i głaskał niewdzięcznego Karla za uszami.

– To idź do pokoju dziadka i odrób, dobrze?

Henry poszedł. Pies został.

Może powinna to wszystko zbagatelizować. Może stanie się cud i jej ojciec i Eva przynajmniej ten jeden raz dadzą jej spokój.

– Nie rozmawiałam z nim. – Zaśmiała się sztucznie. – Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, gdzie jest. Kiepsko to wygląda, co?

Oczywiście nie zamierzali dać jej spokoju.

Spojrzeni po sobie. Eva, z wyrazem twarzy tak lodowatym, że Grace zadrżała, odwróciła się na pięcie i poszła do kuchni. Ojciec został sam ze swoim drinkiem, bliski furii.

– Zastanawiam się, jak ty to robisz – powiedział. – Wiem, że pochłaniają cię problemy pacjentów, ale mogłabyś czasem wziąć pod uwagę uczucia Ewy.

Poszedł sobie i usiadł. Domyśliła się, że powinna zrobić to samo, ale chwilowo była tak skupiona na tym, co powiedział, że nie mogła się ruszyć.

Pochłaniają ją problemy pacjentów. Nie, to nic nowego. Ojciec nigdy nie wierzył w psychoterapię i z pewnością nie uważał tego zawodu za odpowiedni dla niej. Ale co to miało wspólnego z Evą?

– Przepraszam – powiedziała ostrożnie. – Powiem

szczerze: po prostu wypadło mi to z głowy. I ciągle miałam nadzieję, że Jonathan się odezwie i będę mogła go zapytać, jakie ma plany.

– I nie przyszło ci do głowy, że sama mogłabyś się do niego odezwać? – zapytał ojciec, jakby rozmawiał z dzieckiem.

– Oczywiście, ale...

Ale. Ale mój mąż postanowił być niedostępny, więc nie mogę się z nim skontaktować. I jestem tym tak przerażona, tak bardzo się boję tego, co to może znaczyć (bo to oczywiście nic nie znaczy), że trudno mi normalnie funkcjonować, a co dopiero martwić się tym, że twoja żona – która mnie nie lubi, mniejsza o miłość, i której ja nigdy, ale to nigdy nie polubię bardziej, niż muszę, bo jest twoją żoną – mogła postawić na stole nieodpowiednią liczbę talerzy i że może będzie musiała jeden zabrać.

– Ale? – Jej ojciec nie zamierzał stosować taryfy ulgowej.

– Nie mam wymówki. Wiem, jak ważne są dla niej te kolacje.

Było jeszcze gorzej. Mogła powiedzieć: Gdyby to zależało ode mnie, byłibyśmy teraz w Shun Lee i zajadlibyśmy się żeberkami i homarem, zamiast drałować tu jak co tydzień, żeby znosić uprzejmą wrogość Evy, która dawno temu uznała, że nie dorównuję jej dzieciom i nie jestem godna jej słynnych krokietów z soli i ziemniaków, nie wspominając już

o dobrej woli, a już z pewnością kompletnie nie zasługuję na... jak się nazywa to coś, co ta czy inna dojrzała kobieta czuje czasem do jedynej córki swojego ukochanego męża, córki, która nie ma już rodzonyj matki? A, tak! Sympatia! Matczyne ciepło. A przynajmniej jakaś ledwo letnia namiastka matczynego ciepła, okazywana wyłącznie dla zachowania pozorów i przez szacunek dla wspomnianego ukochanego męża.

Na pewno nie.

W końcu spróbowała, jak miała w zwyczaju w podobnych sytuacjach, wyobrazić sobie, że na jej miejscu jest któraś z jej pacjentek. Tęsknię za swoją matką, powiedziałyby Grace pacjentka, zamężna, trzydziesto- albo czterdziestokilkuletnia kobieta z dzieckiem, robiąca umiarkowanie udaną karierę. Oczywiście kocham ojca i kiedy po śmierci mamy znów się ożenił, cieszyłam się jego szczęściem, bo martwiłam się, że nie poradzi sobie sam. I naprawdę chciałam się zaprzyjaźnić z jego żoną, chciałam znów mieć matkę, przyznaję, choć wiedziałam, rzecz jasna, że nie jest moją matką. Ale ona zawsze traktowała mnie tak, jakby mi robiła przysługę. Albo mojemu ojcu. Prawdę mówiąc, pewnie wolałyby, żeby na jej nowej rodzinnej fotografii mnie nie było.

Potem Grace pacjentka zaczęłyby płakać, bo w głębi duszy rozumiałyby, że nie ma już żadnej fotografii, na której mogłyby widnieć. Taka była prawda.

Natomiast Grace terapeutka spojrzalaby na zrozpaczoną kobietę siedzącą na jej kanapie i pewnie powiedziałyby, że to bolesne, że jej ojciec tak wyraźnie odrzuca własne dziecko. Potem obydwie – Grace terapeutka i Grace pacjentka – siedziałyby chwilę w milczeniu i myślały o tym, jakie to rzeczywiście smutne. W końcu obie doszłyby do jedyne go sensownego wniosku – że mianowicie ów ojciec jest dorosłym człowiekiem, który podjął świadomą decyzję. Że może kiedyś zmieni zdanie, ale na pewno nie na prośbę córki.

A co do żony...

Ona nie jest moją matką, pomyślała. Moja matka nie żyje i tyle. A teraz śmiertelnie ją obraziłam, bo nie uprzedziłam jej, że mój mąż nie przyjdzie na kolację. Powinnam była powiedzieć: Zgadnij, kto nie przyjdzie na obiad. Mimo woli uśmiechnęła się do tej myśli.

– Nie wiem, co w tym śmiesznego – powiedział jej ojciec.

Spojrzała na niego.

– Nic.

Nie, pomyślała, nie wybieramy sobie rodzin i musimy – naprawdę musimy – opiekować się tymi, które mamy, bo innych nie znajdziemy. Czy nie to właśnie tam robiła, co najmniej kilka razy w miesiącu, od lat, odkąd jej ojciec zabrał Evę Scheinborn do teatru, a potem do restauracji Ginger Man? A mimo to przez te wszystkie lata ani razu nie dostała od Evy ani odrobiny ciepła. Eva

nie interesowała się ani nią, ani Jonathanem.

A jednak wciąż tu przychodzę, pomyślała, sumiennie, pełna nadziei.

Głupia jestem.

Nagle – ojciec wciąż się na nią gapił, a Eva prawdopodobnie zanosila ciężki talerz, ogromną serwetkę i sztucce, i jeszcze niemożliwie masywny kieliszek z powrotem do kuchni – zdała sobie sprawę, że mogłaby po prostu wyjść i niczym się nie przejmować.

Albo, gdyby chciała wyrazić to olewczym językiem każdego współczesnego celebryty, prawdziwego czy urojonego: tak, totalnie z tym skończyłam.

Ale tego nie powiedziała. Odpowiedziała za to:

Tatusiu, coś jest nie tak. Bardzo się boję.

Nie, zaraz. Chyba tylko chciała to powiedzieć. Albo już miała powiedzieć, kiedy nagle przejmujący dzwonek telefonu zapowiedział mikroskopijną szansę ocalenia. Zapominając o wszystkim – o ojcu, o własnej godności – zerwała torebkę z ramienia, schyliła się nad nią i zaczęła gorączkowo rozgrzebywać jej zawartość: notesy, portfel, długopisy, iPoda, którego nie użyła od wielu miesięcy, klucze, zgodę na udział Henry'ego w szkolnej wycieczce na Ellis Island, którą wciąż zapomniała oddać, i wizytówkę sprzedawcy skrzypiec, którego jej polecił Witalij Rosenbaum, kiedy stwierdził, że Henry wyrósł ze swoich trzech czwartych. Wszystko po to, żeby się chwycić wątlej nadziei. Musiała wyglądać jak zwierzę ryjące w poszukiwaniu pożywienia albo jak

superbohater, który ma tylko kilka sekund na rozbrojenie bomby. Ale pewnie nie umiałaby się powstrzymać, nawet gdyby chciała. Nie rozłączaj się, krzyczała w duchu do dzwoniącego telefonu. Jonathan, nie rozłączaj się!

W końcu zacisnęła palce na telefonie, wydobyła go jak perłę z głębin i z niedowierzaniem spojrzała na wyświetlacz, bo nie mrugał na nim stetoskop, który tak nedorzecznie spodziewała się zobaczyć (niby jakim cudem? Jonathan musiałby wrócić do domu i znaleźć telefon w szafce przy łóżku), ani żaden przypadkowy numer z Ohio („Debil ze mnie. Wyobraź sobie, że posiałem gdzieś komórkę!”), ale ciąg liter: NYPD MENDOZA. Ze wszystkich irytujących i niestosownych słów, jakie mogły się na nim pojawić, to było z pewnością najbardziej irytujące i niestosowne.

Nagle pomyślała, że Jonathan nie żyje. Że znaleźli jego zwłoki i dzwonią, żeby jej przekazać potworną wiadomość. Cóż to jednak za zbieg okoliczności, że spośród wszystkich policjantów z Nowego Jorku robi to właśnie ten oficer. Może to jej osobisty oficer policji, może go wzywają, ilekroć jej się zdarzy lunatykować albo porozmawiać o niczym z ofiarą morderstwa, albo kiedy jej mężowi przytrafił się straszny wypadek. Ilu takich policjantów jest przypisanych nowojorczykom? I jakie to dziwne, że ona potrzebowała usług swojego aż dwa razy w ciągu kilku dni.

No cóż, po prostu odbiorę, pomyślała. To powinno

pomóc.

Ale jej ojciec wciąż na nią patrzył, nie ruszał się.
Zapytał:

– To Jonathan?

Podniosła telefon, jakby mógł jeszcze zmienić zdanie i naprawdę połączyć ją z mężem. Nie połączył.

– Tato – powiedziała. – Nie wiem, czy wyraziłam się jasno, ale nie wiem, gdzie jest Jonathan. Myślałam, że pojechał na konferencję, gdzieś na Środkowy Zachód, ale teraz już nie mam pewności.

– Próbowaaś do niego dzwonić? – zapytał, jakby była głupia.

Telefon przestał dzwonić. Jakie to było łatwe, pomyślała. Życzenie się spełniło.

– Oczywiście, że próbowałam.

– A szpital? Oni na pewno mogą się z nim skontaktować.

No, a co tam u Jonathana?

Wzdrygnęła się.

Telefon w jej dłoni zrobił to samo. Znowu dzwonił. NYPDMENDOZA naprawdę chciał z nią rozmawiać.

I w tym momencie, w miejscu ukrytym w jej duszy tak głęboko, że nie wiedziała nawet o jego istnieniu, coś ciężkiego i metalicznego postanowiło lekko pęknąć, uwolnić rdzawy pył i nową potworną myśl: że wszystko, co w niej wzbiera, za chwilę wykipi.

– Muszę odebrać – powiedziała.

Ojciec wyszedł z pokoju.

I wtedy zrobiła coś dziwnego. Zmusiła się do ruchu, podeszła z rozmysłem do jednej z długich, niewygodnych kanap Ewy i położyła rozgrzebaną torbę na paraliżująco drogim perskim dywanie. Potem, nad wyraz rzeczowo, z taką powagą i zdyscyplinowaniem, że na początku nie rozpoznała swojego głosu, w sposób oczywisty okłamywała samą siebie: powiedziała, że wszystko się jakoś ułoży.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Raz, raz

Tym razem nie zamierzali rozmawiać w holu (choć z niego dzwonili, więc stali tam, gdy zjechała na dół), chociaż w westybulu w domu Evy, znacznie większym niż w jej kamienicy, stały jeszcze wspanialsze meble. Nie.

Tym razem poprosili o rozmowę w czymś, co nazwali biurem. Tak miało być dyskretniej.

– A po nam dyskrecja? – zapytała. Nie odpowiedzieli od razu, więc dodała: – Nie rozumiem. Jestem aresztowana?

Mendoza, który już zaczął wyprowadzać ich małą grupę na ulicę, zatrzymał się. Kiedy się odwracał w jej stronę, zauważyła – nie bez złośliwej satysfakcji – że tłuszcz wypływa mu zza kołnierza.

– Dlaczego miałbym panią aresztować?

Nagle poczuła się wyczerpana. Jakaś jej część już się im poddała. Pozwoliła im otworzyć drzwi sedana i usiadła z tyłu obok O'Rourke'a. Tego z zarostem pod brodą. Jak u przestępcy.

– Nie rozumiem – powtórzyła, ale bez przekonania.

Żaden nie zareagował, więc ciągnęła:

– Mówiłam wam, że ledwo znałam Malagę Alves.

Mendoza prowadził. Odparł tonem, w którym nie było chłodu:

– Porozmawiamy na miejscu.

A potem włączył radio. W tych okolicznościach to właśnie wydało jej się najdziwniejsze. Muzyka klasyczna. Do końca już nikt się nie odezwał.

Miejscem okazał się dwudziesty trzeci komisariat przy Sto Drugiej. Tylko trzy kilometry od okolicy, w której dorastała i w której teraz wychowywała własne dziecko. Podczas spacerów chętnie pokonywała większe odległości, albo na bieżni, kiedy już jej się udało dotrzeć na siłownię na rogu Osiemdziesiątej i Trzeciej, ale na Sto Drugiej była po raz pierwszy w życiu. Jechali Park Avenue. Minęli szpital Lenox Hill, w którym oboje z Jonathanem się urodzili, i kościół Brick Church, w którym wzięły ślub jej dwie koleżanki z Reardena. W końcu przejechali obok apartamentowca przy Dziewięćdziesiątej Szóstej. Tam dzieciństwo spędziła jej przyjaciółka Vita. Stał przy samej granicy tego, co jej, Grace, rodzice uważali za „jeszcze godne miana Manhattanu”. Patrzyła, jak każdy z tych kamieni milowych zostaje za nią.

Miasto jej młodości zatrzymało się z piskiem na rogu Dziewięćdziesiątej Szóstej i Park Avenue (która dokładnie w tym miejscu skręcała po długim wzniesieniu, żeby zaraz potem opaść w stronę Hiszpańskiego Harlemu, gdzie metro wyłaniało się

z podziemnych tuneli). Ustanowiony przez jej matkę – również rodowitą nowojorkczankę – zakaz przekraczania Dziewięćdziesiątej Szóstej był tak surowy, że równie dobrze mogłyby tam stać znaki z napisem: Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzić. Grace i Vita nigdy go nie złamały, choć od czasu do czasu lubiły się trochę zbuntować i pokonać pieszo całą długość granicznej ulicy, od Piątej Alei – stojące przy niej kamienice wciąż mogły uchodzić za eleganckie – aż do East River, gdzie czyhały niebezpieczeństwa graniczące z tym, co sobie wyobrażała Marjorie Reinhart.

Oczywiście kiedy dorosła, odwiedzała Harlem wielokrotnie. Dziś już nie była to tak niebezpieczna przygoda. Przede wszystkim, tam studiowała (choć akurat Columbia i jej okolice nie były objęte matczynym zakazem) i odbyła staż w przytułku dla kobiet przy Sto Dwudziestej Ósmej. No i ta okropna sztuka teatralna przy Sto Pięćdziesiątej Dziewiątej. Matka kolegi Henry'ego grała w niej rolę tak eksperymentalną, że postać nazywała się po prostu Kobieta. Była na spektaklu z Henrym i Jonahem, kiedy się jeszcze przyjaźnili. A Jonathan uwielbiał restaurację Sylvia's. Ona tego uwielbienia nie podzielała, ale co jakiś czas udawało mu się zaciągnąć tam ją i Henry'ego na duszoną wieprzowinę z makaronem. Kilkoro ich znajomych zdecydowało się zamieszkać w tej dawniej niemal zakazanej okolicy. Za cenę powojennej klitki na

Upper East Side można tam było kupić trzy piętra przedwojennej chwały z ogródkiem, jedne dziesięć minut trochę tylko ryzykownego spaceru od stacji metra. Dzisiaj mieli tam biura najbardziej ekskluzywni deweloperzy. Gdzieś to wyczytała.

Mimo to poczuła się nieswojo, gdy samochód zaczął zjeżdżać w dół.

Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie.

Dwudziesty trzeci komisariat okazał się budynkiem przypominającym kostkę Rubika po implozji. Jego kolor był kwintesencją beżu. Wprowadzili ją do środka i szybko pokierowali bocznym korytarzem, do małej salki. Detektyw O'Rourke powiedział coś, co sprawiło, że zrobiło się jeszcze bardziej surrealistycznie: zaproponował jej cappuccino. Prawie się uśmiechnęła.

– Nie, dziękuję – powiedziała.

Wolałabym shota whisky, prawie zaproponowała, choć prawda była taka, że na to też nie miała ochoty.

O'Rourke poszedł po kawę dla siebie. Mendoza zapytał, czy chce skorzystać z toalety. Podziękowała. Zawsze są tacy mili? I właśnie w tej chwili zauważyła, że patrzy na zegarek – już mu się znudziło? – i zapisuje godzinę.

– Powinnam mieć przy sobie prawnika? – zapytała.

Spojrzeli po sobie.

– Nie sądzę – odparł O'Rourke.

Teraz obaj coś pisali. Jeden kreślił długie linie w żółtym notesie, drugi wypełniał jakiś formularz.

Przez chwilę wpatrywała się w parę unoszącą się nad ich kubków.

– Pani Sachs – powiedział nagle Mendoza. – Wygodnie pani?

Czy on zwariował? Nie, nie było jej wygodnie. Spojrzała na niego, zmęczona, z dezaprobatą, i odparła:

– Tak. Ale nie bardzo wiem, co się dzieje.

– Rozumiem – powiedział, kiwając głową.

O ile się nie myliła, owo kiwnięcie – wraz z towarzyszącym mu niezobowiązującym wyrazem twarzy – i ton głosu, łagodny i niemal śpiewny, wszystko to było wzięte żywcem z elementarza dla wszelkiej maści terapeutów. Doprowadził ją do szału. I jeszcze pogorszył sytuację, kiedy dodał:

– Musi to być dla pani bardzo trudne.

– Nawet nie wiem, co ma być trudne – powiedziała i spojrzała najpierw na niego, potem na tego drugiego. –

Czym jest to coś? Mówiłam wam: nie znałam Malagi Alves. Nie wzbudzała we mnie żadnych uczuć. Bardzo mi przykro, że ją...

Co? – pomyślała gorączkowo. Jak się kończy zdanie zaczęte tak idiotycznie?

– Że ją skrzywdzono. To naprawdę straszne. Ale co ja tu robię?

Obaj detektywi znów na siebie spojrzeli i Grace dostrzegła cichy dialog ludzi, którzy doskonale się znają. Właśnie się co do czegoś nie zgadzali. W końcu jeden postawił na swoim.

O'Rourke. Pochylił się do przodu, oparł łokcie na biurku i powiedział:

– Pani Sachs, gdzie jest pani mąż?

Straciła oddech. Zaczęła energicznie kręcić głową. Byli jak stworzenia nie z tej ziemi. Bez sensu.

– Nie rozumiem. Myślałam, że chodzi o Malagę Alves.

– Bo chodzi – powiedział Mendoza. – Jak najbardziej. Więc zapytam jeszcze raz: gdzie jest pani mąż, pani Sachs?

– Nie sądzę, żeby mój mąż znał panią Alves.

– Gdzie jest? W państwa mieszkaniu przy Osiemdziesiątej Pierwszej?

– Co? – Gapiła się na nich wielkimi oczami. – Nie. Oczywiście, że nie!

– Dlaczego oczywiście? – powiedział O'Rourke, szczerze, jak się wydawało, zaciekawiony.

– No bo...

Bo gdyby był w domu, przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny nie paraliżowałby jej strach. Wiedziałyby, gdzie jest. Mogłaby nie rozumieć, ale przynajmniej by wiedziała. Ale tego nie mogła im powiedzieć. To – cokolwiek się działo z Jonathanem czy z nimi jako parą – nie była ich sprawa. Więc powiedziała tylko:

– Bo niby czemu miałyby być w domu? Mówiłam wam, że pojechał na konferencję. Zresztą gdyby był tutaj, w mieście, to z pewnością w pracy, nie w domu.

Ale nie ma go w Nowym Jorku.

Obydwaj zmarszczyli brwi. O'Rourke zasznurował usta i lekko pochylił głowę. Skóra na jego łysej głowie złapała światło jarzeniówki.

– A praca jest gdzie?

Powiedział to w charakterystyczny sposób, ostrożnie, jakby się bał, że zepsuje puentę. Okrutnie, ale zarazem z litością. Tonem tak radioaktywnym, że Grace aż się wzdrygnęła. Obaj na nią patrzyli i czekali. Żaden nie zdjął marynarki, choć – zauważyła to teraz – w pokoju było bardzo ciepło. Specjalnie to tak urządzili. Czy władze miasta celowo przegrzewają publiczne budynki? Było niewątpliwie gorąco. Ona od razu zdjęła płaszcz. Trzymała go na kolanach. Ścisła mocno, jakby się bała, że jej ucieknie. Już w drzwiach zrobiło jej się ciepło. Inaczej by się nie rozebrała, bo zdjęcie płaszcza oznacza, że się ma zamiar zostać dłużej, a ona nie zamierzała siedzieć tam ani sekundy dłużej, niż należało, żeby spełnić ich prośbę. Czy im nie było gorąco? O'Rourke, ten łysy, wyglądał, jakby mu było gorąco. Kropelki potu prześwitywały spod jego brwi, lśniły na czole i tam, gdzie kończyłyby się włosy, gdyby je miał. Ten drugi też sprawiał wrażenie, jakby mu coś nie pasowało. Ale może to te marynarki nadawały im taki wygląd. Źle uszyte, pęczniejące pod pachami.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, nawiedziła ją wizja: wisiała nad przepaścią, na linach. Wielu linach – było ich dostatecznie dużo, żeby się czuła bezpieczna. Zawsze

miała w życiu takie liny, wiedziała to. Stabilizacja, zdrowie, pieniądze, wykształcenie. Była na tyle mądra, żeby to doceniać. Ale teraz te liny pękały. Rwały się jedna po drugiej. Słyszała, jak cicho trzaskają. Wciąż była bezpieczna, wciąż trzymało ją dużo lin. Zresztą nie była wcale taka ciężka. Nie potrzebowała wielkiego wsparcia.

– Memorial Sloan-Kettering – powiedziała.

Wymawiając nazwę szpitala, starała się zachować tyle powagi, ile tylko mogła, pamiętać o jego renomie. O tej instytucji zazwyczaj wystarczało tylko wspomnieć, żeby wzbudzić respekt. Choć tym razem, kiedy to mówiła, jakaś część niej zastanawiała się: czy to ostatni raz?

– Jest tam lekarzem.

– Na jakim oddziale?

– Onkologii dziecięcej. Nowotwory – powiedziała na wypadek, gdyby byli idiotami. – Nowotwory u dzieci.

Mendoza usiadł wygodniej. Pozwolił, żeby jej solenne słowa wybrzmiały. Wydawał się ją badać, szukać jakiegoś zakodowanego przekazu. Wreszcie chyba podjął decyzję.

Na biurku leżało pudełko. Pudełko na dokumenty, nic nadzwyczajnego. Było tam już, gdy wszyscy troje weszli i usiedli. Może dlatego nie zwracała na nie uwagi. Ale teraz Mendoza po nie sięgnął i przysunął do siebie. Zdjął pokrywkę i rzucił ją na wolne krzesło obok siebie, i wyjął folder. Niezbyt gruby. To chyba dobrze. Przynajmniej w medycynie – im grubszy folder, tym

gorsze wieści. Kiedy go otworzył, Grace ze zdziwieniem zobaczyła logo szpitala, które tak dobrze знаła: zdekonstruowany kaduceusz, w którym laska Eskulapa była skierowaną w górę strzałką, a węże zamieniono na postmodernistyczne krzyże. Patrzyła na ten prosty symbol kompletnie otepiała.

– Pani Sachs – powiedział O'Rourke. – Możliwe, że pani nie wie, że pani mąż już nie pracuje w Memorialu.

Trzask.

Przez chwilę nie była pewna, co ją zszokowało bardziej: to, co powiedział o Jonathanie, czy to, że skrócił nazwę szpitala.

– Nie – odparła. – Niemożliwe. To znaczy... nie wiem tego.

Mendoza podniósł kartkę i zaczął się w nią wpatrywać. Grace widziała prześwitujące przez papier logo.

– Według doktora Robertsona Sharpa...

Trzeciego, dodała automatycznie. The Turd.

– Umowa z doktorem Jonathanem Sachsem została rozwiązana pierwszego marca tego roku.

Trzask. Trzask.

Spojrzał na nią znad kartki.

– Nie wiedziała pani?

Nic nie mów, odpowiadał jej jakiś rozgorączkowany głos. Nie dawaj im nic, co by cię mogło pogrzyżyć. Więc tylko pokręciła głową.

– Czy mamy to rozumieć jako: nie, nie wiedziałam?

Dla potomnych, pomyślała. Do akt sprawy.

– Nie wiedziałam – udało jej się wydusić.

– Czy wie pani, że rozwiązanie umowy nastąpiło po dwóch postępowaniach dyscyplinarnych?

Znów pokręciła głową, a po chwili przypomniała sobie, że musi się odezwać.

– Nie.

– Ani że było wynikiem trzeciego przypadku złamania regulaminu szpitala i że, jak powiedział ich prawnik, klinika musiała ostatecznie zakończyć współpracę z pani mężem?

Nie. Trzask, trzask.

No, a co tam u Jonathana?

– Chciałabym to przerwać – powiedziała. – Możemy przerwać?

– Nie. Niestety nie możemy.

– Ale nadal twierdzicie, że nie potrzebuję adwokata?

– Pani Sachs – odparł ze złością O'Rourke. – Po co pani adwokat? Ukrywa pani męża? Bo jeśli tak, to owszem, przyda się pani bardzo dobry adwokat.

– Ale... Nie, nie ukrywam!

Czuła ciepło na twarzy, w gardle. Mimo że nie płakała. I nie zamierzała płakać.

– Myślałam, że jest na konferencji medycznej. Mówił, że jedzie na konferencję. – Nawet ona czuła, że brzmi to żałośnie. Grace terapeutka chciała na nią nakrzyczeć. – Na Środkowym Zachodzie.

– To duży region. Gdzie dokładnie? – zapytał

Mendoza.

– Chyba w Ohio.

– Ohio.

– Albo Illinois.

O'Rourke parsknął.

– Albo w Indianie. Albo w Iowa. Takie podobne te nazwy, co?

Dla mieszkańca Nowego Jorku – owszem. Przypomniała jej się słynna mapa świata Saula Steinberga. Za rzeką Hudson było tylko wielkie tam.

– Nie pamiętam, co powiedział. Coś o konferencji. O onkologii dziecięcej. Jest...

Zadrżała. Bo najwyraźniej już nie był. Chryste, Jonathan.

– I nie ma go teraz w państwa mieszkaniu.

– Nie! – krzyknęła na nich obu. – Już mówiłam. Nie ma go tam.

– Ale jego telefon chyba tak. Według operatora.

– No tak. Telefon jest.

O'Rourke się pochylił. Grace odniosła wrażenie, że jego broda urosła w ciągu ostatniej godziny. Musi się golić dwa razy dziennie, pomyślała tępo. Jonathan golił się rano, choć czasem to pomijał, kiedy się śpieszył do pracy.

– Telefon pani męża jest w waszym mieszkaniu, ale mąż nie.

Przytaknęła, bo przynajmniej to było bez znaczenia. A przynajmniej powinno być.

– Zgadza się.

– Szczegół, o którym mogła pani wspomnieć – powiedział O'Rourke, jakby chciał ją skarcić.

Wzruszyła tylko ramionami. Zobaczyła go zdenerwowanego i prawie sprawiło jej to przyjemność.

– Nie pytaliście, gdzie jest jego telefon. Pytaliście o Jonathana. Zapomniał komórki, zostawił ją w domu. Nie pierwszy raz mu się to zdarzyło. I co z tego? Wczoraj go znalazłam i dlatego nie wiem, gdzie jest mój mąż. Bo zapomniał telefonu i nie mogę do niego zadzwonić.

Piękna przemowa, pomyślała na koniec. Grace terapeutka zapytała w duchu: I to ma jakiś sens?

– I to się według pani trzyma kupy? – powiedział Mendoza.

Prawie się roześmiała. Nie, oczywiście, że się nie trzyma. W ogóle mało co ma ostatnio sens.

– Posłuchajcie. To... – Cokolwiek t o było. – To, co mówicie o Jonathanie... nie twierdzą, że zmyślacie. Okropne, wiadomo. I ewidentnie mam sporo do przemyślenia, ale wciąż nie rozumiem, jaka w tym wasza rola. Jeśli to prawda, że stracił pracę i mi o tym nie powiedział, to oczywiście... – Przerwała i wzięła głęboki wdech. Nawet tyle trudno jej było powiedzieć. –

Będę miała z nim o czym rozmawiać. Nie będzie to przyjemne, ale to nasze prywatne sprawy. Więc czemu gadamy o tym na komisariacie?

Tym razem to O'Rourke sięgnął po teczkę. Przejrzał

kilka stron i zamknął. Westchnął i zaczął stukać palcami w okładkę.

– Wie pani, co mnie zastanawia? – odezwał się wreszcie. – Dlaczego nie zapytała nas pani, dlaczego wyrzucono go z pracy. Nie chciałaby pani wiedzieć?

Rozważyła to, co powiedział. Odpowiedź brzmiała: Nie, nie chciałabym. Naprawdę nie chciała wiedzieć. Oczywiście w końcu będzie musiała się dowiedzieć. Wiedziała, że jej mąż i jego szef nigdy za sobą nie przepadali. Nie nadaje się przezwiska Turd komuś, z kim się człowiekowi dobrze współpracuje. Z tego co opowiadał jej Jonathan, Robertson Sharp uosabiał najgorsze aspekty starej szkoły opieki medycznej. Obchodziły go wyłącznie wyniki badań, unikał wszelkich kontaktów z pacjentami i ich rodzinami. A kiedy funkcjonować zaczęły najróżniejsze formy wsparcia, jeszcze bardziej się oddalił od głównego nurtu. Rzecznicy praw pacjenta, konsultanci rodzinni i terapeuci mogli się babrać w tych wszystkich cikliwych bzdurach, ale on, doktor Sharp, zamierzał badać, oceniać, zlecać badania i przepisywać leki. Tak ich uczono na akademiach medycznych w latach sześćdziesiątych. Trudno go było o to obwiniać. Co do jego osobowości – cóż, niektórym zwyczajnie nie zależy na sympatii innych.

– Pani Sachs?

Wzruszyła ramionami.

– Wczoraj dostaliśmy dokumenty z Memoriala.

Wyprostowała się.

– Dostaliście? Jego akta?

– Tak. Mieliśmy nakaz sądowy.

– Dane dotyczące zatrudnienia? – spytała z niedowierzaniem.

– Tak. Poufne dane dotyczące zatrudnienia. Sąd wydał nakaz wczoraj rano. Mam je tutaj. Naprawdę nie miała pani o tym wszystkim pojęcia?

Pokręciła głową. Starła się, naprawdę ze wszystkich sił starała się oddychać.

– No dobrze. Od 2007 do 2012 roku wielokrotne upomnienia za nękanie współpracowników. Dwa upomnienia za przyjmowanie gotówki od rodzin pacjentów. Dwa za niestosowne kontakty z członkami rodzin pacjentów.

– Chwila – powiedziała. – Teraz już... to jakieś bzdury.

– W styczniu tego roku – ciągnął O'Rourke – formalne ostrzeżenie po fizycznej konfrontacji z innym lekarzem. Skończyło się obrażeniami. Poszkodowany nie wniósł oskarżenia.

– No tak. – Teraz już się zaśmiała. Jonathan i fizyczne obrażenia. Czy oni w ogóle widzieli Jonathana? To musiała być jakaś komedia. – Oczywiście. Obrażenia.

– Dwa złamane palce i rana wymagająca założenia dwóch szwów. U tego drugiego lekarza.

Trzask, trzask, trzask. Złapała się krawędzi biurka. O nie, pomyślała. Ktoś napisał horror na podstawie

mojego życia. Jak ci ludzie, którzy zbierają czyjeś wspomnienia i robią z nich piosenkę z okazji złotych godów. Tylko zupełnie inaczej. Na przykład ten dreszczowiec musiałby jakoś wyjaśnić, jak to było z tym zębem, który Jonathan złamał, spadając ze schodów.

– Nie tak złamał sobie ząb – powiedziała.

– Słucham? – zapytał Mendoza.

– Nie tak go złamał. Spadł ze schodów. Potknął się.

Powinni się cieszyć, że nie pozwał szpitala.

– Tego drugiego lekarza przyjęto na ostry dyżur. W Memorialu. Było kilku świadków tamtego zdarzenia. Ofiara złożyła wyjaśnienia przed komisją dyscyplinarną.

Zdarzenie. Ofiara. Komisja dyscyplinarna. Dużo tego. Zupełnie jakby mówili o czymś, co rzeczywiście miało miejsce. Tyle że to wszystko było zupełnie niedorzeczne.

– Przewrócił się na schodach. Musiał sobie wstawić sztuczny ząb. Nie dało się go uratować!

Współczujcie mi, pomyślała.

– Do dzisiaj ma inny kolor, jeśli się przyjrzeć.

– I wreszcie, w lutym tego roku, dochodzenie dyscyplinarne w sprawie niestosownych kontaktów z członkiem rodziny innego pacjenta.

– Posłuchajcie mnie! – Ledwo kojarzyła piskliwy głos, który słyszała, ze sobą. – Mówimy o nowotworach! O dzieciach chorych na raka! Jonathan jest ciepłym człowiekiem, a nie jakimś dupkiem, który

beznamiętnie oznajmia rodzicom, że ich dziecko umrze. On się liczy z ludzkimi uczuciami. Może są lekarze, którzy robią wszystko zgodnie z regulaminem i po prostu przekazują rodzinie najgorszą możliwą wiadomość, a potem wychodzą z sali, ale Jonathan taki nie jest. Okej, może kogoś przytulił albo dotknął, ale to nie znaczy... – Przerwała, żeby wziąć wdech. – Jak można oskarżać kogoś o coś takiego.

Mendoza kręcił głową. Tłuszcz na jego szyi zbierał się to po jednej stronie, to po drugiej. Nienawidziła jego szyi i nienawidziła jego.

– Pacjent nazywał się...

– To są sprawy osobiste! – krzyknęła na nich. – Nie mówcie mi, jak się nazywał jego pacjent. To nie moja sprawa.

Poza tym nie chcę wiedzieć, pomyślała, bo przecież wiedziała, już wiedziała. To było zbyt straszne. I została jej już tylko ta jedna lina, to jedno cieniutkie włókno jedwabiu trzymało ją jeszcze nad przepaścią. A tam, na dole, tak nisko, że nawet nie widziała dna, czekało coś, czego nigdy nie widziała, nawet w najczarniejszym okresie swojego życia, kiedy umarła matka i kiedy upragnione dzieci nie chciały się urodzić albo rodziły się, ale odchodziły przedwcześnie. Nawet tamto było do wytrzymania, ale to nie.

– Pacjent pani męża nazywał się Miguel Alves. Zdiagnozowano u niego ner... – Przysunął kartkę bliżej, zmrużył oczy, a potem spojrział na swojego partnera.

– Nerczaka złośliwego – powiedział jego partner, niemal znudzonym tonem.

– Nerczak złośliwy, wrzesień 2012 roku. Matka Miguela... to oczywiście Malaga Alves.

Oczywiście. Wszystko, co wzbiera, musi wykipieć.

– Więc wybaczy mi pani to pytanie, pani Sachs, bo poważnie się wkurzę, jeśli znowu usłyszę, że się myślę, że pani mąż jest na pieprzonej konferencji na temat pieprzonego raka u dzieci, że zapomniał telefonu. Nie wiem, co pani zamierza. Ale raz już powiedziałem: proszę go nie chronić. To by nie była – jak to się nazywa w waszym zawodzie? – zdrowa decyzja. Nie wiem, jak dobra pani jest w swoim fachu, ale ja w swoim jestem bardzo dobry i bez względu na to, gdzie jest pani mąż, znajdę go. Więc jeśli pani coś wie, to teraz powinna pani nam o tym powiedzieć.

Nic nie powiedziała, bo usta miała pełne wiatru, bo nic już jej nie trzymało i właśnie zaczęła spadać, i wiedziała, że już nigdy nie przestanie.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Przerwy między domami

Prawdopodobnie czekało ją więcej. Musiało być tego więcej. Siedziała tam jeszcze dwie godziny. Albo trzy. Albo... No, w każdym razie było już późno, kiedy wyszła na ulice wschodniego Harlemu o godzinie, która w normalnych okolicznościach budziłaby co najmniej obawę, ale tego dnia nie miała najmniejszego znaczenia. Czuła tylko otępiający grudniowy ziąb i marzyła o hipotermii. Podobno nie najgorsza śmierć. Wiedziała od Jonathana. Był znawcą zimnych, podbiegunowych okolic. Kiedy się poznali, czytał książkę o rzece Klondike. Od tamtej pory przeczytał o tym wiele innych. Na ścianie jego pokoju w akademiku, w którym była jeszcze tej samej nocy, wisiała pocztówka przedstawiająca ów legendarny kadr: długi sznur poszukiwaczy złota wspinających się po Złotych Schodach przełęczą Chilkoot, w jednym rzędzie, schylonych, żeby wytropić swoje przyszłe fortuny, wkraczających prosto w burzę i mroźny chłód. Opowieść Jacka Londona, którą jej mąż uwielbiał, o człowieku i jego psie, i o nieuchwytnym ogniu w arktyczną noc, też się skończyła hipotermią. Gdyby

teraz się zatrzymała, tu, na chodniku, może spotkałoby ją to samo.

Nikt nie zaproponował, że ją odwiezie do domu. Zresztą pewnie by odmówiła. Nie mogła się doczekać, aż się od nich uwolni i opuści ponury, okropny komisariat z poczekalnią pełną nieszczęśliwych ludzi, wyczerpanych kobiet i mężczyzn, czasem całych rodzin, jak w szpitalnej izbie przyjęć. (Zastanawiała się, co tam robią, i czym prędzej obok nich przeszła. Szła do wyjścia, jakby uciekała z płonącego budynku. Co oficerowie z dwudziestego trzeciego komisariatu mieli tym ludziom do zaoferowania o tej porze?). Ledwo na nią spojrzeli, kiedy biegła do wyjścia, a mimo to nie mogła się pozbyć nieprzyjemnego, przemożnego uczucia, że widzieli w niej – na niej – coś, z czego ona nie zdawała sobie sprawy. Pomyślała o tym i zrobiło jej się niedobrze. Kiedy znalazła się na ulicy, ruszyła biegiem na zachód, Sto Drugą, w stronę Lexington Avenue. Nie zatrzymywała się. Nic nie było otwarte, poza jednym sklepikiem na rogu, z pieluchami i meksykańskimi napojami za szybą, i drzwiami obwieszonymi reklamami loterii. W połowie drogi między przecznicami straciła oddech, ale tylko dlatego, że płakała.

Kiedy dobiegła do skrzyżowania z Park Avenue, zrozumiała, że w jej życiu już nic nie będzie zwyczajne. Tutaj Park Avenue nie oznaczała tego samego co sześć przecznic dalej. Nadziemne tory metra ciągnęły się

w bezkresną dal i nigdzie nie było widać wejścia na stację. Po Park Avenue nie kursowały autobusy. (Z jakiej racji – pomyślała po raz pierwszy w życiu, chociaż wiele razy mieszkała przy tej ulicy – Park Avenue jest jedyną ulicą, po której nie kursują autobusy?) W końcu skręciła na południe. Szła dalej wzdłuż torów. Zimny wiatr smagał ją po policzkach, a czarna zagłada deptała jej po piętach.

Wiedziała, że Henry jest jeszcze u ojca i Ewy. Z pewnością nie zawieźli go do domu, a ona nie miała pieniędzy, żeby zorganizować mu inny transport. Kiedy zadzwonili, powiedziała tylko, że jej pacjentka miała kryzys, więc musiała pojechać do niej do szpitala. To kłamstwo przyszło jej z taką łatwością, było tak dobrze uformowane i wypowiedziała je tak naturalnie, że sama się zdziwiła. Cóż za talent do konfabulacji. Przechodziła przez Dziewięćdziesiątą Dziewiątą, już prawie widziała róg Park Avenue i Dziewięćdziesiątej Szóstej, z obaldachimowanymi kamienicami, i zastanawiała się: od jak dawna tak dobrze kłamię?

Kiedy w końcu zobaczył Jonathana, pomyślała z furją, poproszę, żeby mi wytłumaczył, kiedy zaszła w nas ta zmiana, jakim cudem oboje nabraliśmy takiej wprawy w błyskawicznym produkowaniu fałszu. Sama nieraz podziwiała tę umiejętność u pacjentek. Przyglądała się z tajonym zachwytem, jak płynnym ruchem brały niezaprzeczalny fakt, od ręki go zmieniały i oddawały w całkiem zmienionym kształcie. Właśnie tak kłótnia

z kolegą staje się upadkiem ze schodów. Tak dwóch detektywów czekających w holu przy windzie przybiera postać potrzebującej wsparcia pacjentki z myślami samobójczymi.

Ale to, co ona zrobiła, to było co innego. Dla niej nie miało znaczenia, co powiedziała Evie albo ojcu. Mogła się uspokoić, żeby zdjąć ze swoich ramion ten potworny, osobisty ciężar, ale instynkt – a oszukała ich instynktownie – kazał jej zachować prawdę dla siebie.

Potem pomyślała: Ale skąd wiem, że Jonathan nie robi teraz tego samego? Skąd mogę wiedzieć, że nie ma... czegoś, przed czym nas chronił? Jakiegoś zagrożenia, czegoś, co wiedział i przez to jego życie było nie do zniesienia? Z tej mrocznej myśli wyrosła nadzieja. Zakwitła pomimo niesprzyjającej gleby. Możliwe, że tak było. Może Jonathan rzeczywiście chronił ich i Henry'ego, tak jak ona chroniła Henry'ego i swojego ojca. Gdziekolwiek teraz był, osłaniał ich przed tym strasznym czymś. Trzymał to coś z dala od ludzi, których kochał.

Przestań, rozkazała sobie. Ze zdziwieniem stwierdziła, że powiedziała to na głos.

Jakby w odpowiedzi jakiś samochód – stary i ciemny, nie znała się na samochodach – zwolnił tuż obok niej. Przebiegła przez Dziewięćdziesiątą Ósmą. Samochód musiał czekać na światłach.

Sprintem pokonała wzniesienie i minęła miejsce, gdzie pociągi wyjeżdżały spod ziemi. Gdy tylko dotarła

na róg Dziewięćdziesiątej Szóstej i Park Avenue, obok niej pojawiła się taksówka, jakby ktoś ją tam zamówił specjalnie dla niej. Wsiadła.

– Osiemdziesiąta Pierwsza i Park.

Kierowca, jeśli w ogóle ktoś siedział za kierownicą, ledwo się obejrzał. Miniaturowy ekran zamocowany na przegrodzie ożył. Pokazał niezrozumiały reportaż o weekendowych wyprzedażach garażowych w Park Slope. Zmarnowała minutę, próbując znaleźć przycisk wyłączający dźwięk. Nie udało jej się i prawie zasłoniła uszy.

Wyprzedaże garażowe. Miała ochotę wszystkich zabić. Każdego, kto się pojawił w jej myślach.

Na Osiemdziesiątej Szóstej zatrzymało ich czerwone światło. Patrzyła, jak kierowca stuka palcami w kierownicę. Zdała sobie sprawę, że wciąż nie spojrzął ani na nią, ani we wsteczne lusterko. Przywiódł jej na myśl widmowego taksówkarza z opowiadania *The Demon Lover* Elizabeth Bowen, w którym przerażona kobieta jest wożona po krainie opustoszałych ulic. Zdała sobie sprawę, że Park Avenue, główna arteria jej życia, wydaje jej się niepokojąco obca. Droga, której nie znała. Droga bez powrotu.

Zapaliło się zielone światło.

Zapłaciła gotówką i wysiadła na rogu. Ruszyła ulicą. Pokonywała trasę, którą od urodzenia przeszła tylko dwadzieścia tysięcy razy. Nie ma tu nic nowego, tłumaczyła sobie w duchu. Zwróciła uwagę na duże już

drzewa, których posadzenie wspólnota mieszkańców wyprosiła u władz miasta za namową jej matki, na hydrant, przy którym jako sześciolatka przewróciła się i złamała łokieć w dwóch miejscach, i na gabinet kardiologa, przed którym stała, kiedy patrzyła, jak Henry po raz pierwszy tryumfalnie jedzie na rowerze. Vita powiedziała kiedyś, że Osiemdziesiątej Pierwszej między Madison Avenue a Park Avenue nie widać na żadnym radarze. Nie stał przy niej żaden ważny budynek, na przykład kościół, szpital albo prywatna szkoła. Większość bocznych ulic na Upper East Side mogła się pochwalić kilkoma kamienicami, które potrafiły urzec prawdziwego magnata albo nuworysza, ale jej ulica do nich nie należała. Stały przy niej tylko cztery domy (wszystkie poza jednym z przedwojennego wapienia, jeden z niezbyt urodziwej, ale przynajmniej nieinwazyjnej białej cegły). Gabinety lekarzy były wciśnięte między nie albo gnieździły się w ich westybulach. Zwyczajna pipidówa dla rodzin takich jak ta, w której dorastała, i ta, którą sama założyła.

Tak, powiedziała stanowczo swojemu oburzonemu ego. I jak ta, którą założyłam.

Szwajcar otworzył jej drzwi i jak zawsze powiedział dzień dobry. Odprowadził ją do windy. Zdała sobie sprawę, że unika patrzenia na kanapę i fotel. Z trudem przypominała sobie czasy sprzed O'Rourke'a i Mendozy, kiedy nie znała jeszcze intymnie owłosionej szyi wylewającej się z kołnierzyka ani

upstrzonej czerwonymi pieprzykami twarzy O'Rourke'a. Poznała ich zaledwie wczoraj – a jeśli wziąć pod uwagę to, że minęła już północ, przedwczoraj – a wryli się w jej świadomość tak mocno, że każda inna jej myśl musiała ustąpić im miejsca. Po kilku bolesnych próbach przestała z tym walczyć.

Trochę niepotrzebnie szwajcar przytrzymał dla niej drzwi. Wsiadła i patrzyła, jak się między nimi zamykają.

Jak tylko przekroczyła próg mieszkania, dopadł ją ciężar tego, co się działo. Doczłapała do małego fotela w przedpokoju i opadła na niego, owładnięta nagłym przyływem mdłości. Włożyła głowę między kolana, jak często kazała robić pacjentom będącym na granicy utraty kontroli, ale czuła tylko fale nieustępliwego bólu i przed wymiotami powstrzymywała ją jedynie świadomość, że nie ma w żołądku nic, co mogłaby zwrócić. Nie jadła od... Próbowała to sobie przypomnieć, niemal z ulgą, że ma do rozwiązania konkretny problem. Od rana. Tego rana. Nic dziwnego, że jest w takim stanie. Może teraz powinna coś zjeść. Potem – tak, to logiczne – będzie mogła wymiotować i poczuje się lepiej.

W mieszkaniu było ciemno. Wstała i włączyła światło, a potem – zupełnie jakby to był zwyczajny wieczór po całym dniu rozmów z pacjentami albo planowania imprezy w szkole Henry'ego – przeszła z salonu do kuchni, otworzyła lodówkę i zajrzała do środka. Niewiele w niej było. Ostatni raz robiła

zakupy... Nie mogła sobie przypomnieć. Zaraz: jagnięcina i kalafior. Kupiła je, zanim spotkała tamtych w holu. Kiedy to było? Znalazła tylko nigdy niewyczerpujący się zapas kartonów z mlekiem i sokami, przyprawy, otwarte pudełko angielskich muffinków i pudełko z resztkami empanad z kubańskiej restauracji, w której była z Henrym w poniedziałkowy wieczór, wtedy, kiedy Jonathan wyjechał. Nie miała na nie ochoty. Nie cierpiała ich. Z furią wyciągnęła z szafki kosz na śmieci i wyrzuciła je. Został tylko ser.

Zawsze mieli ser, w dużych kawałach, w błyszczącym tłustym celofanie. Zajmował prawie połowę półki. Jonathan kupił ten ser. Tylko to przynosił ze sklepu, chyba że wyraźnie go o coś poprosiła albo dała mu listę zakupów. Kupował go w ogromnych bryłach albo kołach, jakby się bał, że im zabraknie. Ale nie wykazywał zainteresowania innymi gatunkami niż typowe sery z Wisconsin albo Vermont. Kiedyś wpadła na pomysł, żeby mu kupić na Gwiazdkę subskrypcję na ser miesiąca. Co miesiąc dostawał pocztą egzotyczne wytwory serowarskiego rzemiosła z najróżniejszych zakątków amerykańskiej diaspory kulinarnej. Zjadał je z uznaniem, ale kiedy się kończyły, zawsze wracał do białych, pozbawionych charakteru kłoców z najniższej półki. Tym się żywił podczas studiów, tym zapełniał sięgającą mu do kolan lodówkę, w której trzymał inne pospolite narzędzia ludzi żyjących bez snu (na przykład mrożoną kawę) i bez witamin (na przykład edamame,

wtedy bardzo egzotyczne). Studenci medycyny to bardzo nieskomplikowane zwierzęta – tak jej powiedział mniej więcej w tamtym czasie. Żyją w takim pośpiechu i pracują tak ciężko, że wystarcza im czasu tylko na przyjmowanie białka, opróżnianie pęcherza i przede wszystkim sen.

Ona nigdy nie przepadała za serem, a zwłaszcza za cheddarem. Ale teraz okoliczności były wyjątkowe. Teraz ja jestem nieskomplikowanym zwierzęciem, pomyślała. Przyjąć białko. Opróżnić pęcherz. Ocalić syna. Ocalić siebie. Włożyła rękę do lodówki, odłamała spory kawałek sera i na siłę się nim nakarmiła. Momentalnie poczuła kolejną falę mdłości.

Jeszcze raz gwałtownym ruchem wysunęła szufladę z koszem, obiema rękami złapała bryłę sera i wyrzuciła do śmieci.

Chwilę później prawie wymiotowała do zlewu.

Bez białka, bez grzechu, pomyślała. Wciąż pochylała się nad zlewem, i nagle wybuchnęła bezsilnym śmiechem.

Gdzieś w jej ciemnym, cichym mieszkaniu kryło się coś, kombinacja różnych rzeczy albo wręcz ich sieć, której nie dostrzegała. Poza zasięgiem jej świadomości działał system, który roztrzaskał jej życie na drobne kawałki, i teraz miała je poskładać na potrzeby dwóch obleśnych mężczyzn kreślących dla niej kredą linię między postępowaniem dyscyplinarnym a zamordowaną kobietą, jakby mogła coś o którejś z tych rzeczy

wiedzieć. Kawałki te przemaszerowały przed nią w ciągu ostatnich kilku godzin w absurdalnej paradzie. Karta do bankomatu. Konto w banku Emigrant, o którym nigdy nie słyszała. Niby co miała im o tym powiedzieć? (Poza tym: bank Emigrant? Nazwa jak z minionego stulecia? Gdzie się mieści? Na Lower East Side?). I para sztruksów. Interesowały ich sztruksowe spodnie. Ale Jonathan miał dużo takich spodni. Lubił je, bo były wygodne i dobrze w nich wyglądał. O którą parę im chodziło? Nigdy nie nosił sztruksów, dopóki wiele lat temu nie zabrała go na zakupy. To było jeszcze w Bostonie. Czy przez to była współodpowiedzialna?

Zresztą jak miała im cokolwiek wyjaśnić, jeżeli nie była nawet w stanie wyjąć głowy ze zlewu?

Wstań, pomyślała. Wyprostowała się, trzymała się krawędzi blatu. To i tamto, ta sieć ulotnych prawd – nie mogła dłużej o nich myśleć. Gdyby istniała jakaś szansa, żeby zasnęła, mogłaby poczekać na inny dzień, na inną północ, ale takiej szansy nie widziała i jeśli chciała zrobić cokolwiek innego, musiała najpierw dokończyć tamto.

Najpierw poszła do pokoju Henry’ego, bo był najmniej prawdopodobnym miejscem i jako takie pierwszym do odhaczenia.

Na ścianach, w szufladach, na półkach i w szafie nie było nic, czego sama by tam nie umieściła albo czego jej syn nie wyprodukowałby pod jej okiem: rysunki, ubrania, książka z wpisami od kolegów z obozu, nuty

pokryte odręcznymi uwagami pana Rosenbauma (Forte! Forte!). Na półkach stały książki, które jej syn przeczytał, podręczniki z zeszłego roku, wygięta już fotografia przedstawiająca jego weselszą wersję z przyjacielem Jonahem, tym, który już się do niego nie odzywał (zadowolona, że ma okazję się na kimś wyżyć, wzięła zdjęcie i porwała je na strzępy), i oprawiona fotografia Henry'ego z Jonathanem z zakończenia szóstej klasy. Przyjrzała się ich twarzom, tak podobnym i tak podobnie zadowolonym. Obydwaj byli trochę spoceni, bo tamtego czerwcowego dnia na podwórku za szkołą było gorąco. Ale ona tam była, to ona zrobiła to zdjęcie. To też знаła.

W pokoju Henry'ego nic nie znalazła.

W pokoju Henry'ego nie było Henry'ego. Był tam, gdzie go zostawiła – u jej ojca i Ewy – i tam spędzał noc. Przynajmniej to wydawało się jej oczywiste. Teraz już musiało też być oczywiste dla jej ojca i jego żony. Chyba zdawali sobie sprawę, że dzieje się coś, co jest ważniejsze od liczby nakryć na stole i od złych manier. Henry będzie teraz potrzebował wielu rzeczy. Niektóre łatwiej będzie mu zapewnić niż inne.

Włączyła lampkę nad jego biurkiem. *Władca much* leżał okładką do dołu, otwarty na stronie blisko końca. Odwróciła książkę i przeczytała fragment, który zdawał się być opisem śmierci Prosiaczka. Był jednak tak niezrozumiały, że przeczytała kilka razy, żeby zrozumieć, jak właściwie został zabity. Dopiero po

chwili zrozumiała, że to nieważne. Odłożyła książkę na miejsce. Henry będzie jej potrzebował na rano, pomyślała, rozglądając się po pokoju. Zobaczyła zeszyt do matematyki i do łaciny. Próbowła sobie przypomnieć, czy jutro ma orkiestrę. A potem próbowała sobie przypomnieć, jaki jutro dzień.

Podeszła do szafy Henry'ego i poinstruowała samą siebie: weź bluzkę z długimi rękawami, niebieski sweter, dzinsy. Z szuflady wyjęła świeżą bieliznę i skarpetki. Wszystko to, wraz z książkami i papierami, włożyła do starej torby firmy Puma, którą znalazła w szafie. Kiedyś Jonathan trzymał w niej strój na siłownię, ale rok temu kupiła mu nową, lepszą – z brązowej skóry i z długim paskiem – więc tę podarował Henry'emu. Henry z jakiegoś niejasnego, młodzieńczego powodu uznał, że Puma jest dużo bardziej *cool* niż wszędobylskie Nike. Torba Jonathana, ta brązowa z długim paskiem. Oddychała z trudem. Już dawno jej nie widziała.

Położył spakowaną torbę przy drzwiach, żeby twój umęczony mózg o niej nie zapomniał z początkiem nowego przerażającego dnia.

Idąc do przedpokoju, minęła jeden z dziwacznych portretów, które kolekcjonował. Głównie z pchlego targu w Connecticut. Pochodziły z lat czterdziestych i pięćdziesiątych i przedstawiały modelki z kwaśnymi minami, uchwycone przez niezbyt utalentowanych studentów. Razem tworzyły coś w rodzaju galerii nieurodzivych twarzy i dość surowych obserwatorów:

Serio, tak się ubierasz?

Ja bym tego nie założyła.

Mam nadzieję, że nie jesteś z siebie za dumna.

Obraz w przedpokoju przedstawiał surową kobietę mniej więcej w jej wieku, z równo przyciętymi włosami i nosem, który wydawał się nienaturalnie mały jak na jej twarz, z której, w odczuciu Grace, zawsze biła nienawiść do rodzaju ludzkiego. Obraz wisiał trochę po królewsku nad stolikiem, jednym z tych minimalistycznych angielskich albo irlandzkich stolików, które przywożono statkami w dużych ilościach. Ten kupili z Jonathanem na portowym pokazie antyków. Kiepska decyzja, bo nie był tak stary, jak się zarzekał sprzedawca, i kosztował więcej, niż był wart. Właśnie ze względu na cenę oboje czuli, że nie powinni się go pozbywać. W pojedynczej szufladzie stolika: taśma, baterie, ulotki siłowni. Czyżby myślał o zmianie klubu? A, nie. Teraz sobie przypomniała, że to jej broszury. Sprzed roku. Czyli nic.

Przeszukała szafę w przedpokoju. Wkładała rękę do każdej kieszeni, ale znajdowała tylko zmięte chusteczki i papierki po gumie do żucia. Każdą kurtkę sama kupiła i każdą poznawała: Books Brothers, Towne Shoppe w Ridgefield, ulubiona parka Henry'ego z obszyciem ze sztucznego futra, futro z rudego lisa, które należało do jej matki. Umiałyby wyjaśnić, skąd się wziął każdy but, każda rękawiczka i każdy parasol. Wszystkie szale leżące na górnej półce kupiła sama, z wyjątkiem

jednego: tego, który przyniósł do domu Jonathan. Kilka lat temu.

Wyjęła go. Zielona wełna, całkiem ładny. Ręczna robota? Zmarszczyła brwi. Bez metki. Dobrze zrobiony, zgrzebna, wyglądająca autentycznie faktura. Sama mogłaby go kupić mężowi w sklepie. Ale nie kupiła. Momentalnie się rozzłościła, jakby szal podstępem wdarł się do jej domu, Bóg wie po co. Przez chwilę trzymała go delikatnie między kciukiem a palcem wskazującym, a potem upuściła na podłogę i poszła do następnego pokoju.

Kanapy i fotele z salonu kupili kilka lat temu, przy okazji generalnego remontu (precz ze wszystkim, co im przypominało ich skromne początki, czas na pewną konkretną alkowę z czwartego piętra sklepu ABC Carpet & Home). Jonathan był tam tego dnia. Henry też, czytał *Narnię* na jakimś fotelu, który jego rodzice później spod niego wykupili. Wszystko to można było potwierdzić. Obrazy w salonie, dwa szkice przedstawiające tego samego młodego mężczyznę – prawdopodobnie z tej samej szkoły, ale autorstwa dwóch bardzo różnych artystów – również znalezione na pchlim targu w Connecticut, oprawione w identyczne ramy z czarnego drewna, jakby ktoś chciał podkreślić różnice. Na jednym sylwetka mężczyzny narysowana była tak sztywną kreską, że wyglądało to prawie na kubizm. Siedział w klasycznej białej koszuli z guzikami i w spodniach khaki w pozycji, która wyglądała na

skrajnie niewygodną: skrzyżowane nogi, pochylony tors, łokieć oparty o udo pod prawie niemożliwym kątem. Na drugim został przedstawiony z zapierającą dech w piersiach zmysłowością. Była pewna, że między modelem a twórcą kwitł – z konieczności cichy – flirt. Mogła sobie tylko wyobrazić, jakie koleje losu przywiodły te niepasujące do siebie obrazy ze sztalug dwóch różnych uczniów tego samego kursu przez stoisko na pchlim targu przy drodze numer siedem do mieszkania przy Upper East Side.

Poszła dalej. W korytarzu prowadzącym do jej sypialni stała szafa na pościel. Zatechłe ręczniki, sterty prześcieradeł (te płaskie ułożone prosto, te z gumką mocno przechylone), a na górnej półce mydła, płyn do płukania ust, przeciwłupieżowy szampon Jonathana, wszystko to kupione (przez nią) w hurtowych ilościach. Nic. Nic. Temblak z czasów, kiedy Henry zwichnął nadgarstek. Jej własna apteczka z lekami na niepłodność. Patrzyła na nią od lat, ale z jakiegoś powodu nie chciała się jej pozbyć. (Gdzie indziej wciąż trzymała test ciążowy, który oznajmił im, że urodzi się Henry. Ilekroć go widziała, przychodził jej na myśl mit o Meleagerze, który miał żyć, dopóki nie spłonie pochodnia zapalona w dniu jego narodzin, którą jego matka wyjęła z płomieni). Ale nic poza tym. Nic, co należało do Jonathana i co człowiek taki jak on, z nieograniczonym dostępem do wszystkich leków pod słońcem, mógł przynieść do domu. Oczywiście, że nic.

Uspokajając oddech, weszła do sypialni. Długo stała bez ruchu. Zastanawiała się, od czego zacząć. W tym pokoju mieli tylko jedną szafę. Drzwi były lekko uchylone. Ze szpary wystawał kawałek foliowego pokrowca na ubrania, które przyniosła w poniedziałek z pralni chemicznej. Podeszła bliżej i otworzyła szafę do końca.

Dzieliли się nią mniej więcej po równo. Panował w niej względny porządek, ale tylko dlatego, że żadne z nich nie kupowało ubrań dla rozrywki, a tylko po to, żeby zastąpić te, których się pozbywali. Jej połowę wypełniały bluzki i swetry, lniane i wełniane spódnice. Od dawna służyły jej do komunikowania, że jest dojrzała i całkowicie obojętna na trendy. Dobre materiały, dobry krój. Spokojne kolory. Skromne ozdoby. Im starsze, tym lepiej. Nic krzykliwego, nic przyciągającego uwagę, bo jedynym wrażeniem, jakie pragnęła robić na ludziach było: Oto kobieta, która ma poukładane w głowie. Bo miała! Tak w każdym razie teraz myślała, patrząc na swoje klasyczne ubrania i na chwilę niebezpiecznie ocierając się o płacz. Miała! No ale nie stała tam po to, żeby przeglądać swoje rzeczy.

Podobnie jak ona najważniejsze decyzje dotyczące ubioru Jonathan podjął dawno temu. Na początku widywała go w spodniach od dresu i brudnym T-shircie, ale dość szybko i z satysfakcją zrobiła czystkę w jego garderobie (usunęła podejrzanе ubrania z college'u, a nawet z liceum) i zabrała go na wycieczkę po sklepach.

Kupiła mu spodnie khaki, sztruksy i koszule, które nosił do dziś. W końcu zamierzał być lekarzem. Ale czy ktokolwiek zauważa, co lekarze mają pod fartuchami? Po prawej stronie ich wspólnej szafy wisały brązowe koszule w paski, niebieskie koszule w paski, zielone koszule w paski, kilka koszul w jednolitych spokojnych kolorach i pół tuzina białych.

Z pralni chemicznej wróciło sześć koszul w foliowym pokrowcu: znów paski, w tym ciemnoczerwone, jej ulubione, i zielono-niebieskie. Zobaczyła je kiedyś w Gapie i kupiła. Ale było tam coś jeszcze, coś, co kątem oka dostrzegła przed trzema dniami, kiedy chowała paczkę z pralni, zmęczona po długim dniu, pacjentami, lekcją skrzypiec i kolacją z Henrym w kubańskiej restauracji. Wtedy nie chciało jej się nad tym zastanawiać. Jeśli pralnia się pomyliła, trzeba by to zwracać. Jeszcze jedna pozycja na niekończącej się liście rzeczy do zrobienia. Teraz przyjrzała się temu bliżej. Koszuła jak inne, ale nie w paski, i nie jednolita. Rozerwała folię i rozsunęła wieszaki, żeby wydobyć podejrzane znalezisko. Cudownie, pomyślała. Koszuła w jaskrawy rdzawo-pomarańczowy wzór. Wyglądał, jakby go wycięto z produkowanego masowo koca Indian Navajo. Odcinała się od pozostałych jak striptizerka z Las Vegas od pastelowo odzianych baletnic. Grace odchyliła kołnierzyk, żeby znaleźć producenta, ale widniało tam tylko słowo „Sachs”, jak na jego koszulach. Ściągnęła wieszak z rurki i wlepiła

wzrok w tę obcą koszulę. Potem odpięła guziki i rozchyliła poły. Karmiła się tym obrzydlistwem. Czego szukała? Śladów szminki na kołnierzyku? (Nigdy nie mogła zrozumieć, skąd na kołnierzyku miałyby się wziąć szminka. Kto całuje kołnierzyk?) Oczywiście nic nie znalazła. Powąchała, chociaż koszula wróciła prosto z pralni. Najprawdopodobniej należała do kogoś innego (kogoś pozbawionego gustu) i przypadkiem trafiła do ich cotygodniowego zestawu klasycznych koszul i doskonałych kaszmirowych swetrów. Ale Grace była bezlitosna. Nie wiedziała, skąd ta koszula się wzięła, więc rzuciła ją (nie bez satysfakcji) na podłogę.

Koszula nie miała większego znaczenia. Wiedziała o tym obcym czymś między ubraniami od samego początku tych... poszukiwań. Nie takich, jakie prowadzą poszukiwacze skarbów albo łowcy okazji. Przypominały raczej wykopaliska w wykonaniu archeologów uzbrojonych w teorię, którą zamierzają udowodnić albo – wciąż na to liczyła – obalić. Nie zapomniała o koszuli, a właściwie zapomniała, ale koszula wróciła do niej, kiedy siedziała głęboko w szafie w przedpokoju. Gdzie ja to już czułam? pomyślała, trzymając w ręce ten ładny zielony szal, którego nie znała.

Chwilę później w przedniej kieszeni ciężkiej kurtki, którą rzadko nosił, znalazła prezerwatywę.

Wiedziała, co ma w ręce, zanim jeszcze wyjęła z kieszeni niedowierzające palce, zaciśnięte na

opakowaniu, jakby gumka mogła uciec. Mimo to gapiła się na nią, rozdarła między zrozumieniem a konsternacją. Prezerwatywa. Coś, co do jej świata zwyczajnie nie pasowało. Nawet na samym początku, kiedy oboje studiowali, i przed ślubem, kiedy zdawali sobie sprawę, że nie powinni jeszcze mieć dziecka, nawet wtedy nie używali prezerwatyw. Przez jakiś rok brała tabletki antykoncepcyjne, a potem miała tę okropną wkładkę domaciczną, którą później winiła – niesłusznie, bo przecież widziała wyniki badań – za każdy miesiąc bez ciąży i jeszcze bardziej za każde poronienie. Ale prezerwatywy – nigdy. Nigdy.

Tymczasem jakimś cudem właśnie prezerwatywa znalazła się w kieszeni tej kurtki, którą – jak prawie każdą inną część garderoby Jonathana – kupiła. Tę akurat w Bloomingdale's, na wyprzedazy. Miała dziwną grubość: była zbyt ciepła na lato i właściwie zbyt ciepła na zimę. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz widziała, żeby Jonathan miał ją na sobie, i nie bardzo wiedziała, czemu była ułaskawiana, ilekroć opróżniała szafę z niepotrzebnych ubrań.

Opakowanie było czerwone. Nie było otwierane. Nie rozumiała. Po prostu kompletnie tego nie rozumiała.

Wyciągnęła rękę, żeby ją od siebie odsunąć, i ją też upuściła na podłogę.

– Kurwa – skwitowała na głos jej upadek.

Była druga w nocy.

Czego się dowiedziałam? I czego ciągle nie wiem?

Cokolwiek wiedziała, cokolwiek potrafiła potwierdzić i zrozumieć – mogło zostać na swoim miejscu, przynajmniej na razie. Wszystko to, czego nie umiała wytłumaczyć, postanowiła zostawić na wierzchu jako niepowiązane ze sobą fakty, do których mogła wrócić, kiedy odzyska siły, kiedy odzyska jasność umysłu. Jeśli ją odzyska. Tajemniczy szal, obrzydliwa koszula i nierozpakowana prezerwatywa. Zaledwie trzy znaleziska po całym tym szukaniu. Marny efekt. W dodatku mieszczący się w granicach normy. Szal – Jonathan mógł go skądś zabrać przez pomyłkę, wziąć za swój. Zwykle nie zwracał na takie rzeczy wielkiej uwagi. Jak wielu mężczyzn. Mógł któregoś dnia zmarznąć, wejść do sklepu i go kupić. Miał do tego prawo. To nie jest zakazane. Nie musiał się jej z tego spowiadać. Co do brzydkiej koszuli – zdążyła już przekonać samą siebie, że winę ponoszą pracownicy pralni chemicznej. Nazwisko Sachs, napisane permanentnym markerem na metce tuż nad składem (bawełna i poliester – kolejny akt oskarżenia...). Cóż, Sachs to nie jest najrzadsze nazwisko, zwłaszcza w Nowym Jorku. Tu mogło się kryć najprostsze wyjaśnienie. Pralnia chemiczna przy Upper East Side – ilu Sacherów, Seicherów i Sakowiczów mieszka w okolicy? Ile innych rodzin o nazwisku Sachs? Naprawdę zagadką było raczej to, że takie pomyłki nie zdarzają się częściej.

W tym momencie przez tę krótką chwilę słabości

przebiła się myśl o prezerwatywie.

Stała bez ruchu, żeby dobrze już jej znane uczucie mogło się nad nią popastwić. Uczucie to wywoływało wrażenie, jakby żrący kwas przelewał się bezpośrednio przez jej czaszkę, przez całe ciało, aż do opuszek palców, i zbierał wokół niej w lepkiej czarnej kałuży. Zaczynała się do niego przyzwyczajać, opracowywać strategię radzenia sobie z jego przyplływami. Nie walcz, odpręż się i pozwól, żeby minęło. W ciągu zaledwie kilku minut odzyskała zdolność ruszania się.

Mogą być inne rzeczy, mogą się gdzieś chować. Mogą udawać, że są czymś innym. Zabrała się do książek na sypialnianej półce. Stały w ciasnym szeregu, trochę zakurzone. Nie było za nimi wiele miejsca. Należały głównie do niej i w większości były powieściami. Tylko kilka biografii, kilka książek o polityce. Te ostatnie czytali oboje. Oboje interesowali się aferą Watergate. Z upływem lat poszerzali listę lektur: Wietnam, Reagan, McCarthy, ruch obrony praw obywatelskich, Iran–Contras. Nie było już ważne, które z nich kupiło którą książkę. Jedna w ogóle nie była książką, tylko skrytką, jakimś niechcianym tomem z plastikową wkładką. Dostała ten miniaturowy sejf kilka lat temu, ostatniego dnia terapii pacjenta pracującego dla firmy, która skupowała niepopularne książki i w ten sposób je przerabiała. Zapytała go, czy zdarza się, że autor zobaczy swoje dzieło wykorzystywane do przechowywania biżuterii. Pacjent się zaśmiał: Żaden się

z nami w tej sprawie nie kontaktował! Musiała przyznać, że pomysł był dobry. Złodzieje nie myślą o książkach – powiedział, i przyznała mu rację. Nigdy nie słyszała nigdy o włamaniu, podczas którego sprawca wertowałby powieści Stephena Kinga i Johna Grishama.

Jej skrytka była zrobiona z książki Jean Auel, stanowiącej część prehistorycznej sagi. Nie przepadała za tym gatunkiem. Zdejmując ją z półki i otwierając plastikową wkładkę, myślała o tym, co wtedy do niej włożyła – tego dnia, kiedy ją dostała w prezencie od pacjenta. I od razu wiedziała, że coś jest nie tak. Książka była zbyt lekka. Delikatnie nią potrząsnęła, ale nie wydała żadnego dźwięku. Co w niej było – nie miało teraz znaczenia, bo zrozumiała, że jak ją w końcu otworzy, w środku nic nie znajdzie. Było to dla niej oczywiste.

Powinien tam być zegarek Jonathana. Dobry. Podarowała mu go z okazji ślubu. Złoty patek philippe. Rzadko go nosił, ale raz na jakiś czas nadarzała się okazja (na przykład ślub jej ojca), kiedy go o to prosiła. Albo bar micwa któregoś z wnuków Ewy. Jonathan ze zwykłym zegarkiem, timeksem albo swatchem, który akurat nosił do zdarcia, wywołałby kontrowersje większe niż jego wartość. I spinki do mankietów. Dostał je na urodziny od jej ojca. Ojciec dostał je od matki, a teraz... Cóż, byłoby miło, gdyby zostały w rodzinie. Do tego kilka jej rzeczy, których nie chciała trzymać razem z biżuterią matki w starej toalecie z lustrem:

wiktoriańska kamea, urodzinowy prezent od dawnego chłopaka (nie kochała chłopaka, ale uwielbiała prezent), kolejny naszyjnik, też wiktoriański, kupiony w Londynie, dokąd pojechała z Vitą latem po pierwszym roku studiów, i sznur szarych pereł z Czterdziestej Siódmej ulicy. Do tego – i ta myśl ukłuła ją szczególnie mocno – klasyczna bransoletka od Elsy Peretti, którą kupiła sobie rok temu na fali samozadowolenia, kiedy sprzedała prawa do książki. Zawsze chciała taką mieć. Była to pierwsza w jej życiu wspaniała rzecz, jaką sobie kupiła. Nie szczególnie ekstrawagancka, ale z pewnością wyjątkowa. Założyła ją jednak tylko kilka razy. Tak naprawdę nie była wygodna. Dlatego mieszkała w skrytce.

A teraz skrytka była pusta.

Usiadła na brzegu łóżka. Trzymała coś, co nie było tym, czym miało być – dziełem literackim, jakakolwiek by była jego wartość – tylko głupim pudełkiem z fantastyczną romantyczną okładką i dziurą w środku. Zero w sercu zwykłego przedmiotu i tak jest zerem. O dziwo chciało jej się śmiać.

Po chwili, zalana nową falą strachu, spojrzała na drugi koniec sypialni.

Nie ośmieliłby się. Nigdy by tego nie zrobił.

Toaletka jej matki. Jedna z niewielu rzeczy, jakie do dziś po niej miała.

Wszystkie sześć pokoi jej dzieciństwa wyremontowano. Perkale i beże jej matki ustąpiły

miejsca błękitom i jasnym brązom, spod wyrzuconych dywanów wyłonił się dawno niewidziany parkiet. Ściany kuchni pokrywały prace Henry'ego i zdjęcia ich trojga albo jej i Jonathana nad jeziorem. Resztę pokoi zdobiły obrazy z pchlego targu albo z bazaru z antykami, z wyjątkiem dwóch, które kupili rok przed narodzinami Henry'ego na targu Clingancourt w Paryżu.

Henry spał w pokoju, w którym kiedyś ona miała sypialnię. Wtedy był żółty, z zielonym kosmatym dywanem, dzisiaj błękitny z błyszczącym białym obramowaniem drzwi. Henry utrzymywał w nim zadziwiający porządek. Korkowa tablica, która kiedyś pokrywała całą ścianę nad jej łóżkiem, była szaloną mozaiką zdjęć z czasopism, zdjęć jej ulubionych ubrań, zdjęć jej przyjaciół (głównie Vity) i dyplomów z Reardena i klubu sportowego przy Osiemdziesiątej Szóstej, gdzie chodziła na fitness i gimnastykę. Mój mózg na korku – tak o tym myślała, przekręcając słynny slogan z kampanii antynarkotkowej. Henry miał nad łóżkiem tylko jedną fotografię: stali z Jonathanem z wędkami na pomoście nad jeziorem. Jonathan dostał je od niej na urodziny. To był chyba jedyny raz, kiedy ich użyli.

Ale toaletka stojąca w pokoju, który z czasem przestała nazywać sypialnią rodziców, była wyspą zatrzymanego czasu. Do dziś wisiał na niej klasyczny perkalowy fartuszek, wciąż zdobiły ją wytarte miedziane ćwieki. Nad blatem znajdowały się symetrycznie

rozmiszczony szuflady na kobiecey arsenał – pierścionki, kolczyki, bransoletki, naszyjniki – z którego jej matka rzadko korzystała. Kiedy dostawała prezent od ojca, na przykład abstrakcyjną broszkę z pereł i szmaragdów na amebie ze złota albo bransoletkę z rubinami i brylantami, lubiła je kłaść na szklanym blacie. Może rekompensowała mu w ten sposób to, że prawie nigdy ich nie nosiła (Grace widywała na niej tylko naszyjniki z pereł i proste złote kolczyki). Może traktowała je jak dzieła sztuki, które należy wystawiać i w ten sposób doceniać ich piękno. Może nie chciała, żeby jej mąż wiedział, jak bardzo nie trafiał w jej gust. Zawsze miał do nich sentymentalny stosunek. Nalegał, żeby ona je odziedziczyła, a ona chciała, żeby to się stało szybko. Zaledwie tydzień po pogrzebie, kiedy się pakowała przed powrotem do Bostonu, ojciec przyszedł do jej pokoju (teraz pokoju Henry'ego) i położył jej na łóżku swoje dawne podarunki: torebkę pełną brylantów, rubinów, szmaragdów i pereł.

– Nie mogę już na nie patrzeć – powiedział, i była to jedyna uwaga na ich temat, jaka padła z jego ust.

Podeszła do toaletki, usiadła na niskiej ławce i rękawem koszuli wytarła szufladki. Coś ją powstrzymywało. Nadal przechowywała tam biżuterię matki, ale nie na widoku, nie na blacie. Podobnie jak matka gustowała w powściągliwym stylu, lubiła swój sznur pereł i ślubną obrączkę. Duże, jaskrawe ozdoby,

takie jak broszki z niekształtymi kamieniami i ciężkie naszyjniki, trzymała w szufladkach i rzadko wyjmowała. Ale naprawdę je lubiła. Wiedziała, co oznaczały dla jej ojca, który je dawał, i dla matki, która je dostawała. Mimo że ich nie nosiła. Nawet jeśli traktowała je jak listy miłosne, miały tę samą moc co plik kopert przewiązanych wstążką i przechowywanych w specjalnym pudełku. Jonathan wyrażał uczucia znacznie lepiej niż jej ojciec i nie potrzebował biżuterii, żeby powiedzieć, co czuje. Od początku ich związku podarował jej tylko jedną sztukę biżuterii – prosty pierścionek zaręczynowy z brylantem, który kupił przy Newsbury Street. Był to skromny, pojedynczy kwadratowy brylant, zamocowany metodą Tiffany’ego na platynowym pierścieniu. Tak klasyczny, że mógł być (choć nie był) odziedziczony. I na tym koniec. Nigdzie nie słyszał, że powinien jej kupić prezent, kiedy urodziła ich syna. (Gwoli ścisłości ona też o tym nie wiedziała. Niesmaczne określenie łożyskowe po raz pierwszy usłyszała na spotkaniu dla matek z niemowlętami. Przez jakiś czas na takie chodziła). Ale nawet gdyby słyszał, prawdopodobnie sprawiłby jej książkę albo dzieło sztuki, nie biżuterię.

Pozostawała oczywiście kwestia wartości. To, co było w toalecie, mogło nie być noszone przez matkę i córkę, mogło mieć wartość czysto sentymentalną, ale miało też niezaprzeczalną wartość pieniężną. Za jej zgodą Jonathan wpisał to wszystko do polisy ubezpieczeniowej

i czasem myślała o biżuterii jako o funduszu ratunkowym, na wypadek gdyby musieli opłacić chesne albo wnieść wkład własny przy większej pożyczce, ale nigdy nie zdecydowała się kupić sejfów ani trzymać jej poza domem. Wolą ją mieć pod ręką. Jako ołtarzyk długiego i szczęśliwego małżeństwa, jakiego dla siebie pragnęła.

Nie ośmieliłby się, pomyślała znowu, zaklinając rzeczywistość. W końcu otworzyła szufladki.

Zniknęły, zniknęły. Bransoletka z czarnych i złotych brylantów. Brylantowe klipsy, które uwierały ją w uszy na dobroczynnym bankiecie. Naszyjnik z szafirem i ten ze złotymi ogniwami. Broszka z różowym klejnotem w złocie. Wszystkie szuflady wypełnione powietrzem. Usiłowała sobie przypomnieć wszystko, co tam było: czerwone, złote, srebrne i zielone. Wszystkie te zwariowane prezenty, które jej ojciec latami znosił do domu i których jej matka niemal ostentacyjnie nie nosiła, ale bardzo je kochała.

Zamykała szuflady i znowu je otwierała, jakby dopuszczała możliwość, że z każdym takim ruchem rzeczywistość będzie się odmieniać. Ale to było nielogiczne. Powtarzać wciąż to samo i oczekiwać innych rezultatów? Prawie się zaśmiała. Czy nie tak brzmi definicja szaleństwa?

To by przynajmniej wyjaśniało kilka spraw, pomyślała.

To, co było w książce, która nie była książką – cóż,

mogła bez tego żyć. Bransoletka od Elsy Peretti, która raniła ją w nadgarstek. Perły... Owszem, uwielbiała je, ale co tam. Perły to perły. Łatwo je zastąpić. Nie żeby chciała kupić nowe. Straciły dla niej cały sens. Były zaledwie jedną przegraną bitwą, a dookoła tliło się wielkie pogorzelisko. Ale puste szuflady i powietrze tam, gdzie powinny być pamiątki po jej matce – tego nie umiała pojąć.

Wstała tak szybko, że natychmiast zakręciło jej się w głowie i musiała się oprzeć o toaletkę, żeby odzyskać równowagę. Po chwili wyszła do przedpokoju i otworzyła drzwi trzeciego, najmniejszego pokoju, tego, w którym dawniej mieścił się wybitnie męski gabinet jej ojca. Był to jedyny pokój, w którym matka pozwalała mu palić fajkę, i do dzisiaj – przynajmniej w wyobraźni Grace – unosił się tam zapach tytoniowego dymu. Był czas, kiedy mieli z Jonathanem nadzieję, że zrobią tam sypialnię dla drugiego dziecka, i nigdy nie zdecydowali się zrobić z nim coś innego. Nigdy o tym nie rozmawiali – ona nie potrafiła zacząć, a on, szanując jej uczucia, też nie zaczynał – ale stopniowo pokój się zmieniał, choć nie został nazwany. Został pokojem, do którego Jonathan chodził czytać, odpisywać na maile albo dzwonić do rodzin pacjentów, jeśli nie miał czasu porozmawiać z nimi w szpitalu. Ona go nie urządziła, ale na ścianach wisiało kilka półek ze starymi numerami czasopism medycznych i podręczników z czasów studiów. Kilka lat temu wstawiła tam duży rozkładany

fotel z podnóżkiem i biurko, które znalazła w Hudson w stanie Nowy Jork (w miejscowości, o której Jonathan lubił mówić, że jednocześnie się zwija i rozwija). Stał tam też komputer, przysadzisty dell, którego od dawna nie używał (korzystał oczywiście z laptopa, swojego jakże teraz nieobecnego laptopa), a obok niego leżało pudełko z teczkami z danymi chorych – takie z solidnymi uchwytyami, w którym można przynieść do domu swoje rzeczy ostatniego dnia pracy.

Dobre oko, powiedziała sobie w duchu.

Nie miała odwagi zajrzeć. Ani włączyć komputera. Ani otworzyć szuflad biurka. Ani nawet wejść do pokoju. Ani kroku dalej, pomyślała. Wycofała się do przedpokoju i sama zamknęła sobie drzwi przed nosem.

Wtedy pomyślała o telefonie.

Wróciła do sypialni i otworzyła szafkę przy łóżku. Wciąż tam leżał, rzecz jasna, tam, gdzie Jonathan go zostawił, za futerałami. Był całkiem rozładowany. Lampka pokazująca stan baterii przestała mrugać. Mimo to podniosła go do twarzy, spróbowała się skupić na przyciskach i przypomnieć sobie, jak zazwyczaj trzymał go Jonathan i co z nim robił. Nie był łatwy w obsłudze, wyglądał trochę kosmicznie i wydawał się zaawansowany technicznie. A ona była trzy pokolenia w tyle za pędzącym rozwojem telefonów komórkowych (i wszystkich związanych z tym technologii). Nie wiedziała nawet, jak go włączyć. Ale rozumiała, że tylko jeśli spróbuje, przekroczy granicę, której do tej

pory nie przekroczyła, bo wolała bezpiecznie przeszukiwać szuflady i szafy z własnymi rzeczami. Z niejasnego dla niej samej powodu panicznie bała się zrobić ten krok, ale zdawała sobie sprawę, że może być jej ostatnią szansą, żeby... Żeby mu pomóc. A pomaganie Jonathanowi było jej domyślnym ustawieniem od wielu lat. Pomagała mu uczyć się przed egzaminami, pomogła mu wyprowadzić z akademika. Pomagała mu kupować porządne garnitury, załatwiać nowe tablice rejestracyjne, piec kurczaka, unieruchamiać złamany palec, poprawiała mu nastrój, pomagała wybrać ślubne obrączki, pogodzić się z tym, że ma toksyczną rodzinę, wychowywać syna i szukać szczęścia. Tak się robi, kiedy się wybiera partnera na resztę życia. Tak działa małżeństwo.

Nie było jej łatwo przestać mu pomagać.

Z drugiej strony, pomyślała, policja już wie o telefonie. Wiedzą, że jego komórka jest w domu. Dlatego sądzili, że on też się tu ukrywa. Co oznacza, że będą chcieli przejrzeć wszystko, co jest w telefonie. Na pewno o niego poproszą i będzie musiała im go dać, bo w przeciwnym razie... Odmowę najprawdopodobniej uznaliby za przestępstwo. A kiedy o niego poproszą, a ona go da, to się dowiedzą – w jakiś sposób to odkryją – że coś z nią robiła, że coś przeczytała, zmieniła albo usunęła. I to by było bardzo źle, dla niej i dla Henry'ego. Musiała robić wszystko, czego od niej chcieli. Dla Henry'ego.

Więc odłożyła telefon do dziwnej kryjówki. Zdecydowała, że nie będzie go ruszać i że sami będą musieli go znaleźć. I w tym momencie, ponieważ po raz pierwszy wyobraziła ich sobie we własnym domu, zagląających do szuflad, szaf i szafek, tak jak ona chwilę wcześniej do nich zaglądała, i ponieważ jak tylko to sobie wyobraziła, natychmiast zrozumiała, że to absolutnie nieuniknione, otworzyła szafkę, wyjęła telefon i położyła na wierzchu. Dzięki temu nie wyglądał tak źle, tak... pogrążająco, jak kiedy był ukryty. Powiedziała im, że jest w domu, ale nie że głęboko schowany. Niby czemu miałyby mu nie wyświadczyć tej drobnej przysługi?

Wiem, że chce go pani chronić, powiedział jeden z nich, nie pamiętała który.

Położyła się na łóżku i zamknęła oczy. Była zmęczona, spustoszona zmęczeniem. Na okrągło myślała o tym, co znalazła – o szalu, koszuli i prezerwatywie – i o tym, że to niczego nie wyjaśnia. To w zasadzie jest czymś w rodzaju run albo hieroglifów, których nie jest w stanie zrozumieć. Ten skąpy ślad, te rzeczy na podłodze, o których nie wiedziała, skąd się wzięły – szal, koszula, prezerwatywa – to wcale nie był właściwy trop. Właściwym tropem, teraz to do niej dotarło, było coś, czego nie znalazła.

Sportowa torba. Ta z dobrej skóry, prezent od niej. Zazwyczaj leżała na dnie szafy. Teraz jej tam nie było. No dobra, powiedzmy, że ją wziął i zaczął chodzić po

pokoju, wkładać do niej różne rzeczy. Co by wziął? Bieliznę. Koszule. Kosmetyki, spodnie. Sztruksy, które tak interesowały detektywów? Skąd miała wiedzieć, o które spodnie im chodzi? Jonathan miał co najmniej sześć par sztruksów. Wiedziała, bo sama wszystkie kupiła i wszystkich teraz brakowało. Na półce w szafie, nad prętem. Nie brakowało osieroconych wieszaków i pustych szuflad. Była też świeżo opróżniona półka w łazience, na której dotychczas leżała jego szczoteczka do zębów i żyletka. Nic dziwnego, że wcześniej tego nie zauważyła. Nawet teraz ledwo zauważała. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak powinno wyglądać u mężczyzny, który wyjechał z miasta na kilka dni – choćby na konferencję do Cleveland – i który wróci, zanim skończy mu się bielizna.

Nie to, co jest, ale nie pasuje, powiedziała sobie w duchu, ale to, czego nie ma, a pasowałyby. Przywiodło jej to na myśl wiersz Jamesa Fentona o wojnie – którejś z wojen, nie pamiętała której:

*Nie chodzi o domy. Ale o przerwy pomiędzy domami.
Nie o ulice, które istnieją. Ale o te, które przestały istnieć.*

Dodane i odjęte, plus i minus, bez szans na to, żeby się nawzajem anulowały. Wszyscy nowi ludzie w jej życiu – detektywi i zamordowana kobieta – nie zastępowali tego kogoś, kogoś brakowało. I to nie jest jakaś tam wojna,

zrozumiała to i mocno zacisnęła powieki. Tylko moja własna.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Na złamanie karku

Jakimś cudem zasnęła. W nocy przesunęła się ze swojej połowy łóżka na połowę Jonathana, jakby w ciągu tych kilku ciężkich, rwanych godziny zaczęła wątpić w to, że go nie ma, i chciała się upewnić. Nikogo nie było – niczyjej głowy (ciemnych kręconych włosów, ciemnej brody) żłobiącej miękką poduszkę, niczyich ramion wznoszących się i opadających nad kołdrą, nikogo. Obudziła się w tym samym udręczonym ubraniu, które założyła dwadzieścia cztery godziny wcześniej, kiedy była tylko lekko zmartwiona i lekko zdenerwowana. Jak wspaniale byłoby zachować tamtą lekkość.

Dopiero co minęła szósta i nie było jeszcze jasno. Zmusiła się do wstania i zrobiła co trzeba. Ubrała się i umyła na tyle, na ile była w stanie. W pokoju był bałagan, kołdra i prześcieradło na wpeł zwinęte, jej buty leżały na podłodze przy łóżku. Dziwaczna koszula i prezerwatywa w czerwonym opakowaniu zdawały się błyszczyć złowrogo przed szafą, gdzie je upuściła. Wyglądało to tak, jakby ktoś je obrysował neonową kredą, jak się obrysowuje zwłoki. Podeszła do szafy i kopnęła je na bok. Zdjęła ubranie i rzuciła w to samo

miejsce, może żeby wzrokiem ich nie widzieć. Założyła świeży sweter i spódnicę. Przypominały to, co miała na sobie dzień wcześniej (bo myślenie o ubraniach sprawiało jej ból). Potem zrobiła kilka rzeczy, które też były bolesne, ale o których myślała, zasypiając, o których sobie przypomniała, kiedy się obudziła, i o których wiedziała, że absolutnie musi je zrobić.

Usiadła na łóżku z otwartym laptopem i odwołała wszystkie wizyty, a potem wszystkie na następny dzień, na sobotę rano. Z większym wyprzedzeniem nie była w stanie myśleć. Jako powód podała chorobę w rodzinie i obiecała, że się skontaktuje w sprawie nowych terminów. Potem, szykując się na falę niesmaku, wybrała numer J. Colton i nagrała wiadomość: po południu nie będzie mogła udzielić wywiadu „Cosmopolitanowi”. Poprosiła też, żeby w nadchodzącym tygodniu nie umawiała jej na żadne inne rozmowy, bo musi załatwić rodzinną sprawę. Zapewniła, że się odezwie, jak tylko będzie mogła. Dziękuję, rzuciła w martwą ciszę magnetofonu, choć oczywiście nie był to żaden magnetofon. Nigdzie już nie było magnetofonów.

Zrobiła te dwie rzeczy i była zmęczona jak po wielu godzinach fizycznej pracy.

Zjechała z torbą Henry’ego do holu i ruszyła w zimny poranek, wciąż wyczerpana, ale teraz również całkowicie, brutalnie obudzona. Wyjątkowo nieprzyjemna mieszanka. Od mieszkania ojca i Evy

dzieliło ją osiem przecznic. Lodowate powietrze, które wciągała w płuca, było nie do zniesienia, ale też działało terapeutycznie. Tak to bywa z najgorszymi uczuciami. Ulice właściwie były puste, ale chodnik przed sklepem EAT tętnił życiem. Stało na nim mnóstwo samochodów dostawczych i pracowników działu spożywczego. Przechodząc obok, zajrzała z utęsknieniem do środka, jakby dobrze jej znane nowojorskie przyjemności były już dla niej niedostępne. Przy Siedemdziesiątej Dziewiątej stanęła na światłach. Zdała sobie sprawę, że gapi się na twarz Malagi Alves, której już prawie nie pamiętała. Patrzyła na nią ze zdjęcia w gazecie wetkniętej w niebieski metalowy stojak. Tytułu artykułu, jakkolwiek brzmiał, nie było widać, i kiedy zapaliło się zielone światło, ruszyła dalej.

Na górze oschła i jak zawsze niesympatyczna Eva zaprowadziła ją do kuchni. Zadano jej dodatkowy cios: Henry jadł płatki śniadaniowe z porcelanowej miski jej matki. Pomysł, żeby użyć (akurat z tej okazji albo – co byłoby jeszcze gorsze – używać na co dzień) ślubnego serwisu jej rodziców, mniej więcej z roku 1955, jako naczyń na płatki i chude mleko Henry'ego, był wyraźnym ostrzeżeniem, i nawet w tych trudnych okolicznościach musiała się powstrzymać, żeby nie podjąć wyzwania.

Eva polubiła ten serwis, kiedy wyszła za jej ojca, choć nie na tyle, żeby go używać na specjalne okazje, jak Wielkanoc czy szabasowe kolacje. Na klasycznych

talerzach Haviland Limoges Art Deco, z delikatnymi zielonymi krawędziami, podawano śniadania, ciastka z Entennmana, które jej ojciec zjadał przed snem, zupy z puszek, które jadły wnuki Evy (to było szczególnie bolesne), no i, rzecz jasna, używano ich podczas cotygodniowych wizyt Grace i jej rodziny. Grace uważała się za jego prawowitą właścicielkę, więc przeżywała prawdziwe katusze. Tymczasem Evie nie brakowało naczyń. Nadal miała dwa wielkie serwisy z pierwszego małżeństwa, z człowiekiem, który był ojcem jej syna i córki (niemożliwie bogatym bankierem, który zmarł w wyniku pęknięcia wyrostka robaczkowego, kiedy przebywał na wyspie u wybrzeży Maine – okropna historia): jeden, też haviland (choć mniej elegancki), drugi od Tiffany’ego. Tego używała tylko w najbardziej wyjątkowych sytuacjach. Gdzieś w głębi kuchennych szafek krył się również biały ceramiczny serwis ze sklepu Conran. Idealnie się nadawał na co dzień, do posiłków, których nikomu nie przyszłoby do głowy podawać na porcelanie. A jednak ilekroć Grace przychodziła z wizytą, Eva, kierując się własną jadowitą logiką, ostentacyjnie podawała jedzenie na talerzach swojej poprzedniczki.

Grace oczywiście chciała je odzyskać. Mówiła Jonathanowi, że to niesprawiedliwe, że jej macocha odmawia oddania jedynej córce (jedynemu dziecku!) tak ważnych rzeczy, które zgodnie z tradycją powinny przyspaść jej, jak tylko jej ojciec i Eva zamieszkali

razem. I nie, wcale nie była małostkowa. Owszem, ojciec podarował jej wiele rzeczy. Przede wszystkim mieszkanie i biżuterię matki (której od tego poranka już nie miała). Ale nie o to chodziło.

Kiedy weszła do kuchni, Henry podniósł wzrok. Przełknął i powiedział:

– Zapomniałem książki do łaciny.

– Wzięłam ją. – Położyła obok niego torbę firmy Puma. – Do matematyki też.

– No tak, matematyka. I przydałyby mi się ubrania.

– Co za zbieg okoliczności. – Uśmiechnęła się do niego. – Przyniosłam ci ubrania. Przepraszam za wczoraj.

Henry zmarszczył brwi. Kiedy to robił, widać było między nimi zmarszczkę. Jonathan miał taką samą.

– Co wczoraj?

Poczuła się wdzięczna losowi za naturalny narcyzm dwunastolatków. Czy to nie wspaniałe wybiegać tak niedaleko wstecz, tak niedaleko wprzód i wokół, że najgorsze kataklizmy, najdonioślejsze sprucia w tkaninie świata nie mają większego znaczenia? Wyobraziła sobie, że gdyby szli we dwoje przez bezkresne pustkowia, Henry byłby spokojny tak długo, jak długo rzucałaby mu pod nogi kawałki czegoś trwałego. Jakie to musi być wspaniałe nie zdawać sobie sprawy, że coś jest ze światem bardzo, bardzo nie tak. Przynajmniej przez jakiś czas.

– Babcia pozwoliła ci siedzieć do późna? – spytała

go.

– Nie. Oglądaliśmy razem telewizję, ale tylko do wiadomości.

Zawsze jakaś korzyść, pomyślała Grace.

– Karl spał ze mną w łóżku.

– Cudownie.

– Gdzie tata? – zapytał Henry i czar przysł.

Było miło, dopóki trwał.

– Sama chciałabym wiedzieć – odparła szczerze. – Ale nie wiem.

– A nie tam, gdzie mówił, że będzie? W Iowa czy gdzieś?

– Ohio – poprawiła go i natychmiast zdała sobie sprawę, że sama wymyśliła to Ohio.

Obejrzała się za siebie i stwierdziła, że Eva zostawiła ich samych.

– Nie wiem. Nie mogę się do niego dodzwonić.

– To napisz SMS – powiedział Henry. Logika pokolenia iPhone’a.

Rozejrzała się za kawą. Na szczęście dzbanek w ekspresie był do połowy pełny.

– Niestety zostawił telefon w domu.

Wstała i z mieszanymi uczuciami nalała sobie kawy do filiżanki po mamie.

– Boję się – powiedział jej syn.

Wróciła do stołu, postawiła filiżankę i objęła go. Pozwolił się przytulić, a ona starała się nie przenieść na niego swojego paraliżującego lęku. Pomyślała: wezmę

na siebie twój. Z drzeniem wypuściła z płuc powietrze. Próbowwała wymyślić coś, co mogłaby mu powiedzieć, coś, co by pomogło i było prawdą, ale nic nie spełniało obu tych warunków. Prawda, ale nie pomaga. Pomaga, ale nieprawda. Rzadko, właściwie nigdy jedno i drugie. Czy sobie poradzą? Czy uda jej się coś wymyślić? I czy naprawdę będzie umiała się nim zaopiekować? Nie wiedziała nawet, czy wie, jak się zatroszczyć o siebie.

Ale kiedy zaczęła się nad tym zastanawiać, zrozumiała, że jest w niej jeszcze jedna, cienka i krucha warstwa oporu, która zdaje się ją trzymać przy życiu. Nie czuła tego dzień wcześniej, na ulicy, na Ziemniach Szpitalnych ze Stu Rosenfeldem, ani w małej przegrzanej salce na dwudziestym trzecim komisariacie z O'Rourkiem i Mendozą. Z całą pewnością nie było jej, kiedy przeszukiwała szuflady i szafy, wściekła i zrozpaczona z powodu tego, co znalazła i czego nie znalazła. Ale gdzieś po drodze postanowiła się zmaterializować i teraz w niej była. Odrobina hardości, nietrwała, ale namacalna. Dawała jej poczucie... nie siły. Na pewno nie była silna. Nie byłaby w stanie rzucić się na barykady i stanąć twarzą w twarz z matkami Reardena. Ale było jej trochę lżej, była jakoś odmieniona. To dlatego, pomyślała, obejmując wątłe ramiona syna, przyciskając policzki do jego policzków i wdychając nowy, młodzieńczy zapach jego skóry, że mam teraz mniej do chronienia. Dzięki temu wszystko wydaje się łatwiejsze.

Udało jej się wyjść bez pożegnania z Evą i ojcem. Szli w milczeniu do szkoły. Henry zdawał się nie pamiętać, że jeszcze przed chwilą tak bardzo potrzebował jej ciepła, i sprawiał wrażenie spokojnego, jak co dzień. Kiedy skręcili w ulicę, przy której stała szkoła, tylko trochę później niż ona zauważył, że dziennikarzy jest więcej niż poprzedniego dnia. Znacznie więcej.

– O rany – powiedział.

To moje drugie imię, pomyślała Grace.

Nie, nie miała ochoty przechodzić obok wozów transmisyjnych.

Brama prowadząca na dziedziniec była zamknięta, co się nigdy, ale to nigdy nie zdarzało, a na ulicy stało mnóstwo matek. Znów zastępowały nianie i opiekunki. Tworzyły kordon wzdłuż ogrodzenia. Stały plecami do marmurowego gmachu i z bierną determinacją patrzyły w obiektywy kamer. Wyglądały pięknie i wojowniczo. Jak stado jakichś eleganckich ssaków gotowych do ucieczki, ale tak naprawdę mających nadzieję na bitwę. Najwyraźniej przestało im się to wszystko podobać.

– Spójrz – powiedziała Grace i wskazała palcem. – Widzisz panią Hartman?

Jennifer Hartman, matka dawnego przyjaciela Henry'ego, Jonaha, stała w środku szeregu, na początku alejki prowadzącej na tyły. Trzymała w ręku dość profesjonalnie wyglądającą podkładkę na papiery.

Więc Robert naprawdę otworzył drugie wejście.

– Chodź – powiedziała i złapała Henry'ego za łokieć.

Doszli na miejsce wraz z trojgiem innych uczniów i wszyscy – dziwne, jeśli wziąć pod uwagę wyjątkowość sytuacji – wiedzieli, co robić.

– Phillips – powiedziała kobieta stojąca przed nimi. Patrzyła przez ramię Jennifer Hartman. – Tam. Rihanna Phillips, druga klasa.

– Świetnie – odparła Jennifer i postawiła znaczek przy jej nazwisku. – Idźcie od tyłu. Jak się domyślacie, system nie jest doskonały.

– Logan Davidson? – powiedziała następna matka, jakby nie była do końca pewna. – Przedszkole.

– Okej. Wchodźcie.

– Cześć, Jennifer. Widzę, że się zaciągnęłaś.

Jennifer podniosła wzrok i przez chwilę nic się nie działo. Ale potem obok Grace przyszedł lodowaty powiew, tak nagły i obezwładniający, że prawie odebrał jej mowę. Stała bez ruchu z niestosownym uśmiechem przyklejonym (przymarznętym) do twarzy. Odruchowo spojrzała na Henry’ego, ale on patrzył na panią Hartman, matkę swojego utraconego przyjaciela. Była średniego wzrostu, ale miała wspaniałą posturę. Wysokie, ostre kości policzkowe i brwi o wiele odcieni ciemniejsze od popielatych włosów. Była obecna w życiu Henry’ego, odkąd zaczęli razem z jej synem chodzić do przedszkola, osiem lat temu, kiedy praktyka Grace i firma Jennifer (zajmowała się PR-em restauracji i szefów kuchni) nabrały cech prawdziwej kariery. Grace zawsze ją lubiła i darzyła zaufaniem,

przynajmniej do czasu, kiedy ich małżeństwo zaczęło się chwiać. Próbowwała dać Jennifer trochę swobody, proponowała, że weźmie Jonaha do siebie na noc albo zabierze się z Henrym do miasta, ale w tym samym okresie Jonah sam zaczął się od Henry'ego oddalać.

Teraz Henry stał zaledwie pół metra od niej i patrzył na jej kamienną twarz. Czy rozumiał, co się dzieje? W swoim czasie Jennifer Hartman wiele razy zabierała go na place zabaw i filmy animowane. To u niej spędził pierwsze noce poza domem. Czasem dzwonił o północy, żeby się poczuć bezpiecznie. Dwa razy zabrała go na sierpniowy wyjazd do Cape Cod. Razem z Jonahem zwiedzali fabrykę chipsów i Plantację Plymouth. Kiedyś zawiozła go nawet do szpitala ze złamanym łokciem, kiedy spadł z ogrodzenia w Central Parku. Od ich rozłąki – czyli od rozwodu Jennifer (to rozumiała, w końcu była dorosłą kobietą tkwiącą w nieszczęśliwym małżeństwie) i od chwili kiedy Jonah odsunął się od przyjaciela (co już było mniej zrozumiałe, choć żadna z nich nie była w stanie temu zapobiec) – odnosiły się do siebie uprzejmie, ale chłodno, jak dwa państwa, które były sojusznikami i kiedyś jeszcze mogą do tego wrócić. Ale to?

– Dzień dobry, pani Hartman – powiedział jej piękny syn, jej słodki, niewinny, dobroduszny syn.

Jennifer ledwo na niego spojrzała.

– Wchodźcie – powiedziała sztywno i spuściła wzrok. Grace wzięła Henry'ego za rękę i szybko weszła

w bramę.

Alejka śmierdziała gołębimi odchodami. Szła za nim. Zostawiali za sobą uliczny harmider. Idący przed nimi przedszkolak i jego matka znów zostali zatrzymani, przed drzwiami szkoły, i wpuszczeni, tym razem przez Roberta i jego asystentkę, poważnie wyglądającą kobietę w lenonkach i z francuskim warkoczem.

– Witamy, witamy! – powiedział Robert do matki przedszkolaka.

Uścisnął jej dłoń, jakby to był najzwyczajniejszy dzień (a przynajmniej normalny pierwszy dzień szkoły) i jakby stali nie przy ciężkich, żelaznych drzwiach, które zawsze były zamknięte, tylko przed wielkim wejściem prowadzącym do marmurowego holu i zawsze robiącym ogromne wrażenie na rodzicach przyszłych uczniów. Minęli Roberta i weszli po stalowych schodach przeciwpożarowych.

– Cześć, Henry – powiedział do jej syna. – Grace – dodał i skinął głową.

Ona też skinęła. Zachowywali się jak doskonale znający scenariusz aktorzy. Ale choć Robert nic nie powiedział, jego noga wykonała ledwie zauważalny ruch i zastawiła jej drogę. Spojrzała najpierw na nogę, potem na niego.

– Mogę odprowadzić syna do klasy? – spytała oburzona.

Zdawał się to rozważać, a ona przyglądała mu się ze zdziwieniem. Nie mogła zrozumieć, co się dzieje.

– Zastanawiam się... – powiedział.
– Mamo? – powiedział Henry i się odwrócił.
Był już w połowie schodów.
– Zaczekaj, już idę! – zawołała.
– Myślę – odezwał się znowu Robert – że w tej sytuacji lepiej będzie, jeśli Henry pójdzie sam.
– Mamo, nie szkodzi – powiedział Henry. Sprawiał wrażenie zdezorientowanego i zirytowanego. – Poradzę sobie.
– Robert, co ty wyprawiasz, do cholery?
Wziął głęboki, bardzo ostrożny wdech.
– Szukam wyjścia z kryzysowej sytuacji. Próbuję nas wszystkich przez to przeprowadzić.
Miała wrażenie, że patrzy na niego przez folię albo brudne szkło. Ledwo dostrzegała jego kontury.
– Grace... – powiedział i nagle zaszła w nim jakaś zmiana. – Grace, nie chcesz tu dzisiaj być.
Spuściła wzrok. Robert wziął ją pod ramię, położył dłoń na jej ręce, między łokciem a nadgarstkiem. Nie jakby ją zawłaszczwał, nie do końca. Próbował ją pocieszyć.
I wtedy wreszcie zrozumiała: wiedział. Oczywiście, że wiedział. Wiedział, bo mu wszystko wyśpiewali. Mendoza i O'Rourke. Wiedział, wcześniej niż ona, o Jonathanie i Maladze Alves. O Jonathanie, jej mężu, i Maladze Alves, martwej kobiecie. Wiedział przynajmniej część tego, co ona wiedziała. Może trochę mniej. A może, zrozumiała to teraz z przerażeniem,

nawet więcej. O ile więcej? Przestała już liczyć rzeczy, o których nie miała pojęcia.

Zmusiła się, żeby mu spojrzeć w oczy.

– Co ci powiedzieli? – spytała wprost.

Nagle przypomniała sobie o Henrym i spojrzała tam, gdzie przed chwilą stał, ale już go nie było. Zostawił ją.

Robert kręcił głową. Miała ochotę go uderzyć.

– Chcę, żebyś wiedziała – powiedział cicho – że tutaj Henry może się czuć bezpiecznie. Jeśli będzie potrzebował posiedzieć w moim gabinecie, może do mnie przyjść, kiedy tylko zechce. Na przykład na przerwach albo po lekcjach. I jeśli ktokolwiek będzie mu dokuczał, ma się od razu do mnie zgłosić. Nauczyciele też będą się nim opiekowali. Ze wszystkimi już rozmawiałem.

Ze wszystkimi już rozmawiałem. Spojrzała na niego zdziwiona.

– Jest uczniem Reardena. Traktuję to bardzo poważnie – powiedział Robert. Stracił trochę impet, jakby zauważył, że Grace przestaje uważać. – Ale... żeby nie pogarszać sytuacji. Widziałem już takie rzeczy. Oczywiście nie na taką skalę. Problemy w szkolnej społeczności. Kiedy już się zaczną, nic się nie da z tym zrobić. Trzeba... poczekać, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

Prawie się zaśmiała. Nie miała zielonego pojęcia, o co mu chodzi. Wiedziała tylko, że jest bardzo, bardzo źle i że problem dotyczy jej.

– Więc na twoim miejscu trzymałbym się na dystans.

A jeśli chcesz go odebrać trochę później, kiedy wszyscy już pójdą, to może poczekać w moim gabinecie.

Milczała. Była rozdarta między sympatią – bo wiedziała, że stara się pójść jej na rękę – a potwornym poniżeniem. A poniżenie każe ludziom robić rzeczy, które im bardzo szkodzą. Zdawała sobie z tego sprawę, nieraz widziała to na własne oczy. Przypomniła sobie, że powinna oddychać. Teraz zauważyła, że za jej plecami tłoczą się inni rodzice.

– Okej – przytaknęła. – To by było... To dobry pomysł.

– Znajdę go po ostatniej lekcji i zabiorę do gabinetu. Zadzwon, jak będziesz blisko. Jestem tu co najmniej do szóstej.

– Okej – powtórzyła, ale wciąż nie mogła się zmusić, żeby mu podziękować.

Odwróciła się i zaczęła się przedzierać między matkami i dziećmi. Otworzyła drzwi i wyszła na alejkę. Jeszcze więcej matek i dzieci. Większość schodziła jej z drogi. Wyglądało to tak, jakby nikt nie zwracał na nią uwagi. Ale kiedy jedna postać stanęła w miejscu, zmuszając ją do zejścia na bok, podniosła wzrok i zobaczyła Amandę Emery i jej dwie córki.

– Och, Amanda – powiedziała. – Cześć.

Amanda patrzyła na nią bez słowa.

– Cześć, dziewczyny – powiedziała Grace do jej córek, chociaż ich nie znała.

Były przysadziste, miały krągłe buzie i włosy

w kolorze jasnego brązu. Grace pomyślała, że to naturalny kolor włosów ich matki. Amanda złapała obie dziewczynki i trzymała w szponach. Grace niemal zrobiła krok w tył. Amanda nadal się nie odzywała, mimo że jedna z jej córek spojrzała na nią z wyrzutem i jęknęła: Aua! Celia. Ta z krzywym zgryzem.

Grace zobaczyła kolejkę rodziców. Ciągnęła się aż za róg alejki i zniknęła z pola widzenia. Ten widok napełnił ją przejmującym strachem.

– Na razie – rzuciła głupio do Amandy, jakby przed chwilą odbyły jakąś nic nieznaczącą rozmowę.

Miejscami musiała odwracać się bokiem i mocno przeciskać, ale najczęściej nie zwracano na nią uwagi. Ale nie zawsze. Na jej drodze stawały inne Amandy. Niektóre znała, inne widziała pierwszy raz w życiu. Mijała je i zostawiała za sobą małe wybuchy dźwięków, ale też jeszcze coś, coś, czego nie rozpoznała od razu, a co okazało się przeciwieństwem wybuchu dźwięków, choć na swój sposób było równie głośne. Była to cisza, jaka zalega po eksplozji. Ta cisza płynęła za nią jak wzbierająca fala.

Przecisnęła się obok Jennifer Hartman, wyszła na ulicę i zobaczyła, że dziennikarze stoją półkolem wokół wylotu alejki. Pochyliła głowę i ruszyła przed siebie, ale nie było łatwo się przez nich przedrzeć. Miała wrażenie, że tworzą stado, w którym wszyscy wiedzą, kto ma krzyczeć, a kto słuchać, kto ma za zadanie napierać z mikrofonem, a kto powinien zostać z tyłu, sprawdzać

dźwięk albo robić notatki. Rozumieli się, jakby byli pojedynczym organizmem, który chciał od niej czegoś, z czym nie zamierzała się rozstawać, nie bez utraty przytomności: właśnie tam, na chodniku, o ósmej dwadzieścia rano, na początku czekającego ją bardzo, bardzo długiego i przerażającego dnia.

– Przepraszam – powiedziała do nich ostro. – Przepuście mnie.

Ku jej zdziwieniu rozstąpili się, bo jakimś cudem nie zdążyli się zorientować, że różni się od kolejnej wychodzącej ze szkoły matki. Tamtą też otoczyli i do niej też coś krzykali.

Wiedziała, że to nie potrwa długo. Może to nawet był ostatni raz. Ale na razie pozwolili jej wyjść.

I nagle ktoś zawołał: Grace!

Schyliła głowę jeszcze niżej i ruszyła w swoją stronę, byle dalej od nich.

– Grace, poczekaj!

Drobna kobieta zrównała się z nią i wzięła pod rękę. Sylvia. Najwyraźniej nie zamierzała dawać za wygraną.

– Muszę... – spróbowała coś powiedzieć.

– Chodź – odparła Sylvia. – Jest taksówka.

Taksówka zatrzymała się na światłach na rogu Park Avenue, ale obdarzony typową dla nowojorskich taksówkarzy zdolnością widzenia obwodowego kierowca dostrzegł dwie kobiety idące szybkim krokiem w jego stronę i momentalnie włączył prawy kierunkowskaz. Łatwo było przewidzieć, że zdenerwuje

taksówkarza, który jechał tuż za nim. Zanim Sylvia otworzyła drzwi, ten drugi zdążył dwa razy zatrzeć.

– Nie mogę – powiedziała Grace, chociaż już wsiadła.
– Przepraszam.

– Daj spokój – odparła Sylvia.

Poprosiła kierowcę, żeby je zawiózł na róg Madison Avenue i Osiemdziesiątej Trzeciej. Przez mgłę irytacji i bezkres lęku Grace próbowała sobie uprzytomnić, co jest na skrzyżowaniu Madison Avenue i Osiemdziesiątej Trzeciej, ale przychodziła jej do głowy tylko kawiarnia na rogu. Nie pamiętała jej nazwy, ale to była ta, z której Meryl Streep obserwowała swojego syna w *Sprawie Kramerów*. Na pewno wisiała tam oprawiona fotografia przedstawiająca ten kadr, na ścianie za kasą. Zdziwiła się trochę, kiedy usłyszała, że Sylvia właśnie tam kazała się kierowcy zatrzymać.

Podczas pięciominutowego kursu Sylvia nic nie mówiła i Grace – skupiona bez reszty na tym, żeby się nie rozlecieć na kawałki podczas jazdy na tylnym siedzeniu taksówki z kimś, z kim nie łączyły jej specjalnie bliskie stosunki i kto z niewiadomego powodu zabierał ją nie wiadomo gdzie – też się nie odzywała. Patrzyła, jak Sylvia płaci, i zastanawiała się, czy aby nie powinna wiedzieć, co się dzieje.

– Chodź – powiedziała Sylvia. – Napijemy się kawy. Chyba że potrzebujesz drinka.

Grace zaskoczyła samą siebie: wybuchnęła śmiechem.

– Dzięki Bogu – powiedziała Sylvia.

Zajęły stolik-kabinę w głębi kawiarni, pod plakatem z chwytem Heimlicha. Sylvia prawie warknęła na kelnera: Poprosimy kawę. Imponująco oszczędnie wydał tylko typowe nowojorskie stęknienie. Najwyraźniej miał wyrażać pełne zrozumienie. Grace nie miała nic do powiedzenia i nie wiedziała, na co patrzeć. Zadziwiało ją samo to, że siedziała tam z Sylwią Steinmetz. Dlaczego akurat ona? Tylko dlatego, że nikt inny się nie postarał?

W końcu zrozumiała, że Sylvia Steinmetz uchodzi teraz za jej przyjaciółkę. Wydawało się to niemożliwe, ale tak było. Nie rozumiała, jak mogła do tego dopuścić.

Sylvia powiedziała coś, czego nie dosłyszała, więc poprosiła, żeby powtórzyła.

– Mówię, że nie miałam pojęcia, że przechodzisz przez takie piekło. Aż do dzisiaj. Rano dostałam maila od Sally.

– Pieprzyć Sally – odparła Grace.

I znowu się zaśmiała.

– Fakt, ale ona jest nieważna. Ci dziennikarze nie stali dziś przed szkołą z powodu Sally.

– Ale... – zaczęła Grace i zamilkła, bo kelner przyniósł dwa białe kubki z czarną kawą. Wylał trochę na tacę. – Ale chyba mnie nie poznali. Nie byli mną zainteresowani bardziej niż innymi.

Sylvia przytaknęła.

– To długo nie potrwa. Myślę, że zostało ci kilka godzin. Na więcej bym nie liczyła.

W tym momencie Grace zdała sobie sprawę, że nie powinna dłużej postrzegać swojego życia w kategoriach przestrzennych. To już nie pomagało oceniać sytuacji. Nie miało na przykład większego znaczenia to, że od dawna widziała siebie jako część małej rodziny, otoczonej kręgiem rodziców i przyjaciół, i dalej znajomych, i wreszcie miastem, które zawsze było jej domem. To, czy nadal tak było, przestało się liczyć, bo samo pytanie było nieważne. Teraz, od tego ranka, liczył się tylko czas, nie przestrzeń – kiedy, nie gdzie. Liczyło się to, że jej życie, to, które tak hołubiła, pędziło na złamanie karku ku końcowi. Biegło sprintem w stronę murowanej ściany i wiedziała, że nie może zrobić nic, żeby je zatrzymać.

– Przykro mi – powiedziała Sylvia. – Przeszłam przez coś podobnego z jednym klientem. Mieliśmy trochę więcej czasu.

Grace wciąż kręciło się w głowie. W normalnych okolicznościach chciałyby najpierw zaspokoić ciekawość. Sylvia reprezentowała pracowników, których niesłusznie zwolniono albo którzy wnosili pozew o nękanie. Jakiego klienta albo klientkę miała na myśli? Co zrobiła albo co jej zrobiono? Czy chodziło o kogoś, o kim mogła przeczytać w „New York Timesie” albo w magazynie „New York”? Dawniej pochłaniała takie historie. Były takie ciekawe. Ludzie byli ciekawi i to, jak potrafili rozwalić sobie życie.

Ale nie mogła dać się rozproszyć, nie mogła sobie na

to pozwolić.

– I co zrobiłaś? – zapytała.

Sylvia zmarszczyła brwi.

– Najpierw znaleźliśmy jej nowy dom. Przenieśliśmy konta. To były konta firmowe i jej wspólnik ulotnił się ze znaczną sumą. Zatrudniliśmy dla niej specja od zarządzania w sytuacjach kryzysowych. – Spojrzała na Grace. – Ale ona była już znana. Z tobą jest inaczej.

Grace też na nią spojrzała. Sylvia nigdy wcześniej nie mówiła o swojej pracy, najwyżej ogólnikami. To była inna Sylvia. Siedziała naprzeciwko niej i wlewała do kawy chude mleko z metalowego dzbanka. Zaraz miało się przelać.

– I co było dalej? – spytała Grace.

– Długo się ciągnęło. Ale lepiej się na tym nie skupiać. Lepiej myśleć o tym, co teraz możesz zrobić.

Przeszył ją dreszcz. Poczowała się jak wtedy na studiach, kiedy zgodziła się być sternikiem kobiecej drużyny kajakarskiej. Dobrze jej szło manewrowanie łodzią i kierowanie ludźmi, i nawet kreślenie strategii wyścigów, ale nie cierpiała ostatniej godziny przed zawodami. Godziny przepełnionej najczystszy strachem, najczystszy lękiem i absolutnym przekonaniem, że to ona – a nie osiem wysokich, silnych kobiet, siedzących w łodzi twarzą do niej – wszystko zepsuje.

Pochyliła się nad kawą i może to właśnie kawa, ciepło kawy, które otuliło jej oczy i policzki, sprawiło, że

zaczęła się zastanawiać, czy zaraz się nie rozplącze albo czy już się nie rozpląkała.

– Dobrze – udało jej się powiedzieć. Potem wzięła głęboki wdech, żeby się uspokoić, i wyprostowała plecy. Sylvia wyglądała tak, jakby czekała. – Ale najpierw... – dodała w końcu. – Zanim cokolwiek zrobię, muszę cię zapytać. Ile wiesz?

Sylvia zdecydowanym ruchem pokręciła głową.

– Nic nie wiem. Chciałabym, żeby to było jasne. Nie uznałam za prawdę niczego, co usłyszałam. Muszę mieć niepodważalne dowody.

– Okej – powiedziała Grace. Po chwili uznała, że należałoby dodać: – Dzięki.

– A słyszałam, że Jonathan był jakoś związany z Malagą i że policja chce z nim porozmawiać, ale nie mogą go znaleźć. I że ty wiesz, gdzie on jest, tylko nie chcesz powiedzieć. W to nie wierzę.

– To dobrze – odparła Grace, jakby jej to przyniosło ulgę.

– Co w tym dobrego? – spytała Sylvia, rozrywając torebkę ze słodzikiem i wsypując jej zawartość do kubka.

– To, że nie wierzysz, że wiem, gdzie on jest, ale go chronię. Nie jestem na tyle odważna. Ani szurnięta. Nie mam pojęcia, gdzie on jest. Po prostu... to jest... – W końcu się poddała.

– Naprawdę ją znał? Malagę?

– Jej synek leżał w Memorialu. Wiem to od

detektywów i nie mam powodu im nie wierzyć. A cała reszta to już...

Powstrzymała się. To już co? Wstrętne kłamstwo? Wiedziała, że nie. Wiedziała, że jest tego więcej. Po prostu dopuszczała to do siebie tak powoli, jak tylko mogła. Nie zamierzała nikogo zapewniać, że jest niewinny. Niech sam się broni. Niech przestanie się ukrywać i to zrobi.

– No wiesz – powiedziała Sylvia ku jej zaskoczeniu. – Mnie to wszystko nie dziwi.

– Naprawdę?

– Tak. Powiem ci coś, o czym może już wiesz. A jeśli nie, to udawaj, że wiesz. Jestem w dosyć trudnym położeniu.

Grace wlepiła w nią wzrok.

– Powinam rozumieć, co to znaczy?

Sylvia westchnęła.

– Pewnie nie. Miałam nadzieję, że zrozumiesz, ale bałam się, że będzie inaczej.

– Mówisz jak rasowa prawniczka – powiedziała Grace. Była zniecierpliwiona.

Zabrzmiało to niesympatycznie. No cóż, w tej chwili czuła się wyjątkowo niesympatycznie. Sylvia musiała się z tym pogodzić.

Sylvia obracała kubek w dłoniach. Jego ucho przesuwano się między godziną dziesiątą a drugą.

– Jonathan mnie zatrudnił. W lutym.

– Zatrudnił cię? – zapytała Grace z niedowierzaniem.

Zabrzmiało to jak obelga. Żałowała tego.

– Tak. Zadzwoił do mnie i umówił się na spotkanie. Przyszedł do mojego biura i podpisał dokument, w którym oficjalnie stwierdza, że jestem jego prawniczką.

– Chryste – wymamrotała Grace. – W lutym.

– Czekalo go postępowanie dyscyplinarne. Potrzebowal porady. – Wypiła łyk kawy, skrzywiła się z niesmakiem i odstawiła kubek. – Wiedziałaś o tym?

Grace pokręciła głową.

Sylvia znów zaczęła obracać kubek.

– Nigdy go wprost nie zapytałam, czy wiesz. Przez te wszystkie miesiące, kiedy na siebie wpadałyśmy albo pracowałyśmy razem w komitecie, zawsze mnie to zastanawiało. Ale nie mogłam nic powiedzieć. Musiałby sam cię przyprowadzić do mojego biura. Chodzi o poufność. Na pewno to rozumiesz.

Przytaknęła. Owszem, rozumiała. Te same zasady obowiązywały w jej gabinecie. Tyle że ona nie znała rodzin swoich klientów. Nie chodziła z nimi do szkoły, nie zasiadała z nimi w komitetach organizacyjnych. Czowała, że to niesprawiedliwe.

– Teoretycznie nadal obowiązuje mnie tajemnica zawodowa – ciągnęła Sylvia. – Nie powinnam z tobą o tym rozmawiać. Nieważne, że Jonathan jest teraz podejrzany, a my się dobrze znamy. Nie mogę ryzykować, że mnie skreślą z listy adwokatów.

Zamilkła, jakby na coś czekała. Grace nie bardzo

wiedziała, co powiedzieć.

– Nie mogę stracić uprawnień. Jestem samotną matką. Znów czekała. Grace tylko na nią patrzyła.

– Grace, mam mówić dalej?

– Aha – zrozumiała. – Tak. Rozumiem. Nie zrobiłabym ci tego.

Sylvia westchnęła.

– No dobrze. Był u mnie tylko raz. Nie spodobała mu się rada, której mu udzieliłam, a powiedziałam mu, że powinien przeprosić dyrekcję szpitala i zgodzić się na ich propozycję ugody. Że przede wszystkim nie powinien dać się wyrzucić z pracy. Jemu chodziło o coś zupełnie innego.

– O co mu chodziło?

– Chciał się dobrać do skóry swoim szefom. Twierdził, że jeden dopuścił się plagiatu, a drugi jest pedofilem. Miałam im dać do zrozumienia, że jeśli nie odwołają dochodzenia, pójdzie z tym do mediów. Sądził, że skoro mi płaci, to się na to zgodzę. Klienci bardzo często wychodzą z takiego założenia – powiedziała, jakby chciała ją pocieszyć. – Ale nawet gdyby dysponował dowodami, nawet gdyby miało to jakikolwiek związek z jego sprawą, a w oczywisty sposób nie miało, to ja nie jestem stworzona do takich zagrywek. Lubię patrzeć w lustro, jak szoruję zęby.

Grace kiwnęła głową, ale zaczynała tracić wątek. Który popełnił plagiat? Robertson Sharp-the-Turd? Trudno jej było uwierzyć, że w żadnym ze swoich

jadowitych monologów na jego temat Jonathan ani razu nie wspomniał o wykroczeniu tak jaskrawym i łatwym do udowodnienia jak plagiat.

– Przejrzałam dokumenty, które mi przyniósł, i powiedziałam, że jest tego za dużo, że mają dowody, które wystarczą do tego, żeby go zwolnić. Idź z nimi na ugodę. Powiedz, że pójdiesz na odwyk i...

– Odwyk?! – Grace prawie krzyknęła. – Od czego?

– Czegokolwiek by wymagali – odparła Sylvia, nie tracąc rezonu. – Gdyby to ubrali w jakąś formę niepełnosprawności, byłoby idealnie. I właśnie coś takiego mu proponowali, ale on nie chciał o tym słyszeć. Kazał mi... – Zamilkła. Wzięła głęboki wdech, podniosła kubek i odstawiła z powrotem. – Tak całkiem serio – powiedziała, szukając ironii, czegoś mniej przerażającego – to kazał mi spierdalać. Ale wiesz, działał pod wielką presją. Życzyłam mu powodzenia. Szczerze.

Grace mocno zacisnęła powieki. Musiała przestać przeproszać.

– Nie wiem nawet, jak się potoczyło to dochodzenie – powiedziała Sylvia.

Grace wzięła wdech.

– Według policji został zwolniony – odparła. Zabrzmiało to jak mocno przestarzały news. –

Dowiedziałam się o wszystkim dopiero wczoraj. Tyle miesięcy... – Kolejny wdech. – Za każdym razem kiedy mówił, że jest w pracy, kłamał. – Pomyślała, że musiało

to zabrzmieć wyjątkowo żałośnie. Chyba nigdy nie wygłosiła żałośniejszego zdania. – Nic już nie wiem. Nie mam pojęcia, co mam robić.

– Pomogę ci – powiedziała Sylvia. – A w każdym razie spróbuję. Więc posłuchaj mnie, bo mam ci do powiedzenia dwie rzeczy. Po pierwsze, jeśli wiesz, gdzie jest Jonathan, powiedz im.

Grace energicznie pokręciła głową.

– Nie wiem. Nie mam pojęcia. Już im to mówiłam.

Wrócił kelner. Chciałyby jeszcze coś zamówić? Sylvia poprosiła o rachunek.

Kiedy poszedł, powiedziała:

– To bardzo ważne, żebyś z nimi współpracowała. Im szybciej ogłoszą, że nie masz z tym nic wspólnego, tym lepiej zostaniesz potraktowana przez media.

– Rozumiem – odparła Grace, choć nie uśmiechała jej się współpraca z Mendozą i O'Rourkeim.

– Druga rzecz, w sumie najważniejsza, to żebyś się usunęła w cień. Razem z dzieciakiem. – Pochyliła się nad stołem, odsunęła kubek z kawą. – Z sobie tylko znanego powodu Jonathan wolał zniknąć, więc ominie go cały ten cyrk, bez względu na to, kiedy się zacznie. Dzisiaj. Najpóźniej jutro. Ale ty tu jesteś, a oni będą musieli wycelować gdzieś kamery. Weź Henry'ego i znajdźcie sobie jakieś ustronne miejsce. Poza Nowym Jorkiem.

– Dlaczego poza Nowym Jorkiem? – zapytała Grace z przerażeniem.

– Bo na razie to sprawa nowojorska. Tak długo, jak długo pozostanie nowojorska, telewizje z innych miast nie będą się tym tak bardzo interesować. A stacje z Nowego Jorku nie wyślą ekip do... nie wiem, Arizony czy Georgii. Nie za żoną. Z nim byłoby inaczej, ale teraz nie możesz o nim myśleć.

Grace zrozumiała wszystko poza ostatnim zdaniem. Zapytała, co Sylvia miała na myśli.

– Chodzi o to, że jak go znajdą, a znajdą na pewno, to wszędzie będą o tym trąbić. Bądź gdzie indziej, dopóki to się nie stanie. I bądź gdzie indziej wtedy, kiedy to się będzie działo. – Zrobiła przerwę. – Prawie zapomniałam. Twoi rodzice mieszkają tutaj?

– Ojciec – powiedziała Grace.

– Rodzeństwo?

– Nie.

– Bliscy przyjaciele?

Vita, pomyślała od razu. Ale nie rozmawiała z Vitą od tak dawna. Poza nią nie miała nikogo. Dlaczego do tego dopuściła?

– Nie. Zawsze byliśmy...

Chciała powiedzieć: nierozłączni. Nierozłączni. Byli razem prawie dwadzieścia lat. Ile par wytrzyma ze sobą dwadzieścia lat? Komu jeszcze się udało długie, szczęśliwe małżeństwo, jakie były udziałem pokolenia ich rodziców, z wielopokoleniowymi wycieczkami na afrykańskie safari, z rodzinnymi posiadłościami nad morzem albo nad jeziorem i z wystawnymi, hałaśliwymi

przyjęciami z okazji wielkich rocznic? Tylko terapeutom od par, pomyślała ze smutkiem.

– Ale... – zaczęła.

Myślała o swoich pacjentach. Nie mogła ich zostawić. To niedozwolone, nieetyczne. Lisa i jej nieobecny mąż gej, ich zagubione dzieci. Sarah i jej wściekły niedoszły scenograf, który raczył się do niej wprowadzić. Była za nich odpowiedzialna.

No i jej książka. Co z jej książką?

Nie była w stanie myśleć o książce.

W następnej chwili poczuła, jakby złapała za bardzo mocno dokręconą zakrętkę bardzo starego słoika, schowanego bardzo, bardzo głęboko w niej, i wypuściła z niego odrobinę tego, co w nim było, i to wystarczyło, żeby się załamała. Gryzący wstyd. Najsilniejsza, najbardziej trująca z ludzkich esencji. Po ledwie kilku sekundach był absolutnie wszędzie.

– Przykro mi – powiedziała Sylvia, ale jeśli naprawdę się nad nią litowała, to miała na tyle wyczucia, żeby tego nie okazywać. – Posłuchaj – powiedziała z prawdziwą troską. – Wiem, że nie uważamy się za bliskie przyjaciółki, ale chciałabym, żebyś wiedziała, że możesz do mnie dzwonić. – Zamilkła, a po chwili spojrzała na Grace spod ściągniętych brwi. – Muszę to powtórzyć?

Grace pokręciła głową i powiedziała, że nie, ale tak naprawdę znowu przestała słuchać i już nie była pewna.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Przeszukać i zająć

– Są na górze – powiedział szwajcar, zupełnie niepotrzebnie.

Zobaczyła policyjne samochody i dwie furgonetki, jedną z napisem „NYPD”, drugą z jakimś innym (nie przyjrzała się), jak tylko skręciła z Madison Avenue. Długo stała przed wejściem, to pogodzona z sytuacją, to niepokodzona, i próbowała zrozumieć, dlaczego nie może stać prosto, kiedy się tak nad tym zastanawia. (Z powodu jedzenia, przypomniała sobie. Musisz szybko coś zjeść, idiotko, albo całkiem się poddasz). W końcu weszła, jak owieczka idąca na rzeź.

– Dobra – odpowiedziała mu i podziękowała, nie wiedzieć czemu.

– Mieli nakaz. Musieliśmy ich wpuścić.

– Rozumiem – odparła.

Miał na imię Frank. Latem kupiła prezent dla jego nowo narodzonego dziecka. Julianna, tak dali małej na imię.

– Jak się ma Julianna? – spytała nedorzecznie, a on się uśmiechnął, ale nie odpowiedział.

Odprowadził ją do windy, jak co dzień, i stał przy

niej, dopóki nie zamknęły się za nią drzwi.

Oparła się o ścianę i zamknęła oczy. Zastanawiała się, jak nisko w końcu upadnie. Jeżeli przeżyję ten dzień, jeżeli wytrzymam jutro. Jak długo to będzie trwało? Kiedy obudzę się rano w swoim dawnym życiu?

Ale kiedy tak stała i wspominała to życie, ono już wyciekało, rozpadało się na kawałki, i te kawałki odpadały i frunęły w dal. Tyle traciła, i to w takim tempie. Ledwo jej się udawało śledzić postępujący rozkład. Zaczęło się w środę, od wiadomości o Maladze. Nie, w poniedziałek. Wtedy Jonathan wyjechał, a Malaga została zamordowana. (Nie mogła jeszcze o tym myśleć. Zupełnie nie była na to gotowa). Ale zaraz, oczywiście, że to się zaczęło wcześniej. Dużo, dużo wcześniej. Jak dawno temu? Ile lat? Jak głęboko to sięgało?

Ale to było równanie na kiedy indziej. Winda zatrzymała się na jej piętrze, a kiedy drzwi się otworzyły, zobaczyła oficjalne pismo, niewyraźnie skopiowane i przyklejone do drzwi taśmą. Na pewno zedrze płaty farby, kiedy będą ją zdejmować. Z przemożnym smutkiem zdała sobie sprawę, że jej to nie obchodzi, bo już tu nie mieszka.

Ile razy opuszczała dom? Raz, kiedy wyjeżdżała na studia. A potem żeby stworzyć nowy, z mężem. Za każdym razem coraz bardziej oddalała się od miejsca, gdzie spędziła dzieciństwo, gdzie raczkowała, chodziła, biegała, bawiła się w chowanego z koleżankami, uczyła się gotować, całować z chłopakami i dostawać piątki ze

wszystkich przedmiotów. Ale gdziekolwiek się znalazła, te pokoje i te korytarze zawsze były jej domem. Dla niej nigdy nie przestały być piękne. Nigdy nie pragnęła większej przestrzeni, lepszej okolicy ani nawet przyjemniejszego widoku z okien. To było jej miejsce, i w zupełności jej wystarczało. Wynajmowali brzydkie powojenne mieszkanie przy Pierwszej Alei, kiedy jej ojciec poznał Evę, od dawna zakorzenioną w swoich ośmiu wysokich pokojach przy Siedemdziesiątej Trzeciej. Nie zamierzała ich opuszczać. W dniu, w którym jej ojciec zaproponował, że przepisze mieszkanie na nią – dość nonszalancko, podczas lunchu – wróciła do siebie i się rozpłakała. Ulżyło jej. Jak inaczej zapewniliby Henry’emu dzieciństwo w Nowym Jorku, którego tak dla niego pragnęła, skoro nie mogli się zatrudnić na Wall Street i nie mieli udziałów w funduszu hedgingowym? Musieliby się gnieździć w swojej klitce z białej cegły aż do dnia, kiedy Henry wyjechałby na studia.

A dzisiaj na drzwiach jej domu wisiało pismo z policji. Drzwi były uchylone i przez szparę dobiegały odgłosy rozmów i kroków na drewnianym parkiecie, jakby w środku trwała w najlepsze nie za dobrze się zapowiadająca impreza. Przez chwilę musiała walczyć z impulsem, żeby zapukać.

– Nie może pani wejść – oznajmiła jakaś kobieta, jak tylko przekroczyła próg.

– Naprawdę? – zapytała.

Nie miała już siły walczyć. Ale też nie chciała sobie pójść. Niby dokąd miałyby pójść?

– Kim pani jest? – zapytała kobieta. Trochę głupio. Czy to nie było oczywiste?

– To moje mieszkanie – odparła Grace.

– Mogę zobaczyć jakiś dokument?

Znalazła prawo jazdy i policjantka je zabrała. Była otyła i bardzo blada. Miała źle ufarbowane włosy, na kolor, który na nikim nie wyglądałby dobrze. Nie wzbudzała ani śladu sympatii.

– Niech pani tu poczeka – rozkazała kobieta i zostawiła ją w progu jej własnego mieszkania. Poszła przez jej przedpokój do jej sypialni.

Z pokoju Henry’ego wyszli dwaj mężczyźni w białych kombinezonach. Minęli ją i poszli do jadalni. Nie powiedzieli ani słowa, ani do niej, ani do siebie. Wychyliła się trochę, żeby zobaczyć, co się dzieje za nimi. Dostrzegła róg rozkładanego stołu, który nie należał do niej. Ale nie chciała się ruszać z miejsca, gdzie kazano jej stać. Stało się to swego rodzaju wyzwaniem. Poza tym im więcej widziała z tego, co się działo w jej mieszkaniu, tym mniej chciała wiedzieć.

Przyszedł Mendoza i oddał jej prawo jazdy.

– Trochę nam to zajmie – powiedział.

Kiwnęła głową.

– Mogę zobaczyć nakaz?

– Tak.

Wysłał policjantkę do jadalni. Wróciła z dłuższą

wersją dokumentu przypiętego do drzwi.

– Przeczytam to – powiedziała. To było idiotyczne, ale Mendoza zachował się taktownie i się nie uśmiechnął.

– Oczywiście – odparł. – Niech pani usiądzie.

Najdziwniejszym gestem wskazał na jej własny salon.

Weszła, z torebką w jednej ręce i zszytymi dokumentami w drugiej, i usiadła w fotelu. Nie był to ten fotel, na którym zawsze siadał jej ojciec, ale stał w tym samym miejscu, naprzeciwko drzwi, między dwoma oknami wychodzącymi na Osiemdziesiąt Pierwszą. Zwykł siadać tam na imponującym, chociaż niezbyt wygodnym fotelu, który potem zabrał do Ewy, z założonymi nogami i najczęściej z whisky w ciężkiej kryształowej szklance (do dziś stała w barku w rogu pokoju, najwyraźniej miał do niej mniejszy sentyment niż do fotela). Z tego miejsca zabawiał gości, co jakiś czas wstawał, żeby zrobić im i sobie drinka. Jej rodzice, jak przystało na ludzi ich epoki, umieli podejmować gości. Byli doskonale zorganizowani i sprawnie dzielili się obowiązkami. W tamtych czasach piło się więcej i nikt nie miał problemu. Albo wszyscy go mieli. Któż mógłby powiedzieć, że tak nie było lepiej? Na jednym ze stolików stały nawet srebrne pudełka pełne papierosów. Czasem je otwierała i wdychała ich zapach, wyobrażając sobie, że jest Dorothy Parker i zaciąga się dymem, i wygłasza jakąś błyskotliwą, przenikliwą uwagę. Pudełek oczywiście już od dawna nie było, ale

barek – przerobiony ze starego mebla, najprawdopodobniej angielskiego, służącego do przechowywania pościeli albo poskładanych ubrań – stał do dziś i wciąż był wypełniony butelkami z czasów jej rodziców: żytnią wódką, likierem miętowym i bitterami, których nikt już nie pił. Kiedy zapraszali z Jonathanem gości na kolację, podawali wino, czasem gin z tonikiem albo szkocką. Pili tak wolno, że jedna butelka od pacjenta Jonathana wystarczała im na długo. Choć kiedy teraz o tym myślała, nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz ktoś ich odwiedził.

Spojrzała na nakaz przeszukania, który trzymała w ręce, i próbowała zrozumieć, o co w nim chodzi, ale dość szybko pogubiła się w górnolotnym prawniczym żargonie. Nowojorski Sąd Kryminalny. Sędzia Joseph V. DeVincent. Niniejszym wyraża się zgodę na przeszukanie następujących nieruchomości.

A pod tym nagłówkiem jej własny adres, pod którym spędziła całe życie, od narodzin do dziś: Wschodnia Osiemdziesiąta Pierwsza 35, mieszkanie numer 6B.

A niżej:

Niniejszym wyraża się zgodę na przeszukanie i zajęcie...

W tym miejscu czcionka była mniejsza, jakby zamierzali zmieścić dużo tekstu. Nie miało sensu, bo wymieniano tylko jedną pozycję:

Telefon komórkowy nieznanej marki.

Ale przecież to mogła im powiedzieć, a przynajmniej

podpowiedzieć, gdzie mogą go znaleźć. Wystarczyłoby zapytać. W końcu potwierdziła, że telefon jest w domu!

Wtedy zrozumiała: nie o to chodziło. Chcieli znaleźć Jonathana i coś, co by go wiązało z Malagą, z jej życiem albo śmiercią. Tak naprawdę przyszli nie tylko po komórkę. Przyszli po coś, co by im pomogło osiągnąć któryś z tych celów. Zamknęła oczy i zaczęła nasłuchiwać. W starych kamienicach dźwięk nie niesie się tak dobrze jak w nowych, ale mieszkała tam dostatecznie długo, żeby wiedzieć, gdzie się kręcą obcy ludzie. Z jadalni dobiegały odgłosy cichej rozmowy, a w szafie w przedpokoju coś szeleściło. Zarejestrowała też, że ktoś zamknął szafę w pokoju Henry'ego, a ktoś inny głucho docisnął drzwi lodówki w kuchni. Ilu ich było?

Wstała i wyjrzała na korytarz prowadzący do jej sypialni. Drzwi, które prawie na pewno rano zostawiła uchylone, były zamknięte. Zdała sobie sprawę, że wiedzieli, że telefon jest właśnie tam. Zajrzeli, zobaczyli go i zamknęli drzwi, żeby go nie znaleźć zbyt szybko i móc przeszukać resztę mieszkania. Przez chwilę paraliżowała ją złość. Kiedy się uspokoiła, wróciła na fotel.

Przeszło obok niej dwóch funkcjonariuszy. Skręcili do przedsiionka. Jeden niósł komputer Jonathana, drugi pudło z dokumentami.

To było do przewidzenia.

A szuflady pełne książeczek czekowych

i kalendarzyków? Wiedziała, że gdzieś je przechowywał. Na pewno je znajdą, bo w przeciwieństwie do niej nie będą się bali szukać.

Pierwszy oficer, ten, który niósł komputer, znów ją minął. Wrócił do pokoju. Tym razem wyniósł pudło z papierami. Tego też nie przejrzała.

Znów zjawił się ten drugi. Usłyszała głos Mendozy. Mówił do kogoś. Stał pod drzwiami jej sypialni. Słyszała, jak ktoś je otwiera. Zastanawiała się, który z nich dwóch nacisnął klamkę.

Kobieta siedząca w jej jadalni zaśmiała się głośno.

Grace usiadła wygodniej i gwałtownie zakaszła. Wyobraziła sobie, jak ci dwaj wchodzi do jej sypialni, rozglądają się i zauważają, a może nie zauważają komórki, którą położyła na szafce przy łóżku. Jak długo mogli jej legalnie nie zauważać? I co jeszcze zobaczą podczas przeszukania?

Na podłodze leżały ubrania. Nie powinny leżeć na podłodze, ale przecież Mendoza nie będzie tego wiedział. Nie zorientuje się, że brzydka koszula z napisem „Sachs” jest czymś więcej niż tylko brzydką koszulą. Może nawet nie zauważy, że jest brzydka. Nie zrozumie, jaką wyrwę w jej życiu zrobiła ta jedna prezerwatywa. Nie będzie go obchodziło, kto kupił szalik i co się stało ze sznurem szarych pereł. Nic by o nich nie wiedział, tak jak o naszyjniku z szafirami, który należał do jej matki, i o skórzanej sportowej torbie. Ale mógł wiedzieć o innych rzeczach. Szukał

odpowiedzi na pytania, których ona sobie nie zadała. Wzięła tak głęboki wdech, że prawie ją zabołało. Pierwszy raz od lat żałowała, że nie ma papierosów.

Mendoza przeszedł korytarzem i skręcił w stronę drzwi. Zdawał się nie pamiętać o jej istnieniu. Z niedowierzaniem zauważyła, że niesie foliową torebkę ze szczotką do włosów Jonathana.

Ponad wszelką wątpliwość była to jego szczotka: droga, drewniana, kupiona w dopiero co odrestaurowanej aptece na rogu Lexington Avenue i Osiemdziesiątej Pierwszej, z włosa jakiegoś zwierzęcia, nie pamiętała jakiego. Miała być niezniszczalna. Samo to, że stała się dowodem rzeczowym, było jak zastrzyk z czystej adrenaliny. Żaden nowojorczyk, który przeżył koszmar jedenastego września, nie mógł patrzeć obojętnie na szczotkę do włosów w foliowej torebce. Była to jedna z tych rzeczy, które zostały oderwane od normalności i wepchnięte do muzeum ikon udręki: spadające ciało, samolot, plakat z napisem: „zaginął”, wysoki budynek, szczotka w foliowej torebce. Oznaczała... W sumie mogła oznaczać kilka rzeczy, ale wszystkie były straszne.

Na krótką chwilę zapomniała, że już od jakiegoś czasu sytuacja jest straszna.

– Hej! – zawołała, najbardziej zaskakując samą siebie.
– Proszę zaczekać.

Szła przez salon. Wybiegła do przedsionka i zatrzymała Mendozę. Wskazywała palcem na szczotkę.

– Czy on nie żyje? – Musiała to z siebie wydusić.

Mendoza bacznie jej się przyjrzał.

– Czy. Mój. Mąż. Nie żyje – powtórzyła.

Zmarszczył brwi. Sprawiał wrażenie szczerze zdziwionego.

– A pani sądzi, że nie żyje? – zapytał w końcu.

– Tylko bez tego freudowskiego bełkotu – syknęła.

Dokładnie to samo usłyszała od klientki, Lisy, zaledwie... kiedy? Przedwczoraj?

Mendoza wydawał się dużo spokojniejszy od niej. Chyba w ogóle go nie zdenerwowała.

– Pani Sachs, nie mam pojęcia. Dlaczego pani o to pyta?

– Bo pytam i już! – odparła ze złością. – Dlaczego zabieracie jego szczotkę?

Mendoza spojrział na torebkę. Zastanawiał się, co odpowiedzieć.

– Zabieramy wiele rzeczy, które mogą nam pomóc w dochodzeniu. Ma pani wątpliwości co do legalności nakazu sądowego? Bo jeśli tak, to ktoś może to pani wyjaśnić.

– Nie, nie. – Pokręciła głową. – Po prostu chcę wiedzieć, jakie znaczenie ma jego szczotka do włosów.

Mendoza się zamyślił. Po chwili poprosił ją, żeby usiadła w salonie. Obiecał, że za kilka minut do niej przyjdzie i wszystko jej wytłumaczy.

Bez słowa wykonała polecenie. Czuła się taka potulna i uległa. Jeśli kiedykolwiek miała w sobie chęć walki, to

bardzo dawno temu. Wróciła na fotel, skrzyżowała nogi i splotła ręce. Czekwała. Przyszedł do niej bez zwłoki.

– Pani Sachs – powiedział i usiadł obok niej, na kanapie. – Sądzę, że chce nam pani pomóc.

– Niby skąd ten pomysł? – warknęła.

Ale natychmiast zrozumiała, że Mendoza się nie myli. Już nie. Coś się zmieniło. Jakaś głęboko ukryta, zardzewiała część jej wnętrza została przestawiona w inne miejsce. Kiedy to się stało?

Mendoza wzruszył ramionami. Patrzył na nią z głową lekko przechyloną na bok. Znała go zaledwie kilka dni, a już znała mowę jego ciała, jego tłustą szyję wylewającą się zza kołnierzyka. Ale nie byli sobie na tyle bliscy, żeby mogła mu zasugerować, by kupował koszule z większymi kołnierzykami, i miała nadzieję, że tak już zostanie.

– Pewnie stąd, że w tym momencie jest pani bardziej zła na niego niż na nas. I, między nami mówiąc, ma pani prawo.

– Proszę mnie nie traktować protekcyjnie – powiedziała oschle, ale znowu nie zdążyła skończyć zdania, kiedy zrozumiała, że chciał tylko być uprzejmy.

– Przepraszam, nie o to mi chodziło. Nieraz miałem do czynienia z podobnymi przypadkami. Może nie identycznymi, ale mężowie ukrywają wiele rzeczy przed żonami. Często zanim na scenie pojawię się ja, dochodzi do jakiegoś oszustwa, kradzieży albo nawet napaści. Pani przykład jest skrajny, ale znałem wiele kobiet,

które musiały przejść przez to, przez co pani teraz przechodzi. I chcę powiedzieć, że jest mi przykro. Żałuję, że dowiaduje się pani tego wszystkiego właśnie ode mnie.

I proszę sobie darować te manipulacje, chciała dodać, bo właśnie to robił. Tyle że nie miała już sił walczyć.

– Szczotka jest nam potrzebna do badań DNA – powiedział. – DNA jest nam potrzebne... z kilku powodów.

Dlaczego po prostu jej tego nie powiedział? Myślał, że się rozleci na kawałki?

– Ma pan na myśli miejsce zbrodni – oznajmiła, ale nie zrobiła na nim większego wrażenia.

– Tak. Ale również do testu na ojcostwo. Jest jeszcze kwestia ojcostwa. Pewnie pani wie, że pani Alves była w ciąży. Pisali o tym w „New York Post”. Na nich zawsze można liczyć. Biuro koronera to jedno wielkie sito. Nieważne, ile razy ich prosimy. Przykro mi, że musiała się pani dowiedzieć z takiego brukowca.

Grace czuła, że wytrzeszcza oczy. Czuła, że jej usta się otwierają, ale nic z nich nie wychodzi. Nic też nie wchodziło. Nawet oddech.

– Pani Sachs? – powiedział Mendoza.

– Niech pan nie będzie śmieszny.

Jej głowa oderwała się od ciała i galopowała po pokoju. Jak już do niej wróci, o ile wróci, będzie się śmiać bez końca. To, co powiedział, było niedorzeczne. Nie dlatego, że było nie na miejscu. Było logicznie

niedorzeczne. Mógł wziąć to swoje urojenie, że niby teraz są przyjaciółmi, i wsadzić je sobie w kieszeń, jeśli sądził, że to przełknie. Naprawdę mieli ją za aż taką kretynkę?

Na drugim krańcu przedpokoju, w jej własnej jadalni, ktoś się zaśmiał. Pewnie kobieta spod drzwi. I mężczyzna z komputerem. Ile osób było w jej mieszkaniu?

– Ale to i tak nieistotne – powiedział Mendoza. – I tak musielibyśmy zrobić test. Mąż pani Alves, co rozumiały, chce niezwłocznie zabrać zwłoki żony do Kolumbii. Pogrzeb odbędzie się tam. Będzie chciał pozamykać swoje sprawy. Wygląda na to, że już tu nie wróci. Koroner wydał ciało, ale on nie chce dziecka, tej małej. Rozumie pani.

Nie rozumiała. Naprawdę nie rozumiała, o co mu chodzi. Znalazła siłę, żeby pokręcić głową.

– Pan Alves żąda przeprowadzenia testu na ojcostwo. Utrzymuje, że nie jest ojcem dziecka. Oczywiście nie możemy go zmusić, żeby je zabrał, ale trzeba to wyjaśnić. Nalega na to jego adwokat. Pomoc społeczna też. Musimy to przyspieszyć.

Baczenie się jej przyglądał. Kiedy i ona na niego spojrzała, nagle zrozumiał. W ten sposób ona zdała sobie z tego sprawę.

Zaczęła płakać. Zrozumiała wszystko, dopiero kiedy podał jej chusteczkę. Prawdziwą chusteczkę, nie papierową. Dotknęła swojej odrętwiałej twarzy.

– Bardzo mi przykro – powiedział. Prawie poklepał ją po ramieniu. – Po prostu... Naprawdę sądziłem, że pani wie.

CZEŚĆ III

PO

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Dawczyni dobrodziejstw

W roku 1936, kiedy niewielu jego sąsiadów miało dokąd jeździć do pracy, dziadek Gracie ze strony matki, Thomas Pierce, wstawał codziennie około piątej rano i łapał pociąg do Nowego Jorku. Pracował w reklamie, co nie było spełnieniem jego młodzieńczych marzeń, ale firma była wypłacalna, a jej prezes dawał mu do zrozumienia, że docenia jego pracę. Poza tym jeśli się musiało omijać zwłoki, żeby się wydostać z dworca Grand Central, jeśli od drzwi biura na szerokość całej alei ciągnęła się kolejka za chlebem, a w domu w Connecticut czekała żona w zaawansowanej ciąży, to trudno było się nie uważać za szczęściarza, który nie powinien się zbytnio martwić o przyszłość.

Mieli już chłopca, Arthura, i Thomas w duchu liczył na drugiego, ale Gracie była pewna, że urodzi dziewczynkę. Zamierzała ją nazwać Marjorie Wells. Wells – jej panięńskie nazwisko.

Zazwyczaj Thomas wracał do domu około szóstej trzdzieści, a mieszkali w osobliwej kamienicy (z okrągłą wieżą z dachem udającym drewniany) w części Stamford zwanej Zakrętem Rzeki. Kiedy

wracał, robił sobie drinka, a jego żona odkładała niemowlę do łóżeczka i robiła jemu i sobie kolację. Jeśli wziąć pod uwagę to, że Gracie wychowywała się ze służącymi i nikt jej niczego nie uczył, trzeba było przyznać, że dobrze sobie radziła w kuchni. Korzystała z czegoś, co nosiło tytuł *Książka z przepisami Pani Wilson* i zawierało przepisy na dania, które znała z dzieciństwa, i kilka odważnych wynalazków, jak chop suey, czyli azjatycki przysmak z wieprzowiny, kapusty, cebuli i gęstego brązowego sosu. Odkryła też książkę zatytułowaną *Potrawy osadników*. Gdy na ich stole zaczęły się pojawiać babki i naleśniki z macy, Thomas ucieszył się i jednocześnie poczuł się winny. Bo nigdy nie wyjawiał żonie, że jego matka była Żydówką.

Pewnego wieczoru wychodził z pracy z nowym kolegą, George'em. Firma zatrudniła go do pisania scenariuszy radiowych. Okazało się, że George mieszka tymczasowo z rodziną siostry w Darien. Niezbyt wygodne rozwiązanie. Zanim pociąg dojechał do Greenwich, Thomas Pierce zaprosił go na kolację. Nie miał jak uprzedzić Gracie. Telefon na stacji nie działał, a kiedy chcieli spróbować w aptece, w kolejce do budki stały już dwie osoby. Więc po prostu pojechali do domu. Na miejscu byli o zachodzie słońca.

Oczywiście się rozzłościła, ale zrobiła dla obydwu drinki i poszła do kuchni zastanowić się, co robić. Niestety tego wieczoru nie przyrządziła chop suey, posiłek był znacznie mniej obfity. Rano kupiła

u rzeźnika cztery – i tylko cztery – kotlety jagnięce. Jedynym pomysłem, jaki jej przyszedł do głowy, było ugotowanie większej ilości ziemniaków. Kiedy dziecko zasnęło, nalała sobie odrobinę sherry i dołączyła do męża i jego kolegi.

Przynajmniej nie rozmawiali o pracy. Rozmawiali o siostrze George'a, która wyszła za dość agresywnego typu i wszystkich studentów uważała za mięczaków. Gracie już dawno uznała, że George jest mięczakiem, ale to nie było ważne.

– Współczuję twojej siostrze – powiedziała.

– No tak. Chociaż mogę zrozumieć, dlaczego to zrobiła.

Wypili jeszcze trochę i Gracie położyła kotlety na opiekaczu. Nakryła w jadalni dla trzech osób. Gdyby wiedziała z wyprzedzeniem, gdyby Thomas dał jej chociaż dwie godziny, zrobiłaby potrawkę i jedzenia starczyłoby dla wszystkich. W *Potrawach osadników* był przepis, który od jakiegoś czasu chciała wypróbować –

na potrawkę brunszwicką. Mogła ją zrobić z kurczakiem zamiast wołowiny. Przyrządzanie posiłków przy ograniczonym budżecie było jej specjalnością. Przez cztery lata małżeństwa – i, tak się złożyło, cztery lata kryzysu – odkładała część pieniędzy, które dostawała na prowadzenie domu. Cztery, nawet pięć dolarów tygodniowo. Ilekroć potrzebowali czegoś do domu, dla dziecka, nawet dla Thomasa, mówiła, że będzie to kosztowało trochę więcej, niż sądziła, i resztę

zatrzymywała. Było prawie tak, jakby miała pracę. Wiosną otworzyła konto w banku First Stamford. Był to, rzecz jasna, rachunek wspólny, choć Thomas nic o nim nie wiedział.

– Tak by było najlepiej – mówił właśnie gość, kiedy wróciła z kotletami.

Obydwaj byli mili – George, który niemal konał z głodu, doceniał jej gościnność – ale żaden nie powiedział ani słowa o jej posiłku, na który składały się tłuczone ziemniaki. Gość nie przestawał mówić, żeby przeżuć, i Gracie, nie dość, że odjęła sobie wytęsknioną jagnięcinę od ust, musiała jeszcze się przyglądać jej postępującemu rozkładowi. Ale skupiła się na ziemniakach i starała się uczestniczyć w rozmowie.

W części miasta zwanej Tudor City, we wschodniej części, w pobliżu ulicy Czterdziestej, dobry kawałek od pracy, było pewne mieszkanie. George był w nim i oglądał je ze znajomą – Gracie pilnowała się, żeby nie zapytać – i okazało się wyjątkowo przytulne. Nie trzeba mu było tłumaczyć, że może je wynająć za grosze, zważywszy na sytuację i na to, że połowa mieszkań w kamienicy stała pusta. Ale w tym był sęk: nie miał nawet grosza. Tylko pensję i domek w północno-zachodniej części Connecticut, którego nikt nie chciał kupić.

– W jakim miasteczku? – zapytał Thomas z czystej uprzejmości.

Najbliższa wioska nazywała się Falls Village.

Niedaleko Canaan, powiedział George. Domek stał nad jeziorem i kiedyś należał do jego matki. A teraz to on był właścicielem. Nie był tam od kilku lat. Wystawił dom na sprzedaż przez agenta z Lakeville. Doskonały moment, co? Jak dotąd nikt go nawet nie obejrzał.

Gracie chciała wiedzieć, jaki to dom. Musiała mu oznajmić, że nie ma więcej kotletów, ale podsunęła mu miskę z ziemniakami.

George powiedział, że to stary dom, z końca dziewiętnastego wieku. Później, około roku 1905, jego rodzice postawili coś w rodzaju przybudówki, z kuchnią na parterze i sypialnią na górze. Więc w sumie na piętrze były trzy sypialnie. Dom stał na kilku akrach ziemi, mniej więcej czterech, ale George'owi udało się sprzedać te działki tuż przed krachem, więc teraz należało do niego tylko pół akra, ale to pół akra ciągnęło się aż do jeziora. Jezioro nazywało się Childe. Tak się nazywał również George: Childe.

– Za ile chcesz go sprzedać? – spytała Gracie.

Przestała jeść.

Kiedy podał cenę, wstała i poszła na górę. Książeczkę czekową trzymała w górnej szufladzie komody. Skórzana okładka stawiała opór, kiedy się ją otwierało. Gracie nigdy wcześniej nie wypisała czeku.

Trudno było powiedzieć, którego z nich wprowadziła w większe osłupienie.

Moja żona, dawczyni dobrodziejstw, intonował czasem Thomas Pierce, wiele lat po tamtej kolacji,

i wykonywał zamaszty gest. Był panem na włościach, ziemianinem. Lubił patrzeć na swoją posiadłość. Lubił siadać z gośćmi na werandzie i patrzeć na trawnik, który opadał ku chlupoczącemu brzegowi jeziora. Lubił patrzeć, jak jego dzieci, Arthur i Marjorie, bawią się przy pomoście, jak udają, że są rybami. Zazwyczaj spędzał tam cały sierpień. Nigdzie nie był tak szczęśliwy. Po wojnie (udało mu się wrócić z południowego Pacyfiku, jego przyjaciel George miał mniej szczęścia) powiedział żonie, że odgłos deszczu uderzającego o taflę jeziora był tym, czego nasłuchiwał, kiedy próbował zasnąć pod gołym niebem, z dala od domu.

Kamienny dom w Stamford, ten z wieżą i imitacją drewna, dostał Arthur. Sprzedał go i przeprowadził się, nie wiedząc czemu, do Houston. Grace Reinhardt Sachs, jego siostrzenica, nigdy go nie poznała.

Domek nad jeziorem odziedziczyła Marjorie, która miała urodzić Grace i która spędziła w nim każde lato swojego życia, z wyjątkiem, o dziwo, lata tego roku, kiedy przyszła na świat jej córka. Po jej śmierci dom przejęła Grace. Ona też go uwielbiała, jak matka, dziadek i jej imienniczka – gospodarna i inteligentna babcia. Ale żadne z nich nie potrzebowało go tak jak ona teraz.

Dokąd mogłaby pojechać tego popołudnia, kiedy uciekała z domu przy Osiemdziesiątej Pierwszej z torbą ubrań syna, walizką książek i laptopów, rwącym się

foliowym workiem z bielizną, swetrami i kosmetykami i bardzo drogimi skrzypcami? Fasada była już rozświetlona, jak na premierze filmu, a chodnik zajmowały dwa wozy transmisyjne, płatanina kabli i wyczekujący, rozgadany, ryczący pluton egzekucyjny. Wilk znalazł jej dom i już zaczął się mościć, żeby na nią czekać. Jeden ze szwajcarów w akcie niespodziewanej łaski zaprowadził ją bez słowa do podziemi, wziął torbę i walizkę i wypuścił ją na tylną uliczkę. Przy Madison Avenue pomógł jej wpakować się do taksówki i odmówił wzięcia napiwku. Z drugiej strony wyglądało na to, że nie może jej już spojrzeć w oczy.

Zaledwie trzy godziny później jechali z Henrym na północ, wypożyczonym samochodem. Pogoda (było zimno i pochmurno) doskonale odzwierciedlała milczący chłód w aucie. Mogła powiedzieć Henry'emu tylko tyle, że z dziadkiem wszystko w porządku, z Evą też, że coś się stało i oczywiście wszystko mu wytłumaczy, i nie będzie kłamać (nie bardzo, dodała w duchu), ale nie teraz, bo teraz musi się skupić na prowadzeniu. To akurat było prawdą. Droga była kręta, a do tego śliska. Raz czy dwa (i nie były to żadne zwidy) widziała na drodze plamy czarnego lodu. Raz czy dwa wyobraziła sobie siebie i swojego syna w samochodzie, który wpada w poślizg i rozpryskuje się w drobny mak. Ścisnęła wtedy mocniej kierownicę, aż ją bolały plecy, i myślała (pierwszy raz, z niesłabnącym przerażeniem): nienawidzę cię za to.

Był miłością jej życia. Towarzyszem, partnerem, mężem. Wszystkim tym, co pomagała swoim klientkom odkryć w ich mężczyznach i na co – według niej – zasługiwały potencjalne czytelniczki jej książki. A teraz miała nie przeżyć ani jednego dnia, nie nienawidząc go. Ani jednego dnia, aż do śmierci. Miała wrażenie, jakby musiała wymienić każdą komórkę swojego ciała, która wybrała Jonathana, wielbiła go i o niego dbała, na taką, która go odrzuci i znienawidzi. Jakby musiała przepuścić je wszystkie przez monstrualną maszynę do dializ, żeby je rozebrała i oczyściła. Ale nowa, oczyszczona Grace nie funkcjonowała tak, jak powinno funkcjonować ludzkie ciało. Nie umiała prosto stać, mówić, czuć, troszczyć się o Henry’ego ani prowadzić samochodu z właściwą prędkością na krętej, prawdopodobnie oblodzonej drodze, z dzieckiem na sąsiednim fotelu. Jej ciało było tak skupione na tym, żeby dotrzeć do celu, że nie miało pojęcia, co robi, kiedy tam dotrze.

Przynajmniej znała trasę. Jeździła nią od tak dawna, że stała się niemal mityczna. Najpierw jeździła rodzinnym kombi z drewnianymi panelami, wypełnionym miesięcznymi zapasami dla siebie i matki. (Ojca odbierały z dworca w każdy piątek i odwoziły w niedzielę po południu). W liceum jeździły tam we dwie z Vitą, żeby się oddawać różnym niestosownym przyjemnościom (czasem z chłopakami), a raz, na studiach, zrobiły sobie hałaśliwy nostalgiczny weekend

z udziałem wszystkich rówieśników z Reardena. Pili piwo i oglądali pamiątkowe albumy z liceum. Tam pojechała, żeby napisać pracę magisterską, wiosną, po tym jak poznała Jonathana. On został, miał dyżury na oddziale chorób zakaźnych w Brigham i w szpitalu dla kobiet, a ona tęskniła za nim tak bardzo, że cały czas czytała pożółkłe powieści z kolekcji matki i zaledwie zaczęła pisać pracę o Skinnerze.

No a potem było wesele, tam, na pochyłym trawniku, zaledwie kilka miesięcy później. Może trochę za wcześnie – tak by powiedziała jej matka – ale ona była staromodna (w jej mniemaniu zaręczyny w stylu Edith Wharton powinny być udziałem wszystkich par), a poza tym matka już nie żyła, więc nie mogła zgłosić sprzeciwu. A ojciec... No cóż, przecież nie prosiła o nie wiadomo co. Chcieli się pobrać, a nie tylko razem mieszkać. Dla obojga było to ważne. A w każdym razie dla niej. A Jonathan pragnął tego, czego pragnęła ona. Nie zależało im na uroczystości religijnej ani na obnoszeniu się z bogactwem. Byli po prostu dwojgiem ludzi, którzy mieli to szczęście, że się odnaleźli, i którzy dopiero wkraczali na zawodowe ścieżki, i mieli podobną wizję przyszłego życia: wygoda i godność, dzieci, zmniejszanie ludzkiego cierpienia, przynajmniej w kilku jego niezliczonych formach. Pragnęli być dostatecznie zamożni, żeby się czuć bezpiecznie, może mieć trochę fajnych rzeczy, ale nic krzykliwego i pospolitego. Chcieli być zadowoleni i czuć się

spełnieni, zasłużyć na szacunek rówieśników i wdzięczność pacjentów. W zamian wystarczyłoby im świadomość, że ich talent, ciężka praca i altruizm służą innym. Nie była to przesadzona wizja. Nie było w tym... jechała na północ, w głąb wczesnozimowej ciemności, i szukała właściwego słowa. Nie było w tym pychy.

A co do jego rodziny... rozmawiali o tym nieraz. Widziała się z nimi tylko podczas tamtej wymuszonej i głęboko niesatysfakcjonującej kolacji w chińskiej restauracji, ze spacerem wokół Rockefeller Center. Jonathan sam ledwo się z nimi widywał, odkąd podjął pracę w Hopkinsie. Od studiów nie wspierali go ani finansowo, ani w żaden inny sposób. Wykształcenie zafundowali mu członkowie szpitalnej rady powierniczej, on sam dzięki pracy na pół etatu i pewna bezdzietna starsza pani z Baltimore, która interesowała się jego karierą. Poznał ją, kiedy dostarczał krzesła na imprezę. Na ostatnim roku studiów zamieszkał w jej pokoju gościnnym. Kiedy Grace chciała zaspokoić naturalną ciekawość, dowiedzieć się czegoś o jego rodzinie, zbywał ją. Mówił, że pyta o ludzi, którzy nie chcieli go kochać, nie rozumieli jego ambicji, tego, że chce zostać lekarzem, którzy odmawiali wzięcia na siebie choćby części odpowiedzialności za jego potrzeby. A jednak mieli wziąć ślub, który, jakkolwiek by na to patrzeć, miał być nowym początkiem, więc warto było stawić czoła trudnym tematom. Zostali zaproszeni, ale nie odpowiedzieli, i dopiero później,

kiedy oglądała zdjęcia, dowiedziała się, że młody mężczyzna – wysoki i trochę pulchny, z takimi samymi kręconymi włosami jak Jonathan, ale bez jego szerokiego uśmiechu i delikatnego usposobienia – był jego młodszym bratem Mitchellem. Przyjechał, zobaczył i pojechał, nie zamieniając z nią słowa.

Co za rodzina, pomyślała wtedy.

Jakim cudem udało im się wydać na świat kogoś takiego jak Jonathan?

Ona miała na sobie sukienkę, którą znalazła w sklepie ze starą odzieżą przy Harvard Square – edwardiańską, jak sądziła sprzedawczyni – a do tego buty od Petera Foksa w East Village i naszyjnik z toaletki mamy. Na wesele zaprosiła tylko Vitę, bo nie zamierzała robić rankingu koleżanek ze studiów: trzech, z którymi mieszkała w akademiku, dwóch, z którymi spędziła lato w winnicy – pracowała tam jako kelnerka – koleżanek z seminarium o Virginii Woolf, z którymi zżyła się tak, że przez następnych osiemnaście miesięcy spotykały się na comiesięczną herbatę (i konopie indyjskie). Tylko Vita, bo przyjaźń z nią przesłaniała każdą inną znajomość, jaką nawiązała od dnia, kiedy wyjechała z domu na studia.

Oczywiście z wyjątkiem znajomości z Jonathanem.

Jonathan przesłaniał Vitę.

Stało się to jasne na samym początku, tej pierwszej nocy na akademii medycznej – a dokładniej: pod akademią medyczną – kiedy Vita jej szukała, a ona

poszła szukać toalety, a zamiast niej znalazła rozczochranego, uśmiechniętego, pełnego życia studenta medycyny z koszem na bieliznę i książką o rzece Klondike.

No świetnie, to ja już sobie daruję chodzenie na randki.

Przez cały czas prawie się nie ruszyli z miejsca. Jonathan poszedł tylko włączyć pranie, a ona skorzystała z toalety, która na szczęście była tuż za rogiem. To niesamowite, ile się o sobie dowiedzieli. Po trzydziestu minutach wiedziała nie tylko to, co najważniejsze – w jakich warunkach dorastał, jaką miał rodzinę, do jakich szkół chodził i jakie pobierał stypendia – ale też znała znacznie bardziej intymną geografię jego świata i miejsca, które pragnął w nim sobie urządzić. W dodatku przyszło im to tak łatwo, bez owijania w bawełnę, bez udawania obojętności. Jonathan nie bał się zapytać wprost, kim jest i czego chce od życia. A kiedy mu powiedziała, nie bał się przyznać, że chce tego samego.

Kiedy pół godziny później zjawiła się Vita, była zmartwiona – wyraźnie zmartwiona – ale Grace odwróciła do niej rozpromienioną twarz i krzyknęła:

– Vita! To jest Jonathan Sachs.

I nie musiała nic dodawać, jej, swojej najlepszej przyjaciółce, która widziała z bliska jej nieliczne, ale konieczne związki z gorszymi facetami, nie musiała mówić: Patrz, kogo znalazłam! To jest ten jedyny.

Patrzcie, oto ten jedyny.

Naturalnie Vita, kiedy zobaczyła Jonathana Sachsa po raz pierwszy – rozczochanego, ale uroczonego, piekielnie inteligentnego, ambitnego, empatycznego i już zdecydowanego na pediatrię (onkologia miała dojść później) – zachowała się bardzo grzecznie. Grace ją znała i rozumiała. Jej przyjaciółka tak samo zachowywała się w obecności najbardziej znienawidzonych nauczycieli z Reardena, ledwo tolerowanego ojca i rodziców chłopaka, z którym chodziła od zeszłej zimy – też był na tej imprezie, i czekał na nią na górze – którym wydawało się, że wyświadcza jej przysługę, ukrywając swój ewidentny antysemityzm. Sympatyczna, miła, słodka... nienawiść. Grace to martwiło, ale wierzyła, że z czasem będzie lepiej. Musiało tak być, bo nie zamierzała rezygnować z najstarszej przyjaciółki, najbliższej przyjaciółki, a na pewno nie wypuściłaby z rąk tego pięknego, serdecznego, genialnego i fascynującego mężczyzny. Usilnie czekała, aż nastąpi nieunikniona poprawa, ale czekanie stawało się coraz trudniejsze i w końcu zaczęło ją irytować. W dodatku ciągle trwał ten wczesny etap zakochania – nie żeby miała w tych sprawach aż takie doświadczenie, żeby działać według jakiegoś schematu – który nie służy kontaktom towarzyskim. Już i tak musieli znajdować czas między jego zajęciami i praktykami a jej kursami (ostatnie lata studiów to nie bułka z masłem). Tym trudniej im było włączać Vitę we

wspólne wieczory, które miały na ogół bardzo intymny charakter. Przy nielicznych okazjach, kiedy udawało im się spotkać we trójkę, w powietrzu wisiało wyczuwalne napięcie. Duże napięcie. Jonathan próbował – widziała, jak bardzo się starał – pytać Vitę o jej sprawy, o to, co jest dla niej ważne, co chce robić w życiu, patrzył na nią z uwagą należną tylko najlepszej przyjaciółce (i współlokatorce) kobiety, którą się kocha, a mimo to Vita nie dopuściła go do siebie.

– Przyszło ci na myśl, że może być zazdrosna? – zapytał Grace którejś jesieni.

– Nie gadaj głupstw – odparła.

Kiedyś Vita akceptowała albo nie akceptowała każdego chłopaka, z jakim Grace się spotykała, od siódmej klasy. Niektórych aprobowała z dzikim entuzjazmem, innych uważała za niegodnych przyjaciółki pod tym czy innym względem (czasem pod każdym). Ale to, że się tak mocno odcięła od Jonathana, już po tamtej pierwszej nocy w piwnicy akademii medycznej, i utrzymywała dystans przez prawie rok, aż do ślubu, a potem nagle się pożegnała i oddaliła za jakiś własny horyzont – to było coś nowego, całkiem innego. Oddaliła się najwyraźniej na zawsze.

Wypożyczony samochód był hondą. Albo czymś, co brzmiało jak honda. Nie zwróciła uwagi. Wskazała tylko palcem na zalaminowaną tablicę i pomyślała: samochód. Nie znała się na samochodach, w ogóle jej nie obchodziły. Przez chwilę mieli saaba – Jonathan

kupił go od ojca swojego pacjenta, ale wynajmowanie garażu było absurdalnie drogie, a używali go tylko latem. Przez ostatnich kilka lat wypożyczała samochód na dłużej przez agencję z West Side, ale teraz na West Side miała za daleko i z jakiegoś powodu nie była w stanie tam pojechać. Nie chciała spotkać nikogo, kto ją znał, choćby tylko jako imię i nazwisko na umowie najmu.

Wyczuła palcami przyciski na desce rozdzielczej i zaczęła naciskać po omacku. Wreszcie któryś otworzył boczne okno. Łapczywie łapała zimne powietrze.

Było już ciemno, kiedy wjeżdżali na drogę numer dwadzieścia dwa. Zaczynała się w Brewster, tam, gdzie kończyła się sześćset osiemdziesiąt cztery. Istniały szybsze trasy. Przez lata wypróbowała ich wiele. Ale w tej, którą jechała teraz, było coś kojącego. Lubiała mijać ledwo istniejące miasteczka: Wingdale, Oniontown, Dover Plains. Za Amenią zjechała na Connecticut. Henry, który zasnął nad książką, nagle się wyprostował i poprawił pasy.

– Jesteś głodny? – spytała.

Powiedział, że nie, ale ona wiedziała, że na miejscu nie będzie nic do jedzenia i że nie będzie chciała już nigdzie jechać, więc zatrzymali się w pizzerii w Lakeville. Usiedli przy jedynym stoliku, którego nie zajmowali studenci Hotchkissa. Pizza świeciła się od tłuszczu, a sałatka, którą zamówiła dla siebie, była polana sosem tak obficie, że zdawała się na jej oczach

zamieniać w zupę. Oboje pałaszowali, jakby nie mieli o czym rozmawiać. Zanim ruszyli w dalszą podróż, kupili w sklepie mleko i jabłka. Grace rozglądała się jeszcze za czymś, co mogliby zjeść, ale nic nie znalazła. Nawet co do mleka i jabłek nie miała pewności. Wyobraziła sobie, że mówi Henry'emu: od dzisiaj żyjemy na mleku z jabłkami. Zapytała o lody Ben & Jerry's, ale mieli tylko czekoladowe.

– Jak długo tam będziemy? – spytał Henry.

– Jak długi jest kawałek sznurka? – Tak zwykła odpowiadać na pytania, na które nie da się odpowiedzieć.

Wiedziała, że w grudniu lepiej nie korzystać ze stromego podjazdu. Gdy taszczyła torby na werandę na tyłach domu, przeszył ją chłód. Chciała jak najszybciej wprowadzić Henry'ego do środka, ale okazało się, że tam wcale nie jest cieplej. Henry włączył górne światło i stanął osłupiały na środku.

– Wiem – powiedziała Grace. – Rozpalmy w kominku.

Ale nie mieli drewna. Zużyli resztki we wrześniu, kiedy przyjechali zamknąć dom na zimę. Koce leżące w sypialniach na piętrze nadawały się na chłodne letnie noce albo burze, ale nie na przeszywający ziąb, który zdawał się wdzierać do środka przez każdą szparę. Dom nie nadawał się na tę porę roku. Przez całą drogę starała się o tym nie myśleć.

– Jutro – powiedziała – kupimy grzejniki. I drewno do

kominka.

Zamilkła. Już miała dodać, że to ich przygoda, odważny eksperyment, ale Henry w ciągu ostatnich kilku godzin przestał być chłopcem, który by w to uwierzył. Teraz był chłopcem, który bez słowa wsiadł do wypożyczonego samochodu, niedbale załadowanego ich rzeczami, i wyruszył w nieznane. Uciekał przed cudzymi zbrodniami. Jego matka zresztą też.

– Henry?

– Tak?

Nie ruszył się. Stał z rękami w kieszeniach kurtki i wydmuchiwał parę z ust.

– Zajmę się tym – powiedziała.

Zdziwiła ją własna pewność. Wcześniej nie wybiegała myślą poza samą ucieczkę. W ogóle się nie zastanawiała nad tym, co będzie porankiem ani co będzie w nadchodzącym tygodniu. Henry’emu zostało siedem dni szkoły przed przerwą świąteczną, a ona miała pacjentów. Samochodu nie mogła trzymać bez końca. Niedługo miała się ukazać jej książka. Do tego istniało całkiem duże prawdopodobieństwo, że jej nazwisko –

Chryste, jej twarz – pokazują właśnie w telewizyjnych wiadomościach albo na jakimś portalu, że widzą je wszyscy koledzy po fachu, wszyscy rodzice z Reardena, każdy, kto znał jej męża lepiej, niż ona znała samą siebie. Ale w tamtej chwili nawet te okropne rzeczy wydawały się zbyt abstrakcyjne, żeby miała na nie tracić resztki przytomności i woli. Jej świat stał się bardzo

mały i wyludniony. Zajmował obszar o promieniu zaledwie kilku metrów.

– Poradzimy sobie – powiedziała, a po chwili, karmiąc się kruchą nadzieją, że przynajmniej Henry w to uwierzy, powtórzyła to jeszcze raz.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Zawieszenie niewiary

Potem najbardziej dziwiło ją to, że tak łatwo przyszło jej rozłożyć swoje życie na części. Życie – musiała sobie przypominać – tak ciągłe i stabilne, że nawet adresu nie zmieniała od urodzenia, jeśli nie liczyć kilku dygresji. Gabinet pediatry, w którym leczyła się ona, a potem jej syn, promenada na Madison Avenue, przy której zmieniały się wyłącznie nazwy sklepów i wygląd sprzedawanych w nich niemożliwie drogich towarów, kawiarnie, przystanki autobusowe, nianie ze wszystkich zakątków świata pchające wózki na plac zabaw przy Osiemdziesiątej Piątej – wszystko to miało się w ciągu następnych kilku lat rozpląnąć, przesłonięte gorączkowym poszukiwaniem ciepła i pożywienia i jej własnym upartym zawieszeniem niewiary.

Następnego dnia przekroczyła granicę stanu i pojechała do Pittsfield. Właściwie bez zastanowienia kupiła od wypożyczalni używany samochód, zupełnie pospolitą hondę. Potem pojechali z Henrym do centrum handlowego niedaleko Great Barrington. Kupili kołdry, ciepłe buty i specjalną bieliznę, taką, jaką według niej nosili narciarze. W markecie budowlanym znalazła

grzejnik (sprzedawca zarzekał się, że jest bezpieczny) i pistolet do silikonu. Nie była pewna, czy rozgryzie, jak działa, wiedziała za to ponad wszelką wątpliwość, że i tak niewiele jej pomoże. Potem pojechali do supermarketu. W drodze powrotnej skręciła na długi podjazd prowadzący do domu na zalesionej działce. Umówiła się ze speszoną mężczyzną w brudnej parce, że jej przywiezie sąg drewna na opał. Przywykła do kupowania drewna w sklepie, w małych, owiniętych folią paczkach, więc nie wiedziała dokładnie, jak wygląda sąg, ale on obiecał, że dostarczy go jej nazajutrz, i to ją przekonało. Henry, który z zasady nie był zachłanny, w ciągu całego dnia miał tylko jedną prośbę (nie licząc lodów w supermarkecie). Poprosił – o dziwo – o antologię tekstów o sporcie. Kupiła mu ją bez mrugnięcia okiem.

Po powrocie rozłożyli kołdry na największym łóżku i wsunęli się pod nie – Henry z książką, którą zaczął czytać w samochodzie, ona z notesem, w którym zamierzała sporządzić na nowo listę pacjentów. W pierwszej kolejności zapisała nazwiska tych umówionych na nadchodzący tydzień. Do każdego będzie musiała co najmniej napisać maila. Później do większości będzie musiała zadzwonić. Na razie nie zamierzała o tym myśleć. Pokój, nie ten, w którym spała, kiedy jako dziecko spędzała tam wakacje, tylko ten, który do dziś uważała za sypialnię rodziców, w wodnistym zimowym świetle nabrał jakiejś obcej

szarości. Ściany ze starej, węglowatej sosny wydawały się wydrenowane, jakby im brakowało czegoś, co jest dostępne tylko w ciepłe dni. Stare obrazy – niektóre z czasów jej dziadków, ale też te, które kupiła na targu przy drodze numer siedem – wyglądały, jakby je spowijała mgła. Wszystkie były wyblakłe. Uderzyło ją teraz, kiedy rozglądała się po pokoju, najpierw bezmyślnie, a potem ze świadomością kolejnej straty, że nie ma w nim ani jednej rzeczy, która miałaby jakikolwiek związek z jej obecnym życiem. Ani jednej. Nagle wartkim nurtem wdarła się w jej myśli wyliczanka: tak liczyła wszystkie elementy wyposażenia mieszkania w Nowym Jorku. Zaczęła w duchu przesłuchiwać wszystko, co było w domu. Żądała, żeby każda rzecz udowodniła swoją przynależność do tego, co teraz z przekąsem nazywała rzeczywistością. Stare fotografie, na których uwieczniono własność czterech pokoleń jej rodziny, nagle okazały się bez znaczenia. Zwłaszcza te przedstawiające ją i Jonathana odbierała teraz jako osobistą napaść. Dziecięce rysunki (jej i Henry’ego), osobliwe przedmioty znalezione w lesie albo nad brzegiem jeziora, książki, które przywiozła z miasta, przeczytała i zostawiła na półkach, artykuły wyrwane z „New Yorkera”, archiwalne wydania trzech czy czterech czasopism naukowych, które prenumerowała – co to wszystko miało wspólnego z nią teraz, tutaj, skuloną z dwunastoletnim synem pod nowusieńką kołdrą w sypialni rodziców? Na jak długo?

Na tę jedną noc? Do końca cyklu medialnych sensacji?
Do końca roku?

Do końca nuklearnej zimy i do chwili kiedy ktoś (kto?) da znak, że można wracać?

Ciężar tych pytań był nie do udźwignięcia, więc postanowiła na razie go nie dźwigać. Zaczęła analizować listę czekających ją niewyobrażalnych zmian, jakby to był poniedziałkowy obowiązek każdej matki. Czytelowała list do pacjentów: „Ważne i nieprzewidziane okoliczności zmuszają mnie do tymczasowego zawieszenia praktyki. Nie potrafię powiedzieć, jak bardzo mi żal, że stoję przed koniecznością zawieszenia naszej wspólnej pracy, i chciałbym umieć powiedzieć, jak długo będę niedostępna. Naturalnie jestem do Waszej dyspozycji, jeśli będziecie szukać innego terapeuty, więc jeśli chcecie, żebym Wam kogoś poleciła albo chcielibyście omówić ze mną ewentualne dalsze kroki, możecie napisać do mnie maila...”.

Nie była to oferta bez pokrycia, choć nie miała teraz dostępu do poczty elektronicznej, przynajmniej przez jakiś czas. Latem zeszłego roku zapłaciła miejscowej firmie za zainstalowanie bezprzewodowego internetu. Firma wykonała zlecenie i sieć działała, choć powoli, ale teraz ani ona, ani co gorsza Henry nie byli w stanie uruchomić routera. Zaczęła więc – ostrożnie, z konieczności, ale z wielkim strachem – jeździć do publicznej biblioteki, do budynku w stylu królowej

Anny, tak imponującego, że doskonale się nadawał do tego trudnego zadania. Z internetu można było korzystać nieprzerwanie tylko przez trzydzieści minut, więc w trzydziestominutowych odcinkach odcinała się od mężczyzn i kobiet, którzy płacili jej sownie za pomoc psychologiczną. Na pewno by mnie teraz nie chcieli, mówiła sobie w duchu i raz po raz klikała „Wyślij”, a z każdym kliknięciem naruszała zaufanie, którym tak nieroztropnie ją obdarzyli, i niwecząc wszelkie korzyści, jakie mogli kiedyś wynieść z terapii. (I za każdym razem, kiedy tworzyła i wysyłała którąś z tych identycznych wiadomości – kazała sobie komponować je od zera dla każdego pacjenta, bo nie zamierzała obrócić całej swojej kariery w pył za pomocą zbiorczego maila – czuła, jakby otrzymywała kolejny cios w to samo posiniaczone miejsce: maksymalna dawka bólu). W końcu usiadła wygodniej i spojrzała na ciemny ekran stojący na wąskiej półeczce w głuchej, wyłożonej dywanem bibliotece. Myślała o tym, że to dziwne, że wszystko przebiegło tak bezgłośnie. Jak szept w absolutnej ciszy jaskini, który wraca jako ogłuszający huk i po chwili znika bez śladu. Do niej nic nie wróciło, większość klientów nie odpisała. Jedna kobieta, która miała zwyczaj przychodzić do niej tylko w sytuacjach mocno kryzysowych, poprosiła, żeby jej poleciła innego terapeutę. Lisa, porzucona żona, której mąż mieszkał z obrazem Rothki i przyjacielem w Chelsea, przysłała serdeczny i pięknie napisany list: ma nadzieję,

że wszystko się ułoży po jej myśli. (Nie mogła znieść myśli o tym, jak dużo z tego wszystkiego Lisa już wie). Steven, wiecznie wściekły scenarzysta, znalazł w swoim napiętym grafiku chwilę, żeby napisać: nazwał ją żalną pizdą.

Czytając to, prawie się uśmiechnęła. Prawie.

O dziwo, jedyną osobą, która wyraziła sprzeciw wobec jej zniknięcia, nie był ani pacjent, ani dyrektor szkoły (Robert odpowiedział krótkim zapewnieniem, że Henry może wrócić, kiedy tylko będą chcieli – pozostało jej wierzyć, że naprawdę tak myślał), ani nawet jej ojciec (który się cieszył, że napisała, ale z oburzeniem zarzucił ją taką lawiną pytań, że udała, że traci zasięg, i się rozłączyła). Tym kimś był Witalij Rosenbaum. Pytał, jak dotkliwie odczuje nagłą nieobecność jednego z uczniów i jak poważną lukę w nauce Henry'ego spowoduje rzeczona przerwa. Czytała maile od niego urzeczona jego krótkowzrocznością. Nauczyciel skrzypiec z zasady był w przedziwnym świecie poczty elektronicznej kimś obcym. Poddał się, dopiero kiedy jeden z uczniów podarował mu stary komputer stacjonarny i zainstalował w nim system, a potem cierpliwie wytłumaczył, jak pisać, wysyłać i odbierać wiadomości. Rosenbaum korzystał z komputera tylko wtedy, kiedy nie mógł się z kimś skontaktować inaczej. Mimo to udało mu się wyrazić (w trzech krótkich i nieprecyzyjnie sformułowanych wiadomościach)

pełnię swojego niezadowolenia z wyjazdu Henry'ego. Posunął się nawet do zasugerowania, że Grace zaniedbuje swoje matczyne obowiązki, pozwalając, żeby jej egoistyczne potrzeby uniemożliwiały mu naukę.

Wyglądało na to, że przynajmniej Witalij Rosenbaum nie śledzi wiadomości. Nie czytał „New York Posta”, „New York Timesa” ani magazynu „New York”. Nie oglądał wieczornych programów informacyjnych. Nie zaglądał na NY1.com. Tak bardzo był skrępowany własną ponurą izolacją, że nie miał bladego pojęcia, co mogłaby oznaczać nieobecność Henry'ego Sachsa.

Jakże żałowała, że cały świat nie jest taki jak on.

Za każdym razem kiedy kończył jej się czas, a ona uwalniała kolejny wiszący jej nad głową balon – kolejną osobę, kolejny obowiązek, kolejny aspekt normalności – czuła, że nad jej głową wisi kolejny, wielki, tak blisko, że wystarczy ruch myszki, żeby uwolnić niepoohamowany żywioł. Jedno kliknięcie – jakże łagodny dźwięk – dzieliło ciszę biblioteki w Connecticut od nawałnicy szalejącej zaledwie kilkaset kilometrów dalej. Siedziała na obrotowym krześle, z dłońmi nad klawiaturą. Pragnęła jednocześnie wiedzieć i nie wiedzieć. Poddawała się własnej histerii. Za każdym razem toczyła pierwotną walkę, od podstaw do gorzkiego końca. Za każdym razem sposobem na zwycięstwo okazywała się niewiedza.

W końcu ostrożnie się wylogowywała i wstawała, żeby poszukać Henry'ego, który przeczytał już

sportową antologię i czytał biografię Lou Gehriga. Zabierała go z powrotem do wyziębionego domu nad zamrzniętym jeziorem, żeby kolejny dzień przeżyć bez nowych wiadomości. Rozpalała w kominku (nabrała koniecznej wprawy) i otulała kocami leżącego na kanapie syna, włączała mu lampkę, żeby mógł czytać, i zabierała się do przyrządzania posiłku. Potem, kiedy chłodne popołudnie zastępowała jeszcze zimniejsza noc, czasem jak najostrożniejszej i jak najmniej dociekliwie próbowała ocenić swoją sytuację.

Wiedziała, że Jonathan nadal musi być poza zasięgiem Mendozy, O'Rourke'a, całej nowojorskiej policji, prawdopodobnie również FBI i Interpolu. W przeciwnym razie Mendoza by do niej zadzwonił. Zresztą dzwonił do niej co kilka dni, nie tylko po to, żeby zapytać, czy Jonathan się z nią nie kontaktował, ale też jak sobie z Henrym radzą. (Odbierała telefony od niego, bo pozwolił jej wyjechać z miasta, a przynajmniej nie utrudniał wyjazdu. Była mu za to wdzięczna). Innych nie odbierała, tylko od niego i od ojca, ale komórka stała się nieszczelnym kranem, niedającym się zakręcić. Jej służbowy numer, dostępny w każdym internetowym wykazie nowojorskich terapeutów (specjalność: pary), przekierowywał połączenia na komórkę. Dzwonił bez przerwy. W końcu wyłączyła dźwięk i od tej pory tylko mrugał i wibrował. Jeśli wiedziała, kto dzwonił, nie odsłuchiwała poczty głosowej. Nagrania od obcych odtwarzała tylko do

dzień dobry i natychmiast usuwała. Ale któregoś dnia zadzwonił przedpotopowy telefon wiszący na ścianie w kuchni. Jego staroświecki sygnał brzmiał jak część ścieżki dźwiękowej serialu z lat pięćdziesiątych. Dzwonił i dzwonił, pierwszy raz około drugiej po południu, kilka dni przed Bożym Narodzeniem, a potem jeszcze kilka razy, aż do wieczora. Numer oczywiście się nie wyświetlał. Grace była pewna, że popękanego bakelitowego telefonu nie dałoby się skonfigurować tak, żeby pokazywał, kto jest na drugim końcu linii, ale prawdopodobnie dzwonił pierwszy raz od zeszłego lata. Położyła rękę na słuchawce, wciąż niezdecydowana.

Kiedy ją w końcu podniosła, nic nie mówiąc, po chwili ciszy usłyszała kobiecy głos:

– Grace, to ty?

Odłożyła słuchawkę, delikatnie, jakby nie chciała jej niepokoić, tej, która do niej zadzwoniła. Schyliła się i przesuwając dłoń wzdłuż trochę niebezpiecznie wyglądającego kabla, znalazła przy podłodze żałośnie staromodną wtyczkę i wyciągnęła ją z gniazdka.

Więc przynajmniej jeden człowiek wie, gdzie się ukrywa, mimo że nikt nie przyjechał. To dobrze. Właśnie po to wyjechała – żeby być dalej, niż ktokolwiek chciałby za nią jechać. Najwyraźniej nikt nie miał ochoty szukać jej po wioskach Connecticut. Może to tylko jeden stan dalej, ale to oznacza, że nie jest na tyle ważna – co oznacza, że ta historia nie jest na tyle ważna – żeby ją ścigać. Na myśl o tym poczuła

przyływ nadziei.

Ale po chwili przypomniała sobie, że naprawdę ktoś zginął, a dwoje dzieci zostało sierotami. Nadzieja zniknęła.

Jak łatwo rozmontować swoje życie. To też był przywilej, na który nie zasługiwała, jeśli wziąć pod uwagę zalane krwią mieszkanie Malagi Alves i to, co w nim zastał mały Miguel. Wiedziała (bo całą ponizającą godzinę rozmawiała przez telefon z kompletnie obcym człowiekiem z banku Morgan Stanley), że większość pieniędzy, które jeszcze kilka tygodni wcześniej, jak sądziła, miała, wciąż jest na jej koncie, ale dwadzieścia tysięcy dolarów podjęto w poniedziałek po południu, 16 grudnia, w dniu, kiedy zamordowano Malagę Alves.

To i garść klejnotów powinno wystarczyć na bilet w dowolne miejsce na świecie, pomyślała z goryczą.

Jej i Henry'ego ucieczka do domu (co prawda wyzębionego), w którym mogli mieszkać do woli, bo należał do niej, kupowanie jedzenia i palenie drewna, na które było ją stać, to ostatnie pozycje na liście niezasłużonych korzyści – wcześniej były to większe szanse na zdobycie miejsca w prywatnej szkole i znaczna przewaga na manhattańskim rynku nieruchomości. Nie miała przez to poczucia winy. Zawsze czuła wręcz coś na kształt odwróconej dumy, że nie musi się przejmować pieniędzmi i nie pragnie ekstrawaganckiego życia. Z drugiej strony mogła sobie

pozwoić na tę finansową beztroskę – i z tego też zdawała sobie sprawę.

I teraz, sztywna z zimna na łóżku swoich rodziców, w chacie, którą cztery pokolenia jej rodziny nazywały domem (w każdym razie latem), z synem u boku (bez reszty pochłoniętym biografią Lou Gehriga), z lodówką pełną jedzenia kupionego beztrosko dzięki karcie kredytowej, z nowym (choć na pewno nie luksusowym) samochodem na podjeździe, bezmyślnie opłaconym tą samą kartą kredytową, pomyślała z dumą: Nie mam za co przeproszać.

Ale taka krnąbrna nie była długo.

Czasem w nocy, kiedy Henry już spał, zakładała parkę i wychodziła na dwór z paczką papierosów, którą znalazła w kuchennej szufladzie. Nie miała pojęcia, do kogo należały ani skąd się tam wzięły, ale zabierała je nad jezioro, kładła się na oblodzonym pomoście i paliła. Czysta, grzeszna przyjemność wracała do niej rwącą falą, wdzierając się głęboko w wilgotne zakamarki jej płuc i wystrzeliwała przez krwiobieg. Patrzyła, jak biała chmura unosi się w noc, i widziała w niej dowód na to, że wciąż tam jest, przynajmniej jeszcze przez chwilę. Wciąż czuła i jako tako funkcjonowała. Uświadomiła sobie, że sama ta myśl jest narkotykiem, sam ten prosty dowód istnienia. Był odurzający. Zapewniał jej niezbędny, brutalny komfort.

Nie paliła od osiemnastu lat, od dnia, kiedy poznała przyszłego onkologa w piwnicy akademii medycznej na

Harvardzie. Nie pamiętała, żeby akt palenia kiedykolwiek tak wiele znaczył. Zaciągając się i obserwując unoszący się biały dym, myślała o tym, że pojawienie się w jej życiu Jonathana było jak zwolnienie wielkiego przycisku pauza, że dopiero wtedy jakiś palec uruchomił jej rozwój, i nagle wróciła w to samo miejsce. Znow była studentką, która większość ważnych decyzji i doświadczeń miała przed sobą. Tyle że tym razem miała dziecko i zawód.

No i gotową do wydania książkę. Tak to przynajmniej wyglądało, kiedy opuszczała miasto. Ciągłe widziała ich nazwiska na wyświetlaczu telefonu: Sarabeth, Maude i J. Colton. Nie oddzwoniła ani razu. Nie odsłuchiwała nawet wiadomości. Niemal leniwie zastanawiała się, co takiego one wszystkie mogłyby próbować jej powiedzieć. Artykuł w „Vogue’u” nigdy się nie ukáže. *Today Show* nie będzie zainteresowany wywiadem, chyba że mówiłaby o śmierci Malagi Alves. A co do samej książki... Kto (zmusiła się do dokończenia tej myśli) chciałby w sprawach małżeństwa radzić się specjalistki, której mąż miał romans z inną kobietą albo miał z tą kobietą dziecko, albo ją zamordował? Specjalistki, którą mąż okradał, okłamywał, a w końcu porzucił i zostawił po sobie zgliszcza niezmiernego...

Nie bólu, niezupełnie. Cokolwiek teraz czuła, leżąc na plecach, odrętwiała z zimna, wydmuchując dym w srogą noc, nie był to ból. Ale to nie znaczyło, że ból nie czyhał gdzieś w pobliżu. Był bardzo, bardzo blisko. Po drugiej

stronie muru. I nikt nie wiedział, jak długo ten mur wytrzyma.

Wzięła jeszcze jednego bucha, wypuściła dym i patrzyła, jak się wznosi. Kiedyś uwielbiała palić, choć zawsze wiedziała, że to zabójczy nałóg, a nigdy nie pragnęła śmierci. Nie była ignorantką ani masochistką. W noc po imprezie na akademii medycznej po prostu wróciła do mieszkania przy Central Parku, w którym mieszkała z Vitą, i na schodach przeciwpożarowych wypaliła do końca ostatnią paczkę. Myślała o Jonathanie i tym, co zamierzał zrobić ze swoim życiem. Nigdy mu nawet nie powiedziała, że paliła. Nie było to ważne w świetle tego, co było ważne po tamtej nocy, bo wszystko, co ważne, dopiero tej nocy się zaczęło. Czy to oznaczało, że ona też jest oszustką?

Ile dróg biegło przez bezkresną piwnicę akademika i dlaczego tak łatwo przyszło jej wybrać tę, którą wybrała? Na ile liczyło się to, czy była mniej, czy bardziej uczęszczana od innych? Teraz myślała, że pewnie nie miało to znaczenia. Ważne, że popełniła błąd i z jakiegoś powodu zbyt długo toczyła się na oślep. A teraz leży na końcu pomostu, w środku zimowej nocy, przerażona, sparaliżowana, i zachowuje się jak nastolatka. Jej osierocony przez ojca nastoletni syn kuli się z zimna w nieogrzanym domu, wyrwany ze świata, który zna. Musi teraz od niej dostać dużo wsparcia, nie wspominając o mnóstwie wyjaśnień.

Zaraz się do tego zabiorę, pomyślała i wypuściła

z płuc dym.

Chmura popłynęła ku srogiemu niebu, czarnemu jak atrament i rozjaśnionemu przez gwiazdy. Tylko one i księżyc dawały jakieś światło. Była jeszcze lampka, którą zostawiła włączoną, w dużym pokoju, i oświetlający werandę stary lampion z trzema żarówkami, z których działała tylko jedna. Wszystkie pozostałe domy w okolicy stały puste – z wyjątkiem jednego. Kamienna chata nad wąskim krańcem jeziora wypuszczała z komina cienką strużkę dymu. Było cicho. Bardzo cicho. Co jakiś czas słyszała tylko muzykę, taką, która brzmi, jakby z daleka przywiewał ją wiatr. Była to nietypowa muzyka. Pomyślała, że mogłyby to być skrzypce, choć pewnie nie takie, jakie Witalij Rosenbaum zgodziłby się wziąć do rąk albo przynajmniej na nie spojrzeć. Te dźwięki kojarzyły jej się z górami na Południu, z ludźmi siedzącymi razem na werandach i patrzącymi na drzewa. Bywało, że słyszała tylko ten jeden instrument. W inne wieczory towarzyszyła im druga para skrzypiec, kiedy indziej gitara. Raz wydawało jej się, że słyszy ludzkie głosy i śmiech. Skupiała się wtedy na tych dźwiękach, jakby dawno zapomniała, jak brzmią.

Najczęściej jednak nie miała czego słuchać. Były tylko trzaski w kominku albo szelest przewracanych kartek w książce jego albo jej.

Wreszcie zaczęło się zbliżać Boże Narodzenie. W ogóle o nim nie myślała. Obudziła się rano

w Wigilię, w stanie pełnej niegotowości. Pierwszy raz zostawiła Henry'ego bez opieki i pojechała do Great Barrington, żeby poszukać dla niego prezentu. Ale kiedy dojechała do centrum handlowego, stwierdziła, że niektóre sklepy już zamykają, więc zaglądała wszędzie w pośpiechu i gapiała się na bezużyteczne, głupie, nieważne i niepożądane rzeczy. W końcu trafiła do księgarni i zaczęła przemierzać główne działy w poszukiwaniu czegoś, co by go mogło zainteresować, ale nie mogła nic takiego znaleźć. Nie było tam nic dla jej syna. Nic, co by zasługiwało na więcej niż podziękowanie, bo tak go wychowała, żeby dziękował, kiedy ktoś jest dla niego miły. Wiedziała, że to mu nie wystarczy. Nie w tym roku.

Więc znalazła dział sportowy i cierpliwie brała do rąk książkę za książką. Historia Jankesów. Dobrze. Książka o baseballowej Lidze Czarnych. Przynajmniej można to było uznać za książkę historyczną. I jeszcze coś o Narodowej Lidze Futbolu. Wybrała to dlatego, że kiedy otwierała na dowolnej stronie, natrafiała na w miarę przyzwoite zdanie. Do tego książka o koszykówce. Wzięła ją, nawet nie zaglądając, bo i tak było jej głupio, że jest taką snobką. Znalazła jeszcze serię o baseballu na DVD. Mogliby to pewnie obejrzyć razem. Wszystko zapakowali jej przy kasie.

W drodze do wyjścia minęła regały z książkami o małżeństwie i rodzinie. Zwolniła, żeby spojrzeć na tytuły. W takim miejscu kilka lat temu przy Upper East

Side zatrzymała się, żeby zobaczyć, co rynek oferuje jej klientom i wszystkim innym. Książki o tym, jak sprawić, żeby upragniony mężczyzna też nas zapragnął. Jak go skłonić, żeby zaprosił nas na randkę, żeby się nam oddał bez reszty, żeby się z nami ożenił. Jak się pogodzić z przeszkodami, które sami przed sobą stawiamy w dążeniu do tego, na co zasługujemy. Tyle urojeń. Tyle ustępstw. Gdzie to wyrachowanie, z jakim kobiety szukają idealnie dopasowanego biustonosza albo psa pasującego do ich stylu życia? Czy znalezienie odpowiedniego partnera nie jest co najmniej tak samo ważne? Czy nie wymaga tyle samo roztropności i hartu? Dlaczego młoda kobieta ma nie widzieć w znakach ich prawdziwego sensu, zamiast się zadowalać lukrowaną interpretacją?

Czytelnicy książek o zdobywaniu i utrzymywaniu raz po raz trafiali do jej gabinetu i przyznawali się do porażek. Życie wielu z nich już się rozpadło. Sądziło, że nieumiejętnie brali albo nie umieli utrzymać. Winę za flirty męża z innymi kobietami musi ponosić nadwaga żony. Chłód ojca wobec niemowlęcia (a także wobec teściów, wszystkich przyjaciół żony i przy okazji wobec niej samej) jest wynikiem tego, że jego żona przestała się wspinać po szczeblach kariery. Gdyby się zdecydowali na drugie dziecko, nie zostałyby współniczką w firmie. Za wszystko odpowiadają kobiety. Są winne zbrodni prawdziwych i wymagowanych. Nie myślą dostatecznie jasno, nie dość mocno się starają, nie

stawiają sobie wystarczająco wysokich wymagań. Zupełnie jakby samolot spadł na ziemię wyłącznie dlatego, że przestały machać rękami.

Ale najgorsze jest to, pomyślała wtedy, stojąc w dziale Związki w księgarni Barnes & Noble przy Broadwayu, że naprawdę są winne, tylko nie tych grzechów, które im się wmawia, i naprawdę ponoszą porażki, tylko nie tam, gdzie im się wydaje. Nie popełniają błędów przy zdobywaniu ani przy utrzymywaniu. One źle wybierają. To wszystko. Gdzie książka na ten temat?

Zacęła bardzo niepewnie. Któregoś dnia jeden z jej pacjentów nie przyszedł i niespodziewanie miała godzinę dla siebie. Właśnie skończyła sesję z wyjątkowo skłóconą parą i pokój wciąż tętnił ich zdenerwowaniem, był przesiąknięty jego bezcelowością. Przez całą tę godzinę, którą dostała w prezencie, siedziała przy biurku i pisała coś w rodzaju manifestu na temat stanu, w jakim się znalazła jej profesja. Wyrzucała w nim terapeutom, że nie mówią tego, co uważają albo powinni uważać za oczywiste. Ile razy każdy z nich słuchał recytowanej przez męża albo żonę litanii spóźnionych skarg i myślał: ale przecież już to wiedziałas. Wiedziałas, kiedy go poznałas albo kiedy zaczęłas się z nim umawiać. A na pewno przed zaręczynami. Wiedziałas, że ma długi – przecież to ty spłaciłas jego kartę kredytową! Wiedziałas, że kiedy wychodzi wieczorem na miasto, wraca kompletnie

pijany. Wiedziałaś, że nie dorównujesz mu intelektualnie, bo on studiował w Yale, a ty na Uniwersytecie Massachusetts. A jeśli nie wiedziałaś, to powinnaś była wiedzieć, bo miałaś to wszystko przed nosem, od samego początku.

Dla jej pacjentów zazwyczaj było już za późno. Związki, które się analizuje w gabinetach terapeutów, mogą już tylko trwać dalej albo się rozpaść. Ale jej czytelnicy – zanim minęła ta pierwsza godzina, już myślała o nich jako o swoich czytelnikach – mieli jeszcze czas na środki ostrożności. Możecie to wszystko wiedzieć od samego początku, jeśli tylko będziecie uważni, jeśli nadstawicie uszu, otworzycie oczy i głowę. One zawsze powinny być otwarte. Możecie wiedzieć, a potem – to najważniejsze – zachować tę wiedzę, nawet jeśli on kocha (albo wygląda na to, że kocha), jeśli was wybierze (albo tak wam się będzie wydawać), nawet jeśli obieca, że was uszczęśliwi (tego absolutnie nikt, ani jeden człowiek na całej kuli ziemskiej nie jest w stanie zrobić).

Jakaś część niej, bardzo duża, ewidentnie pragnęła być tą, która im to wszystko powie.

Bo taka jestem kompetentna i mądra, skarciła się.

Jak zresztą wszyscy pisarze – każdy aż się pali, żeby wyjść przed szereg zwykłych śmiertelników i ogłosić swoje teorie wdzięcznemu ludowi. Brawa dla nas! Brawa dla mnie! – pomyślała.

To wszystko już przepadło.

Jechała do domu z torbą średnio ekscytujących zakupów i kolejnym prezentem dla Henry'ego. Zaciśnęła dłonie na kierownicy tak mocno, że rozboleły ją plecy. Temperatura znowu spadła, więc uważała na śmiertelnie groźną gołoledź. Spory jej płat leżał tuż za zjazdem w Childe Ridge, drogę, która łączyła większość domów nad jeziorem. Przejechała nią w żółwym tempie, podniosła wzrok i zobaczyła mężczyznę. Stał przy skrzynce na listy. To była ta kamienna chata, prawdopodobnie jedyny – poza jej domem – dom w okolicy, w którym ktoś mieszkał. Chciała się całkiem odciąć od świata, ale widziała praktyczne korzyści w utrzymywaniu sąsiedzkich relacji z jedyną żywą istotą w zasięgu wzroku.

Uniósł rękę i ostrożnie zatrzymała samochód.

– Czołem! – zawołał. – Tak myślałem, że to ty.

Otworzyła okno od strony pasażera.

– Dzień dobry – powiedziała nienaturalnie wesoło. – Mam na imię Grace.

– Wiem, wiem – odparł.

Miał na sobie dość mocno znoszoną puchową kurtkę. Tu i ówdzie wystawały z niej pióra. Był mniej więcej w jej wieku, może trochę starszy, i miał bardzo krótkie siwe włosy. Trzymał w ręku pocztę: gazety, ulotki i kilka listów.

– Leo. Holland. Doprowadzaliśmy twoją matkę do szpitala.

Roześmiała się. Kompletnie ja to zaskoczyło.

– O mój Boże. Pamiętam! Wybacz.

I tak po prostu przeprosiła go za winy swojej matki, kilkadziesiąt lat po czasie. Marjorie Reinhart nigdy nie zapomniała tych lat, kiedy domek jej rodziców był jedynym domem nad jeziorem. Chłopcy z drugiego brzegu tak ją irytowali swoją motorówką i nartami wodnymi, że regularnie zostawiała im liściki z prośbami o zachowanie ciszy. Wkładała je właśnie do tej skrzynki, pomyślała Grace.

– Daj spokój – powiedział. – Było, minęło.

– Okej – przytaknęła. – Mieszkasz tu cały rok?

– Niezupełnie. – Przełożył pocztę do drugiej ręki, a tamtą schował do kieszeni. – Zrobiłem sobie przerwę na uczelni. Siedziałem w domu i próbowałem skończyć książkę, ale ciągle ktoś do mnie wydzwaniał. Spotkania na wydziale, recenzje prac. Nawet postępowania dyscyplinarne. Więc pomyślałem, że na resztę urlopu wyjadę. Wasz dom nie jest ocieplony, prawda? Przepraszam, jeśli to zbyt osobiste pytanie.

Uśmiechał się. Miał krzywy uśmiech.

– Nie. A twój jest?

– Mniej więcej. Nigdy nie jest całkiem ciepło, ale kurtkę można zdjąć. Ty jak sobie radzisz?

– Ach... – Wzruszyła ramionami. – Wiesz, grzejniki. Dużo koców. Jakoś wytrzymujemy.

Zmarszczył brwi.

– My?

– Mój syn. Ma dwanaście lat. Więc powinnam już

jechać, zostawiłam go samego. Pierwszy raz.

– Jeśli jest tam teraz, to raczej nie sam – powiedział Holland. – Przy drodze stoi samochód. Przed chwilą go mijałem.

Starła się oddychać. Obliczała, jak długo jej nie było. Więcej niż dwie godziny. Albo trzy. Była przerażona.

Jeden stan to w końcu nie tak daleko. A może jej historia nie jest aż tak nieważna, jak się jej wydawało.

– Pomóc ci jakoś? – zapytał Holland.

Nagle zrobił na niej wrażenie bardzo trzeźwego.

– Nie. Ale muszę jechać.

– Jasne. Ale wpadnijcie na kolację. Może po Nowym Roku?

Możliwe, że przytaknęła. Nie była pewna. Jechała przez gęsty las, a pokryte lodem jezioro migało między drzewami z prawej. Minęła drugi dom, potem trzeci, czwarty i piąty. Stały niedaleko od siebie. Myślała tylko o jednym. Henry mógł być – był – sam z obcym człowiekiem. Z dziennikarzem. Albo z jakimś miłośnikiem ludzkich tragedii, jednym z legionu głęboko zainteresowanych i doskonale poinformowanych biernych widzów, wykutych w kuźniach brukowców i sądowych oper mydlanych, ludzi, którzy czują się upoważnieni do ingerowania w cudze koszmary. Myślała, a potem starała się nie myśleć, ale przegrywała i znów myślała – o swoim synu siedzącym na kanapie w zimnym domu z obcym

człowiekiem, który go wypytuje o coś, z czym oboje nie mieli nic wspólnego, niepokoi go albo – i wtedy zrozumiała, jak wielka część jej strachu brała się właśnie stąd – mówi mu o jego ojcu rzeczy, których nie jest (ona zresztą też nie) gotowy usłyszeć.

Ale przede wszystkim – ta myśl przyszła jej do głowy tak szybko, że musiała tam być od samego początku – bała się, że to Jonathan. Nie wróciłby. Nie zrobiłby im tego. A przynajmniej, myślała z wściekłością, nie byłby na tyle lekkomyślny, żeby im to zrobić.

Droga skręcała w prawo. W końcu, wpatrując się rozpaczliwie w ciemność, zobaczyła dom i zaparkowane przed nim auto. Zaskoczenie uderzyło ją z niemal taką samą siłą jak ulga. Tam, skąd wyjechała zaledwie dwie czy trzy godziny wcześniej, stał niemiecki sedan, marki, do której nigdy nie wsiadłby żaden mający sumienie Żyd. Ale Eva, która w kwestii samochodów miała ostatnie zdanie, nie należała do osób gotowych obciążać się nadmiernymi sentymentami. Niespodziewanie i wbrew elementarnej logice jej ojciec przyjechał na Boże Narodzenie.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Święta w sztetlu

Siedzieli na wybrzuszonej zielonej kanapie przy kominku. Trzymali nogi na starym pieńku, a w twarze biła im para z dużych kubków z herbatą. Zauważyła, że w środku nie jest zimno, i zaczęła się zastanawiać, czy jest jakaś elementarna zasada działania bojlera albo systemu grzewczego, której nie rozumie. Ale to był tylko ogień. Jej ojciec naprawdę dobrze napalił w kominku. Dziwne, ale jak na człowieka z miasta zawsze świetnie sobie radził z ogniem.

– No proszę! Kogo ja widzę – powiedział serdecznie.

Zobaczyła, że Henry trzyma coś, czego wcześniej nie widziała: przenośny odtwarzacz płyt DVD. Oglądali coś, czego nie rozpoznała od razu. Na ułamek sekundy załała ją fala irytacji.

– Tato – usłyszała swój głos. – Kiedy przyjechałeś?

Spojrzał na Henry’ego. Henry znów patrzył jednym okiem na ekran. Wzruszył tylko ramionami.

– Jakieś pół godziny temu. Napaliłem w kominku.

– Widzę. To wczesny prezent od ciebie?

Ojciec spojrzał na urządzenie w rękach wnuka i zmarszczył brwi.

– Nie, nie. To moje. Pomyślałem, że Henry’emu się tu przyda. – Znów spojrzął na nią. – Zgadzasz się?

– Tak, oczywiście – odparła. – Dzięki – dodała niechętnie. – Henry – zaczęła niezbyt miłym tonem (jakby to on był tym niewdzięcznym). – Podziękowałeś dziadkowi?

– Podziękował – odparł jej ojciec. – Chłopak jest świetnie wychowany.

– *Odyseja kosmiczna* – powiedział Henry. – Właśnie znaleźli domino na Księżycu.

Spojrzała na niego zdziwiona. Na chwilę się uspokoiła.

– Domino?

– Monolit – poprawił wnuka jej ojciec i znów spojrzął na nią. – Wziąłem, co miałem. Dzieciaki dały mi kolekcję najwybitniejszych filmów science fiction.

Dzieciaki. Innymi słowy dzieci Evy.

Masz tylko jedno dziecko, prawie powiedziała na głos.

– Dziesięć płyt – zaszcebiotał Henry.

Był wniebowzięty.

Jedyną rzeczą, której nie lubiła bardziej niż chłopców z bzikiem na punkcie sportu, byli chłopcy z bzikiem na punkcie science fiction. Jej wyrafinowany, wrażliwy, grający na skrzypcach syn czytał teraz książki o baseballu i oglądał filmy o statkach kosmicznych. Odkąd przyjechali, nawet się nie zbliżył do instrumentu. A ona – i to było jeszcze bardziej niezrozumiałe – nie

wspomniała o tym ani słowem.

– Masz dobrego dziadka – powiedziała.

– Tęskniłem za nim – odparł jej ojciec.

Objął Henry’ego za szyję i przyciągnął do siebie. Miał na sobie jeden z tych swoich golfów, miękki i szary. Kiedyś kupowała je jej matka, teraz robiła to Eva.

– Za wami obojgiem – dodał. – Chciałem zobaczyć, czy wszystko u was w porządku.

Poszła do kuchni. Wcześniej, kiedy już rozpoznała samochód i opuścił ją okropny, paraliżujący strach, powoli przyniosła z bagażnika wszystkie torby, bo na dworze było zbyt zimno, żeby niepotrzebnie wracać. Teraz zaczęła je rozpakowywać. Stawiała puszki na drewnianym blacie, jakby była instrumentem perkusyjnym.

Tęskniłem...

Jasne!

Za wami obojgiem...

Oczywiście!

Kooperatywa Berkshire była już zamknięta, kiedy tam dojechała. Musiała wszystko kupić w dyskoncie, więc nie zanosilo się na wystawną ucztę. Kupiła dwie puszki galaretki żurawinowej, takiej, którą się wyjmuje w całości i kroi nożem. Do tego puszkę smażonych cebulek i zupę grzybową. Najwyraźniej to miały być święta w stylu retro. Całe Boże Narodzenie krążyło gdzieś na marginesie jej myśli. Miała nadzieję, że jej

ojciec nie liczy na wyszukane rozrywki.

– Grace? – Staął w progu kuchni.

Indyk leżał na dnie torby, pod mrożonym groszkiem. Właśnie po niego sięgała. Tak naprawdę był to tylko kawałek indyka. Sama pierś. Już upieczona.

– Co? – zapytała nieprzyjemnie.

– Powinienem być cię uprzedzić. Przepraszam.

– Owszem – przyznała mu rację. – Sąsiad powiedział mi, że przed domem stoi samochód. Przestraszyłam się. Mogłeś zadzwonić.

– A widzisz. Otóż dzwoniłem. Próbowałem. Tutaj. –

Wskazał na stojący w kuchni telefon. – Pewnie się minęliśmy.

Westchnęła. Nie miała odwagi mu powiedzieć, że wyłączyła telefon.

– Nie. To ja przepraszam. Żyjemy tu jak odludki, wrogowie technologii. Ale to celowe.

– Więc nie wiesz, co się dzieje – powiedział, i nie było to pytanie.

W jego głosie usłyszała ledwo słyszalny ton dezaprobaty, jakby chciał dodać: Czy to aby nie jest część twojego problemu? Ale może jej się wydawało.

– Mówisz o szczegółach? Faktycznie, nie wiem. Istoty się domyślam. Dobrze, że tu przyjechaliśmy.

Ojciec kiwnął głową. Pomyślała, że wygląda mizernie. Miał suchą jak papier skórę pod oczami. Nawet z drugiego końca kuchni widziała popękane naczynka. W kilka tygodni postarzał się o dziesięć lat.

Za to, Jonathan, też wielkie dzięki.

– Chciałbym jakoś pomóc – powiedział. –
Przyjechałem zobaczyć, czy mogę.

Grace się wzdrygnęła. Znaleźli się w miejscu, którego dotąd nie znali. Dwoje podróżnych na wąskim górskim szlaku. Zastanawiała się nie tyle nad tym, które z nich ustąpi, ile nad tym, kto uwierzy, że to drugie go szanuje. Co za absurdalny problem, powiedziała sobie w duchu

Żeby ukryć, że czuje się niezręcznie, otworzyła lodówkę. Chciała włożyć do niej indyka, ale okazało się, że półki zajmują pomarańczowo-białe torby. Uszczęśliwił ją ten widok, zanim zdążyła cokolwiek pomyśleć.

– Zahaczyłem o Zabar's. Pomyślałem, że przywiozę ze sobą odrobinę domu.

Kiwnęła głową. Wciąż stała w otwartych drzwiach lodówki. Wcale się nie zdziwiła, że poczuła, że zaraz się rozplacze.

– Dziękuję – powiedziała.

– Henry lubi siekaną wątróbkę. Kupiłem dużo, żebyś mogła trochę zamrozić. Strudel też długo wytrzyma w zamrażarce.

– Kiedy zostałeś bogiem domowego ogniska? –
Zaśmiała się, ale ojciec wziął to pytanie na serio.

– Eva świetnie gotuje i nie rozumie, po co istnieją takie miejsca jak Zabar's. Już dawno zrozumiałem, że jeśli sałatka ogórkowa i łosoś w zalewie solnej mają pozostać częścią mojego życia, sam będę musiał się

wokół tego zakreślić. Pamiętałem te ciastka, które lubiłaś.

Wskazał na paczkę. Wilgotne paski zielonego, pomarańczowego i białego ciasta, zamknięte w czekoladzie. Były jej absolutnie ulubionym przysmakiem. Tylko dzięki temu, że mogła na nie popatrzeć, poczuła się trochę szczęśliwsza.

– Kupiłem po trochę wszystkiego – powiedział ojciec.
– Mam nawet zupę matzo ball.

– To będzie bardzo żydowskie Boże Narodzenie – powiedziała i się uśmiechnęła.

– Na to wygląda – przytaknął ojciec.

Zrobił na półce miejsce na jej świątecznego indyka.

– Święta w sztetlu.

– Przybieżeli do Bukowska – zaśmiał się jej ojciec.

W Bukowsku znajdował się sztetl jego dziadka.

– Uważaj z takimi żartami.

– Babcia nie miałaby nic przeciwko temu. To jej siostra jako pierwsza nakarmiła mnie wieprzowiną. Pamiętam, wyśmienita kiełbasa.

– To już koniec – dopowiedziała. – Jesteśmy w piekle.

– Nie. Tak ci się tylko zdaje. – Odsunął się od lodówki i przytrzymał dla niej drzwi. – Wyjdiesz z tego. Twarda z ciebie dziewczyna.

– Jasne.

– Henry też jest twardzielem. To potworny cios, nie zaprzeczam. Ale zawsze był kochanym dzieckiem i jest bystry. Jeśli będziemy wobec niego szczerzy, nic mu nie

będzie.

Już miała zacząć się bronić (prawdopodobnie nie byłaby miła), kiedy zdała sobie sprawę, że zupełnie nie była wobec Henry'ego szczerą. Pod płaszczykiem ochrony prawie nic mu nie powiedziała o tym, co się stało – co się działo – z ich rodziną. Ale za każdym razem, kiedy wyobrażała sobie tę rozmowę, tak jak teraz, czuła, że rozpada się na kawałki. A najważniejsze w jej życiu było teraz trzymanie pionu. Pion był mantrą.

– Będziemy szczerzy – powiedziała. – Ale jeszcze nie teraz. Zbyt wielu rzeczy sama nie rozumiem. Najpierw musimy się tu zadomowić. Muszę wyznaczyć granice.

– Granice są ważne – niepewnie przyznał jej rację. – Stabilność, bezpieczeństwo dla Henry'ego. Pełna zgoda. Więc tu zostajecie?

Wzruszyła ramionami.

– A co z twoją praktyką?

– Zawiesiłam ją – odparła. To wypowiedziane na głos zdanie wydało jej się nierealne. – Nie miałam wyboru.

– A szkoła Henry'ego?

– W Connecticut są szkoły.

– Ale nie ma Reardena.

– Zgadza się – warknęła. – Czy Hotchkiss wystarczy?

Zamknął lodówkę i odwrócił się do niej.

– Widzę, że planujesz naprzód.

– Tak – powiedziała, choć nie miała żadnych planów. Jeszcze nie teraz. Pomysł z wysłaniem Henry'ego do Hotchkissa przyszedł jej do głowy nagle.

– Co z twoimi przyjaciółmi?

Podeszła do szuflady, tej, w której trzymała paczkę papierosów, i wyjęła korkociąg. Potem sięgnęła na górną półkę po butelkę czerwonego wina.

Co miała odpowiedzieć? Że ani jednej przyjaciółce, ani jednej znajomej z czasów, które teraz z politowaniem nazywała swoją przeszłością, nie przyszło do głowy, żeby ją odnaleźć? Wiedziała, że tak było. Kiedy przeglądała w wyciszonej komórce listę połączeń, widziała, że ich tam nie ma. Wśród natrętnych dziennikarskich much, detektywów i niekończących się telefonów od Sarabeth i Maud, które też starała się ignorować, po prostu ich nie było.

Wymowa tego faktu zapierała jej dech w piersi.

– Wygląda na to, że się wszyscy zgubili – powiedziała w końcu.

Kiwnął głową ze smutkiem w oczach i pomyślała, że jej ojciec sądzi, że wszyscy ją opuścili z powodu skandalu. A tymczasem sęk w tym, że od samego początku ich nie było. Właśnie to ostatnio zrozumiała.

– Vita dzwoniła – rzucił od niechcienia, jakby to nie była niezwykła wiadomość. – Powiedziałem jej, że się tu zaszyłaś. Mieszka gdzieś w okolicach Berkshire. Chyba mówiła gdzie, ale nie pamiętam. Z nią też nie miałaś kontaktu?

Z trudem łapiąc oddech, spojrzała na stary telefon. Ile razy dzwonił, zanim go odłączyła? A kiedy ten jeden raz odebrała... Kobięcy głos, jakaś dziennikarka... Czy

to na pewno był ktoś z mediów? Trzęsącą się ręką wbiła korkociąg w korek.

– Daj, ja to zrobię – zaproponował ojciec. – W ogóle nie rozmawialiście?

Wzruszyła ramionami. Wciąż nie mogła uwierzyć.

– Powiedziałem jej, że miło ją słyszeć. Chyba bardzo się o ciebie martwi.

Witamy w klubie, pomyślała, patrząc, jak nalewa wina do kieliszków. Ale znowu przypomniała sobie, że nie ma żadnego klubu. Brakowało chętnych na członków, ludzi, którzy się o nią martwili i chcieliby taki założyć. Poza tym Vita postąpiła okropnie: odeszła i zostawiła ją samą. A jeszcze gorsze było to, że teraz wróciła.

– Dobrze, dobrze – powiedziała i wzięła kieliszek.

Wino było trochę gorzkie, ale podziałało momentalnie.

– Robi coś dla... Nazwała to chyba centrum rehabilitacyjnym. Nie pytałem o szczegóły. Ona też jest terapeutką, prawda?

Skąd mam wiedzieć, pomyślała, ale powiedziała tylko:

– Szkoliła się na terapeutkę. Ale to było dawno temu. Naprawdę nie mam pojęcia.

– No cóż. Może wam się uda pogadać. Czasem tak bywa. Kiedy umarła twoja matka, odzywali się do mnie ludzie, o których od lat nie myślałem. Lawrence Davidoff. Pamiętasz go?

Kiwnęła głową. Wypiła kolejny łyk wina i dostała

nagrodę w postaci przyjemnego ciepła w żołądku.

– I Donald Newman. Byliśmy razem w Korei. Przez lata mieszkaliśmy pięć przecznic od siebie i ani razu się nie spotkaliśmy. To on przedstawił mnie Evie.

Spojrzała na niego.

– Serio?

– Jego żona była agentką nieruchomości. Eva i Lester kupili od niej mieszkanie przy Siedemdziesiątej Trzeciej. Po śmierci twojej matki Donald postanowił nas zeswatać.

Chciała zapytać: jak szybko po jej śmierci? Szczegół, którego nigdy nie była pewna.

– Nie potrzebuję żadnego swatania, dzięki.

– Wątpię, żeby o to Vicie chodziło. Mówię ci: wydawała się poważnie zmartwiona. Gdybyś ty... dowiedziała się... o czymś takim w jej życiu, na pewno też chciałabyś się do niej odezwać.

Wcale nie była tego pewna i nic nie powiedziała. Podeszła do szafki i zaczęła wyjmować talerze. Potem zabrała się do sztućców i serwetek. W końcu otworzyła lodówkę. Próbowwała się zorientować, co mają na kolację.

Jej ojciec naprawdę pomyślał o wszystkim. Były smarowidła i sery, plastikowe pudełka ze specjałami z Zabar's, cienka bagietka, torba pełna bajgli i bochenek krojonego żytniego chleba. Na blacie obok lodówki leżała sterta batoników, które w sklepie wystawiają przy kasach.

– O kurczę – jęknęła, wyjmując z przezroczystej folii gruby na pięć centymetrów kawałek łososia, pokrojony w cienkie lśniące plasterki. – Wspaniałe to wszystko. Jesteś kochany.

– Drobiazg – odparł. Położył jej rękę na ramieniu i stojąc za nią, zajrzał do lodówki. – Myślisz, że wystarczy?

– Żeby nakarmić wszystkich w promieniu kilku kilometrów. Na pewno. W ogóle to jesteśmy tu tylko my i jeden facet w tym domu z kamienia.

– Na końcu?

– Tak.

Uśmiechnął się.

– Chłopcy od nart wodnych? W tym domu?

– Zgadza się. Jeden z nich wyrósł na profesora. Powiedział, że wzięł urlop, żeby napisać książkę.

– Ocieplił tam sobie? – zapytał ojciec, marszcząc brwi.

– Chyba nie. Zadał mi to samo pytanie. Ale nie będzie zimno bez końca. Jeśli przetrwamy styczeń, najgorsze będziemy mieli za sobą. W razie czego przeniesiemy się do motelu.

Nie wyglądał na udobruchanego. Patrzył, jak jego córka wyklada sery na deskę. Przełała zupę do stalowego garnka i postawiła go na gazie.

– Naprawdę wolałbym, żebyś nie mieszkała w takich warunkach – powiedział z powagą, jakby wygłaszał jakąś radykalną myśl.

Co ty nie powiesz. Prawie się zaśmiała. Ale tak naprawdę dopiero kiedy pomyślała o swoim domu i życiu w mieście, zaczęła się bać. Tutaj miała spokój, naturalne odosobnienie. Oczywiście było piekielnie zimno, ale nie było to to samo piekło, które zaczynało ją dręczyć, jak tylko pomyślała o Nowym Jorku. Nie mogła tam jechać.

– Co zamierzasz zrobić, jak już wyjdzie twoja książka? – zapytał. – Wtedy będziesz musiała wrócić. Nie miałaś udzielać wywiadów? Wspominałaś o jakimś programie telewizyjnym.

Przestała robić to, co robiła, żeby na niego spojrzeć.

– Tato – powiedziała. – To już koniec. Nic z tego nie będzie.

Wyglądał na porażonego. Wyprostował się i spojrzał w dół, na nią. Twarz miał zwiotczałą i poorly zmarszczkami.

– Powiedzieli ci to?

– Nie musieli. Nikt nie musi mi tłumaczyć, że jedyne, o co będą chcieli mnie pytać, to moje małżeństwo, a o tym nie mam zamiaru rozmawiać. Z nikim, a już na pewno nie w telewizji. Wiem, że jestem pośmiewiskiem...

Próbował zaprzeczać, ale go zbyła, machnęła ręką. Nie próbował przesadnie wytrwale.

– Sądziłam, że moja książka może komuś pomóc. Myślałam, że mam coś do powiedzenia o tym, jak ludzie wybierają życiowych partnerów, ale nie mam. Widać to

jak na dłoni. Jestem terapeutką par, której mąż miał kochankę. I mógł ją zamordować.

Ojciec otworzył szerzej oczy.

– Grace – powiedział ostrożnie. – Mógł?

Potrząsnęła głową.

– Nie próbuję się niczego wypierać – odparła stanowczo. – Ale na razie muszę się zatrzymać na mógł. Nie jestem gotowa pójść dalej.

Rozejrzała się po kuchni. Za oknem światło całkiem zniknęło. Nastąpiła kolejna zimowa noc.

– Miał z nią dziecko – usłyszała swój głos. – Wiedziałaś o tym?

Spuścił głowę i wbił wzrok w drewnianą podłogę. Nie odpowiedział. Z sąsiedniego pokoju dobiegały ściszone dźwięki walca *Nad pięknym modrym Dunajem*.

– Powinienem być coś wyczuć – powiedział. – Prosił mnie o pieniądze.

Poczuła ból, który już znała: złe wieści. Świeże złe wieści.

– Kiedy?

– Niech pomyślę. Może w maju? Powiedział, że martwicie się czesnym w Reardenie, że może będziecie musieli przenieść Henry’ego do innej szkoły.

– Nieprawda – odparła z niedowierzaniem. – Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

– Teraz to rozumiem. Ale wtedy mówił, że bardzo się martwisz waszymi finansami i że sama nigdy byś mnie nie poprosiła o pomoc. Naturalnie zapewniłem go, że

nie macie się czym przejmować. Mam tylko jednego wnuka i na szczęście jestem w stanie pomóc opłacać jego edukację. Prosił, żeby to zostało między nami, i zostało.

Trzymała się blatu i starała się nie chwiać.

– Tato, przepraszam. Nigdy cię nie prosiłam o pomoc, bo nigdy jej nie potrzebowałam! Radziłyśmy sobie!

– Wiem. Był bardzo przekonujący. Zapewniał mnie, że onkolodzy dziecięcy nie zarabiają najlepiej. Nie mógł znieść myśli, że ty i Henry mielibyście z czegoś zrezygnować tylko dlatego, że on nie zarabia dostatecznie dużo. Twierdził, że byłoby to wobec was nie fair.

Potrząsnęła głową.

– W maju... Wtedy już nawet nie pracował. Dowiedziałam się od policji, że w lutym stanął przed komisją dyscyplinarną. Zwolnili go. Nie miałam o tym pojęcia.

Ojciec opierał się łokciami o stół. Miał zamknięte oczy.

– Dałem mu sto tysięcy dolarów – powiedział. – Nie chciałem, żeby musiał mnie znów prosić, żebyś ty musiała mnie prosić. Myślałem, że to pieniądze na czesne.

– No cóż – odparła. W jej głosie było coś mrocznego. – Możliwe, że na czesne, ale nie dla Henry’ego. Opłacał naukę innego dziecka. W końcu to zrozumiałam.

– Innego... Nie rozumiem. Czy to nie było niemowlę?

– Jej starsze dziecko, syn. Był jego pacjentem w Memorialu. Tam się poznali. Potem ten chłopiec zaczął się uczyć w Reardenie. Dyrektor... chyba sądził, że Jonathan i ja... że oboje płacimy jego chesne. Może to dlatego, że Miguel pokonał raka, a Jonathan był jego lekarzem. Ale ja nic nie wiem o tym chłopcu. Myślałam, że miał stypendium. – Westchnęła. – No i miał. Tylko że od Jonathana. To znaczy od ciebie. Tak mi przykro.

Ojciec pokręcił głową. Spojrzała na niego, ale dopiero po chwili zrozumiała, że się trzęsie.

– Tato?

– Nic mi nie jest.

– Tak mi przykro – powtórzyła.

– Daj spokój. Po prostu... jestem na siebie zły. Na niego też, ale przede wszystkim na siebie. Jak mogłem pozwolić, żeby cię tak oszukiwał?

Dopiero teraz zrozumiała, jak bardzo to wszystko raniło również jego. A może nie tylko t o. A może t o zaczęło się dużo wcześniej, a ona nie była biernym świadkiem. Przez całe lata prezentowała ojcu bardzo określony obraz samej siebie: bezpieczny związek, sukces zawodowy, wspaniały wnuk. Technicznie rzecz biorąc, była dla niego dostępna, ale nigdy mu nie okazywała prawdziwego ciepła. Właściwie niespecjalnie się nim interesowała. Nie obchodziło jej, co jest dla niego ważne, jak wygląda jego życie teraz i jak wyglądało kiedyś. Co tydzień przychodziła na kolację

i ściśle kontrolowaną rozmowę, ale nie czuła, że są sobie bliscy, i nie wierzyła, że on może to czuć. Właściwie dopiero teraz przyszło jej do głowy, że mógł chcieć, żeby byli sobie bliscy.

A co, jeśli się myliła i czegoś od niej chciał albo wręcz potrzebował, a ona mu odmawiała i nawet o tym nie wiedziała? Jakby sama go nie potrzebowała. Jakby wciąż nie potrzebowała matki! Jakby człowiek dostawał dodatkowe punkty za samotny trud i jakby ktoś pilnował, żeby nikt nie oszukiwał. Cóż za arogancja – zakładać, że mogła sama ustalać zasady i że miała nieograniczenie dużo czasu, żeby według nich postępować.

– Na nic mu nie pozwoliłeś – powiedziała i odstawiła kieliszek. – Sam to zrobił.

– Myślałem, że pomagam wam i Henry’emu. Myślałem... no wiesz, jesteś raczej skryta i nigdy byś mnie nie poprosiła o wsparcie. Nie wiem czemu. Więc byłem mu wdzięczny, podziękowałem mu za to, że mi dał taką możliwość. – Potrząsnął z niesmakiem głową i westchnął. – Eva uwielbia dawać swoim dzieciom prezenty – powiedział, jakby to było coś, za co powinien przeprosić. – Ale ty nigdy niczego nie chciałaś.

– Chciałam wielu rzeczy – poprawiła go. – Ale wszystkie miałam. A przynajmniej tak mi się zdawało. Chcieć tego, co się ma, to podobno klucz do szczęścia. –

Uśmiechnęła się. – Ktoś to powiedział, nie pamiętam kto.

Pokrywka zaklekotała na garnku. Grace wyjęła

z szuflady drewnianą łyżkę i zamieszała zupę.

– Mieć to, czego się chce?

– Nie. Chcieć tego, co się już ma.

– Ach! Jakie to proste – powiedział.

Wyglądał trochę lepiej. Zauważyła to z ulgą. Odłożyła łyżkę i przytuliła go.

Chwilę później w drzwiach stanął Henry. Kręcił głową.

– Ten film jest strasznie dziwny – oznajmił. – Jakieś kolory. I astronauta. Właśnie się zamienił w niemowlaka. W ogóle nie wiem, co się dzieje.

– Ja też nigdy go nie rozumiałem – odparł jej ojciec.

– Może Kubrick liczył na to, że wszyscy widzowie będą pod wpływem narkotyków. Ale twoja babcia i ja wypiliśmy przed seansem tylko po kieliszku martini. To chyba nie wystarczyło.

Poprosiła ich obu, żeby nakryli do stołu. Po raz pierwszy od chwili kiedy przyjechali, korzystali z jadalni. Pierwszy raz nie jedli z Henrym, siedząc na kanapie, z talerzami na kolanach, przykryci ciężkim kocem. W domu nadal było zimno, ale im było trochę cieplej.

Zjedli zupę, a potem bajgle z łososiem, bo w chwili kiedy je zobaczyła w lodówce, poczuła nieposkromiony apetyt. Dolewała sobie wina, a potem zabrała się do gorzkiej czekolady. Okazała się nadspodziewanie znośna. Cały wigilijny wieczór w lodowatym domu, do którego uciekła przed światem, w nieuniknionym

towarzystwie ojca i syna – obydwaj zostali zranieni przez Jonathana Sachsa, miłość jej życia – okazał się niespodziewanie znośny. Rozmawiali o baseballu – przynajmniej Henry z dziadkiem. Grace dowiedziała się ze zdziwieniem, że kiedyś jej ojciec regularnie chodził na mecze i kibicował drużynie o nazwie Montreal Expos. Znał się nawet na punktacji, która wydawała się w miarę prosta, a tak naprawdę była niesamowicie skomplikowana. Obiecał Henry’emu, że mu to wytłumaczy, może nawet następnego dnia. Kiedy Henry poszedł spać, ale zanim ona posprzątała ze stołu, siedzieli dłuższą chwilę w przyjemnej ciszy. W końcu ojciec zapytał, czy wie, dokąd pojechał Jonathan albo jak mu się udaje ukrywać przed policją.

– Jezu, nie – powiedziała. Zaskoczył ją. – Nie mam pojęcia. Gdybym wiedziała, powiedziałabym policji.

– Niesamowite, że mu się udaje. Dzisiaj wystarczy, że człowiek zrobi krok albo wyda pięć centów, i wszyscy o tym wiedzą. Dziwię się, że nikt go jeszcze nie rozpoznał. Przecież jest wszędzie. To znaczy jego twarz jest wszędzie.

Grace wzięła głęboki wdech. Ze wszystkich sił próbowała się nie zastanawiać, co to znaczy.

– Możliwe, że myślał o tym już wcześniej. Wiedział, jak zniknąć. Miał sporo czasu.

Ojciec zmarszczył brwi.

– Chcesz powiedzieć, że to wszystko zaplanował? Że zaplanował każdy...

Zawiesił głos. Może zapomniał nazwiska albo nie był w stanie powiedzieć go na głos.

To była kolejna rzecz, o której nie chciała myśleć. Pokręciła głową.

– Chodzi mi o to, że stracił panowanie nad sytuacją. Wygląda na to, że zaczęła mu się wymykać spod kontroli, jeszcze zanim wyjechał. Pewnie to przemyślał. Jak się ukryć. Może nawet przygotował sobie jakieś miejsce – powiedziała ostrożnie.

To było coś, nad czym się od jakiegoś czasu zastanawiała. Tyle że kiedy mówiła miejsce, miała na myśli kogoś. Może kogoś miał, a może sam był czyimś kimś. Może dzisiaj, tego wieczoru, jej mąż ukrywa się w kimś. A może Jonathan Sachs to ktoś, w kim się od dawna ukrywał. Ta myśl zabolą ją tak, że musiała zamknąć oczy i poczekać, aż jej przejdzie.

– Jonathan jest bardzo inteligentny – powiedziała w końcu. – To się nie zmieniło.

Była to jedna z bardzo niewielu rzeczy, które się w nim nie zmieniły.

– Ty też – odparł jej ojciec. – To twoja praca, rozumieć ludzi. Napisałaś nawet o tym...

Powstrzymał się, choć nie miało to już większego znaczenia. Mleko rozlane, kuchnia dawno posprzątana.

– Możesz dokończyć – powiedziała. – Nie martw się. Nie mówisz nic, czego bym nie wiedziała.

Pokręcił głową. Obracał w długich palcach kieliszek z winem. Twarz zapadła mu się od smutku. Zauważyła,

że od jakiegoś czasu się nie strzygł. Czyżby Eva przestawała o niego dbać? Ale jak tylko ta myśl, z całym ładunkiem niechęci, pojawiła się w jej głowie, zrozumiała, że nie chodzi o to. To jej osobisty kataklizm jest tak straszny i niszczący, że nawet Eva ma kłopot z wypełnianiem swoich obowiązków i odprawianiem rytuałów. Ona nie powinna się z tego powodu złościć. Jest jej też winna przeprosiny. Z zaskoczeniem stwierdziła, że czuje prawdziwą skruchę. Naprawdę współczuła żonie swojego ojca. Ile razy tłumaczyła swoim pacjentom, że kiedy udane małżeństwo się kończy z powodu śmierci któregoś z małżonków, ten, który pozostał przy życiu, często szuka nowego partnera, czasem bardzo szybko. Szczęśliwie poślubieni ludzie lubią żyć w małżeństwie i tyle. A jej ojciec był bardzo szczęśliwy z jej matką i pragnął znów to poczuć. Poznał Evę i dostrzegł przynajmniej szansę. Czy to nie lepsze od żałoby? Czy wolałaby, żeby w niej trwał? Więc dlaczego czuła się taka zraniona? Terapeuto, uzdrów samego siebie, pomyślała ze smutkiem.

– Myślę – powiedziała – że obserwowałam ciebie i mamę i miałam wyobrażenie o tym, czym jest dobra rodzina, i chciałam, żeby moja rodzina była podobna. Robiłam to samo co mama i Jonathan wydawał mi się...

– Próbowała sobie przypomnieć, jaki jej się wydawał, ale nic jej nie przychodziło do głowy. – Myślałam, że Henry jest szczęśliwy. Mam nadzieję, że był szczęśliwy.

– Wszystko było teraz w czasie przeszłym. – Chciałam

być taka jak ty. Chciałam być szczęśliwa.

Przez chwilę czuła, że zaczęła płakać. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby płakała, nie wiedząc o tym. Teraz nie. Teraz nie tak łatwo było ją zaskoczyć. Ale to nie ona płakała: to Frederick Reinhart, adwokat. Siedział po drugiej stronie sosnowego stołu i płakał w swoje długie palce. Jej ojciec: płakał. Długo nie była w stanie tego pojąć. W końcu wyciągnęła rękę i złapała go za nadgarstek.

– Tato?

– Nie. – Potrząsnął głową. – Nie chcę.

Nie chcę? Nie chcę czego?

Musiał się wypłakać. Trwało to długo, ale mogła po prostu czekać.

Wreszcie wstał i poszedł do łazienki. Usłyszała, jak spuszcza wodę i odkręca kran. Wrócił mniej więcej pozbierany. Przypominał swojego ojca, steranego życiem człowieka o wilgotnych oczach, którego ledwo pamiętała. Był niepokojącą postacią w rogu pokoju podczas jej przyjęć urodzinowych. Jej ojciec – jak ona i jak Henry – był jedynakiem i nie miał najlepszych relacji ze swoim ojcem. Prawie nic nie wiedziała o swoim dziadku, znała tylko odwróconą trajektorię jego adresów (Lauderdale Lakes, Rye, Flushing, Eldridge Street, Montreal, Bukowsko) i pamiętała pogrzeb, na który bardzo nie chciała iść, bo oznaczałoby to, że nie mogłaby pójść na najważniejszą bar micwę jej ówczesnego rocznika. Dzisiaj nie

pamiętała nawet, czyja to była bar micwa, ale wtedy pogrzeb dziadka nie mógł z nią wygrać.

– Nie byliśmy szczęśliwi – powiedział nagle, walcząc z urywanym, płytkim oddechem, jaki często przychodzi po łzach. – W każdym razie ja nie byłem. Ale wiem, że Marjorie też nie. Ja próbowałem. Najpierw z nią, potem bez niej. Próbowałbym wszystkiego.

– Ale... – Grace się zająknęła. – Nigdy tego nie widziałam. Nigdy – powiedziała, jakby uważała, że jej ojciec się myli co do własnego życia, a ona, jego dziecko, wie lepiej. – A co z... – Gorączkowo szukała dowodów na to, że się myli, i przypomniała sobie biżuterię z toaletki matki, drobiazgi leżące na blacie pod lustrem. – Co z tymi wszystkimi prezentami, które jej kupowałeś? Te broszki i bransoletki. To było takie urocze, że ciągle przynosiłeś jej biżuterię.

Potrząsnął energicznie głową.

– Wcale nie. Po prostu moje uczucia co jakiś czas gasły, a kiedy dochodziłem do wniosku, że nie mogę tak dłużej żyć, przychodziłem do niej z przeprosinami i prezentem.

Przerwał, żeby się upewnić, że jego córka nadal jest przy nim. Ale ona była daleko. Unosiła się wysoko nad jego głową, szybowwała tam i z powrotem przez całą długość pokoju.

– Kupowałeś biżuterię właśnie wtedy?

Dziwiła się, że w ogóle jest w stanie cokolwiek powiedzieć. To, że z jej ust wyszły właśnie te słowa,

miało mniejsze znaczenie.

Ojciec wzruszył ramionami.

– Nigdy jej nie nosiła. Dla niej była jak trucizna. Kiedyś ją o to spytałem, kiedy się szykowaliśmy do jakiegoś wyjścia. Była tam broszka ze szmaragdem. Pomyślałem, że ładnie by wyglądała na jej sukience. Powiedziała, że czułaby się jak Hester Prynne z wielką literą A.

Grace zamknęła oczy. Znała tę broszkę. Jonathan zabrał ją nie wiadomo gdzie. Miała nadzieję, że już nigdy jej nie zobaczy.

– Powinienem był dać spokój – powiedział, kręcąc głową. – Nie tylko z biżuterią. Nie poprawiało mi to samopoczucia i jej też na pewno nie było łatwiej. Niby co miała myśleć, kiedy patrzyła na te rzeczy i wiedziała, co oznaczają? Nie jestem nawet pewien, co mną kierowało. Możliwe, że w którymś momencie przestałem widzieć w tych prezentach życzliwość. Czasami przychodziłem do domu i widziałem, że wyłożyła coś na stolik. Jakby mi mówiła: pamiętasz to? Albo to? Dlaczego to sobie robiła? Rozumiem, że chciała mi zadać ból, ale czemu zadawała go sobie?

– Powinniście byli pójść na terapię – powiedziała Grace. – Przyszło wam to do głowy?

– Szczerze? Nie. Dla mojego pokolenia to nie było oczywiste. Kiedy ludziom się układało albo przynajmniej mogli ze sobą mieszkać, to trzymali się razem. Jeśli nie, brali rozwód. Wtedy nie było całego

tego próbowania i naprawiania. Nie wiem czemu. Można było chodzić do psychoanalityka, ale mnie się to wydawało chore. Dziesiątki godzin i tyle pieniędzy. Leżenie na kanapie i szukanie czegoś, co by wszystko wyjaśniło, w czasach kiedy się nosiło pieluchy. Prawda jest taka, że nie przejmowałem się zbytnio swoją nerwicą. Chciałem tylko odejść.

– To dlaczego tego nie zrobiłeś? – spytała surowo.

Jednak jej się udało znaleźć w sobie odrobinę oburzenia.

Podniósł głowę i spojrzał jej w oczy, ale musiał się wystraszyć, bo szybko uciekł wzrokiem.

– Prosiłem ją o rozwód, ale wiedziałem, że bez choćby słownej zgody nie ma sensu się rozstawać.

– Rozumiem, że mama się nie zgodziła.

– Kategorycznie odmówiła. Nigdy tego nie zrozumiałem. Nie dziwi mnie, że nie dbała o moje szczęście, ale czemu nie próbowała zawalczyć o własne? A ja nie chciałem jej ranić jeszcze bardziej.

Grace zdała sobie sprawę, że trzyma się stołu, że ścisza palcami drewno.

– Więc trwaliśmy dalej przy sobie. Jak wyjechałaś na studia, spróbowałem jeszcze raz, i myślę, że mogła to wtedy rozważyć, ale niedługo potem miała wylew.

Siedzieli tak jeszcze kilka minut. Grace z zaskoczeniem stwierdziła, że nadal jest w stanie popijać wino i że jej dom się nie zawalił. Wszystkie układy działały bez zarzutu. Co jeszcze? – pomyślała.

– Strasznie mi z tego powodu smutno – oznajmiła w końcu.

– Mnie też. Całe lata zadawałem sobie pytanie, co mogłem zrobić lepiej. Albo przynajmniej inaczej. Chciałbym mieć więcej dzieci.

– Rany – powiedziała. Była w szoku. – Dlaczego?

– Bardzo lubiłem być ojcem, patrzeć, jak się wszystkiego uczysz. Byłaś takim ciekawskim dzieckiem. Nie chodzi mi o naukę w szkole. Chociaż byłaś świetną uczennicą – poprawił się. – Ale potrafiłaś na coś patrzeć i patrzeć, a ja mówiłem do twojej matki: tu się tyle dzieje. Ona wszystko obserwuje.

Wszystko obserwuje, pomyślała Grace. I nic nie widzi.

– Po śmierci mamy mogłeś zacząć od nowa – powiedziała, wciąż niemiłym tonem. – Miałeś tylko pięćdziesiąt kilka lat. Mogłeś założyć nową rodzinę.

Wzruszył ramionami. Przez chwilę się nad tym zastanawiał.

– Może i tak. Ale poznałem Evę i poczułem się przy niej spokojny. Brakowało mi tego spokoju. Okazało się, że to moja najważniejsza potrzeba, wcale nie skomplikowana. Ona miała dzieci i wnuki, a potem urodził się Henry i byłem bardzo szczęśliwy. – Spojrzał na nią i zobaczyła, że mówi prawdę. – Bardzo mi smutno, że swoją wizję idealnego małżeństwa opierałaś na życiu moim i twojej matki. Powinienem był dawno temu o tym z tobą porozmawiać.

– Powinnam była cię do tego skłonić – odparła. – Obowiązkiem nastolatki jest gnębić rodziców, a ja nigdy tego nie robiłam. Młodzieńczy bunt nie bez powodu przeżywa się w młodości. Pewnie uważałam, że jestem na to za dobra. – Kręciła resztką wina na dnie kieliszka i patrzyła na tworzący się osad. – No cóż, lepiej późno niż wcale.

– Eva cię podziwia – powiedział. – Wie, że jej nienawidzisz. Zawsze ją to bolało.

Kiwnęła głową. Nie była gotowa zobaczyć w Evie pełnej współczucia, kochającej duszy. Ale mogła spróbować. Nagle usłyszała, jak bez ogródek prosi ojca o porcelanowy serwis po matce. Zdumiało ją to. Mit małżeństwa jej rodziców przed chwilą legł w gruzach. To, że nadal jej zależało na jego materialnych symbolach, nie miało najmniejszego sensu. Ale symbole są namacalne, zajmują miejsce w realnym świecie. W większym stopniu niż sądziłaby, że to możliwe, pragnęła się teraz otaczać symbolami, które miały swoje miejsce.

– Chciałabym go mieć. Dużo dla mnie znaczy.

– Co?

– Serwis z porcelany. Haviland, wasz prezent ślubny. Nie mogę znieść tego, że jest używany na co dzień. Wiem, że to głupie.

– Talerze i filiżanki? – spytał. Wciąż nie wiedział, o co chodzi.

– Tak. Są w starym stylu, wiem. Ale uważam, że wasze

ślubne prezenty powinnam dostać ja. Zdaję sobie sprawę, jak to brzmi – powiedziała, bo sama pierwszy raz słyszała, jak to mówi. Wreszcie usłyszała wydźwięk tej prośby. Nie był przyjemny. – Zazwyczaj nie jestem zachłanna, ale to była moja matka, a ja byłam jej córką. Nie podoba mi się, że ten serwis dostała twoja druga żona, a nie ja. To wszystko.

Sama nie do końca wiedziała, co oznaczały dwa ostatnie słowa.

– Oczywiście, że go dostaniesz. Co tylko chcesz. Eva zawsze mi powtarza, że powinniśmy się pozbywać rzeczy. Ma własny serwis. Może miałem do tamtego sentyment, nie wiem. I myślałem, że będzie ci miło przychodzić do nas na kolację i jeść z tych samych talerzy, z których jadłaś, kiedy byłaś małą dziewczynką. Ale jasne, jasne. Przywiozę ci go tutaj.

– Nie musisz – powiedziała. Czuła się jak idiotka. – Ale jak to wszystko się skończy, jeśli to kiedykolwiek nastąpi, chciałabym, żeby Henry czuł się związany z rzeczami, które nie mają nic wspólnego z jego ojcem. Chciałabym móc mu dać coś ze swojej przeszłości. Chciałabym mieć jakąś przeszłość, którą będę mu mogła podarować. Nie potrzebuję tego serwisu po to, żebym mogła być idealna, tylko po to, żebym mogła być prawdziwa.

Kiedy mówiła to wszystko na głos, zdała sobie sprawę, że zrobiła mały krok ku temu, żeby być na to gotowa.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Wielki błąd

Jako produkt prywatnego systemu oświaty, od pierwszego dnia żłobka do dnia, kiedy wręczono jej szkarłatny dyplom ukończenia studiów, nie miała prawa się spodziewać, że zapisanie Henry'ego do siódmej klasy szkoły podstawowej w Housatonic Valley będzie takie łatwe. Nie musiała wypełniać żadnego wniosku, nie mówiąc już o przerażającym manhattańskim rytuale dowiadywania się, ile wolnych miejsc może być na danym roku albo kogo może się znać w szkolnej radzie powierniczej albo w biurze przyjęć. Kiedy zadzwoniła z trwogą do sekretariatu szkoły, kilka dni po Bożym Narodzeniu, poproszono ją tylko radośnie o dokumenty. To, że będzie musiała je dostarczyć, wydawało się całkiem zrozumiałe i nie stanowiło najmniejszego problemu. Potrzebowali aktu urodzenia, rachunku za media w domku nad jeziorem, wystawionego na rodzica albo prawnego opiekuna, i wypisu z poprzedniej szkoły. Robert Conover niezwłocznie przesłał go jej mailem. Był budującą litanią pochwał.

Mimo to w pierwszych dniach nowego roku chowała w sercu przekonanie, że jej syna czeka niewymowna

męka, błyskawiczny upadek z parnasu manhattańskiego szkolnictwa w bagno wyzutyh z ambicji państwowych instytucji. Przewidywała, że miejscowa szkoła albo będzie lata świetlne za Reardenem – dodawanie i odejmowanie w siódmej klasie, na angielskim *Przygody Tomka Sawyera* – albo pozostałe dzieci będą zacofanymi degeneratami, wachającymi klej nałogowymi wielbicielami gier komputerowych, że będą piętnować Henry’ego jako intelektualistę i estetę, nienawidzić i unikać z niewzruszoną jednomyślnością wszystkich siódmoklasistów bez względu na szerokość geograficzną (może z wyjątkiem takich miejsc jak Rearden, których dyrektorzy chlubią się tym, że walczą z wszelkimi przejawami uczniowskiej agresji).

Zatrzymała te lęki dla siebie. I dobrze, bo Henry z utęsknieniem wyczekiwał dnia, kiedy skończy się życie w odosobnieniu, w chacie nad niemal zupełnie wyludnionym jeziorem, i będzie mógł wrócić do świata dwunastolatków. Pierwszego dnia zawiozła go samochodem, kompletnie nieświadoma, że jako uczeń państwowej placówki ma prawo jeździć w obie strony szkolnym autobusem. Podjechała pod sam gmach i patrzyła, jak Henry wchodzi do środka. Zaraz potem wróciła do domu, wsunęła się pod kołdrę i rozpadła na kawałki.

Naprawdę na kawałki. Nie pozwoliła sobie na to od tej pierwszej chwili przy mrugającej lampce telefonu. Ani kiedy nastąpił nagły koniec jej świata, ani kiedy

uciekała do Connecticut, ani kiedy szukała ciepła i pożywienia, ani w świątecznych chwilach wytchnienia, ani podczas wizyty ojca i przygotowań do pierwszego dnia szkoły. Cały ten czas pozostawała sobą: filigranową, zaradną kobietą, rozsądną i umiejącą nadać sprawom właściwy bieg. Henry stracił wiele, ale nadal miał matkę, która się nim opiekowała i pilnowała, żeby miał rano co zjeść i w co się ubrać. Teraz zdała sobie sprawę, że nie do końca rozumiała, ile ją kosztowało zachowywanie pozorów normalności. Teraz, kiedy Henry zaczął wychodzić z domu i kilka godzin dziennie spędzać w bezpiecznym miejscu. Kiedy to w końcu pojęła, siła odśrodkowa, która dotychczas trzymała ją w pionie, osłabła, i wreszcie całkiem przestała działać. I wtedy ziemia zwyczajnie zapadła się pod jej nogami.

Leżała w łóżku, najczęściej na boku, i patrzyła w nicość. Potrafiła to robić godzinami, mimo fizycznego bólu. Dryfowała między jawą a snem. W końcu dopadał ją strach, że przegapi chwilę, kiedy powinna odebrać Henry'ego ze szkoły (bo wciąż nie rozumiała, że może wracać autobusem), zmuszała się do podniesienia głowy i nastawienia budzika na drugą czterdzieści pięć. Potem znów kładła się na boku i patrzyła w nicość.

Tak mijały całe dni. Stało się to niemal jej pracą: zawieźć go do szkoły, położyć się do łóżka, leżeć kilka godzin, wstać, odebrać go ze szkoły. Wypełniała swoje obowiązki bardzo sumiennie. Rygorystycznie

przestrzegała planu dnia. Nie czuła nic prócz tępego kłucia rozpaczy i zawrotów głowy. Musiała pamiętać, żeby jeść, a zdarzało jej się o tym zapominać. Raz na jakiś czas myślała: jak długo to potrwa? Ale najczęściej nie myślała w ogóle. Tam, gdzie kiedyś miała umysł, teraz była wielka pustka. Jak duży pokój z brudnymi oknami i brzydką, śliską podłogą. Tam teraz mieszkała, przynajmniej wtedy, kiedy Henry był poza domem. Kiedy za piętnaście trzecia dzwonił budzik, przebierała się, sprawdzała, co jest w lodówce, robiła listę zakupów i jechała odebrać Henry'ego ze szkoły. Do tego się sprowadzało jej życie. Tylko tyle była w stanie znieść. Powtarzało się to dzień w dzień, bez najmniejszych zmian. Przynajmniej w dni powszednie.

Tymczasem szkolny koszmar Henry'ego jakoś nie chciał się ziścić. Pierwszego dnia wszedł do klasy swobodnym krokiem. Rówieśnicy okazali radosny brak zainteresowania tym, że w środku roku szkolnego wylądował w głębi Connecticut. Pod koniec lekcji miał nie jednego, ale dwóch kumpli. Obaj bardzo chcieli wiedzieć, co go jara, i obaj byli wniebowzięci, kiedy im powiedział, że jara go anime.

– Animacja? – Grace zmarszczyła brwi.

Jedli kolację w pizzerii w Lakesville.

– Anime. Japońska animacja. No wiesz, jak w *Spirited Away*.

– A, okej – powiedziała, choć nadal nie była pewna, o czym mówił.

– Miyazaki?

– Nie widziałam.

– Nie, to reżyser. Taki japoński Walt Disney, ale dużo lepszy od Disneya. No, w każdym razie Danny ma *Laputę – podniebny zamek* na DVD i zaprosił mnie na oglądanie w sobotę. Mogę do niego pójść, prawda?

– Oczywiście – odparła z udawaną radością, chociaż wypuszczenie go z domu w weekend wydawało jej się koszmarną wizją. – Powiedziałaś: *Podziemny zamek*?

Ten film знаła, ale nie potrafiła sobie wyobrazić, jak mógłby się podobać chłopom w wieku Henry’ego.

– Nie. Podniebny. Trochę oparty na Jonathanie Swifcie, trochę na hinduskiej legendzie, ale dzieje się trochę w Walii. U Miyazakiego jest dużo tego trochę. – Zaśmiał się z własnego żartu, jeśli to w ogóle był żart. Słuchała go ze zdziwieniem. – Ale Danny ma wersję japońską z angielskimi napisami. Taka zawsze jest lepsza.

– No dobrze – przytaknęła. – Anime, tak? Od kiedy? Bo nigdy o tym nie mówiłeś.

– Tata zabrał mnie w zeszłym roku na *Ruchomy zamek Hauru* – powiedział.

– Aha... – Znów przytaknęła z udawaną lekkością. – Fajnie.

Szybko zmieniła temat.

Nazajutrz Henry pojechał do szkoły, a ona wróciła do łóżka.

Kolejnym zaskoczeniem był wysoki poziom. Na

naukach społecznych omawiali badania Margaret Mead na Samoa, a na historii zaczęli intensywny kurs na temat wojny secesyjnej. Mieli się opierać na wielu źródłach historycznych. Na angielskim na liście lektur na resztę roku szkolnego były standardowe pozycje: *Szkarłatna litera*, *Zabić drozda*, *Myszy i ludzie* – bez tytułów spoza kanonu, które prywatne szkoły w Nowym Jorku w ostatnich latach dodawały do spisu, żeby zademonstrować polityczną poprawność. W matematyce wyprzedzali Reardena. Grace cieszyła się, że Henry’ego czeka klasówka z francuskiego i że musi napisać wypracowanie na temat Jema Fincha. Miał je oddać w piątek.

Do tego chciał się zapisać do drużyny baseballowej.

Zapytała go, co ze skrzypcami. Wcześniej żadne z nich nie poruszyło tego tematu.

– Nie wiem. Mam wybrać między orkiestrą, zespołem i chórem.

Westchnęła. Sala pełna leniwych skrzypków rzępolących temat z *Forresta Gumpa* to jednak co innego niż zakurzony salon Witalija Rosenbauma. Ale na razie...

– Orkiestra chyba jest okej?

Henry przytaknął. Nie okazał radości. Przynajmniej mieli tę trudną rozmowę za sobą.

Nadal odwoziła go rano i odbierała po południu. O dziwo nie protestował, choć na pewno widział, jak jego rówieśnicy codziennie wyskakują z żółtych

autobusów i pakują się do nich po lekcjach. A może, tak myślała, rozumiał, jak ważne są dla niej te przejażdżki, i czuł, że te dwie krótkie rytualne podróże stanowią fundament jej codzienności, na którą składa się leżenie pod kołdrą i gapienie się w otchłań czającą się tuż za ścianą jej sypialni.

Jakiś czas później musiała zajrzeć do kalendarza, żeby sprawdzić, jak długo to trwało, ale któregoś ranka pod koniec stycznia, kiedy podrzuciła Henry'ego do szkoły, nie pojechała na południe, w stronę jeziora, domu, łóżka i budzika, tylko na północ, w stronę Falls Village i biblioteki. Na miejscu usiadła na jednym z foteli z wysokim oparciem stojących pod dziewiętnastowiecznymi reprodukcjami w ozdobnych ramach i zagłębiła się w lekturze lokalnej gazety. Znalazła doniesienia o okolicznych drużynach sportowych i felietony na temat działalności komisji do spraw zagospodarowania przestrzennego komisji gruntowej. Kilka dni później znów tam pojechała.

Czasami spotykała w bibliotece Leo Hollanda. Któregoś ranka w lutym poszła z nim na kawę do knajpki przy głównej ulicy. Nie był już obcy. Awansował. Nie był już ledwo pamiętaną postacią z wakacji, z dzieciństwa, wyróżniającą się głównie talentem do hałasowania i tym, co przeżywała przez niego jej matka. Po spotkaniu przy skrzynce na listy odwiedził ją dwa razy. Za pierwszym razem z dużą plastikową miską czegoś, co nazwał duszonym

kurczakiem (prawdopodobnie dlatego, że nie był dostatecznie nadęty – albo nie chciał wyjść na takiego – żeby powiedzieć coq au vin, mimo że to było coq au vin), za drugim z bochenkiem chleba Anadama domowej roboty. Obydwa specjały, wyjaśnił, zostały po kolacjach, które ich grupa co kilka tygodni urządza w jego domu. Słowo grupa wypowiedział tak nonszalancko, że nie wiedziała, co miało oznaczać. Grupa badawcza? Terapeutyczna? Powiedział tak niewiele, że równie dobrze mogłaby założyć, że była to grupa zajmująca się amatorsko szydełkowaniem albo grupa wolontariuszy Amnesty International. Ale kiedy wspomniał o tym tamtego dnia przy kawie, była tak ciekawa, że zapytała.

– Ach, to nasz zespół – powiedział. – Wolimy go nazywać grupą. Większość z nas to zapaleńcy w średnim wieku, a zespół kojarzy się z nastolatkami w garażu rodziców. Chociaż nasz drugi skrzypek jest nastolatkiem. To syn mojej przyjaciółki Lyric. Lyric gra na mandolinie.

– Lyric – powtórzyła Grace. – Doskonałe imię dla muzyka.

– Rodzice hipisi – odparł. – Ale do niej pasuje. Uczy gry na mandolinie w Bard. Ja też tam pracuję, ale już ci to chyba mówiłem.

– Nie. – Wsypywała cukier do cappuccino. – Mówiłeś tylko, że jesteś na urlopie. Ale nie wspomniałeś, gdzie uczysz.

– W Bard. Świetne miejsce do wykładania, gorsze, jeśli chodzi o urlopy.

Zaśmiał się. W niewielkiej kawiarence w rogu stał duży drewniany stół. Jakiś komitet mam (mimo woli pomyślała o komitecie, w którym niedawno sama zasiadała, przy podobnym stole) deliberował przy nim nad żółtymi notesami. Obok leżała sterta albumów ze zdjęciami motocykli. Na niej stało zdjęcie Lizy Minnelli – z autografem. Na pewno miało co najmniej dwadzieścia lat.

– Mam stąd do pracy mniej niż godzinę, ale to wystarcza, żeby do mnie nie dzwonili. W przeciwnym razie nic bym nie zrobił. Z grupą gram od ponad pięciu lat. Nie spodobało im się, że będą musieli tak daleko dojeżdżać, ale jak zobaczyli to miejsce pierwszy raz, to się zakochali. Podobało im się, że są sami nad jeziorem. Prawie sami – poprawił się. – Teraz robimy z tego cały wieczór. Czasem z noclegiem, jeśli Rory nie ma następnego dnia szkoły. Rory to nasz drugi skrzypek. No i gotujemy dużo jedzenia.

– Jestem tego wdzięczną beneficjentką – powiedziała.

– Tak. I bardzo dobrze.

– A... – zaczęła. Nagle sobie coś uświadomiła. – To od ciebie słyhać tę muzykę. Nie zawsze da się namierzyć, z której strony. Czasem brzmi tak, jakby ktoś grał w środku lasu. To wasz zespół? Przepraszam: grupa?

– Mamy bardzo nieliczną rzeszę fanów w obrębie

college'u. No wiesz: sympatie, współpracownicy, studenci mający nadzieję na dobrą ocenę. Mamy nazwę: Windhouse. To jakaś ruina na Szetlandach. Nawiedzona, według Columa. To też członek zespołu. Dorastał w Szkocji i chodził na wycieczki po Szetlandach. Wszyscy o to pytają – powiedział. Trochę bez sensu, bo ona nie spytała. Ale zamierzała.

– Gracie naprawdę fajnie. Z tego co słyszałam.

Leo najwyraźniej postanowił, że przestanie mówić o sobie. Przez chwilę siedzieli w krępującej ciszy, wpatrując się w swoje kawy. Kobiety przy dużym stole –

Grace rozpoznała jedną z nich, znała ją ze szkoły Henry'ego – powoli kończyły. W pewnej chwili otworzyły się drzwi i weszli dwaj ogromni mężczyźni. Kucharka, kobieta z długimi siwymi warkoczami upiętymi wokół głowy, podbiegła do kasy i pochyliła się nad ladą, żeby ich objąć.

– Mówiłeś, że piszesz książkę? – zapytała Grace.

– Tak. Mam nadzieję, że skończę do czerwca. Muszę w tym roku poprowadzić letni kurs.

– O czym ta książka?

– O Asherze Levym – odparł. – Słyszałaś o nim?

Zacęła kręcić głową, ale powiedziała:

– Zaraz. Asher Levy i Asser Levy to ta sama osoba?

– Tak! – Był wniebowzięty, jakby mu sprawiła wyjątkową przyjemność, wiedząc choć tyle. – Asher, znany też jako Asser. Zapomniałem, że jesteś nowojorską Żydówką. Pewnie, że znasz Assera

Levy'ego.

– Nie znam – zaprotestowała. – Kogarzę tylko nazwisko. W East Village jest chyba szkoła jego imienia.

– I park na Brooklynie. I centrum rekreacyjne. I ulica! Pierwszy Żyd z własną działką w Nowym Jorku, a bardzo możliwe, że w ogóle pierwszy Żyd w Ameryce. Próbuję to ustalić.

– Nie miałam pojęcia. – Zaśmiała się. – Pierwszy Żyd z własną ziemią w Nowym Jorku? Myślisz, że wyobrażał sobie kiedyś Harmonie Club albo świątynię Emanu-El?

– Masz na myśli parafię Matki Boskiej Emanu-Elskiej? – powiedział Leo. – Mój ojciec tak ją nazywał. Przez chwilę tam chodził, ale jak poznał moją matkę, został kwakrem. Zawsze mówił, że połowa ludzi, z którymi miał bar micwę, przeszła na kwakryzm albo buddyzm. Twierdził, że wolał medytować na ławce w świetlicy niż na podłodze, więc został kwakrem. Poza tym kwakrzy mieli lepsze naklejki na zderzak.

– Pamiętam go! – powiedziała Grace, bo naprawdę pamiętała jego ojca, a przynajmniej tak się jej zdawało. – Nosił taki duży rozciągnięty sweter, prawda? Jasnozielony?

– Ach... – Leo westchnął i pokiwał głową. – Zmora mojej matki. Całymi latami go chowała w nadziei, że tata o nim zapomni i znajdzie sobie coś nowego, co nie będzie mu sięgało do kolan. Ale on miał jakiś dodatkowy zmysł i zawsze podchodził prosto do tej

komody albo szuflady, w której go schowała. Ale po jej śmierci go wyrzucił. Któregoś dnia zobaczyłem go w koszu na śmieci. Nawet nie pytałem, dlaczego to zrobił.

Grace kiwnęła głową. Myślała o swoim ojcu i o torbie z biżuterią, na którą nie był w stanie patrzeć, bo przywoływała tak złe wspomnienia.

– Moja mama też nie żyje – powiedziała.

Nie była pewna, czy to odpowiedni moment. Leo pokiwał głową.

– Przykro mi.

– Mnie też. Że twoja.

– Dzięki.

Siedzieli w milczeniu jeszcze minutę, mniej skrupowani, niż mogliby się spodziewać.

– Nigdy nie przechodzi, prawda? – powiedział Leo. – Po śmierci matki.

– Nigdy.

Wypił łyk kawy i z nieobecny wyrazem twarzy wytarł usta wierzchem dłoni.

– Moja mama umarła tutaj, nad jeziorem. Ojciec i brat wyjechali, a ona została, żeby zamknąć dom. To było jednaście lat temu. Nie wiemy do końca, co się stało. Prawdopodobnie zatrucie tlenkiem węgla, ale autopsja nie dała jednoznacznych wyników. Tata i tak zainstalował nowy grzejnik, żeby sobie poprawić samopoczucie.

– To straszne – powiedziała Grace.

Nie pamiętała, jak wyglądała jego matka.

– A twoja?

Opowiedziała mu o tym, jak wróciła do Cambridge po wiosennej przerwie na pierwszym roku studiów, o tym, jak telefon w jej pokoju w akademiku nie przestawał dzwonić, a ona nie mogła trafić kluczem do zamka i wiedziała – nawet w tej prehistorycznej erze przed komórkami – że ten telefon będzie oznaczał coś ważnego i bardzo złego. I tak właśnie było: jej matka miała wylew, w Nowym Jorku, niecałą godzinę po tym, jak ona wyszła z domu, żeby pojechać na dworzec. Natychmiast pojechała z powrotem. Przez następnych kilka tygodni jej matka ani razu nie odzyskała przytomności, a przewidywania stawały się coraz mniej optymistyczne. Cały czas była z rodzicami w szpitalu. W końcu stało się jasne, że musi albo zawiesić studia, albo wrócić do Cambridge. Postanowiła pojechać i stało się to samo: niewiarygodne, straszne, surrealistyczne. Telefon dzwoniący za grubymi dębowymi drzwiami, gorączkowe szukanie klucza, pewność, że nadchodzą ważne, złe wieści. Znowu wróciła do Nowego Jorku, tym razem już na resztę semestru. Dopiero latem nadrobiła zaległości.

Jesienią wyprowadziła się z akademika i zamieszkała z Vitą. Niedługo potem poznała Jonathana. Teraz pomyślała, że dobrze byłoby mieć wtedy matkę. Jak Marjorie Wells Pierce Reinhart – która poznała i pokochała swojego męża po jednej randce w ciemno

w 1961 roku i której małżeństwo nie było udane – zareagowałyby, gdyby jej jedyna córka zadzwoniła do niej, upojona szczęściem, żeby jej opowiedzieć o młodym mężczyźnie, ambitnym, miłosiernym, delikatnym, trochę rozczochrany i bez reszty w niej zakochanym?

Powiedziałyby: uważaj. Zwolnij.

Powiedziałyby: Grace, proszę cię. Bardzo się cieszę, ale bądź mądra.

Innymi słowy: bądź mądrzejsza.

– Żałuję, że jej nie znałem, kiedy już byłem dorosły – powiedział nagle Leo. – Wiem, że nie przepadała za mną, kiedy byłem nastolatkiem.

– Nie bierz tego do siebie – odparła Grace. – Chyba nie była szczęśliwa.

Nigdy wcześniej, nigdy w życiu, nie powiedziała nic podobnego. Słuchała ciszy, która potem zapadła, i była sobą zadziwiona. Poczuli się strasznie. Miała wrażenie, że wypuściła w świat coś okropnego. Jej matka była nieszczęśliwa. Przed chwilą to powiedziała. Jak mogła być taka wstrętna?

– Czasem wszystko dzieje się tak... chaotycznie – powiedział Leo – że musimy stworzyć jakąś opowieść o nich. Myślę, że bardzo często tak jest ze śmiercią.

– Słucham? – zapytała.

– Opowieść. Wróciłaś do szkoły. Dzwonił telefon. Znowu wróciłaś na studia. Znowu zadzwonił telefon. Opowiadasz to tak, jakbyś to ty odpowiadała za jej

śmierć.

– Myślisz, że to narcyzm? – spytała.

Nie mogła zdecydować, czy powinna się poczuć urażona.

– Nie, zupełnie nie to chciałem powiedzieć. To znaczy w każdym z nas jest odrobina narcyzmu. Każdy jest głównym bohaterem swojego życia, więc to naturalne, że się myśli, że się jest najważniejszym. Ale nie siedzimy za kierownicą. To tylko miejsce, w którymś ktoś zamontował szybę.

Zaśmiała się. Po chwili, kiedy zdała sobie sprawę, że się śmieje, zaśmiała się jeszcze raz.

– Wybacz – powiedział Leo. – Choroba zawodowa. Zawsze. Prowadzić. Wykład. Parafrazując Mameta.

– Nic nie szkodzi – odparła Grace. – Nigdy o tym nie myślałam. A niby jestem terapeutką.

Spojrzał na nią uważnie.

– Dlaczego niby?

Nie odpowiedziała, bo sama nie rozumiała, czemu tak się wyraziła. Odkąd ostatni raz pomyślała o pacjencie, minęły tygodnie. Jeszcze więcej czasu upłynęło, odkąd czuła się upoważniona do radzenia innemu człowiekowi, co mógłby zrobić, żeby żyć lepiej.

– Wolę nie rozmawiać o pracy – powiedziała.

– Okej – odparł ostrożnie.

– Ja też mam przerwę.

– Rozumiem. Nie żebyśmy o tym rozmawiali.

– Nie – potwierdziła. I na tym skończyli. Przeszli do

innych tematów.

Jego ojciec nie ożenił się drugi raz, ale miał jakąś kobietę, Prudie. Jego brat Peter był adwokatem, mieszkał w Oakland. On miał córkę.

– W pewnym sensie – sprecyzował.

– W pewnym sensie masz córkę.

– Byłem związany z kobietą, która już miała córkę. Ramonę. Ramona to córka, nie ta kobieta. Postanowiliśmy, że nasze rozstanie będzie najlepsze w historii świata, co oznaczało, że Ramona pozostanie częścią mojego życia. Cieszyłem się, bo ją ubóstwiam.

– Najlepsze rozstanie w historii... – powtórzyła Grace z namysłem. – Brzmi jak z Woltera.

Wzruszył ramionami.

– To oczywiście ideał. Ale nie znam lepszego powodu, żeby tego spróbować, niż dzieci. Nawet tylko w pewnym sensie.

Spojrzał na nią. Widziała, że się zastanawia, czy powinien zapytać. Była tam, nad jeziorem. Jej syn też. Musiała spojrzeć na swoją lewą rękę, żeby sprawdzić, czy nadal ma obrączkę. Wyglądało na to, że nadal ma obrączkę. Przez te wszystkie tygodnie nie zrobiło to na niej wrażenia.

– I... często się z nią widzisz?

– Jeden weekend w miesiącu. Jej matka mieszka w Bostonie, więc nie jest łatwo, ale dajemy radę. Na ogół przyjeżdża też do mnie na kilka tygodni latem, ale to też się ostatnio komplikuje. Z powodu chłopaków –

powiedział z sarkazmem.

Grace się uśmiechnęła.

– Tak, powiedziałem: z powodu chłopaków. Okazuje się, że to dla czternastolatki ważna sprawa. Nad pięknym jeziorem nie ma chłopaków. Próbowałem ją przekonać, że chłopaki są do niczego, ale ona i tak chce wyjechać na obóz z tymi odrażającymi stworzeniami, a ja mam się zadowolić odebraniem jej w Vermont i spędzeniem z nią tygodnia w Cape Cod.

Grace się zaśmiała i wypła ostatni łyk kawy.

– I lepiej, żebyś był zadowolony, jeśli ci życie miłe – doradziła mu. – Czternastoletnia dziewczyna to bardzo skomplikowany organizm. Ciesz się, że w ogóle chce z tobą spędzać czas.

– Cieszę się – wymamrotał. – Nie wyglądam na szczęśliwego?

Potem znów zaprosił ich na kolację, a ona znów odmówiła, choć tym razem mniej stanowczo niż poprzednio i mniej stanowczo niż za pierwszym razem. Potem myślała, że to z powodu Henry'ego, bo podejrzewała, że jej syn mógłby go polubić. Poza tym Leo nie byłby dla Henry'ego problemem: wszyscy troje mieszkali nad tym samym jeziorem w środku lasu. Leo powiedział, że byłoby fajnie, gdyby Henry wziął skrzypki (tak mówił, nie: skrzypce), bo bardzo chciałby usłyszeć, jak gra. Zapytał też, czy nie miałby ochoty wpaść ze skrzypkami w któryś weekend, żeby dołączyć do grupy. Prawie powiedziała, że Henry niespecjalnie

dołącza, że nie tak nauczono go grać, że trudno jej sobie wyobrazić któregokolwiek z uczniów Witalija Rosenbauma, jak dołącza do innych muzyków (ponury Węgier pewnie w ogóle nie uznałby Hollanda i jego grupy za muzyków). Ugryzła się w język. Ale zaproszenia nie przyjęła. Zaczęła za to wypytywać, obojętnym tonem, żeby Leo zapomniał o swojej propozycji, o różnicę między skrzypcami a skrzypkami. Odparł po prostu: podejście.

– Podejście – powtórzyła bez przekonania. – Naprawdę?

– Nic więcej – odparł, wyraźnie z siebie zadowolony.

– Ale... podejście do czego?

– Powiedziałbym ci, ale wtedy nie mógłbym wziąć odpowiedzialności za to, co będzie dalej. Zostawimy to na kilka tygodni?

Tak, powiedziała trzeźwo, kiwając głową. Kilka tygodni.

Wstali i razem wyszli z kawiarni. Leo pomachał do kobiety stojącej za kontuarem, a Grace – udało jej się przez godzinę nie zastanawiać, jak będzie wyglądała jej przyszłość – wróciła do samochodu, usiadła za kierownicą i pojechała na północ.

Kilka dni wcześniej rozmawiała chwilę z Vitą. Specjalnie na tę okazję podłączyła z powrotem telefon. Jej służbowy numer znalazła w trzydzieści sekund w komputerze w bibliotece. Zebranie się na odwagę i zrobienie z niego użytku okazało się trudniejsze. Było

trochę sztywno, to zrozumiałe w tych okolicznościach, ale kiedy Vita zaprosiła ją do swojego gabinetu do Pittsfield, od razu zgodziła się przyjechać.

Nie do końca tego chciała.

Ale właściwie nie bardzo wiedziała, czego chce.

Pochyliła się. Wypatrywała plam gołoledzi na drodze numer siedem, zwłaszcza na zakrętach. Znała już tę trasę. Great Barrington pełniło teraz w jej życiu rolę metropolii. Jeździła tam za każdym razem, kiedy potrzebowała czegoś, czego nie mogła zdobyć w Canaan albo Lakeville. Czyli właściwie zawsze. (Tak mocno przywiązała się do Kooperatywy Berkshire, że własna dawna słabość do delikatesów Zabar's na Upper East Side wydawała jej się teraz błaha i umiarkowana). Udało jej się też zmarnować trochę czasu w kilku lepszych restauracjach, u rzeźnika i w sklepie, w którym sprzedawano tylko zabytkową porcelanę, w tym cały serwis Haviland, który już miała obiecany.

Zawsze uważała, że Great Barrington to ładne miasteczko. Miało tę typowo amerykańską główną ulicę, ale poza tym było dość rozległe, i nawet jeśli ulice nie tworzyły prawdziwego centrum, sprawiały przynajmniej wrażenie miejsc, gdzie można zaparkować i pozwiedzać. Zostawiła tam sporo wspomnień: sklep wielobranżowy, w którym jej matka lubiła obsługę i buty, księgarnia przy Stockbridge Road, w której spędzała długie popołudnia, polując na stare książki psychologiczne, i gigantyczny sklep z antykami, w którym kupili

z Jonathanem obraz przedstawiający sianokosy. Wisiał w ich jadalni przy Osiemdziesiątej Pierwszej.

Tylko czy to wciąż był ich obraz? I czy wisiał w ich jadalni? Jak całej reszty ruchomej artystycznej instalacji znanej dawniej jako jej małżeństwo nie chciała go już nigdy widzieć.

Kiedy mijała Lenox, niebo spowijała już stalowa szarość. Jechała na północny zachód, do Vity. Zostawiała w tyle zamożny świat Tanglewood i Edith Wharton. Droga biegła między nielicznymi farmami i prowadziła do przemysłowych obrzeży Pittsfield, przez które przebiegała najdalej na północ wysunięta granica świata, który Grace znała jako dziecko. Raz czy dwa, jako mała dziewczynka, odwiedziła tamtejszy Teatr Kolonialny, i przynajmniej raz do roku, w deszczowe dni, zwiedzała Muzeum Berkshire. Bardzo możliwe, że podczas którejś z tych wypraw towarzyszyła jej Vita, kiedy spędzała z nią lato nad jeziorem. Jak dziwnie było teraz myśleć, że miasto, które kiedyś pokazała swojej przyjaciółce, stało się dla niej domem i miejscem pracy. Pittsfield należało do tych starych miasteczek, w których bywało się tylko przejazdem, bo cel podróży był gdzieś dalej albo tam właśnie kończył kurs autobus albo pociąg. Było miastem w stanie postępującego rozkładu, pełnym imponujących kiedyś domów, zdobiących dziś trochę groźne dzielnice, i zadrzewionych kiedyś parków, do których dzisiaj lepiej było nie wchodzić po zmierzchu.

Centrum Portera mieściło się w dawnej fabryce Stanley Electric Manufacturing Company. Budynki z czerwonej cegły tworzyły coś na kształt kampusu, ale znak przy głównej bramie (i strażnik, który zjawił się, kiedy zwolniła, żeby przeczytać napis) skierował ją do przerobionego na biura domu mieszkalnego w klasycznych bielach i zieleniach. Na fasadzie wisiała tablica informacyjna. Zaparkowała i przez chwilę próbowała się uspokoić. W stopce w mailu przeczytała, że Vita jest kierowniczką tej instytucji, działającej nie tylko na tym przemysłowym kampusie, ale też na terenie całego hrabstwa, od Williamstown na północy do Great Barrington na południu. Zgodnie z opisem na stronie internetowej, którą przejrzała w bibliotece, centrum oferowało szeroki wachlarz usług: przyspieszone leczenie dla narkomanów, zajęcia dla nastoletnich matek, terapię indywidualną, terapię grupową dla cierpiących na stany lękowe i chorych na depresję, a także przymusowe leczenie dla alkoholików i sprawców przestępstw na tle seksualnym. Hurtownia zdrowia psychicznego, pomyślała, patrząc z fotela kierowcy na długie budynki z cegły. Przed laty, w czasach kiedy miała wyjść za mąż i obie wybierały się na studia (Vita na nauki społeczne, ona na psychologię), nie przewidywała, że życie jej przyjaciółki przybierze taki obrót.

A przecież byłam mistrzynią przewidywania obrotu spraw, pomyślała ponuro.

Zapięła parkę i wzięła torebkę. Po chwili zamknęła samochód.

W wyremontowanym salonie było ciepło, bardzo ciepło. Kobieta w jej wieku, ze skórą prześwitującą przez rzednące włosy, zaproponowała, żeby usiadła na przystrojonej okrągłymi serwetkami z białej koronki kanapie. Usiadła i spojrzała na dostępne lektury: czasopisma psychologiczne, łąmigłówki dla dzieci i album ze starymi zdjęciami Pittsfield. Otworzyła go i zaczęła powoli przewracać kartki. Stare zdjęcia fabryk Stanley Electric, szeregi eleganckich wiktoriańskich domów (niektóre pewnie minęła po drodze), rodziny odpoczywające na trawie, i baseball – bardzo duża baseballu. Wyglądało na to, że Pittsfield od zawsze żyło baseballlem. Zanotowała w pamięci, żeby powiedzieć Henry’emu.

– Gracie – usłyszała głos Vity.

Wszędzie by go rozpoznała. Trochę napięty, jakby zawsze brakowało jej pół oddechu, żeby powiedzieć to, co chce. Odwróciła się już uśmiechnięta, jeśli nie do Vity, to do siebie samej.

– Witaj – powiedziała.

Stały bez ruchu i patrzyły na siebie.

Vita zawsze była wyższa, za to ona szczuplejsza, i tak zostało, ale pod niemal każdym innym względem w wyglądzie jej przyjaciółki zaszły dramatyczne zmiany. Kasztanowe włosy, kiedyś uwięzione we fryzurze na pazia (tak jej matka wyobrażała sobie

uniwersalnie atrakcyjne uczesanie), teraz były bardzo długie i prawie całkiem siwe. Nosiła je rozpuszczone, a mówiąc ściślej: nie nosiła ich wcale. Spływały i kręciły się według własnego uznania, zasłaniały jej pierś i plecy. Było to tak zaskakujące, że dopiero po chwili zauważyła całą resztę. Miała na sobie dzinsy i buty ochronne, czarną koszulę z długimi rękawami, bardzo luzacką, a do tego chustkę od Hermès na szyi. Grace gapiała się na nią.

– Ach – powiedziała Vita. – Wiem. To na twoją cześć. Poznajesz?

Przytaknęła, oniemiała.

– Razem ją kupowałyśmy, prawda?

– Tak. – Uśmiechnęła się. – Pięćdziesiąte urodziny mojej mamy. Kazałaś mi wybrać ten wzór zamiast morskiego. Oczywiście miałaś rację. – Odwróciła się do recepcjonistki, która uważnie się im przyglądała. – Lauro, to moja przyjaciółka Grace. Dorastałyśmy razem.

– Cześć – powiedziała Grace.

– Cześć – odparła Laura.

– Kupiłyśmy tę chustkę na urodziny mojej matki – powtórzyła Vita. – Bardzo się jej spodobała. Nigdy się nie zawiodłam na poradach Grace.

Przynajmniej w kwestiach krawieckich, pomyślała Grace.

– Wejdiesz do mojego gabinetu? – zapytała Vita.

Odwróciła się i ruszyła. Grace poszła za nią na tyły

domu. Weszły wąskimi schodami do pokoju, który dawniej musiał być sypialnią.

– Muszę cię ostrzec – powiedziała Vita, przytrzymując przed nią drzwi. – Bo chciałabym, żebyś była przygotowana. Zamierzam cię przytulić. Okej?

Grace wybuchnęła śmiechem. Nie mogła odmówić.

– No dobrze – wydusiła wreszcie, a potem się objęły.

I wtedy znów prawie się rozkleiła. Przytulały się długo. Nie było między nimi najmniejszego dystansu. Może odrobina, na samym początku, i tylko z jej strony.

Gabinet nie był duży. Okno wychodziło na długi budynek z cegły i parking, częściowo zasłonięty przez drzewo, rosnące tam, gdzie dawniej musiało być podwórko z ogrodem. Grace wyobraziła sobie, że w takim pokoju mogłoby mieszkać dziecko. Na ścianach wisiałyby plakaty ze sławnymi aktorami, a zasłony byłyby w zygzaki. Na półce za krzesłem Vity, między podręcznikami i czasopismami naukowymi, stały oprawione w ramki zdjęcia dzieci.

– Napijesz się herbaty? – spytała Vita.

Wyszła i po chwili wróciła z dwoma kubkami.

– Wciąż wierna Constant Comment [3](#)?

– To jedyna stała rzecz w moim życiu. Miałam poważny romans z zieloną, ale wróciłam. Kilka lat temu krążyły pogłoski, że zamierzają ją wycofać ze sprzedaży. Przetrzaśnęłam cały internet, żeby kupić, ile tylko się da. Napisałam nawet do producenta i dostałam odpowiedź, że to nieprawda, ale dla pewności i tak

kupiłam ze sto opakowań.

– Nie można ufać herbacianym kapitalistom – powiedziała Grace i powąchała unosząc się nad kubka parę.

Jedno pociągnięcie nosem natychmiast przeniosło ją do ich mieszkania w Cambridge.

– Co racja, to racja. Jaka firma wypuszcza na rynek produkt o nazwie Pora na Sen? Ewidentnie coś knują. Pamiętasz, jak wycofali ze sprzedaży ulubione perfumy twojej matki? I twój ojciec próbował zatrudnić kogoś, żeby je odtworzył? Nigdy tego nie zapomnę. Dzisiaj po prostu weszłabyś na eBay i zrobiła zapasy, ale wtedy? Kiedy to było? Jeszcze w latach osiemdziesiątych? Jak coś zniknęło z półek, człowiek musiał brać sprawę w swoje ręce. Urocze, prawda?

Grace kiwnęła głową. Urocze jak biżuteria w prezencie po każdym romansie z inną kobietą. Co na swój chory sposób też miało urok. Od dawna nie myślała o tamtej historii z perfumami. Całymi miesiącami w ich domu leżały rzędy malutkich bursztynowych próbek z laboratorium: Marjorie I, Marjorie II, Marjorie III i tak dalej. Po śmierci matki, zanim je wszystkie wylała do zlewu, powąchała każdą po kolei. Wszystkie niemożliwie śmierdziały. Ale fakt – to było ujmujące.

– Słyszałam o twoim ojcu – powiedziała Grace. – Tak mi przykro. Powinnam była się odezwać.

– Nie, nie. Jesteś usprawiedliwiona. Obydwie mamy

usprawiedliwienie. Ale dzięki. Bardzo mi go brakuje. Dużo bardziej, niż myślałam. Pod koniec się do siebie zbliżyliśmy. Tak, tak, wiem... – Uśmiechnęła się. – Ja byłam najbardziej zaskoczona. Chociaż nie, moja matka bardziej. Ciągłe mnie pytała: O czym wy tam rozmawiacie w tym pokoju?

– W jakim pokoju? – spytała Grace.

– Przez ostatnie pół roku był praktycznie przykuty do łóżka. Opłaciliśmy domową opiekę. Siedzieliśmy sobie i rozmawialiśmy. Wiesz, że się tu przeprowadzili? To znaczy do Amherst. Moja matka wciąż tam mieszka i świetnie sobie radzi.

– Koniecznie ją pozdrów.

– Ma takie ciekawe życie. Zapisła się do grupy bębniarskiej. Jest buddystką zen.

Grace się zaśmiała.

– Jak tu nie kochać Amherst?

– Sprzedali swoje mieszkanie za jakąś niewyobrażalną sumę. W dodatku kiedy rynek osiągał szczyt. I był to pomysł mojej matki. Powiedziała po prostu: Jerry, spójrz na te ceny. Sprzedajemy. Zwyczajne małe mieszkanko.

– Przy Piątej Alei – przypomniała jej Grace.

– No tak, ale żaden apartament. Poza tym niezupełnie przy Piątej.

– Z widokiem na park!

– Okej – przytaknęła. – Wiesz co? Już nie pamiętam, kiedy ostatnio miałam okazję rozmawiać

o nieruchomościach na Manhattanie. Tutaj ten temat nie istnieje. Brakuje mi go.

Grace czuła to samo. Ostatnio zaczęła się zastanawiać, jeszcze bardzo niepewnie, czy nie sprzedać swojego mieszkania. To by oznaczało, że już nigdy w nim nie zamieszka. Ale kiedy wracała do tej myśli, bolało za bardzo, żeby mogła drążyć ten temat.

– Od jak dawna tu mieszkasz? – zapytała.

– W Pittsfield? Od 2000 roku, ale wcześniej było Northampton. Prowadziłam klinikę zaburzeń odżywiania w szpitalu Cooley Dickinson. Potem zwolniło się miejsce tutaj, w Porter Center. Szukali kogoś, kto by pokierował całym programem. To było gigantyczne wyzwanie. Pewnie się domyślasz, jak słabo w porównaniu z Northampton wygląda tutaj wsparcie dla ludzi z problemami psychicznymi. Pioneer Valley to raj dla terapeutów. Ale bardzo mi się tu podoba. Musiałam przekonać całą rodzinę, ale wyszło nam to na dobre.

To najważniejsze słowo uderzyło Grace między oczy. Wydawało jej się niemożliwe (choć było najzupełniej oczywiste), że Vita ma rodzinę, o której ona nic nie wie. Ona też miała rodzinę! Kiedyś.

– Opowiedz mi o swojej rodzinie – poprosiła odważnie, tak, jak proszą dorośli.

– Ach, sama ich poznasz. Naturalnie! Między innymi dlatego chciałam się z tobą zobaczyć. Żeby cię zaprosić do nas na kolację. Dopóki tu jesteś.

– Myślę, że to dopóki może potrwać bardzo długo.
– Świetnie. Twój ojciec nie umiał mi powiedzieć.
Wiem, że w twoim życiu jest teraz dużo niepewności –
powiedziała zwyczajnie, ale z pokrzepiającym
(terapeutycznym, pomyślała Grace) skinieniem.

Tym sposobem doszły do sedna: życiowy kryzys diabelskich rozmiarów zaciągnął jedną połówkę zrujnowanej przyjaźni przed oblicze drugiej połówki i druga połówka (która prawdopodobnie nie przeżyła życiowego kryzysu diabelskich rozmiarów) stała w pełnej gotowości, żeby powiedzieć coś w rodzaju: A nie mówiłam? Albo: Tak to jest, jak się nie słucha moich rad. Albo coś w tym stylu. Vita była zbyt dobrze wychowana albo zbyt pewna siebie, żeby to powiedzieć na głos. Ale na pewno tak myślała. Czy na jej miejscu by tak nie myślała?

Zastanowiła się nad tym i stwierdziła w duchu: Możliwe, że nie.

Wzięła głębszy wdech.

– Tak. Dużo niepewności. Mam sporo spraw do załatwienia. Mam syna. Mieszka tu ze mną. Jest wspaniały.

– Tak słyszałam – odparła Vita. – Jego dziadek też tak uważa.

– Chodzi do tutejszej podstawówki. Wiesz, że w matematyce ich siódma klasa wyprzedza Reardena? Nie miałam pojęcia, jaka ze mnie snobka.

Vita się zaśmiała.

– Mnie też to przyjemnie zaskoczyło. Dla jednego z naszych dzieci, dla córki, musieliśmy znaleźć prywatną szkołę, ale nie dlatego, że się nie rozwijała. Miała inne problemy i trzeba było dla niej znaleźć coś mniejszego. Mniej par oczu, rozumiesz. Ale jestem pewna, że Rearden przygotował twojego syna...

– Henry’ego – powiedziała Grace.

– Na pewno przygotowali Henry’ego do nauki w każdej szkole. Jak się dostałam na Uniwersytet Tuftsa, wiedziałam, że Rearden dobrze mnie przygotował, bo od razu byłam w stanie skoczyć na główkę i zacząć się uczyć. W takich szkołach jak Rearden człowiek dostaje narzędzia. Jak to jest być tam rodzicem? – spytała ze szczerym zaciekawieniem.

Grace mimo woli się uśmiechnęła.

– Strasznie dziwnie. Pamiętasz Sylwię Steinmetz?

Vita kiwnęła głową.

– Z naszych czasów tylko ona ma syna w roczniku Henry’ego. Dzięki niej mam wrażenie, że jest tam jedna przytomna osoba. Wszyscy pozostali... Chryste, mają tyle pieniędzy. I nigdy nie spotkałaś tak roszczeniowych ludzi. Nie masz pojęcia.

– Trochę mam. – Vita westchnęła. – Ciągłe czytanie „New York Timesa”. Cóż, za tym nie tęsknię. Ale muszę przyznać, że poczułam ukłucie zazdrości, jak się okazało, że moje dzieci nie pójda do Reardena. To była taka piękna utopia, jak byliśmy małże. Dzieci robotników. Pamiętasz?

Grace się uśmiechnęła i zaśpiewała:

*Niech każdy robotnik sobie tu urządzi
Warsztat pracy nad chłonnym umysłem!*

Pamiętała.

I wtedy przypomniła sobie, że to też Jonathan jej odebrał. Zamordował matkę z Reardena. Henry miał już nigdy nie wrócić do swojej szkoły, to było brutalnie oczywiste. Dla niej też już nie było powrotu. Wśród strat, jakie poniosła, ta była jedną z mniejszych, ale sama w sobie miała niebagatelny ciężar.

Zapytała o dzieci i usłyszała o Monie, pierwszoklasistce chodzącej do prywatnej szkoły w Great Barrington, zapalonej pływaczce, Evanie, czternastoletnim miłośniku robotyki, i Louise, która od narodzin była taką przylepą, że wszyscy mówili o niej Przysawka, i która dopiero co, skończywszy sześć lat, zaczęła przejawiać zainteresowanie światem zewnętrznym, szczególnie wtedy, kiedy świat przybierał kształt konia. Mąż Vity był adwokatem specjalizującym się w sporach sądowych dotyczących ochrony środowiska.

– Poznasz ich – powiedziała Vita. – Jeszcze będziesz nas miała dość.

– Nie jesteś na mnie zła? – spytała Grace po chwili. Przerwała krępującą ciszę, ale nie bardziej krępującą od tych kilku, które zapadły wcześniej. – Bo ja,

przepraszam, bo to oczywiste, byłam zła. Już nie jesteśmy na siebie złe?

Vita westchnęła. Siedziała po drugiej stronie biurka, za dużego i niezbyt urodziwego mebla przygniecionego stertą teczek w najróżniejszych kolorach.

– Nie potrafię odpowiedzieć – odezwała się w końcu.
– Już nie jestem zła. A jeśli już, to na siebie. Wręcz wściekła. Myślę, że zbyt łatwo się poddałam. Pozwoliłam, żeby mnie wypędził z miasta. Chyba cię zawiodłam.

– Ty... – zaczęła Grace. Osłupiała. – Co?

– Pozwoliłam, żeby twój mąż, który od pierwszego dnia bardzo mocno mnie niepokoił i martwił, rozdzielił mnie z moją najbliższą, najukochańszą przyjaciółką. Nie broniłam się wystarczająco zaciekle i, o ile dobrze pamiętam, nigdy ci nie powiedziałam, co mnie w nim niepokoi. Tego właśnie nie umiem sobie wybaczyć. I chciałabym cię za to przeprosić. Okej?

Grace patrzyła na nią z niedowierzaniem.

– Spokojnie. Nie spodziewam się, że nagle pstrykniesz palcami i mi wybaczysz. To dla mnie poważna sprawa. Dziękuję Bogu, że mieszkam w zachodnim Massachusetts, gdzie terapeuci niemal rosną na drzewach. Nie masz pojęcia, ile razy zachęcano mnie, żebym się z tobą skontaktowała i powiedziała przynajmniej część tego, co właśnie usłyszałaś. Jak wiadomo, nie zrobiłam tego. To jednak prawda, że jesteśmy najgorszymi pacjentami. – Zaśmiała się.

A potem spróbowała jeszcze raz: – Nie chodziło tylko o to, że go nie lubiłam. Ten facet, z którym chodziłaś na pierwszym roku, był totalnym dupkiem i nie miałam problemu, żeby ci to powiedzieć.

– No, nie – potwierdziła Grace z westchnieniem.

– Poza tym wiem, co cię pociągało w Jonathanie. Miał w sobie jakiś magnetyzm, to było jasne. Był uroczy i inteligentny. Ale kiedy patrzył mi w oczy... I mówię już o tej pierwszej nocy, pamiętasz? Kiedy zeszłam na dół, żeby cię znaleźć, a wy staliście w korytarzu? Kiedy na mnie spojrział, to było tak, jakby mówił: Ty lepiej uważaj. To już jest moje.

Grace oniemiała. Mogła tylko kiwać głową.

– Więc od samego początku wiedziałam, że to będzie bardzo delikatna sprawa. Że dojdzie do konfliktu. Na początku próbowałam wrócić z nim na start. Wiesz, zacząć wszystko od początku, spróbować go polubić albo przynajmniej zachować obojętność. Ale to nic nie dało. Potem czekałam, aż ty zaczniesz czuć to samo co ja, tyle że na własny rachunek. Ale tego też się nie doczekałam. W końcu zaczęłam się naprawdę bać tego, do czego to zmierzało. I próbowałam z tobą o tym porozmawiać.

– Nieprawda – przerwała jej Grace, ale jak tylko to powiedziała, przypomniała sobie pewien wieczór, jedną wiosnę później, kiedy poszli we troje na *scorpion bowls* ⁴, bo Vita miała urodziny, a nigdy tego nie robili i czuli, że przynajmniej raz powinni spróbować, póki

mieszkają w Cambridge. Tamtej nocy trudno im było zwracać uwagę na szczegóły. Trudno było cokolwiek zapamiętać, z wyjątkiem połączonej siły uderzeniowej ginu, rumu i wódki.

– Próbowałam – broniła się Vita. Bez złości. – Nie twierdzę, że skutecznie. Ale próbowałam. Może nie powinno się robić takich rzeczy w stanie upojenia, ale bez tego upojenia pewnie bym nie zaryzykowała. Poprosiłam cię, żebyś mi powiedziała, za co go tak kochasz, a potem żebyś się nad każdym z tych powodów zastanowiła. Żebyś się zastanowiła, skąd wiesz, że to prawda. Na co ty odpowiedziałaś mniej więcej tyle, że to po prostu prawda i już. Spytałam cię, dlaczego twoim zdaniem tak się odciął od rodziny. Dlaczego wygląda na to, że nie ma przyjaciół. Zapytałam, czy nie martwi cię to, że tak szybko stał się najważniejszą osobą w twoim życiu. Zapytałam, czy nie sądzisz, że wydaje ci się taki doskonały, bo wyraźnie mu zakomunikowałaś, co dla ciebie jest doskonałe, a on zwyczajnie dał ci wszystko, czego chciałaś. I pamiętam...

– Zaczekaj – powiedziała Grace. – Co w tym złego, że znajdujemy kogoś, kto daje nam wszystko, czego potrzebujemy? Czy nie na tym to polega? Żeby znaleźć mężczyznę, który będzie potrafił to zrobić?

– Tak – odparła Vita, gapiąc się ze smutkiem na swój pusty kubek. – To samo powiedziałaś wtedy. Dokładnie to samo. Ale w jego przypadku to nie było takie proste. Z nim nic nie było proste. A może tylko tak mi się

wydaje, bo patrzę na to z perspektywy czasu. Pamiętam, że często zadawałam sobie to pytanie: dlaczego go nie lubię? Ona go lubi, a jest mądrzejsza ode mnie.

– Vita, to nieprawda – powiedziała Grace, jakby to miało jakieś znaczenie.

– Ja uważałam, że jesteś mądrzejsza. Na pewno wtedy siebie uważałam za kretynkę. Nie byłam na przykład w stanie wytłumaczyć samej sobie, co mi w nim nie pasuje. Wtedy tak miałam. Wyglądał świetnie. Na litość boską – facet studiował medycynę na Harvardzie. Miał zostać pediatrą. Nigdy nie pił, nie palił. W przeciwieństwie do nas, jeśli pamiętasz.

– Oj, pamiętam.

– I byłaś całym jego światem. Od pierwszego strzału. Tylko Grace, cały czas. Więc zaczęłam się zastanawiać. Czy tu chodzi o zazdrość? Jestem o niego zazdrosna? Miałam wtedy chłopaka, pamiętasz? Był z nami tamtej nocy w akademiku.

– Joe – powiedziała Grace. – Oczywiście, że pamiętam.

– No więc nie o to chodziło. Potem zaczęłam się zastanawiać, czy to aby nie zazdrość o ciebie. Myślałam: czy jest tu coś, czemu powinnam się przyjrzeć? Ale to też był fałszywy trop.

– Och, Vita – powiedziała Grace i uśmiechnęła się mimo woli.

– No wiem. Po prostu... Bardzo chciałam zrozumieć, co się ze mną dzieje. Poszłam nawet do uczelnianego

psychologa, ale tam usłyszałam tylko, że to naturalne, że się cierpi, kiedy przyjaciel ma dla nas mniej czasu. Ale wiedziałam, że nie o to chodzi. Chodziło o Jonathana. Serce mi przy nim waliło, bynajmniej nie przyjemnie. Ale nie wiedziałam, z czego to wynika. Wtedy nie wiedziałam – dodała ponuro. – Dziś już chyba wiem.

Teraz to serce Grace waliło. Teraz stoimy przed drzwiami, pomyślała. Drzwi wciąż były zamknięte, ale zaczynały się otwierać, a za nimi kryło się słowo, które dotychczas udawało jej się trzymać z dala od świadomości. Nie była na to gotowa. Wcale tego nie chciała. Gorączkowo szukała sposobu, żeby do tego nie dopuścić. Absolutnie nie była w stanie stawić czoła temu słowu.

– No cóż – powiedziała niepasującym do sytuacji, lekkim tonem. – Po fakcie każdy jest jasnowidzem. Takie życie.

Vita odparła ostrożnie:

– Jestem pewna, że z twoimi pacjentami jest dokładnie tak samo jak z moimi, ale czasem ludzie przychodzą do mnie kompletnie zafiksowani na idei wielkiego błędu, który rzekomo popełnili, żeby wywołać kryzys. Tak właśnie to nazywam: wielki błąd. Zazwyczaj widzą go w pierwszym drinku albo w pierwszej próbie z narkotykami. A bywa, że mówią o związku. Wielkim błędem może też być zastosowanie się do czyjejś złej rady. Cokolwiek by się działo później, wszystko sprowadzają do tej jednej chwili albo tej jednej decyzji

i są pewni, że gdyby tylko wtedy nie postąpili głupio, wszystko byłoby w porządku. I kiedy ich słucham, zawsze sobie myślę: to prawda, że tak to na ogół wygląda w filmach, ale w prawdziwym życiu jest inaczej. Nie zawsze problem sprowadza się do jednych rozstajów w środku lasu. Często niezależnie od tego, co byśmy zrobili na tamtych rozstajach, i tak znaleźlibyśmy się w tej samej sytuacji. Nie twierdzę, że to nie był błąd. Mówię tylko, że sprawa jest bardziej złożona. Nie musisz być na siebie zła, że podjęłaś taką decyzję. Dała ci wiele pięknych rzeczy. Na przykład syna.

Ale Grace nie chwyciła przynęty. Owszem, jej syn był wspaniały. Nie, nie żałowała żadnej z decyzji, które doprowadziły do jego przyjścia na świat, choćby ich skutkiem ubocznym miała być najgorsza katastrofa. Ale to, co powiedziała Vita, trochę ją speszyło. Miała radykalnie inne podejście, przynajmniej w dawno zapomnianych czasach, kiedy była terapeutką. Bo dla niej ludzkie życie było właśnie serią kluczowych decyzji. Niektóre mogły wielkodusznie dać drugą szansę, ale większość zdecydowanie to wykluczała. Ci pacjenci, którzy przychodzili do niej, trzymając się już kurczowo swojego wielkiego błędu, najczęściej wiedzieli, gdzie postawili fałszywy krok. Czasami trochę się mylili, ale zdarzało się, że uporczywie trzymali się raz obranego złego kursu. Ale na ogół jej praca polegała na szukaniu w życiu klienta chwili, w której mógł popełnić błąd. I bardzo ważne było

naprowadzenie go na właściwy trop. Bo tylko w ten sposób, biorąc na siebie odpowiedzialność za własne czyny, można ruszyć naprzód.

A może chodzi o winę? Nie, wina to za mocne słowo. I w dodatku utrudnia terapię. Natomiast wiązanie jednej decyzji z drugą, i z następną, tworzenie realnej fabuły własnego życia – czy w to wierzyła?

O, tak. Absolutnie.

Właśnie dlatego zawsze żałowała, że nie mogła powiedzieć swoim pacjentom, jeszcze zanim zostali jej pacjentami: nie popełniaj tego wielkiego błędu.

Tak jak ja, pomyślała teraz.

– Może powinnam iść na terapię – powiedziała, jakby Vita mogła słyszeć jej wewnętrzny monolog.

– Może i tak – odparła Vita łagodnym tonem. – Znam w okolicy wielu świetnych specjalistów.

– Nigdy tego nie robiłam – przyznała się Grace. – Na studiach musieliśmy coś tam zaliczyć, ale poza tym nic.

– Chwilę się nad tym zastanawiała. – Czy to dziwne?

– Dziwne? – Vita ściągnęła usta. – Nie dziwniejsze niż dentysta, który nie używa nici. Jestem tylko trochę zdziwiona.

– Rozumiem, że ty przeszłaś terapię?

– Niejedną. Niektóre są lepsze od innych, ale każda trochę pomaga. Louise nawet by się nie urodziła, gdybyśmy z Pete'em nie znaleźli w którymś momencie dobrego terapeuty dla par. To była dobra decyzja. – Spojrzała na nią uważnie. – Gracie?

Grace podniosła wzrok. Vita nazwała ją Gracie. Nikt inny tak nie mówił. Kiedy Vita zniknęła z jej życia, zabrała to przezwisko ze sobą. Bardzo ją to zasmuciło. Usłyszała kiedyś od matki, że na jej babcię, po której dostała imię, też wołano Gracie.

– Popełniłam wielki błąd – powiedziała z żalem. – Nie mam prawa mówić ludziom, jak powinni żyć. Nie wiem, skąd wzięłam tyle arogancji.

– Nonsens – odparła Vita. – Niektórzy potrzebują od terapeutów serdeczności i może sami powinni się uczyć serdeczności wobec partnerów, ale potrzebują też jasności. Masz do tego wyjątkowy talent. Jesteś wspaniałą terapeutką.

Grace rzuciła jej ostre spojrzenie.

– Nie wiesz tego – powiedziała. – Jak byłam na studiach doktoranckich, już się do siebie nie odzywałyśmy. Skąd możesz wiedzieć, jaką byłam terapeutką?

Vita odwróciła się na ciężkim krześle i położyła rękę na czymś, co Grace od razu wydało się znajome, ale nie spodziewała się tego tak bardzo, że nie rozumiała, co robi w gabinecie jej przyjaciółki. I czemu tego do tej pory nie zauważyła.

– Stąd – odparła Vita i rzuciła na biurko jej książkę, egzemplarz redaktorski. – To kawał dobrej, bardzo dobrej roboty.

Chryste, pomyślała Grace. Albo powiedziała. Książka nie wyglądała najlepiej, ewidentnie ktoś ją przeczytał,

możliwe, że nie raz. Pierwszy raz widziała swoją książkę, którą ktoś przeczytał, w której ktoś przewracał kartki i zaginał rogi. Ile razy wyobrażała sobie (jak musi sobie wyobrażać większość pisarzy), że patrzy na obcego człowieka, na przykład w metrze, czytającego jej książkę. Wyobrażała sobie innych terapeutów czytających jej książkę, żałujących, że nie wpadli na te same pomysły. Wyobrażała sobie swoich nauczycieli, jak ją czytają i uczą się czegoś od niej, od swojej dawnej studentki. Zwłaszcza Mama Rose. Myślała o Mamie Rose w tej jej altance. Wyobrażała sobie, jak siedzi na dużej poduszce, na podłodze przykrytej kilimem, z jej książką na kolanach, jak potakuje i zgadza się z jej argumentami, argumentami swojej byłej uczennicy, a dzisiaj niemal nauczycielki! Nic z tego nie wyszło i z całą pewnością już nie mogło wyjść.

– Nie rozumiem – powiedziała. – Skąd to masz?

– Czasem piszę recenzje dla „New Hampshire Gazette”, jeśli im się trafia książka psychologiczna. Ale powiem szczerze: o tę książkę sama poprosiłam. Byłam ciekawa. I zwała mnie z nóg, Gracie. Jeśli spytasz, czy zgadzam się z każdą myślą, którą w niej zawarłaś, to oczywiście nie. Tak samo jak ty nie zgodziłabyś się z każdym zdaniem w mojej książce. Ale przebija przez nią troska o pacjentów i inteligencja, z jaką dostrzegasz pułapki, w które wpadamy. To bezcenne.

Grace kręciła głową.

– Nieprawda. Ja tylko mówię innym, że dali ciała. Ta

książka to ja w roli wrednej suki.

Vita odrzuciła głowę i zaśmiała się głośno. Jej włosy – te długie siwiejące włosy – poruszyły się falą srebra na tle czarnej bluzki. Wydawało się, że śmieje się bardzo długo. Z pewnością dłużej, niż powinna w tej sytuacji.

– Śmiesz cię to? – odezwała się w końcu Grace.

– Tak, bardzo. Pomyślałam właśnie, że dla takich kobiet jak my gorszą obelgą jest usłyszeć, że jest się miłą, niż że się jest suką.

– Kobiet takich jak my?

– Twarde, wiecznie niezadowolone Żydówki i feministki z Nowego Jorku. Jak ja i ty. Nie?

– No, dobrze. – Grace się uśmiechnęła. – Jeśli tak to ujmujesz.

– Prawda jest taka, że na świecie jest pełno terapeutów, którzy cię posadzą na fotelu, wezmą od ciebie forszę, pomasują ci ego i wyślą z powrotem do domu, i ani odrobinę nie pomogą zrozumieć, dlaczego do nich trafiłaś.

Grace kiwnęła głową. Co do tego akurat miała rację.

– Wystarczy tylko znaleźć sprawcę i obarczyć go winą, i na tym koniec. Potrzeba nam więcej takich terapeutów? Na pewno nie. Czy oni komuś pomagają? Czasami. Niektórym pacjentom w niektórych sytuacjach wszystko może pomóc. Ale jako ktoś, kto pracuje z ludźmi, którzy walczą z cholernie silnymi uzależnieniami, mogę powiedzieć, że oferowanie im ciepła jest jak dawanie komuś rozgotowanej kluski

zamiast miecza i wysyłanie na pojedynek ze smokiem.

Usiadła wygodniej i oparła nogi o ścianę. Był już tam spory ciemny ślad.

– Być sympatycznym jest najłatwiej. Większość z nas jest naturalnie sympatyczna, więc prawie każdy terapeuta też na wejściu będzie miły. Ale to nie wystarczy, jeśli chce się komuś naprawdę pomóc. Może ty – mam na myśli ciebie, Gracie – działasz najlepiej, będąc na drugim krańcu skali. I świetnie. Więc przez resztę swojej kariery masz szansę wykrzesać z siebie trochę więcej empatii. Możesz się tym zająć. Masz bardzo dużo do zaoferowania. Oczywiście jak już będziesz gotowa.

– Słucham? – Grace zmarszczyła brwi.

– Jak będziesz gotowa wznowić praktykę. Pomogę ci, jeśli będziesz chciała. Mogę cię poznać z kilkoma osobami. Współpracuję na przykład z programami grupowymi w Great Barrington.

Było w tym coś, czego Grace nie była w stanie pojąć. Po chwili poddała się i powiedziała jeszcze raz:

– Słucham?

Vita się wyprostowała.

– Chciałabym ci pomóc. Zgodzisz się?

– Pomóc dołączyć do programu terapii grupowych w Great Barrington? – zapytała zdziwiona.

Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, do jakiego stopnia przestała myśleć o sobie jako o terapeutce. Już dawno położyła to na krze i widziała, jak odpływa. Nawet nie pomachała na pożegnanie.

A to oznaczało tylko tyle, że sama jest teraz uwięziona na jakiejś arktycznej grani i że może już się zaczął ten długi, bezwładny upadek, który tak fascynował Jonathana. Bohater historii, którą tak uwielbiał, o człowieku, psie i utraconym ogniu, tylko raz desperacko próbuje walczyć, a potem daje za wygraną i czeka, aż upojny, oślepiający mróz zgasi w nim życie. Za to pies idzie dalej, w poszukiwaniu innego człowieka i innego ognia. Nie cierpi, jest zaprogramowany na to, żeby żyć. Cały Jonathan, myślała. Jeśli jeden plan zawodzi, trzeba brnąć przez śnieg ku następnemu.

Spojrzała na Vitę. Nie pamiętała, jakie było pytanie ani czy jej przyjaciółka na nie odpowiedziała.

– Sama nie wiem – powiedziała w końcu. – Mam kilka spraw do przemyślenia.

Vita się uśmiechnęła.

– Bez pośpiechu. To otwarta propozycja. Po prostu nie mogłam spokojnie myśleć o tym, że będziesz potrzebowała przyjaciółki i nie będziesz wiedziała, że ją masz w sąsiednim stanie. Musisz się czuć okropnie.

Po krótkiej chwili dodała, trochę zmieszana:

– Chyba ci mówiłam, że nadal czytam „New York Timesa”.

Grace spojrzała na nią. Szukała dezaprobaty, nawet jawnej satysfakcji. Ale zobaczyła w jej oczach tylko tę przez wszystkich oczernianą ludzką słabość, znaną jako litość.

Nie wiedziała, co powiedzieć.

Może: dziękuję?

– Dziękuję.

– Nie dziękuj. Jestem ci cholernie wdzięczna za to, że tu ze mną jesteś. Zrobię wszystko, żebyś została. Nie dosłownie, rzecz jasna. Pewnie powinnaś być gdzie indziej.

Grace kiwnęła głową. Rzeczywiście powinna być gdzie indziej. Miała odebrać Henry’ego ze szkoły i zabrać go do Lakesville na tustą pizzę. Wstała i niemal od razu poczuła się strasznie skrępowana.

– To było naprawdę miłe.

– Och, cicho – powiedziała Vita i obeszła biurko. – Potrzebujesz ostrzeżenia czy mogę cię po prostu przytulić?

– Nie – odparła Grace. Chciało jej się śmiać. – Potrzebuję ostrzeżenia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Dwa brakujące palce

Robertson Sharp III wolał nie spotykać się z nią w swoim gabinecie, z powodów, których nie miała ochoty zgłębiać. Przyszedł spóźniony i ledwo zdążył usiąść przy stoliku, a już zaczął jej się zwierzać z rozmiarów dręczącego go dylematu.

– Chcę, żeby pani wiedziała – powiedział szorstko – że zarząd szpitala nie życzy sobie, żebym z panią rozmawiał.

Po tych słowach, jak gdyby powiedział już wszystko, co należało powiedzieć, wziął do ręki menu i zaczął je przeglądać.

Lista dań była imponująca. Wybrał Srebrną Gwiazdę na rogu Sześćdziesiątej Piątej i Drugiej Alei, lokal tak wiekowy, że kiedyś rozstawała się tu z chłopakiem, przy stoliku po drugiej stronie sali. Był tam długi bar, przy którym można było zamówić poważnego, niestrawnego drinka z dawnych czasów (na przykład gimlet), a tuż przy wejściu stała oszklona szafka z obrotową tacą pełną ciast, gigantycznych eklerek i napoleonek.

Nie odpowiedziała. Nie sądziła, żeby to było konieczne, a poza tym nie miała zamiaru wchodzić

w spór, jeśli nie musiała. Nawet gdyby zarząd nie wyraził sprzeciwu, i tak, spotykając się z nią, wyświadczał jej przysługę. Uważała, że powinna mu być wdzięczna, że zechciał porozmawiać z żoną byłego podwładnego (podwładnego, którego wyrzucono z pracy!). A z drugiej strony miała ochotę go kopnąć pod stołem.

Był duży, miał długie nogi, był dość dobrze ubrany: niebieska muszka i koszula w cienkie brązowo-białe paski, a na niej bardzo czysty, starannie wyprasowany biały fartuch. Na przedniej kieszeni, tej, z której wystawały dwa długopisy i telefon komórkowy, miał wyszyte nazwisko – prawdziwe, nie to, które mu nadał Jonathan. Po chwili zapytał sympatycznym tonem, jakby tamta uwaga była wstępem do zupełnie innego spotkania:

– Co pani zamawia?

– Chyba kanapkę z tuńczykiem. A pan?

– Dobry pomysł.

Z głośnym klapnięciem zamknął ciężkie, zalaminowane menu i upuścił je na blat.

Spojrzeli po sobie.

Robertson Sharp, od lat znany w jej domu jako Turd, bezpośredni przełożony Jonathana przez pierwsze cztery lata jego pracy w Memorialu, później szef oddziału pediatrycznego, wyglądał, jakby na chwilę zapomniał, dlaczego się tam znalazł. Ale w końcu sobie przypomniał.

– Proszono mnie, żebym się z panią nie spotykał.

– Wiem – odparła. – Już pan to mówił.

– Ale uznałem, że jeśli ma pani potrzebę, żeby ze mną porozmawiać, to ma pani prawo usłyszeć, co mam do powiedzenia. Domyślałam się, że to wszystko jest dla pani makabrycznym doświadczeniem i... – Wyglądał, jakby przeglądał swoją osobistą bazę w poszukiwaniu jakichkolwiek danych, ale nic nie znalazł. – Pani rodziny.

– Dziękuję – odparła. – Rzeczywiście tak jest, ale dajemy sobie radę.

Nie minęła się z prawdą, przynajmniej jeśli chodzi o rodzinę. Henry, o dziwo, uwielbiał swoją szkołę. Dorobił się małej paczki przyjaciół. Wszyscy doskonale znali się na japońskiej animacji i na szkolnych etudach Tima Burtona. Sam zgłosił się do miejscowej ligi baseballu i z niecierpliwością czekał na pierwszą sposobność, żeby spróbować się dostać do drużyny. Nazywała się Lwy z Lakeville. Chyba przyzwyczaił się nawet do zimna, chociaż rano, kiedy jechali do miasta, poprosił, żeby zabrała z domu więcej jego ciepłych ubrań. Jechali na Manhattan dłużej, niż planowała. Musiała zostawić Henry’ego u ojca i Evy i prosto od nich pojechać na spotkanie z Sharpem.

Do stolika podszedł kelner, prosty Grek. Nawet gdyby chciał, nie mógłby być bardziej oschły. Do kanapki Grace zamówiła herbatę. Kelner przyniósł ją chwilę później. Sama musiała wyjąć torebkę z papierowej

koperty.

Tych kilka minut wystarczyło, żeby uznała, że doktor Sharp cierpi na lekki autyzm. Bez wątpienia był genialny, ale wyraźnie brakowało mu ważnych umiejętności społecznych. Kontakt wzrokowy utrzymywał tylko wtedy, kiedy było to absolutnie konieczne, a i wtedy robił to wyłącznie po to, żeby wzmocnić to, co sam mówił, a nie żeby lepiej rozumieć ją. Ale też, gwoli ścisłości, za wiele nie mówiła. Nie musiała. Sharp, jak od lat utrzymywał Jonathan, uwielbiał własny umysł, a także głos, który płody tego umysłu ogłaszał światu. Bez cienia wycucia zaczął opowiadać o tym, co od dawna uważał za problem z Jonathanem Sachsem. Próbowwała go słuchać i toczyła ciężką walkę z impulsem, żeby wziąć Jonathana w obronę.

Nie ma już żadnego Jonathana do bronienia, wmawiała sobie. Nie poprawiło jej to nastroju.

– Nie chciałem go zatrudnić. Domyśla się pani, jakiego kalibru kandydaci się do nas zgłaszają.

– Oczywiście – powiedziała.

– Myślałem o tym, żeby unieważnić decyzję szefa. Ale on go chciał. Był nim oczarowany.

Grace zmarszczyła brwi.

– Rozumiem – odezwała się w końcu.

– I ja to rozumiałem. Naprawdę. Przy pierwszym spotkaniu z Sachsem człowiek myślał: o cholera, ten gość ma osobowość. I coś pani powiem. Nie da się być

dobrym lekarzem, jeśli się nie ma głębokiego uznania dla potęgi placebo. Wiele rzeczy może tak działać. Osobowość może być placebo. Mnie szkolił chirurg. W Austin. Byłem tam rezydentem. Specjalizował się w piekielnie trudnych operacjach wycinania guza z aorty. Wie pani, co to aorta?

Spojrzał na nią, chyba pierwszy raz, odkąd usiadł. Najwyraźniej ustalenie tego było dostatecznie ważne, żeby podnieść wzrok.

– Tak, oczywiście.

– No właśnie. Więc ludzie z całego świata zjeżdżają do Austin, do Teksasu, żeby ten konkretny chirurg ich zoperował. I mają rację, bo jeśli chodzi o ten zabieg, facet jest najlepszym chirurgiem na tej planecie. Ale o co mi chodzi: ten lekarz nie ma dwóch palców u lewej dłoni. Zmiażdżył mu je kamień, kiedy był dzieckiem. Wypadek podczas wspinaczki.

– Rozumiem – powiedziała Grace.

Usiłowała połączyć jego opowieść i to, o czym w jej mniemaniu mieli rozmawiać, w logiczną całość. I jednocześnie zastanawiała się, czy powinna mu przerwać. Nie bardzo ją obchodził chirurg z Teksasu.

– Jak pani myśli, ile osób spojrzało na jego rękę i pomyślało: wolałbym, żeby ręka, która ma zostać włożona do mojego serca, żeby usunąć guz, miała wszystkie palce, i zapisało się do innego chirurga?

Grace czekała. W końcu zdała sobie sprawę, że on czeka na nią.

– Nie wiem. Nikt? – Westchnęła.

– Ani jedna osoba. Ani jeden pacjent, ani jeden członek rodziny. Bo facet miał osobowość. Sama jego charyzma była jak lekarstwo. Placebo! Rozumie pani, o co mi chodzi? Ja tego nigdy nie miałem.

To ci dopiero szok, pomyślała Grace.

– To oczywiście nie oznacza, że da się to wyjaśnić naukowo albo wykorzystać w diagnostyce. Jeszcze pokolenie temu myśleliśmy tylko o tych rzeczach. Ale pani mąż zjawił się w bardzo szczególnym momencie. Pacjenci od lat próbowali nam coś powiedzieć i dopiero teraz ich słuchamy. To znaczy... – zaśmiał się, głównie do siebie – ...staramy się ich słuchać. Chcemy leczyć pacjenta, nie tylko chorobę, jeśli to w ogóle ma sens.

Ma sens? – pomyślała. Ale on na nią nie patrzył, więc nie musiała nic mówić.

– W latach osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych wszyscy obsesyjnie zastanawialiśmy się, co to znaczy dobry lekarz i dobry szpital. Na przykład pacjent albo członkowie rodziny nie powinni biec za lekarzem i wypytywać, co miał na myśli i co to może oznaczać dla chorego. A w pediatrii trzeba to pomnożyć przez tysiąc. Tutaj ludzie nie boją się tylko o siebie, ale też o to, jak ich dziecko zareaguje na to, co lekarz powie i co będzie mówiło jego ciało. Nieustannie nam o tym mówili, a my się głowiliśmy, jak by do tego podejść na nowo. I nagle zjawia się Jonathan Sachs z Harvardu.

Mówiąc to, patrzył, rzecz jasna, nie na nią, tylko na kelnera, który się zbliżał z dwoma identycznymi talerzami. Ani na chwilę nie oderwał od niego wzroku. Odchylił się tylko do tyłu, kiedy stawiał talerze na stole. Grace podziękowała.

– Więc dałem się namówić szefowi. No i wielka niespodzianka: pacjenci uwielbiają Sachsa. Kochają go. Dostajemy masę listów. Był jedynym lekarzem, który naprawdę nawiązał kontakt z naszym dzieckiem i z nami. Inni nie wiedzieli nawet, jak się nazywamy. Po czterech miesiącach, które spędziliśmy na oddziale. Jeden facet pisał o tym, jak Sachs kupił jego synkowi na urodziny pluszaka. No dobra, mogłem się mylić. Nie muszę być wyrocznią w każdej kwestii. W byciu dobrym lekarzem chodzi o coś więcej niż tylko o znajomość procedur – powiedział, żując spore kawałki kiszzonego ogórka. – Kiedy się ma chore dziecko, dobrze jest wiedzieć, że leczenie nadzoruje ktoś z silną osobowością. Znałem wielu doskonałych diagnostyków, bardzo biegłych w sporządzaniu planu leczenia. Ale nie umieli tego planu przedstawiać, ani rodzicom, ani tym bardziej dzieciom. – Kiedy to mówił, przez chwilę wyglądał na prawdziwie zatroskanego. Grace nie mogła się nadziwić, że może być tak nieczuły na własne braki. Przyszło jej do głowy, że to w jego przypadku jakaś strategia przetrwania. – Daj rodzicom wybór między lekarzem, który nawet na nich nie spojrzy, a takim, który usiądzie z nimi i powie: Jestem tu po to, żeby ułatwić waszemu dziecku życie. Jak

pani myśli, kogo wybiorą? Ma pani dzieci, prawda?

Teraz patrzył na nią. Teraz to ona chciała uciec wzrokiem.

– Tak. Mamy syna, Henry’ego.

– No właśnie. – Wskoczył z powrotem w swój monolog. Kanapkę trzymał tuż przy ustach. – To proszę sobie wyobrazić, że Henry trafia do szpitala. Ma... powiedzmy... jakiegoś guza. Na przykład mózgu.

Grace nagle osłabła. Mogła się tylko na niego gapić.

– Jakiego lekarza by pani chciała? Takiego, który umie nawiązać kontakt, prawda?

Powiedziałyby: takiego, który go wyleczy, chrzanić osobowość. Ale na samą myśl o Henrym z guzem mózgu w Memorialu cała się trzęsła. Była wściekła, że Sharp – właściwie Sharp-the-Turd – potraktował ją tak bezlitośnie.

– No... – wydusiła. Grała na zwłokę.

– Ale prawda jest taka, że jeśli wziąć pod uwagę wyniki całego zespołu, czyli sumę indywidualnych talentów w służbie pacjenta, dobrze jest mieć nie tylko kogoś takiego jak Sachs, ale też jednego Stu Rosenfelda albo Rossa Waycastera. Przyszedł do nas w tym samym roku. Stu też. Był przełożonym Jonathana.

– Pamiętam – powiedziała Grace. Musiała się wysilić, żeby to zabrzmiało lekko.

Ugryzła na próbę kanapkę. Kucharz przesadził z majonezem, ale mogła się tego spodziewać.

– Chce pan powiedzieć, że Jonathan miał jakąś

ułomność, coś jak brak palców, ale nadrabiał osobowością i ludzie nie widzieli jego wad?

– Miał dużą ułomność – odparł Sharp z urazą. – Dużo poważniejszą niż brak dwóch palców. Nie mówię teraz nic, o czym by pani nie wiedziała. Wkraczamy na pani terytorium. Mam rację?

Nie, pomyślała, ale i tak kiwnęła głową.

– Jak się pan na nim poznał?

Wzruszył ramionami, jakby to było najmniej interesujące.

– Pod koniec drugiego czy trzeciego roku zaczęły do mnie docierać różne głosy. Nie od pacjentów ani członków rodzin. Oni wciąż za nim szaleli. Ale nie tylko ja czułem się przy nim nieswojo. Pielęgniarki go nie lubiły. Dwie przyszły do mnie, zanim rozpoczął rezydenturę, ale nie było to coś, na czym mógłbym się oprzeć. Nie nadawało się nawet do jego teczki. Opisałem to tylko w mailu do siebie i miałem nadzieję, że to się nie powtórzy.

– Co one... – zaczęła ostro, a potem zamilkła. Czekala, aż na nią spojrzy. – Na co się skarżyły?

– Żadnych rewelacji. Był arogancki, takie tam. Nie pierwszy raz słyszałem taką opinię o lekarzu z ust pielęgniarki.

Grace niespodziewanie się zaśmiała.

– Domyślam się.

– Flirtował z niektórymi kobietami. Nie podobało im się to. Chociaż ja sędzę, że nie wszystkim. – Nawet kiedy

to mówił, nie patrzył jej w oczy. – Jak dla mnie nic konkretnego, więc odpuściłem. Zresztą mam w pracy do czynienia również z innymi wielkimi osobowościami. Szare myszki nie robią karier w onkologii. Przynajmniej u nas. Mamy całe pokolenia ludzi, którzy nie uważają się za bogów. Pozostałość z wcześniejszej epoki – podkreślił, jakby mu rzuciła wyzwanie.

Ale po chwili jednak mu je rzuciła. Nie mogła się powstrzymać.

– Nie uważam, żeby Jonathan uważał się za boga. Bo to pan sugeruje, tak?

– Nie, nie. – Potrząsnął głową. – Może i tak myślałem na samym początku, ale długo go obserwowałem. Głównie dlatego, że musiałem. Był jak punkt zapalny, przyciągał uwagę. I zacząłem sobie zdawać sprawę, że mam na oddziale faceta, który nie tylko zachowuje się inaczej niż pozostali lekarze, ale też zachowuje się różnie w zależności od tego, z kim ma do czynienia. Stu Rosenfeld nie powiedziałby o nim ani jednego złego słowa. Przez lata nadzorował jego pacjentów.

– Nawzajem się nadzorowali – poprawiła go.

– Nie. Rosenfelda nadzorował kto inny. Sachs się od tego jakoś wymigał. Od lat nikogo nie nadzorował, ale Rosenfeld nigdy mi o tym nie powiedział. Miał ogromną słabość do pani męża, nie tylko on. Mówię pani, byłem nim zafascynowany. Prawie go polubiłem.

Bez wzajemności, pomyślała. Wzięła do ręki frytkę, obejrzała ją i odłożyła na talerz.

– A co mnie ostatecznie przekonało? Ten artykuł w „New York”, o najlepszych lekarzach. Wie pani, co im powiedział?

Oczywiście, że wiedziała. Czytała ten krótki tekst wiele razy. Ale to nie miało znaczenia.

– Powiedział, że to przywilej zostać dopuszczonym do czegoś świata w najgorszym momencie, kiedy ludzie woleliby posłać wszystkich do diabła. Ale nie stać ich na ten luksus, bo tutaj mają do czynienia z ludźmi, którzy mogą uratować życie ich dziecku. I on twierdzi, że to dla niego zaszczyt i że uczy go to pokory. Przeczytałem to i pomyślałem: Ha! To właśnie to. Tyle że on wcale nie był pokorny, tego akurat byłem pewien. Coś tam z tego czerpał, ale na pewno nie pokorę.

Grace uważnie na niego spojrzała.

– Nie rozumiem, co pan ma na myśli – powiedziała wreszcie.

– Mam na myśli to, że on się tym karmił, tym, że był w centrum silnych emocji. Dawało mu to potężnego kopa. Nawet jeśli nie był w stanie pacjentowi pomóc. Nawet jeśli nie mógł go ocalić. To go nie obchodziło. Interesowało go tylko to, co ludzie czuli do niego. Myślę, że cudze emocje go fascynowały. – Po chwili dodał od niechcienia: – No ale to pani jest psychologiem. Pewnie pani wie, o co chodzi.

Nie mogła się skupić. Zmusiła się do patrzenia Robertsonowi Sharpowi III prosto w oczy. Zdała sobie sprawę, że wpatruje się w miejsce między jego brwiami.

Samo w sobie było czymś w rodzaju brwi. Nie było piękne, ale za to bardzo ciekawe.

– Nie rozumiem, dlaczego ludzie sądzą, że w szpitalach nie ma psychopatów. Niby czemu mielibyśmy być na nich odporni? Bo lekarze są święci?
– Zaśmiał się. – Wątpię.

Nie patrzył na nią. Pewnie uznał, że ten wątek nie jest tak ważny jak kwestia aorty. No i nie był człowiekiem, który by zauważał, że z rozmówcą coś się dzieje. Tymczasem ona miała problemy z oddychaniem. To słowo, wypowiedziane tak beztrąsko, przeszło ją jak włócznia. Po chwili znowu go użył:

– Psychopata to człowiek. Lekarz to człowiek. *Presto!*
– powiedział. Usiłował wezwać kelnera. Najwyraźniej czegoś chciał. – Jesteśmy podobno uzdrowicielami. To ma z nas czynić wielkodusznych humanistów. Jedno założenie na drugim, a efektem jest kompletna bzdura. Każdy, kto był trochę dłużej w szpitalu, wie, że roi się tam od najgorszych sukinsynów. – Zaśmiał się. Najwyraźniej nie nudziły mu się te mądrości. – Może potrafią uzdrowić chory organizm, ale nie zmienia to faktu, że są sukinsynami. Pracowałem kiedyś z takim jednym. Nie powiem, jak się nazywał. Już nie pracuje w Memorialu. Możliwe, że w ogóle przestał leczyć. To akurat byłoby dobre. Mieliśmy spotkanie z koordynatorem wolontariuszy na pediatrii. Długie spotkanie. Rozmawialiśmy o bawialni dla dzieci i o organizacji pracy animatorów zabaw. Po wszystkim

powiedziałem do niego coś o tym, że było długo, i wie pani, co on na to? Uwielbiam dobroczyńców, bo zawsze czynią tyle dobra. To wszystko, ani słowa więcej.

Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że mogłaby po prostu wyjść. W każdej chwili.

– Myślę, że Jonathan troszczył się o swoich pacjentów – powiedziała ostrożnie, choć nie miała najmniejszego pojęcia, dlaczego w ogóle podjęła ten wysiłek.

– Może tak, może nie. Może żadne z nas nigdy nie zrozumie, co słowo troska oznacza dla człowieka pokroju Sachsa. – Odgryzł kolejny kęs kanapki. Żuł jak koń. – Powiem jedno: na pewno nie troszczył się o kolegów. Przesuwał ich jak pionki na szachownicy. Lubił dramaty. Kiedy mu się nudziło, lubił poplotkować o tym, kto coś o kimś powiedział albo kto z kim kręci. Kto wie, ile w tym było prawdy. Nigdy nie mógłby być częścią zespołu, żadnej grupy mającej wspólny cel. Zwłaszcza jeśli należałby do niej ktoś, kogo by nie lubił. A nie lubił wielu osób. Wkładał w opiekę nad pacjentami dużo energii, bo coś z tego miał. Troszczył się o członków ich rodzin. Bardzo. I o niektórych ludzi z pracy, jeśli mogli mu ułatwić życie. Ale nigdy nie zwracał najmniejszej uwagi na innych ludzi, jeżeli nie miał ich jak wykorzystać, nawet jeśli widywał ich codziennie. Inwestycja by mu się nie zwróciła. Więc było sporo osób, których nie zauważał, ale które zauważały jego. Był dla nich interesujący, przyglądały mu się. A wie pani pewnie, że to bardzo trudne cały czas

chować się za maską, jak on. – Przez chwilę ważył słowa. – Maska to chyba nie jest fachowy termin.

Nie, ale rozumiała.

– Ci ludzie dużo widzieli. Wszystkie brudy. Uwagi, jakie potrafił robić. Lekceważenie. Kiedy musiał być na jakimś spotkaniu i to mu się nie podobało, znajdował sposób, żeby je jakoś zakłócić, więc zazwyczaj trwało jeszcze dłużej. Nigdy tego nie rozumiałem. Wszyscy ci, których ignorował... gdyby ich nie traktował tak źle, pewnie by mu się nie przyglądali aż tak uważnie. Myślę, że ostatecznie właśnie to go pogrążyło.

Przerwał, żeby nabić na widelec porcję sałatki coleslaw. Papierowy kubek był już mocno przesiąknięty wodą.

– Jako pierwsza problem zgłosiła lekarka z radiologii. Wezwałem go. Cały czas był bardzo uprzejmy. Powiedział, że ma ciężki okres w domu, ale nie chce, żeby się to rozniosło po szpitalu. Zapewnił, że już się nie spotyka z tą kobietą.

Odłożył widelec i położył palce, wszystkie dziesięć, na blacie. Zauważyła, że nimi rusza, jakby grał na fortepianie bardzo trudny utwór.

– Ale po jakimś czasie to się znowu zdarzyło. Z którąś z pielęgniarek. Powiedziałem mu: Słuchaj, naprawdę mnie nie interesuje twoje życie osobiste, ale musisz to robić poza szpitalem. Sensowna prośba, prawda? Zawsze mnie przeproszał, wyjaśniał, dlaczego tak się stało, i obiecywał, że z tym skończy. Kiedyś,

kiedy go wezwałem, stwierdził, że ta kobieta go prześladowa. Prosił o radę. Czytaliśmy regulamin i zastanawialiśmy się, czy powinienem złożyć skargę. Potem mówił mi, jakim jestem dla niego wzorem i że jeśli kiedykolwiek będzie kierował szpitalem, to ma nadzieję, że mu się uda mi dorównać i takie tam pitu-pitu. Kompletnie bzdury, ale muszę przyznać, że kiedy tak gadał, coś we mnie stanęło w miejscu, żeby posłuchać. No więc znowu się postarał, żeby sprawa przycichła, a w każdym razie ja nic już o tym nie słyszałem. Ale potem coś zaszło między nim a Reną Chang, doktor Reną Chang. Temu musiałem się przyjrzeć, bo przyszedł z tym do mnie jej przełożony. Ona w końcu wyjechała i tego nie musiałem z nim omawiać. Wyprowadziła się gdzieś na Południowy Zachód. Może do Santa Fe?

Do Sedony, pomyślała Grace i zadrżała.

– Słyszałem, że urodziła dziecko – powiedział Sharp.

– Przepraszam – powiedziała grzecznie. Gdyby nie usłyszała swojego głosu, mogłaby w ogóle nie zauważyć, że się odezwała. Po chwili była na nogach i toczyła się chwiejnie przez salę. W końcu doszła do toalety i usiadła na sedesie, z głową między kolanami.

Boże, Boże, Boże. Po co się o to prosiła? Dlaczego chciała wiedzieć? W ustach miała okropny smak tuńczyka. Głowa jej pękała.

Rena Chang. Ta od paralelnych strategii leczenia. Jonathan się z niej śmiał. Oboje się z niej śmiali. Jak

dawno to było? Próbowała się skupić. Próbowała, ale jej nie wychodziło. Przed Henrym? Nie, to musiało być po. Henry był niemowlęciem? Czy już chodził do szkoły? Nie była nawet w stanie ustalić, dlaczego to ważne. Nie miała pojęcia, ile czasu spędziła w toalecie.

Zanim wróciła, kelner zdążył zabrać obydwie talerze. Wśliznęła się do boksu i zaczęła sączyć wystygłą herbatę. Na stole leżał telefon Sharpa. Pewnie załatwił kilka służbowych spraw, kiedy jej nie było.

– Wiem, że w 2013 roku odbyło się postępowanie dyscyplinarne. Chciałabym poznać szczegóły.

– Było kilka postępowań dyscyplinarnych – odparł Sharp trochę szorstko.

Trochę za późno na taką zmianę nastroju, pomyślała.

– Jedno za przyjęcie pieniędzy od ojca pacjenta. Rzekome przyjęcie – poprawił się. – Ojciec nie chciał się spotkać z naszym adwokatem. Musieliśmy zamknąć dochodzenie. Potem było zajście z Waycasterem. Na schodach.

Na których się potknął. Potknął i złamał ząb. Musiał go zrekonstruować i nadal, gdziekolwiek się podziewał, miał inny kolor od pozostałych. Tak zakładała. Tyle tylko że wcale się nie potknął. Już to wiedziała.

– Waycaster – powiedziała.

– Ross Waycaster. Nadzorował go na samym początku. Sądziłem, że się dogadują. Żaden z nich nigdy nie wspominał o konflikcie. Ale Waycaster zażądał od Sachsa wyjaśnień w związku ze sprawą Malagi Alves.

Wywiązała się prawdziwa kłótnia, którą widziało pięć, sześć osób. Waycastera trzeba było potem zszywać. Nalegałem, żeby złożył skargę. Odbyło się postępowanie dyscyplinarne, a potem jeszcze jedno, w sprawie romansu. – Przerwał. Podniósł wzrok, jakby ją wreszcie zauważył. – Zakładam, że wie pani o ich romansie.

– Owszem – odparła z powagą, choć nie mogła się nadziwić.

Że też w ogóle zapytał! Po brutalnej śmierci Malagi, po zniknięciu Jonathana i wyłonieniu się z medialnego szumu tego przydomku trzeba było nie lada naiwności, żeby sądzić, że nie wie o ich romansie. Przydomek brzmiał: Doktor Śmierć. W końcu przedarł się do jej świadomości przez łamy lokalnej gazety. Depesza Associated Press została wydrukowana obok niewinnego artykułu o tym, jak obniżyć rachunki za ogrzewanie. W tej samej depeszy przeczytała, że ona – doktor Grace Sachs, sic! – została wykluczona z grona podejrzanych o zamordowanie Malagi Alves. Ta wiadomość powinna jej przynieść ulgę, ale kryjące się w niej założenie, że w ogóle była podejrzana – choćby tylko przez chwilę – sprawiało, że o uldze nie mogło być mowy.

– Policja nie informowała mnie na bieżąco – powiedziała.

Sharp wzruszył ramionami. Nie wiedział, co robi, a czego nie robi policja.

– Więc jeśli jest coś, czym chciałby się pan ze mną podzielić, chętnie posłucham – dodała dla pełnej jasności.

Ściągnął usta. Najwyraźniej nie robiło mu to wielkiej różnicy.

– Pacjent miał osiem lat i guza Wilmsa. Doktor Sachs był głównym lekarzem. Matka przychodziła do szpitala codziennie. Zgłosiła się do mnie jedna z pielęgniarek. Miała pewne obawy.

Po chwili Grace zapytała:

– Obawy?

– Nie zachowywali się dyskretnie. Nawet nie próbowali. Pielęgniarkom bardzo się to nie podobało. Zwłaszcza po pierwszym ostrzeżeniu. Więc znów go do siebie wezwałem. Powiedziałem, że albo z tym skończy, albo złożę skargę i doprowadzę do dochodzenia dyscyplinarnego. To było w zeszłym roku jesienią. Jesienią 2012 roku. Może w listopadzie? Zarzekał się, że już z tym skończył. Mówił chyba, że ma trudny okres. Że przeżywa trudne chwile na terapii i je odreagowuje. Odreagowuje – powtórzył z niesmakiem. – Ciekawe, skąd to wytrzasnął.

Grace nie musiała się zastanawiać.

– W każdym razie nie spełnił obietnicy. Kolejną odśłoną była jego bójka z Waycasterem na schodach. Przy świadkach, jak mówiłem – zapewnił.

– Owszem – odparła spokojnie. – Mówił pan.

– I obrażenia. Były obrażenia.

Kiwnęła głową. Nie miała poczucia, że znów powinna coś potwierdzać.

– A zatem: dwa oddzielne incydenty. Dwa oddzielne dochodzenia dyscyplinarne. Ale to drugie było podstawą do rozwiązania umowy o pracę. Chciałbym, żeby pani wiedziała, że nawet wtedy zaproponowałem mu inne wyjście. Powiedziałem: Słuchaj, możesz się zapisać na terapię. Na miejscu. W takiej sytuacji nie ma mowy o wyjściu poza szpital. Sądziłem, że uda mi się przekonać komisję, żeby się zgodziła na urlop zdrowotny. Wiem, że mogliśmy znaleźć takie rozwiązanie, żeby to nie wyglądało na zwolnienie. Nie żebym wierzył, że Sachs się jakimś cudem wyleczy – powiedział. – Bo mówią, że to nieuleczalne. Wy tak mówicie – poprawił się.

Uznała, że zdaje się na jej profesjonalizm.

– Zrobił pan to, co do pana należało – powiedziała. Nie zamierzała iść dalej.

– Jak mówię, nie chodziło o jego umiejętności jako lekarza. Facet miał talent. Miał predyspozycje, żeby zostać wybitnym onkologiem. Sam uniemożliwił sobie dalszą karierę w naszym szpitalu.

W tym momencie Grace poczuła, że w kieszeni kurtki wibruje jej komórka. Ojciec. A w każdym razie jego domowy numer.

– Halo? – powiedziała, wdzięczna, że ją oderwano od rozmowy z Sharpem.

– Mama?

– Cześć, skarbie.

– Możemy pójść do kina na wpół do czwartej? Film, który chcę obejrzeć, grają na rogu Siedemdziesiątej Drugiej i Trzeciej.

– Dobrze. Dziadek cię zabiera?

– Dziadek i babcia. Zgadzasz się?

– Oczywiście – powiedziała. – O której się kończy?

Kończył się o szóstej. Potem zamierzali zostać na noc u jej ojca. Byli w mieście pierwszy raz od tamtego grudniowego dnia.

Kładąc telefon na stole, zauważyła, że Sharp na nią patrzy. Widocznie coś musiało ją oderwać od rozmowy, żeby ją zauważył.

– Pani córka?

– Syn, Henry.

Który nie ma guza mózgu. Prawie to powiedziała.

– Idzie do kina z dziadkami.

– Jonathan nigdy nie mówił o swoich rodzicach – powiedział Sharp. Znów na nią nie patrzył, gdzieś odpłynął. – Dopiero w zeszłym roku dowiedziałem się, że dorastał niedaleko mnie, w sąsiednim mieście na Long Island. Pochodził z Roslyn. Ja się wychowałem w Old Westbury.

Powiedział to z naciskiem, ale Grace nie zrozumiała, co chciał przez to powiedzieć. Dla rodowitej mieszkanki Manhattanu Long Island było jedną całością. Szczegółów geograficznych nie brała pod uwagę.

– Ten artykuł o najlepszych lekarzach... – ciągnął

Sharp. – Wie pani, takie rzeczy zawsze przechodzą przez administrację szpitala. Magazyn prosi biuro prasowe o wytypowanie kilku osób. Oczywiście biorą pod uwagę lekarzy z całego miasta, ale zawsze przez biura prasowe. Nie tym razem. Dowiedzieliśmy się o wszystkim, kiedy dostaliśmy pocztą gotowy numer. Wszyscy byli wściekli. Ktoś mnie pytał, czy o tym wiedziałem. Oczywiście, że nie wiedziałem. Niby czemu magazyn „New York” miałby zaliczyć Jonathana Sachsa do najlepszych lekarzy? Zazwyczaj wybierają ludzi z jakimiś ogólnokrajowymi albo międzynarodowymi osiągnięciami. Więc byłem zdziwiony, tak samo jak wszyscy. Któregoś dnia pewna lekarka wchodzi do mojego gabinetu, zamyka drzwi i mówi mi, że jest jakieś powiązanie. Jakaś kobieta z redakcji jest ciotką dziewczynki, którą leczył Jonathan. Lekarka mówi, że od dawna walczyła ze sobą, zastanawiała się, czy coś mówić, ale w końcu uznała, że ktoś powinien o tym wiedzieć. Według niej ich relacje były zbyt bliskie.

– Chwila – przerwała mu. – Nie bardzo...

– Relacja, związek – powiedział zniecierpliwiony. – Między Sachsem a rodziną pacjentki. Zwłaszcza ciotką, rozumie pani?

Grace spuściła wzrok. Patrzyła na swoją herbatę. Zrobiło jej się słabo. Że też poprosiła o to spotkanie, że też sobie to zgotowała. Nie mogła się nadziwić. O co mu chodzi? Czyżby Jonathan podeptał marzenia Robertsona Sharpa III o trafieniu na łamy magazynu „New York”?

Miała go teraz przeprosić, bo jego podwładny, a jej mąż, oszukał go, pieprząc się z redaktorką?

Wyjęła z torebki portfel i położyła go na stole. Nie chciała dłużej rozmawiać, nie widziała w tym sensu.

– Nie, nie – powiedział Sharp. – Ja stawiam. –

Rozejrzał się za kelnerem. – Mam nadzieję, że choć trochę pomogłem.

Na ulicy, przed kawiarnią, pozwoliła, żeby uściskał jej dłoń.

– Oczywiście będę musiał zeznawać – oznajmił. – Jeśli go znajdą i sprowadzą. Tak będzie fair.

– Oczywiście – odparła.

– O tym, jaka część naszych wewnętrznych spraw stanie się częścią śledztwa, zdecyduje prokurator. Ja się na tym nie znam. – Wzruszył ramionami.

Nic mnie to nie obchodzi, pomyślała i ze zdziwieniem stwierdziła, że akurat w tej chwili naprawdę tak jest. Ruszyli w przeciwne strony. Sharp na północ, do szpitala. Ona na początku nie wiedziała, dokąd iść. Na pewno nie do domu. Nie byłaby w stanie tam wejść. Nie miała żadnego pomysłu, ale w miarę jak się zbliżała do ulicy, przy której zaparkowała, coraz częściej spoglądała na zegarek. Film Henry’ego zaczynał się o wpół do czwartej, kończył o szóstej. Sporo czasu w sobotnie popołudnie, przy niewielkim ruchu, kiedy ma się auto. Zdążyłaby pojechać wszędzie, nawet gdzieś, gdzie nie byłoby sensu jechać. Więc nie dała sobie czasu na rozważenie tego pomysłu, a tym bardziej na zmianę

zdania, i właśnie tam postanowiła pojechać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Ogonek

Przez wszystkie lata ich małżeństwa Jonathan tylko raz zabrał ją do swojego domu, a i wtedy wpadli tam tylko przejazdem, kiedy w jakiś jesienny weekend wracali z Hamptons. Ona była w ciąży, on wypoczęty po katorżniczej pracy – był rezydentem. Oboje odprężeni, wyspani, z brzuchami pełnymi kremu z mały, przewiani słonym wiatrem z plaży w Amagansetti. Jonathan nie chciał się zatrzymać, ale go zmusiła. Zawsze była ciekawa, ale nie chciała, żeby znów cierpiał. Cierpienie zdawało się towarzyszyć każdemu jego wspomnieniu o ojcu, matce i bracie. Ale chciała w końcu zobaczyć dom, w którym się wychował i z którego uciekł do Hopkinsa, na Harvard, no i do niej, i rodziny, którą zamierzali stworzyć.

– No, proszę – nalegała. – Pokaż mi to miejsce.

Więc zjechali z autostrady międzystanowej i wjechali w wąskie uliczki starszej części miasta, w której domy, pochodzące z powojennego wysypu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, były mniejsze od budowanych później pałaców ze skrzydłami i piętrami. To były najpiękniejsze dni jesieni, liście jeszcze nie pospadały

z wszędobylskich klonów, i kiedy Jonathan mijał dobrze sobie znane skrzyżowania, myślała o tym, że to nie wygląda tak strasznie, jak sobie wyobrażała. Spodziewała się jałowego krajobrazu, zaniedbanych, szpetnych domów, a w każdym z nich samotnej matki, bitego dziecka albo jednego i drugiego. Oczekiwała ciężkiej atmosfery beznadziei, z której jej ukochany mąż musiał się katapultować, samotny i zdany na siebie. Tymczasem znalazła się w przyjemnej okolicy, wśród niedużych domków z kwietnikami ze złocieniami od frontu i placami zabaw na tyłach.

Ale to wszystko oczywiście nie miało znaczenia. Okropne dzieciństwo można przeżyć również przy pięknej ulicy, w dobrze utrzymanym domu. Przynajmniej jeden człowiek przeżył tam takie dzieciństwo i Jonathan nie miał ochoty słuchać jej zachwyków nad tym, jakie wszystko jest zaskakująco ładne albo jak porządnie wygląda trawnik przed domem przy Crabtree Lane. Na podjeździe stał samochód, kombi. Jonathan nie chciał wysiąść, żeby sprawdzić, czy jego matka albo ojciec (albo brat Mitchell, który mieszkał w piwnicy) są w domu, ani pokazać jej pokoju, w którym spędzał wszystkie nieznośne dni przez pierwszych osiemnaście lat życia, zanim wsiadł do pociągu, który go zabrał na studia i do niej. Powoli skręcił na światłach i w zółwym tempie przejechał przed swoim domem. Nie chciał się nawet zatrzymać ani za wiele mówić. Potem przez całą drogę był milczący

i ponury. Cały spokój tego weekendu w Hamptons zwyczajnie się ulotnił. Tak wpływała na niego rodzina. Nadal nie pozwalała mu być szczęśliwym i odbierała poczucie równowagi. Potem już nigdy nie proponowała takiego objazdu.

O dziwo, chociaż widziała jego dom tylko raz, bez trudu znalazła właściwy zjazd z autostrady, pierwszy i drugi zakręt, i w końcu wyraźnie widoczny nad jezdnią znak wskazujący drogę do Crabtree Lane. Było dopiero w pół do piątej i popołudniowe światło właśnie zaczęło zanikać, kiedy zdała sobie sprawę, że jej pojawienie się w taki sposób mogło zostać uznane za akt wrogości, choć wcale nie uważała, że jest do nich źle nastawiona, a jeśli była, to już nie wiedziała, na ile może tej wrogości ufać i czy to naprawdę jej własna wrogość. Nie wiedziała absolutnie nic o człowieku, w którym się zakochała, z którym mieszkała osiemnaście lat i któremu urodziła syna. Tylko tyle, że nie istniał.

Zatrzymała się przy krawężniku i spojrzała na dom. Silnik powoli zmniejszył obroty. Dom był biały, z czarnymi żaluzjami i czerwonymi drzwiami. Wąski chodnik omijał podjazd. Tym razem stały na nim dwa samochody. W środku włączono już lampy i nawet z tej odległości wyczuwała ciepło kolorów: zieleni zasłon i rdzawej czerwieni mebli. W kuchennym oknie mignęła nierozpoznawalna sylwetka. Z pojedynczej lukarny biło niebieskawe światło telewizora. W jej mniemaniu był to bardzo mały dom – jak na rodzinę z dwoma synami. Ta

mała sypialnia na górze mogła należeć do Jonathana. Albo Mitchella. Może Mitchell mieszka tam do dziś, pomyślała nie bez żalu, choć nie potrafiła zrozumieć, jak może żałować czterdziestoletniego mężczyzny, który ciągle mieszka z rodzicami.

Nagle ktoś zapukał w szybę tuż przy jej uchu. Podskoczyła.

Jej stopa powędrowała do pedału gazu w tej samej chwili, kiedy dłoń spoczęła na guziku do otwierania okna. Nagła konfrontacja między uprzejmością a chęcią ucieczki.

I wtedy zauważyła, że w szybę zapukała kobieta znacznie starsza od niej, ubrana w długi płaszcz. Jego poły przytrzymywała ręką przy szyi.

– Dobry wieczór – powiedziała.

Grace nacisnęła guzik i otworzyła okno.

– Mogę pani w czymś pomóc? – zapytała kobieta.

– Nie, dziękuję. Ja tylko...

Właściwie nie wiedziała co tylko.

– Już odjeżdżam.

Kobieta bacznie się jej przyjrzała. Wyglądała, jakby z czymś walczyła.

– Może byście się wreszcie stąd zabrali? – Była nie tyle zła, ile rozdrażniona. – Czego wy tu szukacie? Jesteście żałośni. Nie wiem, co wam to daje.

Grace zmarszczyła brwi. Wciąż się zastanawiała, co się dzieje.

– Nie macie nic lepszego do roboty? Chcecie tym

ludziom jeszcze bardziej napsuć krwi? Zapisuję pani numer rejestracyjny.

– Nie, proszę – powiedziała Grace z przerażeniem. – Już jadę. Przepraszam. Już ruszam.

– Carol, to ty? – To był inny głos.

Z domu Jonathana wyszedł mężczyzna. Wysoki, znacznie wyższy od Jonathana. Od razu go poznała.

– Spisuję jej numery – powiedziała kobieta w płaszczu.

Ale on zdążył podejść bliżej.

– Już odjeżdżam – powtórzyła Grace. – Czy może pani tylko... proszę zabrać rękę, dobrze? Muszę zamknąć okno.

– Grace?! – zawołał mężczyzna. – To ty, prawda?!

– Kto? – zapytała Carol.

– Przepraszam! – powiedziała Grace.

– Nie, nie odjeżdżaj!

To był Mitchell. Brat Jonathana. Nie widziała go od lat. Od dnia ślubu, a ściślej mówiąc: od następnego dnia, od tego, kiedy oglądała zdjęcia. A teraz stał obok niej i mówił do niej, jakby się dobrze znali.

– Nie przejmuj się – powiedział do sąsiadki. – Znam ją. Wszystko w porządku.

– Nic nie jest w porządku! – zaprotestowała kobieta. Zdawała się bardziej przejęta niż Mitchell. – Najpierw dziennikarze, a teraz podglądacze. Myślą, że go trzymacie w piwnicy. Ci ludzie nic złego nie zrobili – powiedziała nieprzyjemnym tonem. Ostatnie zdanie

wyraźnie do Grace.

– Masz rację – odparł Mitchell. – Ale to co innego. Bądź spokojna. Ona jest mile widziana.

Nie jestem, pomyślała Grace. Spojrzała na niego, ale on wciąż pocieszał sąsiadkę.

– Nie, nie. Ja tylko... przejeżdżałam tędy i pomyślałam, że się zatrzymam, ale nie chciałam wam robić kłopotu.

– Proszę cię – powiedział serdecznie. – Wejdz. Zrobisz przyjemność mamie. – Zaczekał jeszcze chwilę, a potem dodał tak, jakby to kończyło dyskusję: – Wejdz.

Poddała się. Wyłączyła silnik i spróbowała się uspokoić. W końcu otworzyła drzwi. Mitchell i Carol musieli zrobić krok w tył.

– Mam na imię Grace – powiedziała do kobiety w płaszczu. – Przykro mi, że panią zdenerwowałam.

Carol jeszcze raz obrzuciła ją spojrzeniem pełnym gorzkiej dezaprobaty i odwróciła się do niej plecami. Grace patrzyła, jak idzie do swojego małego ceglanego domku po drugiej stronie ulicy.

– Wybacz – powiedział Mitchell. – Nie było nam tu łatwo, przynajmniej do połowy stycznia. Dużo wozów transmisyjnych i samochodów zaparkowanych przy samym podjeździe. Od tamtej pory już nie przyjeżdżają, ale czasem ktoś zwalnia, kiedy przejeżdża przed naszym domem. Mama i tata byli tym wszystkim tak załamani, że nie mogli rozmawiać z sąsiadami o tym, co się dzieje. Chociaż, tak między nami, akurat jej by się pewnie nie

zwierzali.

Między nami? Przez wszystkie te lata, kiedy formalnie byli rodziną, nie zamieniła z nim ani jednego słowa. Ale to, co teraz mówił, miało sens, więc odparła:

– No tak, rozumiem.

– To mała ulica. Myślę, że wszyscy to tutaj przeżywają, ale nie mogą nic powiedzieć, dopóki moi rodzice sami nie przemówią, więc emocje wybuchają. Dochodzi do takich sprzeczek. Carol próbuje pomagać. Słuchaj, naprawdę, chodź do domu.

– Nie chciałam wam robić kłopotu – powiedziała. – Zresztą sama nie wiem, czego chcę. Ale na pewno nie chcę wam wchodzić w paradę.

– Nikomu nie zawracasz głowy. Jest za zimno, żeby tu stać.

– No dobrze – powiedziała i przestała się opierać.

Zapominając, że jest w bezpiecznej okolicy, na Long Island, odruchowo zamknęła samochód na klucz i ruszyła za Mitchellem do domu.

– Mamo?! – zawołał Mitchell i przytrzymał przed Grace drzwi.

Matka Jonathana stała w progu kuchni. Była drobna. To po niej odziedziczył tę delikatną, szczupłą sylwetkę. Miała drobną twarz, a pod ciemnymi oczami kręgi w kolorze indygo. Mocno się postarzała od ich ostatniego spotkania w szpitalu, kiedy urodził się Henry. Wyglądała bardzo staro jak na swoje sześćdziesiąt jeden lat. Sprawiała wrażenie wystraszonej, chociaż trudno

było powiedzieć, czy boi się każdego gościa, czy tylko synowej.

– Zobacz, kogo znalazłem – powiedział Mitchell.

Miała nadzieję, że wie, co robi.

– No proszę – odezwał się ktoś z drugiego końca pokoju. Przy schodach stał ojciec Jonathana, David. –

Witaj! – Nie odpowiedziała nawet na to, więc dodał: – Grace?

– Tak. – Kiwnęła głową. – Przepraszam za najście. Byłam w okolicy.

Musieli wiedzieć, że kłamie.

– Henry jest z tobą? – spytała matka Jonathana.

Miała na imię Naomi, ale Grace nigdy nie miała sposobności (ani, jeśli chodzi o ścisłość, ochoty) przejść z nią na ty. W jej głosie pobrzmiwała nuta głębokiego bólu, ale po chwili doszła do siebie. Kim oni byli, każde z osobna? Grace wiedziała tylko, że mieli swój udział w stworzeniu Jonathana. Nie byli dobrymi ludźmi, to wydawało się oczywiste. A może już nie tak oczywiste?

Pokręciła głową.

– Jest w mieście z... moim ojcem. Nie jesteśmy... Mieszkamy gdzie indziej. – Nie była pewna, czy ją rozumieją. Sama nie bardzo wiedziała, co mówi. –

Wcale nie byłam w okolicy – powiedziała. – Szczerze mówiąc, nie wiem, dlaczego tu przyjechałam.

– No cóż, spróbujemy cię oświecić – odparł David.

Bez ostrzeżenia zrobił trzy wielkie susy i przytulił ją.

Jedną ręką objął ją za ramiona, drugą za plecy. Przycisnął szorstki policzek do jej ucha. Była tak oszołomiona, że nie wykonała żadnego ruchu. W przeciwieństwie do Vity David jej nie ostrzegł.

– Tato – zaśmiał się Mitchell. – Nie uduś jej.

– Bez obaw – odparł David prosto w jej ucho. – Nadrabiam stracony czas. To matka mojego wnuka.

– Wnuka, którego nie widziałeś ani razu, odkąd przyszedł na świat – powiedziała Naomi z wyraźną goryczą.

– Nie żebym nie próbował – powiedział David i wypuścił Grace z objęć. – Bez względu na to, dlaczego przyjechałaś – zwrócił się do niej – bardzo się cieszę, że cię widzę. Jak tylko Naomi dojdzie do siebie, na pewno powie ci to samo. Ale możliwe, że będzie potrzebowała trochę czasu.

– Trochę czasu? – powiedziała matka Jonathana. – Więcej niż ostatnie osiemnaście lat? Niż całe życie mojego wnuka?

David wzruszył ramionami.

– Tak jak mówię, moja żona musi dojść do siebie. Napijmy się kawy. Chodź do kuchni. – Skinął na żonę. –

Naomi, mamy jeszcze te ciastka od Entennmana, prawda?

– No to już wiesz, że jesteś na Long Island. – Mitchell się uśmiechnął. – Tylko tutaj zaproszą cię na kawę i ciastka z Entennmana. Napijesz się?

– Tak – odparła. – Dziękuję.

W kuchni najwyraźniej nic się nie zmieniło od lat siedemdziesiątych: wszystko żółto-brązowe, prosty stół pokryty laminatem. Mitchell odsunął dla niej krzesło i zabrał się do parzenia kawy. David usiadł naprzeciwko, a Naomi, wciąż wymownie milcząca, otworzyła lodówkę, żeby wyjąć mleko i niebiesko-białe pudełko. Było czysto – nadzwyczajnie czysto, pomyślała Grace – ale widać było, że kuchnia jest regularnie używana. Na półce nad piekarnikiem stały przyprawy w szklanych słoiczkach, odręcznie opisanych i opatrzonych datami. Ciężkie garnki ze stali nierdzewnej, wiszące na haczykach przybitych do ozdobnej belki, zmatowiały. Kiedy pudełko z ciastkami lądowało na stole, podniosła głowę i spojrzała na teściową. Naomi nie spojrzała na nią. Jonathan zawsze mówił, że była bardzo zimna. Okropna matka. Najwyraźniej mówił prawdę, przynajmniej jeśli chodzi o nią. Nie wspominał o jej talentach kulinarnych.

Mitchell wziął nóż i zaczął kroić ciasto. Migdałowe, z lukrem. Podał jej kawałek bez pytania, a ona wzięła bez słowa.

– Musi ci być bardzo ciężko – powiedział David, kiedy syn kładł mu na talerzu ciasto. – Wiele razy o tobie myśleliśmy. Chciałbym, żebyś to wiedziała. Kilka razy dzwoniłiśmy, ale nikt w Nowym Jorku nie odbierał. Domyśliliśmy się, że wyjechaliście. Bardzo słusznie.

Grace kiwnęła głową. To było bardzo dziwne –

rozmawiać z nimi. Na jakikolwiek temat. A co dopiero o tym. O ich własnym synu i o tym, co zrobił. I o tym, co to oznacza dla niej i dla Henry'ego. A mimo to wydawali się tacy... niewinni. Nieobarczeni nawet częścią odpowiedzialności za wszystko, co się stało. Czyżby nawet teraz byli w stanie nie zauważać, że przynajmniej w pewnym stopniu są winni tej tragedii? Bo zaniedbywali Jonathana, nie leczyli się z nałogów (miała na myśli alkoholizm Naomi i uzależnienie Davida od leków), otwarcie faworyzowali Mitchella, który nie skończył studiów, nigdy nie miał poważnej pracy i wciąż mieszkał z nimi? Czy którykolwiek z tych tematów zostanie poruszony podczas tej pogawędki przy kawie, podczas tego spontanicznego rodzinnego spotkania na przedmieściach? Patrzyła na nich, wszystkich troje, siedząc przy stole, z rodziną, która powinna była zachowywać się jak rodzina, ale tego nie robiła, i przez chwilę z całą siłą czuła żal i smutek Jonathana. Ile się przez nich nacierpiał. To nie była jego wina.

– Zabrałam Henry'ego do Connecticut – powiedziała.
– Mamy tam domek letniskowy.

– W którym wzięliście ślub – dodał Mitchell pogodnym tonem.

Nalewał kawę do brązowych kubków.

– Tak. Byłeś tam.

– Owszem. Wtedy jeszcze próbowałem.

– Próbowalesz? – zapytała. – Co próbowałeś?

– Być jego bratem – odparł. Wciąż się uśmiechał. Uśmiech zdawał się jego naturalnym wyrazem twarzy. – W naszej rodzinie pełnię funkcję optymisty – dodał, jakby chciał potwierdzić to, co pomyślała. – Nic na to nie poradzę, inaczej nie umiem. Widziałem, że się żeni z bystrą dziewczyną. Widziałem, że jest miła. Że się interesuje psychologią. Że zamierza pracować w zawodzie. Byłem wniebowzięty.

Wniebowzięty, pomyślała Grace. Nie pasowało jej to do utrwalanego przez lata obrazu Mitchella.

– Wierzyłem, że go namówisz, żeby znów zaczął się kontaktować z mamą i tatą. Oczywiście on nas poprosił, żebyśmy nie przyjeżdżali na ślub.

– Przecież zostaliście zaproszeni – powiedziała. Była zaskoczona.

Sama adresowała kopertę.

– Tak, wiem. Ale Jonathan zadzwonił, żeby nas od tego odwieść. Ja, ponieważ jestem rodzinnym optymistą, nie posłuchałem. Przykro mi było wychodzić w trakcie. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

Oczywiście nie wiedziała. Skąd miała wiedzieć, jak się z tym czuł? Wymamrotała coś niezobowiązującego i wypila łyk kawy. Była orzechowa. Trochę ją zemdliło.

– To on kazał mi jechać.

Odstawiła kubek.

– Kto? Jonathan?

Mitchell kiwnął głową.

– Tak. Tuż po ceremonii. Podeszedł do mnie

i powiedział: Świetnie. Udowodniłeś, co chciałeś udowodnić. A teraz spadaj. Nie chciałem robić scen, więc zniknąłem. – Sypał cukier do kawy i mieszał. – Tak przy okazji... ceremonia była piękna. Kiedy twoja przyjaciółka opowiadała o twojej mamie, uroniłem kilka łez. Mimo że prawie cię nie znałem i nigdy nie spotkałem twojej matki. W tym, co mówiła, dało się wyczuć, ile miłości było nie tylko między tobą a matką, ale między tobą a twoją przyjaciółką.

– Vitą – powiedziała.

Od lat nie myślała o hołdzie, jaki Vita złożyła jej matce. Wielki ból po jednej stracie spotęgował ból po kolejnej – tak to wspominała.

– Tak, to było piękne przemówienie.

– Więc wyjechałaś. Z Henrym? A co z jego szkołą?

– Zapiisałam go do miejscowej podstawówki – powiedziała. – Akurat ta zmiana poszła gładko. Myślę nawet, że teraz jest szczęśliwszy. Ma nowych kolegów. Gra w szkolnej orkiestrze.

– Gra na jakimś instrumencie? – zapytała Naomi.

Odezwała się pierwszy raz, odkąd usiedli przy stole.

– Na skrzypcach. Uczył się w mieście, zanim wyjechaliśmy. Dosyć poważnie – dodała niepotrzebnie.

– Kolejny Sachs skrzypek! – krzyknął David. – Nasz dziadek grał muzykę klezmerską w Krakowie. Wuj gra do dziś. Ma ponad czterdzieści lat.

– Nie, nie – powiedziała Grace, kręcąc głową. – Henry gra klasykę. Ma bardzo surowego nauczyciela.

Bierze tylko takich uczniów, których uważa... – Nagle usłyszała, co mówi, i zamilkła. – Nieważne. Mam nadzieję, że nie zrezygnuje. Jest utalentowany. W Connecticut mamy sąsiada, który obiecał, że go nauczy grać inaczej. Coś w stylu muzyki szkockiej. Jak bluegrass.

– Daleki kuzyn klezmerki! – powiedział David z radością. – Właśnie o tym mówię. Czy Henry będzie miał bar micwę?

Spojrzała na niego zdziwiona. Jak to możliwe, że o tym rozmawiają? O tym! Jakby ich syn, którego nie widzieli od dziesięcioleci, nie zamordował kobiety i nie uciekł, zostawiając ich samych sobie, żeby odbyli to koszmarnie spotkanie.

– Nie. Na razie nie. Jeśli mam być szczerą, nigdy o tym nie myślałam. Zwłaszcza ostatnio.

– Tato. – Mitchell pokręcił głową. – Daj spokój. Grace przeżywa teraz tragedię. Myślisz, że zrobi sobie przerwę, żeby urządzić bar micwę? Dobrze, że zabrałaś Henry’ego do Connecticut. Henry’ego i siebie. Ale co z twoją praktyką?

– Na razie ją zawiesiłam. Może... niewykluczone, że znów ją otworzę. Myślę o tym. Ale Nowy Jork odpada.

– I mieszkasz w letnim domku.

– Tak. Uprzedzę wasze pytanie: jest bardzo zimno – powiedziała.

A może wcale nie zamierzali o to pytać?

– Nie jest ocieplony? – spytała Naomi. – Czy to

zdrowe dla Henry'ego?

– Grubo się ubieramy. I śpimy pod kilkoma kołdrami.

– Westchnęła. – Mój syn chce mieć psa. Twierdzi, że Eskimosi ogrzewają się, śpiąc z psami.

– Czemu nie? – powiedział David. – Nie może mieć psa?

Prawie powiedziała, że Jonathan jest uczulony. Dotychczas dlatego nie mieli psa. Ale po chwili przypomniała sobie inny powód: psa Kruka, który uciekł z tego domu i przepadł bez śladu. I że ci ludzie obwinili Jonathana o to, że do tego dopuścił, mimo że pies należał do Mitchella. Dlatego Jonathan był uprzedzony do psów. To straszne, co mu zrobili. Jedna z wielu strasznych rzeczy spośród Bóg wie ilu.

– Mielście psa – powiedziała, jakby tylko tyle wystarczyło powiedzieć. – Jonathan powiedział mi, co się stało z waszym psem.

Wszyscy troje spojrzeli na nią ze zdziwieniem. Naomi odwróciła się do męża.

– Co ona powiedziała? – zapytała.

– Poczekajcie – powiedział Mitchell i wyciągnął rękę, tak jak się czasem robi, kiedy się gwałtownie hamuje i nie chce się, żeby pasażer poleciał do przodu. – Poczekajcie, ja zapytam.

– Nigdy nie mieliśmy psa – powiedziała jego matka. – Mówił ci, że mieliśmy psa? I że coś mu się stało?

David spojrział na Grace.

– Nigdy nie mieliśmy psa. Zawsze chcieliśmy, ale

chłopcy byli uczuleni na sierść.

Więc to prawda, pomyślała. Poczwała dziwną ulgę. Jonathan zawsze twierdził, że ma alergię.

– I co ci powiedział? – spytała Naomi. – O tym swoim urojonym psie.

– Mówił, że... – Próbowwała sobie przypomnieć szczegóły. Wydawały jej się teraz bardzo istotne. –

Mieliście psa, nazywał się Kruk. Należał do Mitchella. Któregoś dnia, kiedy Jonathan był z nim sam w domu, pies uciekł. Pewnie wybiegł przez furtkę. Nikt go już potem nie widział. A wy go o to obwinialiście, bo akurat on był wtedy w domu. – Szukała w myślach czegoś, o czym mogła zapomnieć, ale nic jej nie przyszło do głowy. – Tyle.

Po długiej, niesamowicie krępującej ciszy Naomi powiedziała:

– To wszystko nieprawda. – Głos jej się łamał. – Kompletna nieprawda.

– Kochanie – odparł David. – Nie gniewaj się na Grace. Mówi tylko to, co usłyszała.

– Błagam – powiedziała Grace. Serce jej waliło. Tak mocno, że je słyszała. Nie rozumiała, co się dzieje, ale była przerażona. – Powiedzcie mi, jak było.

– Nie pies. – Naomi zaczęła płakać. Twarz miała zalaną łzami. – Nie pies. Brat. Nie miał psa, ale miał brata. Rozumiem, że nigdy ci o nim nie mówił.

– Oczywiście, że mówił. Mówił mi o Mitchellu!

Traciła grunt pod nogami.

– Nie chodzi o Mitchella! – odparła ze złością Naomi.

– Nie chodzi o mnie – powiedział prawie w tej samej chwili Mitchell. Już się nie uśmiechał. Nawet jego optymizm nie był w stanie tego przetrwać. – Miał jeszcze jednego brata. Aarona. Miał cztery latka.

Grace kręciła głową. Nie wiedziała dlaczego.

– Naprawdę nigdy o nim nie wspomniał? – spytał David.

Pomyślała: Mogę teraz wyjść. Jeśli teraz wyjdę, niczego się nie dowiem. Ale jeśli zostanę, będę musiała to usłyszeć. I wtedy będę to wiedziała na zawsze. Cokolwiek to jest, nigdy nie przestanę tego wiedzieć.

Ale tak naprawdę nie miała wyboru. Była w potrzasku, złapana przez nich i przez sytuację. Potem tłumaczyła sobie, że sparaliżowała ją prawda. Wtedy oczywiście była już innym człowiekiem.

Któregoś sobotniego zimowego poranka, kiedy Jonathan miał piętnaście lat, a Mitchell trzynaście, czteroletni Aaron Reuben Sachs – przez mamę nazywany Ogonkiem, a przez braci w ogóle nienazywany (byli w końcu dużo starsi i zajęci swoimi sprawami) – poważnie się przeziębził i dostał gorączki. Tego dnia miała się odbyć bat micwa córki najstarszych przyjaciół Davida i Naomi. Wszyscy pięcioro zostali zaproszeni do synagogi i na przyjęcie. Ale Jonathan nie chciał iść. Nie lubił znajomych rodziców ani ich córki. Uczyła się dwie klasy niżej i nie była ani trochę atrakcyjna. Zamierzał zostać w domu i robić to, co

zwykł robić w swoim pokoju za zamkniętymi drzwiami. Dzień wcześniej pokłócił się o to z rodzicami. W końcu ojciec powiedział, że bez względu na wszystko ma z całą rodziną iść na bat micwę. Nazajutrz, jakby ta rozmowa nigdy się nie odbyła, Jonathan zamknął się w swoim pokoju i powiedział, że nigdzie się nie wybiera.

Ale Aaron miał gorączkę i to wszystko zmieniało. Naomi dostrzegła w tym zbiegu okoliczności – niepomysłnym, ale nie miała na to wpływu – inne rozwiązanie. Ona mogłaby zachować twarz, a Jonathan (mówiła sobie, że tak może być) mógłby spędzić trochę czasu z bratem. Pomyślała, że może nie jest za późno, żeby nawiązali więź, która by ich połączyła mocniej niż samo doświadczenie dorastania pod jednym dachem, z tymi samymi rodzicami, choć w innym czasie. Zawsze na to liczyła, chociaż Jonathan nie okazywał braterskich uczuć, nawet wobec Mitchella, młodszego tylko o dwa lata. Pojawienie się Aarona – było zaskoczeniem dla nich wszystkich – jeszcze bardziej oddaliło Jonathana od reszty rodziny.

Właśnie to sobie wmawiała, ubierając się przed wyjściem. Ostatni raz zmierzyła małemu temperaturę (trzydzieści osiem i trzy), położyła go do łóżka i puściła na dobranoc bajkę z kasety.

Kiedy kilka godzin później zadzwoniła do domu z przyjęcia, Jonathan zapewnił ją, że wszystko jest w porządku.

– Powiedział, że Aaron chciał się pobawić na dworze – dodał Mitchell. – Mówił tak przez jakiś czas, ale potem chyba zrozumiał, że to nie działa. Musiał wiedzieć, że nie spotka go pochwała za to, że pozwolił młodszemu bratu bawić się poza domem tylko dlatego, że tego chciał. Miał obowiązek się nim opiekować. Więc zaczął powtarzać, że nie wiedział, że Aaron wyszedł na dwór. Sądził, że cały czas siedzi w swoim pokoju. Powiedział lekarzowi, że kilka razy do niego zaglądał, ale nam nigdy tego nie mówił. Wiedział, że rodzice mu nie uwierzą, więc nawet nie próbował.

– Zaczekajcie – przerwała mu Grace. Podniosła rękę, żeby ich powstrzymać. – Chcecie powiedzieć, że Jonathan był odpowiedzialny za coś, co się stało Aaronowi?

– Tak. – David ze smutkiem kiwał głową. – Długo się przed tym broniłem, chociaż nie tak wytrwale jak Naomi. Ona bardzo nie chciała w to uwierzyć.

Naomi patrzyła na coś za plecami Grace. Twarz miała tak przepełnioną bólem, że wydawała się spuchnięta.

Mitchell westchnął.

– Na pewno był na dworze. Bez wątplenia. Nie wiemy ani jak długo, ani czy chciał wyjść, czy został zmuszony. Trudno sobie wyobrazić, jak to było. Poza tym ludzki mózg jest świetny w wymyślaniu historii, dzięki którym łatwiej mu się pogodzić z czymś, co się staje nie do wytrzymania. Ja zawsze mówiłem sobie, że Aaron pewnie poczuł się lepiej i chciał się pobawić na dworze,

bo w ogródku miał ukochaną huśtawkę. Z drabiną i liną do wspinania. No więc wychodzi i świetnie się bawi na huśtawce, a kiedy wraca, nie ma powodu, żeby się źle poczuł. Po prostu kładzie się do łóżka, zasypia i tak go zastajemy po powrocie.

– Tyle że wtedy miał już czterdzieści i pół stopnia – powiedziała beznamytnie Naomi. – Od razu go zawieźliśmy na pogotowie. Ale nic już nie mogli zrobić. Było za późno.

– A poza tym wcale nie tak to było – dodał Mitchell. – To tylko ja chciałem, żeby tak to wyglądało, ale prawda była inna. Policja też to wiedziała. Maglowali go w kółko i na okrągło. Jonathana. A on ciągle zmieniał zeznania. Wiedział, gdzie był Aaron. Nie wiedział. Mógł wiedzieć. Sądził, że wie, ale się mylił. I przy tym żadnych emocji, żadnego niepokoju. Ale też nic nie zrobił, nie można było powiedzieć, że coś zrobił. Poza tym sądzę, że myśleli wtedy o naszej rodzinie, o tym, jak to wszystko przetrwamy. Pewnie uważali, że pociągnięcie Jonathana do prawnej odpowiedzialności tylko pogorszy sprawę. Pewnie uważali, że i tak będzie cierpiał, że będzie go gryzło sumienie, że akt oskarżenia i proces nikomu nie pomoże. Ale mylili się co do cierpienia. On nie potrafił cierpieć. Nie wiedział, jak to się robi.

Grace starała się oddychać, ale wszystko wokół niej zdawało się pływać. Stół i krzesła się ruszały. Kuchnia wirowała jedną wielką żółto-brązową smugą, jakby się

oderwała od rzeczywistości. Ale patrząc, jak się wokół niej obraca i rozmywa, zdała sobie sprawę, że się myli: to nie kuchnia wiruje, tylko ona. To ona, Grace, oderwała się wreszcie na stałe od swojego życia. Koniec wyjaśnień, koniec uciekania od prawdy. Koniec z próbami zrozumienia Jonathana i tego, co się z nim stało. Zwyczajnie nie miała do czego wracać, skoro już wiedziała o Aaronie Sachsie, Ogonku, który nie dożył piątych urodzin. Nie miała już czego nie rozumieć. Wszystko stało się doskonale oczywiste. Prawda była brutalna i nie miała absolutnie nic wspólnego z nią. To był piętnastoletni Jonathan, który nie chciał iść na bat micwę ani mieć brata.

– Nigdy nie powiedział, że mu przykro – powiedział David. – Ani razu. Nawet gdyby było tak, jak mówił, to i tak mógł powiedzieć, że żałuje. Ale tego nie zrobił.

– Bo nie żałował – powiedziała Naomi. Otarła czoło wierzchem dłoni. – To czemu miałby to mówić? Potem już nie wspomniał o tym ani słowem. Mieszkał tu i czekał na pierwszą okazję, żeby wyjechać, i nigdy nie wrócił. Nie dzwonił do nas, a kiedy my dzwoniliśmy, nie mówił nic osobistego. Ale pozwalał, żebyśmy opłacali jego chesne. Uważaliśmy to prawie za swoje osiągnięcie. Potem zamieszkał z dużo starszą kobietą i ona płaciła za jego studia. Kupiła mu samochód.

– Bmw – dodał David, kręcąc głową. – To mnie dobiło. Zawsze mówiłem, że żaden Żyd nie powinien jeździć bmw.

– Marka nie ma znaczenia – powiedziała Naomi.

Przez chwilę chciał odpowiedzieć, ale najwyraźniej uznał, że nie warto.

– Jak Jonathan poszedł na medycynę – powiedział Mitchell – pomyślałem sobie: no dobra. Pewnie tak wyraża swoje odczucia w związku z Aaronem. Może jak minie trochę czasu, to da nam wszystkim jeszcze jedną szansę. Zwłaszcza mnie – dodał i znów się uśmiechnął. –

Bo jak byliśmy dziećmi, to bardzo mi imponował. Dlatego trzymałem się trochę dłużej. Tata poddał się dawno temu, rok czy dwa po śmierci Aarona. Mama wytrzymała wiele lat.

Spojrzał na swoją matkę, a ona odwróciła wzrok.

– Jak został pediatrą, pomyślałem: przez te wszystkie lata gryzło go sumienie. Dlatego nie może na nas patrzeć ani z nami przebywać. Za bardzo go to boli. Ale może ratować przed śmiercią inne dzieci, pomagać innym braciom i rodzicom. I szanowałem go za to, mimo że wciąż nie było go w naszym życiu. Tak jak ciebie i Henry’ego. Ale teraz już tak nie myślę. Nie rozumiem go. I chyba nigdy nie rozumiałem.

– Nie – odparła Grace. Nie mogła uwierzyć, że coś o tym mówi. Uznała, że pewnie wypowiada się jako psycholog. – Nie mogłeś go zrozumieć. On ma zupełnie inny mózg. Nie jesteście za to odpowiedzialni – powiedziała, zwracając się do Naomi. – Nic nie mogliście na to poradzić. Nikt nie rozumie źródeł takich postaw.

Wygłaszała ten pocieszający akademicki wywód i myślała o tym, że najbardziej niesamowite nie jest wcale to, że Jonathan w okropnej, dysfunkcyjnej rodzinie wyrósł na uzdrowiciela dzieci, zawodowca, obywatela świata. Naprawdę zadziwiająca była wytrwałość, z jaką podtrzymywał to kłamstwo. Pewnie było to bardzo trudne i męczące. Musiał coś z tego mieć. Ale nie chciała się zastanawiać, co to mogło być.

– Nawet specjaliści, którzy to badają, nie rozumieją, na czym to polega – powiedziała na koniec. Była wyczerpana.

Ku jej zdziwieniu Naomi kiwała głową.

– Wiem, wiem. Po prostu nie zawsze mi to pomaga. Ta myśl ciągle wraca, że musiałam popełnić jakiś błąd, że to wynika z tego, jak żyliśmy, albo z tego, jaką byłam matką. Ale byłam dobrą matką, naprawdę. Staralam się – powiedziała, a potem głos znów jej się załamał i z oczu popłynęły łzy.

Mitchell ją objął, ale nie przerywał jej. W końcu przestała płakać.

– Ale dziękuję, że to mówisz.

– Moja żona twierdzi, że kiedy ktoś taki jak Jonathan pojawia się w twoim życiu, możesz się tylko odsunąć na bok – powiedział Mitchell. – Dużo o tym czytała, chociaż to nie jest jej działka.

– Twoja żona? – spytała Grace. – Masz żonę?

– Prawda? – Zaśmiał się David. – Zajęło im to tylko dwanaście lat. Tyle czasu potrzebowali, żeby się

zdecydować.

– Ale... myślałam...

Jeszcze raz pomyślała o wszystkim, co myślała, w co wierzyła. Od kogo słyszała, że Mitchell, niedojrzały i rozkapryszony młodszy brat, wciąż mieszka w piwnicy rodziców i jest na ich utrzymaniu?

– Gdzie mieszkasz? – zapytała.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Niedaleko stąd. W Great Neck. Ale zamierzamy się przeprowadzić do Hempstead. Moja żona jest fizjoterapeutką w szpitalu Świętego Franciszka. To bardzo blisko. Powinnaś ją poznać. Myślę, że się polubicie. Ona też jest jedynaczką – powiedział i się uśmiechnął.

Grace kiwnęła głową. Była otępiała.

– A co... Mitchell, przepraszam, ale nie wiem nawet, czym się zajmujesz.

Był wyraźnie rozbawiony.

– Nic nie szkodzi. Jestem dyrektorem szkoły podstawowej w Hempstead. Długo pracowałem w liceach, ale w zeszłym roku przeniosłem się do podstawówki i bardzo się z tego cieszę. Uwielbiam dzieci. Myślę, że to skutek wszystkiego, co przeżyliśmy, o ile to ma sens. Kiedy Aaron żył, nie zwracałem na niego uwagi. Po jego śmierci bardzo mi to doskwierało. Ale potem mocno mnie ciągnęło do dzieci, do tego, jak przyswajają wiedzę. – Sięgnął po kubek matki i swój. – Napijesz się jeszcze? – zapytał, wstając.

Podziękowała, pokręciła głową.

– Grace? – odezwała się Naomi. – Bardzo byśmy chcieli poznać wnuka. Myślisz, że to możliwe?

Mówiła bardzo powoli i bardzo ostrożnie. Nie chciała tego zepsuć, nie chciała, żeby Grace ją źle zrozumiała.

– Oczywiście – odparła Grace. – Jakoś to zorganizujemy. Przywiozę go tu. Albo możemy się spotkać w Nowym Jorku. Wybaczcie mi. Czuję się podle, że nic o was nie wiedziałam.

David kręcił głową.

– Nie musisz przeproszać. Jonathan nie chciał, żebyśmy byli częścią waszego życia. Trudno nam było się z tym pogodzić, zwłaszcza kiedy urodził się Henry. Nie chciałem jechać do szpitala tak, jak pojechaliśmy, ale Naomi po prostu musiała zobaczyć wnuka. Wtedy chyba jeszcze wierzyła, że Jonathan może się zmienić, skoro urodziło mu się dziecko. Liczyła, że jest jakaś szansa, że znowu nas do siebie dopuści.

Grace zamknęła oczy. Wyobraziła sobie siebie w podobnych okolicznościach. Chwytałaby się tej samej wątej nadziei.

– Zmusiłam go, żeby mnie zabrał – powiedziała Naomi. Po raz pierwszy się uśmiechała albo próbowała uśmiechać. – Nie dałam mu wyboru. Powiedziałam: to nasz wnuk i jedziemy go zobaczyć. Koniec gadania. Chciałam mu dać kołderkę. Pamiętasz, że ją przywieźliśmy dla Henry’ego?

Grace kiwnęła głową. Zrobiło jej się niedobrze.

– Sama ją zrobiłaś?

– Nie, moja matka ją dla mnie uszyła. Obaj moi chłopcy pod nią spali. Jonathan też. Chciałam, żeby Henry ją miał, nawet gdyby to miała być jedyna rzecz, jaką by od nas dostał. Macie ją jeszcze? – zapytała z rozpaczliwą szczerością.

– Nie wiem – odparła Grace. – Szczerze mówiąc, dawno jej nie widziałam.

Naomi sposepniała, ale szybko doszła do siebie.

– Teraz to już nieważne. Wolę poznać Henry’ego, niż odzyskać starą kołdrę. Zresztą robię właśnie nową.

W tym momencie z rogu dobiegło ciche, jakby elektroniczne piknięcie. Grace się rozejrzała. Do gniazdka podłączony był plastikowy monitor, podobny do tego, jakiego sama używała, gdy Henry był niemowlakiem.

– O wilku mowa – powiedziała Naomi i głos nagle jej się rozjaśnił.

Skoczyła na równe nogi.

– Ja pójdę – uspokoił ją Mitchell.

– Daj spokój – odparła. – Ty lepiej wytłumacz to Grace.

Schyliła się i pocałowała synową w policzek. Grace była zbyt oszołomiona, żeby się odezwać. Wszyscy patrzyli, jak Naomi wychodzi i rusza na górę.

– Grace? – powiedział Mitchell.

– Rozumiem, że urodziło wam się dziecko. Gratulacje.

– Dziękuję. Tak naprawdę dopiero się urodzi. Laurie ma termin na czerwiec. Ale mamy też dziecko. Może to dziwnie zabrzmie, ale w tej chwili wszyscy mamy dziecko. I może teraz, kiedy już wiesz, co się stało w naszej rodzinie, łatwiej ci będzie zrozumieć, dlaczego zrobiliśmy to, co zrobiliśmy. Co robimy.

– O, nie – powiedział David i wstał z krzesła. – Nie zniosę tej przemowy gettysburskiej.

– Tato, chcę tylko, żeby Grace zrozumiała, że dla nas to było co innego, niż mogło być dla innej rodziny, takiej, która nie straciła dziecka.

– Chcesz jeszcze ciasta? – zapytał David.

Grace zdołała zjeść tylko połowę tego, co dostała na początku. Podziękowała.

– Byliśmy... Jesteśmy zdruzgotani tym, co zrobił Jonathan. Co podobno zrobił. Naszym zdaniem na pewno. I oczywiście wiedzieliśmy, że kobieta, która zginęła, miała dwoje dzieci. Zakładaliśmy, jak większość ludzi, że jej mąż zabierze je z powrotem do Kolumbii. Nie przyszło nam do głowy angażować się w to bardziej, niż to było konieczne. Rozmawialiśmy z policją i obiecaliśmy, że damy znać, jak tylko Jonathan się z nami skontaktuje, chociaż od razu im powiedziałem, że na pewno tego nie zrobi. Ale jeden detektyw zadzwonił tuż przed Nowym Rokiem, żeby sprawdzić, jak sobie radzimy. Powiedział, że chłopiec pojechał do Kolumbii, ale dziewczynki jego ojciec nie chciał wziąć.

– Nie była jego córką – dodał David.

Włożył do lodówki pudełko z ciastem i wyjął butelkę z przygotowanym wcześniej mlekiem dla niemowląt. Zaczął nią energicznie potrząsać. Potem podszedł do zlewu, odkręcił gorącą wodę i ogrzał butelkę.

– Powiedzieli, że zanim mała trafi do domu dziecka na Manhattanie, muszą się skontaktować ze wszystkimi krewnymi, żeby ich wyeliminować. No i zaczęliśmy o tym rozmawiać.

– Długo to nie trwało – zaśmiał się David.

– To prawda.

– Boże – powiedziała Grace.

– Wiem, przepraszam. Wiem, że to musi być dla ciebie szok.

Nie większy niż odkrycie, że mój mąż zamordował swoją kochankę albo że zabił młodszego brata, pomyślała. Ale dużo jej to nie pomogło.

– Rozumiesz, że to wszystko nie jej wina. Zawsze w końcu do tego wracaliśmy. Jest przepiękna. Na starcie miała nieprawdopodobnego pecha. Jak dorośnie, czeka ją wiele trudnych chwil. Jestem pewien, że przed Abigail jeszcze dużo zmartwień. Ale jest moją bratanicą.

– Moją wnuczką – poprawił go David. Bez złośliwości.

– Mogę dostać szklanek wody? – spytała Grace.

Wyciągnęła po nią obie ręce. David otworzył szafkę, żeby poszukać szklanki. Zakręcił gorącą wodę, odkręcił zimną i sprawdził temperaturę. Nikt nie powiedział ani

słowa, dopóki Grace się nie napiła.

– Abigail? – odezwała się w końcu.

– A, jak Aaron. Ja i Laurie wybraliśmy to imię. Elena będzie miała na drugie.

– Uwielbiam imię Abigail – powiedział David. Znów włożył butelkę pod ciepłą wodę. – Żona biblijnego króla Dawida. Choć oczywiście nikt mnie nie pytał.

– Ale... – Grace próbowała sformułować pytanie. – Będziecie... czy... ty i twoja żona?

Trochę to trwało, ale w końcu zrozumiał.

– Laurie i ja adoptujemy Abigail. Teraz musimy trochę improwizować, bo jeszcze się nie wprowadziliśmy do nowego domu i Laurie miała ciężki pierwszy trymestr, więc mała spędza dużo czasu u dziadków. Nie żeby narzekali.

– Ubóstwiamy ją – potwierdził David.

Grace wciąż próbowała się opanować. Odpowiedziała swoim najlepszym terapeutycznym skinieniem.

– Naturalnie. To twoja wnuczka.

– Moja wnuczka. Córka mojego syna. Którego też kochałem, choć może trudno w to uwierzyć.

– Wcale nie trudno. – Pokręciła głową. – Ja też go kochałam. – A w każdym razie, pomyślała, tego kogoś, za kogo go miałam. Drobną, ale zasadniczą różnicą.

Usłyszała, że Naomi schodzi na dół. Z każdym jej krokiem mocniej uciskało ją w piersi. Wiedziała, że nigdy nie będzie na to gotowa. Pierwszy raz od chwili kiedy przekroczyła próg ich domu, pomyślała

o ucieczce. Ale nie mogłaby pozwolić, żeby myśleli o niej jako o dorosłej kobiecie, która uciekła przed niemowlęciem. Złapała za krzesło i odwróciła się do drzwi.

Ta, która w nich stała, była odmieniona. Ciemne włosy opadały jej luźno wokół twarzy. Ruszała się szybciej, prężniej, mimo że niosła niemowlę, Elenę Abigail. Wypróbowaną metodą matek – okrakiem na biodrze. Nagle zaczęła wyglądać na kogoś, kto może być szczęśliwy.

– Mam nadzieję, że jej powiedzieliście.

Grace wstała. Nikt jej o to nie prosił, nikomu nie przyszłoby to do głowy. To było zrozumiałe. Wyciągnęła ręce po małą. Nie zamierzała tego robić. Nie była pewna, czy chce. Ale zrobiła.

– Mogę? – spytała.

Naomi nie odpowiedziała, ale po chwili Grace wzięła Elenę na ręce. Nie była już tym śniadym maleństwem, które wywołało taką konsternację wśród członkiń komitetu organizacyjnego, ssąc piersi Malagi Alves – obie. Teraz była krzepkim bobasem z aureolą cienkich brązowych włosów, głębokimi dołeczkami i umięśnionymi nóżkami. Do tego wydawała się żywo interesować jej uchem. Była też na zawsze owocem tragedii, dziewczynką, której ojciec zamordował matkę. Inny ojciec ją odrzucił, a brat na zawsze zniknął z jej życia. A miała zaledwie sześć miesięcy. Wciąż miała piękne, długie rzęsy. Grace pamiętała je z ich

pierwszego spotkania.

Jak rzęsy Henry’ego, tak samo piękne i długie.

– Powinam już iść – powiedziała.

Naomi została w kuchni z małą, David i Mitchell odprowadzili ją do samochodu. Obydwaj mocno ją uściskali na pożegnanie.

– Nie pozbędziesz się nas – oznajmił David. – Jesteś na nas skazana. Henry też.

– Tato – zaśmiał się Mitchell. – Grace, nie słuchaj go. Będziemy czekać, aż się odezwiesz. A jeśli się nie odezwiesz, będziemy cię bezlitośnie prześladować. Nie, to głupi żart. Cofam to.

– Mnie rozśmieszył – powiedział David.

Uspokoila ich obu, wsiadła do samochodu i włączyła silnik. Miała wrażenie, że siedzi w nim pierwszy raz od wielu godzin. Zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, która jest godzina.

Kiedy wyjechała na drogę stanową, wyjęła telefon i zadzwoniła na komórkę ojca. Odebrał od razu, był zaniepokojony.

– Wszystko w porządku? – zapytał. – Odebrałaś moją wiadomość?

– Nie, przepraszam. Jecie kolację?

– Tak. To znaczy niektórzy. Jesteśmy w Świńskim Raju.

Mimo woli się zaśmiała.

– Jak ci się udało zaciągnąć Evę do Świńskiego Raju?

– Henry wytłumaczył jej, że świnia to tylko metafora.

Użył słowa metafora.

– Jestem pod wrażeniem – odparła.

– Jak dotarliśmy na miejsce i zobaczyła menu, zamówiłem jej mai tai. Już czuje się lepiej. Za to twój syn je coś, co się nazywa siorbiąca świnia. I naprawdę jest w świńskim raju.

– Dasz mi go? – powiedziała i poprosiła ojca, żeby jej przywiózł do domu sałatkę z kaczki.

Henry odezwał się radosnym głosem, jakim potrafi mówić tylko dwunastolatek odwiedzający po długiej przerwie ulubioną restaurację.

– Gdzie jesteś? – zapytał.

– Będziemy mieć psa – powiedziała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Pierwsza rzecz, jaką o mnie powiedzą

Henry chciał inteligentnego psa. Najlepiej border collie. Powiedział, że to najbystrzejsza rasa. Ale w schroniskach w zachodnim Connecticut nie było ani jednego border collie. W ogóle niewiele było psów innych niż pitbule albo mieszańce pitbuli. Pies, którego wzięli, okazał się ogarem. Znaleźli go w miejskim schronisku w Danbury. Był jedynym niepitbulem w dniu, kiedy ruszyli drogą numer siedem, gotowi zostać psiarzami (Grace wiedziała, że już nigdy nie będzie na to gotowa bardziej). Na szczęście zwierzak był bystrym roczniakiem średnich rozmiarów, upstrzonym na czarno i na brązowo, z nietypową symetryczną plamą na zadku, przypominającą obrazek z testu Rorschacha. W drodze do domu usadowił się na kolanach Henry'ego, całym sobą ciężko westchnął i zasnął. Inteligencja nowego kompana została potwierdzona i Henry zdecydował, że będzie się nazywał Sherlock.

– Jesteś pewien? – spytała. – Takie imię to spory ciężar dla małego zwierzaka.

– Udźwignie go – odparł Henry. – To geniusz.

Był też, jak się wydawało, rodowitym południowcem.

Pracownik schroniska przejrzał jego dokumenty i wyjaśnił im, że kiedy w schroniskach na Południu zaczyna brakować miejsc, nadające się do adopcji psy i koty wywozi się na Północny Wschód. Sherlock przyjechał z Tennessee. Niewykluczone, pomyślała, że będzie szczekał z południowym akcentem.

– Zatrzymamy się przy sklepie dla zwierząt?

– Już mamy dla niego jedzenie.

– Wiem, ale chciałbym mu kupić miskę. Poza tym Sherlock powinien mieć specjalną obrozę. Pies Danny’ego, Gerhard, ma obrozę z imieniem.

Gerhard był wystawowym sznaucerem. Przez okrągły rok jeździł na wystawy. Rodzice Danny’ego (jego matka, Matylda, kazała jej i Henry’emu mówić do siebie Til – powiedziała, że tylko na to zdrobnienie reaguje) okazali się bardzo gościnni i pod każdym względem wspaniali. Któregoś wieczoru, kiedy odbierała Henry’ego, przyjęła zaproszenie na nieplanowaną kolację. Wysłuchiwała komicznych opowieści o świątku psich pokazów, ze szczególnym uwzględnieniem zakulisowych zabiegów fryzjerskich i kosmetycznych. Ku własnemu zaskoczeniu cały czas śmiała się do rozpuku.

Mimo to powiedziała Henry’emu, że nie pójdą śladem Gerharda i jego rodziny.

– Co to znaczy? – zapytał ze zdziwioną miną.

Wytłumaczyła mu, co to znaczy.

To jakiś cud, pomyślała, patrząc na swojego syna

w lusterku. Długie włosy opadały mu na twarz. Kiedy był niemowlęciem, pediatra powiedział jej, że dzieci naprawdę rosną z dnia na dzień. Można przyjść do szpitala dzień później, a nogi są dłuższe, głowa większa. Rzeczywiście tak to było. Przez wszystkie te lata miała niejedną okazję, żeby się o tym przekonać. Ten dzień w drugiej klasie, kiedy ostatecznie i z przytupem wyskoczył z dzieciństwa. Wakacje dwa lata wcześniej, kiedy pojechała do Great Barrington, żeby mu kupić buty, znalazła takie, w których miał trochę luzu, a zaledwie tydzień później zaczął narzekać, że bołą go palce. Kiedy znów pojechali do sklepu, okazało się, że musi mu kupić buty o dwa numery większe. Teraz znowu tak było, chociaż nie z długością ani z szerokością jego ciała, ani z obwodem głowy. Kiedy ona patrzyła w inną stronę, zajęta postępującym rozpadem ich rodziny, on zrzucił znaczną część swojej chłopięcości. Jej miejsce zajęły zaczątki młodości. Jej syn wszedł do poczekalni młodości, w której chłopcy z długimi grzywkami, zaniedbujący higieną osobistą, odkrywają, że dziewczyny są inne, i dociera do nich sens tej odmienności. I wyglądał dobrze. Wyglądał... Czy to możliwe? Bardzo dobrze. Nie sprawiał wrażenia złamanego ani przygnębionego. Dla niewtajemniczonych był normalnym chłopakiem, który ma w szkole kolegów, kartkówki z fizyki w poniedziałki rano, miejsce w szkolnej orkiestrze i nową pozycję (na zapolu) w drużynie Lwy z Lakeville,

sponsorowanej przez Pizzerię Smitty'ego z Lakeville, tę samą, w której jedli pierwszy, tłusty posiłek w dniu, kiedy uciekli z Nowego Jorku. Innymi słowy zupełnie nie wyglądał na chłopca, którego ojca miliony ludzi (co prawda w innym stanie) znały jako Doktora Śmierć. Ani nawet na dzieciaka, którego rodzice właśnie przeżyli pospolite rozstanie i którego matka pewnego popołudnia wywozła go do nowego życia, nowego domu, nowej szkoły i nowych przyjaciół. I psa, pomyślała. Czy to możliwe, że Henry... czuł się z tym wszystkim dobrze?

– Może powinniśmy byli mu kupić taką klatkę, o jakiej mówili – powiedziała.

Właśnie zdała sobie sprawę, że Sherlock, pierwszy pies, jaki miał zamieszkać w jej domku nad jeziorem, pierwszy od co najmniej trzydziestu lat, mógł w dowolnym momencie postanowić, że załatwi się w środku.

– Nie. Chcę, żeby spał w moim łóżku – odparł Henry.
– Jak się załatwi, to po nim posprzątam. To mój pies i ja za to odpowiadam.

Zatkało ją. Nigdy nie słyszała czegoś takiego – powiedział: ja za to odpowiadam. W jego ustach zabrzmiało to niewiarygodnie. Powiedział to nowym głosem, trochę bardziej miękkiem, głębszym, już nie chłopięcym. Kolejna zmiana, której nie zauważyłam, bo patrzyłam gdzie indziej, pomyślała z gryzącym żalem.

Bo to ona powinna być za wszystko odpowiedzialna.

Zrozumiała to zaledwie kilka tygodni wcześniej, kiedy na krótką chwilę odsunęła od siebie bezkresną furję, smutek i niezmierny ból po stracie Jonathana – że mianowicie jej życie rodzinne albo to, co nie bez powodu uważała za swoje życie rodzinne, po prostu przestało istnieć – i wtedy, pod przykrywającą wszystko płachtą beznadziei, zobaczyła wycelowany w nią palec. To wszystko nie musiało się stać, w każdym razie nie tak, tak totalnie. Śmierć Malagi Alves, jej osierocone dzieci, jej, Grace, publiczne upokorzenie, storpedowanie jej zawodowych osiągnięć i ambicji. I tyle innych pozycji na liście: rozłam między nią a Vitą, między Henrym a jego dziadkami, między jej wyobrażeniem na swój temat a mroczną rzeczywistością. To Jonathan to wszystko zrobił, ale ona mu pozwoliła. I nawet teraz, po tygodniach smutku i przykucia do łóżka, czytania internetowych spekulacji – pisano, że (w najlepszym razie) wiedziała o zbrodni albo (w najgorszym) miała w niej swój udział – całych godzinach leżenia na pomoście i wydmuchiwania dymu w niebo, jakby odpowiedź kryła się gdzieś tam, na górze – nawet teraz nie miała pojęcia, jak to wszystko mogło się stać.

Zacisnęła ręce na kierownicy, żeby odzyskać panowanie nad sobą i ukryć przed Henrym to nagłe załamanie.

No dobrze, uwierzyła w prezentowaną jej, nigdy niezwerifikowaną wizję życia u boku Jonathana. Niby czemu miałyby się tego wstydzić? Kto, siedząc dzień po

dniu w jej gabinecie i wpatrując się w kalejdoskop fatalnych decyzji, zranionych ludzi, zdruzgotanych kochanków, nie byłby wdzięczny za to, do czego wracała wieczorami? Jonathan otwarcie ją adorował, cenił, motywował i wspierał, dawał dowody niesłabnącego uczucia, dał jej Henry'ego. Był – Boże, jakie to wyświechtane – jej najlepszym przyjacielem. A tak naprawdę, pomyślała teraz, w przypiływie kolejnej fali smutku, był jej jedynym przyjacielem. Dopilnował tego, rozdzielił je, ją i Vitę, i popierał, kiedy odtrącała wszystkie późniejsze propozycje przyjaźni. Nikt nie jest godzien Grace – tak brzmiał ukryty komunikat. Tylko on na nią zasługiwał.

Tłumaczyła sobie, że u kogoś innego od razu by to zauważyła. Wiele razy dostrzegała ten mechanizm u mężczyzn siedzących na jej służbowej kanapie. Byli mężami i chłopakami i delikatnie, ale brutalnie zrywali więzi łączące ich partnerki z rodzicami, rodzeństwem, przyjaciółmi, a nawet dziećmi, żeby ich kobiety nie miały dokąd wrócić. Żeby nie miały siły chociażby spróbować. Zachowywali się jak border collie, które wybierają ze stada jedno jagnię i oddzielają je od reszty. Border collie to takie inteligentne psy.

– Chyba jest głodny – powiedział Henry.

Sherlock wstał, wyciągnął się i dotknął nosem szyby. Pobrudził ją.

– Niedługo będziemy w domu.

Kiedy dojechali, weszli z nim do domu i oprowadzili

na smyczy. W dużym pokoju, przy kanapie, próbował podnieść łapę, a Henry odciągnął go i wyłożył zasady, jakby miał rozumieć ludzką mowę:

– Nie, nie, Sherlock. Wychodzisz na dwór. Mamy dla ciebie ogródek.

Grace otworzyła drzwi na werandę i wszyscy troje zeszli po schodach na brzeg jeziora. Henry założył psu obrozę i docisnął tak, żeby pasowała.

– Gotowy? – zapytała.

Henry kiwnął głową, chociaż nie wyglądał na gotowego. Na początku tygodnia pracownik firmy Niewidzialny Płot zakopał wzdłuż granicy działki kabel. Użył specjalnego narzędzia, żeby się wbić w stwardniałą ziemię. Zaznaczył małymi białymi flagami, gdzie go zakopał. Wbił je po obu stronach schodzącego ku wodzie trawnika. Pies miał sporo miejsca do biegania, a dzięki elektronicznemu płotowi był bezpieczny.

– Nie chcę tego robić – powiedział Henry.

Pies rwał się ze smyczy. Ciągnęło go, chciał zbadać teren.

– Wiem – odparła. – Ale musimy. Sherlock musi się nauczyć, co się będzie działo, kiedy spróbuje przekroczyć linię. Jeden wstrząs wystarczy, jeśli jest tak bystry, jak nam się wydaje.

– Ale ja nie chcę mu robić krzywdy.

– Dużo większą krzywdę zrobi sobie sam, jeśli wybiegnie na drogę i wpadnie pod samochód.

Henry wzruszył smutno ramionami.

– Pamiętasz, co mówił pan?

– Zrobisz to ze mną?

– Oczywiście.

Zaprowadzili psa w pobliże elektrycznego ogrodzenia. Kilka metrów od jednej z białych flag usłyszeli piskliwy sygnał z obroży. Sherlock odwrócił głowę – i nic poza tym.

– Nie! – krzyknęła ostro Grace. – Nie wolno!

Henry bez przekonania pociągnął za smycz.

– Nie, Sherlock. Tam nie wolno!

Pies spojrzał na nich łagodnie i zrobił kolejny krok w stronę linii flag.

– Przykro mi, kochanie – powiedziała Grace. – Nie ma innego sposobu.

Henry kiwnął głową. Pozwolił Sherlockowi pójść. Jest bardzo odważny, pomyślała Grace. Po chwili znów usłyszeli sygnał. Jeszcze dwa kroki i Sherlock zaskowyczał i odskoczył do tyłu. Jęknął ostro. Nawet dla Grace zabrzmiało to rozdzierająco. Wyraźnie go zabolalo.

– Przepraszam – powiedział Henry i padł na kolana. – Wybacz mi. To się więcej nie powtórzy.

Jeśli rzeczywiście taki z ciebie bystrzak, pomyślała Grace.

– Zobaczmy, co się stanie – powiedziała. – Spróbuj go teraz zaprowadzić pod flagę.

Tym razem Sherlock nie zamierzał cierpieć. Zatrzymał się, zanim rozległ się sygnał. Był przerażony.

– Dobry pies! – krzyknęła.

– Dobry pies! – powtórzył Henry.

Oprowadzili go wzdłuż ogrodzenia i w jeszcze kilku miejscach pozwolili podejść i usłyszeć sygnał. Za każdym razem kiedy odskakiwał, głaskali go i głośno chwalili. Potem wszedł do wody i zapatrzył się w dal. W końcu podniósł łeb, spojrział na popołudniowe niebo i zaskowyczał przesywająco. Ten skowyt musiał się ponieść po lesie na odległość kilku kilometrów.

– O kurczę – powiedział Henry.

– To chyba znaczy, że jest u siebie – powiedziała Grace i się zaśmiała.

Henry zdjął Sherlockowi obrożę i ostrożnie zrobił krok w tył. Nic się nie stało. Sherlock nie próbował uciec. Stał w miejscu, z łapami w ciemnej wodzie, pochłonięty patrzeniem na drugi brzeg. Grace i Henry wrócili na schody, żeby stamtąd na niego popatrzeć. Henry w jej objęciach.

– Fajny pies – powiedziała, a Henry przytaknął. – Szkoda, że tak długo to trwało. Już się cieszę, że go mamy.

Nie odpowiedział od razu. Wzruszył ramionami. Był pogrążony w myślach.

– Co jest? – spytała.

– Chcę o tym porozmawiać – odparł Henry. – W końcu porozmawiamy?

Powoli nabrała powietrza.

– Oczywiście.

– Ale kiedy? Nie podoba mi się to. Musimy porozmawiać. Nie chcę, żebyś się źle czuła.

– Nie musisz mnie chronić, to nie twoje zadanie. Teraz jest dobry moment. Możemy porozmawiać, jeśli masz ochotę. Chcesz?

Zaśmiał się, ale nie było mu wesoło.

– To chyba dobry moment. Mogę dać znać swojej asystentce, żeby się skontaktowała z twoją, ale chyba damy radę.

Spojrzała na niego. W ostatnich tygodniach zrobiło się trochę cieplej i już nie musieli chodzić w parkach. Miał na sobie bluzę. Ciemne włosy wystawały mu spod kaptura. Na bluzie miał grubą dżinsową kurtkę. Znalazł ją w szafie na górze. Kiedyś należała do Jonathana.

– Wiedziałem o tym – powiedział.

– O czym?

– O tacie. Widziałem go z mamą Miguela. Raz. We wrześniu. Albo w październiku. Wiem, że powinienem był ci powiedzieć. Gdybym to zrobił, może to by się tak nie skończyło.

Powiedział to wszystko w pośpiechu. Nagle już na nią nie patrzył.

Uważaj, pomyślała. Bądź bardzo, bardzo ostrożna. To ważna chwila.

– Musiało ci być przykro. – Ze wszystkich sił starała się zapanować nad głosem. – Bardzo mi przykro, że musiałeś to zobaczyć. Ale nie miałeś obowiązku mnie informować.

– Nic nie robili – ciągnął. – W sensie nie... nie wiedziałem, żeby... się całowali czy coś. Ale od razu wiedziałem, jak tylko ich zobaczyłem. Stali na dworze, na schodach. Dookoła byli ludzie. Ale zobaczyłem ich i wiedziałem. To było oczywiste. On mnie zauważył i zachowywał się zupełnie normalnie, wiesz. Odsunął się od niej, ale mi jej nie przedstawił, a ja nic nie powiedziałem.

Pokręciła głową.

– Henry, żaden syn nie powinien się znaleźć w takiej sytuacji.

– Przez całą drogę do domu był... wiesz... normalnym tatą. Pytał, jak w szkole, czy Jonah ze mną rozmawiał. Ale wiedział, że go widziałem. – Nagle zamilkł, jakby się nad czymś zastanawiał. – Było jeszcze coś.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Z Mal... z mamą Miguela?

– Nie. To było dawno temu. Z kimś innym.

Z trudem zachowywała spokój. Już nie chodziło o nią. Już nie.

– Chcesz o tym rozmawiać? – spytała. – Nie musisz, jeśli nie chcesz.

– Tak, wiem. Stałem z Jonahem przed jego domem. Staliśmy na chodniku, bo jego mama pojechała do sklepu. A my staliśmy na chodniku. I zobaczyłem tatę. To było niedaleko szpitala.

Kiwnęła głową. Hartmanowie mieszkali przy

Sześćdziesiątej, po wschodniej stronie, kilka przecznic od Memoriala. Potem, kiedy chłopcy poszli do siódmej klasy, Jennifer i Gary się rozstali i Jennifer zabrała Jonaha i jego siostrę na stronę zachodnią. Właśnie wtedy ich przyjaźń się skończyła. Wcześniej Henry przez kilka lat spędzał mnóstwo czasu niedaleko domu Jonaha. W okolicy szpitala.

– Widziałem, że idzie w naszą stronę. Szedł wzdłuż placu zabaw. Wiesz którego? Przy Sześćdziesiątej Siódmej, tam, gdzie czasem mnie zabierałaś.

Kiwnęła głową.

– Szedł z kimś, z jakąś lekarką. I po prostu... To znaczy wtedy też nic nie widziałem. W sensie że nic nie robił, więc nie zorientowałem się od razu. Po prostu szli i rozmawiali. Ona też była lekarką. Miała taki sam fartuch. Na początku mnie nie zauważył. Nawet jak przeszedł na drugą stronę ulicy, też mnie nie widział. Przechodzili tuż obok mnie, więc powiedziałem: „tato”. I on aż podskoczył, zauważył mnie i powiedział: „cześć, mistrzu” i: „cześć, Jonah”. Przytulił mnie i zaczął o czymś mówić, nie pamiętam. Ale odwróciłem głowę, bo ta lekarka, z którą szedł, w ogóle się nie zatrzymała. A on nawet na nią nie spojrzął. Pomyślałem, że to dziwne. To było jak... nie wiem, jak to opisać, ale było podobnie jak z mamą Miguela. Po prostu wiedziałem. To znaczy nie wiedziałem. W sensie nie wiedziałem, na co patrzę, ale czułem, że coś jest nie tak. Rozumiesz?

Przytaknęła ze smutkiem.

– Może wtedy też powinienem był ci powiedzieć.
– Nie, kochanie.
– Ale mogłaś się rozwieść.
– Nie było dobrego i złego wyjścia w tamtej sytuacji.
Nie ty za to odpowiadałaś.

– No dobrze – odparł Henry i posmutniał. – To w takim razie kto?

Pies miał już dość zimnej wody. Ruszył leniwie pod górę, w stronę domu.

– Jak się jest dorosłym – powiedziała – tak jak tata i ja... Myślę, że z tatą coś się działo już od dawna. Ale...

– Próbowała się opanować. Trudno jej było to przyznać, ale nie miała wyboru. – Cokolwiek zrobił i dla czego, powinieneś wiedzieć, że zawsze cię kochał. To nie miało nic wspólnego z tobą. Ze mną może tak, ale nie z tobą.

– Ale przecież ty nie zrobiłaś nic złego – powiedział Henry.

Z bólem stwierdziła, że jej syn płacze. Możliwe, że płakał już od jakiegoś czasu.

Wyciągnęła do niego rękę, a on pozwolił, żeby go przyciągnęła. Wciąż jest małym chłopcem, pomyślała. Ale nie mogła się pogodzić z tym, że to w taki sposób odzyskała swojego małego Henry'ego. Trzymała go mocno i wachała jego włosy. Były brudne.

– Może nie powinniśmy na to patrzeć jak na coś złego albo dobrego. Może to bardziej skomplikowane. –

Wzięła głęboki wdech. – Na pewno nie byłam idealna. Mogłam nie wiedzieć, co się dzieje z twoim tatą, ale

powinnam była się zorientować. To było moje zadanie.

Sherlock doczłapał do werandy i spojrzał na nich ze smutkiem. Ale ona nie puściła Henry'ego.

– Całymi nocami się nad tym zastanawiałam – powiedziała. – Nocami i dniami – poprawiła się, bo przypomniała sobie te długie godziny, kiedy Henry był w szkole, a ona leżała zwinięta z bólu pod kołdrą. – Mogłabym poświęcić wiele lat na roztrząsanie tego, co się mogło stać z tatą. I z panią Alves, i z biednym Miguelem. Mój Boże, biedne dziecko. Ale nie zamierzam tego robić. Mam na głowie inne rzeczy. Nie chcę, żeby moje życie kręciło się wokół tej jednej sprawy. I bardzo, ale to bardzo nie chciałabym, żeby twoje życie się wokół niej kręciło. Zasługujesz na dużo więcej.

Odsunął się od niej. Miejsce, które zajmował, wypełniło zimne powietrze. Sherlock zwietrzył szansę i cicho wspiął się po schodach. Podszedł do Henry'ego. Henry podrapał go za uchem.

– Ludzie mówią na niego Doktor Śmierć – powiedział. – Znaleźliśmy to z Dannym w Google u niego w domu.

Kiwnęła głową. Była zrozpaczona.

– Wiem.

– Są też twoje zdjęcia. Z twojej książki. Dużo o tobie piszą. Wiedziałaś?

Wiedziała, więc kiwnęła głową. Wiedziała od kilku tygodni. Któregoś ranka jak zwykle odwiozła go do

szkoły, jak zwykle pojechała do biblioteki i jak zwykle usiadła przed komputerem. Ale tym razem, inaczej niż zwykle, była gotowa. I spojrzała na siebie przez wypaczony pryzmat, oczami kompletnie obcych ludzi. Był to istny nieprzerwany potok. Same teksty były nieprzychylnie, ale komentarze ocierały się o groteskę. Przedstawiano ją w nich jako królową lodu, która patrzyła beczynn timer, jak jej mąż wykorzystuje, poniewiera, porzuca i w końcu morduje zakochaną w nim kobietę. Była hipokrytką, która miała czelność oceniać innych, udzielać im porad w kwestii związków, napisać książkę – za to krytykowano ją najjadowiciej – w której przedstawiła swoje rzekome mądrości. Jej zdjęcie z okładki było wszędzie. Do tego cytaty z książki, jaskrawe przeinaczenia jej słów.

Wyglądało to dokładnie tak źle, jak się spodziewała. Ale przynajmniej nie gorzej.

– Jak długo to będzie trwało? – zapytał Henry.

Jak długi jest kawałek sznurka?

– Poradzimy sobie. To jest najważniejsze.

– Okej – odparł.

Był odważny, ale nie przekonała go.

– Miałam kiedyś pacjentkę – powiedziała – której się przytrafiło coś strasznego.

– Co?

– Jej syn był ciężko chory. Miał schizofrenię. Wiesz, na czym to polega?

Sherlock wybrał akurat ten moment: zaczął się

wdrapywać na najwyższy stopień, prosto na kolana Henry'ego. Henry się zaśmiał i przyciągnął go do siebie.

– Był niepoczytalny?

– Tak. Chociaż niepoczytalny to raczej termin prawny. Był chory. Miał ciężkie zaburzenia psychiczne.

– To była ta straszna rzecz?

– Owszem, to było straszne, ale nie to miałam na myśli. Chodziło o to, że przez tę chorobę umarł. Miał tylko dziewiętnaście albo dwadzieścia lat.

– Nie wiedziałem, że można umrzeć od bycia wariatem.

Westchnęła. Nie chciała mówić o szczegółach, ale wyglądało na to, że nie ma wyboru.

– Przez chorobę popełnił samobójstwo. To właśnie ta straszna rzecz. Jego matka, moja pacjentka, była zdruzgotana. I musiała znaleźć jakiś sposób na to, żeby odzyskać równowagę. Któregoś dnia powiedziała mi: „Do końca mojego życia to będzie pierwsza rzecz, jaką będą o mnie mówili”. Pomyślałam wtedy, że to prawda. Ale nie możemy nic poradzić na to, co inni o nas mówią. Nigdy nie będziemy mieć nad tym kontroli. Więc nie powinniśmy nawet próbować. Naszym zadaniem jest tylko... być z ludźmi, gdy są przy nas, i nie przejmować się tym, co się dzieje, kiedy są gdzie indziej. Niezależnie od sytuacji trzeba być obecnym – zakończyła wyświechtanym frazesem.

Henry chyba nie do końca zrozumiał, ale dlaczego

miałby zrozumieć? To było takie abstrakcyjne. Dla dwunastoletniego chłopaka brzmiało też pewnie trochę kobieco, trochę jak coś, co mogłaby powiedzieć tylko mama w średnim wieku. Prawda była taka, że sama nie bardzo wiedziała, jak po prostu być tam, gdzie akurat była. Do niedawna zdecydowanie za dużo myślała o tym, co myśli, mówi i robi, a prawie w ogóle nie skupiała się na tym, jak... jest. Było to tym trudniejsze, że myślała, mówiła i robiła dosyć okropne rzeczy. Ale w tej konkretnej chwili siedziała na werandzie, patrzyła na jezioro, na które patrzyła całe życie, obok niej siedział Henry, i oboje głaskali niezbyt czystego psa z Tennessee. I to nie było takie złe. Więc nie czuła się źle, przynajmniej w tamtej chwili. A Henry? Czy on też nie czuł się źle? Tak. Jeśli wziąć pod uwagę straszne okoliczności, naprawdę dobrze się trzymał. Trudno, już zawsze, do końca ich życia, właśnie to będzie ich określać w oczach innych. Pomyślała, że to bez wątpienia przygnębiające. Ale żadne z nich nie będzie w stanie tego zmienić. Czuła pewną ulgę, kiedy myślała o tym, że nie warto nawet próbować.

Henry przycisnął twarz do pyska Sherlocka. Sherlock polizał go w usta. Grace starała się nie reagować.

– Czy tata jest wariatem? – spytał nagle Henry.

– Nie. Przynajmniej nie w ten sposób. Nie robi sobie krzywdy. Jestem tego pewna.

Znów zrobiło się zimno i zupełnie ciemno. Przysunęła się do Henry'ego i Sherlocka. Pies był

ciepły.

– Jak myślisz, gdzie on jest? – spytał Henry.

Pokręciła głową.

– Nie wiem. Nie mam pojęcia. Czasem mam nadzieję, że go znajdą, bo jestem na niego bardzo zła i chciałabym, żeby poniósł karę. Ale czasem wolałabym, żeby go nie znaleźli, bo tak długo, jak długo będzie się ukrywał, nie dowiem się na pewno, czy to zrobił.

Nagle zdała sobie sprawę, że powiedziała to na głos, własnemu synowi. Przeraziło ją to.

– A myślisz, że zrobił? – spytał Henry.

Zamknęła oczy. Czekwała tak długo, jak tylko mogła, czyli niezbyt długo. Bo zapytał, i musiała odpowiedzieć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Koniec świata

Vita przyjeżdżała do Great Barrington co wtorek na odprawę z pracownikami satelickiej kliniki Portera i jeśli tylko nie zatrzymywał jej tam jakiś kryzys, szły z Grace na lunch. Odnawiając znajomość z Vitą, Grace czuła, jakby ktoś jej oddawał duże kawałki jej własnego życia, wspomnienia, którym pozwoliła wygasnąć albo które zwyczajnie odepchnęła, bo kiedy Vity nie było, były bardzo bolesne. Teraz do niej wracały – w najdziwniejszych chwilach. Pojawiały się bez powodu, kiedy jechała samochodem albo czekała na Henry’ego przed halą sportową, w której jego drużyna baseballowa miała zimowe treningi. Przypominała sobie książki, które czytały, ubrania, które razem kupowały, którymi się dzieliły i o które czasem się kłóciły. Wspominała matkę Vity i jej ciotkę, kobietę ekscentryczną i pewnie – teraz to rozumiała – chorą na chorobę dwubiegunową, która czasem się nimi opiekowała. W tajemnicy częstowała je słodyczami, kiedy rodzice Vity wychodzili. Wszystkie te rzeczy, i wiele innych, same w sobie wydawały się bez znaczenia, ale razem tworzyły mozaikę jej życia. Bardzo

jej się to podobało. Była bardzo wdzięczna losowi.

Po lunchu poszły razem do Guido's, sklepu ze zdrową żywnością. Vita miała kupić to, czego nie dało się kupić w Pittsfield (na pustyni kulinarniej, jak mówiła). Grace kupiła ich flagowy wyrób, kurczaka Marbella. Wiele razy robiła go w domu i zawsze uważała, że wychodzi jej wysmienicie, ale kurczak z Guido's był lepszy. Naprawdę bez porównania lepszy. Wkrótce jedli z Henrym kurczaka Marbella z Guido's w prawie każdy wtorek. Nie mogła wymyślić, dlaczego sklepowa wersja smakuje o tyle lepiej od jej własnej, i doprowadzało ją to do szału. Ale nie wściekała się aż tak, żeby nie mogła się nią zająć. Wtorek stał się jej ulubionym dniem.

Któregoś piątkowego wieczoru pod koniec lutego zabrała wreszcie Henry'ego na spotkanie grupy Windhouse. Spotykała się już wtedy z Hollandem co kilka dni, nie tylko kiedy jeździła do biblioteki. Leo opowiadał jej, jak mu idzie praca nad książką o Asherze Levym, i był prawie przekonany, że pierwszy szkic skończy przed końcem urlopu, w czerwcu, choć nie udało mu się udowodnić, że Levy (i jego współtowarzysze, uchodźcy z Recife) naprawdę byli pierwszymi Żydami w Ameryce. Podobno pewien bostoński kupiec przybył w 1649 roku, pięć lat wcześniej. Bardzo, bardzo gorzka pigułka, powiedział Leo ze śmiechem.

Zamierzała coś ugotować na spotkanie z muzykami, ale tego dnia umówiła się z agentem nieruchomości

z Great Barrington. Mieli oglądać biura. Zwolniło się kilka pomieszczeń w przerobionej stodole, w której urzędowali prawnicy, doradcy i terapeuci najróżniejszych szkół. Okna wychodziły na pole – według agenta właściciel ziemi uprawiał kukurydzę i trawę na siano. Pokoje były ciepłe i słoneczne, nawet o tej nieprzyjaznej porze roku. Próbowwała sobie tam wyobrazić kanapę w kolorze owsianki, biurko i obrotowe krzesło z jej nowojorskiego gabinetu, i skórzane pudełko na chusteczki do nosa, i dywan, ale prawda była taka, że nie chciała szpeciść tak ładnego miejsca. Nowa kanapa. Nowe pudełko na chusteczki. Zamierzała zatrzymać tylko biały ceramiczny kubek, który Henry zrobił dla niej na obozie. Uwielbiała go. Nareszcie miała powód, żeby się pozbyć Eliota Portera. Najwyższy czas.

Pojechała z agentem do jego biura, a potem nie miała już czasu na gotowanie, więc w drodze po Henry'ego – kończył próbę z orkiestrą – kupiła w Guido's dużą porcję kurczaka. Henry wyglądał na zmęczonego i nie pamiętał, że nie wracają do domu, ale kiedy poczuł zapach kurczaka, odzyskał wigor.

– Będą tam inne dzieci? – zapytał tajemniczo.

– Wątpię.

Pomyślała o pasierbicy Hollanda. Nie wspomniał o niej, kiedy się spotkali kilka dni wcześniej.

– Ale Leo ma przybraną córkę. Mniej więcej w twoim wieku. Trochę starszą.

– Świetnie – odparł Henry z sarkazmem.

Dla dwunastoletniego chłopaka jedyną rzeczą gorszą od spędzania wieczoru z dorosłymi jest spędzanie wieczoru z dorosłymi i trochę starszą dziewczyną.

– Nie będę musiał z nimi grać, prawda?

– Nie – powiedziała.

Nie taki był plan, ale teraz, kiedy o tym wspomniał, zaczęła się zastanawiać, czy Leo aby nie proponował, żeby Henry do nich dołączył. Ale zgodziła się, żeby zostawił skrzypce w samochodzie.

Na miejscu wcisnęła się na jedyne wolne miejsce na parkingu, na końcu stromego podjazdu. Stała za subaru z dwiema naklejkami na zderzaku: „Bard College Quidditch” i „Starzy mistrzowie banjo nie umierają. Po prostu przestają się przejmować”.

– Mogę wziąć książkę? – spytał Henry.

Zawahała się.

– Dobra. Ale daj im szansę, okej?

– Zgoda – powiedział i wysiadł.

Grace wzięła tacę z kurczakiem. Henry szedł za nią ścieżką prowadzącą do tylnych drzwi.

Już grali. Na tyle głośno, że nikt nie usłyszał, kiedy zapukała. Spróbowała jeszcze raz. W końcu wzruszyła ramionami, nacisnęła klamkę i weszła. Henry zamknął za sobą drzwi.

– O, cześć! – zawołał Leo.

Muzyka umilkła. Leo wbiegł do kuchni.

– Świetnie, świetnie! – Nachylił się i pocałował ją

w policzek, niewinnie, ale bardzo ciepło. – A ty – zwrócił się do Henry’ego – musisz być Henrym, naszym nowym skrzypkiem.

– Yyy... nie. To znaczy gram na skrzypcach, ale nie taką muzykę.

– To drobiazg – powiedział Leo. – Wchodź, rozpaliliśmy w kominku. Napijesz się czegoś?

Henry poprosił o colę. Był to przemyślany manewr, w domu nie mógł na to liczyć.

– Och, przykro mi. Nie mamy coli. Może być sok żurawinowy?

– Nie, dziękuję.

Grace wzięła kieliszek wina i zaczęła je nerwowo sączyć. Dopiero z winem w ręce zdała sobie sprawę, że jest spięta, ale wiedziała dlaczego: w pokoju czekali jego najlepsi kumple, a jej zwyczajnie zależało na tym, żeby zrobić na nich dobre wrażenie.

Była w tym domu tylko raz, wiele lat temu, kiedy letnia burza zerwała linię elektryczną biegnącą wokół jeziora i przed dwa czy trzy dni rodziny z okolicy zbierały się tam w atmosferze bezprecedensowej (i potem nigdy się to nie powtórzyło) sąsiedzkiej przyjaźni, żeby piec na grillu to, co komu zostało w lodówce. Nie pamiętała z tamtych czasów Hollanda, ale pamiętała dom, a w każdym razie to, co było w nim najbardziej imponujące: obudowę kominka. Zrobiono ją z rzecznych kamieni. Zdawała się zajmować całą ścianę. Zobaczyła ją i stwierdziła, że nie wyolbrzymiła we

wspomnieniach jej rozmiarów ani ogólnego wrażenia. Sięgała po sam sufit i wykraczała poza krawędzie kominka, jakby kamieniarz dał się porwać pięknemu brązowym, szarym i jasnoróżowym otoczakom. Między kamienie, jakby mimochodem, wstawiono długą przepołowioną kłodę. Służyła za gzyms. Kiedy wchodzili do pokoju, Grace zobaczyła, że Henry od razu spojrzął na kominek. Wodził wzrokiem od góry do dołu, wchłaniał ten obraz dokładnie tak samo jak ona, kiedy była mniej więcej w jego wieku.

– Wiem, co czujesz – szepnęła. – Miałam tak samo.

W kominku płonął ogień. Dorównywał mu wspaniałością. Płomienie wiły się i skakały, i wypełniały pokój ciepłem. Pewnie dlatego muzycy – było ich trzech, siedzieli na kanapie i na fotelach – usadowili się z dala od niego. Jeden z nich, przysadzisty mężczyzna o rzednących włosach, podniósł się, kiedy weszli.

– Poznajcie się, to jest Colum – powiedział Leo.

Ten, który dorastał w Szkocji, przypomniała sobie i uścisnęła mu dłoń.

– Cześć, jestem Grace. To Henry.

– Cześć – powiedział Henry i zrobił to samo.

Pozostali dwoje pomachali z kanapy. Kobieta o imieniu Lyric (rodzice hipisi) miała długie czarne włosy, lekko siwiejące tak, jak na Manhattanie czarne włosy nigdy nie siwieją, i długi nos z wyraźnie zaokrągloną nasadą. Na kolanach trzymała gruby plik

nut. (Nie wstawaj, powiedziała Grace). Nastolatek siedzący obok niej, jej syn, wstał ze skrzypcami w ręku. Miał na imię Rory.

– Przerwaliśmy wam, przepraszam – powiedziała Grace.

– Nie przerwaliście – odparł Colum. Nawet w tych dwóch słowach dało się słyszeć szkocki akcent. – Przyniosłaś kolację. To zupełnie co innego.

– Kurczaka – powiedział Leo. – Już go włożyłem do piekarnika.

– Umieram z głodu – rzucił Rory.

Był trochę podobny do matki, miał taki sam mocno zarysowany ostry nos i bardzo ciemne włosy. Ale był trochę bardziej okrągły. Jego ojciec, kimkolwiek był, musiał być endomorfikiem.

Jego matka się zaśmiała.

– Zawsze umierasz z głodu. – A potem zwróciła się do Grace: – Karmienie Rory’ego to praca na pełny etat.

Rory usiadł, podniósł skrzypce i zaczął grać jakąś melodię. Cicho, żeby nie przeszkadzać. Jego ręka zdawała się żyć we własnym świecie, jakby należała do innego ciała. Grace zauważyła, że Henry bacznie mu się przygląda.

– Tak się cieszę, że w końcu znalazłam źródło tej muzyki – powiedziała Grace. – Czasem siedzę na swoim pomoście i słucham.

– Nareszcie mamy jakąś słuchaczkę – ucieszył się Leo.

– Nie przesadzaj. Mówiłeś, że macie *groupies*. Wspominałeś o skromnym fanklubie.

– Skromny to właściwe określenie – powiedział Colum. Wziął do ręki gitarę. Stała oparta o fotel. – Mamy już... niech pomyślę, pewnie ze dwucyfrowy wynik.

– To znaczy... – Henry zmarszczył brwi. – Dziesięć osób.

– Właśnie.

Colum usiadł i oparł gitarę na nodze.

– To niedużo.

– Masz rację – odparł Leo. – Ale od kiedy przyszliście, sprawy mają się dużo lepiej. Na szczęście nie zależy nam na rozgorączkowanych tłumach.

– Na szczęście – potwierdziła Lyric ze śmiechem.

– Zależy nam na... pięknie sztuki.

– Myślałem, że na dziewczynach – powiedział Rory.

Grace widziała, że Henry jest nim urzeczony.

– Te dziewczyny, które cię interesują – powiedziała jego matka – nie chodzą na występy zespołów smyczkowych.

– Zaraz – powiedział Henry. – To wy jesteście kwartetem strunowym?

– Grupą strunową – odparł Leo. – Z technicznego punktu widzenia każdy zespół grający wyłącznie na instrumentach strunowych jest zespołem strunowym. Więc kwartet też.

– Tak, jasne – powiedział Rory z doskonałym

nastoletnim sarkazmem.

– Ale to dotyczy głównie bluegrassu, muzyki szkockiej i irlandzkiej. Czasem nazywa się to muzyką ludową. Znasz jakąś muzykę ludową, Henry?

Henry pokręcił głową. Grace wyobraziła sobie, co by powiedział Witalij Rosenbaum o muzyce ludowej, i prawie zaśmiała się na głos.

– W Nowym Jorku to mało popularne – powiedziała.

Zajęła wolne miejsce przy kominku i skrzyżowała nogi, tak, żeby kolana trzymać z dala od ognia.

– Zdziwiłabyś się – odparł Colum. – Teraz w mieście działa prężna scena. Głównie w Brooklynie, ale na Manhattanie też zdobywamy teren. W Paddy Reilly’s przy Dwudziestej Dziewiątej dużo się dzieje. I w Brass Monkey. Zawsze tam chodzę, jak jestem w mieście w niedzielę wieczorem. Każdy może wejść na scenę i zagrać.

– Serio? – powiedziała Grace. – Nie miałam pojęcia. To po prostu nie mój świat.

Leo rzucił w drodze do kuchni:

– Teraz to bardzo na czasie.

– To by wyjaśniało moją ignorancję. Ja jestem zdecydowanie nie na czasie.

Poszła do kuchni, żeby mu pomóc. Poza kurczakiem Marbella mieli dużo sałatki, brytfannę pieczonej dyni żółdziowej z roztopionym masłem w każdej połówce i dwa bochenki upieczonego w domu chleba Anadama.

– Świetny chłopak – powiedział Leo.

– Dzięki. Też tak myślę.
– Chyba się zainteresował. Jak sądzisz?
– Sądzę, że zrobicie wszystko, żeby zdobyć kolejnego skrzypka.

Leo odłożył nóż, którym torturował bochenki, i szeroko się do niej uśmiechnął.

– Wiesz co, może masz rację. Ale nawet jeśli mi się nie uda go przeciągnąć na ciemną stronę mocy, i tak będzie świetnym chłopakiem.

– Owszem – zgodziła się.

Jedzenie było gotowe. Wszyscy przyszli do kuchni i nałożyli sobie na talerze. Potem wszyscy wrócili przed kominek i usiedli ostrożnie przy instrumentach. Henry przewrócił swoją połówkę dyni – nie było to trudne – i wylał masło na talerz. Grace poszła po papierowy ręcznik.

– Ale pycha – powiedział Colum. – Sama to zrobiłaś?

– Nie. Zrobił to sklep z Great Barrington. Ja też umiem, ale w Guido's coś dodają. Nie wiem co. Ich jest dużo lepszy. Chciałabym wiedzieć, co to za składnik. Pewnie jakieś zioło.

– Oregano? – strzelił Leo.

– Nie. Daję oregano.

– Ocet ryżowy – powiedziała Lyric. – Czuję tu odrobinę octu ryżowego.

Grace właśnie miała włożyć do ust kolejny kęs. Zastygła z ręką w drodze do ust, żeby się przyjrzeć kurczakowi.

– Naprawdę?

– Spróbuj – powiedziała Lyric.

Grace jadła kurczaka i myślała o ryżu w sushi, o kimchi, o japońskich ogórkach kiszonych – o wszystkim, co kojarzyła z octem ryżowym. Jak tylko włożyła widelec do ust, od razu go rozpoznała: ocet ryżowy, w każdym kęsie.

– A niech to! – krzyknęła. – Masz absolutną rację.

Była absurdalnie szczęśliwa. Spojrzała na wszystkich uradowana.

– Pracujesz w Great Barrington? – zapytał Colum.

– Jestem psychoterapeutką. Przenoszę się tam ze swoją praktyką.

– Przyjmujesz w Porterze? – spytała Lyric. – Córka mojej znajomej leczyła się u nich z zaburzeń odżywiania. Uratowali jej życie.

– Nie, mam prywatną praktykę – odparła. – Ale moja przyjaciółka z Nowego Jorku jest szefem Portera. To znaczy przyjaciółka, z którą dorastałam w Nowym Jorku. Teraz mieszka w Pittsfield. Vita Klein.

– Kojarzę Vitę Klein – powiedział Leo. – Kilka lat temu miała wykład w Bard College. O dorastaniu i mediach społecznościowych. Była rewelacyjna.

Grace kiwnęła głową, świadoma, że jest niestosownie dumna. Tak się cieszyła, że może być dumna z Vity.

– Co robiłeś na wykładzie o dorastaniu i mediach społecznościowych? – zapytał podejrzliwie Rory.

Leo wzruszył ramionami. Smarował masłem kromkę

chleba własnej roboty.

– Jestem ojcem nastolatki, która mniej więcej wtedy oznajmiła mi, że jeśli chcę się z nią kontaktować, to najlepiej, żebym wklejał to coś, co chcę jej powiedzieć, na jej wallu. Czyli przed nosem trzystu czterdziestu jej tak zwanych znajomych. Chociaż teraz tylu znajomych to właściwie niewielkie grono. Ostatnio miała ich już siedmiuset.

– I Vita ci pomogła? – spytała Grace.

– Och, tak. Powiedziała, żebyśmy się nie starali zastąpić tym normalnych relacji, nawet jeśli dzieciaki by tego chciały. Oni są młodzi, a my dorośli. Znajomość z Facebooka to nie prawdziwa relacja, zwłaszcza między rodzicem a dzieckiem. Byłem bardzo podbudowany. I poczułem ulgę, że nie będę musiał zakładać konta na Facebooku. Mam przed nim duże opory.

– Ale nasz zespół ma profil – zauważył Rory.

– Pewnie. Do tego akurat ta strona się przydaje.

– Do kontaktowania się z dziesiątką fanów? – zażartował Henry.

– Dwunastką fanów – poprawił go Leo. – Myślisz, że dlaczego karmimy teraz ciebie i twoją mamę? Oczywiście po to, żeby sobie kupić waszą sympatię.

Henry nie wiedział do końca, czy Leo żartuje, i przez chwilę sprawiał wrażenie zaniepokojonego. Ale po chwili się uśmiechnął.

– Najpierw musiałbym usłyszeć, jak gracie – powiedział.

A potem grali. Utwory, przy których Colum dorastał w Szkocji, i takie, które razem skomponowali. Wyglądało na to, że głównym twórcą ich własnych kawałków jest Rory. Jego prawa ręka, luźna w nadgarstku – Witalij Rosenbaum nigdy by na to nie pozwolił – podskakiwała i tańczyła nad strunami. Henry – Grace nie mogła tego nie zauważyć – rzadko odrywał od niej wzrok. Dźwięki obu par skrzypiec rozbrzmiewały niejako obok siebie, to się oddalały, to krzyżowały (pewnie istniało na to jakieś muzyczne określenie). Mandolina i gitara tworzyły ramę dla ich manewrów. Utwory nosiły tytuły: *Innishmore*, *Loh Ossian*, *Leixlip*. Ten ostatni trzeba było wyjaśnić gościom (była to nazwa irlandzkiego miasteczka, oznaczała: skok łososia). Grace sączyła wino. Czuła się dziwnie, ale też wyczuwała wokół siebie dużo ciepła. Była coraz szczęśliwsza. Wydawało jej się, że rozpoznaje kilka melodii. Słyszała je, kiedy leżała na swoim pomoście, ale tak naprawdę wszystkie płynęły jednym bardzo przyjemnym nurtem. Henry długo milczał. Nie poprosił o książkę.

Około ósmej zrobili przerwę na kawę i ciasto. Przyniósł je Colum. Kiedy poszedł do kuchni, Rory nagle odwrócił się do Henry’ego i podsunął mu swój instrument. Henry się zaniepokoił.

– Chcesz spróbować? – zapytał Rory.

Ku wielkiemu zdziwieniu Grace Henry nie odmówił od razu. Powiedział:

– Nie wiem, jak to się gra.

– Mówiłeś, że umiesz.

– Tak, ale ja gram muzykę klasyczną. To znaczy w Nowym Jorku grałem klasykę. Teraz gram tylko w szkolnej orkiestrze. – Zawahał się. – Byłem niezły, ale nie żebym miał iść na akademię muzyczną. Większość uczniów mojego nauczyciela skończyła przynajmniej akademię. Niektórzy są zawodowcami.

Rory wzruszył ramionami.

– No dobra, ale spróbować możesz.

Henry spojrzał na matkę.

– Czemu nie? – powiedziała. – Jeśli Rory się zgadza.

– Pewnie – odparł Rory. – Kocham swoje skrzypce, ale to nie stradivarius.

Henry wziął skrzypce do rąk. Przez chwilę trzymał je tak, jakby widział coś takiego pierwszy raz w życiu. Jakby jeszcze do niedawna codziennie po lekcjach nie ćwiczył przed zimowym koncertem szkolnej orkiestry. W końcu przystawił podbródek skrzypiec do szyi i stanął tak, jak go nauczono.

– O kurczę, musi ci być niewygodnie – powiedział Rory. – Możesz je trzymać, jak chcesz.

Henry rozluźnił lewą rękę i opuścił ślimaka. Grace wyobraziła sobie Witalija Rosenbauma szczekającego jak pies. Henry pewnie myślał o tym samym.

– A teraz potrząśnij luźno ręką ze smyczkiem. Śmiało – powiedział Rory. Henry wykonał polecenie. – W bluegrassie nikogo nie obchodzi, jak trzymasz

smyczek. Jeśli chcesz, możesz go trzymać w garści.

– Ale nie rób tego, proszę – powiedział Leo. On też bacznie im się przyglądał. – To fatalne dla pleców. Chodzi o to, żeby było wygodnie. – Włożył smyczek w rozluźnioną dłoń Henry’ego. – O, tak. Teraz nam coś zagraj.

Grace przez chwilę sądziła, że zagra *You Raise Me Up*, nieszczęsny gwóźdź programu zbliżającego się wielkimi krokami koncertu szkolnej orkiestry. Ale ku jej zdziwieniu Henry najpierw szybkoitko zagrał gamę, żeby się oswoić z instrumentem, a potem zaczął grać *Sicilianę*. Był to ostatni utwór, nad którym pracował w Nowym Jorku, zanim ich świat się rozpadł. Nie słyszała go od ładnych kilku miesięcy. Henry nie grał go od wyjazdu z Nowego Jorku i choć nie trzymał dźwięków tak pewnie jak wcześniej, szło mu bardzo dobrze. Naprawdę nieźle. Była wniebowzięta, znów słysząc tę muzykę.

– Jakie to piękne – powiedziała Lyric, kiedy Henry po kilku minutach przerwał.

– Niespecjalnie ćwicyłem, tylko to, co gram z orkiestrą.

Ostrożnie opuścił skrzypce i chciał je podać Rory’emu.

– Znasz jakieś gigi? – zapytał Rory.

Henry się zaśmiał.

– Nawet nie wiem, co to znaczy.

– Szkoda, że nie mamy drugich skrzypiec. Łatwo się

tego nauczyć, jak się gra razem. Jak się zna podstawy, to to jest najlepszy sposób.

– Mam swoje skrzypce – odparł Henry. – W samochodzie.

Spojrzał na Grace.

– Niedługo mam duży koncert.

– Pójdę z tobą – powiedział Leo.

Od jeziora powiewał lekki wiatr, ale nie było zimno. Najgorsze dni zimy skończyły się jakiś tydzień wcześniej. Coś zdawało się pękać pod nogami. Mróz się cofał. Grace nigdy nie spędzała w domku pory odwilży, więc nie wiedziała, jak szybko nadejdzie. Ale w jej wyobraźni ziemia na działce Hollanda już zaczęła ją wciągać.

Jak tylko aluminiowe drzwi zamknęły się za jego plecami, wiedziała, że coś się zmieniło, i wiedziała co. Sama ta myśl była tak niesamowita, że zapomniała się zdenerwować. Jak tylko sobie o tym przypomniała, zrozumiała, że nie ma się czym denerwować, i się uśmiechnęła.

– Co? – spytał Leo.

Otworzyła drzwi od strony pasażera i w samochodzie zrobiło się jasno.

– Pomyślałam, że chętnie bym cię pocałowała – powiedziała.

– Aha. – Kiwnął głową, jakby mu przedstawiła jakiś skomplikowany pod względem finansowym plan ochrony okolicznej przyrody. Po chwili dodał: – A!

Okej!

I pocałował ją. Nie czekał ani sekundy. I tak czekał dłużej niż ona. Dla niej to był pierwszy pocałunek od prawie dziewiętnastu lat.

– Zaczekaj – powiedziała, jak tylko znów była w stanie mówić. – Nie chcę, żeby wszyscy wiedzieli.

– Wszyscy już wiedzą – odparł. Spojrzał jej w oczy. – Moja ekipa wie. Jeszcze nigdy nikogo nie zaprosiłem na wieczorne granie. Szkoda, że nie słyszałaś, co mówili, zanim przyjechaliście. Banda nastolatków. – Zaśmiał się. – Grace – zaczął. Chciał powiedzieć coś, co oboje wiedzieli. – Bardzo, ale to bardzo cię lubię.

– Bardzo, ale to bardzo?

– Nigdy ci tego nie mówiłem, ale kiedyś widziałem cię na pomoście. Miałaś na sobie granatowe bikini.

– Chyba nie ostatnio.

– Nie. Miałem trzynaście lat. Takie rzeczy zostają chłopakom w głowach.

Zaśmiała się.

– Niestety nie wiem, gdzie się podziało tamto bikini.

– Nic nie szkodzi. Użyję wyobraźni.

Znów ją rozśmieszył. Sięgnęła do samochodu i wyjęła futerał ze skrzypcami Henry’ego.

– Nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebym na chwilę podjechała do domu? – spytała, podając mu instrument. – Chcę zajrzeć do psa i go nakarmić, bo cały dzień siedzi sam. Za chwilę wrócę.

– Jasne. Ale nie śpiesz się. Zrobimy inicjację nowego

skrzypka. Jak wrócisz, będzie grał *Diabeł przybył do Georgii*.

– To dobrze? – zapytała, a on w odpowiedzi pocałował ją w czoło.

Nie rozwiązał jej wątpliwości, ale nie miała mu tego za złe.

Usiadła za kierownicą i ruszyła. Mijała nieruchome, ciemne domy. Otworzyła okno, żeby wpuścić mokre powietrze. Nie zamierzała za dużo myśleć o tym, co się przed chwilą stało. Nie dzisiaj, nie tak od razu. To, że weszła do jego domu jako gość, a wyszła – na chwilę – jako ktoś, kogo bardzo, ale to bardzo lubił, oznaczało, że dotarła nad brzegu jakiegoś Rubikonu, a może nawet go przekroczyła. Ale stało się to tak... Przyszło jej na myśl słowo „delikatnie”. Kolejny raz przypomniała sobie ten wieczór, kiedy poznała Jonathana. Oboje natychmiast poczuli, że siebie pragną, i ona uznała, że to dowód, że dobrze wybrała. Oczywiście nie wybrała dobrze. Może teraz będzie lepiej. To, co się między nimi działo, nie było aż tak mocne, nie było paralizujące. Raczej dobre niż właściwe. Teraz zdecydowanie wolą dobre. Ze skrzynki pocztowej wystawały ulotki. Zatrzymała się, wyjęła wielką stertę kartek, katalogów i listów i zaniósła je do domu. Sherlock zaszczekał i wyszedł po nią na tylną werandę. Zostawił na jej spodniach plamy z błota (wylewność była jedyną skazą na jego charakterze). Nakarmiła go i wróciła do domu. Strzepała błoto z dżinsów, włączyła światło i podeszła

z listami do kosza na śmieci, żeby je przejrzeć. Miała nadzieję, że znajdzie wśród nich wycenę od budowlańca, który tydzień wcześniej przyszedł w sprawie ocieplenia domu i wyrównania podjazdu. (Jedną z największych uciążliwości było parkowanie przy drodze i brnięcie w dół, do drzwi). Bała się tego, co miała zobaczyć, ale chciała się w końcu dowiedzieć.

Wyceny nie było, ale znalazła coś innego. Całkiem zwyczajną białą kopertę, z zupełnie pospolitym znaczkiem z amerykańską flagą i adresem (jej adresem w Connecticut) napisanym nieczytelnym, typowo lekarskim pismem jej męża Jonathana Sachsa. Patrzyła na nią. Zapomniała, że powinna oddychać. Trwało to dłuższą chwilę. W końcu, jakby część jej mózgu odpowiedzialna za pobieranie tlenu przejęła kontrolę nad resztą, przypomniała sobie w gwałtownej konwulsji. Podeszła do zlewu i wymiotowała całego kurczaka Marbella z oregano, liśćmi laurowymi i octem ryżowym.

Kiepski moment, pomyślała niepewnie, jakby dało się wybrać lepszy. Ten na pewno nie jest właściwy. Teraz albo kilka minut temu, zanim nastąpiło t e r a z, była szczęśliwa i dumna (jakże dumna) z Henry'ego, a do tego cieszyła się, że jest z nią Leo, który bardzo, ale to bardzo ją lubi. Cieszyła się, że może jej się uda znaleźć pracę i że może będzie mogła komuś pomóc. Cieszyła się, że odzyskała ukochaną przyjaciółkę, z tego, że jej syn pozna wszystkich swoich dziadków, i z tego, że

w następną zimę jej dom nie będzie tak zimny jak tej zimy, która właśnie dobiegała końca. Nie było to oczywiście wielkie szczęście. Takie pewnie jej nie czekało – może nawet nigdy, nie po tym wszystkim, co się stało – ale wcale nie oczekiwała wielkiego szczęścia. To było skromne szczęście, ale i tak było to więcej, niż się spodziewała.

Nie muszę go otwierać, pomyślała. A po chwili, żeby się utwierdzić w tym przekonaniu, powtórzyła to na głos:

– Nie muszę go otwierać.

W środku były dwie kartki, bez linii, zapisane jego pismem, złożone na trzy. Rozchyliła je i obejrzała z daleka. Słowa uparcie nie chciały się ułożyć w sensowne zdania, jak hieroglify sprzed odkrycia kamienia z Rosetty. Jak dobrze, pomyślała. Chciała, żeby tak już zostało. Mogła żyć z tym listem, o ile pozostałby nieczytelny. Ale po chwili jej oczy dopuściły się zdrady i tekst się wyostrzył. No dobrze, pomyślała. Jeśli tak ma być, to go przeczytam.

Grace!

Napisanie tego listu jest najtrudniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek przyszło mi zrobić, ale każdy dzień bez przynajmniej próby skontaktowania się z tobą strasznie mnie bolał, nie masz pojęcia jak bardzo. Oczywiście dla ciebie też to musi być koszmar. Nie ośmielę się nawet domyślać, jak wielki. Ale wiem, jaka jesteś silna, i wiem,

że przez to przebrniesz.

Myślę, że w gruncie rzeczy nie doceniłem ciebie i rodziny, którą tworzyliśmy. Którą tworzymy. Cokolwiek się stanie, nie zmienimy tego, że jesteśmy rodziną. Przynajmniej tak sobie mówię w najcięższych chwilach.

Popełniłem straszny, straszny błąd. Trudno mi w to uwierzyć. To było jak choroba. Zawładnęła mną i odebrała kontrolę. Uwierzyłem, że ta kobieta bardzo mnie potrzebuje, bo jej dziecko było chore, a ja mogłem mu pomóc wyzdrowieć. Pozwoliłem, żeby to osłabiło siłę mojego charakteru. Odpowiedziałem na impuls. To wyszło od niej – nie ja to zacząłem. Wiem, że w ostatecznym rozrachunku to bez znaczenia, ale chciałbym, żebyś to wiedziała. Bardzo jej współczułem i sądzę, że chęć pomocy wzięła górę. Kiedy mi powiedziała, że jest w ciąży, pomyślałem, że jeśli tylko ją uszczęśliwię i wszystkim się zajmę, uda mi się utrzymać ją z dala od ciebie i Henry’ego i że będziemy mogli dalej żyć. Choć stres niszczył mnie od środka. Sam nie wiem, jakim cudem się nie załamałem. Po wszystkim, zamiast okazać wdzięczność za wszystko, co zrobiłem dla niej i dla jej syna, który dzięki mnie jest dzisiaj zdrowy, kolejny raz oznajmiła mi, że zaszła w ciążę. Chciała zniszczyć naszą rodzinę i nie mogłem jej na to pozwolić. Za wszelką cenę chciałem was ochronić. Ani na chwilę nie przestaliście być dla mnie najważniejsi. Mam nadzieję, że mi wierzysz.

Nie mogę pisać o tym, co się stało w grudniu. Powiem

tylko, że to była najgorsza rzecz, jaką przeżyłem. To było coś strasznego i jestem w rozpaczę za każdym razem, kiedy o tym myślę. Nie jestem w stanie przelać tego na papier, po prostu nie potrafię. Ale pewnego dnia, jeżeli spotka mnie szczęście, na które nie zasługuję, będę chciał ci o tym opowiedzieć, o ile zdołasz mnie wysłuchać. Jesteś najlepszą słuchaczką, jaką znam. Ile razy myślałem o tym, jakie mam szczęście, że ktoś mnie tak uważnie słucha i tak mocno kocha. Myślę o tym również teraz i sprawia mi to nieznośny ból.

Pamiętasz ten wieczór, kiedy się poznaliśmy? Co za pytanie. Chodzi mi o to, czy pamiętasz, jaką książkę wtedy czytałem i gdzie chciałem pojechać. Często żartowałem, że się tam wybiorę w środku zimy, a ty mówiłaś, że żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie wybrałby takiego miejsca, na samym końcu świata. Właśnie tutaj teraz jestem i jest dokładnie tak, jak przewidywałaś. Ale jestem tu bezpieczny, tak myślę. Przynajmniej na razie. Nie zostanę tu długo. Wiem, że nie mogę, że nigdzie nie będę całkiem bezpieczny. Ale zanim wyjadę, chcę ci dać szansę, żebyś zrobiła coś, na co z pewnością nie zasługuję. Nie sądzę, że mogłabyś przyjechać – powinnaś to wiedzieć. Ale jeśli się mylę, byłbym niezmiernie szczęśliwy. Gdybyś do mnie przyjechała, sama albo z Henrym, i gdybyśmy spróbowali zacząć wszystko od nowa, gdzie indziej – na samą myśl o tym chce mi się płakać. Myślę, że mogłoby się udać. Dużo się nad tym zastanawiałem i uważam, że to

wykonalne. Mam na myśli pewien kraj, do którego prawie na pewno moglibyśmy pojechać i w którym byłoby nam dobrze. Mógłbym tam pracować. Henry też by się tam odnalazł. Oczywiście nie mogę ci teraz podać szczegółów.

Nie wiem, dlaczego dopuszczam do siebie myśl, że mogłabyś porzucić swoje życie dla czegoś takiego, ale kocham cię na tyle mocno, żeby to zaproponować. Jeśli się nie zdecydujesz, przynajmniej będziesz wiedziała. I choćby dlatego warto zapytać. Gdybyście przyjechali chociaż po to, żebyśmy mogli porozmawiać. Jeżeli nie będziesz chciała albo mogła zostać, zrozumieć. Ale przynajmniej się z wami pożegnaj i oboje będziecie wiedzieli, że nie porzuciłem was bez walki.

Nie powinnaś tu lecieć samolotem. Wiem, że o tym wiesz. Kilka godzin drogi stąd są wypożyczalnie samochodów. Proszę cię, upewnij się, że nikt cię nie śledzi. Wynajmuję dom za miastem. Niedaleko, można dojść piechotą. Nie mam auta. Na szczęście lubię spacerować, jak wiesz. Prawie codziennie po południu spaceruję brzegiem rzeki. Tak, nawet o tej porze roku. Jest ciemno, ale cieplej, niż sądzisz. Jest tu statek przerobiony na muzeum. Nazywa się tak samo jak książka, którą czytałem tego wieczoru, kiedy cię zobaczyłem i od razu w tobie zakochałem. Będę na ciebie czekał. Proszę cię, zrób to dla mnie. A jeśli nie będziesz chciała albo mogła, wiedz, że nigdy nie kochałem innej kobiety i nigdy żadnej nie pokocham. I że dam sobie

radę.

Podpisu nie było. Jakby trzeba to było podpisywać.

Nie zdawała sobie sprawy, jak mocno zaciska palce na papierze, dopóki go nie rozerwała. W końcu z trudem złapała powietrze i upuściła list na podłogę. Nie chciała go podnosić. Był trucizną. Ale po kilku minutach nie mogła znieść myśli, że po prostu tam leży. Więc go podniosła i położyła na drewnianym blacie, jakby był nieożywionym przedmiotem, za jaki się podawał.

A potem, ponieważ nie wiedziała, co innego mogłaby zrobić, przeczytała go jeszcze raz.

Wyobraziła sobie, jak Jonathan idzie przez śnieg, ze spuszczoną głową, w parce, z kapturem zaciśniętym wokół twarzy. Ręce trzymał głęboko w kieszeniach. Miał na sobie ubrania, których nie znała. Prawdopodobnie urosły mu włosy i broda. Szedł brzegiem skutej lodem rzeki i mijał statek zamieniony w muzeum Klondike. Rozglądał się spod obszytego sztucznym futrem kaptura i szukał drobnej kobiety, która była tam zupełnie nie na miejscu. Wyglądała na zmarzniętą. Ona chyba też kogoś szukała. Co poczują, kiedy się wreszcie rozpoznają? Coś podobnego do tego, co czuła w podziemiach akademika, kiedy spotkała innego mężczyznę, z koszem z ubraniami i książką o rzece Klondike, mężczyznę, który szedł wtedy w jej stronę, tak jak ona szła w jego stronę, jakby się nawzajem szukali? Czy znowu poczuje to, co jej

pacjentka skwitowała tak: „No świetnie, to ja już sobie daruję chodzenie na randki”? Czy uszczęśliwi ją to, że rozpoznała go w tłumie, czy to będzie namiętność i głęboka miłość, od której nie sposób się tak po prostu odwrócić? Nie po tylu latach? I co będzie dalej? Pójdą razem do hotelu, w którym będzie na nich czekał ich syn – syn, którego razem powołali do życia? Czy pojedą dalej, do kraju, o którym myślał, do którego, jak sądził, uda im się dostać, i w którym, jak sądził, będą bezpieczni?

Zamknęła oczy. No dobrze. Musiała to zrobić. Musiała zabrnąć w tę fantazję tak daleko.

Ale teraz jej myśli podążały w innym kierunku. Nie miała już sił ze sobą walczyć, więc poszła za nimi do podziemi akademika harwardzkiej akademii medycznej. Przypomniała sobie zabałaganiony pokój, w którym pierwszy raz się z nią kochał (studenci medycyny to nieskomplikowane zwierzęta), a potem wszystkie kolejne pokoje, w których się z nią kochał. Ale było ich za dużo i za bardzo się różniły: Maine, Londyn, Los Angeles, mieszkanie niedaleko szpitala i to, w którym dorastała, przy Osiemdziesiątej Pierwszej. No i tutaj, na górze, w domu, w którym, jak się okazało, o tej porze roku jest niemożliwie zimno. I Paryż. Byli w Paryżu trzy razy, ale za każdym razem zatrzymywali się w innym hotelu. Jak miała je wszystkie zliczyć?

Pomyślała o ciąży i o narodzinach Henry’ego. O tych nocach, kiedy budziła się razem z nim, bo bardzo długo

nie spał dobrze. O tym, jak Jonathan brał go wtedy na ręce, a do niej mówił: „Idź spać, zajmę się nim”. O placu zabaw przy Pierwszej Alei. W letnie popołudnia siadała tam z Henrym w wózku i czekała, aż Jonathan wymknie się ze szpitala, żeby spędzić z nimi pół godziny. O tym placu, na którym jej syn bawił się później z Jonahem, przyjacielem, który potem miał się przestać do niego odzywać. O tym placu zabaw, przy którym Henry zatrzymał kiedyś ojca, a nieznajoma kobieta bez słowa poszła dalej. Pomyślała o rozmowach kwalifikacyjnych we wszystkich przedszkolach na Manhattanie (bo bała się głupio, że do Reardena go nie przyjmą). Jonathan oczarowywał jednego dyrektora po drugim, z taką troską mówił o tym, jakie wykształcenie chciałby zapewnić swojemu synowi. Henry został przyjęty prawie wszędzie. Wspominała jego doskonałe maniery na kolacjach u Evy, podczas niezliczonych posiłków przy ich stole w jadalni, w kuchni i przy tym, przy którym teraz siedziała. I ten dzień, kiedy przyszedł do jej gabinetu z rosyjskimi hamburgerami, ale nie zjedli ich od razu, bo najpierw kochali się na jej służbowej kanapie. Zdążyła już o tym zapomnieć.

Myślała o każdym pokoju w ich mieszkaniu przy Osiemdziesiątej Pierwszej. W mieszkaniu, w którym najpierw była dzieckiem, potem żoną i matką, a potem, przez chwilę, przerażoną pustą skorupą czekającą na unicestwienie. Miała przed oczami drewniany parkiet w przedpokoju, żaluzje w jadalni, wiecznie opuszczane

przez jej matkę, a za jej czasów zawsze podniesione. I pokój Henry'ego, który kiedyś należał do niej. I gabinet Jonathana, który kiedyś był pokojem jej ojca. I kuchnię, która kiedyś należała do jej matki, a później służyła jej. Wanę, łóżko i fiolki z perfumami Marjorie I, Marjorie II i Marjorie III, opróżniane nad umywalką. Bizuterię, po jednym kamieniu za każdą zdradę, i niewiernego męża, który wciąż kochał swoją żonę, ale nie potrafił być z nią szczęśliwy.

Wiedziała, że już nigdy nie będzie tam mieszkać. Właśnie w tamtej chwili wreszcie to do niej dotarło. Tamto mieszkanie, tamten dom przepadł. Jak jej małżeństwo. Jak mój mąż, pomyślała, który się ukrywa tysiące kilometrów stąd, gdzieś, gdzie jest bardzo zimno, i prosi mnie o przebaczenie.

Ale zaraz. Wcale o to nie prosił. Była pewna, zanim wzięła ten list do ręki, ale i tak do niego zajrzała. Pomyślała, że to ważny szczegół. Jonathan pisał, że chciał ją ochronić i stracił kontrolę. Pisał o swoim własnym cierpieniu. Był przekonany, że ona sobie poradzi. Ani słowem nie wspomniał o przebaczeniu. Może zdawał sobie sprawę, że za dużo musiałaby mu wybaczyć, za dużo, żeby to zmieścić w takim liście. A może w ogóle nie uważał, że jest co przebaczać.

Więc znów wyruszyła w przeszłość, ale tym razem dalej, i uważniej się rozglądała. Wyszła poza granice swojej historii z Jonathanem, żeby się przyjrzeć temu, co było wcześniej, a także temu, co się rozgrywało

równolegle. Historia powoli zaczęła się zmieniać i wyglądać inaczej niż kilka minut wcześniej. Tym razem zobaczyła jego braciszka. Był chory i musiał zostać w domu. Nie mógł pójść na bat micwę. Zobaczyła ojca i matkę, których opuścił, i brata, którego tak lekceważąco nazywał obibokiem, rozpieszczonym chłopcem, który nigdy nie pracował i nadal mieszka z rodzicami. Zobaczyła kobietę z Baltimore, u której nie do końca wiadomo dlaczego mieszkał podczas studiów. Przypomniała sobie te trzy dni, kiedy był rezydentem i zniknął bez śladu. I pieniądze, które wziął od jej ojca, żeby opłacić chłopcę chodzącemu do szkoły ich syna. I o lekarzu, którego uderzył, Rossie Waycasterze. Pomyślała o prawniczce, której się radził, kiedy chcieli go wyrzucić z pracy, i której kazał spieprzać. O pacjentach, których nie przyjmował do szpitala w dniu bankietu, i o zmyślonym pogrzebie ośmioletniego chłopca, który nie umarł na raka. I o redaktorce z czasopisma „New York”, która była również ciotką jego pacjenta. I o konferencji w Cleveland albo w Cincinnati, gdzieś na Środkowym Zachodzie – konferencji, która nie odbywała się w żadnym z tych miejsc, bo nie odbywała się nigdzie. I o Renie Chang, która mogła teraz mieszkać w Sedonie i mogła mieć dziecko z jej mężem. Wiedziała, że nigdy nie pozna tego dziecka, i nie chciała go poznać. Ale pomyślała o drugim dziecku, tym, które miało dorastać na Long Island. To dziecko będzie musiała widywać do końca

życia.

I wreszcie pomyślała o Maladze Alves, która nie żyła.

Wstała i wyszła na werandę. Chciała głęboko odetchnąć. Sherlock stał na pomoście, na baczność. Wyczuwał jakieś zwierzę w lesie. Kiedy drzwi skrzypnęły, zamerdał lekko ogonem, ale nie pozwolił się zdekoncentrować. Zeszła do niego i przez chwilę stała obok niego. Zastanawiała się, co takiego wyczuł albo zobaczył. Coś mogło się poruszyć między drzewami. Jest co prawda bardzo wcześnie, ale to niewykluczone, pomyślała. Latem las był pełen zwierząt, a domki pełne ludzi. Jezioro też budziło się do życia. Wszystko, co się kryło na jego dnie, wkrótce miało wypłynąć na powierzchnię. Miały wrócić ptaki. Zawsze wracały na wiosnę. Pogłaskała psa.

Z daleka dobiegły dźwięki skrzypiec. Przyniósł je wiatr znad wody. Już wiedziała, czym są i skąd dobiegają, i wydały jej się dużo wyraźniejsze niż w pierwszych tygodniach, kiedy przesiadywała na pomoście i zastanawiała się, co to za muzyka i kto gra. Tym razem w tej muzyce było jakieś wahanie. Ten ktoś nie grał tak pewnie i szybko jak zwykle. Jakby mu brakowało pewności siebie. Ale grał ładnie. Zamknęła oczy. Zdała sobie sprawę, że to Henry, a nie Rory albo Leo. Henry grał na skrzypcach. Na skrzypkach, poprawiła się.

Uwielbiałam swoje małżeństwo, pomyślała nagle. Nie wiedziała, dlaczego to takie ważne, żeby to przyznać.

Ale naprawdę je uwielbiała, więc się przed sobą do tego przyznała i tym sposobem na dobre zamknęła ten rozdział.

W końcu weszła do domu i znalazła wizytówkę detektywa Mendozy. Dostała ją od niego tak dawno temu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Ktoś zupełnie inny

– No, nareszcie – powiedziała Sarabeth. Zdjęła ją z połączeń oczekujących po zaledwie pięciu sekundach.

– Wiesz, ile wiadomości ci nagrałam?

– Przepraszam – odparła Grace.

Wiedziała, że zwykłe przepraszam nie wystarczy, ale na razie nie miała do zaproponowania nic więcej.

– Serio, zostawiłam ci chyba ze dwadzieścia wiadomości. Wiesz, mam nadzieję, że chciałam cię wesprzeć.

Przytaknęła, jakby Sarabeth mogła to zobaczyć.

– Uciekłam – powiedziała po prostu. – Chciałam zniknąć.

– Doskonale cię rozumiem – odparła Sarabeth. A potem jej ton się zmienił. – Okropnie się o ciebie martwiłam. Interesy na bok. Po przyjacielsku.

Grace westchnęła.

– Dziękuję. I przepraszam. Potwornie mi przykro, że zostawiłam was na lodzie. Obiecuję, że to się nie powtórzy.

Niby czemu miałyby się powtórzyć? – pomyślała. Po tej rozmowie już nie będą miały o czym rozmawiać.

A Sarabeth z pewnością przestanie być jej przyjaciółką.

– Poczekaj – powiedziała Sarabeth. A potem do kogoś innego: – Powiedz mu, że do niego oddzwonię. No dobra, słuchaj – ciągnęła. – Możesz do nas wpaść? Powinnyśmy usiąść i zastanowić się, co dalej.

Grace zmarszczyła brwi. Znów stała przy swoim kuchennym stole przy Osiemdziesiątej Pierwszej. Błat był brudny, od dawna nikt go nie czyścił.

– Wolałabym tego uniknąć, jeśli mam być szczerą. Cokolwiek mają mi do powiedzenia, a wiem, że jest tego sporo i że mają rację... czy nie mogłabyś mi po prostu tego przekazać? Jestem gotowa zapłacić jakieś zadośćuczynienie. Nie zaglądałam ostatnio do umowy, ale zdaję sobie sprawę, jakie mam obowiązki, i zamierzam się z nich wywiązać.

Potem nastąpiło coś, czego się nie spodziewała: Sarabeth zamilkła. A po jakimś czasie powiedziała:

– Tak właśnie jest, jak się nie odsłuchuje dwudziestu wiadomości. Samemu się dopowiada to, co powiedziała druga strona podczas rozmowy, która się nie odbyła. I zawsze się pudłuje. Mogę cię na przykład zapewnić, że Maud nie ma zamiaru się upominać o zadośćuczynienie. Oczywiście zdjęli książkę z planu na styczeń, ale nadal zamierzają ją wydać.

Grace słyszała, że pada. Spojrzała w okno. Krople bębniły o obudowę klimatyzatora. Na dworze nagle zrobiło się ciemno. Nie miała pojęcia, o czym Sarabeth mówi.

– Słuchaj, nie chciałabym, żeby to zabrzmiało niedelikatnie, ale z nikomu nieznannej debutantki, autorki fascynującej, inteligentnej książki, zmieniłaś się w całkiem innego rodzaju autorkę, autorkę książki, która zainteresuje wiele ludzi. To duża zmiana, wymagająca dużej ostrożności. Zapewniam cię, że twój wydawca nie ma najmniejszego zamiaru cię wykorzystać.

Grace nie mogła się opanować: wybuchnęła śmiechem.

– Jasne – powiedziała. – Wierzę.

– Żebyś wiedziała. Znam Maud dziesięć lat. Wydałam z nią co najmniej dwadzieścia książek. Jest przerażająco bystra i doskonale się zna na swojej robocie, ale gdyby nie była przyzwoitym człowiekiem, nigdy bym jej nie dała twojej książki. Po tym wszystkim, co się stało, tym bardziej się cieszę, że trafiła właśnie do niej. Gdybyś dopiero dzisiaj zaproponowała mi jej wydanie, w pierwszej kolejności poszłabym z nią do Maud.

Grace nadal milczała. Ale teraz przynajmniej zaczęła o tym myśleć.

– Gdzie jesteś? – spytała Sarabeth. – Zdajesz sobie sprawę, że nie mam pojęcia, skąd do mnie dzwonisz? Gdzie się podziewałaś przez ostatnie trzy miesiące?

– Zabrałam syna do Connecticut. Mamy tam dom. Właściwie domek letniskowy. Nigdy tam nie mieszkaliśmy zimą. Ale dobrze nam tu. Już tu zostaniemy. Chociaż teraz jestem w Nowym Jorku.

Jestem w mieszkaniu, pakuję rzeczy.

– Co z twoją praktyką? – zapytała Sarabeth.

– Otwieram gabinet w Great Barrington, w Massachusetts.

– Czekaś. Jesteś teraz w mieście? Możesz wpaść do biura?

– Nie – odparła. – Pakuję się. Sprzedałam mieszkanie i za trzy dni się przeprowadzam. Umówiłam się z ekipą. Nie mam czasu na nic. A poza tym muszę się nad tym zastanowić. Naprawdę sądziłam, że z książki nici, i przestałam o niej myśleć.

– Żadnych nici, kochana. – Sarabeth się zaśmiała. –

Sądzę wręcz, że Maud będzie cię namawiała, żebyś napisała nową przedmowę. Możliwe, że jest tam kilka innych rzeczy, na które będziesz musiała spojrzeć. Myślę, że teraz możemy zaproponować czytelnikom jeszcze bardziej wyrefinowaną pozycję. To będzie ważna książka, może dotrzeć do wielu ludzi. Strasznie ci współczuję, Grace, naprawdę. Ale wiem, że z całego tego koszmaru może wyniknąć przynajmniej jedna dobra rzecz. Kiedy możesz się ze mną spotkać?

Grace zaproponowała następny tydzień, ale potem zastanowiła się jeszcze raz i przesunęła to o jeszcze dwa tygodnie. Pomyślała, że wtedy znów będzie w mieście, żeby sfinalizować umowę. W końcu przeprosiła i powiedziała, że może jednak innym razem, a Sarabeth odparła, że nic nie szkodzi, mogą się spotkać innym razem. W końcu się rozłączyły.

Zaczęło padać jeszcze mocniej i w mieszkaniu zrobiło się chłodno. Marzec wszędzie jest ponury. Nawet w Nowym Jorku, gdzie większość pór roku dla niej była piękna, luty i marzec były wyjątkiem. Mimo że kochała to miasto za bardzo, żeby je na zawsze opuścić, tę porę roku chętnie spędzała gdzie indziej.

To był drugi dzień pakowania. Pakowania, sortowania i wyrzucania. Oczywiście nie cierpiała tego, ale zadziwiło ją, że problemy z logistyką tak szybko zepchnęły na dalszy plan dręczący ją smutek. Musiała przejrzyć tysiące rzeczy, a z każdą wiązała się jakaś historia, banalna albo ważna, bardzo radosna albo bardzo nieszczęśliwa. Każdą trzeba było zabrać do czwartku. Zanim przyjedzie ekipa. Grace miała prawie czterdzieści lat i nareszcie wyprowadzała się z domu.

Na szczęście od kilku tygodni opracowywała strategię. Niektóre rzeczy należało zawieźć do Connecticut. Nawet sporo. Prawie wszystko z pokoju Henry'ego, z wyjątkiem ubrań, z których wyrósł. Większość jej własnych ubrań, choć nie wszystkie, bo teraz najczęściej chodziła do pracy w dzinsach. W Nowym Jorku nie mogłaby tego robić, ale jej pacjenci z Great Barrington (jak dotąd trzej) nie mieli nic przeciwko temu. Jej książki. Część mebli i obrazy, które kochała za bardzo, żeby je zostawić. Do tego przybory kuchenne, za którymi za bardzo by tęskniła.

To była łatwizna.

Ale wielu rzeczy musiała się pozbyć. W jej wyobraźni

zajmowały cały wielki pokój, po sam sufit. Choćby wszystkie rzeczy Jonathana: rzeczy, które do niego należały, rzeczy, które kochał. I wszystko, co się wiązało z ich małżeństwem. Rzeczy, które nie należały do żadnego z nich, ale kojarzyły się z ich wspólnym życiem: kubki, telefony, stojak na parasolki. Wszystko skazane na śmietnik. Już nigdy nie chciała ich widzieć.

A jednak to też okazało się nadspodziewanie łatwe.

Torba Birkin, piękna rzecz, jedyna jaskrawa oznaka wysokiego statusu społecznego, jakiej kiedykolwiek pragnęła. Trzymała ją w szafie i rzadko używała. Dostała ją od Jonathana i przestała ją cieszyć. Mimo to nie byłoby łatwo ją wyrzucić. Z czułością włożyła ją do miękkiej firmowej torby, pomarańczowej, i zaniósła do sklepu Encore przy Madison Avenue, gotowa wziąć za nią ułamek jej rzeczywistej wartości. Ale nie chcieli jej przyjąć.

– To podróbka – oznajmiła Francuzka strzegąca gabloty z torebkami Vuittona, Chloé i Hermès. Mlasnęła, jakby samo dotknięcie fałszywki było plamą na honorze. – Dobra, ale jednak podróbka.

Nie, nie – prawie zaczęła protestować. Tego jednego była pewna. Absolutnie pewna. Stała tam, w sali na drugim piętrze, wypełnionej ubraniami i kobietami. Przypominała sobie swoje urodziny, duże pomarańczowe pudło i to, jak oboje się śmiali z wielkiego faux pas, które Jonathan popełnił w sklepie Hermès, wchodząc prosto z ulicy i oczekując, że

wyjdzie z torbą Birkin. To była zabawna opowieść. Naprawdę umiał się z siebie śmiać. Jeszcze mocniej go wtedy pokochała, za tę uroczą naiwność i za to, że umiał zachować pogodę ducha nawet przed obliczem wyniosłej, ewidentnie śmiejącej się z niego sprzedawczyni. Ale to też okazało się fikcją. Wyszła z birkin i zostawiła ją, wciąż zapakowaną w pomarańczową torbę, w koszu na śmieci na rogu Osiemdziesiątej Pierwszej i Madison Avenue.

Na koniec okazało się, że to też nie boli.

Tym, co sprawiło jej ból tak duży, że przyćmiło łatwość wcześniejszych rozstań, były zdjęcia. Albumy i ściany pokryte oprawionymi portretami i niepozowanymi zdjęciami: jej męża, jej syna, jej samej, razem i osobno. Jonathana nie dało się z nich usunąć, a wyrzucić ich nie mogła. Były zapisem jej życia, życia Henry'ego, ale nie mogła znieść myśli o tym, że miałyby mieszkać z nimi w jednym domu. Postanowiła, że trafią do domu Evy na Long Island. Jej ojciec był tak miły, że obiecał, że po nie przyjedzie i zabierze gdzieś, gdzie nie będzie musiała na nie patrzeć, ale gdzie Henry – a może kiedyś również ona – będzie mógł je kiedyś obejrzeć.

Przy okazji zamierzał przywieźć porcelanowy serwis jej matki, cały, dla dwudziestu osób. Haviland, seria Limoges Art Déco. Eva spakowała go własnoręcznie. Grace chciała go zabrać do Connecticut i znaleźć dla niego miejsce w starym domu. Odrobina radości wśród

wszegogarniającego zniszczenia. Próbowwała – nieskutecznie, jak sądziła – powiedzieć Evie, jak bardzo jest jej wdzięczna za ten dar, ale Eva okazała się jeszcze bardziej zakłopotana od niej.

– Daj spokój – powiedziała. – Gdybym tylko wiedziała, że je chcesz... Nigdy nic nie mówiłaś. Przecież wiesz, że mam wystarczająco dużo talerzy.

Więcej nikt do tego nie wracał.

Kiedy wyjmowała pościel z suszarki i składała tak starannie, jak tylko umiała, zadzwonił domofon. Szwajcar oznajmił, że na dole czeka detektyw. Przez chwilę próbowała udawać, że nie wie, co to znaczy. Trzymała w rękach ciepłe prześcieradło. Wysokiej jakości, kosztowało niemało. Było w kolorze skorupki jajka. Albo écru. Dawniej powiedziano by, że jest beżowe, ale ona zauważyła, że nikt już tak nie mówi o pościeli. Wszystko z nim było w porządku, poza tym, że spała na nim i kochała się z Jonathanem. Nie zamierzała zaczynać nowego życia w małżeńskiej pościeli.

O'Rourke zapukał kilka minut później. Przywitała się z nim w drzwiach. Teraz trzymała w rękach inne prześcieradło, z gumką. Nigdy nie potrafiła dobrze składać prześcieradeł z gumką. Teraz też jej nie szło. O'Rourke sprawiał wrażenie rozkojarzonego.

– Dzień dobry – powiedziała. – Gdzie pańska lepsza połowa?

Spojrzała za jego plecy. Windziarz zamykał kratę.

– Przepraszam za najście – powiedział. – Robi pani pranie?

– Pakuję się. Oddaję pościel na cele dobroczynne. Chciałam je najpierw wyprać.

– Rozumiem – odparł, zaglądając za jej plecy. – A niech mnie. Naprawdę się pani wyprowadza.

– Naprawdę się wyprowadzam – powiedziała, coraz bardziej zniecierpliwiona.

Trzymanie nerwów na wodzy kosztowało ją dużo energii.

– Mogę wejść na chwilę?

– A nie może mi pan po prostu powiedzieć? – spytała.

– Zakładam, że przyszedł mi pan coś powiedzieć.

O'Rourke przytaknął ponuro.

– Przyszedłem powiedzieć, że znaleźliśmy pani męża. Mój partner pojechał zająć się ekstradycją. Może pani usiądzie? – zaproponował, jakby to nie było jej mieszkanie.

Odepchnęła drzwi. Spojrzała na swoją dłoń. Wyglądała, jakby była oderwana od reszty ciała. Postanowiła udawać, że tak nie jest.

– To będzie dla pani wstrząs – powiedział O'Rourke, jakby o tym nie wiedziała. – Powinniśmy usiąść.

Poszli do kuchni. Włożyła źle złożone prześcieradło do pudła. A potem posłusznie usiadła przy stole, naprzeciwko niego.

– Dokąd się pani przeprowadza? – zapytał.

– Do Connecticut.

– O. Ładne miejsce, mistyczne. Widziałem.

– Nie, drugi kraniec. Północny Zachód. Mieszkamy tam od grudnia. – Przerwała. Na pewno wiedział, gdzie była od grudnia. – Gdzie on jest? Jonathan. W Kanadzie?

– W Brazylii.

Spojrzała na niego zdziwiona. Ale nie pomogło jej to zrozumieć, co powiedział. Brazylia? To nie miało sensu.

– Nie rozumiem. A jego list?

– Tak, list był od niego. Wysłał go z Minot, z Północnej Dakoty. Ale jesteśmy pewni, że nie on go nadał. Pewnie komuś zapłacił. Albo po prostu znalazł kogoś, kto to za niego zrobił. Umiał wpływać na ludzi, jak pani wie.

– Ale... – Kręciła głową. Palce rozpostarła na blacie.

– Po co by to robił? Po co by mi mówił, gdzie się ukrywa?

O'Rourke odparł spokojnie:

– Wie pani, Minot leży niecałą godzinę drogi od Meksyku. Jest tam ponad tysiąc kilometrów niestrzeżonej granicy, i indiański rezerwat. Chippewa. Pewnie nietrudno znaleźć kogoś, kto pokaże drogę. To idealne miejsce dla kogoś, kto chce opuścić kraj tak, żeby nikt się o tym nie dowiedział. Też bym je wybrał – powiedział na koniec, jakby to o wszystkim przesądzało.

– Ale on najwyraźniej tego nie zrobił. Brazylia...

Była zdziwiona. Ostatni raz wyobraziła sobie, jak idzie brzegiem zamarznętej rzeki w jukońskim

miasteczku Whitehorse w Kanadzie i mija odrestaurowaną barkę Klondike, w której teraz mieściło się muzeum. Jak czeka, aż ona do niego przyjedzie. Zdała sobie sprawę, że specjalnie na tę fikcyjną okazję ubrała go, zgodnie z własnym gustem, w grubą flanelową koszulę i wełnianą czapkę. Naciągnęła mu ją na długie włosy. I że wysłała go na pieszą wędrówkę, ze spuszczoną głową i rękami w kieszeniach, żeby za nią tęsknił i żeby jej szukał. Nie mogła się pogodzić z tą stratą.

– Po co pisał do mnie ten list?

– Może po to, żeby jeszcze trochę namieszać pani w głowie – powiedział O'Rourke. – Niektórzy ludzie łapią się każdej okazji, żeby komuś przypieprzyć. Nawet bez powodu. Tacy już są, to ich nakręca. Kiedyś próbowałem to zrozumieć. Zastanawiałem się, co z tego mają. Ale już nawet o tym nie myślę. Nigdy tego nie zrozumieję. Teraz tylko po nich sprzątam. – Wzruszył teatralnie ramionami, jakby chciał pokazać, że ma mnóstwo czasu na roztrząsanie tej i innych zagadek życia. – Ale po co ja to pani mówię? To pani grzebie ludziom w głowach.

No właśnie, pomyślała.

– Napisała pani o tym książkę, prawda?

Nie, odparła w duchu. To był ktoś zupełnie inny.

– Nam też namieszał w głowach. Kilka pieczeni przy jednym ogniu. Wysłaliśmy ludzi do Minot i do Whitehorse. Zaangażowaliśmy nawet kanadyjskich

konnych. Obserwowali tam wszystkie szlaki i łódź, o której pisał. Poza tym przejrzeni księgi wszystkich wypożyczalni, od grudnia. Ale nic nie znaleźli. W końcu dostaliśmy telefon z Interpolu. Jest w Brazylii, bez wątplenia. Mendoza poleciał tam kilka dni temu, żeby złożyć oficjalny wniosek o ekstradycję. Może to potrwać, ale w końcu go odeślą. Na ogół mamy problemy tylko z obywatelami Brazylii. Mamy z nimi podpisany traktat. – Przerwał. – Jak się pani czuje?

– Po prostu...

Nie mogła dokończyć. Pokręciła tylko głową.

– Chcieliśmy, żeby się pani dowiedziała od nas. Podejrzewam, że za dzień, dwa ktoś to wreszcie wywęszy. Oczywiście może się to stać wcześniej. Zależało nam, żeby to wyszło od nas. Doceniamy to, że próbowała nam pani pomóc.

Kiwnęła głową.

– Pewnie myślał, że Rio to wielkie miasto i że w nim zniknie.

– Nie – odparł O'Rourke. – Nie Rio. Znaleźli go w jakimś mieście, o którym nigdy nie słyszałem, w środku dżungli. Manaus. Nie wiem, czy dobrze to wymawiam. To po hiszpańsku, prawda?

Albo po portugalsku, pomyślała Grace, ale nie powiedziała tego na głos.

– W samym środku lasu deszczowego. Nie da się tam dojechać, trzeba lecieć albo płynąć statkiem. Sądzimy, że dopłynął tam statkiem, ale nie jesteśmy pewni. W końcu

poskładamy wszystko do kupy. Dowiemy się, jak wyjechał ze Stanów. Bardzo byśmy chcieli to wiedzieć. Na razie stawiamy na statek. To duży port. Mendoza pojechał tam w sobotę. Zadzwoił dzisiaj rano. Powiedział, że mają tam operę. Wielka różowa opera w centrum miasta. Przywieźli ją sto lat temu z Anglii, w kawałkach. Facet wychodzi ze skóry. – O'Rourke parsknął niestosownie. – Uwielbia operę. To jego konik. Zabrał mnie raz do Lincoln Center, jak jego żona zachorowała. Najgorsze cztery godziny mojego życia.

Ku własnemu bezgranicznemu zdziwieniu ona też się zaśmiała.

– Jakie przedstawienie?

– Chryste, nie pamiętam. Na scenie był koń. To nie poprawiało sytuacji. Ale muszę powiedzieć, że opera w środku amazońskiej dżungli to jednak zaskoczenie.

Usiadła wygodniej. W głowie jej się kłębiło. Niemal z tęsknotą pomyślała o praniu i pakowaniu, o pustych pudłach czekających na napełnienie i odesłanie. Chciałaby już sobie iść.

– *Fitzcarraldo* – powiedziała. – To film o tym, jak budowali operę w amazońskiej dżungli. Słyszałam o tej historii.

– *Fitz...*

Przeliterowała, a on zapisał w notesie.

– Przekażę mu. Na pewno będzie chciał obejrzeć. – Rozejrzał się po kuchni. – Wygląda na to, że ma pani plan.

– Tak. Niektóre pudła jadą do Connecticut, ale większość trafi do biednych. Pozbywam się prawie wszystkiego. Ma pan wszystko, czego pan potrzebuje?

O'Rourke spojrział na nią zdziwiony.

– Z rzeczy Jonathana. Jeśli jest jeszcze coś, to to jest ostatnia chwila.

– A... nie. Wszystko mamy. Oczywiście jeśli znajdzie pani coś, co powinniśmy zobaczyć...

Kiwnęła głową, ale zdecydowała, że już wystarczająco im pomogła. Od tej pory muszą sobie radzić bez niej.

– W takim razie już pójdę – powiedział i wstał.

Ona też wstała, z wyraźną ulgą.

– Gdzie pani syn? – zapytał, idąc do drzwi.

– U dziadków. Ma przerwę w szkole.

– Poznałem pani ojca. Rozmawialiśmy z nim w grudniu.

– Nie – odparła. – Mój syn jest u innych dziadków. Na Long Island, u rodziców Jonathana.

O'Rourke się zatrzymał.

– To dziwne. Kiedy z nimi rozmawialiśmy, twierdzili, że nigdy nie widzieli żadnego z was.

– Miesiąc temu spotkaliśmy się na kolacji w Nowym Jorku. Było miło, więc zaprosili go do siebie na kilka dni. Chciał pojechać.

O'Rourke kiwnął głową. Szyję jak zwykle ogolił tak nerwowo, że pokrywały ją czerwone plamy.

– Dobry pomysł. To dobrzy ludzie. Dużo przeszli.

Wszyscy dużo przeszliśmy, pomyślała automatycznie. Ale po co mówić coś takiego?

Otworzyła drzwi i O'Rourke zadzwonił po windę.

Stała w uchylonych drzwiach. Czuła się niezręcznie. To była dziwna chwila. Nie bardzo wiedziała, jak się zachować. Stawała tam od czasu, kiedy nauczyła się stać, czekała, aż winda zabierze jej gości: koleżanki, opiekunki, uczestników przyjęć. Dawno temu odprowadzała tam swoich chłopaków. Wychylała się na korytarz, żeby ich całować, jak długo się da, zanim przyjedzie winda. Zazwyczaj stało się z gościem i rozmawiało o czymś niezobowiązującym, ale to nie była zwyczajna sytuacja. Z detektywem O'Rourkiem nie miała o czym niezobowiązująco rozmawiać. Ale nie mogła po prostu zamknąć drzwi.

– Jeszcze jedno – powiedział nagle. – Jutro będę sobie pluł w brodę, że nic nie powiedziałem.

Mocniej złapała za framugę, jakby się bała, że to, co powie, zetnie ją z nóg. Wszystkie możliwości przepływały jej przez głowę, jak rtęć, i żadna nie była przyjemna. Cokolwiek to było, to, przez co opluje sobie brodę, jeśli tego nie powie (oskarżenie? wyrazy wdzięczności? jakaś mądrość życiowa dotycząca jej sytuacji?), nie chciała tego usłyszeć. Ale nie chciała też, żeby następnego dnia wrócił, żeby jej to powiedzieć.

– Znam pewną rodzinę z Brownsville. To na Brooklynie.

Zmarszczyła brwi.

– I...

– W zeszłym roku aresztowałem ich syna. Okazało się, że to dobry dzieciak, tylko wybrał niewłaściwe towarzystwo. Zgubiliśmy akta jego sprawy – powiedział ze śmiechem. – Cóż, zdarza się.

Czekała, jeszcze bardziej zdezorientowana.

– No... w każdym razie mieszkali tam w przytułku, ale kilka tygodni temu dostali mieszkanie. Od miasta, dofinansowane. Świetna sprawa, tyle że nic nie mają. Śpią na podłodze. Trochę ich poznałem. To dobrzy ludzie.

Usłyszała ciche zgrzytanie windy. Ruszała z parteru.

– Oddaje pani swoje rzeczy organizacjom charytatywnym i to jest super, ale pomyślałem, że gdyby pani chciała...

– A! – Nareszcie zrozumiała. – No tak. Jasne. Bardzo chętnie. Niech wezmą, co będą chcieli. Mam łóżka, pościel i ręczniki. A w kuchni garnki i patelnie.

Na jego twarzy zobaczyła niemal dziecięcą radość. Był odmieniony. Jakby nagle stał się młodym mężczyzną. Młodym oficerem O'Rourke. Tak po prostu.

– To by dla nich było coś niesamowitego. Nawet sobie pani nie wyobraża.

Umówili się szybko, że pojutrze przyjedzie pożyczoną furgonetką z ojcem rodziny i dwoma synami.

– To dobra rodzina – powtórzył. – Widziałem w życiu sporo porąbanych rodzin. Ta jest dobra.

– Nie wątpię – powiedziała. Nie miała już najmniejszego pojęcia, jak wygląda dobra rodzina, ale pomyślała, że może on wie. – Dla byle kogo nie gubi się akt sprawy.

– Racja. – Trochę się zmieszał. – I jeszcze jedno. Wiedzieliśmy, że nie miała pani o niczym pojęcia. Po pierwszej rozmowie byliśmy prawie pewni. Głupio nam było, że musi pani przez to przejść. Wiedzieliśmy, że nie jest pani złym człowiekiem.

Poczuła na policzkach falę ciepła. Kiwnęła głową, ale nie spojrzała mu w oczy.

– Tylko wybrałam niewłaściwe towarzystwo?

– Niewłaściwego faceta. Każdemu może się zdarzyć.

Oj tak, pomyślała. Winda była już blisko.

Za plecami O'Rourke'a zaskrzypiała kratka. Wsiadł do windy i pomachał jej na pożegnanie. Czekwała w uchylonych drzwiach, aż zniknie, ale nie weszła do mieszkania od razu. Stała tam jeszcze chwilę i słuchała jęków i kliknięć zjeżdżającej na dół windy. Tak dobrze je znała. Wreszcie z samego dołu dobiegło skrzypienie kraty. O'Rourke wyszedł z holu w ciemne deszczowe popołudnie, na ulicę, przy której kiedyś mieszkała.

Przypisy końcowe

1. *Elder* (ang.) – starszy (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
2. *Turd* (ang.) – dupek. Brzmi podobnie jak *third* – trzeci (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
3. Popularna marka herbaty (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
4. *Scorpion bowl* – mieszanka rumu, wódki, ginu i soków owocowych (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

Table of Contents

Strona tytułowa

CZEŚĆ I - PRZED

Po prostu wiesz

Cóż lepszego od wychowywania dzieci?

Nie moje miasto

Zabójczo miękkie serce

Kurs podróżowania na skróty

CZEŚĆ II – W TRAKCIE

Jeszcze tylko chwilę

Bukiet bezużytecznych faktów

Ktoś napisał mail do pani męża

Kto by ich słuchał?

Ziemie szpitalne

Wszystko, co wzbiera, musi wykipieć

Raz, raz

Przerwy między domami

Na złamanie karku

Przeszukać i zająć

CZEŚĆ III – PO

Dawczyni dobrodziejstw

Zawieszenie niewiary

Święta w sztetlu

Wielki błąd

Dwa brakujące palce

Ogonek

[Pierwsza rzecz, jaką o mnie powiedzą](#)

[Koniec świata](#)

[Ktoś zupełnie inny](#)

[Przypisy końcowe](#)